





Ex Libris
**BIBLIOTEKI
PUBLICZNEJ**
IMIENIA
STEFANA HEMPLA
SEJMIKU
RADOMSKIEGO
W RADOMIU.

DZIEJE 1863 ROKU



Dzieje 1863 roku

824/III

PRZEZ

9(438)

AUTORA „HISTORYI DWÓCH LAT“

—•—
TOM TRZECI



Z KSIĘGOZBIORU
STEFANA HEMPLA

KRAKÓW

NAKLAD I DRUK W. Ł. ANCYCA I SPÓŁKI
1902



26107
MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA

domi

943.8.071

W epoce tej spojrzenie, smutek, litość, westchnienie, samo nawet milczenie było zbrodnią stanu. Niebawem zbrodnią obrazy majestatu nazwano, że Cremutius Cordus uważał Brutusa i Kassyusa za ostatnich z Rzymian; zbrodnią, że jeden z potomków Kassyusa miał u siebie popiersie swego przodka; zbrodnią, że Mamercus Scaurus napisał tragedję, w której były wiersze dwuznaczne; zbrodnią, że Torquatus Silanus za dużo wydawał; zbrodnią, że Pomponius przyjął do swego domu wiejskiego jednego z przyjaciół Sejana; zbrodnią, że uskarżano się na straszne czasy; zbrodnią, że matka konsula Fusiusa Geminusa oplakiwała śmierć swego syna. Należało okazywać radość z powodu śmierci przyjaciela lub krewnego, jeżeli nie chciano się na taki sam los narażać. Za Nerona, ci, których powinowaci zginęli z jego rozkazu, szli dziękować za to bogom. Zawsze trzeba było być zadowolonym; obawiano się, by sama obawa nie stała się winą.

Kamil Desmoulins.

4276

ROZDZIAŁ IX.

Birże.

Komitet litewski. Zwierzdowski. Kalinowski i jego teorye polityczne. Du-Laurant. Stronnictwo Białych. Zjazd w Kownie. Gubernator jenerałny Nazimow i jego odezwy. Stan armii rosyjskiej na Litwie. Zjazd w Wilnie. Wybór i skład komitetu wileńskiego. Misyra Jeleńskiego do Warszawy. Broszura »Głos Litwina«. Odezwa Rządu Tymczasowego. Książd Mackiewicz i jego oddział. Ludwik Narbut. »Wydział zarządzający prowincjami Litwy«. Rozwiązanie Komitetu Litewskiego. Memoryał hr. Starzyńskiego. Józafat Ohryzko i Wydział zagraniczny petersburski. Jego skład i czynności. Organizacya na Litwie. Termin powstania. Odezwa Wydziału Litwy. Zygmunt Sierakowski. Plan powstania. Hr. Leon Plater i napad pod Krzesławką. Rabunki »Buraków«. Wysłanie Szuwałowa i Dłotowskiego. Wrażenie, jakie te wypadki wywarły. Napad na Hory-Horki. Niechęć chłopów i ich strażę na Białorusi. Topór rozpущcza oddział. Wyprawa morska na Żmudź. Łapiński i jego charakter. Szpieg Poles. Zdrada kapitana Weatherleyd. Pobyt w Maimö. Rozkazy Rządu Narodowego. Zakupno »Emilii«. Konfiskata broni. Nowy plan wyprawy. Katastrofa. Sierakowski koncentruje w Łanczanowie oddziały żmudzkie. Marsz jego i potyczka pod Ginetydami. Starcie pod Korsakiszkami. Pobyt w Terezborze. Organizacya oddziału. Marsz Ganeckiego i jego siły. Sierakowski dzieli swój oddział. Tryumfalny jego pochód ku Birżom. Starcie pod Madejkami. Gwałtowny marsz Ganeckiego. Starcie w lesie pod Gudziszkami. Sierakowski raniony. Zachowanie się ks. Mackiewicza. Porażka pod Sznurkiszkami. Wzięcie do niewoli Sierakowskiego. Powrót Ganeckiego do Wilna. Uwagi nad kampanią Sierakowskiego i jej rezultatami.

Gdy się powyżej opisane, niezwykłe wypadki, odbywały na widowni Królestwa Polskiego, z Litwy, i jej „sennego sosen uroczyska“, dochodzić poczęły wieści o zdarzeniach i scenach niemniej niezwykłych, niemniej tragicznych i krwawych. Wieści te, ze stanowiska powstańczego sądzone, były pocieszające, gdyż już w ostatnich dniach marca, na Żmudzi i w Grodzieńskim, ukazały się oddziały zbrojne, czego rząd insurekcyjny warszawski, szczerze mówiąc, wcale się nie spodziewał. Organizacja bowiem powstańcza na Litwie, była bardzo słabo rozwinięta, gdyż Komitet litewski, utworzony w Wilnie jeszcze w r. 1862, złożony z głów zapalonych młodzieży, zamiast zajmować się sprawą rzeczonoj organizacyi, toczył zawzięte spory z Warszawą o niezależność Litwy. Pierwotnie Komitetem tym kierował Wacław Przybylski, nauczyciel szkolny, tłumacz paru książek francuskich, ale wskutek podejrzeń, jakie na niego padły, został, jeszcze przed wybuchem powstania, pod pozorem awansu na nauczyciela starszego, przeniesiony, czyli poprostu wygnany do Wołogdy. Drugi wybitniejszy członek tegoż Komitetu, starszy już wiekiem, wytrawniejszy człowiek, Franciszek Dalewski, niegdyś, w roku 1848 za spisek zawiązany między uczniami gimnazjum wileńskiego, jako 19-letni chłopiec, zesłany do ciężkich robót na Syberyę, powrócony za amnestyą w r. 1856, służył jako urzędnik na kolei warszawsko-petersburskiej, i wziął czynny udział w ruchach 1861 i 1862 roku. Z córką jego, Apolonią, był żonaty tak głośny niebawem Zygmunt Sierakowski. Ale Dalewski, mimo tego blizkiego związku z zapalonym rewolucjonistą i czerwieńcem, jakim był Sierakowski, nie żywił przekonań powstańczych. Znadto dużo przecierpiał, znadto dużo widział i zbyt blisko przez lat kilka przypatrywał się potędze Rosyi, by mógł wierzyć w możność pokonania jej przez powstanie choćby wszystkich ziem, wchodzących niegdyś w skład Polski dawnej. Dlatego też, przechylając się stanowczo ku stronnictwu szla-

checkiemu, Białych litewskich, przeciwnych powstaniu, wystąpił z Komitetu litewskiego i w tej chwili przynajmniej, nie brał w jego czynnościach żadnego udziału bezpośredniego.

Po ustąpieniu Przybylskiego i Dalewskiego, najwybitniejszymi i najbardziej wpływowymi osobistościami Komitetu litewskiego, byli: Ludwik Zwierzdowski i Konstanty Kalinowski. Pierwszy z nich, kapitan sztabu jeneralnego wojska rosyjskiego, indywiduum dość lichy i, jeżeli można wierzyć podaniom rosyjskim, nielubione i niecenione przez kolegów wojskowych¹⁾, a później w powstaniu, jako dowódca Topór nie okazał on ani zdolności, ani energii i wytrwania. Podczas rozwijających się wypadków w 1861 i 1862 roku, Zwierzdowski znalazł się w Wilnie, gdzie był adjutantem ówczesnego gubernatora jeneralnego Nazimowa i potrafił tak dalece zjednać sobie zaufanie i przyjaźń tego ostatniego, że zamieszkiwał z nim w lecie poza miastem, na t. z. po rosyjsku „daczy“, uczył jego dzieci, a wszelkie manifestacyjne i powstańcze objawy w ciągu wzmiankowanych lat, potrafił wytłumaczyć staremu wielkorządcy, jako rzeczy bez znaczenia i bez konsekwencyi. Nie bez słuszności też w kołach spiskujących wileńskich mówiono, że „nad bezpieczeństwem Komitetu litewskiego czuwa straż

¹⁾ Niejaki A. Ewald w swych »Wspomnieniach«, wydrukowanych w »Istoriczeskim Wiestniku« (Tom LXI, 586) opowiada o Zwierzdowskim, że w r. 1854, w czasie wojny krymskiej, budował on, jako porucznik inżynierii, forty w okolicach Rewla, dla obrony brzegów przed spodziewanem wyładowaniem sprzymierzonych. »Nie był on lubiany, powiada Ewald, a służbę uważał za karyerę, i jego baterie były bardzo nędznie ze zgnilego drzewa budowane. Wykazywał, że ma stu ludzi zajętych przy robocie, a było ich dziesięciu załedwie«. Skąd inąd wiemy (Pamiętniki Aleksandra Guttrego II, 32), że Zwierzdowski, już w początkach 1860 r. należał do działających i przygotowań powstańczych. W roku rzeczonym był on obecny na zjeździe delegatów wszystkich zaborów, w celu porozumienia się co do sposobów działania. Zwierzdowski wraz z Dłuskim-Jabłonowskim, późniejszym dowódcą w powstaniu żmudzkiem, reprezentował na zjeździe owym Litwę.

rosyjska". Aresztowanie Jarosława Dąbrowskiego (Łokietka) w Warszawie, zachwiało mocno sytuacją Zwierzdowskiego w Wilnie. Z papierów, zabranych Dąbrowskiemu, przekonano się o udziale adjutanta wileńskiego w robotach spiskowych, mimo to jednak, mimo urzędowych o tem doniesień z Warszawy, Nazimow oraz szef jego sztabu Minkwitz, nie chcieli wierzyć, by ich ulubieniec należał do spisków. Bądź co bądź, Zwierzdowski został usunięty z Wilna i wydalony do Moskwy w przeddzień nieomal powstania.

W chwili więc wybuchu najwybitniejszą osobą w Komitecie litewskim został Kalinowski, postać z pomiędzy tłumu spiskowców wszelkiego rodzaju tej epoki burzliwej, malująca się najdosadniejszymi i najbardziej zdecydowanymi rysami. Krańcowy Czerwieniec, z podkładką demagogiczną, wyznawca teorii wywrotu socyalnego, był człowiekiem niezaprzeczenie czystym, wielkiej energii i niezłomnego charakteru. Szlachcic z rodu, potomek tej drobnej szlachty mazurskiej, która za Rzeczypospolitą nosła w dziewiece puszcze litewskie zdobycze kultury polskiej, syn tkacza ze Świsłoczy, już w Petersburgu, jako student tamtejszego uniwersytetu, należał do wszystkich kółek rewolucyjnych, jakie na gruncie stolicy caratu przez kilka lat z rządu powstawały. Po ukończeniu studyów, powrócił w stopniu kandydata prawa do rodzinnej Litwy i rzucił się w wir ówczesnych wypadków. Był on bezwzględny wyznawcą teorii demagogiczno-komunistycznych Centralizacji emigracyjnej i federacyjnych programów Hercenowskiego „Kołokoła”. Nie wierzył więc w powstanie rozproszone, kierowane i prowadzone przez szlachtę; twierdził, że tylko „plecy kmieci” mogą dźwignąć Polskę i Litwę, i dlatego nie bawiąc się w żadną organizację szlachecką, której źródło szło z Warszawy, puścił się na wędrowną pieszą po Litwie i Rusi; nocował i przebywał po chałupach chłopskich, siał tam ziarna rewolucji, przyjął nawet posadę pisarza gminnego, ale zdaje się, że wkrótce nabył przekonania, że co innego są teorie zrodzone w ciszy gabinetów, a co innego praktyka. Z tem wszystkiem młody

ten Marat litewski nie przestawał do końca twierdzić, że „topór nie powinien się zatrzymać nawet nad kolebką niemowlęcia szlacheckiego”. Teoryj tych oczywiście w czyn nie mógł wprowadzić, bo najprzód nie miał odpowiedniej władzy ani siły, a kiedy nakoniec dobił się dyktatury powstańczej, powstania samego już nie było, a potem, że musiał nabyć wkrótce tego przekonania, że bez tej znieprawionej, godnej topora szlachty, powstanie nie mogłoby się nawet dwu dni utrzymać.

Od tych teoryj, usprawiedliwionych młodością i wychowaniem petersburskiem, gdzie na gruncie despotyzmu najłatwiej się rodziły idee radykalne i krańcowe, ważniejszą była inna teoria Kalinowskiego, zaczerpnięta z „Kołokoła”. Jak wiadomo, program polityczny Hercena polegał na tem, że w przyszłości ziemie słowiańskie, pozbywszy się panów despotycznych i jarzma obcego, winny wytworzyć federacją państw niezależnych i rozwijających obok siebie, w idyllicznej zgodzie, wszystkie swe właściwości narodowe. Otóż Kalinowski teorię tę, w całej jej rozciągłości, stosował do Litwy. Według niego, Litwa powinna razem z Polską dobijać się niepodległości, walczyć o pozbycie się najazdu obcego, ale stanowić jednostkę odrębną, zgoła niezależną od Polski i związaną z nią tylko węzłami federacyjnymi. W myśl tej teorii, wchodząc do Komitetu litewskiego, nie chciał przyjmować żadnych rozkazów z Warszawy, chciał, by ten Komitet rządził i kierował powstaniem samistnie i w stosunku do Rządu Narodowego zajmował stanowisko władzy równej i nikomu niepodległej. „Nie można, wołał, powierzać przyszłych losów Litwy, tej głupiej kumosze Warszawie”. Teoria ta Kalinowskiego, wygłaszana otwarcie i szczerze, wywołała liczne spory i rozterki w Komitecie. Przeciwnikiem jej był najprzód Zwierzdowski, który opierając się na historii, uważał Litwę za nieodłączną część Polski i nie pojmował odrębnego państwa litewskiego; obok Zwierzdowskiego, stał trzeci członek Komitetu, komisarz władz warszawskich, Nestor Du-Laurant, który już z charakteru swego stanowiska, jako reprezentant

Komitetu Centralnego, musiał być przeciwny dążnościom Kalinowskiego. Du-Laurant, Warszawiak rodem, syn oficera b. wojska polskiego, a wnuk dziada Francuza, który podobno miał tytuł margrabiego (Bousquet du Laurant) i pretensye do tronu Nawarry, był pięknym, dwudziestokilkuletnim mężczyzną, który przybywszy do Wilna, został urzędnikiem na kolei warszawsko-petersburskiej, i miał sobie powierzone przez Komitet Centralny warszawski, komisarstwo rządowe przy Komitecie litewskim¹⁾. Popierany przez Zwierzdowskiego, walczył on uparcie z teoryami Kalinowskiego, ale gdy Zwierzdowski opuścił Wilno, Du-Laurant prawie sam jeden został ze swym oporem, gdyż inni członkowie Komitetu, byli ludźmi bez znaczenia i bez zdecydowanych programów politycznych. Członkami tymi, oprócz wyżej wymienionych, był niejaki Władysław Małachowski, niegdyś porucznik rosyjski, a w tej dobie urzędnik na kolei warszawsko-petersburskiej, z czasem powstańczy naczelnik Wilna; Edmund Weryho, także urzędnik na wzmiankowanej kolei, wreszcie lekarz Dłuski, niegdyś zesłaniec na Kaukaz, gdzie dosłużył się stopnia oficera, a w samem powstaniu zasłynął jako dowódca pod pseudonimem Jabłonowskiego.

W takim otoczeniu ludzi albo zużytych, albo niezdasyndowanych, Kalinowski po ustąpieniu Zwierzdowskiego, przeważny zyskał sobie wpływ w Komitecie. W powstaniu widział on najprzód niezależność Litwy, a potem rewolucyę społeczną. Domagał się więc przedewszystkiem zupełnego uwłaszczenia chłopów; nie chciał, by do spisku mieszała się szlachta, przekonany, że ta ostatnia zaprowadzi go na manowce i wkońcu zgubi; twierdził, że organizacyę powstańczą należy utworzyć wyłącznie z chłopów i drobnej szla-

¹⁾ W Warszawie ludzie, znający osobiście Du-Lauranta, mówili, że powodem jego wyjazdu do Wilna było nie komisarstwo, powierzone mu przez Komitet Centralny, ale poprostu ucieczka przed starą i brzydką żoną, z którą się ożenił dla pieniędzy (wziął za nią 40.000 złp. i która mu życie zatrula. Relacya ta zapewne jest prawdziwa, gdyż komisarstwo Du-Laurant otrzymał, mieszkając już w Wilnie.

chty chodackowej. Inni, nie bez słuszności twierdzili, że to są teorye, które w praktyce okażą się niemożliwemi, że bez szlachty nie dokonać się nie da na Litwie, gdzie lud ciemny i zahukany nie nadaje się na materyał powstańczy. Dzięki tym sporom i walkom, Komitet litewski nie nie zrobił i wybuch powstania w Królestwie, zastał Litwę prawie zupełnie nieuorganizowaną powstańczo. Tu i owdzie, wzdłuż linii kolei petersburskiej, organizacya ta istniała, utworzona przeważnie z urzędników, nieco silniejszą była w Białostockiem, gdzie Szwarce przed swą ucieczką do Warszawy, trochę ludzi w koła powstańcze powiązał, ale w reszcie kraju śladów jej prawie nie było, albo jeżeli były, to bardzo nikłe i słabe.

Do szlachty, z której wyłącznie składało się stronnictwo Białych, dochodziły przez Dalewskiego głuche wieści o istnieniu w Wilnie Komitetu powstańczego, o sporach w nim toczonych, o zamiarach Kalinowskiego utworzenia niezależnej Litwy, i gorsząc się tem, nie przywiązywali zresztą żadnej większej wagi do tych teoryj „smarkaczy i hołoty“. Delegowani szlacheccy, którzy byli na zjeździe Białych w Warszawie w grudniu 1862 r. (hr. Starzyński, marszałek gubernialny Grodzieński, hr. Zyberg-Plater i Giejsztor), powrócili stamtąd z tem przekonaniem, że powstanie nie tak rychło wybuchnie i że czasu jest jeszcze dosyć do uorganizowania kraju. Jeden z tych deputowanych, Jakób Giejsztor, wracał z Warszawy razem z Sierakowskim, który wezwany do chorej żony, śpieszył przez Warszawę do Wilna. i obaj byli najzupełniej przekonani, że powstanie tak prędko nie nastąpi. W dniu 20 stycznia 1863 r., a więc nieomal w przeddzień powstania odbył się zjazd szlachty litewskiej w Kownie, gdzie deputowani, wysłani w grudniu r. z. do Warszawy, zdali sprawę ze swej misyi. Zebrało się przeszło 150 ziemian i wszyscy byli bardzo radzi wiadomościom, że nikt na seryo w Królestwie nie myśli o powstaniu i rozjechano się z zupełną pewnością, że owa groźna, niebezpieczna, zgubna dla kraju insurekcyja, jest jedną z tych chmur czarnych, co prawda, brzemiennych gromami, ale

bardzo dalekich jeszcze i ginących gdzieś tam w głębi horyzontu przyszłości dziejowej. Cały kraj, wszystkie t. z. prowincje zabrane, były spokojne zupełnie i ciche, nikt nie myślał o oporze zbrojnym, tak, że w styczniu odbył się na Litwie pobór rekruta bez żadnych zakłóceń i tysiące ludu litewsko-ruskiego na kilka dni przed krwawą nocą styczniową, poszło zapełniać szeregi rosyjskie.

Noc ta, o której wiadomość miano w Wilnie, już d. 23 stycznia wieczorem wywarła piorunujące, rzec można, na wszystkich ludzi myślących wrażenie. Nikt ze znających kraj nie wątpił, że wcześniej czy później Litwa weźmie, wziąć musi udział w rozpoczynającej się walce, której rezultat przewidywali, i w niemej rozpacz, w poczuciu zupełnej bezsilności wobec wypadków, widzieli już straszną klęskę i nieobliczone nieszczęścia i plagi, jakie spadną na ukochaną przez nich ojczyznę. Wprawdzie byli i tacy, którzy nie patrzyli się tak czarno w przyszłość; twierdzili oni, że powstanie niema żadnej przyszłości przed sobą, że podobnie jak ruchy 1846 i 1848 roku, skończy swój żywot po kilku dniach, namnoży wprawdzie ofiar, ale przez to oczyści się powietrze, partya czerwonych szaleńców przez potężny upust krwi omdleje zupełnie, i kraj będzie mógł swobodnie dalej pracować na drodze rozwoju i wzmacniania sił swoich. Z tego względu cieszyli się, że na Litwie organizacya powstańcza nie istnieje i że przez to prowincje te nigdzie nie sprawiły krwawej „Bartolomejady“ w noc z d. 22 na 23 stycznia załogom rosyjskim.

Jeżeli atoli stronnictwo szlacheckie Białych, tak się zapatrywało na rozpoczynające się tragiczne wypadki, jeżeli wielu pomiędzy nimi cieszyło się, że Litwa straszną noc styczniową przespala cichym snem, to w partyi Czerwonych, w Komitecie litewskim, w duszy Kalinowskich, Weryhów, Małachowskich, musiało się obudzić poczucie wstydu, że przez ciąg kilku miesięcy toczono próżne spory o mgliste teorye i programy, a niedbano o odpowiednie uorganizowanie kraju. Na cóż się zdały wszystkie gadaniny o tem, że Litwa i Rus a Polska to jedno, skoro powstanie zamknęło

się w granicach samej Kongresówki, skoro ani jedno nawet miasteczko na Rusi i Litwie dla okazania tej jedności, nie uderzyło owej nocy na wojsko najezdnicze? Napad na Suraż, leżący już za kordonem Królestwa, dokonany przez spiskowych z Łomżyńskiego, nie mógł i nie zmieniał w niczem faktu zbyt jawnego, by można mu było zaprzeczać, że Litwa w krwawej nocy styczniowej udziału nie wzięła.

Ale taki wstyd, takie gniewne uczucie upokorzenia, że kiedy w Królestwie krew się leje i powstanie nietylko nie upada, ale zdaje się rość w siły, owładnęło nietylko Czerwonymi, ale i szlacheckiem stronnictwem Białych. Pojawienie się w pierwszych dniach lutego w Szemiatyczach znacznego oddziału powstańców z Królestwa pod wodzą Zameczka, rozgrzało umysły i tłumy młodzieży litewskiej dążyły do tego pierwszego obozowiska polskiego na Litwie. Plotka, jak zwykle w tak gorączkowych czasach panująca wszechwładnie, cuda opowiadała o tym oddziale, o jego sile, uzbrojeniu i dzielności, o jakichś znakomitych cudzoziemcach, książętach i królach, którzy pod osłoną przezwisk tajemnych znajdują się w szeregach powstańczych i już samą obecnością swoją zdają się zapowiadać wagę i znaczenie powstania i szczęśliwy koniec jego usiłowań. Wszystko to, powtarzamy, podniecało i zapalało umysły, do czego przyczyniło się jeszcze bardzo wiele postępowanie i rozporządzenia władz rosyjskich.

Gubernatorem jeneralnym Litwy (gubernii wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej i mińskiej), oraz wodzem naczelnym (głównodowodzącym) w okręgu wojskowym wileńskim, był w owe czasy generał-adjutant Nazimow, człowiek w gruncie rzeczy dobry, ale ograniczony umysłowo i łatwo ulegający przeróżnym wpływom, krzyżującym się koło niego. Osobisty przyjaciel cesarza, świadek naoczny wypadków 1831 roku, podczas których ówczesne władze rosyjskie okazywały zbyt wiele szkodliwej gorliwości, teraz nie chciał powtarzać takich samych błędów, przytem uważał, że czasy są inne, czasy reform liberalnych, prądów świeżych, Herceńskich potępień, których wszyscy dygnitarze rosyjscy

tej doby, bali się skrycie jak ognia. Zajmując od lat kilku stanowisko wielkorządcy litewskiego, zżył się ze szlachtą polską, uległ urokowi jej wysokiej i wykwintnej cywilizacji, bywał u ziemian litewskich i przyjmował ich chętnie u siebie. Zresztą był już stary, wielu rzeczy nie widział i nie chciał widzieć, a mając głowę słabą, pod wpływem otoczenia różnych generałów karyerowiczów, podszytych tatarszczyzną, chcąc się okazać energicznym i surowym, dopuszczał się nieraz czynów nietaktownych i nieobmyślanych należyście. Stanowisko to nakoniec, dane mu było przez cesarza jako rodzaj synekury dostatniej i pełnej blasku, bo Litwa przed rokiem 1861, była cichą i drzemiącą owym snem nieprzespanym wielkich puszczyz swoich, który zdawał się leżeć w owej epoce kamieniem na piersiach całej Rzeczypospolitej dawnej. Gdy więc zaszły wypadki 1861 i 1862 r. Nazimow nie był w stanie ośmielić nimi i w Petersburgu oddawna noszono się z myślą usunięcia starca, ale z uwagi, że należało go oszczędzać, czekano na jakiś pretekst uzasadniony, na jakąś sposobność, któraby owe usunięcie ułatwić i gorzką pigułkę osłodzić mogła.

Skoro zatem do Wilna przyszła wieść o powstaniu w Królestwie, Nazimow i jego otoczenie, nie wiedziało na razie, jaką postawę przybrać i nie bez słuszności przypuszczano, że ruch ten znajdzie swój odzew na Litwie. Ale Litwa była spokojną, choć niewątpliwie dawały się spostrzegać liczne oznaki wzburzenia umysłów. Rząd roztropny i przewidujący, byłby w cichości przygotowywał się do ewentualnego stłumienia rozruchów, ale na zewnątrz okazywał spokój, by podrażnionych umysłów nie drażnić jakim przedwczesnym wystąpieniem jeszcze bardziej. Otóż tego spokoju Nazimow, a raczej jego otoczenie nie okazywało. Głównym powodem ich obaw było to, że miano, według ich mniemania, nader niewielkie siły wojskowe na Litwie. Stał tam pierwszy korpus piechoty pod wodzą generała Łabancewa, złożony z drugiej i trzeciej dywizji, który wraz z dywizją jazdy i artylerią miał liczyć 60 ty-

sięcy ludzi¹⁾. Z uwagi jednak, że wojsko konsystujące w Królestwie Polskiem, na papierze wynoszące sto tysięcy żołnierza, w istocie nie miało więcej jak 60 do 70 tysięcy ludzi, należy i cyfrę wojska, zajmującego Litwę zmniejszyć co najmniej o połowę i zapewne nie bardzo się omylimy, oznaczając wysokość tych sił na 30, może 40 tysięcy, a i te cyfry są zapewne za wielkie z tego powodu, że w r. 1862 rozpuszczono większą część wojska i zostały właściwie tylko kadry²⁾. Nie wiemy jednak czy ta redukcja dotyczyła dywizyj, stojących na Litwie i Białorusi, i dlatego cyfrę 30 do 40 tysięcy, przyjąć należy, jako wysokość sił wojskowych tamtejszych. Wobec powstania improwizowanego, źle uzbrojonego i słabego liczebnie, była to siła poważna i aż nadto wystarczająca do pokonania drobnych oddziałków, głównie uwijających się później w gubernii Grodzieńskiej i na Żmudzi, ale w początkach, w sztabie Nazimowa w Wilnie, podobnie jak w sztabie Ramsaya w Warszawie, nie wiadomo jakim jest to powstanie, sądzono, że nie będzie to płód poroniony, ale wybuch wulkaniczny wszystkiej ludności, broń unieść zdolnej. A przeto te siły trzydziestu tysięcy ludzi, jakkolwiek oparte o trzy fortece (Dynaburg, Bobrujsk i Brześć Litewski), rozrzucone były na znacznych, o wiele większych jak Królestwo przestrzeniach, w kraju pozbawionym dróg bitych i w porze roztopów, prawie niemożliwych do przebycia dla artylerji i taborów wojskowych; w kraju zarosłym wielkimi jeszcze lasami, przerzniętym mnóstwem rzek i strumieni, odciętym od południowych prowincyj ogromnymi bagnami Pińskimi, i zaludnionym słabo. Na dobitek, w początkach powstania, na usilne żądanie władz wojskowych w Królestwie, musiano im posłać drugą dywizję piechoty, tak, że przez parę tygodni wszystkie siły rosyjskie na Litwie i Białorusi, składały się zaledwie z jednej

¹⁾ Wydawnictwo materiałów do historii powstania I, 275.

²⁾ M. N. Murawiew, »Zapiski obu uprawnieni Siewierii zapudnym krajem« (Russkaja Starina z r. 1882).

dywizji pieszej i jednej kawaleryjskiej. Ubytek ten zastąpiono już w lutym wyprawieniem z Petersburga drugiej dywizji grenadierów gwardyi, która zajęła Wilno i okolicę. Prócz tych świeżo przybyłych pułków gwardyackich, reszta armii, konsystująca od dawna na Litwie, nurtowaną była, podobnie jak w Królestwie, nieufnością do swych oficerów, których sprzysiężenia rosyjskie i polskie i idee Hercenowskie zachwiały w wierności dla sztandaru. Służyło tam bardzo wielu Polaków, którzy nie mogli być obojętnymi widzami rozgrywających się przed ich okiem wypadków, i którzy w głębi duszy czekali tylko na sposobność, by okazać swe uczucia patryotyczne. W sferach rządowych wiadano o tem doskonale i jeszcze w r. 1861 przeniesiono wielu oficerów Polaków do korpusów stojących wewnątrz Rosyi, a natomiast przysłano stamtąd na Litwę, rosyjskich¹⁾. Nie wiele to jednak pomogło, boć

¹⁾ W liczbie tych ostatnich, znajdował się także niejaki Gogel, autor bezecnej książki, wydanej w Wilnie w r. 1867 p. t. „Josafat Ogryzko i petersburskiej rewolucyjny rżond w dziele pośledniago miateża“. W paszkwilu tym opowiada o usposobieniu oficerów Polaków co następuje (str. 153): „Przybywszy do kraju północno-zachodniego, do nowego miejsca służby, do Slonima, zastałem towarzystwo oficerów przeważnie polskie, patrzących na nas Rosyan, jak na „koleonistów“ (ich wyrażenie). Oficerowie nie tylko na mustrze mówili do siebie po polsku, ale niby przez zapomnienie strofowali żołnierzy także w tym języku, jak np.: „jak stoisz i jak rękę trzymasz“, lub dawali rozkazy feldweblom w tym rodzaju: „słuchaj braciszku, pan pułkownik przykazał, żeby dziś była egzercecya przy armatach“. Z bardzo małym wyjątkiem oficerowie nie zważając na naszą obecność, starali się okazywać swój patryotyzm, następstwem czego było to, że niektórzy z nich (bardziej zacięci i szersi), głośno oświadczyli, że „do Polaków strzelać nie będą“, za co od miejscowych mieszkańców i urzędników otrzymali miano „prawdziwych patryotów i prawdziwych Polaków“. Ufność ich i pewność była tak wielką, że my Rosyanie zbierając się w swem małym kółeczku, wątpiliśmy o możliwości stłumienia przyszłego (według ich słów) pólnownego powstania. I trzeba się przyznać szczerze do tego, że prawie wszyscy z pomiędzy nas dlugo nie rozumieliśmy, a zrozumiawszy nie decydowaliśmy się uwiadomić władz o propagandzie swych kolegów, uważając to za denuncyacyą (donos). Zresztą o ich usposobieniu najlepiej sędzić można

przecie wszystkich nie można było przenieść, a w chwili wybuchu wielu z nich, jak Ejtmniewicz, Zwierzdowski, Barancewicz, Brandt, Micewicz i t. d. przeszło do szeregów powstańczych. Ten stan armii, niezbyt licznej w stosunku do rozległości i konfiguracyi kraju, obawa przed wybuchem powszechnego powstania, brak w sztabie wileńskim dobrej głowy, któraby umiała zdać sobie dokładną sprawę z położenia, spowodował, że Nazimow na razie nie wiedział, jaką postawę przybrać i uciekł się do zwykłego środka władz rosyjskich, do groźby, która wygłoszona bez żadnego uzasadnionego powodu, bo, powtarzamy na Litwie w tej chwili panowała niezakłócona spokojność, podrażniła jeszcze bardziej i tak już podrażnione i rozgoryczone umysły.

Albowiem ni stąd, ni zowąd, w d. 29 stycznia, a więc w tydzień po wybuchu, gdy jeszcze na Litwie nie zjawił się żaden oddział powstańczy z Królestwa, gdy Komitet litewski w bezsilnej rozpaczycy zapóźnie się spostrzegł, że zamiast spierać się o niezależność Litwy, należało tę Litwę przygotować do walki, gdy stronnictwo Białych na swe wielkie przerażenie, przekonało się, że zapewnienia zjazdu grudniowego w Warszawie były złudzeniem, gdy wszyscy nakoniec zaskoczeni nagłymi i niespodziewanymi wypadkami, nie mogli zorientować się w sytuacji, na rogach ulic wileńskich i w miejscowym „Kuryerze“ ukazała się proklamacya Nazimowa, napisana stylem urzędowym, pełna gróźb i tonu, który w żadnym razie nie mógł oddziaływać na umysły uspakajająco, a zatem chybiał zupełnie celu. W odezwie tej gubernator jeneralny, zaznaczywszy najprzód, że „w niektórych miejscach Królestwa Polskiego ludzie źle myślący i nierozsądni (bezumnyje)“, potworzyli „bandy buntownicze“ i ośmielili się podnieść broń przeciw rządowi, że nie mając sił dostatecznych do działania otwar-

z zeznań pewnego naczelnika rewolucyjnego, skazanego przez sąd, który między innemi przyznał się, że „czternastu Polaków oficerów z artyleryi slonimskiej piśmiennie zobowiązało się wziąć udział w powstaniu“.

tę, „sposobem niecnym napadli w nocy i znienacka na obywateli spokojnych, na podróżnych, na śpiących żołnierzy i dopuścili się rabunku i zabójstw“, że „niegodziwości“ (bezczinstwa) te nie trwały długo, że wojska wysłane rozpedziły większą część tych band, że pozostałe ukrywają się przeważnie w lasach, i że wojsku nakazano surowo ścigać je i wytępić doszczętnie — powiada: „pragnąc uchronić kraj powierzony jego zarządowi od wtargnięcia doń złoczyńców z Królestwa Polskiego“, rozkazał z mocy „Najwyższej“ nadanej sobie władzy, w powiatach graniczących z Królestwem ogłosić stan wojenny, „wkładając na miejscowych naczelników wojennych obowiązek tłumienia najbardziej stanowczymi środkami, wszelkich usiłowań wywołania nieporządków, oddając winnych pod sąd na zasadzie praw wojskowych w jak najkrótszym terminie“. Zwracając się następnie do „wszystkich stanów, zaludniających powierzone jego zarządowi gubernie“, uprasza te „stany“, aby „przyczyniły się wszelkimi, będącymi w ich mocy środkami do zabezpieczenia porządku społecznego“; aby „wszyscy dobrze myślący mieszkańcy, którzy kochają swą ojczyznę i nie chcą doprowadzić jej do nieuniknionej ruiny, starali się ludzi zapalonych i lekkomyślnych powstrzymać od uniesień, zgubnych dla całego kraju, jawnych zaś złoczyńców i burzycieli spokojności powszechnej zatrzymywali i oddawali w ręce władz miejscowych“. W końcu odezwy Nazimow odwołuje się do chłopów. „Mam zupełną nadzieję, pisze, że klasa włościańska, odczuwająca wszystkie dobrodziejeństwa, uczynione jej przez naszego wielkiego Monarchę, który ją oswobodził od zależności poddańczej, nie pozwoli się omamić i pociągnąć do zaburzeń i pozostanie wierną przysiędze i swym obowiązkom“.

Ale gubernator jeneralny nie poprzestał na tej odezwie, w której z prawdziwie Metternichowską perfidią wzywał chłopów do udziału w utrzymywaniu t. z. urzędownie „porządku“; w parę tygodni bowiem potem, d. 20 lutego ogłosił nową proklamację, w której o wiele wyraźniej powołuje „klasę włościańską“ do współudziału w utrzyma-

niu rzeczonego porządku. „Do was zwracam się szczególnie włościanie wileńscy, kowieńscy, grodzieńscy i mińscy, przypominając wam dobroczynne uwolnienie was przez Najjaśniejszego Pana od zależności poddańczej. Jeszcze ostatecznie nie została spełnioną wola Najwyższa (Wysochajszaja wola), otwierająca przed wami nowe życie obywatelskie i zabezpieczająca wasz dobrobyt przyszły, a już usiłują obudzić w was uczucia występne niewdzięczności i bunt przeciw temu Monarsze, któremu winni jesteście to dobro! Powinniście dowieść płoŹności takich usiłowań i zatrzymując każdego, ktoby odważył się na coś podobnego, oddawać go w ręce władzy najbliższej, dla postąpienia z nim według prawa. Pomagając do utrzymania w kraju spokojności ogólnej, tem samem przyczynicie się do waszej własnej korzyści, przez jak najprędsze rozpoczęcie działań Komisji sprawdzających (powierocznych), które mają ostatecznie urządzić wasz byt ziemski, a których ustanowienie powstrzymane i utrudnione zostało przez powstałe nieporządki“.

Niebawem, już w końcu stycznia ogłoszono powiat i miasto Troki, w połowie lutego powiat Swienciański w stanie wojennym, a w samym Wilnie przez odezwę z d. 2 lutego zabroniono surowo noszenia „kostiumów polskich narodowych, czapek, zwanych konfederatkami i pasów z metalowymi sprzączkami“; właścicielom domów, zajazdów i fabryk nakazano pod surową odpowiedzialnością, meldować policji o każdym nowoprzybyłym mieszkańcu. W pięć dni potem, ukazał się reskrypt cesarski, nakazujący „rokoszan, schwytanych z bronią w ręku“, oddawać pod sąd polowy, którego wyroki po zatwierdzeniu ich przez gubernatorów wojennych, a gdzie ich niema przez kendantów dywizji, konsystujących w danej gubernii, mają być wykonywane „na miejscu przestępstwa“. Prawo miecza nadano także dowódcom oddziałów, operującym przeciw powstańcom, jednym słowem rozpoczęła się na Litwie era rządów wojskowych, oddanych w ręce drobnych carzyków,

którzy niebawem mieli pokazać co to są maleńcy satrapowie rosyjscy, era ucisku i gwałtów wszelkiego rodzaju.

Wszystko to oczywiście nie mogło działać uspakajająco na umysły, i tak już mocno wzburzone wieściami, dochodzącymi z Królestwa. Odezwy Nazimowa powołujące chłopów do współdziałania przeciw ruchowi powstańczemu, zapowiadały jawnie, że rząd gotów jest chwycić się Metternichowskich środków dla utrzymania szlachty litewskiej w karchach posłuszeństwa. Chłop litewski i białoruski, ciemny i na pół dziki, od dwu lat żyjący rozbudżonemi nadziejami, teraz, gdy rozmaici drobni naczelnicy, wszystko nihilisci wytworzeni przez ostatnie wypadki, poczęli mu wyklądać po swojemu reskrypta gubernatora jenerałnego, przybierał tu i owdzie postawę groźną, a w ogólności z podębła spoglądał na panów i dwory. Niepokój z każdą chwilą wzrastał, niepokój tym gorszy i bardziej denerwujący, że ostatecznie nie było powodu ani do publikowania groźnych reskryptów, ani do oddawania prawa życia i śmierci drobnym, dokuczliwym kacykom, ani podburzania chłopów przeciw szlachcie. Na Litwie bowiem w tej porze nie było jeszcze ani jednego oddziału, wyrosłego na jej gruncie. Obóz Szemiatycki i starcie krwawe, jakie wkrótce miało roznieść się jęklivem echem po całej Litwie, było dziełem powstańców z Królestwa, jak ich dziełem miała być zaraz potem awanturnicza wyprawa Rogińskiego na Polesie, jak wreszcie ukazujące się koło 10 lutego oddziały w pobliżu Trok, które nawet odbiły partyę rekrutów i wywołały wyprawę z Wilna jenerała Plaksina¹⁾, i ogłoszenie Trok w sta-

¹⁾ O wyprawie tej, «Wiadomości z pola bitwy» No 4, zabawne podają szczegóły. »Do komicznych wypadków rozpoczynającego się trockiego powstania, czytamy tam, możemy zaliczyć szturm, jaki jenerał Plaksin przypuścił do gaju, niedaleko Jezdna, tuż nad Niemnem położonego, i po całonocnem strzelaniu z armat, wzięciu naczelnego tego gaju wstępem bojem. Rzecz się tak miała: z 9 na 10 lutego, jenerał Plaksin, wojenny naczelnik trocki, został uwiadomiony, że silny oddział powstańców zebrał się w gaju, mającym pół wiorsty kwadratowej przestrzeni. Nie zwłócząc przeto, ruszył z dwoma szwa-

nie wojennym. Oddziały te pochodziły z Królestwa i przeszły Niemen koło Butermańców, Jezdna i Puń. Podobnież koło 12 lutego uwijał się jakiś oddziałek w okolicach Świenician i Podbrodzia, co nawet spowodowało, jakieśmy wyżej powiedzieli, ogłoszenie stanu wojennego w powiecie Świeniańskim. Oddziałek ten także pochodził z Królestwa, sama zaś Litwa jeszcze nie zrywała się do boju i w dręczącej niepewności nadśluchiwała odgłosów, dochodzących do niej z poza Niemna.

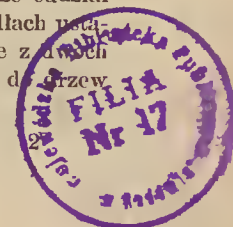
Ale w tym stanie rzeczy, we wszystkich sercach i umysłach budziło się gwałtowne poczucie potrzeby nie tyle niesienia pomocy braciom z Korony, ile zaznaczenia przed światem, że Litwa i Ruś jest Polską taką samą, jak Królestwo, i że stanowi z nią nierozłączną całość, gotową do podźwignięcia wszystkich jej nieszczęść i wszystkiej jej chwały. Stronnictwo szlacheckie i jego Komitet, którego głównymi członkami byli delegaci, wysłani w grudniu r. z. na zjazd warszawski, a więc Jakób Giejsztor, Aleksander Oskierko, ziemianin z Mińszczyzny, hr. Wiktor Starzyński, marszałek gubernialny grodzieński. do których wreszcie przyłączył się, zniechęcony sporami w Komitecie litewskim czerwonym, Franciszek Dalewski, a Du-Laurant, wobec nieczynności tegoż Komitetu nie przestał naciskać na Białych, aby, skoro Czerwoni nie nie robią, nie nie przygotowali, oni t. j. Biali wzięli inicyatywę działania — wśród tego wszystkiego, powtarzamy, Komitet obywatelski zwołał zjazd szlachty do Wilna na d. 7 lutego, t. j. na ten sam dzień, w którym rozgrywała się krwawa tragedia Siemiatycka, ażeby ostatecznie uradzono co wobec zaszłych wypadków czynić i jaką postawę względem nich przyjąć. Zebranie to odbyło się z wiedzą Nazimowa, któremu powie-

dronami ułanów, czterema działami i kompanią piechoty, a że noc była ciemna, musiał działać na oślep, a będąc pewnym, że oddział nie miał czasu wyjść z gaju, otacza go półkołem, na skrzydłach ustawia działa, a nie chcąc ryzykować, bawi się w strzelanie z dwóch stron do gaju i nad rancem dopiero spostrzegł, że strzelał do drzew bezbronnych i swoich mnóstwo nakaleczył».

DZIEJE 1863 R. T. III.

8615

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu



dziano, że szlachta pragnie się naradzić o sposobach ostatecznego urządzenia włościan, na podstawie manifestu z d. 2 lutego 1861 r. Nie było więc żadnych przeszkód w swobodnem rozstrząsaniu przedmiotów, dla których się zebrano.

Zjechano się dość licznie, nawet z najoddalniejszych okolic Litwy i Mińszczyzny, z pod Mohilewa i Witebska, przybyli prawie wszyscy komisarze włościańscy (mirowyje posredniki), i wielu marszałków szlachty, a większość była w dość mrocznem i przygnębiającem usposobieniu, wielu było w obawie przed rzezią chłopską, a wszyscy nieomal potępiali stanowczo powstanie przedwczesne, do którego, przynajmniej na Litwie, nie było żadnych przygotowań, powstanie, które Polski nie wywalczy, ale zaprzepaścić ją może, jeżeli nie na zawsze, to przynajmniej na bardzo długo. Wszakże, ogromna większość utrzymywała, że niewątpliwie powstanie jest strasznem nieszczęściem, ale mimo to odsuwać się od niego nie można i nie należy, raz dlatego, by ponownie zadokumentować przed światem, że Litwa stanowi nierozdzieloną część Polski, a potem, że skoro już porwano się do bronii, to nie czas na rozprawy, ale trzeba uderzyć „w czynów stal“, jak mówi poeta. Opinia ta uznana została za słuszną, bo choć zebrani widzieli niemożność pokonania potężnej Rosyi, jednakże czyż mógł kto przewidzieć, jak się wypadki ułożą w Europie? Wszak niedawno Włochy oswobodziły się od obcego najazdu, dla czegożby Polska przy pomocy zewnętrznej, nie miała tego dokonać i dla czegożby ta pomoc miała ją ominąć. Wszyscy oni byli Polakami. serdecznie miłującymi tę nieszczęśliwą swoją ojczyznę, a czyż był kiedy i będzie taki Polak, któryby przy nadarzonej sposobności nie przyłożył swej ręki do wygnania najazdu z ziemi polskiej? Dlatego też, ani na chwilę w niczyjej głowie nie powstała myśl, żeby Litwa mogła zachować się spokojnie wobec walki, toczącej się w Królestwie. Zebrani wiedzieli, acz niedokładnie, o sporach zaszłych w Komitecie litewskim czerwonym, o żądaniu Kalinowskiego, ażeby Litwa w niczem nie była zależną

od Warszawy i bardzo stanowczo tego rodzaju projektu potępiali. Jeden ze szlachty, zamieszkały w głębi gubernii Mińskiej, pytał się z ironią Aleksandra Oskierki: „co to tam u was plotą o jakiejś Litwie samoistnej?“ Nikt więc nie myślał o odrębności i o niezależności od organizacyi warszawskiej, owszem postanowiono skomunikować się z nią i wytworzyć władzę, zupełnie jej podległą.

Wśród zebranych najczynniejszym i najenergiczniejszym był niejaki Hieronim Kiniewicz, syn emigranta, niegdys w r. 1831 wraz z Prozorem podnoszącego sztandar powstania w Mińszczyźnie, człowiek młody i zapalony, kręcący się już od niejakiego czasu między młodzieżą uniwersytecką polską w Moskwie i Petersburgu, a teraz przybyły do Wilna z projektem wywołania powstania nad Wołgą, między Tatarami, i szukający dlatego swego projektu poparcia, a nadewszystko pieniędzy. Otóż na owem zebraniu szlacheckiem, zaproponował on, ażeby powierzyć władzę jednemu człowiekowi, utworzyć rodzaj dyktatury, która przez to samo będąc sprężystą i silną, może należycie pokierować sprawą. U tych ludzi, wychowanych w tradycyi, że brak silnej władzy zgubił Polskę, myśl ta zyskała ogólne uznanie. Zgodzono się na nią w zasadzie, szło tylko teraz o to, komu powierzyć to odpowiedzialne, trudne i wobec okoliczności, w jakich się znajdowano, niebezpieczne i szubienicą grożące stanowisko. Zdaje się, gdyż nie mamy co do tego pewnych danych, że wybór padł na Wiktora hr. Starzyńskiego, jakieśmy już wspomnieli, marszałka szlachty gubernii Grodzieńskiej, osobistość w tej dobie bardzo wybitną i czynną. posiadającą rozległe stosunki w najwyższych sferach rządowych petersburskich, uważaną za rodzaj pana Andrzeja Zamoyskiego na Litwie¹⁾. Wszakże

¹⁾ O hr. Starzyńskim w źródłach rosyjskich spotykamy najrozmaitsze i najdziwniejsze relacye, których z braku materiałów polskich, nie udało nam się sprawdzić. W artykule p. t. «Władimir Swanowiec Nazimow», pomieszczonym w «Russkiej Starinie» (r. 1885 zeszyt lutowy), znajdujemy wiadomość, że Starzyński był przyjacielem osobistym pana Andrzeja Zamoyskiego, że był człowiekiem zrę-

Starzyński czy się uląkł tego zaszczytu niebezpiecznego, czy też widział, że nie wszyscy zebrani są mu przychylni, dość, że nie przyjął ofiarowanej mu godności, tłumacząc się brakiem uzdolnień odpowiednich. Wobec tego pomysł Kiniewicza ustanowienia na Litwie dyktatury, upadł, a natomiast uchwalono utworzyć ciało zbiorowe, na wzór Rządu warszawskiego, złożone z sześciu osób. Do Komitetu tego

czynnym i rozumnym, że uczył się we Fryburgu, w kolegium OO. Jezuitów, skąd wyszedł ze świetnem wykształceniem. Wróciwszy do kraju, rozpoczął jakiś proces, dla prowadzenia którego musiał się udać do Petersburga, gdzie zawiązał liczne stosunki z arystokracją rosyjską. Pod wpływem panującego wówczas zwyczaju, że młodzież rosyjska dworzańska wstępowała do wojska, zaciągnął się i Starzyński do pulku dragonów, gdzie wkrótce dosłużył się stopnia kapitana. Karyerę wojskową zwichnęła mu miłość do kobiety, za którą puścił się do Włoch. Ponieważ w owe czasy trudno było bardzo o paszport za granicę, a wojskowym wcale ich nie dawano, więc Starzyński potajemnie opuścił pulk i za granicą ożeniwszy się z damą swego serca, wrócił do kraju. Tu zdegradowano go na prostego żołnierza i wysłano na Kaukaz do Grebieńskiego pulku piechoty. Dosłużywszy się tu powtórnie stopnia oficerskiego, obdarzony orderem św. Jerzego, ze sławą walecznego oficera, wziął w r. 1856 dymisyę i wrócił na Litwę. W pryzmie manifestacyjnym odgrywał on rolę odznaczającą się, i Nazimow miał kilkakrotnie odnosić się do Petersburga i wskazywać na Starzyńskiego, jako na zuchwalego i niebezpiecznego agitatora politycznego. Wszakże w Petersburgu sądzono inaczej; uważano tam Starzyńskiego za człowieka jedynie mogącego utrzymać stronnictwo konserwatywno-szlacheckie na Litwie po stronie rządu i przy pomocy tegoż stronnictwa położyć tamę burzliwemu ruchowi żywiołów demokratycznych. Z tem wszystkiem usiłowania Starzyńskiego w r. 1862 założenia dziennika polskiego w Wilnie i towarzystwa kredytowego ziemskiego na wzór istniejącego w Królestwie, nie powiodły się wcale, o czem wspomina także autor (jeżeli się nie mylimy, Jakób Giejsztor) rozprawki p. t. «Litwa przed r. 1863», pomieszczonej w tomie I-szym «Wydawnictwa materyałów do historii powstania 1863 r.» na str. 138. O hr. Starzyńskim pisze także wiele, ale mętnie pamfleciasta *Rater* w swych «Świdzeniach o polskom miateże w Siewiero-zapadnoj Rossii», oraz Murawiew Wieszatel w swych «Zapiskach». Nie ulega wątpliwości, że marszałek grodzieński był osobistością wybitną i wpływową, czego zresztą dowodzi projekt oddania mu dyktatury na Litwie i wybranie go na członka Komitetu szlacheckiego. W książce tej spotkamy się jeszcze parokrotnie z tem nazwiskiem.

wybrano: księcia Mikołaja Giedroycia, osobistość mało wybitną; Jakóba Giejsztora, zamożnego ziemianina ze Żmudzi, człowieka wykształconego, namiętnego zbieracza starych książek i druków, gorącego patryotę z odcieniem lekko czerwonym; Antoniego Jeleńskiego, bogatego szlachcica z Mińszczyzny, który niegdyś w r. 1846 należał do ówczesnych spisków, a w ostatnich wypadkach i manifestacjach 1861 i 1862 roku, czynny brał udział; marszałka szlachty mińskiej Łappę; Aleksandra Oskierkę, także ziemianina z Mińszczyzny, człowieka nie bez nauki, zapalonego patryotę polskiego, który wraz z Jeleńskim we wszystkie dotychczasowe ruchy był w płątany, a jednocześnie był prawą ręką hr. Starzyńskiego, którego również wybrano do Komitetu¹⁾. Nowemu temu ciału, na wskrós szlacheckiemu, niepozbawionemu jednak w przeważnej większości odcieni czerwono-powstańczego, zjazd wileński z całym zaufaniem i jedynie wśród Litwinów spotykaną karnością, powierzył losy prowincyi i polecając porozumienie się z Warszawą, pod czem jednak pojmowano nie Rząd narodowy, ale Dyrekcyę białą, kazano działać stosownie do okoliczności.

Pierwszą czynnością nowego Komitetu, było spełnienie polecenia swych wyborców i skomunikowanie się z Dyrekcyą białą w Warszawie. Misyi tej podjął się pan Antoni Jeleński i przywiózł wiadomość, że Dyrekcyja rzeczona potępia powstanie, co było, jak wiemy, prawdą, że szlachta jest mu przeciwną i na licznych zjazdach prowincjonalnych wyraźnie oświadcza się przeciw nierozumnej insurrekcyi, że nakoniec Dyrekcyja wydała odezwę, w której zaleca powstrzymanie się od udziału w ruchu zbrojnym. Jednakże z uwagi, że niespodziewane wmieszanie się Prus w sprawę polską, konwencya z d. 18 lutego i zaniepokoi-

¹⁾ Według niektórych relacyi, do Komitetu tego wybrany także został Franciszek Dalewski, który, jak wiemy, opuścił był pierwotny Komitet litewski czerwony i przechylając się ku Białym, miał być powołany na członka nowego ciała powstańczego. Wiadomości tej jednak inne źródła nie potwierdzają.

jenie powszechne, jakie ona wywołała w mocarstwach zachodnich, może stać się powodem bardzo poważnych zakłóceń w Europie, a przez to wpłynąć na losy Polski, więc Biali warszawscy byli zdania, żeby otwarcie nie oświadczać się przeciw powstaniu, ale czekać na rozwój wypadków.

Nie bardzo się to podobało nowemu Komitetowi, zwłaszcza, że widział on, iż Czerwoni z Kalinowskim na czele, nie porzucając swych sporów o niezależność Litwy, niemniej przeto rozpoczynają propagandę powstańczą na wielką skalę. Dla położenia więc końca owym zgubnym pretensjom Litwy do niezawisłego działania, oraz dla powstrzymania kraju od niewczesnego i niewiadomo czy potrzebnego porwania się do broni, nowy Komitet wydał niewielką broszurę p. t. „Głos Litwina, jako wyznanie swej wiary i program postępowania“, skreśloną piórem Giejsztora i Oskierki. W broszurze tej przede wszystkim przypomina historyczne koleje Litwy i Polski, ich wspólne dni chwały i dni nieszczęść, unią przypieczętowaną krwią, unią nigdy nierozzerwalną, potępiano wszelkie teorie o oddzielnym bycie państwowym Litwy i Rusi, nazwano je zdradą i zaprzaństwem, przypomniano stuletni blizko ucisk Rosyi, narysowano obraz rozwoju pomyślnego, datującego się na Litwie od lat paru, wreszcie wspomniano o powstaniu w Niemczech, nie rzucano nań klątwy, ale zalecono czekać.

Był to jednak głos wołającego na puszczy. Na Litwie, jak wszędzie w dawnej Polsce, było zanadto głów zapalonych i roznamietnionych dwuletnią agitacją, nadsluchujących z gorączkową niepokojnością ponurego odgłosu walk z poza Niemna i Bugu, by ich jakieś tam programowe, chłodne, dość nieudolnie wypowiedziane odezwy szlacheckie, mogły uspokoić, a wezwanie do czekania wtedy, gdy od Niemna aż po Wartę krew się leje strumieniami, miało powstrzymać. Zresztą, wszelką w tym względzie działalność nowo powstałego Komitetu od razu sparaliżował warszawski Rząd Tymczasowy, wydawszy w tydzień po wybuchu powstania, w d. 29 stycznia, gorącą odezwę „do braci Litwinów“. W odezwie tej Rząd powstańczy war-

szawski, donosząc o „bohaterskiem wystąpieniu popisowej młodzieży, która przełożyła śmierć na polu bitwy, nad ciężką niewolę w szeregach Moskwy“, twierdzi, że wystąpienie to „stało się hasłem do powszechnego powstania w Królestwie“, że „legiony wyszły z Warszawy, oraz ludność prowincyi, z gołemi rękami rzuciła się na wroga“, że „wsparte pomocą Bożą, wszędzie prawie odniosły zwycięstwo“, że „los Polski spoczywa na ostrzu kos dzielnych jej obrońców i bohaterów“. Wobec tego Komitet centralny, jako tymczasowy Rząd narodowy, utrzymuje, że „cała Rzeczpospolita, zagrzana przykładem Kongresówki, winna się rzucić na wroga i nie patrzeć obojętnem okiem, z zimną rachubą na ustach, na zapasy swoich bohaterskich braci“, że „węzeł całego zadania jest w Litwie i powstanie Litwy decyduje o zmartwychwstaniu Polski i o śmierci wroga“. Odezwa wypowiedziawszy to zdanie, będące echem opinii Mochnackiego, że gdyby w r. 1831 ruszono na Litwę, ocalonoby Polskę, wzywa w patetycznym okrzyku Litwinów, „którzy od tylu wieków dzielą z nami dobre i złe losy“, do broni, że w ich „męstwie i poświęceniu spoczywa przyszłość kraju“, że obojętność sprowadzi na ich głowy przekleństwo potomności, „jako na matkobójców“. W dalszym ciągu Komitet warszawski zaznaczywszy, że „wielkie dzieło oswobodzenia ojczyzny rozpoczął od uwłaszczenia włościan“, że „chłopska krew niejednokrotnie zapewniła nam zwycięstwo“ (co jak wiemy było pobożnem kłamstwem), kończy wezwaniem Litwy i Żmudzi do powstania, „którego pierwszym aktem ma być natychmiastowe uwłaszczenie włościan“¹⁾.

Jeżeli odezwa ta przykre, a nawet przygnębiające wywarła wrażenie na nowy Komitet szlachecki w Wilnie, który wiedział, że na Litwie niema prawie żadnych przygotowań do powstania i przeczuwając niejako tego rodzaju wezwanie, słał nawet delegatów do Rządu warszawskiego

¹⁾ Odezwę tę czytać można w całości w No 13 „Ruchu“ z r. 1863.

z żądaniem zwłoki¹⁾; jeżeli na szlachtę litewską i białoruską domaganie się natychmiastowego uwłaszczenia chłopów, dość nieprzyjemnie oddziaływało, bo zdawało się świadczyć, że w Rządzie narodowym zasiadają ludzie, którzy chcą skorzystać z powstania, by pod pozorem walki o niezależność, dokonać przewrotu społecznego — to dla wszystkich umysłów zapalniejszych, dla młodzieży, dla żywiołów powstańczych, od lat dwu nasycanych nadziejami rychłej pomsty na najeźdźcach, odezwa rzeczona była podobna do iskry, rzuconej do beczki z prochem. To też wbrew zamiarom Komitetu szlacheckiego, wbrew osłupieniu Komitetu czerwonego, który szarpał się w bezsilnej złości, że nie nie przygotował do powstania, który szukał usprawiedliwienia przed wyrzutami własnego sumienia w tem, że nie spodziewał się tak rychłego wybuchu, samorzutnie, bez odwoływań się do władz wileńskich, bez ich rozkazu i pomocy, poczęły się tworzyć oddziały najprzód na Żmudzi, potem w Wileńskim, wreszcie w Białostockiem.

Pierwszym, który podniósł sztandar powstania na Żmudzi, był ksiądz Antoni Mackiewicz. Osobistość ta nabrała tak wielkiego rozgłosu, ześrodkowała w sobie wszystkie nieomal dążności, siły i pragnienia powstania litewskiego, zarysowała się tak wybitnie w dziejach tego powstania, że nie będzie od rzeczy, gdy bliżej się jej przypatrzemy. Był to Żmudzina z rodu i miał wszystkie przymioty tego starego, w dalekim zakątku Europy, osiadłego plemienia; był jak ono wytrwały, nieugięty, fanatycznie nabożny i obdarzony dużymi zdolnościami. Urodzony koło r. 1826, był w pełni wieku męskiego, gdy przyszło mu na posępne tle puszczy żmudzkiej odegrać rozgłośną rolę historyczną. Syn ubogiego szlachejcy, posiadającego kawałek ziemi w pobliżu miasteczka Cytowian, od wczesnej młodości okazywał niepospolity hart ducha i silną wolę. Mając lat dwanaście, pędzony żądzą nauki, udał się pieszo ze skromnym zasiłkiem do Wilna, dostał się tam do gimnazjum i niby żak średniowieczny mieszkał i żywił się

¹⁾ A. Giller, *Historja powstania I*, 177.

po klasztorach. Ukończywszy szkoły, ruszył, zawsze pieszo, do Kijowa i zapisał się na uniwersytet. Tutaj w umyśle jego zaszedł przewrót poważny. Gorący od wczesnej młodości patriota, począł nie bez wpływu rozpowszechnianych w tej porze teorii Centralizacji wersalskiej, żywić to zwodnicze, niestety! przekonanie, że Polskę niepodległą może wywalczyć nie szlachta, nie mieszczaństwo, ale tylko chłop polski. Lecz jak trafić do chłopów, jaką drogą dostać się do tej duszy ponurej, zapartej przed każdym ciarą na siedm zamków nieufności i podejrzeń? Mackiewiczowi zdawało się, że taką drogę znalazł. Urodzony i wychowany na Żmudzi, widział, jak tam przeważny wpływ na lud, zastygły w swych przekonaniach wiekowych, zabobonny i na pół pogański, wywierają księża; jak dla każdego Żmudzina, słowo powiedziane przez księdza, jest świętem słowem. Nie znając kraju, sądził, że wszędzie jest tak samo, że zatem chcąc ten lud przygotować do przyszłego podźwignięcia Polski, należy zostać księdzem¹⁾. Rzucił więc nauki i uniwersytet i wstąpił do seminarium w Worniach. Otrzymawszy święcenia, osiadł jako wikaryusz w miasteczku Krakowie, a następnie w Podbrzeziu na Żmudzi, gdzie go zastało powstanie. Tutaj przez cały czas swego dwunastoletniego pobytu, z gorliwością niezmordowaną i wytrwałością wyjątkową, pracował nad przygotowaniem ludu do wcześniejszego czy późniejszego powstania. „Zawsze i wszędzie, opowiada on w swych zeznaniach piśmiennych, działałem sam, nie uciekając się do niczyjej pomocy. Oprócz niedzieli i piątku, byłem ciągle w drodze. Jeżeli spotkałem chłopów, lub kogoś należącego do klasy poddańczej, przede wszystkim pytałem go jak żyje i jak mu się powodzi. W rozmowie usiłowałem wpoić w niego przekonanie, że

¹⁾ Sam on to przyznaje w zeznaniach przed komisją śledczą w Kownie (cytowanych w dosłownych ustępach w ohydnej broszurze A. Storożenki: «Ksiądz Mackiewicz, przedводитель szajki miateżników». Wilno 1866, na str. 19). «Chciejcie mi wierzyć (pisał Mackiewicz), że godność księdza przyjałem w celu zdobycia sobie dostępu do mojego ludu i zyskania jego ufności».

przyczyną jego nędzy i ucisku jest rząd rosyjski, i że nadejdzie chwila, kiedy cały naród powstanie i wolność sobie zdobędzie“.

Dzięki reputacji, jaką Mackiewicz sobie wśród ludu zyskał, słowa jego znajdowały wiarę i rozchodziły się, jak sam powiada, „z szybkością elektryczności“. „Starałem się, mówi dalej, być obecnym na każdym zebraniu ludowem, na chrzcinach, weselach, pogrzebach; były to dla mnie chwile propagandy. A ponieważ opierałem się na podstawach sprawiedliwości, więc lud mi wierzył, tem więcej, że policja i administracja rządowa dopuszczała się ucisku i nadużyć i obie te władze były moimi współpracownikami w propagandzie. Prócz tego szlachta dopomagała mi wiele przez swe nieludzkie obchodzenie się z chłopami. To też gdy mówiał, że panowie i szlachta są dla nich biczem, że Bóg da, przyjdzie czas, kiedy bicz ten połamiemy, to lud podnosił ręce do nieba i obiecywał mi swoją pomoc. Posiadając doskonale język żmudzki i będąc wymownym, przy każdej sposobności miewałem kazania i wtedy nikogo nie oszczędzałem, ani księży, ani panów, ani szlachty, urzędników, a nawet chłopów; każdemu mówiłem nagą prawdę, wzywałem do skruchy i jako nagrodę przepowiadałem wolność mej ojczyzny. Znoszenie klasztorów i wypędzanie zakonników, dało mi pretekst do oskarżania rządu, a zakaz tworzenia towarzystw trzeźwości i różne z tego powodu prześladowania, były dowodem przekonywającym, że rząd nie dbał o mój lud, pragnął, by on był niemoralnym i żeby poszedł na zatracenie. Oto moi współnicy i współpracownicy powstania: ucisk ludu przez administrację, policję i szlachtę“. „Panowie, powiada w innem miejscu, nie lubili mnie z powodu otwartego mówienia im prawdy w oczy, którą wypowiadałem głośno, żeby służba słyszała i wiedziała, że panów nie oszczędzam i żeby słowa moje powtarzała chłopom. Wszystko to zyskało mi w kraju popularność i ciążę poczęli ku mnie tak nazwani patryoci“.

Był to więc demagog, na wzorach Centralizacji emigracyjnej urobiony, wyrosły na gruncie nauk Heltmana,

Alcyaty i Mierosławskiego, ale demagog szczery i używający tych swoich teorii z rozmysłem, dla owdładnięcia ciężką naturą chłopską i poprowadzenia jej na pole walki o niepodległość ojczystą. Nie posiadając gruntownego wykształcenia, miał jednak ten, uważany za prosty a jednak rzadki, rozum, który umie dla osiągnięcia swego celu wynajdywać najodpowiedniejsze środki. Pozbawiony wszelkich wiadomości wojskowych¹⁾, okazał się w wielu razach zdolniejszym i bardziej utalentowanym od tych, którzy uczyli się i praktykowali sztukę wojenną. Jednem słowem, była to osobistość niezwykła, to też niezwykłą odegrała rolę i na długo w pamięci ludu żmudzkiego się utrzymała.

Ks. Mackiewicz na wieść o wybuchu powstania w Królestwie, która zapewne w tak zapadły kąt jak Podbrzezie, dość późno przyszła, nie czekając na niczyje rozkazy, nie dbając o to, co powie Komitet wileński, o którego istnieniu, jak się zdaje, nie wiedział, nie czekając na doniesienia, czy Litwa zamierza w rozpoczynającej się walce wziąć udział, nie dbając wogóle o nic, mając jedynie przed okiem cel, do którego od lat kilkunastu systematycznie i wytrwale dążył, postanowił chwycić za broń. Pewnej niedzieli, w drugiej połowie lutego, po nabożeństwie i namiętne kazaniu, podczas którego odczytał zebrany dekret Rządu Tymczasowego o uwłaszczeniu, zebrał 250 ludzi, przeważnie chłopów, i z niewielkim zapasem pieniędzy, które na ten cel oddawna zgromadzał, ruszył do znacznej jeszcze podówczas puszczy Krakinowskiej, leżącej w samym nieomal środku Żmudzi, i tym sposobem dał początek powstaniu litewskiemu.

W województwie wileńskiem, w okolicach Lidy, gęsto zaludnionej przez t. z. szlachtę chodaczkową, porwał się do broni koło 20 marca, Ludwik Narbut, syn głośnego

¹⁾ W cytowanych zeznaniach powiada: „gdy nadszedł czas powstania, wczwalem z Kiejdan Kołyszkę, pod pseudonimem Rutkowskiego, jako instruktora i on w kilka dni nauczył 40 parobków, a w tej liczbie i mnie, koniecznych ewolucji wojskowych“ (str. 20).

dziejopisa Litwy, Teodora, wmieszany w młodości w spiski, zesłany na Kaukaz, skąd w r. 1860 powrócił do kraju w stopniu oficera i z orderem Włodzimierza ze wstęgą, ożenił się i osiadł we wsi Sierbieniskach. Wyćwiczony wojskowo w ciężkich bojach z góralami na Kaukazie, miał dużą rutynę i znajomość praktyczną wojny, ale pozbawiony był wyższych talentów wojskowych, tego ognia świętego, z którym się trzeba urodzić, a który posiadał ks. Mackiewicz. Narbut, siedząc na wsi, oddając się z zapalem myśliwstwu, znał wszystkie nieomal knieje i mateczniki lasów wileńskich, co mu się później bardzo przydało. W chwili wybuchu powstania liczył lat trzydzieści trzy, był więc jeszcze młodym człowiekiem, dobrze zbudowanym, o twarzy pięknej, czole wysokim i regularnych rysach. Jak pierwsi powstańcy litewscy, tak i Narbut nie czekał na rozkazy z Wilna, ale zapewne przeczytawszy odezwę Rządu Tymczasowego, nie bez tego, by oddawna przez spiskowych w Petersburgu i w kołach Polaków, służących w wojsku rosyjskiem nie był wskazany na przyszłego dowódcę powstania, zebrał piętnastu ludzi, między którymi znajdował się jego brat młodszy, i założył obozowisko w t. z. puszczy Rudnickiej, wielkich lasach, ciągnących się między Lidą i Mereczem. Niebawem oddział Narbuta począł wzrastać liczebnie przez napływ drobnej szlachty Lidzkiej i Oszmiańskiej, a wielką i rzadką w tem powstaniu zasługą Narbuta było to, że oddział swój umiał wyćwiczyć szybko, nauczyć karności i ślepego posłuszeństwa, a co najważniejsza w podwładnych wzbudzić ku sobie miłość i ufność.

W ogólności Narbut jest jedną z najszlachetniejszych postaci ostatniego powstania. Wyćwiczony w małej wojnie na Kaukazie, zręcznie się wywijał, bił się parokrotnie, jak pod Rudnikami, Podubieczami, gdzie miał podobno pokonać nieprzyjaciół. Wszystko to ściagało do niego młódzież z Wilna i okolic, a między nią znalazł się głośny późniejszy rysownik Andriolli. Nazimow zaniepokojony wzrastającym rozgłosem Narbuta, rozkazał koniecznie go znieść. W tym celu, w pierwszych dniach kwietnia, wyruszył

z Grodna pułkownik Timofiejew z dwoma kompaniami pułku Pawłowskiego gwardyi i 50 kozakami, i po długich poszukiwaniach dopadł oddział Narbuta dnia 11 kwietnia w lecie pod Dubieczami. Powstańcy źle uzbrojeni w strzelby myśliwskie, karny i zręczny stawiali opór, cofając się eszelonami powoli. Narbut idąc z tyłu, parokrotnie ranny, wreszcie przeszyty kulą, padł na pobojuwisku i żegnając się z towarzyszami mówił, że miło jest za ojczyznę umierać. Zwłoki jego znaleziono później i przywieziono do Dubicz, zwracały uwagę nieprzyjaciela piękną postawą i dumnym uśmiechem zastygłym na obliczu ¹⁾.

¹⁾ Data starcia pod Dubieczami najrozmaiciej jest podawana, a nawet w czasopiśmie «Ojczyzna» z r. 1865 (cytowanem u *Gillera*, *Historia II*, 305) oznaczona na d. 13 maja. Raport Timofiejewa, wydrukowany w pismach współczesnych rosyjskich, mówi o 30 marca (11 kwietnia), i za tem podaniem poszliśmy. Niemniej szczegóły tego starcia różnią się między sobą. Pan B. Z. we wspomnianem czasopiśmie opowiada, że Narbut stojąc nad rzeką Kotrą w pobliżu Dubicz, uwiadomiony o nadciągnięciu wielkich (??) sił rosyjskich, zręcznym obrotem zmienił stanowisko, pozostawia rozpalone ogniska, a sam na «jazach» przebywa rzekę i tam się obozem rozkłada. Uważał się już za bezpiecznego, ale szpieg Timofiejewowi o wszystkim doniósł i sam dowódca rosyjski przebrany za rybaka, podpłynął pod obóz i wszystko zbadał. Urządził zasadzkę i z przeciwnej strony zaatakował powstańców i otoczył ich zupełnie. Narbut ranny w nogę, niesiony przez sześciu towarzyszy, ugodzony kulą w pierś, ginie. Obok niego poległo jedenastu najwaleczniejszych, reszta poszła w rosypkę. *Z. Kolumna* «Pamiętka dla rodzin polskich», Dodatek 43, powtarza to samo. Raporty rosyjskie są jak zwykle niejasne i mętne. Książ *Imeretyński* w swych «Wspomnieniach o grafie N. M. Murawiewie» («Istorioczeskiej Wiestnik» z 1892 r.) podaje o potyczce tej szczegóły następujące: Timofiejew przyszedłszy do Dubicz, nie znalazł tam śladów powstańców, a badania micszańców nie doprowadziły do niczego; poszedł więc dalej o wiorst 20, przenocował w jakiejś wsi i powrócił do Dubicz. Okazało się, że Narbut zręcznie przeciwnika wywiódł w pole. W rzeczy samej obozował w Dubieczach, ale na wicść o marszu Timofiejewa, cofnął się o 10 wiorst, a gdy nieprzyjaciół odszedł, zrobił kontramarsz i wrócił do lasu pod Dubieczami i stąd bacznie śledził ruchy Rosyan. Sądził, że to jest awangarda, a tymczasem Timofiejew z całą siłą był już w miasteczku z powrotem. Powstańcy nie podejrzewając tego, ćwiczyli się w strzelaniu, tak że słychać było

Ten samorzutny ruch powstańczy na całym obszarze Litwy, ile że tu i owdzie poczęły się pojawiać inne drobniejsze oddziały, o efemerycznej zresztą egzystencji, przekonał nowowybrany Komitet szlachecki, że czekać nie ma na co, że trzeba zabrać się energicznie do rzeczy i powstaniem pokierować jak należy. Rozpoczynając się wła-

w Dubiczach strzały, ale proboszcz miejscowy i właściciel zapewnili Timofiejewa, że to staroobradcy połują. Wieść o polowaniu zachęciła oficerów kompanii strzeleckiej do wzięcia w niem udziału. Dwóch z nich wzięło strzelby, przebrało się po cywilnemu, przeprawilo się czołnem przez rzeczkę, ale zaledwie wyszli na brzeg, ujrżeli powstańców. Jeńcy potem zeznali, że Narbut był powiadomiony o ukazaniu się jakichś dwóch ichmościów ze strzelbami, długo patrzył na nich przez lornetkę, wreszcie machnął ręką i rzekł: «Kacapy myśliwi, nie więcej. Już idą na kaczki», i poszedł na drugi brzeg lasu. Tymczasem dwaj oficerowie wrócili do miasta i donieśli Timofiejewowi o swem odkryciu. Ten zebrał swą kolumnę i zaatakował niespodziewanie powstańców. Ci mieli się bić walecznie i uparcie, cofali się eszelonami w dwie linie, ale mieli broń myśliwską i przytem bardzo się bali kompanii strzeleckiej, którą nazywali «czarne pasy». Jedną z pierwszych ofiar był sam Narbut, który cofał się ostatni. Konia już dawno nie miał, szedł pieszo z jednym towarzyszem broni i uczniem gimnazjum, który niósł samowar i mantelzak dowódcy. Cofano się w porządku, gdy nagle Narbut zachwiał się, upadł na kolana i usiadł na ziemi. Rzucono się do niego, ale on machnął ręką i rzekł: «to nie, to nie». Był raniony śmiertelnie. Wzięto go pod ręce i chciano uprowadzić, ale Narbut rozpiął czamarkę, oddał papiery i pieniądze jednemu z prowadzących go, poczem padł i skonał. Oddział na wieść o śmierci dowódcy, rozpierzchl się, wielu wykłuto. «Widziałem tylko początek pogromu, opowiada Timofiejew, tak byłem zmęczony, że nie pamiętam, kiedy się dostał do kwatery, rzuciłem się na łóżko i zasnąłem jak zabity. Spałem do południa dnia następnego. Gdy się obudziłem, już dawno czekał na mnie sprawnik i powitał słowami: «przyniosłem panu gościńca». Wyszedłem do sieni; na ławce leżał trup Narbuta. Ubrany był skromnie, w czamarkę szaraczkową bez żadnych odznak i długie buty. Twarz była piękna, wysokie czoło, regularne rysy, na których zastygł dumny uśmiech».

O innych drukowanych podaniach, jak np. zawartych w dziełku p. t. «Narbut. Podanie o litewskim powstaniu», przez A. K. J. (Lwów 1870), skróconem w formie powieści, nie wspominamy tutaj, jako o rzeczach pozbawionych powagi historycznej.

śnie w marcu akcja mocarstw zachodnich w sprawie polskiej, niepokój, jaki wywołała konwencja pruska, zapowiadający przybranie groźniejszych rozmiarów, tem bardziej zachęcał szlachtę do poparcia, samowolnie przez Mackiewiczą, Narbuta i innych, wywołanego powstania. Ale chcąc to zrobić, należało przedewszystkiem umocnić swoje własne stanowisko, które wprawdzie, jako pochodzące z wyborów, miało pod sobą jak najlegalniejszy, najbardziej prawy grunt, ale wobec spiskowców warszawskich, coraz śmielej odgrywających rolę jedyne go dyktatorską władzę rządu, nie mające znaczenia. Rząd narodowy tymczasowy w Warszawie, wiedział o istnieniu w Wilnie Komitetu litewskiego czerwonego, ale nie wiedział wcale, a jeżeli wiedział, to go nie uznawał, o jakimś tam nowym, szlacheckim Komitecie. Trzeba więc było raz ten stosunek uregulować, Komitet czerwony z Kalinowskim na czele usunąć, i stanąć jako wyłączna i jedyna władza nad całą Litwą i Białorusią. Tem było to pożądanem w tej chwili, że ponury dotąd horyzont nad Polską, poczęł się wyjaśniać, wszystkie przewidywania ludzkie zdawały się wróżyć wielką burzę europejską, z której nieszczęśliwy kraj mógł wypłynąć niepodległym; należało więc wobec Zachodu okazać jednolitość i spójność wszystkich części dawnej Rzeczypospolitej. Prócz tego Komitet szlachecki wiedział, a wiedzieć mógł łatwo, bo w ciągłych pozostawał stosunkach z Dyрекcyą białą w Królestwie, że taż Dyрекcyja poddała się Rządowi narodowemu i oddzielną swą organizację rozwiązała. W takim położeniu nie było żadnej racyi, by Komitet szlachecki wileński miał inaczej postąpić.

Skomunikowano się więc z Rządem Tymczasowym w Warszawie, uznano jego zwierzchność nad sobą i otrzymano urzędową nazwę „Wydziału zarządzającego prowincjami Litwy“. Rząd warszawski zresztą nie mieszał się do wewnętrznych spraw nowego swego Wydziału, nie protestował przeciw składowi jego osobistemu, dał mu szerokie atrybucye, zastrzegł sobie tylko ogólny nadzór nad jego czynnościami. Znany nam już Wacław Przybylski, który

na wieść o powstaniu upuścił Wołogdę, podawszy się ze swego nauczycielstwa do uwolnienia, i na Petersburg udał się do Warszawy, otrzymał tam stanowisko sekretarza Rządu do spraw Litwy. On miał być pośrednikiem między Rządem i Wydziałem i w sprawach litewskich używał wielkiej powagi i znaczenia.

Wydział utrwaliwszy w ten sposób swą pozycję, postanowił raz skończyć z Komitetem litewskim czerwonym, którego członek Władysław Małachowski był naczelnikiem miasta Wilna, i na tym urzędzie, posiadając rzeczywistą władzę i uorganizowaną, podwładną sobie policję, mógł bruździć i przeszkadzać. W dniu 10 czy 11 marca, w chwili gdy w Goszczy Langiewicz ogłaszał swoją dyktaturę, Wydział wezwał czerwieńców litewskich i oznajmił im, że Komitet ich jest rozwiązany i istnieć przestaje¹⁾. Oczywiście nie obeszło się bez gniewnych protestów, bez oświadczeń, że oni tego rodzaju postanowień Rządu warszawskiego nie uznają, że Warszawa niema żadnego prawa decydować o sprawach litewskich, że nie myślą się wcale usuwać i t. p. Zwłaszcza Kalinowski gorąco i namiętnie występował, ale odpowiedziano mu w sposób kategoryczny, żeby on i jego towarzysze nie ważyli się opierać tej decyzji, gdyż Wydział nie myśli wprawdzie skazywać ich na śmierć, na co ze wszech miar zasługują, ale ucieknie się do lepszego środka, ogłosi ich nazwiska w gazetach zagranicznych jako zdrajców kraju, a już sami Moskale potrafią się wtedy z nimi załatwić należycie. Groźba ta poskutkowała, ustąpiono w cichości, tając gniew w sercu, i choć Kalinowski wysłał protest piśmienny do Rządu Tymczasowego do Warszawy, zdaje się, że mu nie odpowiedziano nawet i Komitet litewski istnieć przestał.

¹⁾ A. Giller, *Historja II*, 360, utrzymuje, że Komitet litewski został rozwiązany dekretem Rządu Tymczasowego. Dekretu takiego nie zdarzyło nam się spotkać. W ówczesnym dzienniku powstańczym p. t. «Ruch», będącym organem rządowym, w którym wszystkie rozporządzenia Rządu były publikowane, dekretu takiego nie znajdujemy. Podanie więc Gillera uważać należy za błędne.

Wydział załatwiwszy się w ten sposób ze swymi współzawodnikami, zajął się czynnie urządzeniem organizacji powstańczej. Na wzór Królestwa ustanowiono, o ile się tylko dało, wszędzie wojewódzkich naczelników powiatów i gmin, ale organizacja ta szła dość tępo i najlepiej przyjęła się na Żmudzi i w Mińszczyźnie. W innych województwach aż do upadku powstania było wiele stanowisk niezajętych. Uorganizowano się także w samym Wydziale, rozdzielając pomiędzy siebie różne czynności. Giejsztor wziął na siebie sprawy wewnętrzne, uzbrojenie oddziałów i ogólny nad nimi nadzór; hr. Starzyński sprawy zagraniczne i kierunek spraw politycznych, ale właściwie tylko imiennie, gdyż nie mieszkał w Wilnie i w ogólności mało się zajmował interesami powstania. Rozpoczął on teraz inną akcję, na własną rękę prowadzoną, o której powiemy we właściwem miejscu i wskutek tego, powtarzamy, w działalności zarządu litewskiego nie brał prawie żadnego udziału.

Inni członkowie tego zarządu zato gorliwie się zajęli swymi obowiązkami. Jeleński wziął pod swe zawiadywanie skarbowość, czyli zbieranie i szafowanie funduszami, które wobec znacznej w tej porze zamożności szlachty litewsko-ruskiej, obiecywały być bardzo poważne. Oskierko wreszcie został naczelnikiem miasta po Małachowskim, którego zrobił swoim pomocnikiem, a prócz tego zajął się stosunkami z wydziałem petersburskim.

Stosunki te dla powstania litewskiego miały znaczenie pierwszorzędne. W Petersburgu mieszkało wielu Polaków, zajmujących wysokie stanowiska urzędowe, wielu posiadających znaczne fortuny, wielu służyło tam w wojsku i należało do kółka oficerskiego, stworzonego przed kilku laty przez Sierakowskiego i Dąbrowskiego, wreszcie znaczna ilość młodzieży polskiej uczęszczała tam do wyższych zakładów naukowych. Jeżeli pierwsi z nich, różni dygnitarze, mogli uprzedzać Wydział litewski o rozporządzeniach rządowych, zapobiegać im, lub je swymi wpływami paraliżować, jeżeli drudzy mogli zasilać powstanie pieniędzmi, to młodzież i oficerowie wysłani na Litwę, swą osobą, nauką

i znajomością sztuki wojkowej, bezpośrednią powinni byli nieść pomoc ruchowi zbrojnemu. Wszystkie te względy kazały zwrócić baczną uwagę na Petersburg, jako na miejsce, z którego można było czerpać wszelkiego rodzaju zasoby. Już Wacław Przybylski udając się z Wołody przez Petersburg do Warszawy zaraz po wybuchu powstania, porozumiał się z Polakami, należącymi do wzmiankowanych kół rewolucyjnych w stolicy caratu, a zwłaszcza z najwybitniejszą tam osobistością, Józafatem Ohryzką, i doniósłszy o tem do Warszawy, uzyskał decyzję Rządu Tymczasowego, stanowiącą w Petersburgu „Oddział zagraniczny (Rządu narodowego) petersburski“. Głównym agentem Rządu i naczelnikiem rzeczowego Oddziału został mianowany wspomniany Ohryzko i niebawem Stefan Bobrowski w połowie lutego przysłał mu na to stanowisko nominację i instrukcję, która polegała na tem głównie, żeby zajmował się zbieraniem funduszków i wysyłką oficerów; żeby starał się o porozumienie z partją rewolucyjną rosyjską „Ziemli i woli“; ułatwiał sprowadzanie morzem broni i zapasów wojennych, żeby jednym słowem czynił to wszystko, co może być pomocnem powstaniu, zwłaszcza na Litwie i Białorusi. Oddział petersburski oprócz Ohryzki, jako głównego agenta Rządu, składał się z Emanuela Gundziłła, podporucznika inżynierii wojkowej, Władysława Kossowskiego, porucznika artylerii konnej gwardyackiej, i Tadeusza Opockiego, urzędnika w jakiejś dykasteryi rządowej¹⁾.

¹⁾ Ohryzko w zeznaniach swych przed komisją śledczą w Wilnie, cytowanych w paszkwilu *N. W. Gogola* (Jozafat Ohryzko i petersburskiej rewolucyjny rzond w dziele pośledniago miateza), powiada: „nazajutrz po otrzymaniu nominacji, przyszli do mnie Jundziłł, Opocki i Kossowski. Przybylski oświadczył im przy mnie, że Komitet centralny (?) mianował mnie swym agentem w Petersburgu i okazał im wspomnianą powyżej nominację; że powinni oni dalej prowadzić roboty swoje tak jak poprzednio i w razie potrzeby zwracać się do mnie po radę, i że przezemnie będą otrzymywali rozkazy od Komitetu centralnego, dla ich wykonania. Następnie oznaczono dzień, w którym mamy się spotkać i ostatecznie umówić, poczem oddalili się, a nazajutrz Przybylski pojechał do Warszawy“.

Sam Ohryzko był w kolonii polskiej, w Petersburgu osobistością bardzo wybitną i bardzo znaną, a jako wysoki urzędnik (był wicedyrektorem jednego z wydziałów w ministerjum skarbu i pobierał 3000 rubli, t. j. 20.000 złp. pensyi), miał rozległe stosunki i nietylko między Polakami, ale i Rosyanami. Niegdyś był wydawcą i redaktorem czasopisma „Słowo“, którego efemeryczna egzystencja, zakończona katastrofą zamknięcia redaktora w twierdzy Petropawłowskiej, wyrobiła mu jednak dominujące stanowisko wśród kolonii polskiej¹⁾. Białorusin z rodu, syn ubogich rodziców, ciężko o własnych siłach przebijający się przez życie, w tej chwili, gdy obejmował trudne i niebezpieczne obowiązki agenta powstańczego w samej stolicy nieprzyjacielskiej, liczył lat 39 i swym rozumem, postawą spokojną i poważną, wywierał duży wpływ na otaczających. Gdy mówił, gdy jakiś przedmiot rozgrzewał jego w ogólności chłodną i skoncentrowaną w sobie fizyognomię, twarz dość nieładna, okolona gęstą, nieco rudawą brodą, jego oczy małe, szare, głęboko osadzone, ożywiały się, gorzały ogniem zapалу i czyniły go nieomal pięknym. Był gorącym patriotą polskim, z głębokiem poczuciem solidarności polskiej, która wyrobiła się wśród Polaków tylko w Rosyi, w tem środowisku najbardziej znienawidzonego wroga polskiego. Jako wicedyrektor ministerjum, miał pod swym zarządem całą administrację dochodów z t. z. akcyzy od wódki i wogóle trunków gorących, i posady w tej dykasteryi przeważnie obsadzał Polakami. Cieszył on się dużą przyjaźnią ludzką tak między Polakami jak i Rosyanami, ale przez dziwny zbieg okoliczności, miał zaciętego wroga w Michale Murawiewie „Wieszatelu“, co z czasem miało strasznymi skutkami odbić się na losie Ohryzki.

Zarządzał on bowiem w początkach swej kariery petersburskiej bogatą fortuną, pozostałą po radcy tajnym

¹⁾ Szczegóły o założeniu i zamknięciu „Słowa“ znajdują się w I tomie „Historii dwóch lat“ — dokąd odsyłamy ciekawego czytelnika.

N. Demidowie, i miał wielki wpływ na wdowę po tymże Demidowie, z drugiego męża Karamzinową. Otóż zdarzyło się, że o opiekę nad jej synem z pierwszego małżeństwa, młodym Demidowem, starał się syn Wieszatela, Mikołaj Murawiew, późniejszy, za rządów krwawych ojca, gubernator kowieński. Wiedząc o znaczeniu Ohryzki i o jego wpływie na matkę młodego bogacza, Murawiew przybył osobiście do przyszłego agenta powstańczego z prośbą o poparcie. Ohryzko znał go ze słyszenia i jako sumienny administrator cudzego mienia, stanowczo prośbie tej odmówił; Mikołaj Murawiew bowiem słynął w kołach hulaszczycy petersburskich jako utracyusz, pijak, karciarz i kobieciarz. Niepodobna było przecież oddawać takiemu człowiekowi opieki nad spadkobiercą wielkiej fortuny. Murawiewowie nie dali jednak za wygraną i chcąc otrzymać upragnioną i dochodną opiekę, użyli do tego pomocy ówczesnego gubernatora jeneralnego w Moskwie, Zakrewskiego. Wpływ wszakże Ohryzki przemógł i Murawiew odszedł z kwitkiem, ale postąpienie to Ohryzki zakarbował sobie w pamięci, zwłaszcza ojciec starającego się, Wieszatel, który z natury był mściwym i okrutnie z czasem miał się pomścić na Ohryzce¹⁾.

¹⁾ *Putkownik Struś*, Ludzie i wypadki r. 1861—65, I, 217, utrzymuje, że inny był powód nienawiści Murawiewa do Ohryzki. Twierdzi on, że Ohryzko, jako urzędnik ministerium skarbu, wykrył owe sławne nadużycie Murawiewa, gdy w r. 1858, jako dygnitarz zajmujący trzy posady, wziął na podróż ze wszystkich tych trzech stanowisk pieniądze (profony), czyli zamiast wziąć na 16 koni, wziął na 48, i stąd zwano go w Rosyi «troch progonnym generalom». Murawiew dowiedziawszy się kto wykrył haniebne to złodziejstwo, czekał na sposobność, by się pomścić i doczekał się jej w końcu.

Relacya ta może jest prawdziwą; naszą słyszeliśmy w Petersburgu z ust osób, znających tak Ohryzkę jak i Murawiewa, a pośrednio do pewnego stopnia jej potwierdzenie znajdujemy w paszkwilu *Gogola* (Josafat Ohryzko), który na str. 174 przytaczając zeznanie jakiejś bezimiennej osoby, wspomina o tej «zemście za nieporozumienia osobiste, powstałe jakoby jeszcze w Petersburgu między Ohryzką i naczelnikiem kraju północno-zachodniego, czy też jego synem».

Ten ostatni, zostawszy agentem Rządu narodowego w Petersburgu, energicznie i czynnie brał się do rzeczy, wyłącznie jednak wspomagał powstanie litewskie¹⁾. Przewszystkiem zajął się zbieraniem pieniędzy pod formą podatku narodowego, a później ogólnej pożyczki narodowej, której obligacye otrzymywał z Warszawy, przez Przybylskiego przesyłane. Ściąganiem pieniędzy z Polaków petersburskich zajmowały się także kobiety²⁾; pieniądze tych

¹⁾ *O. Aweyde* w swych zeznaniach powiada: «stosunki bezpośrednio Ohryzki z Rządem narodowym były bardzo rzadkie, na dane mu polecenia odpowiadał on zawsze za pośrednictwem Komitetu wileńskiego. Cała jego (t. j. Ohryzki) działalność wyłączenie była poświęcona powstaniu litewskiemu, zwłaszcza, że Rząd narodowy porucił Komitetowi wileńskiemu, ażeby wszelkie możliwe korzyści wyciągał ze swych stosunków z Petersburgiem, gdyż sam nie może dopomóc Litwie tymi zasobami, jakie dla innych prowincyi kraju przedstawiało sąsiedztwo z Galicyą, Poznańskiem, z emigracyą i zagranicą».

²⁾ Niejaki *J. N. Butkowskij*, późniejszy dygnitarz Murawiewowski w Kownie, opowiada w swych pamiętnikach («Iz moich wspomnień»), drukowanych w «Istoriczeskim Wiestniku» z r. 1863, Tom XIV, co następuje: «Przypominam sobie zdarzenie, kiedy pewnego razu w jesieni 1862 r. w Petersburgu do mieszkania mojego przybyła jakaś nieznana mi pani, ubrana w żałobę. Prawdopodobnie omyłona brzmieniem mego nazwiska, umieszczona na drzwiach i kończącego się na «skij», bez żadnego wstępu zapytała mnie po polsku: «ile pan zaofiarujesz dla naszych cierpiących braci?» Wziąłem ją za członka jednego z towarzystw dobroczynnych i rozumiejąc po polsku, zapytałem po rosyjsku: «na co pani zbierasz ofiary?» Dama na moje zdziwienie wystąpiła z zarzutami, że brak we mnie uczuć ludzkich, że udaję, iż nie wiem o co idzie i w końcu powiedziała, że zbiera ofiary dobrowolne na sprawę polską. Odrzekłem, że jestem Rosyaninem z wiary i przekonań, i prosiłem ją, by mi wyjaśniła, na czym polega owa sprawa. W odpowiedzi na to nazwała mnie renegatem, wyrzekła kilka tajemniczych gróźb, usiłowała dowiedzieć, że nie jestem z pochodzenia Moskałem i namawiała, bym wrócił na łono prawej ojczyzny. Wszystko to było dla mnie bardzo przykrem i uważając ową damę za pół wryatkę, dość szorstko położyłem koniec jej natrętnym żądaniom, prosząc, by się wyniosła». Dodać tu wypada, że Butkowskij rozumiał po polsku i miał krewnych Polaków, up. Marchockich, co dość ujemne światło rzuca na tego «diejatela» Murawiewowskiego.

jednak, których ilości niepodobna nam tu oznaczyć nawet w przybliżeniu, nie przelewano wcale do kas powstańczych w Warszawie, ale używano ich albo na miejscowe wydatki, z których najważniejszym było wyekwipowanie i zakupno broni dla oficerów, idących do powstania, albo odsyłano do Wilna. Że wydatek na oficerów, którymi petersburski Oddział Rządu zasilał powstanie litewskie, musiał znaczne pochłonąć fundusze, już z tego wnioskować można, że liczba tych oficerów, przez kilkomiesięczne trwanie zbrojnej partyzantki na Litwie i Białorusi, dosięgła poważnej cyfry tysiąca osób¹⁾. Niemniej i inną jeszcze pomoc przynosił Ohryzko, a raczej Oddział petersburski powstaniu. W marcu 1863 r. Rząd Tymczasowy, a raczej Aweyde, w uludnej nadziei wszetecznego konkubinatu z rewolucjonistami rosyjskimi, polecił Ohryzce, aby skomunikował się z ich mniemanym Komitetem i zapytał, czy w ogólności mogą oni w czemkolwiek dopomódz powstaniu polskiemu? Ohryzko zlecenie to wypełnił i za pośrednictwem wileńskiego wydziału przesłał odpowiedź, że członkowie owego Komitetu otwarcie oświadczyli, że w niczem Polakom dopomódz nie są w stanie, że jedynie mogą się postarać o to, by opinia rosyjska była po stronie polskiej. Ohryzko dodawał do tego, że partya rewolucyjna rosyjska jest tak słabą, że stanowczo na nią liczyć nie można²⁾.

Wkrótce potem, bo w kwietniu, tenże Aweyde zażądał od Ohryzki, żeby koniecznie postarał się o dostanie

¹⁾ «Na brak oficerów, nie można się było skarżyć, powiada Aweyde. Nie było ani jednego oddziału na Litwie, w którymby nie znajdowało się co najmniej trzech oficerów rosyjskich; pochodziło to stąd, że wielu z szlachty litewskiej służyło w wojsku rosyjskiem i że Komitet wojskowy petersburski dostarczył Wydziałowi Litwy znaczną ilość oficerów. Nasi koledzy wileńscy tak dalece nie wiedzieli co robić i dokąd przeznaczać oficerów, że np. wysłany przez nas do nich Heidenreich (Kruk), który chciał walczyć na Litwie, wrócił po jakimś czasie do Warszawy, mówiąc że nie mógł się doczekać żadnych poleceń». Świadczy to o energicznej działalności Ohryzki.

²⁾ Zeznania Aweydy.

map topograficznych Królestwa Polskiego i Litwy, składających się z paruset blisko sekcji i wykonanych przez sztab jeneralny rosyjski. Była to rzecz wielkiej wagi, najprzód ze względu, że mapy te, odznaczające się nadzwyczajną dokładnością, nie znajdowały się w handlu księgarskim, a potem, że były one nieodzownie potrzebne wobec toczącej się wojny i wobec spodziewanej w tym czasie zbrojnej interwencji francuskiej, zwłaszcza, że Aweyde, znając lekkomyślność Francuzów i ich kolosalne nieuctwo w zakresie geografii, wiedział, że sztab francuski takich map nie posiada, że zatem będą mu one potrzebne. Ohryzko przez swe stosunki z oficerami sztabu jeneralnego w Petersburgu, wy dostał niebawem żądane mapy, jak się zdaje, w dwu egzemplarzach, i przesłał do Warszawy¹⁾.

W tymże czasie na żądanie spiskowców warszawskich, domagających się od Ohryzki, aby im przysłał kilku oficerów sztabu jeneralnego i artylerji, wysłał on zaraz Gałęzowskiego, który, jak wiemy, przy Rządzie kwietniowym i później, zajął stanowisko ministra wojny i ułożył plan pospolitego ruszenia, oraz paru innych. W maju znowu, gdy wojna Rosji z Zachodem zdawała się być pewną, Rząd narodowy zażądał od Ohryzki, ażeby wy dostał koniecznie plany szczegółowe wszystkich zachodnich fortec rosyjskich. Było to polecenie bardzo trudne, bo takie plany trzymane są przez wszystkie rządy w wielkim sekrecie, i bardzo niebezpieczne, surowo karane przez wszelkie prawodawstwa. Mimo to, przy pomocy kapitana inżynierji, Józefa Kalinowskiego, brata owego zapaleńca wileńskiego, udało się Ohryzce plany takie otrzymać. Przesłane do Warszawy, znalazły się wkrótce w rękach ks. Władysława Czartoryskiego, któremu polecono, aby dokładne ich kopie zakomunikował francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych, p. Drouyn de L'huys.

¹⁾ Mapy te wysłane zostały do Paryża i tam odfotografowane. Ośm egzemplarzy takich fotografii ks. Czartoryski posłał do Warszawy. (Czytaj: «Wydawnictwo mat. do hist. powstania» V, 287).

Niepodobna nam tu wyliczać wszystkich tego rodzaju zasług dla sprawy powstania ze strony Oddziału petersburskiego i przytoczone wystarczają w zupełności dla okazania, że zasługi te i pomoc była nie mała i ważna, zwłaszcza dla Litwy, która pozbawiona sąsiedztwa Galicyi i Ks. Poznańskiego, skąd Królestwo czerpało najznaczniejsze swe zasoby, z natury rzeczy opierać się musiała na stolicy rosyjskiej. To też Wydział zarządzający prowincjami Litwy, mając taką pomoc, mógł się teraz zająć czynnie przygotowaniem do miejscowego powstania. W niewielkim stosunkowo czasie, acz z niemałą trudnością, zdołano na całej Litwie i Białorusi zaprowadzić jaką taką organizację powstańczą, której, jak wiemy, dotąd zgoła nie było. Brużdzących Czerwieńców wysłano z Wilna, poręczając im różne stanowiska w tej organizacji; i tak, najniebezpieczniejszy z pomiędzy nich Konstanty Kalinowski, został komisarzem rządowym w województwie grodzieńskim; Małachowski, jakżeśmy wspomnieli, otrzymał nominację na pomocnika Oskierki, jako naczelnika miasta Wilna; Zwierzdowskiego zrobiono komisarzem i dowódcą w Mohilew-szczyźnie; Dalewskiego, wojewódzkim żmudzkim. Tym sposobem pozbywszy się, lub ubezwładniwszy stronnictwo Czerwonych w jego najwybitniejszych przedstawicielach, stronnictwo zresztą samo przez się dość nieliczne, Wydział Litwy miał zupełnie rozwiązane ręce i mógł już teraz swobodnie rozporządzać losami swej prowincyi. Śpieszył on z urządzeniem organizacji powstańczej, i tak: w Mińsku zrobiono wojewódzkim Kornela Pelikszę, dziedzica wsi Górki, człowieka zacnego, zamożnego i wpływowego; komisarzem rządowym przy nim zamianowano Bolesława Świętorzeckiego, także ziemianina miejscowego¹⁾. W Mohilewie wojewódzkim zrobiono doktora Oskierkę (zapewne kuzyna Aleksandra Oskierki, członka Wydziału litewskiego), człowieka bardzo rozumnego i energicznego. Nominacje

¹⁾ W. Kończyc. Wspomnienia z powstania woj. mińskiego w r. 1863 (w zbiorze A. Gillera, Polska w walce II, 204).

te, i wogóle całe urządzenie organizacyi tem było pilniejsze i konieczniejsze, że ostatecznie Wydział nazначył dzień 31 kwietnia, jako termin ogólnego powstania na Litwie. Ale już na miesiąc przedtem, d. 31 marca Wydział ogłosił namietną, pełną tych entuzjastycznych frazesów, które są niejako cechą tych czasów, odezwę do „rodaków“ litewskich. Zaznaczywszy w początku, że naród polski „powstał bez broni i bronią wydartą z rąk wroga walczy od dwu miesięcy za wolność i niepodległość“, że „wojna narodowa szerzy się, rozwija, olbrzymieje, tak, że wszystkie siły najeźdźcy podłóć jej nie mogą“, że „powstanie stało się potęgą, przed którą wróg zadrżał“, co było oczywiście przesadą — wzywa „braci Litwinów i Rusinów, stanowiących z Polską jedną nierozdzielną całość, do jak najściślejzego zjednoczenia się i skupienia wszystkich sił narodowych około zatkniętej chorągwi niepodległości“, że „wobec krwawej walki narodowej, różnicy zdań niema, stronnictwa istnieć nie mogą“. Opowiedziawszy pokrótce nadużycia rządu rosyjskiego na Litwie, zwraca się do ludu, zapewnia, że szlachta dawno chciała go już uwłaszczyć, że Rząd narodowy daje mu ziemię, na której mieszka, na własność, i kończy pełnem patosu wezwaniem Litwy i Rusi do broni: „bracia! godzina walki wybiła. Litwa i Ruś wierne ślubowi jedności, powstanie jak jeden mąż do boju za wiarę i wolność, za swobodę ludu, w obronie niepodległości własnej, w obronie porządku i cywilizacyi! W kim tylko bije serce polskie, naprzód pod sztandar orla i bratniej pogoni, a po-przysięgłszy sobie miłość, jedność i braterstwo, wygnamy wroga z granic naszych“¹⁾.

Wydział oznaczając termin powstania na 31 kwietnia, przedewszystkiem starał się i dbał o to, ażeby ono koniecznie wybuchło we wszystkich kresowych ziemiach da-

¹⁾ Odezwę tę można spotkać w zbiorach z tej epoki, oraz u Gillera, Historia II, 285. Przedrukował ją „Ruch“ w Nrze 16 z rodzajem przedmowy, w której powiada, że „Wydział zarządzający prowincjami Litwy“ jest „jedyną prawą władzą dla wszystkich prowincyi Litwy, z ramienia Rządu nar. ustanowioną“.

wnej Rzeczypospolitej, a więc w Mohilewsczyźnie, w Kurlandyi i Inflantach polskich, a to dlatego, by zgodnie z żądaniem ministrów francuskich w tej porze kilkakrotnie z naciskiem ogłoszonem do polskich wysłańców: „rozszerzcie terytorium powstania, gdyż może to wpłynąć na granice, w których uznane będą prawa narodowe“¹⁾, granice te krwią oznaczyć i ażeby one się zgadzały z przedrozbiorowym obszarem dawnej Polski. I w tej ułudnej, niestety! nadziei, że tym sposobem może się da uzyskać niepodległość dla granic 1772 r., Wydział litewski postanowił wszystko zrobić, co tylko było w jego mocy, nie szczędzić ani grosza. ani krwi, wyteńczyć wszelkie usiłowania, aby wywołać powstanie w tych ziemiach, gdzie lud był ruski przeważnie albo łotyski i nie miał najmniejszego pojęcia o ojczyźnie polskiej, z którą go ani religia, ani język nie łączył, który, jeżeli zachował jaką tradycję polskości, to tradycję saturnalii pańszczyźnianych szlachty polskiej. Usiłowania próżne! złudzenie głębokie, po którym miało nastąpić straszne, ponure rozczarowanie, ale nie winimy tych ludzi, bo oni działali w dobrej wierze, z serdecznego poczucia patriotycznego, z nieprzepartej miłości dla Polski takiej, jaką historia i tradycja im przekazała!

Zgodnie z tymi zamiarami, ułożono plan powstania litewskiego, a właściwie ułożył go Zygmunt Sierakowski, który w marcu przybył do Wilna, i w którego talenta wojskowe wierzone mocno i miano o nich w Wydziale litewskim bardzo wysokie wyobrażenie. Tymczasem Sierakowski, w gruncie rzeczy, był raczej teoretykiem, dobrym oficerem sztabowym, który nie przeszedł praktyki wojennej, w sztuce wojskowej najwięcej podobno znaczącej, człowiekiem interesującym się więcej polityką jak wojną, zapalonym zwolennikiem skrajnych doktryn demokratyczno-rewolucyjnych, niepozbawionym pewnej lotności umysłowej, ale nie pojmującym wojny powstańczej i zgoła do niej niezdatnym. Był to w ogólności więcej prawnik, jak żołnierz.

¹⁾ Czytaj Tom II, 316 niniejszego dzieła.

Urodzony w domu szlacheckim (z ojca Ignacego i Fortunaty z Morawskich) na Wołyniu, w okolicach Łucka¹⁾, stracił we wczesnem dzieciństwie ojca, poległego w powstaniu 1831 roku. Ukończywszy gimnazjum w Żytomierzu, koło r. 1845, jako ośmnastoletni chłopiec zapisał się na uniwersytet petersburski, zdaje się na wydział prawny. Daleki jakiś krewny słynnego w tej dobie pisarza i zapamiętałego wstecznika Henryka hr. Rzewuskiego, zamieszkującego wtedy stale w Peterburgu, bywał u niego niekiedy i Rzewuski z właściwem swej naturze szyderstwem ukazywał od czasu do czasu Sierakowskiego gościom, by wysłuchali jego teorii skrajnie demokratycznych, jakie już wtedy wyznawał. Rzewuski umyślnie podniecał młodego zapaleńca, ażeby zebrany okazać w całej nagości specymen nowych doktryn społeczno-politycznych. Teorie te, tak rozpowszechnione wśród ówczesnej inteligentniejszej młodzieży polskiej, uczącej się po uniwersytetach rosyjskich, zgubiły Sierakowskiego. W roku 1848, według jednych zaplątany w jakiś spisek i zagrożony aresztowaniem, według innych wysłany przez kolegów do Galicji, dla zbadania bliżej stanu i zamiarów ówczesnych ruchów rewolucyjnych, a najprędzej uciekający dlatego, by wziąć udział w tych ruchach, został schwytany na samej granicy i odstawiony do Kijowa, a następnie do Petersburga, gdzie po długim badaniu, otrzymał wyrok, skazujący go do batalionów liniowych orenburskich, jako prostego żołnierza. Przepędził jakiś czas w Uralsku, parę lat przebył nad Syr-Daryą, pilnując robót koło wzniesienia twierdzy Ak-Meczetu na wschód od jeziora Aralskiego, w pustych, piaszczystych stepach, wśród natury dziewiczej i ludów na pół dzikich. Powoli dosłużył się stopnia oficerskiego i w r. 1857 amnestjowany, wstąpił do pułku Arzamskiego dragonów i stąd jako porucznik do

¹⁾ Pułkownik *Struś*, Ludzie i wypadki I, 127 powiada, że dziełem jego był głośny z czasów kościuszkowskich rzeźnik warszawski, Sierakowski. Podanie to jednak uważamy za wątpliwe, gdyż źródła rosyjskie nazywają Z. Sierakowskiego szlacheccim gubernii wołyńskiej, a pod tym względem władze rosyjskie są bardzo skrupulatne.

akademii wojskowej, skąd wyszedł w stopniu kapitana sztabu jenerałnego i zyskał sobie opinię bardzo zdolnego oficera. Złożony przezeń egzamin w akademii wojskowej miał być tak świetny, że uchodził za rzadkość w dziejach tej instytucji. Wtedy to, w czasie paroletniego pobytu w Petersburgu, Sierakowski zdołał obudzić ducha patryotycznego wśród mnóstwa młodzieży wojskowej polskiej, i on to wraz z Dąbrowskim, Padlewskim, Warawskim i innymi, stworzył owe kółko oficerskie, schodzące się na wspólne gawędy, na odczytywanie dzieł polskich, na budzenie w sobie patryotyzmu polskiego. Sam Sierakowski mało się pokazywał, ale on był główną sprężyną tych pogawędek i narad, odbywanych w cichem mieszkaniu Warawskiego i Dąbrowskiego na ulicy Oficerskiej.

Jednocześnie z tą tajną agitacją Sierakowskiego, karyera jego wojskowa coraz świetniej się zapowiadała. Potrafił on sobie zyskać ówczesnego ministra wojny Milutyna, brata późniejszego „reorganizatora Polski“, i został jego ulubieńcem tak dalece, że z powodu przygotowującego się wtedy kodeksu karnego dla wojska, Sierakowski został wezwany do współudziału w tych pracach, i bardzo często przepędzał u ministra całe wieczory, prowadząc rozmowę w sprawie owych reform prawodawczych. Przyszły dowódca powstańczy wygotował nawet do tego kodeksu pewnego rodzaju projekt, w którym domagał się zniesienia kary cielesnej w wojsku i projekt ten, pomimo silnego oporu różnych jenerałów starego typu Mikołajskiego, został przyjęty. W tych poufnych pogawędkach, toczonych podczas długich zimowych wieczorów petersburskich, przychodziły nieraz na stół rozgrywane się podówczas wypadki warszawskie, manifestacje, rzezie na ulicach stolicy polskiej, nadzwyczajne wzburzenie umysłów, w którym dygnitarz rosyjski widział niechybne oznaki blizkiego powstania i opinii tej nie ukrywał przed Sierakowskim¹⁾. Ten osta-

¹⁾ Pułkownik *Struś*, loc. cit. 147—160, przytacza memoriał Sierakowskiego, dotyczący kwestyi polskiej, przedstawiony przez tegoż

tni, będąc już wtedy w stosunkach z agitatorami warszawskimi, jak najkategoryczniej temu zaprzeczał; utrzymywał, że ostatecznie, zapewne kiedyś, w bardzo dalekiej jeszcze przyszłości, powstanie to niewątpliwie wybuchnie, ale dużo wody upłynie, nim do tego przyjdzie, a przez ten czas Bóg wie jakie zmiany zajść mogą w świecie i jak się rzeczy ułożą. Jednakże nie ukrywał tego i z uśmiechem szyderczym, który zawsze na jego ustach się błakał, na pół seryo a na pół żartem twierdził, że jeżeli powstanie wybuchnie, to on rzuci wszystko i pójdzie do niego. Milutyn słowa te, mające się wkrótce sprawdzić, przyjmował jako żart i nie przywiązywał do nich żadnego znaczenia. W tej epoce Sierakowski ożenił się z panną Apolonią Dalewską, córką ziemianina wileńskiego i zdaje się współtowarzysza pobytu w batalionach karnych Orenburskich, a w epoce 1863 r. członka Komitetu powstańczego litewskiego.

W r. 1861 rząd wysłał Sierakowskiego do Londynu na kongres statystyczny, a następnie do Paryża w celu rozpatrzenia się w reformach więzień karnych; w tym celu zrobił nawet wycieczkę do Algieru. Przywiózł ze sobą całą tekę materyałów, a prace jego tak się podobały, że podobno, jeśli można wierzyć własnym jego zeznaniom¹⁾, sam cesarz Napoleon III, miał osobiście go prosić, ażeby zajął się ułożeniem wojskowo-statystycznych danych dla Francji, według tegoż samego szematu, jakiego się trzymał w swych pracach dla ministerium rosyjskiego. Co jednak najważniejsza, ten świetny oficer zachował pod mundurem sztabowym rosyjskim, przekonania rewolucyjne młodości, za które tak wiele wycierpiał, i znalazłszy się raz zagranicą, nie omieszkiał zapoznać się i zasięgnąć wiadomości u naj-

ministrowi Milutynowi w r. 1862. Memoriał ten osnuty na podstawach liberalnych, domagający się zupełnej autonomii Królestwa i Litwy, połączonych z Rosją węzłem federacyjnym, napisany bez talentu, pozostał bez żadnego wpływu i nicma znaczenia historycznego. Co najwyżej może służyć za obraz przekonań Sierakowskiego.

¹⁾ Zeznania te cytuję niecała broszura, niejakiego *N. Cyłowa*, p. t. „Sigizmund Sierakowskij i jego kazi“. (Wilno 1867).

wybitniejszych rewolucjonistów tej doby. Zawiązał więc stosunki z Hercenem, Mazzinim, Ledru-Rollinem, Mierosławskim i Garibaldim, którego odwiedził na Kaprzerze¹⁾, z wielu nakoniec emigrantami polskimi. Te to stosunki, które oczywiście ukryć się nie dały, o mało odrazu nie zwichnęły całej jego kariery rosyjskiej. Policja francuska, która baczna, zwracała wtedy uwagę na agitatorów i agitację rewolucyjną, doniosła do Petersburga o podejrzanych mocno stosunkach Sierakowskiego. Był wówczas w Paryżu przy ambasadzie rosyjskiej urzędnikiem (attaché) do spraw wojskowych, książę Piotr Wittgenstein, wielki pan, urodzony z Radziwiłłówny, dziedzic olbrzymiej fortuny Radziwiłłowskiej na Litwie, dość przychylny Polakom, i jemu to Sierakowski zawdzięcza, że tym razem szczęśliwie i cało wyszedł z grożącego mu niebezpieczeństwa. Milutyn bowiem dowiedziawszy się z doniesień policji francuskiej o zachowaniu się w Paryżu i wogóle zagranicą Sierakowskiego, napisał list do Wittgensteina z poleceniem, aby miał oko na Sierakowskiego i przy najmniejszym jego kroku podejrzanym, starał się go pod jakim bądź pozorem zmusić do powrotu do Petersburga. Wittgenstein list ten pokazał przyszłemu wodzowi powstańczemu i ostrzegł go,

¹⁾ *A. Giller*, *Historia* II, 289, ma bardzo wysokie wyobrażenie o talentach wojskowych Sierakowskiego, i utrzymuje, że Garibaldi tak był zachwycony tymi talentami, że proponował Sierakowskiemu, aby porzucił służbę rosyjską i pozostał przy nim, Garibaldim, jako szef sztabu. «Nie umiem kierować większymi masami, miał mówić wódz włoski, gdy będziesz przy mnie, odważę się na dowództwo i dwięcietyśiącej armii» Prawdliwość tych słów zwyciężył z pod Marsali, jest bardzo podejrzaną, choćby z tego względu, że Garibaldi nie mógł znać dobrze Sierakowskiego, i zresztą nie można o nikim powiedzieć, że da sobie radę z 200-tysięczną armią, dopóki nie zobaczy się go na jej czele, a Sierakowski właściwie nigdy nawet batalionem nie dowodził. Przytem, gdyby te słowa były prawdą, Sierakowski w swych zeznaniach przed komisją śledczą w Wilnie, nie omieszkaby ich powtórzyć, jak powtórzył prośbę Napoleona III, jak wogóle przytaczał wszystko, co mogło postawić go w świetle nadzwyczajnych, genialnych nieomal zdolności. Był bowiem niepospolicie próżnym i chciwym rozgłosu.

aby był ostrożniejszym. Sierakowski mocno rozgniewany na Milutyna, byłby pozostał dłużej zapewne w Paryżu, gdyby w końcu 1862 r. wieść o chorobie żony nie zmusiła go do powrotu. Jadąc do Wilna, zatrzymał się w Warszawie, widział się ze wszystkimi naczelnikami spisku, i wyjechał, jak wiemy, z tem przekonaniem, że powstanie nie tak rychło wybuchnie. Po drodze z rozporządzenia ministra zwiedził fortece okręgu wojennego wileńskiego, t. j. Brześć Litewski, Bobrujsk i Dynaburg, i poznawszy ich stan i zasoby, miał z czasem na tej znajomości oprzeć główne zarysy przyszłego powstania¹⁾. Ale powtarzamy, teraz o tem nie myślał i wracał do Petersburga z tem przekonaniem, że chwila wybuchu jest jeszcze bardzo daleką.

Tymczasem inaczej się stało; powstanie wybuchło, a co gorsza pociągnęło za sobą zgola nieprzygotowaną do tego Litwę, i Wydział tamtejszy wezwał Sierakowskiego do objęcia dowództwa, jako naczelnik wojenny Litwy i Żmudzi, dając mu poznać, że w przyszłości może zostać nawet wodzem naczelnym uorganizować się mającej armii polskiej. Nie z wielką chęcią przyjmował on to wezwanie; przedwczesność wybuchu, do którego wiedział, że w Królestwie poczyniono bardzo niewiele przygotowań, a w Litwie żadnych, zraziła go mocno; dyktatura Langiewicza, w której widział intrygę stronnictwa Białych (w czem się wcale nie mylił), zniechęciła go ostatecznie, tak, że ten czerwony, zapalony rewolucjonista przez miesiąc przeszło

¹⁾ Biograf Nazimowa (Russ. Starina z r. 1885) twierdzi, że to zwiedzanie fortecy odbyło się bez wiedzy gubernatora jeneralnego, co go miało bardzo rozgniewać i zdziwić, że takiemu człowiekowi jak Sierakowski, który za sprawę polską w r. 1848 skazany był do batalionów karnych w Orenburgu, tego rodzaju ważną czynność powierzono; Nazimow bowiem nie miał żadnej ufności do Sierakowskiego.

Według innych (*Iwan Szamszew*, *Raskazy lejbo-kozaka* (Russ. Starina z r. 1878, Tom XXI), Nazimow miał go przyjmować bardzo uprzejmie, że zaprosił go do siebie na obiad i po obiedzie Sierakowski grając w bilard z gubernatorem jeneralnym, gdy poczęto mówić o zaburzeniach w Polsce, miał się wyrazić, że «cheąc kraj uspokoić, trzeba wyrwać z korzeniem element polski».

pozostaje obojętnym widzem krwawych wypadków polskich. Trwałość jednak tych wypadków, interwencja dyplomatyczna mocarstw zachodnich, zdająca się zapowiadać wojnę europejską o Polskę, wezwanie wreszcie Wydziału litewskiego, decyduje go ostatecznie. Podawszy się do dymisji i otrzymawszy ją, przyczem, jak twierdzą niektórzy, miał otwarcie oświadczyć ministrowi Milutynowi, że idzie do powstania¹⁾, opuścił Petersburg i w połowie marca przybył do Wilna. Był to wtedy jeszcze młody, 36-letni człowiek, wzrostu średniego, z twarzą zawiędłą i bladą, z włosiem rzadkim, niezdecydowanej barwy. Mimo pozornie kordyalnego obejścia, dużej i płynnej wymowy, mimo, że do każdego przemawiał z litewska „serce, bracie“, nie budził on sympatii. Małe, szare, nieładne oczy, zawsze, gdy mówił, spuszczał, a zgryźliwy, szydłszy uśmiech na ustach nie pociągał ku sobie. W Wilnie zabawił kilka dni, chodził po cywilnemu, odwiedzał znajomych oficerów rosyjskich, i wreszcie ułożył wraz z Wydziałem litewskim ostateczny plan powstania.

Plan ten obejmował trzy różne i oddalone od siebie punkta działania, w skrajnych dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej leżące, t. j. w Inflantach, Kurlandyi i Mohilew-szczyźnie, i odpowiadał w zupełności żądaniu ministrów francuskich, rozszerzenia terytorium walki. Co do Inflant, Sierakowski proponował, ażeby zająć podstępnie twierdzę Dynaburg, co oczywiście wywarłoby potężne wrażenie na całą Europę i świadczyłoby o wielkich siłach powstania w tych kresowych prowincjach byłego państwa polskiego.

¹⁾ *Putkownik Struś* loc. cit. I, 138, powiada, że Sierakowski napisał do Milutyna list, «w którym wypowiedział, że póki mógł tylko, służył rządowi uczciwie, dziś jednak na głos ojczyzny głuchym być nie może i wobec walczących braci pozostać w szeregach armii moskiewskiej nie jest w stanie, a walkę dzielić musi, podaje się więc do dymisji i oświadcza, że od tej chwili uważa się za zwolnionego od wszelkich względem rządu zobowiązań. Kończył zaś list temi słowy: «może za kilka tygodni podpiszesz pan na mnie wyrok śmierci, ale i wtenczas nie będziesz mógł odmówić mi szacunku».

Projektodawca nie uważał, by zajęcie tej twierdzy było rzeczą trudną. Znał ją dobrze, wszak niedawno zwiedzał ją szczegółowo i przekonał się, że jest na pół zrujnowaną i słabo obsadzoną, gdyż załogę stanowił jeden batalion z rekrutów złożony; a przytem projektował uderzenie na nią nie z zewnątrz, ale z wewnątrz. W tym celu pod pretekstem budowy kościoła, chciano wprowadzić do fortecy powstańców, przebranych za robotników, i ci, wraz z więźniami, znajdującymi się w t. z. „kompaniach aresztanckich“, a z którymi Sierakowski w czasie zwiedzania Dynaburga wszedł w pewne porozumienie, mieli napaść na niespodziewającą się nieczego załogę, rozbroić ją i zaraz zająć się umocnieniem twierdzy. Czynu tego miała dokonać organizacja inflancka i oddziały kręcące się na Żmudzi, sam wreszcie Sierakowski miał ich poprzec.

Zamierzał on bowiem udać się na Żmudź i skoncentrowawszy tam wszystkie już istniejące i jakieby się dało zebrać siły, posunąć się ku morzu, osadzić się koniecznie w Połędzie, by umożliwić tym sposobem wylądowanie ludzi i broni, jaką wiozł na okręcie, zakupionym przez Rząd narodowy, niejaki Łapiński. Sierakowski zamierzał, mając Dynaburg w rękę, posunąć się ku Rydze, a rosnąc po stronach jenerała rosyjskiego Majdla do koncentracji i przez to same ułatwić owe wylądowanie broni i ludzi, płynących przez morze pod wodzą Łapińskiego. Zajęcie wreszcie Połęgi, pojawienie się silnego oddziału w Kurlandyi, czyniłoby zadość programowi rozszerzenia terytorium powstania.

W Mohilew-szczyźnie, Zwierzdowski otrzymał polecenie zebrania co tylko się da powstańców, z którymi ma uderzyć na instytut rolniczy w Hory-Horkach, gdzie wzmo-cni się młodzieżą tamże się uczącą, następnie ma zdobyć park artyleryjski, stojący w Mohilewie i z całą siłą ruszyć przez gubernie: Smoleńską, Twerską i Moskiewską, niosąc wojnę w głąb Rosyi, podburzając lud przeciw rządowi, i dotrzeć koniecznie do Kazania, gdzie Kiniewicz miał wywołać powstanie wśród Tatarów. Co prawda, w Wydziale

litewskim nie wiele liczone na to powstanie, zato sądzono z różnych pogłosek, że w gub. Kałuskiej lud z łatwością połączy się ze Zwierzdowskim, gdyż tam z powodu ukazu o usamowolnieniu, źle zrozumianego, trwały już od niejakiemu czasu rozruchy chłopskie.

Projekta te były dość fantastyczne i świadczyły tylko o jednym, to jest o dość bujnej wyobraźni Sierakowskiego, zwłaszcza co do Dynaburga. Miał on przy sobie niejakiemu Antoniewicz, b. kapitana w wojsku rosyjskim, który ostatnio służył w intendencji w Dynaburgu i oczywiście znał doskonale twierdzę i uważał, że gdyby się udało wprowadzić do jej wnętrza kilkuset powstańców, to niewątpliwie można ją zdobyć. Ale niestety, rzecz cała opierała się na tej wątpliwej podstawie, że rząd da pozwolenie na budowę kościoła. Sierakowski znał przecież dobrze władze rosyjskie i wiedział, że pozwolenia takiego, choćby najenergiczniej popieranego, nie da się uzyskać w ciągu paru tygodni, a choć podanie zrobiono, nie można było liczyć na to, że się pozwolenie uzyska. Zdaje się jednak, że przed samem wystąpieniem Sierakowskiego, odpowiedź co do budowy kościoła w Dynaburgu nadeszła z ministerium, ale odmowna¹⁾. Mimo to jednak, Sierakowski myśli się tej nie wyrzekł; zresztą tak on, jak i Wydział litewski uważał, że trzeba koniecznie w Infantach głośnym jakim czynem zaznaczyć istnienie powstania, co do bardzo krwawych i do bardzo tragicznych doprowadziło następstw, pochłonęło dużo szlachetnych ofiar, ale cel Wydziału został osią-

¹⁾ Murawiew *Wieszeł* w swych «Zapiskach» twierdzi, że Dynaburg nie dostał się w ręce Polaków, dzięki tylko ich głupocie, «gdyż (powiada) nie czekając na wyznaczony na to termin, hr. Plater ze swymi towarzyszami, na tydzień przedtem rzucił się na transport broni i tym sposobem odsłonił ich zamiary i powstanie zbrojne». Wykazaliśmy wyżej, że do Dynaburga nie dało się wprowadzić powstańców, że zatem wzięty być nie mógł, a hr. Plater, jak to zaraz zobaczymy, na wyraźny rozkaz Wydziału litewskiego rzucił się do broni. Relacja więc Murawiewa, jak większość jego podań, jest kłamliwa.

gnięty, gdyż wypadki inflanckie nabyły niepospolitego rozgłosu w całej Europie.

Do świeżo utworzonej, zresztą bardzo słabej organizacji w tej prowincyi, należał hr. Leon Zyberk-Plater, potomek rodziny, która wydała w r. 1831 słynną Emilię Plater, dziedzic wsi Kombula, leżącej niedaleko Dynaburga, młody, dwudziestokilkuletni człowiek. Komisarzem wojewódzkim był niejaki Poncet, należący do skrajnego stronnictwa czerwonych i na skutek rozkazów, przybyłych z Wilna i naczynających wybuch na 31 kwietnia, Poncet powierzył dowództwo Platerowi i nalegał na niego, by się gotował do powstania na powyższy termin. Zdarzyło się, że wśród wahań Platera, zwłaszcza, że rodzina sprzeciwiała się i odradzała mu tego rodzaju niebezpieczne wystąpienie, nadeszła wiadomość, że d. 26 kwietnia wyruszy z Dynaburga do miasta Dżisny, gdzie stał sztab Muromskiego pułku piechoty, transport broni, prochu i innych zapasów wojennych, pod osłoną kilku załedwie ludzi. Sposobność zdobycia znacznej ilości karabinów, które obliczano na 800 sztuk, wydawała się tak łatwą i tak nęcącą, że Poncet począł gwałtownie naciskać Platera, aby zebrał co można ludzi i na ten transport uderzył. Plater jednak nie prześtawał się wahać i prawdopodobnie nie byłby się zdecydował na krok tak śmiały i tak stanowczy, gdyby właśnie w tę porę nie był nadbiegł z Wilna, jego sąsiad, Zygmunt Bujnicki z najwyraźniejszym rozkazem Wydziału litewskiego uderzenia na rzeczony transport, a to pod karą śmierci za nieposłuszeństwo. Wobec tego Plater ściągnął około 20 młodzieży szlacheckiej z okolicy, uzbroił swą służbę i strzelców, tak, że ogółem oddziałek ten mógł liczyć 40 do 50 ludzi, zbrojnych w dubeltówki i broń myśliwską¹⁾. Punkt zborny naznaczono pod wsią Krzesławką,

¹⁾ Źródła rosyjskie kłamliwie podawały liczbę tę na 100 ludzi. Dodać tu trzeba, że według źródeł rękopiśmiennych, będących w posiadaniu autora, popartych relacją *Z. Kolumny*, Pamiętka I, 121, właściwie dowódcą napadu pod Krzesławką, miał być Zygmunt Bujnicki.

leżącą przy drodze z Dynaburga do Dżisny, pod karczma, która stała u wylotu niewielkiego lasu, przez który rzeczona droga biegła i gdzie zamierzono uczynić zasadzkę na ów transport rosyjski. Ciekawym, których ten nagły zjazd dziwił, mówiono, że zebrano się na polowanie, choć oczywiście nikt temu nie wierzył, boć w kwietniu nikt nie urządza wielkich polowań, i okoliczność ta była jedną z przyczyn późniejszej katastrofy. Okolicę bowiem tamtejszą zamieszkują od dawna starowiercy rosyjscy, t. z. „burlaki“, którzy tu jeszcze za czasów Piotra Wielkiego schronili się przed prześladowaniem i wogóle uchodzili za ludzi trzeźwych, pracowitych i zamożnych, tak, że szlachta polska w Inflantach chętnie oddawała im grunta w dzierżawę, bo mieli inwentarz i czynsze regularnie płacili. Obliczano ich w owe czasy na 4000 głów. Otóż Burlacy rzeczeni, zauważywszy podejrzany zjazd szlachty i jej służby u karczmy pod Krzesławką, poczęli się także zbierać, nie bez tego zapewne, że władze rosyjskie przypuszczając możliwość powstania, od dawna już te ciemne, na pół dzikie tłumy usposabiały nieprzyjaźnie i domagały się od nich w razie potrzeby pomocy i poparcia przeciw panom polskim¹⁾.

Transport, któremu zagrażał napad powstańców, składał się, według raportów urzędowych, z 398 karabinów, kilku pistoletów i broni siecznej, oraz pewnej ilości prochu. Strzegło go ośmiu żołnierzy pod wodzą oficera. Była godzina szósta wieczorem (według źródeł polskich jedenasta w nocy), gdy transport ten wkroczył w las, leżący o milę

¹⁾ Źródła polskie wprost oskarżają o to Ogolina, gubernatora witebskiego, i Jolszyna, komendanta Dynaburga. «Wiadomości z pola bitwy» No 12, twierdzą, że Burlacy rzucili się na powstańców z rozkazu Jolszyna. Jest jeszcze jedna wersja. W gazecie «Petersburskija Wiedomosti» z d. 20 kwietnia, pomieszczono wiadomość, że powstańcy których miało być 50, przypuszczając, że straż pilnująca transportu, będzie silną, wezwali do pomocy Burlaków z Krzesławki, obiecując im znaczną nagrodę, że ci się na to zgodzili i byli na pogotowiu, ale zamiast pomocy, rzucili się na powstańców.

za Krzesławką. Żołnierze wlekli się niedbale, niektórzy z nich pokładli nawet broń na wozy. Napadnięci, obsypani strzałami, słabo albo wcale się nie bronili, trzech czy czterech ich poległo, dwu było rannych, oficer zdołał uciec do Krzesławki, gdzie stała załogą brygada artyleryjska. Stąd natychmiast wysłano pogoń za powstańcami, złożoną z 47 żołnierzy i porucznika Bortniewicza. Oddział ten dotarł do wsi Skajsty, należącej do niejakiego Głuszanina, gdzie, jeżeli wierzyć można raportowi urzędowemu, powitany z okiem dworu strzałami, wdarł się do środka, wziął do niewoli właściciela, jego syna i dwu szlachty kurlandzkiej, nazwiskiem Heine, i z tą zdobyczą wrócił do Krzesławki, dokąd już z Dynaburga, wysłane na gwałt dwie kompanie piechoty i kilkunastu kozaków z pułkownikiem Ozerowem, przybyło.

Ale to wystąpienie sił zbrojnych zgoła już było niepotrzebne, gdyż na wieść o napadzie na transport, Burlacy tłumnie poczęli się zbierać, i uzbrojeni w co się dało, rzucili się na dwory szlacheckie w całej okolicy. Konnych gońców rozsyłano po wszystkich wsiach, wzywając do tej wyprawy, na rabunek i zniszczenie. Tegoż samego jeszcze dnia, a raczej nocy, napadli najprzód na wieś Wyszki, własność hr. Mohla, który niegdyś w stopniu rotmistrza służył w wojsku rosyjskiem. Powyciągali wszystkich z łóżek, powiązali, przyczem oczywiście bez pastwień się nie obyło, z pani Mohlowej zdarli suknie i wszystkich znalezionych we dworze w liczbie 16 osób (w tem dwu Platerów i trzech braci Mohlów) rzucili na wozy. Wśród tłumu jeździł konno starosta (starszyna), i krzyczał: „tylko nie zabijać“ (tolko nie szmiejcie ubiwać). Nikogo więc nie mordowali, ale zato wszystkich ciężko pobili i poranili. Porwali także księdza Koźmina, wikaryusza i okrutnie skatowanego, rzucili na wóz, i jeńców tych, przeważnie w bieliznie, odesłali wśród wymyślań i naigrawań do Dynaburga. Załatwiwszy się w ten sposób z właścicielem i jego rodziną, zabrali się do rabowania i niszczenia. Spalili Wyszki, Sołowyszki i Wasilew, trzy wsie należące do Mohla; w Wyszkach nadbiegła

komenda Ozerowa, zdołała ocalić zaledwie parę zabudowań dworskich.

Nazajutrz d. 27 kwietnia powtórzyły się te same sceny, ale już na większą skalę. Konne bandy Burlaków, pijane i rozpasane, rosnące co chwila w liczbę, rozbiegły się po całej okolicy wszędzie rabując, niszcząc, paląc, wiążąc i bijąc właścicieli i odstawiając ich do Dynaburga. W dniu tym spalili i zrabowali Dubno, własność Urbana Benisławskiego, Podgórze hr. Stanisława Platera, gdzie nawet posadzki i podłogi powyrywali, Ostaszów Kłoczkowskiego, gdzie sześciu młodych ludzi, zamknawszy się we dworze, uparcie się bronili, aż gdy dom został podpalony, poddać się musieli. Dalej, tego dnia padły ofiarą majątki Dagda, Wilanów i Zabory, należące do Bujnickich, Zubry Eugeniusza hr. Platera, Staromyśl własność Kiborta, Ludwampol hr. Kazimierza Platera. Dnia 28 kwietnia zrabowano i spalono Józefówkę hr. Józefa Platera, siedmdziesięcioletniego starca, który podczas napadu zamknął się w swym gabinecie, i gdy napastnicy drzwi wyłamali, powitał ich strzałem z pistoletu. Rzucono się nań i jeden z rabusiów odciął mu rękę toporem, od której to rany starzec tego samego dnia jeszcze umarł¹⁾. Cały dwór i zabudowania gospodarskie do cna spalono. Prócz tego zrabowano i zniszczono Konstantynów, własność Niemca Everta, gdzie synowi jego jakiś Burlak ściągając złotą obrączkę, palec połamał; Buduny, własność Tysenholca, Okrę i Birzę, należącą do Schredera, Dubniaki Pętrzyckiego, Hieronimów Oskierczynej, którą po zbiegu przywiązano do drzewa na całą noc, Kamieniec własność Rentów, Górne wysokie hr. Jana Mohla. Ogółem zrabowali 37 majątków, a 14 spalili. Żony Burlaków z wozami przyjeżdżały, zabierając rzeczy zrabowane, a czego zabrać nie mogły, to paliły²⁾. Biada

¹⁾ J. N. Butkowski, Iz moich wspominań.

²⁾ S. Rajkowski, Polska młodzież zapadnego kraju w miatożce 1861—1863 godów (Russkij Wiestnik, T. 83, p. 656), nie zaprzecza rabunkowi, ale tak go tłumaczy: «włościanie znając nazwiska panów, którzy wzięli udział w buncie i nie znajdując pomocy od wojska

temu, kogo ze szlachty spotkali na drodze. Jakąś przejeżdżającą Polkę z córką niedaleko Krzesławki wywlekli z powozu i wrzucili obie do studni. Na szczęście studnia była płytką, ale dopiero nazajutrz obie kobiety na pół żywe, stamtąd wydobyto. Do Dynaburga przywieźli 120 osób płci obojej. Ponieważ mówiono, że powstańcy, którzy napadli na transport broni pod Krzesławką, udali się w kierunku Dubna, więc z Dynaburga wysłano tam dwie kompanie piechoty pod wodzą pułkownika Paszennego, który w lesie tamtejszym w rzeczy samej schwytał 58 ludzi, a w ich liczbie nieszczęśliwego hr. Leona Platera. Sam Bujnicki zdołał zbiedz, a zdobyta broń prawie w całości powróciła w ręce rosyjskie. Trzeciego dnia zjechał na miejsce tych strasznych wypadków, przypominających „rabacyę“ galicyjską, gubernator witebski Ogolin, i gdy obywatele skarżyli się przed nim, odrzekł, że rząd dla braku w tych stro-
nach wojska, musiał się odwołać do Burlaków. Ci nie kryli

(które przybyło nieco później) zaczęli robić rewizye u tych obywateli, których najbardziej podejrzywali, dla wykrycia składów broni. Przy tego rodzaju rewizjach i przy oporze ze strony obywateli, nie dziwnego, że porządek nie był zachowany i dlatego nie należy się dziwić, że meble, sprzęty i t. p. zostały polamane. Przybyłe wojsko, porządek przywróciło.

Później już nieco, za rządów Murawiewa Wieszatela, opiekun hr. Platera, zrobił do administracji wileńskiej podanie, w którym żądał wynagrodzenia szkód, poniesionych przez napad Burlaków. Szkody te i straty obliczył na pół miliona rubli. Ale Murawiew kazał odpowiedzieć, że «jeżeli w rzeczy samej hr. Plater poniósł tak znaczne szkody, to trzeba, żeby zrobił podanie, z dołączeniem należytych dowodów i prosił o wyegzekwowanie rzeczonych strat z majątków tych obywateli, którzy dokonali napadu d. 25 kwietnia na transport broni skarbowej i którzy wywołali bunt w gubernii witebskiej». — Podobnież pani Anieli Oskierczynej, skarżącej się, że wskutek rabunku Burlaków poniosła strat na 120 tysięcy rubli, Murawiew odpowiedział, że jeżeli pani Oskierczyzna chce, to on wyegzekwuje te straty «z tych obywateli, którzy podnieśli bunt w powiecie Dynaburskim i napadli na transport broni, jako winnych rzeczonych nieporządków».

Ten kat Litwy miał swego rodzaju cmentarny humor.

tęgo wcale, że działają z rozkazu Jolszyna, że im wyraźnie kazano rabować i palić dwory, szlachtę wiązać i bić, ale nie zabijać¹⁾.

Wiść o wypadkach inflanckich zrobiła wszędzie przegnębiające wrażenie, a w Petersburgu wywołała popłoch formalny. Nadszedł przytem raport generała Hildebranta, naczelnika żandarmeryi wileńskiej, który, jeżeli wierzyć można twierdzeniom Murawiewa, był „w głębi duszy Polakiem“ i posiadał wielu krewnych w Inflantach²⁾, doniósł, że rabunki Burlaków mają charakter rewolucyi socyalnej, w czem do pewnego stopnia miał rację. Raport ten powiększył jeszcze grozę i co prędzej d. 29 kwietnia wysłano cały pułk ułanów pod wodzą hr. Szuwałowa, naczelnika policyi w Petersburgu (oberpolicmajstra), z wyraźnym rozkazem uspokojenia siłą starowierców. Wszakże, zaledwie Szuwałow wyruszył, gdy za sprawą Zielenoja, ministra dóbr państwowych, należącego do stronnictwa Samobytników, stąd zaciętego wroga Polaków, zaszła zmiana co do poglądu władz petersburskich na wypadki inflanckie. Pospieszył on jeszcze tego samego wieczoru do cesarza

¹⁾ Że niewątpliwie tak było, mamy dowód w tem, że już za rządów Murawiewa w Wilnie, w miejscowym organie „Wileńskim Wiestniku“, ogłoszony został spis osób, które otrzymały medal „za pomoc w tępieniu band buntowniczych i wogóle za wierność rządowi“. W tej liczbie znajdujemy 10 osób, nagrodzonych za wypadki inflanckie. Oto ich nazwiska: włościanie Piotr Romanow, Borys Mitrofanow, Piotr Bogdanow, Andrzej Nikenow, Jerzy Rodyonow, Antoni Skreyer; mieszczanie: Fiedor Jeszerski, Feoktyst Dementiew i Wasil Iwanow. Redakcyja dla objaśnienia rzeczy dodała do tego opis napadu pod Krzesławką i „bohaterskiego“ postępu włościan.

²⁾ *Murawiewo*, Zapiski (Russ. Starina z 1882, tom 36, p. 390 i nast.) Walujew, ówczesny minister spraw wewnętrznych, w swych uwagach nad pamiętnikami Murawiewa (drukowanych w „Russ. Starinie“ z r. 1890 tom 65), powiada o Hildebrancie co następuje: „znałem generała Hildebranta od r. 1845 i oprócz mnie wszyscy znali go przez długi czas w Rydze, gdzie był oficerem żandarmów, nim został jeneralem i wysłany był do Wilna. Wszelki polonizm był mu obcy. Mógł się mylić, wogóle posiadał mało zdolności, ale był uczciwym“. Murawiew więc, jak zwykle kłamał.

i zdołał go przekonać, że ruch starowierców wcale niema charakteru socyalnego, że przeciwnie jest to objaw patriotyzmu rosyjskiego i wierności rządowi przeciw „buntowi polskiemu“; że wreszcie sprawa ta wcale nie powinna należeć do kompetencji żandarmów, ale do ministerium dóbr państwowych, że on wysłał od siebie generała Dłotowskiego, któremu nadał prawa naczelnika wojennego i jest pewny, że rzecz się wyjaśni i pokój w Inflantach zapanuje¹⁾. Cesarz z natury miękki i łatwo ulegający wpływowi, zgodził

¹⁾ Tak opowiada Murawiew w swych „Zapiskach“. Minister Walujew we wspomnianych uwagach, co do okoliczności powyższej, zaznacza: „słusznem jest, że ruch chłopski (nie tylko samych starowierców), wzbudził obawy i że szef żandarmów (ks. W. A. Dolgorukij) na podstawie wskazówek czy doniesień hr. P. A. Szuwałowa, uległ tym obawom; ale nie dzielił ich wcale, ani minister spraw wewnętrznych (Walujew), ani inne osoby, do rządu należące. Zupełnie gołostownem jest to wszystko, co powiedziano o prześladowaniu, którem zagrożeni jakoby byli starowiercy i o tem, że minister dóbr skarbowych (Zielenoj) wystąpił z koniecznością przeciwdziałania czynnikom petersburskim“.

Pomimo jednak, że podania Murawiewa należy przyjmować z nadzwyczajną ostrożnością, tym razem poszliśmy za nicini z tego względu, że sam Walujew przyznaje, że ruch starowierców wywołał obawy w szefie żandarmów Dolgorukim, czego zresztą najlepszym jest dowodem wysłanie do Inflant całego pułku ułanów z Szuwałowem, oraz następnie Dłotowskiego z instrukcyami zgola odmiennymi. Świadczy to, że pod czyimś wpływem, nastąpiła zmiana w pierwszych poglądach na ruch starowierców, których ostatecznie wcale nie karano za ich napady i rabunek domów polskich. Zmiana ta, według Murawiewa nastąpiła pod wpływem Zielenoja i nie widzimy żadnej racyi nie wierzyć temu twierdzeniu. Sam Walujew jest zresztą w sprzeczności ze sobą. W cytowanych uwagach jest ustęp, przytoczony z jego pamiętników, tej treści: „pamiętam, jak w sali przyjeżdżał u Cesarza, hr. P. A. Szuwałow zapewniał mnie, że wszelkie obawy co do rozszerzenia się buntu są przesadzone, i że wszystkie bandy będą wkrótce wytępione i t. p., a ja mu odrzekłem: que l'incendie s'éteignait, que les signes d'un vaste plan étaient manifestés“, co dowodzi, że obawy istniały i że stronnictwo „działaczy petersburskich“, jak nazywa Murawiew Walujewa, Dolgorukiego, Gorezakowa i innych, miało poważne obawy co do ruchu starowierców i co do samego powstania litewskiego.

się na to i Dłotowski został wysłany. Uprzedzony o tem Szuwałow, pierwotnie zamierzający batogami przywrócić porządek wśród Burłaków, nagle zmieknął, i założywszy swoje siedlisko w Ostaszewie, począł słodko przemawiać do rozbezwstwieńców, oświadczył im, że cesarz im dziękuje, karabiny każe oddać, zabrania im rabować, nakazuje im tylko, aby czuwali i szlachtę, mającą związki z powstańcami, dostawiali do Dynaburga. Skarżącej się szlachcie zaś odpowiadał z miną niczemu nie dziwiącego się mędrca: „cóż chcecie, to wojna“ (*que voulez-vous, c'est la guerre*).

Ale jeżeli w Petersburgu wypadki inflanckie wywarły wielkie wrażenie i jak to zaraz zobaczymy, były powodem zwrotu w dotychczasowej polityce wewnętrznej rządu; jeżeli one w Litwie i Polsce odbiły się bolesnem echem i oburzenie powszechne wywołały, to zagranicą nabyły one, już przez samą swoją niezwykłość, ogromnego rozgłosu i pod tym względem rewolucyoniści polscy mogli być zupełnie zadowoleni, gdyż cały świat ucywilizowany widział teraz dokąd sięga powstanie, a zatem dokąd dochodzą granice Polski. Lepiej, krwawiej i głośniej nie można było wykonać polecenia lekkomyślnego ministrów francuskich. We wszystkich dziennikach, zwłaszcza francuskich, ukazały się opisy, oczywiście mocno przesadzone i jaskrawe napadu Krzesławskiego i rabunków chłopskich, opowiadały o rzezi, o gwałceniu kobiet, czego właściwie nie było, oskarżały rząd rosyjski, że on to wszystko przygotował, zaprzeczały jakoby nadużyć tych dopuszczali się chłopci, ale że to byli żołnierze przebrani za włościan, a gazeta „Patrie“ i „Morning post“ angielska, wydrukowały nawet tajny ukaz cesarski, jakoby znaleziony na zwłokach jednego z takich żołnierzy, przebranych za rokoszników¹⁾. Przeciw tym

¹⁾ Mniemany ten ukaz narobił wielkiej wrzawy i powtórzony przez wszystkie dzienniki, wyszedł nawet w przekładzie francuskim w osobnej odbitce p. t. *«Document trouvé sur les raskolniki, après les massacres de Livonie 27, 28 et 29 April 1863, in 4°, Paris, imprimerie de Ad. R. Lainé et J. Havard, rue de Saints-Pères, 197»*. — Umyślnie przytaczamy tytuł, gdyż odbitka ta jest dziś wielką rzad-

oskarżeniom, obiegającym całą Europę, wystąpił nakoniec urzędowy organ „Journal de St. Pétersbourg“ (numer z d. 31 maja), i przyznając, że rokosznicy dopuścili się gwałtów, boć tego nie mógł zaprzeczyć, że „pewna liczba właścicieli ziemskich została schwytana i skrępowana“, że „folwarki, w których wszędzie były składy broni, prochu, kompromitujących papierów (co było fałszem), w ciągu trzech dni były zniszczone“; zaprzecza, aby rząd nakazał ten ruch, aby żołnierze przebrani byli za rokoszników i woła: „czy jest w Europie choć jeden rozsądny człowiek, który mógłby przypuścić, że władze w kraju chrześcijańskim przebierają żołnierzy za włościan, iżby gwałcić kobiety, podpalać domy właścicieli ziemskich, i żeby rząd monarchy, który dał tyle dowodów uczuć ludzkości, tolerował, a nawet podburzał do czynów tak dzikiego barbarzyństwa? Proste „powiadają“ jest dla niego („Morning post“) dostateczne i pióro nie wypada z rąk redaktorów, nim do tego stopnia obrażą naród“. Cokolwiekby, po-

kością bibliograficzną. Autor oglądał ją w bibliotece cesarskiej w Petersburgu. Sam ukaz nosi tytuł *«Tajna wola Cesarska»* (Sekretnaja Carskaja wolja) i Cesarz ogłasza publicznie (wsienarodno), że jego wolą jest, aby *«wytepieno wszystkich katolików, poczynając od panów i całej szlachty, a kończąc na chłopach»*, za co ci, którzy wyostrzą kosa, noże i topory, otrzymają ziemie zabitych. *«Zachęcajcie ludzi do rzezi, weźcie się wszyscy do dzieła, a będziecie bogaci. Cesarz odwiedzając się wam zato, zrobi was obywatelami i szlachciami rosyjskimi, a ojcowie duchowni poprą was, bo taką jest wola Boża»*. Ukaz poleca *«wzmocnić ducha wódką, dla wytepienia sług dyabelskich i oczyszczenia świata od nieprzyjaciół Boga»*. Dokument ten, skreślony w języku rosyjskim, pełnym błędów i polonizmów, niewątpliwie jest dziełem jakiegoś rewolucjonisty polskiego, i mógł uchodzić za autentyczny tylko w oczach Francuzów, znanych powszechnie ze swej ignorancji. Dla kogoś, jako tako władającego językiem rosyjskim, odrazu przedstawiał on się jako dokument podrobiony. Błędy przeciw językowi i składni rosyjskiej, wykazał w Nrze z d. 1 czerwca 1863 r. będący wtedy na żołdzie rosyjskim dziennik „Nord“, ale ponieważ wiadano, że on żyje z funduszu gadzinowego, więc do jego słusznych uwag, nikt na Zachodzie wiary nie przywiązywał.

mimo całej wymowy organu rządowego, historya zaznaczyć musi, że jeżeli nie władze petersburskie, to niżsi ich ajenci (gubernator Ogolin, komendant Jołszin) pierwsi podburzyli Burlaków, a następnie dygnitarze petersburscy nagradzali ich pieniędzmi i medalami. Takiemi były w tej okropnej epoce „władze w kraju chrześcijańskim“.

Lecz nie zdołało jeszcze przebrzmieć echo tych strasznych scen inflanckich, gdy nowe, niemniej bolesne wieści wstrząsnąć miały nerwami współczesnych. Wspomnieliśmy już, że dowódcą powstania w Mohilewsczyźnie, na krańcach dawnej Rzeczypospolitej, w województwie niegdyś Mściśławskim, mianowany został znany nam już ze swej działalności w Komitecie litewskim czerwonym, kapitan sztabu jeneralnego, Ludwik Zwierzdowski. Nie przypuszczając, by w tych oddalonych stronach, wśród obojętnego na wszystko ludu białoruskiego, udało się Zwierzdowskiemu zgromadzić na razie większą partję powstańców, polecono mu, ażeby przedewszystkiem uderzył na miasteczko Hory-Horki, leżące na drodze z Mściśławia do Orszy, gdzie w instytucie rolniczo-leśnym znajdowała się znaczna liczba około 120 młodzieży polskiej. Jak wiemy, Sierakowski do powstania Mohilewskiego przywiązywał wielką wagę i szerokie mu zakreślał plany poniesienia orężnej rewolucyi w głąb Rosyi i połączenia się z przygotowanym przez Kiniewicza rokoszem Tatarów kazańskich. Zwierzdowski w wykonaniu tego planu, z Moskwy, gdzie dotąd stale przebywał i gdzie z agentem Rządu narodowego w tem mieście, rzeczonym Kiniewiczem ostatecznie umówił się co do zamierzonych działań, i udał się do Petersburga, skąd przy pomocy Ohryzki zabrał ze sobą kilku oficerów Polaków i w pierwszych dniach maja, z paszportem wystawionym na imię Wieliczki, stanął na miejscu swego przeznaczenia. Tutaj objął dowództwo nad oddziałkiem, podobno 90 ludzi liczącym¹⁾, który się zebrał gdzieś w pobliżu

¹⁾ Tak utrzymuje autor, ukrywający się pod mianem *Syna Rygi* (Sohn Riga's), który należąc do oddziału Topora, opisał napad na Horki

Hory-Horek, i przybrał pseudonim Topora, zdaje się od herbu, którym się pieczętował. Z oddziałkiem tym w nocy z d. 5 na 6 maja, ruszył na Horki, gdzie poprzednio związał stosunki z młodzieżą uczącą się i gdzie przedtem dość często bywał i miejscowość doskonale mu była znana. Załoga Horek, małego miasteczka żydowskiego, około 5000 ludzi liczącego, składała się z 200 żołnierzy, inwalidów, wszelako uzbrojonych dostatecznie i zaopatrzonych we wszystko. Siły więc były nierówne i zdobycie Horek zawdzięczał Topor jedynie nagłemu i niespodziewanemu napadowi, pomocy młodzieży miejscowej, oraz tej okoliczności, że powyższa komenda inwalidów, z powodu ciasnoty w koszarach, rozrzucona była na kwaterach, po całym miasteczku.

Topór - Zwierzdowski, mężczyzna słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, z ogromnymi jasnymi włosami, w sile wieku (liczył 38 lat), dokonał napadu na Horki w nocy, koło godziny 2. Oddział wkroczywszy w głębokiem milczeniu do miasteczka, podzielił się na cztery części, by jednocześnie atakować koszary, dom komendanta inwalidów, skład broni i prochu i instytut agronomiczny. Uderzono w dzwony, rozległy się strzały i po kolei wszystkie rzeczony punkta miasta, nie bez oporu i walki, dostały się w ręce powstańców, przyczem w kilku miejscach powstał pożar, który podsycany wiatrem, z łatwością ogarnął trzy czwarte miasteczka drewnianego, ze strzechami słomą krytymi. Przy ataku na koszary zginął student instytutu Domaradzki, przebity bagnetem. Wzięto do niewoli komendanta inwalidów, który uparcie i po bohatersku się bronił,

w gazecie „*Zeitung für Stadt und Land*“, wychodzącej w Rydze, w r. 1877. *Z. Kolumna*, Pamiątka I, 179, podaje cyfrę oddziału na 140 ludzi. Taką cyfrę znajdujemy w „*Mohilewskich gubernialnych Wiadomościach*“ z d. 19 maja, oraz u *Stefana Kuleszy*, który w artykule: „*Gory-Goreckaja katastrofa*“ (Russ. *Starina* z r. 1883), pisze, „że banda liczyła koło 150 ludzi“. Wszelako „syn Rygi“, jako świadek i współczestnik wypadku mógł być lepiej poinformowany i dlatego za jego podaniem idziemy.

aż zagrożony spalaniem w gorejącym domu, siłą został stamtąd wyprowadzony; wzięto 30 żołnierzy, około 15.000 rubli, należących do instytutu, dwanaście koni i wozy, będące własnością tegoż instytutu. Ofiarą napadu padło dziewiciu inwalidów, raniono koło sześciu. W miasteczku spaliło się 50 domów. Z kasy skarbowej, zawierającej podobno znaczną sumę, Topor kazał zabrać żelazny kufer z pieniędzmi, ale ponieważ rozbić i otworzyć go niemożna było, więc go porzucono na drodze. Powstańcy po zwycięstwie udali się do instytutu, zażądali od dyrektora chleba, mleka, masła; uroczyście pochowali poległego Domaradzkiego i około godz. 2 po południu, wzmocnieni znacznie liczebnie, przez to, że prawie wszyscy studenci Polacy przyłączyli się do nich, ruszyli na południe, w kierunku miasteczka Dybina¹⁾.

W Mohilewie, wiadomość o wypadkach zaszłych w Hory-Horkach, które zaszły w kilka dni zaledwie po katastrofie inflanckiej, wywołała popłoch i przerażenie. Wieść, rosnąc ciągle, przybrała w końcu rozmiary olbrzymie. Mówiono o kilkunastu tysiącach powstańców doskonale uzbrojonych, lękano się co chwila napadu na miasto, a dowódca miejscowej załogi drżał o całość stojącego tam parku artyleryjskiego. Całą tę załogę trzymano przez kilka dni z rządu pod bronią, wysyłano na wszystkie strony, zwłaszcza po drodze ku Orszy, skąd głównie ataku się spodziewano, mocne podjazdy kozackie, którym towarzyszyło improwizowane pospolite ruszenie mieszczan mohilewskich i chłopów okolicznych, uzbrojonych w piki i kosy.

¹⁾ Cytowany już przez nas *Stefan Kulesza* opowiada, że przy wyjściu z Hory-Horek, Topor o mało nie padł ofiarą zasadzki. «Jakiś żołnierz, z za węgla, czy z innego ukrycia, strzelił do Topora, ale zranił tylko kłacz siwą, na której dowódca jechał, sam zaś (żołnierz) szczęśliwie zdołał uciec przed pościgiem». Poprzednio w czasie pogrzebu Domaradzkiego, gdy Topor z orszakiem przechodził koło domu barona Bremsena, urzędnika instytutu, służący jego chciał strzelić z okna z karabinu do Topora, ale przytomny temu Bremsen, wyrwał broń z ręki szaleńca. Jest to dowodem wielkiego rozdrażnienia miejscowej ludności przeciw powstańcom.

Tymczasem obawy te były zupełnie płonne. Topór z Hory-Horek ruszył do Dybina, własności niejakiego Ciechanowieckiego, Polaka, gdzie przenocował, wziętych do niewoli żołnierzy uwolnił, obdarzywszy ich pieniędzmi na drogę i puścił się dalej na południo-wschód ku Czarusom i Czarykowu. Ale niebawem musiał spostrzedz, że walka jest nierówną, warunki jej niesłychanie trudne i prowadzenie w tych warunkach wojny, jest wprost niemożliwym. Lud, do którego głuche wieści doszły o wypadkach inflanckich, podburzany przez władze i popów prawosławnych, którzy go zapewniali, że panowie polscy dlatego powstali, by przywrócić dawną pańszczyznę i niewolę, niechętnie patrzył na słaby oddziałek polski. Gubernator mohilewski Beklemiszew rozesłał cyrkularz do wszystkich urzędów gminnych (wołosti), w którym przedstawiając w fałszywym i skażonym świetle cel powstania, wzywał chłopów, żeby ścigali i chwyтали powstańców i dostawiali do gubernii, obiecując 3 ruble nagrody od głowy. W tej też porze przybył do gubernii witebskiej, wysłany przez znanego nam już ministra dóbr państwowych, Zielenoja, niejaki Butkowski, urzędnik do szczególnych poruczeń, z rozkazem tworzenia wszędzie po wsiach na całej Białorusi, t. z. straży chłopskich. Była to poprostu uorganizowana ruchawka chłopska przeciw szlachcie polskiej, pomysł, który mógł się tylko zrodzić w głowie takiego wroga naszego, jak Zielenoj. Do wszystkich więc gmin i większych wsi powysyłano co najmniej pięciu starych żołnierzy, uzbrojonych w karabiny, z roztropnym podoficerem jako dowódcą, którego obowiązkiem było zaprowadzić ład wśród włościan i kierować ich zbrojnymi wyprawami na połów powstańców lub szlachty. W pewnych ważniejszych lub środkowych punktach, umieszczono nieco większe oddziały wojska z oficerem na czele, które miały służyć za punkt oparcia drobnym strażom wiejskim, a w razie potrzeby nieść im pomoc. Wojsko, użyte do tego, miało otrzymywać żołd podwójny, a chłopci pełniący straż pobierali opłatę, ściaganą ze szlachty polskiej. Straże te zaprowadzono za-

raz po wypadkach Hory-Horskich w gubernii witebskiej, a niebawem Butkowski został posłany do Mińskiej dla urządzenia tamże czegoś podobnego.

W takim stanie rzeczy, egzystencya drobnego oddziału polskiego w Mohilewszczyźnie, okazała się wprost niemożliwą. Nietylko nie wzrastał on w siłę, bo żywiołów w tym oddalonym kącie dawnej Polski nie było potemu, ale owszem topniał coraz bardziej, gdyż wielu widząc rozpaczliwe położenie, opuszczało go zupełnie. Nie można było nikąd mieć wiadomości o ruchach nieprzyjaciół, a natomiast o każdym marszu polskim, o każdym jego spoczynku, chłopci donosili władzom rosyjskim. Uorganizowano formalny system szpiegostwa, do którego chłop białoruski wybornie się nadaje. Urodzony i wychowany w kraju na pół dzikim, pełnym bagien, lasów i puszczy, ma w sobie rozwinięty instynkt badawczy, bodaj czy nie lepszy od tego, o jakim czytamy w indyjsko-amerykańskich roman-sach Coopera. Topór nigdzie nie mógł znaleźć dłuższego spoczynku, bo nawet „w przepastnych krainach“ puszczy białoruskich, chłopci umieli go wysledzić; nieraz oddział przymierał z głodu, bo nikąd żywności dostać nie mógł. Wobec tego, usiłował on przedrzeć się do Mińszczyzny, gdzie kręciło się w tej porze parę drobnych oddziałków powstańczych, ale gdy okazało się niemożliwem wykonanie długiego i trudnego marszu z garstką wycieńczoną, głodną i znużoną, postanowił oddział rozpuścić. Oświadczył to swoim podkomendnym, radził im broń złożyć i poddać się nieprzyjacielowi. Wysłano więc deputację do miasteczka Propojka do miejscowego naczelnika (stanowego przystawa), i niebawem w liczbie 30, tyle bowiem pozostało z całego oddziału, otoczeni chłopami, których zebrał rzeczony przystaw, odesłani zostali pod strażą do Mohilewa. Sam Topór zdołał szczęśliwie przez Mohilew wydostać się zagranicę, pojechał do Konstantynopola, skąd miał później wrócić, by skonać na szubienicy aż w Sandomierskiem, w miasteczku Opatowie.

Tak się zakończyła kampania Zwierzdowskiego, na którą Sierakowski tak wiele liczył, z której sobie tyle obiecywał. Ale bądź co bądź, spełniła ona główne zadanie swoje, zaznaczyła krwią granice dawne Polski. Napad bowiem na Hory-Horki miał równie wielki rozgłos, jak napad na transport broni pod Krzesławką. A że garść mohilewskich strażników przypłaciła to szeregiem cierpień wszelkiego rodzaju i wygnaniem na Sybir, że wogóle cała ta wyprawa miała cechę lekkomyślnej awantury, to wszystko niewiele znaczyło wobec zadania głównego, choć oczywiście dla ludzi znających położenie rzeczy, kilkudniowe błąkanie się drobnego oddziału po puszczech białoruskich, nie mogło uchodzić za powstanie właściwe. Rozpoczęte gromem Hory-Horskim, skończyło ono nieznacznie i cicho i więcej już głowy w tamtych stronach nie podniosło.

Ala jeżeli w Inflantach i Mohilewszczyźnie ruch zbrojny buchnąwszy płomieniem, zgasł od razu i dymem nieszczęście i pomsty podrażnionego wroga okrył te ziemie, to i główna akcja, kierowana przez samego Sierakowskiego na Żmudzi, miała koniec niemniej szybki i niemniej tragiczny.

Sierakowski po krótkim pobycie w Wilnie¹⁾, gdzie, jak wiemy, ułożony był ostatecznie plan operacji wojennych, udał się do Kowna, a stąd do Szat, miejscowości leżącej w głębi Żmudzi, by przystąpić do zamierzonych działań. Przedewszystkiem chciał on zgromadzić wszystkie siły, jakimi na Żmudzi rozporządzało powstanie i na ich czele iść na Połagę, by podać rękę Łapińskiemu, który płynął z Anglii z bronią i rozmaitym materiałem wojennym, i miał

¹⁾ Pisarze rosyjscy: Cyłow, Rajkowski («Polskaja molodież») twierdzą, że «Sierakowski, przybywszy do Wilna, przed udaniem się do bandy, był pożądanym gościem w tamtejszych kołach rosyjskich i zasięgając tam różnych ważnych wiadomości, z zapalem rozprawiał o nierozumie powstania». O tym wallenrodyzmie Sierakowskiego polskie źródła nie mówią, podania więc takich bezecnych paszkwili-stów jak Cyłow i Rajkowski uważać należy za kłamliwe, tem więcej że Sierakowski w czasie swego kilkudniowego pobytu nie miał kiedy bywać i rozpraw prowadzić o powstaniu z Rosyanami.

zamiar w Połudzie, lub gdzie w jej okolicy wylądować. Czyim pomysłem była ta szalona, jakby z Tysiąca nocy wyjęta wyprawa, trudno dziś dociec; zdaje się, że z powodu nieprzełamanych trudności przy dostawie broni przez Prusy i Austryę, myśl przewiezienia jej morzem do brzegów Żmudzi i Kurlandyi, sama przez się w wielu głowach zrodzić się musiała. Dość, że już w pierwszych tygodniach powstania uorganizowaniem takiej wyprawy zajął się znany nam agent Rządu powstańczego w Anglii, Ćwierczakiewicz, wraz z agentem litewskim Demontowiczem. Zebrali oni stu kilkudziesięciu ludzi, awanturników najrozmaitszych narodowości, kilkunastu oficerów, 1000 sztuk karabinów, 750 pałaszy kawaleryjskich, 200 lanc, 100 tysięcy ładunków karabinowych, 50 centnarów prochu, 2 miliony kapiszonów i wreszcie wynajęli parostatek „Ward Jackson“, którego kapitan, Weatherley nazwiskiem, Anglik, zobowiązał się za 25.000 złp. wyprawę dostawić do wybrzeży kurlandzkich lub żmudzkich. Zrazu zamierzano tę wyprawę a zarazem dowództwo naczelne na Litwie powierzyć Mierosławskiemu, ale ten po długich pertraktacjach, zrażony zapewne katastrofą Krzywosądzką, stawiał najprzód takie warunki, że ich przyjąć nie można było, a wreszcie wręcz odmówił. Nie łatwo było znaleźć między ówczesnymi Polakami człowieka, któryby się podjął dowództwa tej awanturniczej ekspedycyi; nie mieliśmy nigdy z morzem do czynienia i nie lubimy morza. Stąd obaj rzeczenni komisarze mieli kłopot nielada, komuby powierzyć dowództwo wyprawy.

Bawił wówczas w Londynie niejaki Łapiński, rodem z zaboru austriackiego, cieszący się wśród międzynarodowych kół rewolucyjnych tej doby dość rozgłosną sławą z tego, że walczył pod imieniem Tefik-beja przez trzy lata na Kaukazie na czele czerkiesów przeciw Rosyi. Miał on tytuł pułkownika i uchodził za dużą zdolność wojskową, choć co do jego charakteru nie bardzo pochlebną miano o nim opinie wśród rzeczonych kół rewolucyjnych. Uważano go wprost za kondotyera, nie mającego żadnych stałych przekonań politycznych. Z rodu szlachcie galicyjski,

służył przez jakiś czas w wojsku austriackiem i zachował pewną skłonność ku Austryi. Patryotyzm jego polski polegał na tem, że nienawidził Rosyi głęboko i namiętnie, a znając dobrze rzemiosło wojenne, nie odznaczał się zdolnościami. Był pyszny, zarozumiały bardzo, a w dowództwie powierzonej mu wyprawy okazał dużo nieudolności¹⁾. Będąc od czasu swych wypraw kaukazkich w stosunkach z generałem Władysławem Zamoyskim, niechętnie był z tego powodu widziany w kołach Czerwieńców powstańczych; z tem wszystkiem nie mając nikogo innego, po odmowie Mierosławskiego, postanowiono ostatecznie Łapińskiemu powierzyć ze wszech miar niebezpieczną wyprawę. Dowództwo jej przyjął on, jak sam powiada, dość niechętnie, czemu jednak wierzyć nie należy i niby uległ tylko namowom generała Zamoyskiego, który mu bardzo mądrze powiedział: „spuść się na Pana Boga, On cię już z tylu kłopotów żywego wyprowadzi, pomoże i tutaj. Jeżeli odmówisz, to wezmą pierwszego lepszego i ten jeszcze wszystko w ręce Moskali zawiedzie“. Obu komisarzy zniechęcił on od razu do siebie obejściem szorstkimi i tonem nakazującym. Przygotowanie wyprawy pochłonęło znaczne fundusze; sam oddział składał się ze 150 ludzi, z których trzecią część stanowili cudzoziemcy (22 Francuzów, Włochów 16, Anglików 3, Niemców 3, Szwajcarów 2, Belgów 2, Węgrów 2, Holender 1, Kroat 1, a nawet 2 Rosyan — istna wieża Babel). Zebrano jeszcze trochę pieniędzy; głośny w tej dobie rewolucjonista włoski Mazzini dał 400 funtów szterlingów, za które kupiono trzy armatki. Okręt, którym płynąć miano, „Ward Jackson“, był prawie nowy, mocno zbudowany, z maszyną o sile 300 koni i miał szybkość trzy-nastu węzłów na minutę. Sam kapitan Weatherley był

¹⁾ Opisał on swe przygody morskie w książce p. t. „Powstańcy na morzu w wyprawie na Litwę. Z pamiętników pułkownika P. Łapińskiego (Lwów 1876)“, w której w całej pełni występuje ta zarozumiałość i wiara w swoją nieomyślność.

osobistością lichą, niegdyś handlował murzynami, a jak się później okazało, był zawołanym tchórzem.

Wieść o przygotowującej się wyprawie morskiej na brzegi Żmudzi, dzięki niepowściągliwej gadatliwości polskiej, rozeszła się wszędzie, dzienniki tu i owdzie o niej napomykały i w takim stanie rzeczy wszystkie tajniki tej wyprawy doskonale były znane rządowi rosyjskiemu. Udało mu się nawet wcisnąć do oddziału swego szpiega, niejakiego Tugendholda, żyda z Warszawy, który pod nazwiskiem Stefana Polesa, potrafił sobie tak dalece zyskać zaufanie lekkomyślnego i niezbyt daleko widzącego Łapińskiego, że zrobił go swoim sekretarzem. Przez Polesa więc rząd rosyjski miał o wszystkim jak najdokładniejsze wiadomości¹⁾. To też na parę dni przed wyruszeniem w drogę „Ward Jacksona“, zawinęła nagle do portu londyńskiego korweta rosyjska o dwunastu armatach i w odległości stu sążni od statku polskiego zarzuciła kotwicę. Udało się wprowadzić Łapińskiemu za staraniem Mazziniego, popsuć maszynę na korwecie rosyjskiej, tak, że zaledwie w parę dni mogła za wyprawą polską wyruszyć, ale niemniej przeto

¹⁾ Łapiński w swem sprawozdaniu usiłuje bronić Polesa i twierdzi, że «mając go blisko siebie, tem lepiej go obserwować mogłem, zresztą używałem go w Londynie tylko do mało znaczących czynności, jakoto do zakupywania instrumentów muzycznych dla trębaczy, formowania małego oddziałku z 12 muzykantów, do tłumaczenia regulaminu mustry z niemieckiego języka na polski itp., gdzie talentu szpiegowskiego zużytkować nie był w stanie. O wyprawie wiedział tyle, co każdy ochotnik (bagatela!)...» Obrona to słaba i nie wytrzymuje krytyki. Żaden człowiek rozumny i ostrożny nie bierze nieznannej sobie i awanturniczej osobistości na sekretarza, zwłaszcza mając naczelne kierownictwo tak niebezpiecznej wyprawy. W korespondencji Rządu Narodowego, wydrukowanej w tomie V «Materiałów do historii powstania», znajdujemy dwukrotną wzmiankę o szpiegowskim charakterze Polesa na str. 338 i 370. Osobistość to lajdarka: skradł on brylanty aktorki duńskiej, hr. Hamilton, które miała ofiarować na rzecz sprawy polskiej. Przypuszczając nawet, jak to utrzymuje Łapiński, iż Poles dopiero później został szpiegiem, to w każdym razie przyjęcie takiego podejrzanego indywiduum na swego sekretarza, dowodzi wielkiej lekkomyślności Łapińskiego.

sama wyprawa była zdradzoną i na wybrzeżach rosyjskich przedsięwzięto środki ostrożności. Rzecz była tak głośną, że kiedy Łapiński puścił się nakoniec na morze d. 25 marca, to już nazajutrz Bismarek skarżył się przed posłem angielskim w Berlinie, że „steamer angielski „Ward Jackson“ wypłynął z Londynu ku brzegom pruskim z bronią i amunicją dla powstańców polskich“¹⁾, a już w parę tygodni potem, kanclerz rosyjski ks. Gorczakow mówił o tem samem lordowi Napierowi w Petersburgu, przyczem zauważył, że „rząd królowej mógłby ostrzej wystąpić przeciw tego rodzaju rekrutowaniu“²⁾. Wiedziano więc w rządach nam nieprzyjaznych jak najdokładniej o wszystkim, i w takich warunkach nie mogło być mowy o tem, żeby się wyprawa udała. Już w porcie londyńskim Gravesend, gdzie znajduje się komora celna, za staraniem ambasady rosyjskiej, pomocnik naczelnika komory, wskutek rozkazu z Londynu, udał się na pokład „Ward Jacksona“, kazał sobie otworzyć skrzynie i znalazłszy w nich broń, oświadczył, że kładzie na nią areszt, jako na kontrabandę wojenną. Oddalając się zostawił na pokładzie dwóch urzędników, ale Łapiński nie wiele myśląc, podniósł kotwicę i rzeczonych urzędników wysadził na ląd w porcie Suthend³⁾. Tym sposobem wyruszono nakoniec.

Na morzu nie groziło już wyprawie bezpośrednie niebezpieczeństwo. Korweta rosyjska, która strzegła w porcie londyńskim „Ward Jacksona“, nawet gdyby wyreperował swą maszynę, doścignąć go zdołała, to nie mogła go atakować gdzieindziej, jak na swoich wodach. Reszta floty bałtyckiej rosyjskiej, była w tej chwili ubezwładnioną lodami w dwu wielkich swoich portach w Kronsztadzie i Rewlu, i według zwykłych wyrachowań nie mogła się ruszyć

¹⁾ Depesza Sir A. Buchanana do hr. Russel (La Pologne et la diplomatie, 210).

²⁾ Loc. cit. 266.

³⁾ Później wytoczono za to proces kapitanowi Weatherley o naruszenie przepisów celnych i sąd skazał go na 50 funtów szterlingów nawiązki i 10 funtów kosztów sądowych.

jak w połowie kwietnia. Pod tym względem Łapiński mógł być spokojny, że na morzu nie grozi mu żadne poważniejsze niebezpieczeństwo i całą jego dążnością powinno być jak najszybsze dostanie się do wybrzeży żmudzkich, im bowiem później się tam dostawał, tem większy mógł napotkać opór. Jak tylko wieść się rozeszła o wyprawie polskiej, obydwie rządy, tak pruski, jak i rosyjski, przedsięwzięły w cichości wszelkie możliwe środki, by jej przeszkodzić. Prusacy na północ od Memla, we wsi Nimmersaat, otoczonej dokoła gęstym lasem, dochodzącym do granicy rosyjskiej, oraz w innych wsiach wzdłuż wybrzeży, aż do latarni morskiej w Memlu, rozstawili gęste patrole z piechoty (pułk 4 grenadyerów wschodnio-pruskich) i jazdy złożone. Od strony rosyjskiej, przysłano do Połagi pułk kozacki, a wybrzeża obsadzono sześciu kompaniami piechoty i półbaterią artylerii. Między Libawą i Memlem, krążyły dwa okręty wojenne rosyjskie, a krzyżowiec, któremu w Londynie Mazzini popsuł maszynę, puścił się także w pościg za Łapińskim.

W takich warunkach jedynie przy nadzwyczaj szybkim działaniu, można było liczyć na możliwość wylądowania na owych upragnionych brzegach żmudzkich. Tymczasem kapitan angielski widocznie zwłóczył i o ile z początku cuda obiecywał, w miarę posuwania się naprzód coraz kwaśniejszą okazywał minę, a Łapiński nie potrafił temu zapobiedz. Zrazu dość szybko się posuwano i już na trzeci dzień koło południa, zatrzymano się w przystani Helsinborgu, gdzie przybył Bakunin, głośny w tej dobie rewolucjonista rosyjski, który miał wziąć udział w wyprawie w celu podburzenia do powstania starowierców, znanych nam już Burlaków inflanckich i kurlandzkich. Już sam ten pomysł świadczy, jak lekkomyślnie cała rzecz była przedsięwzięta i na jak wątłych budowano podstawach. Zaszła niebawem katastrofa Krzesławska, była dowodem, że owe nadzieje były z gruntu zwodnicze, i że mniemane stosunki Bakunina z owymi starowiercami, na które wiele liczono, były po prostu fikcją, jednym z owych snów

nocy wygnania rewolucjonistów naszych i nie naszych, które tak straszne, tak krwawe za sobą skutki pociągnęły. Z Bakuninem przybył także p. Waleryan Kalinka, późniejszy ksiądz Zmartwychwstaniec i autor znakomitych prac historycznych o sejmie czteroletnim. Przebywał on w tej porze z księciem Konstantym Czartoryskim w Szwecji, gdzie wspólnie starali się o to, by zyskać jakieś poparcie dla sprawy polskiej. Tutaj to nakoniec, w Helsinborgu Łapiński otrzymał dwie nader niepomyślne wiadomości. Pierwszą był telegram, jaki otrzymał Bakunin z Kłajpedy, donoszący, że na wybrzeżach żmudzkich oddziały nieprzyjacielskie wzmocnione zostały jednym batalionem strzeleckim i kilku setkami kozaków, że spodziewane są jeszcze inne wojska, że nakoniec o powstańcach nie tam nie słychać. I nie mogło być inaczej, bo, jak wiemy, Sierakowski dopiero w końcu marca przybył do Wilna, to jest mniej więcej w chwili, gdy „Ward Jackson“ puszczał się z londyńskiego portu na swą awanturniczą wyprawę, i miesiąc cały miał jeszcze upłynąć, nim wódz powstańców litewskich mógł rozpocząć akcję wojenną. Z tego wynika, że Łapiński równocześnie przedsięwziął swą wyprawę; ale tak zawsze bywa na wojnie, gdy skombinowane działanie wychodzi z dwu oddalonych punktów. Tu było to tem naturalniejsze, że tymi punktami było z jednej strony Wilno, z drugiej Londyn, przedzielone znacznymi przestrzeniami i pozbawione możności łatwej komunikacji.

Telegram kłajpedzki wywarł na Łapińskiego dość przygnębiające wrażenie, które spotęgować się miało wiadomością, że woda na parostatku „Ward Jackson“ zupełnie się popsuka i stała się niezdatną do picia. Okazało się, że zrobił to umyślnie kapitan Weatherley, aby zmusić Łapińskiego do zaniechania tak desperackiej wyprawy, zwłaszcza, że w Helsinborgu chodziły pogłoski, jakoby w portach bałtyckich rosyjskich lody nagle puściły i flota wojenna rosyjska tym sposobem oswobodzona, mogła już na morzu koniecznie położyć wyprawie polskiej. Tak wczesne puszczenie lodów, zdarzające się zaledwie raz na lat kilkadziesiąt,

było jednym z tych nieszczęść, które nawet sama natura zdaje się stawiać, by przeszkodzić usiłowaniom polskim. O napełnieniu świeżą wodą olbrzymich i nieruchomych beczek na okręcie, przy wzburzonym morzu i niepogodzie, stale od wyjazdu towarzyszącej „Ward Jacksonowi“, nie mogło być nawet mowy, zwłaszcza, że w małym porcie Helsinborskim nie miano ani łodzi, ani przyrządów odpowiednich.

Wobec tego postanowiono udać się do Kopenhagi, by tam najprzód w agencyach morskich przekonać się, czy istotnie lody w portach rosyjskich puściły, a potem, aby nabrać wody. Niestety! owa złowróżbna wieść o lodach okazała się prawdziwą, a co gorsza, donoszono, że koło portu pruskiego Wolberga widziano okręty wojenne rosyjskie, które lada chwila mogą się pokazać pod Kopenhagą. Trzeba więc było jak najprędzej stąd uciekać, i Łapiński widząc niemożność wylądowania na brzegach Żmudzi lub Kurlandyi, postanowił dokonać tego na wyspie Oland, oddalonej od brzegów żmudzkich zaledwie o 145 mil morskich, tam założyć rodzaj depo i stamtąd czynić wyprawy na Żmudź. Wyspa Oland należy do Szwecyi i Łapiński liczył na to, że nim rząd szwedzki pod naciskiem gabinetu rosyjskiego zdobędzie się na internowanie powstańców, upłynie zawsze kilka tygodni, których będzie można korzystnie użyć. Ale i ten zamiar spełził na niczem wskutek tego, że w Kopenhadze kapitan Weatherley zabrawszy majtków opuścił okręt i więcej się nie pokazał. Tchórzliwy ten Anglik lękał się o swe życie i uważał, że cała wyprawa ma charakter zbyt awanturniczy. Gdy więc dowiedział się, że wieść o żegludze „Ward Jacksona“ wszędzie się rozeszła i wszystkie dzienniki o niej pisały, gdy prócz tego Łapiński mu oświadczył, że w razie napadu Rosyan, raczej w powietrze się wysadzi ze swymi, niżby miał poddać się nieprzyjacielowi, stracił zupełnie odwagę i po prostu nie chciał brać udziału w przedsięwzięciu, z góry skazanemu na niepowodzenie. Z całą więc załogą potajemnie opuścił okręt.

Wieści o tem, że władze rosyjskie doskonale są poinformowane o wszystkich ruchach „Ward Jacksona“ nie były płonne. Już w Londynie, jakśmy wspomnieli, miano polskich strażników na oku. W Kopenhadze, poseł rosyjski przy dworze duńskim, baron Nicolai, dowiedział się o pobycie tamże „Ward Jacksona“, a dowiedzieć się musiał, bo, jak zwykle, Polacy nie zachowywali potrzebnych ostrożności, i natychmiast zatelegrafował o wszystkim do swego rządu i zażądał przysłania okrętów wojennych rosyjskich, któreby miały na oku statek polski i w razie potrzeby ścigać go mogły. W takim stanie rzeczy pobyt dłuższy w porcie Kopenhagi groził niebezpieczeństwem i rząd duński wyraźnie chciał się jak najprędzej pozbyć niemiłych gości, więc postanowiono szukać schronienia w Szwecyi, i wynajawszy na prędkę garść marynarzy duńskich, udano się do Malmö, portu leżącego na południowo-zachodnim krańcu lądu szwedzkiego.

W Malmö i wogóle w Szwecyi okazywano nadzwyczajną sympatyę dla sprawy polskiej i przyjmowano powstańców z entuzjazmem i gościnnością. Zarządzono składki, król szwedzki ofiarował 20.000 talarów, z Hamburga przysłano 3.700 talarów, z Danii 6.000, ze Szwecyi 4.000, i z innymi funduszami zebrał Łapiński ogółem 62.000 franków. Rząd Narodowy w Warszawie nie bardzo był zadowolony z tego przydługiego nieco pobytu Łapińskiego w Szwecyi i z tej żebraniny. W d. 10 kwietnia Giller pisał do komisarza Demontowicza¹⁾, że „wyprawa na Żmudź zarzuconą być nie może i do skutku bądź co bądź przyjść powinna“; zalecał komisarzowi, aby użył „wszystkich środków i sposobów, ażeby najspieszniej i najpomyślniej wysadzić broń i ludzi na brzegi ojczyste“. Rząd posyłał dwa tysiące rubli, bo, jak nie bez słuszności utrzymywał, „nie należy przed Szwecyą okazywać biedy swojej, a występować w powadze siły i zamożności“, a „sytuacja wasza co do pieniędzy musi być niezależną dla tego, ażeby się stała ważną pod

¹⁾ Materiały do historii powstania V, 176.

względem politycznego znaczenia“; zalecał, aby pieniądze złożone przez Szwedów obrócić na zbieranie ochotników szwedzkich, na zakupienie broni w Szwecyi dla prowincyj litewskich. Rozkazów tych nie posłuchano, składki zarządzano i obracano je na potrzeby wyprawy, której niepowodzenie stale towarzyszyło. Stojący w porcie Malmö „Ward Jackson“ o mało nie stał się pastwą ognia, a co gorsza, znaczna ilość znajdującego się na nim prochu mogła zburzyć cały port i miasto i w ten sposób wywdzięczyć się Szwedom za ich gościnność. Ogień pokazał się d. 12 kwietnia; węgle szczelnie zapakowane, same się zapaliły. Tym razem Łapiński i jego podwładni wzięli się energicznie do ratunku i ogień szczęśliwie ugasili.

Z uwagi, że „Ward Jackson“ był już bardzo znany, a wyruszenie jego z Malmö, rozniesione telegrafem sprawiłoby w ruch okręty rosyjskie i wojsko na wybrzeżu kurlandzkim, więc Łapiński postanowił potajemnie na morzach duńskich przenieść się na inny, umyślnie na ten cel nabyty statek i na nim dokonać zamierzonej wyprawy. Ponieważ nabycie parowca, za który żądano 200 tysięcy franków, okazało się niemożliwym dla ubogiej kieszeni powstańców, więc zakupiono mały żaglowiec „Emilie“ za 6.340 talarów. Łapiński ułożył plan, że „Ward Jackson“ popłynie do Anglii, by tym sposobem zmylić czujność nieprzyjaciół, a on tymczasem na „Emilii“ ruszy na wyspę Oland, a stąd na wybrzeże pruskie, by w okolicy Memla wylądować. Ale nowe nieszczęście spotkało tę wogóle nieszczęśliwą wyprawę. Podczas kiedy Łapiński bawił w Kopenhadze i traktował tam o nabycie „Emilii“, w Malmö pozostawiony na zastępstwie kapitan Tyszkiewicz, wprowadził „Ward Jacksona“ do portu wewnętrznego, bo się lękał, by mu nowa załoga angielska, gotująca się potajemnie na rozkaz Łapińskiego do wyjazdu, nie uciekła. Tutaj w porcie wewnętrznym, a więc w obrębie granic szwedzkich, władze nie mogły pozwolić, aby okręt uzbrojony gotował się do wyprawy na Rosyę, zostającą w stanie pokoju z państwem szwedzkim. Prócz tego w pobliżu Istadtu ukazał się okręt wo-

jenny rosyjski, prawdopodobnie krzyżowiec ten sam, któremu w Londynie popsuto maszynę, a który widocznie okazywał złe zamiary. Wobec tego rząd szwedzki, nie bez ukrytej myśli dopomożenia powstańcom polskim, postanowił głośno i ostentacyjnie nałożyć sekwestr na okręt polski. Broń skonfiskowano i Łapiński zaledwie z 42 karabinami i tyłuż pałaszami, opuścił d. 28 maja port Malmö udając się do Kopenhagi, gdzie zakupiono nieco nowej broni i już na żaglowcu „Emilie“, ruszono na morze. Oddział składał się teraz ze 120 ludzi, a sam Łapiński płynął jak na stracenie, nie mając żadnej nadziei, by ta tak pełna niepowodzeń i strat wyprawa, miała jaki pomyślny skutek. „Zanadto już znałem położenie powstania na Litwie, pisze on w swem sprawozdaniu, aby sobie robić najmniejszą iluzję powodzenia. Jechałem mówiąc w duchu: „*Polonia morituri te salutant!*“ Skoro się z takim uczuciem i z takim przekonaniem przystępuje do dzieła, to oczywista rzecz, że dzieło to uważać należy za przepadłe. Jakkolwiek cała ta wyprawa miała charakter awanturniczej lekkomyślności, ale gdy się ją raz podjęło, należało wszystkie siły duszy i serca wyteńczyć, by jej dokonać, a życie nas uczy, że przy zapale i sprężystej woli nieraz najniemożliwsze z pozoru zamiary doprowadza się do skutku. Tej wiary, góry przenoszącej, tej ufności dopięcia swego, Łapiński nie miał i rzecz całą zmarnował zupełnie. Już w tej porze, jak to zaraz zobaczymy, Sierakowski był pokonany, podać więc ręki Łapińskiemu nie mógł, sama zaś wyprawa, nie przywożąc Litwie ani broni, ani ludzi, ani zapasów wojennych, celu po prostu nie miała. Niewątpliwie duża w tem wszystkim leży wina w samym Łapińskim, w jego częstych wyjazdach z Malmö, ukrywania swych zamiarów przed tymi, których zostawiał na swe miejsce, napawania się niezasłużonemi owacyami, których mu poczciwi Szwedzi nie szczędzili, ale też w części zmarnowanie wyprawy przypisać należy przysłowionemu nieszczęściu Polski.

Plan Łapińskiego teraz był taki, aby zbliżyć się do zatoki Kurońskiej i tam wylądować, na wazkim języku

ziemi, dzielącym tę zatokę od morza, naprzeciw zakładu kąpielowego, niedaleko Memla. Zakład ten oddalony od brzegu morza o ćwierć mili polskiej, miał Łapiński zamiar zająć, wszystkie łodzie znajdujące się tamże zabrać i na nich dopłynąć do przeciwległej wioski, a stąd już lądem do granicy litewskiej, odległej o jakie półtrzeciej mili, pomaszerować. Liczył, że cała ta operacya da się dokonać w ciągu nocy, zapominając, że w tej porze w tych szerokościach geograficznych noce są krótkie i widne. Wysłany jeden z oficerów wyprawy, Malinowski nazwiskiem, dla zbadania, czy koło zatoki niema wojska, oraz żeby mieszańcom wytłomaczyć powód zatrzymania się okrętu na morzu tem, że rudel się złamał, powrócił z pomyślną wiadomością, że zakład kąpielowy jeszcze nie otwarty i że całą siłę zbrojną stanowi jeden żandarm, oraz że na miejscu znajduje się telegraf. Na podstawie tych wiadomości, Łapiński ułożył plan, ażeby na dwu łodziach, jakie posiadano, gdy noc zapadnie, a więc koło godz. 10 wieczorem, trzema zawrotami dostać się do lądu, otoczyć zakład kąpielowy od razu, tak, żeby z niego nikt nie mógł dać znać do Memla, żandarma przyaresztować, telegraf popsuć, z sąsiedniego folwarku zabrać siłą konie i wozy i na nich puścić się do granicy rosyjskiej, poczem wozy te, dobrze opłaciwszy, odesłać. Na nieszczęście z zapadnięciem mroku, niebo dotąd pogodne, pokryło się chmurami i gdy dwie łodzie z samym Łapińskim i pierwszym transportem kilkudziesięciu ludzi odplynęły od okrętu, zerwała się burza, która jedną łódź wywróciła i pomimo podanego ratunku, 19 ludzi utonęło. Oddziało to tak na niefortunnego wodza tej garści straceńców, że wylądowania zaniechał, zawrócił z powrotem do wyspy Gotland i ekspedycya, która tyle kosztów, usiłowań i ofiar ludzkich pochłoneła, na tem się zakończyła. Łapiński powrócił do Londynu i tam oddział swój rozpuścił, sam zaś już więcej na widownię historyczną powstania nie wystąpił i zginął w szarzyźnie popolitości codziennej.

Podczas tych przygód na morzu Bałtykiem, przygód przypominających poetyczne awantury Orlandowe, na Żmudzi, w głębi jej lasów, zawiedziona została krwawo ostatnia nadzieja powstania litewskiego. Chcemy tu mówić o Sierakowskim i o jego wyprawie do Kurlandyi. Zostawiliśmy go, gdy z Kowna przybył do miasteczka Szat, gdzie dotychczasowy wojewoda żmudzki Dłuski-Jabłonowski zdał mu swą władzę i dokąd zaraz potem nowy wojewoda, przybrawszy pseudonim Dołęgi, zwołał różnych dowódców drobnych oddziałków, a mianowicie księdza Mackiewicza, Kołyszkę i Dominika Maleckiego, i niby pod pozorem narady, objawił im właściwie swe plany i zamiary. Jak wiemy, plan ten polegał na tem, by dotrzeć koniecznie do brzegów morskich i tam podać rękę Łapińskiemu, wiozącemu broń, działa, ludzi i zapasy wojenne. Prócz tego w planie tym leżało wywołanie powstania w Kurlandyi, która była dotąd niemyym widzem wypadków, a którą spodziewano się poruszyć. Dla dokonania tego Sierakowski uważał, że należy wszystkich sił użyć, jakie powstanie żmudzkie posiadało, w czem niewątpliwie miał rację, nie miał jej tylko w tem, że postanowił te siły skoncentrować w jeden duży oddział pod swoim naczelnem dowództwem. Napróżno mu przedstawiano, że gdy taki oddział zostanie pobity, co jest bardzo możliwem, od razu całe powstanie żmudzkie może upaść; rad tych nie słuchał, chciał z powstańców wytworzyć wojsko regularne, wierzył w ich dzielność i w małą wartość żołnierza rosyjskiego, co dowodzi, że pomimo służby w wojsku rosyjskiem, nie umiał sobie zdać sprawy z tego, na co patrzył, był raczej marzycielem i entuzystą, jak człowiekiem praktycznym, umiejącym zważyć na szali rozumu wszystkie przymioty i wady nieprzyjaciela. Jakkolwiek bowiem wojsko rosyjskie w tej dobie było mocno zdeorganizowane, wszelako zaprzeczyć nie można, że żołnierz to był dobry, wytrwały, uparty w boju, a nade wszystko wyćwiczony i uzbrojony należycie, czego powstańcy, bezwątpienia waleczni, nie posiadali. W nowoży-

tnych bowiem wojskach nie zwycięża waleczność, ale organizacja i broń, a Sierakowski te dwie rzeczy lekceważył i liczył, że entuzjazmem i bitnością jest w stanie te braki zastąpić. Entuzjazm, zwłaszcza u nas, może wielkie czyny płodzić, ale na krótko; w walce z nim zwycięża ten, kto jest wytrwalszy i lepiej przygotowany. Sierakowski tak dalece o tych prawdach zapominał, że twierdził, iż dość jest jednego partyzanta na kilku szeregowców rosyjskich¹⁾.

Wieść o objęciu przez Sierakowskiego naczelnego dowództwa na Żmudzi, według wszystkich relacji polskich, miała obudzić powszechny tam zapal i najobojętniejszych zachęcić do wzięcia udziału w powstaniu²⁾, jakkolwiek wy-

¹⁾ *Jerzy Laskarys*, Wyprawa Sierakowskiego na Kurlandję. (Pismo zbiorowe, wydawane przez M. Dzikowskiego w Dreźnie. Zesz. I).

²⁾ Pod tym względem autorzy polscy, piszący o Sierakowskim, są ze sobą zgodni. Cytowany już przez nas *Jerzy Laskarys*, wogóle nie entuzjazmuje się Sierakowskim, powiada: «zjawienie się nazwiska Dolegi, wielki wpływ wywarło na usposobienie ogółu i znacznie ożywiło ruch ludności wiejskiej, bo jednocześnie z objęciem przez niego dowództwa, całe kowieńskie obywatelstwo, z dawnego umiarkowanego stronnictwa złożone, mając w uczonym sztabowym oficerze zupełną ufność, jak najszczerzej zaczęło popierać propagandę zbrojnego wystąpienia i w chwili zapalu, nie szczędząc ani pieniędzy, ani zachęty, ani oglądając się na skutki swego postępowania, dołożyło wszelkich starań, aby Dolega w jak najkrótszym czasie mógł zebrać znaczne siły zbrojnego ludu i od razu zaimponować wrogom świetną wygraną». Przypuśćmy, bo da się to jeszcze pojąć, że szlachta żmudzka mogła się rozgorączkować nominacją Sierakowskiego, o którym to i owo mogła słyszeć, ale chłop żmudzki, który zapewne nic o nim nie wiedział, z jakiej racji miał być na wiadomość tej nominacji zachwycony, tego zrozumieć w żaden sposób nie można. W ogólności w relacjach polskich o Sierakowskim jest wiele przesady. *Giller*, *Historia II*, 289, doprowadza tę przesadę do maximum, powiadając, «że nie tylko Żmudź zelektryzowaną została, gdy stanął (Sierakowski) na czele jej synów, nie tylko Litwa, ale Polska cała zwracała pilnie swe serce i oko ku wodzowi», że «Moskale niespokojnie powzięli wiadomość o jego ruchu, a wielu niższych oficerów, oczekiwało na pierwsze stanowcze zwycięstwo lub oczyszczenie Żmudzi, ażeby przyłączyć się do powstania. Z dworu W. Ks. Konstantego i z jego sztabu donoszono nam wówczas o wrażeniu, jakie wywołało

daje nam się to bardzo wątpliwem, bo niewiadomo dla czego nieznany tam zupełnie człowiek, miałby tak powszechną wzbudzić ku sobie ufność i zapal, którego tacy ludzie jak Mackiewicz, Kuszejko i inni dowódcy, od dawna osiadli na Żmudzi, znający doskonale miejscowość i mający rozległe stosunki, wzniecić nie potrafili. Jeżeli zdołał on, w stosunkowo dość krótkim czasie, zebrać oddział znaczniejszy, a nawet największy, jaki kiedykolwiek w prowincjach Zabrzanych istniał, to najprzód dlatego, że połączył pod swą władzę istniejące już partye powstańcze, a potem, że Żmudzini przedstawiali z wielu względów podatny bardzo materiał insurekcyjny. Lud jest katolicki, stosunkowo zamożny i oświecony, fanatycznie przywiązany do swej wiary, stąd pozostający pod silnym wpływem duchowieństwa, bardzo patriotycznego, które stale budziło nienawiść do schyzmatycznej Rosji. Dotychczasowi dowódcy oddziałów na Żmudzi, kryjąc się po lasach, z których rzadko i tylko ukradkiem się wychylali, nie mogli wzbudzić zaufania i wiary w powodzenie tej wojny, Sierakowski zaś przeciwnie, występował jawnie, posuwał się naprzód go-

zanominowanie Sierakowskiego na naczelnika sił zbrojnych Wojew. Kowieńskiego. Dziwili się najprzód, że porzucił dla niepewnych losów ruchawki, świetną karierę w służbie carskiej i byli pewni, że pokona wojsko rosyjskie na Żmudzi». O tem nie wątpimy, że w sferach wojskowych rosyjskich dziwiono się i mówiono o Sierakowskim, bo go tam znano, jako ulubieńca Milutyna, jako sztabowca wybitnego, ale żeby cała Polska i Litwa «zwracała na niego swe serca i oczy», to już jest wierutną bajką. Sierakowski nie dokonał żadnego głośnego czynu, nie napisał znakomitego dzieła, nie słowem takiego nie zrobił, co by mogło mu w kraju wyrobić sławę i imię głośnem uczynić. Jeżeli tu był znany, to tylko w szczupłych kołach rewolucjonistów. Skąd zaś «imię Dolegi było szeroko znanem na Żmudzi», jak zapewnia *Pułkownik Struś* (Ludzie i wypadki I, 138), odgadnąć nie umiemy i zaliczamy na karb tej przesady, jaką znajdujemy w sądach o Sierakowskim. W najlepszym opisie kampanii Dolegi, skreślonym przez *Wacława Koszczyca* (Zyg. Sierakowski, naczelnny wódz żmudzki w r. 1863, Lwów 1891) tych przesadnych pochwał i tych baśni o entuzjazmie, jaki miało budzić samo imię Dolegi, nie spotykamy wcale.

ścińcami, zatrzymywał się we wsiach¹⁾, i przytem dzięki poprzedzającej go propagandzie, a w części umiejętnemu obchodzeniu się z ludem, potrafił wzbudzić w nim tę wiarę. Sam był z natury swej i charakteru wielkim entuzyastą, a tego usposobienia w nim nie osłabiły ani lata, ani wygnanie orenburskie, a entuzyazm ma to do siebie, że łatwo się udziela. Nie umiał z tego skorzystać i podobnie jak Łapiński na morzu, tak on na Żmudzi, zmarnował jeden z większych wysiłków powstania. Jako agitator nie miał sobie równego, ale jako wódz był zupełną miernością.

Wykonywując swój plan skoncentrowania w swym ręku wszystkich sił żmudzkich, nakazał zebrany w Szatach dowódczom, aby ze swoimi oddziałami stawili się w lasach Kremenciskich, w okolicy Kiejdan, i sam udał się w dniu 14 kwietnia do Łanczanowa, mając ze sobą wszystkiego sześciu ludzi, a w tej liczbie dwóch byłych oficerów rosyjskich: Antoniewicza i Ignacego Laskowskiego. Tu, już w cztery dni potem, d. 18 kwietnia nadciągnął ze swym oddziałem, do 200 ludzi wynoszącym, Bolesław Kołyszko, Litwin z rodu, wychowaniec szkoły wojskowej w Cuneo, który od lutego uwijał się po Żmudzi i kilka już stoczył potyczek. Tegoż dnia w nocy nadciągnął ks. Mackiewicz, na czele 70 zaledwie ludzi, wyłącznie chłopów żmudzkich; Kuszlejko, który właśnie na święta Wielkanocne rozpuścił był swój oddział, nie mógł przybyć, ale obiecywał, że jak tylko ludzi z powrotem zbierze, stawić się na oznaczone miejsce nie omieszka. Tym więc sposobem Sierakowski zebrał, wraz z kilkudziesięciu nowymi ochotnikami, przeszło 300 ludzi i z tą garścią rozpoczął kampanię, na której tak wielkie zakładano nadzieje. Ile w tej

¹⁾ W relacji *J. Laskarsa*, czytamy: „pochód Dołęgi nie był podobnym do dawnych marszów uprzednich drobnych oddziałków, zmuszonych zmieniać pozycje pod osłoną nocy, lub wśród gąszczy najskrytszych przesmyków; znaczna jego partya, czująca się na siłach, maszerowała we dnie jawnie i śmiało, czem się przyczyniła do obudzenia wiary w oręż narodowy i była zarazem żywą, czynną propagandą powstania».

garści powstańców było strzelców, t. j. uzbrojonych w broń palną, ilu kosynierów, dobać się ze znanych nam relacji nie mogliśmy, to tylko jest wiadomem, że starał się tej zbierania nie nadać organizację militarną, że dowództwo kawalerii (dwadzieścia kilka koni) oddał niejakiemu Łabanowskiemu; kosynierów, na którą to broń, nie bez słuszności, najwięcej liczył i z wyborowych ludzi ją złożył, Pawłowi Wiwulskiemu, poecie, jak go niektórzy pisarze nazywają. Adjutantem wodza został hr. Jarosław Kossakowski, także były oficer artylerii rosyjskiej; szefem sztabu wspomniany Ignacy Laskowski, a kapelanem ks. Dominik Peża, syn chłopca żmudzkiego, stąd mający wielki wpływ na chłopów; doktorem i kasyerem Ignacy Trzaskowski.

Sierakowski zaraz po połączeniu ze sobą Kołyszki i Mackiewicza, po jakim takim uorganizowaniu swego małego oddziałku, d. 19 kwietnia nakazał mu złożyć przysięgę na wierność ojczyźnie i odbyć spowiedź, poczem odprawiono nabożeństwo w obozie, a wódz wygłosił patryotyczną i pełną zapału mowę, i wyruszone wielkim gościńcem, prowadzącym do miasteczka Wodakl. Po drodze lud witał powstańców z wyraźnymi oznakami radości, a w Wodaklach kahał żydowski z rabinem na czele, przyjmował oddział chlebem i solą; tu i owdzie przy przejściu przez wsie, duchowieństwo katolickie występowało procesyjnie w komżach i z chorągwiami i ze śpiewem „*Te Deum laudamus*“ witało Sierakowskiego. Jakkolwiek do tych objawów niewątpliwie w większej części sztucznej radości, wywołanych obawą przed powstańcami, zwłaszcza u żydów, nie należało zbyt wielkiej przywiązywać wagi, jednakże Sierakowski tak był tem olśniony i tak wierzył w szczerość owych okrzyków, śpiewów, chleba i soli, że później, gdy go wieziono do Wilna, w przeddzień swej śmierci nieomal, wołał z uniesieniem do pilnujących go oficerów rosyjskich, że marsz jego był pochodem tryumfalnym, był krwawą protestacją (*c'était une protestation sanglante*), że wszędzie przyjmowano go jako członka rodziny, że chłopcy przyprowadzali swych synów, których on jednak brać nie

chciał, bo ludzi miał dosyć. W rzeczy samej oddział jego przez napływ nowych ochotników, nietylko może włością, ile młodzieży szlacheckiej i służby dworskiej, wzrastał powoli, ale stale.

W marszu tym kierował on się ku lasom rogowskim, gdzie rozłożył się obozem koło wsi Ginetyny. Ruch ten nie bardzo da się zrozumieć, gdyż Sierakowski posuwał się wprawdzie ku Kurlandji, ale w kierunku północno-wschodnim, tem samem oddalał się od głównego swego celu, t. j. od morza, i w ogólności, zdaniem naszym, punkt wyjścia całej tej kampanii, t. j. okolice Szat i Krakinowa, jako leżące w samym środku Żmudzi, zanadto były oddalone od morza, by marsz do tego ostatniego mógł się odbyć bezpiecznie i spokojnie. Przypuścićby można, że Sierakowski ten punkt, t. j. las krakinowski, wybrał dlatego, by umożliwić szybsze i łatwiejsze skoncentrowanie się oddziałów żmudzkich — jednakże uciążliwy do tego punktu pochód Kołyszki z za Niewiaży, kilka dni trwający wśród upartego pościgu nieprzyjaciela, zaprzecza temu stanowczo. Słowem już w tych początkach kampanii, Sierakowski dowiódł małych zdolności wojskowych, braku przezorności i umiejętności oryentowania się w położeniu. Jego pochód z okolic Krakinowa ku Rogowu, świadczy w dalszym ciągu, że nie umiał dążyć wprost do wytkniętego celu, i tem go tylko można chyba wytłomaczyć, że sądził, że w puszczy Rogowskiej znajdzie bezpieczne schronienie, by się lepiej uorganizować i oddział swój wyćwiczyć. Ale pod tym względem omylił się zupełnie. W Wilkomierzu, gdzie stała załoga rosyjska, już wiadano o oddziale Sierakowskiego i o jego marszu ku Rogowu, i d. 22 kwietnia wyruszyła kompania piechoty pułku newskiego i szwadron ułanów kurlandzkich pod wodzą kapitana Kawera, w kierunku lasów Rogowskich.

Sierakowski wcześniej o tem uwiadomiony, postanowił na posuwających się dość nieostrożnie Rosyan urządzić zasadzkę, ku czemu wybornie się nadawała miejscowość, tuż koło wsi Ginetyn. W lesie znajdowała się bagnista

dolina w kształcie klina, przez którą szła droga. W zwężeniu tego klina, po obu stronach drogi, Sierakowski umieścił swych strzelców pod wodzą Kołyszki i Antoniewicza, sam zaś z ks. Mackiewiczem stanął na czele kosynierów, by w chwili, gdy nieprzyjaciół posunie się na groblę i z obu stron powitany zostanie dosiebnym ogniem, zająć z kosynierami prawem ramieniem naprzód na tyły wroga i objąć go w serdeczny a śmiertelny uścisk. Tak się też stało. Kawer nie spodziewający się niczego, nie mający zresztą zamiaru bić się, bo się miało pod wieczór i chciał przenocować w Ginetynach, dość niedbale i nieostrożnie wszedł na groblę i powitany przeszywającym ogniem z obu stron, zmieszał się mocno i chciał się cofnąć, ale wtedy zastąpiła mu drogę kosynierka Mackiewicza. Starcie było bardzo żwawe; nieprzyjaciół bagnetem torował sobie odwrót i ostatecznie przerznął się w części przez kosynierów, w części bokami po bagnach, ale z ogromną stosunkowo stratą 40 zabitych i całego swego taboru¹⁾.

Drobne to zwycięstwo, nie mające żadnego znaczenia (bo gdyby nawet Sierakowski był do nogi wyciął oddział Kawera, to czyżby tym sposobem zapewnił nie już powstaniu, ale kampanii swojej tryumf), ogromną go natchnęło

¹⁾ Tak opowiada *J. Laskarys* loc. cit. *W. Koszyc* mówi o 80 zabitych Rosyanach. Pierwszy przytacza przytem czyn ks. Mackiewicza, który przy ostatnim ataku kosynierów «obaliwszy gołą ręką na ziemię chcącego go przeszyć bagnetem żołnierza, zabił go na miejscu, druzgocząc mu głowę podkutym obcasem». Raport urzędowy generała Lichaczewa, komendanta okręgu wileńskiego, wydrukowany w «Russkim Inwalidzie» z d. 7 maja i w innych pismach, oczywiście twierdzi, że «buntownikom zadano ciężką klęskę» (miateżnikom naniesiono silnoje porażenie) i że «zmuszeni zostali do ucieczki», pomimo, że wojsko «zdradziecko» (izmieniczeski) naprowadzone było na bandę 2000 ludzi(!) że straty ich były tak znaczne, że według doniesienia «stanowego prystawa» pochowano 120 ciał, a Rosjanie mieli tylko 5 zabitych i 7 raniionych. Takie to raporta wtedy pisali dowódcy rosyjscy; donosili zwykle, że «banda doszczętnie została wytępioną», by za kilka dni znowu donosić o zwycięstwie nad tą samą bandą.

ufnością do siebie i do swych podwładnych. Był przekonany, że teraz każdą kolumnę rosyjską, któraby mu drogę zastąpiła, roztrąci. Niewątpliwie, że pierwszy ten tryumf, zrobił silne wrażenie na ludności okolicznej, a rozniesiony przez stugębną famę, wszędzie wzniecił na Żmudzi wielki zapal i nowego wodza uważano już za przyszłego oswobodziciela ojczyzny. Ochotnicy tłumnie napływali do niego, tak, że co godzina nieomal rósł w siłę.

Sierakowski po potyczce ginetyńskiej zmienił pozycję, nie opuszczając jednak lasu Rogowskiego i rozbił obóz w miejscowości zwanej Jasną Górką, gdzie przepędził cały dzień następny i w nocy z d. 23 na 24 kwietnia ¹⁾, wyruszył dalej na północ, do puszczy Karpiewskiej, i zatrzymał się pod wsią Korsakiszkami. Tu czekał już na niego oddziałek Elizeusza Lutkiewicza, a w parę dni potem nadciągnął ze swą partią z powiatu Wilkomirskiego, Stanisław Kozakowski. Tak więc w dalszym ciągu Sierakowski ścigał do siebie wszystkie oddziały żmudzkie, przez co liczebnie wzrastał w siłę, ale w razie porażki narażał całe powstanie miejscowe na zupełną i niczem niewynagrodzoną klęskę. Tu pod Korsakiszkami miał wódz polski nową potyczkę z oddziałem pobitego pod Ginetydami, Kawera. Ten bowiem, po tej utarczce cofnął się ku Poniewieżowi, gdzie stał dywizyon ułanów petersburskich pod komendą majora Chitrowo i nieco piechoty, i już obaj razem, Kawer i Chitrowo, zabrawszy ze sobą pół szwadronu ułanów i dwie kompanie piechoty pułku narwskiego, ruszyli śladem powstańców i dopadli ich zaraz po przybyciu do Korsakiszek, t. j. d. 24 kwietnia. Po żwawej strzelaninie, obie strony rozeszły się bez żadnego zresztą rezultatu ²⁾. Chitrowo

¹⁾ We wszystkich relacyach tak polskich jak i rosyjskich o kampanii Sierakowskiego, zachodzi ogromny zamęt co do dat. O potyczce pod Ginetydami *Laskarys* utrzymuje, że została stoczona d. 22 kwietnia; *Koszczyk*, że d. 23 kwietnia, raport Kawera d. 22 kwietnia. Przyjeliśmy tę datę, bo jest zgodna z podaniem *Laskarysa*.

²⁾ Kawer, swoim zwyczajem, w raporcie nie omieszczał donieść, że «jeszcze raz bandę silnie poraził i rozprószył zupełnie» i stracił klasycznego jednego kozaka.

z Kawerem cofnął się do Poniewieża, a Sierakowski opuścił w nocy las Karpiewski i zatrzymał się w Warejkach, skąd niebawem wyruszył w kierunku południowo-wschodnim, znowu oddalając się od swej północnej wytycznej. Tym razem usprawiedliwić go można tą okolicznością, że w lasach Andronickich, do których pomaszerował, oczekiwał nań ze swą, dość stosunkowo liczną partią, Dominik Malecki, oficer z wojska rosyjskiego. Połączono się w zaścianku zwanym Tereźbor czyli Knebia, leżącym w głębi lasów Andronickich, o parę mil od miasteczka Onikszty. Pozycja była bardzo obronna, otoczona dokoła borem, zaciszna i ukryta. Tutaj powoli ściągali się różne drobne oddziały, ochotnicy napływali, tak, że Sierakowski wkrótce ujrzał się na czele 2500 ludzi ¹⁾. W Tereźborze zabawił kilka dni, dla ostatecznego uorganizowania zebranych tu sił. Całą piechotę, uzbrojoną w drobnej tylko części w karabiny i strzelby myśliwskie, a zato w ogromnej większości w kosy, podzielił na dziewięć batalionów, mniej więcej po 300 ludzi w batalionie. Pierwszy i drugi batalion pod komendą Żarskiego i Rodowicza, b. oficera rosyjskiego, stanowili partję Kołyszki; ks. Mackiewicz dowodził trzecim batalionem, Antoniewicz czwartym, piątym nie wiemy kto, szóstym Kozakowski, siódmym Malecki, ósmym Gasparowicz, dziewiątym Staniszewski, niegdyś oficer gwardyacki rosyjski. W tych batalionach było bardzo wielu chłopów żmudzkich, ale oprócz dziewiątego, uzbrojonego w broń palną, reszta piechoty dźwigała kosy, które Sierakowski

¹⁾ Sierakowski w swych zeznaniach w Wilnie, jeżeli można wierzyć pamfletowi *Cytowa* loc. cit. p. 48, miał mówić, że posiadał 5.000 ludzi, że jednak inni twierdzili, że miał zaledwie 1.500 do 2.000 ludzi. Taką cyfrę 2.000 ludzi, daje mu *Koszczyk* i *Struś* (p. 140 «przeszło dwa tysiące»). Rachunek nasz mniej więcej 2.500 ludzi, opieramy na podaniach *Laskarysa*, który twierdzi, że każdy batalion piechoty w Tereźborze «nie przewyższał liczby 300 ludzi», a ponieważ takich batalionów było dziewięć, więc cyfra nasza raczej jest za małą, jak za wielką. Niewątpliwie z dwudziestu kilku koni jazdy, ze służbą taborową i sztabem, Sierakowski liczył około 2.500 ludzi.

słusznie uważał za broń straszną i na umiejętne użycie których kładł wielki nacisk. Na obszernej płaszczyźnie w Tereźborze, Sierakowski nieustannie ćwiczył swych żołnierzy w odpowiednich manewrach. Kosynierka, przeważnie z chłopów złożona, ubrana w jednakowe szare siermięgi, czarne czapki i skórzane pasy, miała wygląd umundurowanego wojska i bardzo chętnie się uczyła, zwłaszcza, że ta nauka odbywała się w języku litewskim, którym instruktor ich, Wiwulski, władał doskonale. Jazda w oddziale była bardzo nieliczna, bo składała się zaledwie z dwudziestu kilku koni, pod wodzą starego Łabanowskiego¹⁾, Bielewicza i Olszewskiego. Sztab pozostał ten sam jak z początku, a więc Laskowski był szefem, hr. Kossakowski adjutantem wodza, Jan Kupść adjutantem szefa sztabu, Trzaskowski lekarzem i kasyerem, a ks. Peża kapelanem.

Tereźbor, mały folwarczek zajęty został przez powstańców, którzy mieścili się w stodołach, ordynach, nawet oborach. Dworek zamieniony został na fabrykę ładunków i skład broni, a spichrz na kwaterę sztabu. Za budynkami urządzono kuźnię obozową. Codzień rano i wieczór, odbywano uroczyste modlitwy; żołnierze uszykowani w czworobok, klęczeli nabożnie, a piękna, wiosenna pogoda nadawała wiele uroku i poezji tym jedynym, jaśniejszym chwilom powstania litewskiego. Sam Sierakowski w batorówce z zielonym wierzchem, w kapocie brązowej, w wojskowych rosyjskich spodniach jeszcze, jeżeli swą nikłą, szczupłą postawą zawiedłego blondyna, nie budził entuzjazmu, to jednak swemi mowami pełnemi podniosłego, idealnego zapału, swą wiarą w powodzenie, świetnym obrazem szczęśliwości prawie nieziemskiej w przyszłej wolnej Polsce, jaki rysował przed oczami słuchaczy, niewątpliwie porywał te dusze smętne litewskie i wciąż a miłością ku sobie je napawał. Zwoływano chłopów z okolicy i wódz

¹⁾ Łabanowski, według *Cyłowa*, miał zeznawać w komisji śledczej, że poszedł do powstania jedynie wskutek tego, że kobiety swemi naleganiami zmusiły go do tego.

odeczytywał im manifest Rządu Narodowego o uwłaszczeniu; godzinami całemi tłumaczył im znaczenie ich obecnego położenia, okazywał nieraz przesadną afektację dla włościan i ich broni kmieć, kosy. Opowiadają, że widząc raz starego kosyniera, chłopą zalewającego się łzami w czasie przysięgi wojska, przystąpił doń, ukląkł i błagał go o błogosławieństwo. Była to przesada, ale tłumaczy się ona niezwykle wysokim nastrojem duszy tego wojownika, przez Orenburskie uciski przeszłego, jego nerwową nadczułością, jakby dziś powiedziano. W oddziale nie było żadnych kar, bo temu marzycielowi, przez ciąg lat kilkunastu przetrwajającemu w sobie skrycie wszystkie bóle i wszystkie cierpienia polskie, zdawało się, że siłą ducha można góry przenosić, wysokim jego nastrojem utrzymać w korbach posłuszeństwa zbrojną gromadę powstańców. A jednak tak potrafił oddziaływać na tę gromadę, że kar nie było potrzeba; wszakże, czyby to wysokie napięcie ku ideałom zbiorowej duszy żołnierza, długo mogło istnieć? wątpimy. Nieraz z ojcowską łagodnością sądził i godził poważnionych; z cierpliwością wysłuchiwał skarg i chodził po obozie z duszą i okiem, gdzieś w mglistą dal wlepionem, otoczony gronem chłopów, księży i szlachty, tłumnie do Tereźboru się zjeżdżającej, by obaczyć wojsko litewskie i wodza litewskiego. Może już wtedy widział ponury konniec szubieniczny tego hetmaństwa swojego; dość, że wszystkim patrzącym na niego w cichym, ukołysanym szumem borów sosnowych zaścianku Tereźborskim, wydawał się głęboko smutnym i głęboko melancholijnym. Snać, całą tę swoją kampanię miał on za jakiś rapsod rycerski, za epopeję poetycką, z tragicznem końcem rozwiązaniem, które już może widział przed sobą w przestrzeni błękitnej nieba żmudzkiego... Stąd był niewypowiedzianie smutny i niewypowiedzianie dobry...

Ale niebawem miały się skończyć te „piękne dni Aranhuezu“ żmudzkiego, to jasne niebo pobytu w zaścianku Tereźborskim, zaciągnąć chmurami. Najprzód przyszła hio-bowa zaiste wieść o wypadkach inflanckich, o napadzie

pod Krzesławką i o rozbojach Burlaków, i nadzieja zdobycia Dynaburga od razu się rozwiała, stała się „snem nocy żmudzkiej“, jakim była od samego początku. Sierakowski zmartwił się tem bardzo, ale ducha nie stracił i plan swój pierwotny dotarcia do brzegów morskich, postanowił bądź co bądź doprowadzić do skutku. Wszelako należało się z tem spieszyć, bo najprzód od Dłuskiego-Jabłonowskiego, który z małym oddziałkiem już koło Połagi krążył, otrzymano wiadomość, że okręt wiozący z Łapińskim broń, znajduje się w Szwecyi i lada dzień może przybić do brzegów kurlandzkich (co, jak wiemy, było zwodniczą nadzieją), a potem, że w Wilnie już dowiedziano się o pobycie w Terzeborzu partyi Sierakowskiego i że wysłano przeciw niemu generała Ganeckiego ze znacznymi siłami.

I w rzeczy samej tak było. Ganecki, dowódca pułku strzelców finlandzkich, który stanowił część drugiej dywizyi pieszej gwardyackiej, przybył do Wilna w początkach 1863 roku, i w chwili pobytu Sierakowskiego w Terzeborzu, znajdował się w Szyrwintach, dokąd na czele dwu kompanii wyruszył był dla wyszukania oddziału Wiśloucha i Kirzgajły, którzy niedawno pod wsią Kiwańcami wymknęli się byli dwu kompaniom rosyjskim pod wodzą pułkownika Kramera, ale nie znalazłszy nawet śladu powstańców, wracał już do Wilna, gdy d. 2 maja w drodze spotkał go rozkaz gubernatora jeneralnego Nazimowa, przysłany przez umyślnego oficera. Nazimow donosił, że według otrzymanych wiadomości, w okolicach Wilkomierza, Poniewieża i w powiecie Nowo-Aleksandryjskim, znajdują się „bandy liczące około 20 tysięcy ludzi!“¹⁾; że dla przekonania się o stanie rzeczy, ma Ganecki natychmiast zawrócić, dotrzeć przez Wilkomierz do miasteczka Onikszty, pod którym ma obozować główna siła powstańcza. Ganecki miał pod swą komendą trzy kompanie strzelców finlandzkich, a więc 500 do 600 bagnetów, pół szwadronu kozaków gwar-

¹⁾ *J. Kornilow*. Iz razskazow generala J. S. Ganeckago o polskom miateże 1863 goda. (Russkij Wiestnik IX, 77 z r. 1889).

dy i 50 dońców, ale wobec pogłoski o 20 tysiącach powstańców, czemu przecież trudno było uwierzyć, uważał, że jest za słaby i gdy nazajutrz późnym wieczorem stanął w Wilkomierzu, postanowił wziąć na wyprawę z tamtejszej załogi jeszcze dwie kompanie liniowe pułków sofijskiego i narwskiego (dowodził niemi major Gilzebach), szwadron ułanów i setkę kozaków dońskich. Tym sposobem Ganecki liczył koło tysiąca piechoty i jazdy; siły aż nadto wystarczające dla pokonania Sierakowskiego, który wprowadzić miał dwa razy tyle głów w swoich szeregach, ale zaledwie dwustukilkudziesięciu ludzi uzbrojonych w broń palną i do tego myśliwską, pod żadnym względem nie dorównyującą ciągnionym sztucernom strzelców finlandzkich. Ale Ganeckiemu i załoga wilkomirska w połączeniu z kolumną, którą przywiódł z Wilna, nie wydawała się dostateczną. W Wilkomierzu bowiem przesadzano ogromnie siły powstańców. Mówiono o dziesiątkach tysięcy i o tem, że na ich czele stoi Dołęga, wojewoda litewski, opowiadano o jego zdolnościach, energii i zapale, jaki wszędzie wzbudzał. Już tutaj Ganecki dowiedział się, że Dołęga chce przedrzeć się do Kurlandyi, do Libawy, gdzie ma przypląć okręt z emigrantami polskimi, francuskimi i rosyjskimi pod wodzą Bakunina. Ganecki, wysłuchawszy tego wszystkiego i spędziwszy noc z d. 4 na 5 maja w Wilkomierzu, nazajutrz o świcie wyruszył dalej ku Oniksztom z pewnym niepokojem. Po drodze wieści o Dołędze przybierały coraz większe rozmiary. Starowiercy, których dość liczne osady w tej okolicy się znajdowały, mówili Ganeckiemu, że Dołęga ma nawet armaty, a żony osiedleńców ze łzami i błogosławieństwem witały Rosyan. Żydzi tylko unikali tych ostatnich i głośno się odzywali, że z tak małymi siłami, jakie posiada Ganecki, nie zdoła on pokonać powstańców. To też wódz rosyjski stanawszy wieczorem w Oniksztach, ściągnął tu z Rogowa półtory rot pułku kaporskiego piechoty i 70 kozaków pod wodzą majora Merlina, tak, że ogółem można go było liczyć na 1.500 bagnetów i szabel. Tu wreszcie w Oniksztach, Ganecki bliższych dowiedział się szczegółów

o tajemniczym wojewodzie Dołędze i o powstańcach. Nikt go jednak nie umiał objaśnić, kto się ukrywa pod tym pseudonimem, i ani na myśl mu nawet nie przyszło, że ma przed sobą Sierakowskiego, tego zdolnego oficera sztabowego, którego znał z Petersburga. Zato dowiedział się, że w odległości dwu mil od Oniksz, nad rzeką Świętą, na folwarku Tereźborze czyli Knebie, znajduje się od kilku dni wielkie obozowisko powstańcze, że po całych dniach ćwiczą się tam w strzelaniu do celu i ewolucjach wojskowych, że co chwila przybywają do obozu ochotnicy, a nawet całe oddziały powstańcze, że entuzjazm jest wielki, uzbrojenie doskonałe. Nie bez obawy, która się objawiła w tem, że wszystkie niepotrzebne wozy, tabor oficerski i t. p. kazał zostawić w Oniksztach, oczekiwał Ganecki dnia następnego.

Cóż przez ten czas się działo w obozowisku Tereźborskiem powstańców?

Tam już ich nie było. Sierakowski bowiem dowiedziawszy się o wyprawie Ganeckiego, postanowił d. 3 maja opuścić Tereźborze i ruszyć do Kurlandyi. W tym celu oddział swój podzielił na trzy kolumny, mające tworzyć skrzydła i środek. Lewe skrzydło pod wodzą Kołyszki, t. j. pierwszy i drugi batalion, ogółem jakieś pięćset mniej więcej ludzi, pomaszerowało przez Kupiszki i Birże. Środek, przy którym znajdował się sam Sierakowski, cztery bataliony ogółem (4, 5, 7 i 9), ruszył nieco w prawo, w kierunku Dynaburga na Subocz, Komaje do Bopiel. Prawe skrzydło pod Mackiewiczem (3 i 6 batalion, odłączyło się od środka, już po przejściu rzeki Świętej, i pomaszerowało ku Rakiszkom. Wszystkie te trzy kolumny miały się zejść pod Madejkami, w okolicy Birż.

Trudno dziś zrozumieć, jakie powody kierowały Sierakowskim, że kiedy poprzednio, wbrew radom wielu, dążył, zupełnie bez potrzeby, do koncentracji wszystkich sił powstania żmudzkiego, teraz w obliczu silnego nieprzyjaciela, w chwili kiedy przystępował do najważniejszej części swego zadania, bo do wyprawy kurlandzkiej, siły te właśnie roz-

drabnia i rozdziela. Niektórzy twierdzą, że tak marsz Sierakowskiego, jak i Mackiewicza, miał na celu fałszywą demonstrację przeciw Dynaburgowi, by tym sposobem pociągnąć w tym kierunku Ganeckiego, oswobodzić się od niego i w Kurlandyi mieć wolne ręce do działania. Bardzo być może, iż taki cel miał Sierakowski, bo sam nawet doszedł do Świadościa z widoczną wytyczną na Dynaburg, a stąd nagle zawrócił na lewo i ruszył ku Birżom, ale taki manewr nie mógł się udać i w błąd wprowadzić Ganeckiego, który o Dynaburg nie potrzebował się lękać i zadanie swoje widział jedynie w dośnięciu gdziebądź powstańców i koniecznem ich pobiciu. Ale, gdybyśmy nawet ową demonstrację przeciw Dynaburgowi uznali za dobrze obmyślaną, to już niczem wytłomaczyć się nie da odłączenie Kołyszki, który ruszył w zupełnie przeciwnym kierunku. Czyż wreszcie nie lepiej było owej demonstracji dokonać wszystkimi siłami, by jej nadać większy pozór prawdopodobieństwa, jak rozdrobnionymi oddziałami?

Bądź co bądź, jakiekolwiek powody kierowały Sierakowskim, dość, że trzydniowy jego marsz z Tereźborza do Birż, był rzeczywiście „pochoodem tryumfalnym“, jak później słusznie się z tego szczycił przed sądem rosyjskim. Zbliżając się do jakiej wsi lub miasteczka, wysyłano najprzód kawalerzystów, by uwiadomić mieszkańców o nadejściu oddziału. Uderzano w dzwony w kościele, proboszcz występował odziany w szaty uroczyste, a za nim tłum ludu procesjonalnie z chorągwiami. I gdy z tą procesją, której towarzyszył jęk rozkołysanych dzwonów, Sierakowski się spotkał, schodził z konia, klękał na drodze, a za nim cały oddział i sztandar wojska poświęcał ksiądz i błogosławił tych straceńców litewskich. Wśród płaczu kobiet i błogosławieństw, ruszano do kościoła, gdzie zwykle uroczystem *Te Deum* witano powstańców. Sam Sierakowski zawsze, dzierżąc sztandar w ręku, zbliżał się do ołtarza, całował jego podnóże, a potem klękał przed miejscowym księdzem i prosił o błogosławieństwo. Była w tem wszystkiem pewna sztuczna afektacja, ale wywierała na lud żmudzki, fana-

tycznie religijny i nabożny, wielkie wrażenie. To też tu i owdzie lud ten przygotował smętnemu hetmanowi litewskiemu takie przyjęcie, jakie tylko królom, śpiewaczkom lub świętym przygotowują. W Sołach dziatwa wiejska otoczyła dowódcę i sypała mu pod nogi dzikie wiosenne kwiaty i ajer, zwany u nas tatarakiem. W Skopiszkach cała wieś wystąpiła na drogę i klęcząc śpiewała starą pieśń kościelną: „Bóg naszą ucieczką“. Wszędzie też zbiegała się doń ciżba ochotników, których on po większej części odsyłał do domów, bo nie miał czem ich uzbroić, choć kosy po drodze skupywał i na broń wojenną (na sztorc) przerabiać kazał. Te uroczyste, tryumfalne, rzec można, przyjęcia, te dzwony, modlitwy i kwiaty, nagle ustały, gdy się znaleziono w pobliżu granicy kurlandzkiej, wśród ludności kalwińskiej. Napróżno Sierakowski wchodził do kirchy i zachowywał się tak samo jak w kościołach, domagał się błogosławieństwa od ministrantów, ludność patrzyła na powstańców niechętnie i wrogo, a baronowie kurlandzcy uzbrajali nawet swych strzelców, służbę i chłopów łotyskich, i w stanowczej chwili dali pomoc Ganeckiemu.

Sierakowski w ten sposób doszedłszy do Komaj, zawrócił nagle i ruszył w kierunku północno-zachodnim ku Birżom. Tym sposobem zmienił się front całej linii powstańców, bo teraz Kołyszko stanowił straż przednią, Sierakowski środek, a Mackiewicz, który miał do przebieżenia najdalszą drogę, straż tylną. Kołyszko, jako idący ku punktowi zbornemu pod Madejkami, miał najkrótszą drogę do przebieżenia i znalazł się tam najprzód, a stąd pierwszy zetknąć się musiał z nieprzyjacielem. Na szczęście Ganecki popełnił ten sam błąd co Sierakowski, t. j. dowiedziawszy się o rozdzieleniu na trzy części partyi powstańców i lękając się, żeby one nie obeszły go i nie dostały się do lasów poniewiezkich, „dających bardzo wygodne schroniska dla buntowników“, jak się wyraża w swym raporcie, podzielił także swą kolumnę na trzy oddziały. Jeden z takich oddziałów, mianowicie lewy, złożony z półtory rot pulku kaporskiego piechoty i 70 kozaków, pod wodzą majora

Merlina, ruszył na Szymańce i przeszedłszy je, już we wsi Poniedziele napotkał ślad marszu oddziału Kołyszki i tymi śladami poszedł, zawiadomiwszy o tem Ganeckiego. Ten nie omieszkiał natychmiast rzucić się Merlinowi na pomoc; gotującą się kaszę kazał wylać z kotłów i w Szymańcach, dokąd niebawem przyszedł, starowiercy tam zamieszkali, uwiadomili go, że oddział Dołęgi tędy przechodził, że Dołęga (nie Dołęga ale Kołyszko) wezwał proboszcza miejscowego, ażeby zwołał parafian i uroczyste im odczytał z ambony wezwanie do powstania, że proboszcz pomimo groźb i pistoletu, który mu do piersi przykładano, oświadczył stanowczo, że bez pozwolenia biskupa żądania tego nie spełni. Ganecki wskutek tego złożył osobiście wizytę proboszczowi, żeby „mu okazać swój szacunek“. Przepędziwszy tu noc, wódz rosyjski miał nazajutrz pomaszować dalej i w Poniedzielu się na przygotowane, przez wysłanych najprzód oficerów, podwody, by szybciej naprzód się posuwać.

Tymczasem, gdy się to działo, Merlin d. 7 maja dopadł Kołyszkę pod Madejkami, wioską leżącą niedaleko Birż, majątności Tyszkiewiczów. Powstańcy umieścili się w niewielkim lasku i rozpoczęła się strzelanina, któraby zapewne nie miała żadnego rezultatu, gdyby nie to, że nadciągnął najprzód czwarty batalion, należący do środkowej kolumny Sierakowskiego, a niebawem zjawił się i on sam z całą swoją siłą. Po półtorgodzinnej walce, Merlin poniosłszy znaczne straty (podobno 150 ludzi ubyło mu z szeregów), wraz zapadającą nocą cofnął się z pola bitwy do wsi Madejki. Kołyszko korzystając z tego położenia, radził Sierakowskiemu, ażeby natychmiast zaatakować Ganeckiego, o którego pochodzie wiadano, nim zdoła skoncentrować swe rozdzielone siły. Ale Sierakowski na to się nie zgodził, utrzymując, że jeżeli Ganecki niema wszystkich swych sił pod ręką, to tak samo się rzeczy mają z powstańcami, gdyż Mackiewicz, który miał największy marsz do zrobienia, jeszcze nie nadciągnął. Postanowił tedy czekać na jego przybycie, które miało tej nocy nastąpić i na-

zajutrz wydać Ganeckiemu walną batalię. Ponieważ pozycja pod Madejkami nie wydawała się wodzowi litewskiemu dogodną, więc cofnął się pod wieś Gudziszki, gdzie na skraju dużego i gęstego lasu, rozłożył się obozem.

Wśród tego Ganecki, nocujący w Szymańcach, otrzymał od Merlina wiadomość o jego starciu pod Madejkami i prośbę o pomoc. Zaraz więc w nocy, o godz. 2 rano wyruszył, siadł w Poniedziału na podwody i dzięki temu, przebiegł bez zatrzymania się koło 30 wiorst i przed południem stanął w Madejkach, gdzie połączył się z Merlinem. Tu, wódz rosyjski odpocząwszy sobie nieco, wysłał część swoich sił dla odcięcia odwrotu powstańców, a resztą t. j. z pięciu kompaniami piechoty i kozakami, posunął się ku Gudziszkom koło godz. 11 rano¹⁾. Dzień był chmurny i drobny deszcz przepadał. Zdaje się, że zwyczajem dowódców rosyjskich, nie wiadano, gdzie się powstańcy po wczorajszym starciu podziali, a przynajmniej miano bardzo niedokładne co do tego wiadomości, rozesłano bowiem na wszystkie strony kozaków dla odszukania śladów. Natrafiono na nie w lesie pod Gudziszkami. Błotnista droga, biegnąca przez ten las, przetrnięta głębokimi kolejami wozów, ludzi i koni, wskazywała wyraźnie kierunek pochodu powstańców.

Ci nie zostali wcale w swem nocnem obozowisku. Sierakowski bowiem wiedział o pobycie nieprzyjaciela w Madejkach i o wysłaniu kolumny, mającej go obejść z tyłu. Zwinął więc obóz, raz w tym celu, żeby się zbliżyć do Mackiewicza, o którym nie wątpił, że dąży doń z odsie-

¹⁾ Szczegóły starcia pod Gudziszkami, w relacjach, jakie posiadamy, są nadzwyczaj mętnie podane, tak, że z trudnością przychodzi wytworzyć sobie o niem jakie pojęcie. Każda z relacji up. oznacza inną godzinę ataku. Według *Koszczyca* miało to nastąpić o świcie; *Laskarys* utrzymuje, że o 11 rano, podobnie *Struś*. Rosyjskie podania stanowczo się różnią. Raport urzędowy twierdzi, że Ganecki przybył do Madejek w południe, dwie godziny odpoczywał, o godz. 6 dopiero zaatakował powstańców. *Korniłow* bliżej czasu nie oznacza, ale z jego opowiadania wynika, że atak nastąpił koło godz. 2. Poszliśmy za *Laskarysem* i *Strusiem*, bo szósta godzina raportu, wydaje nam się stanowczo błędną.

czną poręką, a potem, żeby spaść na ową obchodzącą go kolumnę i nim Ganecki zdoła jej zdążyć na pomoc, rozbić ją, a potem przeciw temu ostatniemu się zwrócić. W tym celu ruszył w głąb boru i zajął dogodną pozycję koło polany w gąszczu leśnym, na której stały zabudowania leśniczego. Czoło jego oddziału zasłaniał grzązki, błotnisty strumień, skrzydła i tył zabezpieczone były gęstwiną leśną. Tutaj uszykował się w ten sposób: lewe skrzydło stanowił 1, 2 i 9 batalion pod Kołyszka i Staniszewskim; środek 7 i 3 batalion, oraz dwa plutony batalionu czwartego; prawe skrzydło tworzyły dwa pozostałe plutony 4 batalionu, a 5 batalion rezerwy. Wódz polski postanowił tu przyjąć bitwę, pewny, że Mackiewicz lada chwila się pojawi. Ale zamiast Mackiewicza ujrano wysuwający się łańcuch tyralierów Ganeckiego i rozpoczęła się z obu stron palba karabinowa. Z początku, nim nieprzyjaciel przedostał się przez błotnisty strumień i liczne rowy na polanie, poniósł znaczne straty, ale gdy raz tego dokonał, stanowczo wziął górę nad źle uzbrojonymi powstańcami. Po żwawym boju, trwającym kilka godzin, w którym kilkakrotnie przychodziło do ręcznego starcia, powstańcy ustępować poczęli w głąb lasu, gdzie ich Ganecki z powodu zapadającego mroku i śnieżnej zawiei, która nagle się zerwała, ścigać nie śmiał, i zgromadziwszy swą kolumnę, rozpoczął odwrót do wsi Madejek. Ale na nieszczęście ku końcowi tego boju, koło godz. 5 nad wieczorem, gdy Sierakowski klęcząc pod drzewem wydawał rozkazy, dostał postrzał i padł na pobojuwisku. Wieść o tem ostatecznie odebrała odwagę powstańcom. Sam Sierakowski jednak nie stracił przytomności, kazał się posadzić na ziemi i uspakajając otaczających go, że go inni dowódcy zastąpić potrafią, natychmiast zamianował swoim następcą Ignacego Laskowskiego, dotychczasowego szefa sztabu. Dziękował potem wszystkim oficerom i żołnierzom i zalecał posłuszeństwo nowemu wodzowi. Tak wyniesiono go z pobojuwiska, z którego powstańcy w nieładzie się cofali wśród zapadającej nocy i szalejącej śnieżnej, połączonej z deszczem

zawieruchy. W żwawem tem, kilkogodzinnem starciu, poległo dwóch oficerów: Antoniewicz, ugodzony kulą w szyję, i Żarski; a dowódca 7 batalionu, Wawulski, był ciężko ranny. Straty miały być dość dotkliwe.

Wieczorem samym nadciągnął Mackiewicz, ale oczywiście wobec odwrotu nieprzyjaciela i strasznego nieładu, panującego wśród powstańców, pojawienie się kolumny Mackiewiczowskiej pożytku już żadnego przynieść nie mogło. Robiono mu zarzut, że nie przyszedł wcześniej, ale miał się tłumaczyć, że w nocy przed bitwą (z 7 na 8 maja), otrzymał od Sierakowskiego rozkaz stawienia się na placu boju, o godz. 6, nie wcześniej; że przybył o 5, ale nie mogąc znaleźć przewodnika, choć huk strzałów słyszał i błądząc po nieznanym sobie lesie, nie zdołał wcześniej przybyć. Jeżeli to wszystko jest prawdą, to wina Mackiewicza jest widoczną. Wątpimy bardzo, by mu Sierakowski dawał rozkaz przybycia punktualnie o godz. 6, skoro już wczoraj umyślnie w nocy ruszył ku Gudziszkom, by się zbliżyć do Mackiewicza i oczekiwał na niego z łatwo usprawiedliwioną niecierpliwością. Niemniej nie wytrzymuje krytyki tłumaczenie tego księdza, że znalazłszy się w lesie, w którym walka się toczyła, i słysząc huk strzałów, szukał przewodników, jak gdyby sam odgłos tych strzałów nie był najlepszym przewodnikiem. W takim położeniu, każdy żołnierz obowiązany jest iść tam, gdzie się biją, czego Mackiewicz nie uczynił i winien jest w części przegranej Birżańskiej. Postępowanie jego, jest zwykłym w tej wojnie objawem działania na własną rękę i unikania wszelkiej władzy nad sobą. Tak Kołyszko jak i Mackiewicz, niechętnie ulegali rozkazom Sierakowskiego, niechętnie poddawali się jego władzy, do czego później otwarcie się przyznawali, i dlatego Mackiewicz nie wierząc w możliwość zwycięstwa nad Ganeckim, nie chciał narażać swego oddziału na wspólną z Sierakowskim klęskę, nie stawiał się na placu boju, niby nie mogąc doń trafić za dnia, choć w nocy, przy deszczu i zawierusze śnieżnej, znaleźć je potrafił.

Nastąpiła teraz narada co czynić. Uchwalono, że ranego Sierakowskiego trzeba wywieść za granicę, gdzie towarzyszyć mu mieli Kołyszko i adjutant hr. Kossakowski. Tymczasem nowy dowódca Laskowski, zajął się zbieraniem po lesie rozpierchłych powstańców, co przy nocy ciemnej i dżdżystej z wielką przychodziło trudnością. Ciemności były takie, że musiano zapalać latarnie, a zimno, przy śniegu, który pokrył białą płachtą pola i łąki, i znużenie wraz z głodem czyniło tę noc niesłychanie przykrą i złe oddziaływującą na usposobienie żołnierza. Nad ranem dnia 9 maja, Laskowski w znacznie uszczuplonej liczbie wyruszył niby to ku Kurlandyi i zatrzymał się w lesie pod Sznurkiszkami, na pozycyi dość dobrze wybranej. Droga, prowadząca do obozu była wązka i błotnista; sam obóz leżał na wzgórzu, a linię odwrotu miał przez ciasną drożynę, z obu stron bagnami osłoniętą, tak, że o oskrzydleniu nie mogło być mowy. Tu zatrzymano się kilka godzin. Po nocy burzliwej, dżdżystej i śnieżnej, nastąpił poranek ciepły i pogodny; zajęto się opatrywaniem rannych, odpoczynkiem, gotowaniem strawy, zaprowadzeniem ładu w szeregach rozbitków. Wśród dowódców i żołnierzy panowało to przekonanie, że bezpośrednio żadne niebezpieczeństwo nie zagraża oddziałowi, i że na ten raz sprawa z Ganeckim na wczorajszym starciu się zakończyła.

Jakoż w rzeczy samej, zanosilo się na to. Ganecki wróciwszy do Madejek, obarczony mnóstwem rannych, mocno był zaniepokojony tem, że nie wiedział z kim się bił w lesie pod Gudziszkami. Zdawało mu się, że miał do czynienia tylko z przednią strażą większego jakiegoś oddziału, zapewne samego Dołęgi, o którego sile tyle się nasłuchał od Nazimowa i mieszkańców. Ale gdzie jest ten główny korpus powstańczy i co on zamierza czynić, nie wiedział i był mocno niespokojny. Na dobitkę, odwiedzając po nocy swych rannych, potknął się na progu jednej z chat, upadł i boleśnie sobie stłukł kolano prawej nogi, co dręczące jego położenie uczyniło jeszcze nieznośniejszym. Pragnąc jednak rozświecić sobie to położenie, koło godziny 1

w nocy, wysłał dwa podjazdy kozackie; jeden z nich otrzymał rozkaz odszukania powstańców i wystarania się o przewodnika, któryby mógł kolumnę przeprowadzić przez lasy wzdłuż granicy kurlandzkiej; drugi ruszył po szosie ku Radziwilliszkom dla zasięgnięcia języka, pod wodzą podchorążego Kutejnikowa. Ten ostatni schwytał przebiegającego przez szosę dowódcę dziewiątego batalionu powstańczego, Staniszewskiego, który od razu przyznał się do swego nazwiska i do tego, że służył niegdyś w artylerii rosyjskiej, że brał udział we wczorajszym starciu, oraz że wodzem naczelnym jest Sierakowski. Ganecki, który pierwszy raz usłyszał to nazwisko, zdziwił się niepomiernie, bo mu dotąd ciągle mówiono o Dołędze. Teraz dopiero Staniszewski mu wyjaśnił, że Dołęga a Sierakowski to jedno, że jest to ten sam oficer sztabu jeneralnego, którego Ganecki znał dobrze z Petersburga i nawet kilkakrotnie grał z nim w karty. Co do starcia wczorajszego, Staniszewski odmawiał jego rezultaty w barwach bardzo ciemnych; twierdził, że wszyscy dowódcy batalionów i kompanii albo są ranni, albo zabici, że sam Sierakowski otrzymał ciężki postrzał, że cały oddział znajduje się w zupełnem rozprzężeniu, a wielu się rozbiegło.

Drugi podjazd kozacki przyprowadził ze sobą gajowego, który widział wczesnym rankiem maszerujących powstańców i zobowiązał się wskazać to miejsce. Wobec takich wiadomości, nie nie pozostawało Ganeckiemu jak wyruszyć w drogę, by powstańców dopędzić i ostatecznie rozbić. Rano więc, d. 9 maja, pozostawiając w Madejkach dla osłony taboru i rannych jedną kompanię piechoty i pół szwadronu ułanów, z resztą swych sił pomaszerował pod przewodnictwem schwytanego przez podjazd gajowego. Zrobiwszy koło dwudziestu wiorst w kierunku granicy kurlandzkiej, przewodnik wskazał miejsce, gdzie widział przemykających się powstańców, ale o dalszym ich pochodzie nie umiał nic powiedzieć. Na nieszczęście w lesie kozacy schwytali chłopą, który wioził siano; zrazu milczał on uparcie, ale zagrożony surowemi karami, wskazał miej-

scę pobytu powstańców. Kolumna więc rosyjska ruszyła tam i za folwarkiem Sznurkiszki, nagle się ukazała przed obozowiskiem spokojnie odpoczywających wojowników litewskich. Konną pikietę kozacy schwytali bez wystrzału, a piesze strażę, choć zaalarmowały obozowisko, to nieprzyjaciół już deptał im po piętach. Przeszedł on bez przeszkody bagnisko, i pomimo, że Mackiewicz usiłował ze swymi dwoma batalionami stawić opór, popłoch wszczął się w szeregach i wszystko uciekać poczęło. Jeszcze jakiś czas, niewątpliwie waleczny ten ksiądz bronił wozów z rannymi, ale i on w końcu uległ panice powszechnej. Cofano się a raczej uciekano przez bagna i trzęsawiska w straszliwym nieładzie; nieprzyjaciół zabrał cały tabor zdobyty pod Rogowem, kasę oddziału, dwa sztandary szyte złotem i jedwabiem, wziął do niewoli dowódcę jazdy Łabanowskiego i około 60 nieszczęśliwych powstańców. Cały, tak niedawno świetną rojący sobie przyszłość, oddział, rozbiegł się; część trzymała się Laskowskiego, inni poszli za Mackiewiczem, który nakoniec odzyskał swą niezależność i jeszcze przez rok blisko toczył tę wojnę bez chwały i bez nadziei. Zwycięzca Ganecki powrócił późno w nocy do Madejek, i zaraz rozesłał na wszystkie strony podjazdy kawaleryjskie, aby przetrząsnęły całą okolicę, chwyciły ukrywających się powstańców, a zwłaszcza ich oficerów i dowódców. Jeden z takich podjazdów wziął do niewoli samego wojewodę litewskiego, nieszczęśliwego Sierakowskiego.

Jak wiemy, znajdował się on, ciężko raniony, w obozie w lesie pod Sznurkiszkami. Gdy Ganecki niespodzianie napadł na ten obóz, Sierakowski z wozu, na którym leżał, wydawał jeszcze rozkazy, ale gdy wszystkich popłoch ogarnął, zdołano uprowadzić rannego w głąb lasu, gdzie ukrywano się do nocy. W nocy jednakże, konieczność dania mu pomocy, wreszcie potrzeba wyszukania jakiegoś wygodniejszego powozu, w którymby można nieszczęśliwego wodza doprowadzić do oddziału Dłuskiego, jak wiadomo, uwijającego się w okolicach Połagi, skąd zamierzano wojewodę wyprawić zagranicę, zmusiła udać się do folwarku

sąsiedniego Skrobiszek. Właścicielką tego majątku, była zamożna szlachcianka, pani Kościalkowska. Zatrzymano się nieopodal wsi w niewielkim lasku i posłano do dworu, żądając powozu i koni. Czekając na ich przybycie, ranny pełen najsmutniejszych przeczuć, leżąc na prostym wózku chłopskim, wyłożonym słomą, mówił, że umrze zapewne niedługo, żegnał i ścisnął otaczających go, zalecał na przyszłość wytrwałość w ogniu, ostrożność i wiarę w pomyślność sprawy ojczystej. Tymczasem przyszła wiadomość, że we dworze niema koni i że trzeba czekać na nie do rana; postanowiono więc przenocować we dworze i tam powieziono Sierakowskiego, gdzie w dwu izbach się pomieszczono. Sierakowskiego w alkierzu na łóżku położono, a reszta otaczających w liczbie 21 osób, między nimi Kołyszko i Kosakowski, pokładli się pokotem w pierwszej izbie.

Otóż, tutaj to, tej jeszcze nocy nagle zjawił się podjazd rosyjski, złożony z kilku żołnierzy i kozaków pod komendą porucznika koporskiego pułku piechoty, nazwiskiem Wangas. Są podania, że podjazd ten naprowadzony został przez kogoś, twierdzą nawet niektórzy, że ze dworu Skrobiskiego dano znać nieprzyjacielowi o pobycie tamże Dołęgi¹⁾; dość, że jak tylko Wangas ze swoimi przybył, kazał natychmiast cały dwór otoczyć. W chwili, gdy tego dokonywano, ktoś otworzył okno i rzekł do wstępującego na ganek Wangasa: „bądź pan łaskaw, nie hałasuj, tu leży ranny generał Sierakowski“²⁾. Wangas wszedł z żołnierzami do dworu, dokonał rewizyi, przyaresztował zebra-

¹⁾ Relacje rosyjskie utrzymują, że Wangas przypadkiem (nieczajanno) natrafił na folwark Skrobiszki, ukryty w gęstym lesie, ale już ten fakt, że zjawiwszy się od razu kazał dwór otoczyć dokola, świadczy, że miał wiadomość o pobycie tamże powstańców.

²⁾ Tak opowiada J. Kornilow loc. cit., który to słyszał od samego Ganeckiego. N. Cyłow w swym paszkwilu, p. 50, twierdzi, że to sam Sierakowski otworzył okno i zawołał do Wangasa: «wejdź pan, jestem Sierakowski» (wchodźcie, ja Sierakowski zdieć). Podanie to jednak jest wątpliwem, choćby z tego względu, że Sierakowski leżał ranny i podnieść się nie bardzo mógł. Wogóle o szczegółach wzięcia Sierakowskiego źródła polskie bardzo mało mają wiadomości, musielibyśmy się więc prawie wyłącznie posilkować rosyjskiemi.

nych tu powstańców i natychmiast wysłał z wiadomością o tem dwóch żołnierzy na podwodzie do swego kapitana, stojącego z oddziałem w Poniedzielu, a ten nie omieszkiał donieść o tem zaraz Ganeckiemu w Madejkach. Tam właśnie d. 10 maja wieczorem odbywał się pogrzeb dziesięciu żołnierzy poległych lub zmarłych z ran w potyczkach z powstańcami, gdy powracającego z tego smutnego obrzędu Ganeckiego, powitali biegnący naprzeciw niemu oficerowie i żołnierze, okrzykiem: „Ura! Sierakowski wzięty do niewoli!“ Uradowany Ganecki zaraz wysłał na podwodach do Skrobiszek pluton strzelców finlandzkich pod komendą porucznika Tannera z rozkazem zabrania wszystkich jeńców i dostawienia ich do Madejek. Tanner przybył o północy do Skrobiszek i pomimo prośby jeńców, by zatrzymał się do rana, zabrał wszystkich i o godz. 5 rano wrócił z nimi do Madejek¹⁾.

¹⁾ J. Kornilow loc. cit. p. 86, opowiada o tem aresztowaniu co następuje: «Tanner przyjechał ze swym plutonem na folwark o godzinie 12 w nocy. Dokola domu i w sieni stały nasze warty. W jednym pokoju dwunastu jeńców spało na podłodze na słomie. Jeden z nich pokażny, suchowaty mężczyzna wstał, zbliżył się do Tannera i zarekomendował się: «Kołyszko». W sąsiedniej izbie leżał na łóżku i spał, albo udawał, że śpi, ranny Sierakowski. Obok niego siedziało dwóch lekarzy w czamarkach polskich. W tymże pokoju znajdowało się sześciu rannych. Do Tannera zbliżył się cichutko jakiś przystojny młodzieniec, sklonił się i rzekł półgłosem: «jestem adiutantem generała, hrabia Kossakowski». «Racz pan obudzić Sierakowskiego — odpowiedział Tanner — mam rozkaz dostawić was natychmiast do Madejek». «To niemożliwe — odparł Kossakowski — generał jest niebezpiecznie ranny, teraz kryżys, nie wytrzyma podróży. Poczekaj pan do godziny 7 rano». Na folwarku mówiono, że nieopodal znajdują się powstańcy z bandy ks. Mackiewicza i mogą odbić jeńców. Tanner więc podszedł do Sierakowskiego i obudził go. «Nie mogę jechać — rzekł Sierakowski — poczekaj pan do 7 rano. Wszak będzie dla pana lepiej, gdy mnie przywieziesz żywym nie umarłym». Tanner oświadczył stanowczo, że czekać nie może, i że musi skrupulatnie wykonać otrzymany rozkaz. Dnia 11 maja około godziny 2 rano, Tanner wsadził wszystkich jeńców na podwozy i gotował się do wymarszu. Dla Sierakowskiego znaleziono na folwarku bryczkę. Sierakowski zwiłóczył pod różnymi pozorami. Tanner czekał jakiś czas,

Nazajutrz Ganecki z całym tym tłumem jeńców, wyruszył z powrotem do Wilna. Gdy się zbliżano do tej starożytnej stolicy litewskiej, która widziała niegdyś tyle

lecz widząc, że Sierakowski umyślnie zwłoczy, zrobił mu uwagę: «Mówią o panu i my wszyscy mieliśmy to przekonanie, że jesteś człowiekiem energicznym i silnej woli. Widzę, żeśmy się omylili». Sierakowski wybuchnął: «A skoro tak, to zaraz jadę» — odrzekł. Tanner siadł z nim na bryczkę i oddział ruszył do Madejek. «Uprzedzam pana — rzekł on Sierakowskiemu — że jeżeli będą pana chcieli odbić, to nie puszcę pana żywego». «Jakże to można! wszak to rozbój zabijać jeńca. Będzie to hańba przed Europą!» «Otrzymałem taki rozkaz i spełnię go ściśle» — odrzekł Tanner.

Gdy przyjechano do Madejek, Ganecki wyszedł zobaczyć jeńców i oto, jak o tem opowiada *Korniłow*: «Ranny Sierakowski z twarzą żółtą, chorobliwą, siedział na bryczce. Ubrany był po cywilnemu i na głowie miał kapelusz cylinder (??). Obok niego siedział jego adjutant. Pozostali jeńcy stanęli szeregiem na drodze. Wszyscy byli ubrani w czamarki i wysokie buty myśliwskie. Oczy Ganeckiego i Sierakowskiego spotkały się; poznali się wzajemnie. Sierakowski wymienił swe nazwisko i wskazując na siedzącego obok, młodego jeszcze człowieka, dodał: «To mój adjutant, hr. Kossakowski». «Pan znany jesteś pod nazwą Dolegi» — rzekł Ganecki. «Nie, ja jestem Sierakowski». «Dlaczego zatrzymałeś się pan pod Madejkami, zamiast cofać się dalej?» «Chciałem wydać bitwę». «Korzystniejby było dla pana prowadzić wojnę partyzancką, a nie toczyć z nami otwartej walki». «Tak mi się zdawało. Przegrałem bitwę dlatego, że zapóźno rzuciłem kosynierów na lewe wasze skrzydło». «Dlaczego pan nie popierałeś swego skrzydła prawego?» «Opierało się ono o strumień trudny do przejścia». «Gdzie tam trudny do przejścia! strzelec i ja z nimi przeszliśmy go bez trudności i nie straciłem ani jednego człowieka». Sierakowski milczał.

W książce «Ephémérides polonaises» II, 10, znajduje się relacya, oparta jakoby na podstawie raportu porucznika Wangasa, wydrukowanego w «Journal de St. Petersbourg», że żołnierze, prowadzący niewolników z Sierakowskim, głośno pytali oficerów: «*wasze błagorodie*, czy w razie napadu wykluc wszystkich więźniów?». «Czy w Azji jesteście — zawołał Sierakowski — że tego rodzaju rozkazów domagają się głośno?» «Wytłomaczyłem mu — opowiada Wangas — że żołnierze powstańców nie mają za jeńców wojennych, ale za rozbójników».

Opowiada o tem także broszura: «Un Anglais en Pologne. Recit de l'insurrection par un témoin oculaire», p. 24.

chwały polskiej, a teraz patrzeć musiała na nędzę i niedolę potomków tej chwały, Ganecki dumny z tryumfu — niestety! zbyt łatwego, siadł na konia, umieścił się na czele swej kolumny, kazał rozwinąć zdobyty pod Sznurkiszkami sztandar powstańczy i z muzyką wkroczył do Wilna. Dzień był ciepły, słoneczny, wiosenny i u rogatek witał zwycięzców gubernator jeneralny Nazimow, otoczony swą rodziną i błyskotliwym orszakiem swego sztabu. Ulice przepełnione były tłumami motłochu żydowskiego, który spinał się na parkany, na drzewa, na dachy domów. We wszystkich oknach widać było ciekawych, patrzących w większości swej ze smutkiem i żalem na tego rozgłośnego wojewodę Litwy, na którego tyle pokładano nadziei, a teraz prowadzonego jako jeńca w pysznym tryumfie zwycięzcy. Muzyka grzmiała skocznego marsza, a na ulicach ustawiony był szpaler wojska, które wrzeszczało niemiłosiernie swoje „ura!“ Na placu przed pałacem gubernatorskim, gdzie niegdyś biskupi wileńscy mieli swoje siedlisko, odbyło się pod gołym niebem uroczyste nabożeństwo schizmatyczne z „przykłękaniem“, a potem Nazimow uściskał Ganeckiego i gorąco dziękował oficerom i żołnierzom za ich odwagę, wytrwałość i za ich zwycięstwo. Rozesłał też wszędzie telegraficzną wiadomość, że „bandy skoncentrowane w części północno-wschodniej gubernii Wileńskiej (?), zostały rozbite przez jenerała Ganeckiego“, że ujęto 113 buntowników, a między nimi „przewódcę bandy, Sierakowskiego“, a zwycięzca tych „band“, w „nagrodę za okazane zdolności wojskowe“ mianowany został wkrótce potem kawalerem orderu św. Włodzimierza z mieczami, jenerałem-porucznikiem i dowódcą 3 dywizji piechoty. Oprócz tego, jako szczególną nagrodę pozwolono mu nosić mundur pułku finlandzkiego gwardyi, z którym owe zwycięstwo nad Sierakowskim odniósł.

I w rzeczy samej, miał się rząd rosyjski i Nazimow z czego cieszyć i za co ściskać Ganeckiego, dziękować jego żołnierzom i radosne rozsyłać telegramy, gdyż pobicie Sierakowskiego i rozprószenie jego oddziału, zadało sta-

nowczy cios powstaniu litewskiemu, z którego się już nigdy podnieść nie miało. Odtąd właściwie mówiąc powstanie na Litwie istnieć przestało, bo uwijające się tu i owdzie drobne oddziały, chyłkiem przemykające się po puszczech litewskich, nie noszą cechy istotnej wojny ludowo-narodowej i nie mają żadnego znaczenia historycznego. Trzydniowe walki birżańskie, bo tak je nazywają nasi pisarze, były tragicznym, łabędzim jękiem powstania litewskiego, meteorycznym blaskiem, który jak prędko zajaśniał, tak jeszcze prędzej zgasł w mrocznych cieniach boru żmudzkiego. Nie ulega wątpliwości, że winą tego wczesnego i nagłego upadku, jeżeli nie ze wszystkim, to przynajmniej w znacznej części przypisaną być musi Sierakowskiemu. Koncentracja oddziałów Mackiewicza i Kołyszki, oraz wielu innych drobniejszych, które dotąd szczęśliwie się utrzymywały, zamiast prowadzenia wojny regularnej, kiedy potemu ani sił, ani broni nie było, zbyt powolny i ociągający się marsz do Kurlandyi, w chwili stanowczej zgoda niczem nieusprawiedliwione rozdzielenie oddziału na trzy części, były głównymi przyczynami klęski birżańskiej. Zmarnowane za jednym zamachem całe nieomal powstanie żmudzkie, już więcej podnieść się nie mogło. Skarżyli się na to później tak Kołyszko jak i Mackiewicz, i słusznie. Pierwszy z nich mówił przed komisją śledczą w Wilnie, że przez dwa miesiące ścigały go kolumny rosyjskie, a nigdy mu nie zrobić nie mogły, że nierzaz między dwoma takimi kolumnami się przemyskał, że nigdyby nie dostał się do niewoli, gdyby nie Sierakowski; że połączenie z nim stało się powodem jego nieszczęścia. Zaprzeczał mu talentów wodza, w czym miał zupełną rację. To samo mówił Mackiewicz. W tem położeniu, w jakim było ówczesne powstanie, nie należało prowadzić od razu wielkiej regularnej wojny, ale powoli do niej się przygotowywać. Mówiąc tak, nie twierdzimy wcale, by Sierakowski i wogóle powstanie mogło pokonać Rosję, ale skoro raz chwycono za broń, należało to wszystko czynić, co mogło tej walce nadać choć pozory zwycięstwa.

Klęska i wzięcie do niewoli Sierakowskiego, wywarło w Litwie wielkie i przynębiające wrażenie. Wielu sądziło, że wszystko się już skończyło; nie wiedzieli niestety! że dopiero zacząć się miały straszne dni dla Litwy i Rusi. Z głębi zasnutego chmurami horyzontu litewskiego, podnosiła się już mroczna, ponura, ohydna postać nowego Dżengishana rosyjskiego, który nieszczęsną tę krainę zalać miał krwią i łzami, całe wsie zmienić w pustynię, stłumić starą polską cywilizację i na sto lat cofnąć wstecz kulturę Litwy. Przypatrzmy się z kolei rzeczy tym strasznym dziejom.

ROZDZIAŁ X.

Murawiew „Wieszatel“.

Wrażenie w Petersburgu, wywołane przez wypadki na Litwie i Białorusi. Popłoch w wielkich Łukach. Spisek kazański. Hieronim Kiniewicz i jego projekt. «Złota hramota». Program powstania. Wykrycie spisku i jego epilog. Murawiew «Wieszatel» i jego intryga. Rozmowa z cesarzem w cerkwi. Audyencya d. 7 maja. Program Murawiewa. Jego zachowanie się i przeszłość. Wrażenie tej nominacji. Rozmowa z cesarzem d. 12 maja. Pierwsze czynności Murawiewa. Rozmowa z cesarzową i wyjazd. Pobyt w Dynaburgu. Rozstrzelanie Leona Platera. Przybycie do Wilna i przyjęcie szlachty i duchowieństwa. Rozmowa z biskupem Kraszińskim. Uwolnienie Hildebranda. Odezwa Wydziału litewskiego. Utworzenie Nieustającej Rady bezpieczeństwa. Straże wiejskie. Ustanowienie zarządu wojenno-policyjnego. Usuwanie się z urzędów ludzi ucziwych. Policya. Kary. Żaloba. Rozstrzelanie księży Iszory i Ziemackiego. Odezwa Murawiewa do biskupa Kraszińskiego i jego wywiezienie. Rozporządzenie co do drukarni. Powieszenie Kolyzki i Sierakowskiego. Życie domowe Murawiewa. Anonimy. List Filareta. Pracowitość. «Przy» i «Po». Prześladowanie szlachty. Odezwa do chłopów. Rozporządzenia przeciw szlachcie. Kontyrbucya 10-cio procentowa. Ruina szlachty. Rąbanie lasów. Sprawa hr. Starzyńskiego. Adres szlachty wileńskiej. Protest Jeleńskiego. Obchód dnia dworskiego 3 sierpnia. Odezwa naczelnika miasta. Dzień 8 sierpnia. Podanie adresu. Zamach na Domeykę. Nocna rewizya w mieście. Pościg blondynów w Warszawie. Wykrycie bandy sztyletników w Wihnie. Aresztowanie Biełkowskiego i jego śmierć. Dekret Wydziału Litwy z d. 2 września. Adresy województw litewsko-ruskich do Rządu narodowego. Zakończenie.

Wiadomość o wypadkach, zaszłych na Litwie i Białorusi, była dla sfer rządzących petersburskich gromem, wypadłym z chmurnego, ale, jak się zdawało, dotąd cichego nieba. Nie spodziewano się bowiem niczego podobnego. Raporta Nazimowa mówiły wprawdzie o powstaniu, ale przedstawiały je w tak nikłych barwach, traktowały tak pogardliwie, donosiły o stałym rozbijaniu nie licznych zresztą „band buntowniczych“, jak nazywano urzędownie oddziały powstańców, twierdziły, w czym miała za sobą słuszność, zwłaszcza z początku, że sama Litwa jest spokojną, a pojawiające się w niej kolumny powstańcze pochodzą z Królestwa, że wogóle w Petersburgu nie sądzono, by jakiekolwiek poważniejsze niebezpieczeństwo mogło zagrażać t. zw. prowincjom północno-zachodnim. Byli jednak tacy, którzy niebardzo dowierzali raportom Nazimowa i ostrzegali o tem kogo należy; wszak znano dobroduszny charakter wielkorządcy litewskiego, jego umysł ograniczony i powierzchowny, jego uległość prądom liberalnym epoki, i przepowiadano, że jeżeli dotąd nie zerwała się na Litwie wszystko niszcząca burza powstańcza, to niebawem zerwie się ona z trzaskiem piorunów i ulewą krwi, a Nazimow z pewnością nie potrafi jej zapobiedz. To też, jakeśmy to już powiedzieli, noszono się w Petersburgu od dawna z myślą usunięcia jenerałnego gubernatora wileńskiego z jego stanowiska, a zastąpienia go człowiekiem młodszym, energiczniejszym, a nadewszystko rozumniejszym, i jeżeli tego dotąd nie uczyniono, to najprzód dlatego, że potrzeba takiej zmiany nie wydawała się zbyt nagłą, niebezpieczeństwo zbyt groźnem, a następnie należało zachować pewne względy dla starego jenerała i, co ważniejsza, osobistego przyjaciela cesarza. Sam zresztą Nazimow wiedział o tem, że w Petersburgu myślą o jego wcześniejszem czy późniejszym odwołaniu i uprzedzając urzędową, bądź co bądź zawsze niemłą dymisyę, sam w sposób naglący dopominał się o uwolnienie ze stano-

wiska, nader, jak się wyrażał, odpowiedzialnego i wymagającego sił młodszych, energiczniejszych niż te, jakie on, starzec przeszło sześćdziesięcioletni, mógł jeszcze posiadać.

Takie było położenie i taki pogląd na rzeczy w Petersburgu, gdy nagle i niespodziewanie, poczęły tu dobiegać hiobowe prawdziwie wieści jedna za drugą, o tem co się dzieje na Litwie i Białorusi. Napad na transport broni pod Krzesławką, nieomal pod bramami Petersburga, ruch starowierców rabujących dwory szlachty polskiej, ruch, mający charakter rewolucyi socyalnej, której od chwili zapowiedzianego usamowolnienia włościan nadzwyczajnie się obawiano; napad na Hory-Horki, a więc na krańcach Białorusi, u granic ostatecznych dawnej Polski; tryumfalny pochód Sierakowskiego przez Żmudź; wyprawa morska Łapińskiego, przekonywały najwymowniej, że doniesienia Nazimowa o spokoju Litwy są kłamliwemi i że niebezpieczeństwo naprawdę jest groźnem. Niebezpieczeństwo to przybierało tem jaskrawsze barwy wobec not całej nieomal Europy, upominającej się u Rosyi o dotrzymanie zobowiązań względem Polski, i że w Petersburgu doskonale znaniemi były słowa ministrów francuskich, że granice przyszłej Polski sięgną tak daleko, jak je oznaczy krew powstańcza. Jeżeli więc krew tę przelano około Dynaburga, w Mściśławszczyźnie i na Żmudzi, to widocznem było, że te granice oprą się o historyczne kopce 1772 r. Niebezpieczeństwo więc wydawało się wielkiem, bo jeżeli co do Królestwa w tej porze decydowano się w Petersburgu na opuszczenie go zupełne i zostawienie własnemu losowi, to co do Litwy postanowiono jej bronić do ostatniego żołnierza i do ostatniego rubla, gdyż posiadanie tych prowincyi, jeżeli nie stanowiło o życiu i śmierci monarchii rosyjskiej, to o jej znaczeniu, potędze i wpływie na sprawy Europy i świata.

Wypadki więc litewskie i białoruskie prawdziwy wywołały popłoch w Petersburgu, a osobiście na cesarza bardzo przygnębiające wywierały wrażenie, gdyż zdawały się być urzeczywistnieniem skądinąd zwyczajnego zdarzenia,

które jednak w nieco mistycznym, w głębi duszy zabo-bonnym i o swej opatrnościowej misyi przekonanym umyśle Aleksandra, przybrało charakter wizyi i tajemniczej przepowiedni. Przed paru laty bowiem, w r. 1861, gdy na zwołanem zebraniu Rady państwa w rocznicę śmierci Piotra Wielkiego (9 lutego), rozpatrywano sprawę usamowolnienia włościan litewskich i białoruskich, ze ściany wielkiej sali narad, przyozdobionej herbami wszystkich gubernii rosyjskich, nagle i niespodziewanie z herbu Litwy, ze starej Pogoni Jagiellońskiej, spadła z głuchym trzaskiem korona imperatorska... Już wtedy wypadek ten, przydarzony w chwili gdy radzono o Litwie, nie pozostał bez wpływu na cesarza, a teraz wobec wieści z Wilna, owa spadająca korona zdawała się przemieniać z zapowiedzi mistycznej w groźną rzeczywistość...

A przytem obawy i popłoch sfer rządzących przybierał teraz tem większe rozmiary, że od gubernatorów i różnych niższych urzędników, pragnących okazać swą mniemaną gorliwość i poświęcenie, nadchodziły raporta nadające każdemu, choćby najdrobniejszemu zdarzeniu olbrzymie kształty, by tem jaskrawiej wykazać w przytłumieniu „rozruchów“ swą energię, dzielność i ofiarność. Do uspokojenia sfer rządowych petersburskich nie mógł się w żadnym razie przyczynić, wspomniany już przez nas poprzednio, raport naczelnika żandarmeryi okręgowej wileńskiej Hildebranda, o wypadkach inflanckich. Najwyraźniej mówił on, że ruch starowierców jest buntem przeciw szlachcie, że jest zapowiedzią rzezi na wzór słynnej „rabacyi“ galicyjskiej, w czem niewątpliwie miał słuszość i czemu tem chętniej uwierzano, że od chwili powziętego zamiaru usamowolnienia włościan, wielu dygnitarzy, przeciwnych temu usamowolnieniu, zapowiadało powszechny rokosz chłopski, krwawą rewolucyę i że wobec tych zapowiedzi, niepozabawionych pewnej racyi, rząd zdecydowany był na przytłumienie siłą najmniejszych nawet objawów oporu, a sama ta decyzja świadczyła o jego obawach w tym względzie. Niepokój był tak powszechny, nastrój tak ner-

wowy, że w miasteczku Wielkie Łuki, niegdyś zdobywanem przez Stefana Batorego, leżącym tuż nad granicą Witebszczyzny, w maju, w kilka dni po wypadkach litewskich i białoruskich, rozeszła się wieść, że Polacy, tuż pod miastem „wyrzynają lud i wsie palą“. Wieść ta rozeszła się błyskawicą po okolicy i wywołała ten skutek, że chłopci okoliczni tłumnie wysyłali do miasta swe żony i dzieci, a sami uzbrajali się w kosy i piki; komendant załogi wielkołuńskiej ruszył nawet z miasta, by w polu stawić czoło nadciągającym jakoby powstańcom polskim¹⁾. Pogłoska oczywiście okazała się fałszywą, ale była ona objawem znamionym tego niepokoju powszechnego, tego dreszczu tajemnego, jaki ogarnął Rosyą wobec ruchów powstańczych na Litwie.

Na podniesienie gorączki niepokoju w rządzie petersburskim, w połowie maja, a więc w chwili, gdy wypadki litewskie zdawały się przybierać olbrzymie, widmowe nieomal kształty Baltazarowej zapowiedzi dla Rosyi, wpłynęła bardzo wiele nadeszła wieść o wykryciu groźnego jakoby spisku polsko-rosyjskiego w Kazaniu, odwiecznej niegdyś stolicy carzyków tatarskich. Duszą, a jak się zdaje i inicjatorem tego spisku, był, znany nam już z udziału w wyborach wileńskich do Wydziału zarządzającego prowincjami Litwy, Hieronim Kiniewicz. Syn emigranta, urodzony i wychowany we Francyi, Francuz też z charakteru i wyobrażeń, obok tego gorący patriota polski, mieszkał stale w Moskwie, jako inżynier przy kolei żelaznej i pełnił tam takie same obowiązki ajenta powstańczego, jakim był Ohryzko w Petersburgu. Wszedł on w stosunki bezpośrednie ze szczupłem, ale wiele wrzawy robiącym kołem rewolucjonistów rosyjskich, znanem pod nazwą „Zemli i woli“, i jak większość Polaków tej doby, wielkie nadzieje pokładał na współudziale i pomocy tego stowarzyszenia tajemnego. Tam to, jak się zdaje, bo sprawy te pokryte są dotąd

¹⁾ Szczegóły o wypadkach wielkołučkih czytać można w gazecie „Petersburskija Wiedomosti“ No 116 z r. 1863.

mgłą tajemniczości, powstała myśl, że jedyną pomocą, jaką stowarzyszenie to może podać ruchowi polskiemu, jest wywołanie powstania w guberniach nadwożańskich, w klasycznej ojczyźnie „Pugaczewszczyzny“, wśród ludności tatarskiej, jakoby niezadowolonej z rządów rosyjskich. Liczono też na to, że w Kazaniu jest uniwersytet i młodzież tamtejsza, jak wszystka młodzież uniwersytecka rosyjska tej doby, przesiąknięta ideami rewolucyi społecznej i nihilizmu, chętnie poda rękę spiskowi. Ale nie miano pod tym względem żadnych pewnych wiadomości, i wogóle, myśl ta na niczem pozytywnem nie oparta, mająca wygląd odczepnego od nagabywań polskich, znalazła podatny grunt w zapalnej, nieznającej stosunków i natury ludu tatarskiego, duszy Kiniewicza. Wiedząc o szczupłości środków i ubóstwie rewolucjonistów rosyjskich, a potrzebując pieniędzy dla wprowadzenia w wykonanie tego projektu, udał się do Petersburga do Ohryzki ze swoim żądaniem. Ale Ohryzko czy nie wierzył w możność doprowadzenia do skutku takiego projektu, który jemu, człowiekowi rozumnemu i chłodnemu, wydawał się zanadto chimerycznym, czy też nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za krok tak ryzykowny, czy wreszcie nie posiadał w tej chwili znaczniejszej sumy, dość, że pod tym pretekstem odmówił Kiniewiczowi pomocy pieniężnej, a natomiast poradził mu udać się z tym żądaniem do Komitetu litewskiego. Jakoż Kiniewicz pojechał do Wilna, wziął udział w wyborach do nowopowstającego ciała, mającego zarządzać powstaniem litewskim i świeżo wybranemu Wydziałowi przedstawił swój projekt powstania nad Wołgą. Wydziałowi, podobnie jak Ohryzce, projekt wydał się jednym z tych „snów nocy niewoli“, jakich tyle urodziło się już w chorych głowach polskich i odmówił Kiniewiczowi żądanej pomocy. Na usilne jednak tegoż nalegania, z uwagi, że nie należy dla jakiejś marnej garści pieniędzy odrzucać zamysłu, który mimo wszystko, kto wie, może się udać i znać komitą przynieść dywersyę powstaniu, urzędownie niby

projektu nie przyjęto i nie zatwierdzono, ale potajemnie dano Kiniewiczowi na ten cel 100 tysięcy złp. (15.000 rb.).

Kiniewicz, mając tak znaczną stosunkowo sumę w ręku, zabrał się czynnie do dzieła. Zasadniczą jego myślą było, ażeby przyszłe powstanie nad Wołgą miało charakter czysto rosyjski i żeby było dokonane i prowadzone, przynajmniej w przeważnej części, przez Rosyan, w czym nie można mu odmówić słuszności i głębszego poglądu na rzeczy. Jeżeli bowiem to powstanie miało za zadanie zdarcie uroku z wiernej swemu rządowi Rosyi, jeżeli miało wskazać Europie na jak kruchych podstawach opiera się samowładza rosyjska, to musiało być koniecznie i wyłącznie rosyjskiem, mieć charakter ruchu samoistnego, ludowego, żywiołowego, że tak powiemy. Kiniewicz dla uzyskania pomocników Rosyan w zamierzonym pomyśle, udał się do tajnego towarzystwa „Zemli i woli“, domagając się, by mu wyszukano w tym celu albo Rosyanina, albo Polaka z nazwiskiem rosyjskiem. Wskazano mu niejakiego Maksymiliana Czerniaka, młodego człowieka, porucznika przy komisarzacie wojskowym w Petersburgu, urodzonego z Polki, prawosławnego, ale uważającego się za Polaka, bo „nie religia — jak mówił w swych zeznaniach przed komisją śledczą — ale otoczenie, tradycja, obyczaj i język, wśród których człowiek się wychował, stanowi o narodowości“¹⁾. Z tym to młodziutkim zapaleńcem, będącym żywym dowodem tej prawdy, że dziecko zawsze jest takiej jak matka narodowości, Kiniewicz udał się do Kazania, gdzie miało być główne centrum spisku i przyszłego powstania.

Program tego powstania polegał na tem, że zamierzano skorzystać z rozbudzonych przez zapowiedziane usamowolnienie nadziei wśród ludu, ogłaszając i podburzając podrobiony umyślnie manifest cesarski, pod nazwą „Złotej hramoty“, w którym wzywano lud, ażeby zbrojny stawiał opór tym wszystkim, którzyby się sprzeciwiali tej wolności

¹⁾ Wiele szczegółów o Czerniaku znaleźć można w gazecie „Moskiewskija Wiedomosti“ No 232 z r. 1865.

i woli cesarskiej. Kiniewicz liczył na to, że przy pomocy tego manifestu, zdoła na całej przestrzeni nad Wołgą wzburzyć lud, a zwłaszcza ciemnych, uciśniętych i niegodnie wyzyskiwanych przez czynownictwo rosyjskie, Tatarów. Na czele takich tłumów zamierzał ruszyć na Kazań w chwili gdy znaczniejsza partya wygnańców polskich, którzy setkami poczynali już być gnani na Syberyę, a jednym z etapów tego ponurego pochodu był Kazań, przybędzie tamże, uwolnić ich, oraz wypuścić wszystkich więźniów, zająć arsenał i składy amunicji, zdobyć Iżewską fabrykę broni, trzy armaty, stojące koło prochowni, uderzyć na koszary, upoiwszy poprzednio przy pomocy opium załogę miejscową. W tym celu, zamierzył Kiniewicz zawiązać spisek między młodzieżą uniwersytecką w Kazaniu i w chwili stanowej przysłać stu ludzi uzbrojonych z Moskwy.

Wspomniany fałszywy manifest zredagowano z zachowaniem form i wyrażen tego rodzaju aktów, wychodzących z kancelaryi cesarskiej. Obiecywano w nim wszystkim włościanom, tak prywatnym jak i państwowym poddanym, odpowiednie działy gruntu na zupełną własność, bez żadnej za to opłaty, uwalniano ich od służby wojskowej, bo cesarz — jak brzmi tekst „hramoty“ — „polegając na wierności swego narodu i uznawszy za dobre dla ulżenia krajowi zwinąć armię“, postanowił „odtąd na zawsze oswobodzić swych ukochanych, wiernych poddanych od wszelkiego rodzaju poborów rekruckich“, i rozkazywał żołnierzom opuścić szeregi i powrócić do miejsc swych rodzinnych. Manifest znosił podatek od głowy, nakazywał, ażeby żołnierzy, powracających z wojska, wszystką służbę dworską, robotników i mieszczan obdarowano bez żadnej opłaty ziemią z dóbr skarbowych; polecał, ażeby każda gmina i każde miasto wybrało czterech zaufanych ludzi, którzy zebrawszy się w mieście powiatowem, wybiorą z pomiędzy siebie reprezentanta powiatowego (ujezdznego starszina) i wszelkie władze powiatowe, oraz czterech przedstawicieli. Ci przedstawiciele powiatowi, zbiorą się w mieście gubernialnem i wybiorą „starszynę“ gubernialnego

i władze gubernialne. Deputaci gubernialni zbiorą się w Moskwie i utworzą Radę stanu, która „z naszą pomocą (brzmi manifest) rządzić będzie całą ziemią rosyjską“. Wreszcie fałszywy ten dokument zapowiada, że „każdy, któryby głosił co innego i nie wykonywał tej naszej woli monarszej, jest naszym wrogiem“, wypowiadał przekonanie, że wierność narodu ochroni tron cesarski od „zamachów ludzi źle myślących“; wzywał wszystkich poddanych, by wierzyli tylko słowu monarszemu, i kończył: „jeżeli wojsko, oszukiwane przez swych zwierzchników, jeżeli generałowie, gubernatorzy, komisarze włościańscy, ośmielią oprzeć się gwałtem temu manifestowi, to niech powstanie każdy dla obrony nadanej wolności i nie szczędząc życia wystąpi do walki przeciw wszystkim zuchwale opierającym się tej woli Naszej“. Manifest nosi datę 31 marca, czyli według kalendarza gregoryańskiego, 12 kwietnia 1863 r.¹⁾

Trzeba było tej lekkomyślności, jaką znamionowała młodzież ówczesnej epoki, przesiąkniętej od Wisły po Ural spiskami, by żywić nadzieję, że nawet ciemny, zahukany, zawsze uległy czynownictwu chłop rosyjski, uwierzy temu manifestowi, zapowiadającemu tak dziwne, tak niesłychane zmiany w ustroju państwowym i społecznym Rosyi. Kiniewicz nie zastanawiał się nad tem wcale, lecz ufny w powodzenie, przy pomocy kilkunastu młodych ludzi, zwerbowanych do spisku, przeważnie Rosyan (z Polaków, oprócz Kiniewicza należeli porucznik Mroczek, Stankiewicz, Aleksander Majewski, Eustachy Gościewicz, Ferdynand Nowicki i August Olechnowicz), począł rozrzucać między ludem w okolicach Kazania ów manifest²⁾, a oficerowie,

¹⁾ Manifest ten czytać można w całości w No 166 Hercenowskiego „Kolokola“, z r. 1863. Spotyka go się też niekiedy w zbiorach z tej epoki, wydrukowany złotymi literami, na dużych arkuszach papieru.

²⁾ Rozrzucanie tego manifestu odbywało się w ten sposób, że Majewski i Olechnowicz wyruszyli z miasta Arzamusu na trakt Tambowski, na Temników, Spask i Szack, oraz miasta gub. Razańskiej: Sopożok, Riażk, Skopin, i w gub. Tulskiej: Epifań, Bohorodick i Tulę. Gościewicz i Nowicki ruszyli traktem Penzeńskim i rozrzucali mani-

ślujący w garnizonie kazańskim, agitowali wśród wojska. Oczywiście policya niebawem wpadła na ślad tej agitacyi, fałszywy manifest, oraz odezwy wzywające do powstania, dostała do rąk. W Kazaniu ogłoszono stan wojenny, armaty wytoczono przed pałac gubernatorski, wojsko trzymano skonsygnowane po koszarach, zjechał sam gubernator jenerałny Kazański, Permski i Wiacki, jenerał Timaszew, rozpoczęto aresztowania na wielką skalę, ustanowiono komisję śledczą, na której członka przysłano z Petersburga radcę tajnego Żdanowa. Większość uczestników spisku dostała się w ręce władzy, do czego, jak zwykle, przyczyniła się w znacznej części zdrada.

Kiniewicza nie było wtedy w Kazaniu, ani nawet w Rosyi. W Warszawie bowiem w tym czasie, w miesiącu maju, ówczesny Rząd narodowy w przeddzień nieomal swego upadku pod ciosami ultraczerwonych zapaleńców, powziął myśl częściowego odnawiania swego składu, zwłaszcza, że szło o to, by powstała w tej porze Litwa i Ruś, miała istotny, a nie przez tak zwanych sekretarzy, udział w najwyższej władzy powstańczej, a z drugiej strony, by przez taki udział położyć koniec separastycznym dążnościom Wydziałów obu tych prowincyi. W tym celu ułożono projekt, ażeby oba te Wydziały obrały z pomiędzy siebie po jednym członku Rządu, którzy mieli zastąpić dwóch dawnych, usuwających się od władzy. Otóż projekt ten wchodził teraz w wykonanie i Wydział litewski wybrał na to stanowisko Kiniewicza, który urządziwszy wszystko w Kazaniu, pospieszył do Warszawy, ale zabawił tu bardzo krótko, był na jednym tylko posiedzeniu Rządu i zaraz

fest w Sarańsku i Horodyszczach. Stąd Gościewicz pojechał ku Symbirskowi, Nowicki zaś przez Kuźnieck (w gubernii Saratowskiej) do Wodźska. Obaj zamierzali parostatkiem zawrócić do Niższego Nowogrodu, a stąd do Moskwy. Ale żaden z nich nie zdołał skończyć swej podróży. Policya deptała już im po piętach i aresztowała Majewskiego i Olechnowicza w Spasku, Gościewicza w Symbirsku, a Nowickiego w Samarze. W ogólności rozrzucano manifest w szesnastu miejscach.

potem w charakterze komisarza nadzwyczajnego wysłany został z misją nam bliżej nieznaną, do Paryża¹⁾. Wracając stamtąd już na stałe urzędowanie do Warszawy, przyaresztowany na granicy w Aleksandrowie, zamknięty w cytadeli warszawskiej i w jesieni 1863 r. odesłany do Kazania, gdzie w rok potem wraz z Iwanickim, Mroczkim i Stankiewiczem został rozstrzelany. Innych uwięzionych w liczbie dwudziestu sześciu, skazano na ciężkie roboty w kopalniach lub na wygnanie na Syberyę.

Taki miał epilog głośny spiszek kazański, ale epilog ten rozegrał się znacznie później, w tej porze zaś, to jest na wiosnę 1863 r., w chwili, gdy złowróżbne wieści jedna po drugiej nadchodziły z Litwy, wiedzano w Petersburgu tylko o wykryciu spisku, którego niei zadzierzgnięte wśród ludu i wojska, zdawały się zapowiadać jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw i tak już chmurną sytuację, czyniły bardziej chmurniejszą. Donoszono bowiem, że w gubernii Penzeńskiej, wskutek owego mniemanego manifestu cesarskiego, rozpoczęły się wśród chłopów zaburzenia, co było prawdą, ale owe zaburzenia nie przybrały nigdzie wielkich rozmiarów i z łatwością batogami kozackimi przytłumione zostały. Ale zwyczajem wszystkich czynowników rosyjskich, raporta przysłane przez nich z Kazania i Penzy do stolicy, nadawały szalonej tej imprezie rozmiary i charakter istotnego niebezpieczeństwa dla całości państwa i wśród ogólnego niepokoju zwiększały groźbę położenia. W tej chwili jednak rząd petersburski udzieliwszy wszelkich wymaganych pełnomocnictw Timaszewowi i wysławszy do Kazania Żdanowa, zajął się głównie najbliższem niebezpieczeństwem, to jest wypadkami inflanckimi i litewskimi. Powszechnie uznawano konieczność zmiany dotychczasowego sposobu rządzenia temi prowincjami, chwycenia się środków stanowczych dla przytłumienia tamże powstania, tak, żeby w chwili spodziewanej wojny z Zachodem nie mieć w zanadrzu nieprzyjaciela. Tem było to naglej-

¹⁾ Wydawnictwo materiałów do historii powstania V, 190. — A. Giller, Historii I, 162.

szem, że głośna obiegała pogłoska, uparcie się powtarzająca, że Francya przy pomocy Szwecyi, gotuje się do wysadzenia na brzegach kurlandzkich 80-tysięcznej armii i rozpoczęcia wojny we wnętrzu samej Rosyi. Jak wiemy, uzbrajano na gwałt Kronstadt i przedsiębrano inne środki obrony, ale z zarządem Litwy nie wiedzano jak sobie poradzić. Uznawano to ogólnie, nawet wśród stronnictwa liberalnego t. z. „Zapadników“, nam przyjaznych, ale niemniej przeto patriotów rosyjskich, że Nazimow ze swą słabą głową i brakiem wszelkiej energii, jest wprost niemożliwy, zresztą, jakeśmy to parokrotnie wspomnieli, on sam nalegająco upominał się o odwołanie z zajmowanego dotąd stanowiska.

Szło więc o to, kogo na jego miejsce wysłać. „Zapadnicy“, do których należeli najlepsi i najuczciwsi ludzie w Rosyi, a w rządzie Wałujew, minister spraw wewnętrznych, kanclerz Gorczakow, Dołgorukow, szef żandarmów i wielu innych, pragnęli, by na czele wielkorządnictwa litewsko-białoruskiego stanął człowiek, któryby silną ręką zgniół powstanie od razu, ale w wewnętrznym, dotychczasowym zarządzie kraju, nie czynił żadnych zmian. Ale już wobec ruchu polskiego i grożącej wojny, podniosło głowę ponure stronnictwo „Samobytników“ z Zielenojem na czele, nieprzyjazne wszelkim reformom, chciwe władzy, przejęte mongolskimi ideami zniszczenia, które głośno twierdzić poczyniło, że ustępstwa czynione Polsce są zdradą Rosyi i doprowadziły ją do tego położenia, w jakim obecnie się znajduje i do tego niebezpieczeństwa, na jakie jest teraz narażoną. Odniosło już ono pierwsze zwycięstwo w sprawie Burlaków inflanckich, których za ich rozboje nazywało prawdziwymi patriotami rosyjskimi i zamiast kary, nagrodami obsypało i zachęczone tem pierwszym powodzeniem, postanowiło w sprawie wielkorządnictwa litewskiego wyteńczyć wszystkie siły, by swego człowieka, swą kreaturę tam wysłać.

Ale tak jedni, jak i drudzy nie mogli na razie znaleźć wśród ówczesnych generałów rosyjskich (bo o dygnitarzu cywilnym nie mogło być nawet mowy) osobistości, któ-

raby odpowiadała wszystkim wymaganiom. Nieszczęśliwy los polski sprawił, że kiedy obie partie oglądały się na wszystkie strony, by wyszukać sobie narzędzie, wystąpił skrycie człowiek, który właściwie nie należał do żadnego ze ścierających się wówczas kierunków, który nie przez patryotyzm (bo i Samobytnikom nie można odmówić pewnego, acz wstrętne skarykaturowanego patryotyzmu rosyjskiego), ale dla własnej ambicji i dla własnych interesów, postanowił drogą podziemnych zabiegów postarać się o wielkorządztwo litewskie. Tym człowiekiem był Michajło Murawiew, na zawsze przez współczesnych ochrzczony przydomkiem „Wieszatel“, a tego krwią ciekającego miana historia niema prawa mu odmawiać i po wsze czasy przy nim pozostawi¹⁾. Był on w tej chwili zupełnie zapomniany; osobistością, z którą się nikt nie liczył, jedną z upadłych wielkości, od której odwróciła się żrenica monarsza, a zatem odwróciły się też wszystkie oczy dworaków i dygnitarzy.

Posiadał jak najgorszą opinię złodzieja, wstecznika, pyszałka w powodzeniu, pełzającego niewolnika w nieszczęściu, duszy nikiemnej i plugawej. Stronnictwo Zapadników nienawidziło go szczerze i otwarcie za jego łajdactwa i mongolskie zachcianki, Samobytnicy gardzili nim, zresztą

¹⁾ Historycy i pamiętnikarze, nawet niechętni Murawiewowi i stąd słusznie go oceniający, stale twierdzą, że nominacja jego na jeneralnego gubernatora Litwy, była dlań niespodzianką, a zatem, że on do uzyskania tego stanowiska ręki wcale nie przyłożył. Gdyby byli jednak bacznie odczytali jego własne „Zapiski“, przekonaliby się, że takie twierdzenie jest zgola mylne, a nadewszystko niezgodne z charakterem tej ohydnej, typowo mongolskiej postaci. Już na samym początku rzeczonych „Zapisek“ powiada on, że zamierzał na wiosnę 1863 r. wyjechać dla kuracyi zagranicę, ale «z powodu wzmagającego się buntu (polskiego) uznał za stosowne nie opuszczać Rosji i dlatego odłożył swój wyjazd». W tekście wykazujemy, że to odłożenie wyjazdu nastąpiło jedynie z tego powodu, że człowiek ten chytry i przebiegły po tatarsku, widział w nieszczęsnem powstaniu polkiem możność przyjscia znowu do władzy, z której niedawno został haniebnie wypędzony.

nie mogli go uważać za swojego, gdyż właściwie nie miał on żadnych zdecydowanych opinii, prócz jednej, by kieszonkę własną napełnić i swej oryentalnej ambicji zadość uczynić. Nie miał przyjaciół, wszyscy go niecierpeli, a jego figura mała, otyła, nalana niezdrowo, osadzona na krótkich nóżkach, z twarzą obrzmiałą, chorobliwie szarą, z wyrazem buldoga i typem mongolsko-moskiewskim, z tygrysiemi oczkami okrągłemi i błyszczącemi jak u żmii, budziła swym widokiem odrazę. Niedawno jeszcze należał on do najwyższego dygnitaryatu państwowego, bo do 1861 r. był ministrem dóbr skarbowych i dyrektorem korpusu inżynierów, ale ze stanowisk tych został usunięty z wyraźną niełaską. Sam cesarz nie lubił go i wobec tego, zdawało się, że Murawiew na zawsze skończył swą karierę i zapadł się w ciemność, z której nigdy naprawdę, na hańbę Rosji i ludzkości nie powinien był występować. Ale on sam innego był zdania. Pomimo swych sześćdziesięciu siedmiu lat (urodził się w r. 1796), w tem pozornie niezdrowem, obwisłym, opuchniętym cielsku, krył się zapas niespożytej energii, dużego acz na oryentalną modłę urobionego rozumu, silnej woli i niepospolitej zdolności do intryg i zabiegów, jakie tylko rasa wyrosła pod wszystko niszcącym despotyzmem bizantyńsko-tatarskim, wyrobić w sobie przez długie pokolenia mogła. Te przymioty podsycane były przez ambicję, przez chęć błyszczenia, przez żądzę władzy, zaś szczytów i pieniędzy. Dusza pozioma i brzydka, ale niebezpieczna przez to, że nie oglądała się na środki, byle dopiąć swego celu, osiągnąć swe zamysły, zawsze tylko siebie mające na względzie. Teraz odepchnięty od władzy, pograżony w cieniu i zdala od słońca monarszego, które jest życiem dla natur mongolskich, trawił się wewnątrz, pożerany przez złość i chorobliwą ambicję i czekał na sposobność, by raz jeszcze pokusić się o władzę, zemścić się na tych, którzy mu nogę podstawili. Wybuchające powstanie polskie, nagle rozszerzające się na Litwę i Białoruś, wydało mu się kotwicą, której tonący okręt jego kariery mógł się uciepić i na wierzch z odmętów zapomnie-

nia wyrzucić go znowu. Sposobności tej oburącz się uchwycił i ze zręcznością dworaka lub akrobaty, wśród największych pozornie przeszkód, zamierzeń swoich dokonał. Doskonale on to pojmował, że dla osiągnięcia tych zamierzeń, stronnictwo Zapadników żadnej mu nie da pomocy, owszem skorzysta z jego wystąpienia, by go jeszcze bardziej, i tym razem na zawsze zapewne, zagrzebać w nicości i zapomnieniu. Jedni tylko Samobytnicy, którzy w jego postaci i charakterze widzieli ideał moskiewskiego bohatera, mogli mu być pomocni, jeżeliby im się oddał całkowicie i przyrzekł działać i w ich myśl postępować. Nikt też zapewne inny, tylko on podmówił swego dawnego znajomego Zielenoja, by wpłynął na zmianę powziętych co do inflanckich starowierców postanowień¹⁾, a zarazem, by postawił jego

¹⁾ Opieramy nasze przypuszczenie na tej okoliczności, że o wystąpieniu Zielenoja w kwestyi starowierców inflanckich, nikt inny prócz Murawiewa samego nie mówi, i to ze wszystkimi szczegółami, z oznaczeniem daty i godziny nieomal, co dowodzi, że był doskonale o tej rzeczy poinformowany i uważał ją za tak ważną, że nawet dzień i godzinę spamiętał, on, który w «Zapiskach» swoich często miesza fakta i daty. Oczywiście o tem, że w czasie tejże bytności u cesarza, Zielenoj postawił jego kandydaturę, nie w «Zapiskach» nie mówi, bo mu szło o to, by w opinii ogólnej utrwaliło się przekonanie, że nie on się prosił, ale jego proszono i że przyjmując dyktaturę w Wilnie, zrobił ze siebie ofiarę dla Rosyi. Rzecz też odbyła się tak skrycie, że nawet Walujew o tem nie wiedział, ale potwierdzenie tego znajdujemy w podaniu, zapisanem przez redakcyę «Russ. Stariny» Tom 38, pag. 22 z r. 1883. Czytamy tam, że w r. 1875 w Ems, sam Zielenoj opowiadał autorowi rosyjskiemu M. P. Pogodinowi — jakoby nikt inny, tylko on, Zielenoj, pierwszy poddał myśl cesarzowi mianowania Murawiewa gubernatorem jeneralnym Litwy; że cesarz zrazu nic na to nie odpowiedział, ale po skończeniu urzędowych spraw, z którymi Zielenoj przyszedł, cesarz podniósł ten projekt i wyraził zdanie, że Murawiew odmówi. Wówczas Zielenoj poprosił o pozwolenie udania się do niego i przedstawienia mu tej propozycji. Gdy cesarz się na to zgodził, Zielenoj wprost z palacu udał się do swego opiekuna i przyjaciela Murawiewa. «Należy zaznaczyć, mówi Redakcyja «Russ. Stariny», że tenże w tym czasie był nadzwyczajnie rozdrażniony. Sprawa jednak szybko została zalatwioną i tegoż dnia Zielenoj z wieczora, w godzinie niezwykłej udał się do cesarza z raportem. Nominacya Murawiewa do Wilna natychmiast nastąpiła».

kandydaturę na wielkorządztwo litewskie. Pierwsza rzecz się udała, a druga nie została stanowczo zrazu przyjętą, ale też i nie odrzuconą. Powodzenie w sprawie inflanckiej od razu zyskało mu wpływ Samobytników, a niebawem sam miał poprzeć swą sprawę i w zbiegu szczęśliwych okoliczności, zawsze sprzyjających temu co złe, znalazł pomoc najskuteczniejszą.

Zdarzyło się bowiem, że w chwili gdy cały Petersburg zajęty był wypadkami inflanckimi i o nich tylko mówił, przypadła w d. 29 kwietnia rocznica urodzin cesarskich, obchodzona jak zwykle bardzo uroczyście. Na nabożeństwie galowem w cerkwi dworskiej w pałacu Zimowym, znalazł się wśród innych dygnitarzy i Murawiew, i niewątpliwie postarał się o to, by go cesarz zauważył. Jakoż ten ostatni przy wyjściu z cerkwi, mając zapewne rekomendacyę Zielenoja na myśli, zbliżył się do Murawiewa i zapytał: „Słyszałeś pan, co się stało w Dynaburgu?” Murawiew odrzekł, że słyszał i że tego spodziewało się należało nietylko w Dynaburgu, ale wszędzie w guberniach zachodnich, zwłaszcza w kowieńskiej. Cesarz powiedział, że posłał do Inflant pułk i ma nadzieję, że wkrótce spokojność tam wróci. Słowa te zdawały się kończyć tę

Mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że owa wieczorna wizyta Zielenoja, jest ta sama, o której mówi w swych «zapiskach» Murawiew, i na której Zielenoj wyjednał zmianę pierwotnych postanowień co do Burlaków inflanckich. Relacya Pogodina w ogólnym swym tekście może jest niedokładną i nieściłą, ale w zasadniczej swej osnowie, a mianowicie w tem, że pierwszy Zielenoj, przyjaciel Murawiewa, postawił jego kandydaturę, niewątpliwie jest prawdziwą. Cóż wreszcie znaczyło owe rozdrażnienie Murawiewa, na które autor tej relacji kładzie nacisk? Oto, że Murawiew wiedział, iż w tej chwili jego los się rozstrzyga, że zatem rzecz cała była wprzód między nim i Zielenojem ułożona. (Zanotujmy także jeszcze jedną relacyę, pomieszczoną w dziele: «Konstanty Ireneusz hr. Łubieński, biskup sejneński (Kraków 1898), w którym na str. 244 czytamy, że do wyniesienia Murawiewa przyczynił się głównie minister Walujew, który względem niego miał pewne obowiązki, gdyż za jego protekcyą dobił się swego wysokiego stanowiska. Autor zapewne chciał mówić o Zielenoju i przez pomyłkę napisał Walujewa).

przelotną rozmowę, ale Murawiew nie należał do rzędu ludzi, którzy nie umieją uchwycić nadarzającej się sposobności. Począł więc dowodzić, że z pewnością inaczej się stanie, że on zna ten kraj od lat trzydziestu przeszło, że te same rodziny, które zaplątane są w wypadki dynaburskie teraz, brały także udział w powstaniu 1831 r. Cesarz wysłuchał tego, jak się zdaje, w milczeniu i na tem urwał rozmowę.

Ale niebawem Murawiew miał znaleźć nowe poparcie. Do narad nad uzbrojeniem i obroną wybrzeży bałtyckich, od Sweaborgu w Finlandyi aż do granic pruskich, w obawie przed wylądowaniem Francuzów, wezwano do Petersburga między innymi, rodzonego brata Michajła Wieszatela, generała piechoty Mikołaja Murawiewa z przydomkiem Karski. Niewątpliwie Michajło skorzystał z tej okoliczności i prosił brata o poparcie w zamierzonych projektach. Prócz tego biegał za tą sprawą trzeci brat młodszy, Andrzej, fanatyk prawosławia, znany w literaturze cerkiewnej rosyjskiej z kilku dzieł treści religijnej¹⁾. Bądź co bądź,

¹⁾ Gdy «Russ. Starina» w r. 1882 ukończyła druk «Zapisek» Murawiewa, dołączyła do nich opowiadanie rzeczzonego Andrzeja Murawiewa, który nominację brata na wielkorządztwo litewskie, wylącznie sobie przypisuje. Utrzymuje on, że w chwili, gdy się agitowała sprawa zastępstwa Nazimowa, udał się on, Murawiew, do ówczesnego dyrektora departamentu azjatyckiego, słynnego dyplomaty Ignatiewa, dla wyjednania sobie urlopu i oto jak o tem opowiada: «Ignatiew, jako dawny mój przyjaciel, otwarcie mówił ze mną o smutnym stanie rzeczy i porównywał ogłoszoną amnestję po 1/15 maja 1863 r. z amnestją daną jednocześnie buntownikom Państwa Niebieskiego (Chin), tak, że przykro było drukować obie te amnestye jednocześnie w gazetach, gdyż wyglądało to, że pierwsza była zapożyczoną od drugiej. «Dopóki mój krewniak Nazimow będzie w Wilnie, mówił Ignatiew, nie można się tam niczego dobrego spodziewać». Odpowiedziałem mu, że dopóki tam nie będzie posłany mój brat Michail, znający ten kraj z własnego doświadczenia, Litwa nie będzie uratowaną», gdyż mówiono już o wylądowaniu w Kurlandyi 80.000 Francuzów, którzy mieli ruszyć na Litwę. «To jest niemożliwe, odrzekł Ignatiew, brat twój za nic w świecie na to się nie zgodzi, zwłaszcza

dnia 7 maja, Murawiew Karski znalazł się na audyencyi u cesarza, i oczywiście rozmowa toczyła się o bieżących wypadkach, o zamierzonym uzbrojeniu wybrzeży, o Litwie, której stan bardzo przygnębiająco oddziaływał na cesarza. Mówiono także bez wątpienia o Michajle i zdaje się, że podczas tej rozmowy Aleksander II ostatecznie zdecydował się na powołanie go na stanowisko dyktatora i kanta Litwy, gdyż zaraz wysłano feldjegra z wezwaniem go do

po ostatnich nieprzyjemnościach w ministryum». «Wiem, że się nie zgodzi, odrzekłem, gdyż *mówiłem już z nim o tem*, ale na wszystko jest sposób. Jeżeli cesarz bez żadnych poprzednich kroków, pośle do niego feldjegra i powie: «Murawiew, ojczyzna w niebezpieczeństwie, ratuj ją!» — to nie będzie mógł odmówić. «Tak myślisz?», rzekł Ignatiew. W tejże chwili wszedł woźny, wzywając go do wicekanclerza z papierami, gdyż zaraz miał jechać z raportem do cesarza. «Oto szacowna chwila, rzekłem, skorzystaj z niej» — i rozeszliśmy się». Ignatiew przedstawił rzecz ks. Gorczakowowi, a ten cesarzowi. Cesarz jednak zamyślił się i w pierwszej chwili nie mógł się zdecydować bez poprzedniego porozumienia się z najbliższym swoim otoczeniem. Ministrowie widząc nieuniknione niebezpieczeństwo i spodziewając się z nominacyi brata tylko zgubę dla niego, bo go niecierpieli, zgodzili się, tem więcej, że ks. Gorczakow i A. Zielenoj, zasiadający w radzie, projekt ten, oczywiście w najlepszej myśli poparli. Ks. Gorczakow zaraz po posiedzeniu wezwał N. Ignatiewa i rzekł mu z trymfem: «udało się, zaraz jadę uwiadomić o tem Murawiewa». «Z pewnością odmówi, jeżeli go pan o tem uwiadomisz», zauważył Ignatiew. Niech cesarz sam działa i pośle doń feldjegra. Sama niespodzianka, zrobi nań wrażenie». Tak się też stało».

Taka jest relacya Andrzeja Murawiewa. Nie wdając się w to, czy w szczegółach jest ona autentyczną, niepodobna jednak zaprzeczyć, że świadczy ona o jednym fakcie, to jest o tem, że Andrzej chodził także za sprawą brata i że używał do tego pośrednictwa Ignatiewa, oraz że jego starania prowadzone były z wolą i wiedzą Wieszatela. Dowodzi tego zdanie, które umyślnie kursywą wydrukowaliśmy, a które zapewne mimowoli wypowiedział sprawozdawca, a mianowicie: «mówiłem z nim (t. j. Wieszatelom) o tem». Twierdzenie więc Wieszatela, że nominacya na wielkorządztwo litewskie była dla niego niespodzianką, że mu (jak sam pisze) «nawet na myśl nie przyszło, aby miał być powołany na Litwę», jest jednym z tych licznych kłamstw, któremi przepelnił swe osławione «Zapiski».

pałacu¹⁾. Murawiew spotkawszy w przedpokoju cesarskim wicekanclerza ks. Gorczakowa, grał dalej swą komedię i udając, że o niczem nie wie, pytał po coby go wzywano.

Cesarz wydawał się Murawiewowi być bardzo zmartwionym i mówił dużo o Litwie i Królestwie Polskiem, przyczem, jeżeli można wierzyć opowiadaniu samego Murawiewa, miał wyrazić obawę, czy uda się wobec grożącej wojny utrzymać przy Rosyi prowincye litewsko-ruskie²⁾. Wreszcie oświadczył, że pragnie, aby Murawiew objął zarząd nad „krajem północno-zachodnim“ (tak zwano urzędownie Litwę i Białoruś), wraz z dowództwem wojska tamże konsystującego. Zawiadomił go dalej, że pod jego zarząd, prócz czterech gubernii (kowieńska, grodzieńska, wileńska i mińska), stanowiących dotychczas gubernatorstwo jeneralne wileńskie, przejdą jeszcze dwie białoruskie, t. j. mohilewska i witebska; wyraził nadzieję, że nowy gubernator położy koniec powstaniu i doprowadzi wszystko do należytego porządku; że w tym celu nadaje mu dyskrecyonalną władzę; że może działać jak chce i jak będzie uważał za stosowne, że po przytłumieniu „buntu“ od jego

¹⁾ W «Zapiskach» swoich powiada wyraźnie: oczekiwałem z niecierpliwością powrotu brata od cesarza, żeby się dowiedzieć o stanie rzeczy na Zachodzie, gdy nagle przyjeżdża feldjeger» i t. d. Owe «oczekiwanie z niecierpliwością», jest jednym więcej dowodem, że wiedział on doskonale, iż na audyencyi Karskiego będzie o nim mowa i o jego nominacyi. Wałujew w swym dzienniku pod dniem ^{25 kwietnia} 7 maja pisze: «Cesarz zdecydował się dzisiaj rozstać się z Nazimowem. Posłał on po M. Murawiewa, który przyjmuje następstwo po Nazimowie i był u mnie z doniesieniem o tem, oczywiście ze zwykłemi zastrzeżeniami. W każdym razie chwali mu się, że w takim czasie nie cofa się przed tym ciężarem».

²⁾ Przy rozmowie tej nikt trzeci nie był obecnym, trudno więc sprawdzić o ile podania o niej samego Murawiewa są autentyczne. Niewątpliwie jest tu wiele kłamliwej przesady; wątpliwem jest np. czy cesarz uważał Litwę a tem bardziej Królestwo za stracone dla Rosyi w razie wojny. Murawiewowi to kłamstwo było potrzebem, by mógł uchodzić w oczach współczesnych za zbawcę Rosyi, za człowieka, który utrzymał przy niej t. z. prowincye zachodnie.

własnej woli będzie zależało, czy ma tam nadal pozostać, czy też stanowisko to opuścić.

Murawiew na tą propozycję, która zapewne jego ponurą duszę przepełniła radością, a która kłamliwie nazywa „zupełnie dla siebie niespodziewaną“, miał odrzec, że jako Rosyanin nie może odrzucać tego rodzaju żądań cesarskich, bo każdy jest obowiązany w dniach nieszczęść publicznych zrobić ofiarę ze siebie dla ojczyzny, że dlatego przyjmuje bez żadnych warunków trudne stanowisko gubernatora jeneralnego na Litwie, że pozostanie tam dopóty, dopóki się to będzie podobało cesarzowi, ale błaga o zupełne ze strony monarchy zaufanie, „gdyż w razie przeciwnym za skutek ręczyć nie może“. Wreszcie domagając się jak najobszerniejszych dla siebie pełnomocnictw, przedstawił swój program działania, którego skończoność i jasność, oraz zgodność z całą teorią państwową Samobytników, świadczy, że był już z góry ułożony przez Murawiewa, może na wspólną z Zielenojem, Ignatiewem i innymi. Przedewszystkiem więc zaznaczył, że system rządów, zaprowadzonych w Królestwie Polskiem, uważa za zupełnie nieodpowiedni okolicznościom obecnym; że tak w Królestwie jak i na Litwie należy przyjąć jeden program rządzenia; że program ten polega na bezlitośnem tępieniu spisków i buntów; na obudzeniu w narodzie rosyjskim poczucia godności i własnej siły; na podniesieniu ducha w wojsku, które głośno szemrze, że Polacy je obrażają, a ono musi to znosić w milczeniu; że trzeba dać stanowczą odprawę mocarstwom zachodnim; że koniecznem jest, aby wszyscy ministrowie działali w tym samym kierunku, gdyż w razie przeciwnym cała akcja może nie znaleźć powodzenia; że należy z Polakami surowo postępować, gdyż ustępstwa i pobłażania do niczego dobrego nie doprowadzą; że kraj północno-zachodni jest krajem odwiecznie i na wskrós rosyjskim; że sama Rosya go spolonizowała; że ciężkie doświadczenie 1831 r. niczego jej nie nauczyło; że obecnie należy nie tylko stłumić powstanie, ale przywrócić na Litwie i Białorusi narodowość rosyjską

i prawosławie. Wygłaszając ten program, który z czasem przy zwycięstwie Samobytników, miał się stać programem rządowym i nie tylko w stosunku do Litwy i Rusi, ale także i do Polski, do prowincyi Nadbałtyckich i Finlandyi, Murawiew powoływał się na swe doświadczenie, na znajomość charakteru polskiego i jego wrogich usposobień względem Rosyi; że doświadczenia tego nabył podczas swego urzędowania jako wicegubernator w Witebsku, a następnie jako gubernator w Mohilewie i Grodnie, oraz podczas kampanii 1831 r., gdy mu wódz naczelny na Litwie, hr. Tołstoj, powierzył zarząd cywilny. Wiedząc jednakże, że jeszcze wówczas stronnictwo liberalne Zapadników było dość silne i przeważało w rządzie, uważał za stosowne z prawdziwie bizantyńską przebiegłością zaznaczyć, że taki program nie spodoba się wielu, że zatem prosi cesarza, aby jeszcze raz zastanowił się nad tem, czy nie należy wielkorządtwa litewskiego oddać komu innemu, którego system „mógłby zyskać sobie pochwałę Europy i osób rządzących w Petersburgu“, bo co do niego, Murawiewa, to on na włos nie może odstąpić od powyżej nakreślonego programu.

Cesarz, który przez całe swe panowanie trzymał się polityki lawirowania między stronnictwami, by osłabionemi przez walkę wzajemną, łatwiej kierować, który jednak wskutek wychowania, wpływów i nauk despotycznego ojca, zawsze się więcej skłaniał ku surowości i wszystko pochłaniającym programom Samobytników, wysłuchał tej Dżengishanowej teorii bez widocznej odrazy i począł dziękować Murawiewowi za jego poświęcenie się i gotowość do przyjęcia „ciężkiego brzemienia“ (tłazkago obuza), i oświadczył, że w zupełności dzieli jego sposób myślenia i akceptuje przedstawiony program i przyrzeka od niego nie odstąpić. Wreszcie kończąc tę rozmowę oznajmił, że wyda ukaz, mianujący Murawiewa gubernatorem jenerałnym Litwy. Ale Murawiew prosił, by z ukazem takim jeszcze poczekać do czasu, dopóki on nie porozumie się z ministrami, a to w tym celu, aby im mógł przedstawić swój program, gdyż musi posiadać tę pewność, że w tym wzglę-

dzie pójdą oni z nim ręka w rękę. Cesarz zgodził się na to i polecił mu utworzyć komitet z ks. Dołgorukowa, szefa żandarmów, Milutyna, ministra wojny, Zielenoja, ministra dóbr skarbowych i Wałujewa, ministra spraw wewnętrznych; żądał tylko, by sprawę tę jak najprędzej załatwiono, bo „czas nie czeka“. Na tem skończyła się ta audyencya, ciężarna tylu klęskami i nieszczęściami nie tylko dla Polski i Litwy, ale dla przyszłości i rozwoju samejże Rosyi.

Wiadomość o oddaniu dyktatury litewsko-białoruskiej Murawiewowi, szybko się po Petersburgu rozniosła, zwłaszcza, że on sam jej teraz nie ukrywał, owszem, w uczuciu tryumfu niejako napawał się zwycięstwem. Jeżeli dotąd mało się pokazywał, był cichy i pokorny, teraz podniósł swą brzydką, niekiedy rozwichrzoną, to znów gładko przyczesaną głowę, mówił głośno i tonem rozkazującym. W ustanowionym przez cesarza Komitecie, rozpoczęły się niebawem posiedzenia, na których ten murza tatarski, zapominając o najprostszych formach przyzwoitości, domagał się natychmiastowego odebrania władzy Nazimowowi, nie chciał, by zachowano jakiekolwiek względy dla starego i bądź co bądź zasłużonego dla państwa jenerała¹⁾. Słuchano go w milczeniu i nie stawiano mu żadnego oporu, bo wiedziano, że cesarz jest za nim, ale uczuwano pewien gniew i przerażenie, bo w nominacyi jego musiano z konieczności dostrzegać zwrot wsteczny od wszystkiego, co od r. 1856 robiło się w Rosyi i przechylenie się ku stronnictwu Samobytników. W ogólności w sferach liberalnych i postę-

¹⁾ We wspomnianym dzienniku Wałujewa, spotykamy o tem takie charakterystyczne uwagi: „Jenerał Murawiew obecnym był na posiedzeniu Komitetu Zachodniego. Cały jego dawny sposób zachowania się znów na jaw wystąpił (Wsie jewo staryja zamaszki na lico)“. Dalej czytamy tamże: „specyalna narada z ks. Dołgorukim, Milutynem, jenerałem Zielenojem i jen. Murawiewem w sprawach zachodnich. Jen. Murawiew był w najwyższym stopniu nieprzyzwoitym... Uważając siebie za niezastąpionego, korzysta z tego, żeby wygłaszać najniewłaściwsze pretensye i dopuszcza się najniewłaściwszych wybryków“.

powych nominacya ta przykro odbić się musiała. Przypominano sobie teraz całą przeszłość tego człowieka, przeszłość brzydką i nawet w Rosyi, gdzie na wszelkie łajdactwa dygnitarzy, umieją zamykać oczy, potępianą. Opowiadano, jak Murawiew należąc i będąc jednym z założycieli spisku Dekabrystów między r. 1816 a 1820, w tym czasie widząc do czego to może doprowadzić, przezornie się z niego wycofał, zachęciwszy tym przykładem wielu do takiego samego kroku i spisek ten przez to mocno osłabił; jak po wykryciu spisku aresztował go w r. 1826 oberpolicmajster moskiewski Szulgin i przywiózł do Petersburga, jak jednak niebawem przyszły wielkorządca Litwy umiał się usprawiedliwić, wydawszy podobno nazwiska wielu swych towarzyszy¹⁾; jak udowodnił, że należąc do towarzystwa tajnego, działał przeciw jego rozszerzeniu się, jak jednym słowem był zawsze lojalnym poddanym, i został uwolniony, a co ważniejsza, wkrótce potem jako radca stanu otrzymał stanowisko wicegubernatora w Witebsku. Nie bez słuszności zaznaczano, że trzeba było być bardzo zręcznym i bardzo giętkim, żeby z grona spiskowców, zagrożonych i karanych szubienicą i wygnaniem do kopalń i tajg syberyjskich, skoczyć nagle na stopień dość wysokiego stosunkowo urzędu. Ale jak trafnie opowiada o nim jeden z historyków rosyjskich²⁾, ten „mistrz w roli despoty mongolskiego tam, gdzie to było możliwem, wśród niewolników i czołem bijących, umiał w innych warunkach stać się cichszym od wody, niższym od trawy; umiał kłaniać się do ziemi i lizać stopy,

¹⁾ Tak twierdzą ze stanowczością i pewnością wszystkie relacye i podania polskie o Murawiewie. Źródła rosyjskie, nawet nieprzyjemne mu, nie o tem nie mówią, choć nazywają go ostrożnym z tego powodu, że widząc ostateczne dążności spisku, usunął się z niego przezornie znacznie wcześniej. Przypuszczać jednak należy, że nagła jego karyera i wysokie urzędy, jakie otrzymał w parę lat zaledwie po wykryciu spisku Dekabrystów, wytłumaczyć się chyba da ohydą zdradą, zgodną zresztą z jego charakterem i usposobieniem.

²⁾ N. Berg, Zapiski III, 168.

zwłaszcza jeżeli mógł coś korzystnego dla siebie tym sposobem uzyskać“.

Przypominano, jak zostawszy w r. 1831 generałem majorem i gubernatorem w Grodnie, głośno wołał, że on „nie z tych Murawiewów, których wieszają, ale z tych, którzy sami wieszają“¹⁾, i już wtedy w przeciwieństwie do zaszczytnych tytułów innych jego braci (Amurski, Kar-ski), nadano mu znamienny przydomek „Wieszatela“²⁾.

¹⁾ Jak wiadomo, jeden z jego stryjecznych braci Sergiusz Murawiew został powieszony w r. 1826 za udział w spisku Dekabrystów.

²⁾ W Grodnie pozostawił po sobie pamięć swych tatarskich wystąpień i żądzy krwi. Zwołał on szlachtę i przedstawicieli wszystkich stanów miasta i rozpoczął do nich mowę od słów: „*pamy adwokaty, ksiendzy i proczyje padlecy*“ (Wiestnik Jewropy z r. 1883). Poczem oznajmił, że jemu jako gubernatorowi wojennemu wiadomo dobrze, iż w gubernii zapanowała choroba epidemiczna, bardzo niebezpieczna, zapalenia mózgu; że w mieście gubernialnem jest więcej środków lekarskich, aniżeli na wsiach, zatem prosi, żeby nie wyjeżdżali aż do ustania choroby. Tę humorystyczną przemowę, przypominającą niemiecki *Galgenhumor*, uzupełnił inną, gdy Warszawa została wziętą przez Paskiewicza, oznajmując zebranej szlachcie, że ponieważ teraz choroba ustala, więc mogą na wieś wracać. (Czytaj „Dusze poleznoje czenie“, Moskwa 1891, str. 552). Według innych relacji, kazawszy zjechać się szlachcie, nie widział się z nią wcale, lecz kazał ją zatrzymać w mieście pod strażą. Upamiętnił on się także w Grodnie przez powieszenie emigranta Michała Wodłowicza, niegdyś ziemianina z powiatu wołkowyskiego, który przybył w r. 1833 do kraju dla wywołania powstania w okolicach Słonina. Murawiew skazał go na szubienicę, a że wiedział, iż rodzina robi starania w Petersburgu, by ocalić nieszczęśliwego i że starania te uwieńczone będą pomyślnym skutkiem, kazał co prędzej wyrok spełnić, nie czekając na feldjegra cesarskiego, wiozącego ulaskawienie. Jednocześnie z Wodłowiczem powiesił jego towarzyszy włościan Teodora Sajczuka, Jana Anajskiego, Mikołaja Firetko, Jakóba Marcinkiewicza, Jakóba Panasiuka i innych. Zwano wtedy Murawiewa na Litwie „Lucyperem“, by go niebawem przezwąć Wieszatelem.

Atoli, jeżeli wierzyć możemy niektórym, posiadał on w swym charakterze jeden dodatni rys t. j. wdzięczność. Bezimienny autor życiorysu ks. Konstantego Łubieńskiego, biskupa sejneńskiego, na str. 246 opowiada, że Murawiew za swego gubernatorstwa w Grodnie, znalazł się raz w jakimś kłopotie pieniężnym, i wtedy przy-

Przytaczano charakterystyczny epizod z jego życia, malujący jego azyatycką żądzę błyszczenia, gdy zostawszy w r. 1832 gubernatorem wojennym w Mińsku litewskim, oraz jenerałem porucznikiem, ubrał się w mundur nowej swej godności wprzód nim ogłoszono ten awans w rozkazie cesarskim i jak w takim mundurze paradował po Petersburgu, co spowodowało, że awans cofnięto i w formie niełaski posłano go na gubernatora do Kurska, gdzie pozostawił po sobie długo przeklinaną pamięć bezlitośnego i bezwzględego egzekutora z chłopów zaległości podatkowych¹⁾. Niełaska jego trwała blisko dziesięć lat i wydobył go z niej wszechpotężny w tej porze minister skarbu Kanrin, jego szwagier, zrobiwszy go w r. 1842 dyrektorem wydziału podatków i przychodów w swoim ministerium. Odtąd szedł coraz wyżej; niebawem został senatorem, dyrektorem korpusu inżynierów, członkiem rady państwa, prezesem w departamencie apanaży (udziełów), wreszcie ministrem dóbr skarbowych. Opowiadano sobie głośno jak na wszystkich tych urzędach kradł, jak komulował je ze sobą i pobierał ogromne pensye, jak pewnego razu w r. 1858 udając się w podróż z jakimś oficjalnem poleceniem, pobrał dyety (profony) ze wszystkich trzech urzędów, t. j. opłatę zamiast na 16, na 48 koni i za to nazywano go „trochprogonnym generałem“. Nie zapomniano mu i tego,

szedł mu z pomocą w drodze pożyczki książę Konstanty Radziwiłł, ówczesny marszałek szlachty gub. grodzieńskiej. Murawiew zwrócił mu następnie pożyczone pieniądze. Ale gdy mu się w r. 1863, ks. Radziwiłł, tak jak inni obywatele, przyszedł przedstawić, przyjął go z bardzo wielką estymą i nie był wcale głuchym na jego wstawienia się za skompromitowanymi osobami.

Być może, że tak było, ale w znanych nam źródłach niema nikogo, kogoby Murawiew raz schwyciwszy w swe szpony uwolnił.

¹⁾ Niektórzy opowiadają, że gdy dowiedział się o powstrzymaniu awansu i przeniesieniu go do Kurska, miał zawołać: «Kiedyż uareszcie skończy się ta samowola władzy!» (Wiestnik Jewropy z r. 1883). Jeżeli to jest prawdziwem, jakże wybornie charakteryzuje człowieka. Jest bowiem właściwością wszystkich tyranów, że oburzają się na tyranię innych, zwłaszcza gdy ona ich samych dotyka.

że w sprawie usamowolnienia włościan, porywającej wszystkie lepsze umysły rosyjskie, zajmował stanowisko wręcz nieprzyjemne i jak mógł przeszkadzał, co mu tem łatwiej przychodziło, że jako minister dóbr skarbowych, miał pod swym zarządem ogromną stosunkowo ludność włościańską. Głośno wołał, że „żadnego usamowolnienia nie będzie“. Był zatwardziałym, upartym wstecznikiem, ze wszystkimi wadami starej bojarszczyzny moskiewskiej. Minister Wałujew w tej porze tak go scharakteryzował¹⁾: „Nie ma on żadnych pojęć i wyobrażeń o prawie. Alfa i omegą jego postępowania jest rozkaz cesarski. Prawo dla Murawiewa ma znaczenie i wartość tylko tam, gdzie niema lub niepodobna zastosować tego rozkazu. Han, basza, mirza, mandaryn, wszystko co chcecie, tylko nie minister. Trzeba posiadać istotnie dużo przebiegłości, by takie azyatyckie środki stosować do spraw europejskich“. I w rzeczy samej tą przebiegłością był obficie obdarzony od natury. Był typowym Mongołem, Azyatą, potomkiem starych ras wyrobionych, wysubtylizowanych w przebiegłości, przez tysiącletnie życie pod jarzmem tyranii, pod szaleństwami Iwana Groźnego, Piotra Wielkiego i Pawła; był praktycznym, giętkim i jedynie dbałym o własny interes. Nie miał w sobie ani krzty poezyi, szlachetności, entuzjazmu; był nikczemny jak tygrys, i jak tygrys krwiożerczy. Wszyscy tyrani ludzkości Nerwy, Kaligule, Nerony; wszyscy niszczyciele świata Atylle, Alhunryki, Tamerlany, nawet owi prokonsulowie francuzcy Lebon i Carrière, co setkami ludzi ścinał lub topił w Loarze, nawet tacy ludzie mieli w sobie jakiś dumny rys wielkości, ten człowiek nie miał żadnego. O nim, jak o rzymskim cesarzu Tyberjuszu, można za starym historykiem powiedzieć, że „był błotem, zlanem krwią“. Jest on wstrętny swą gminnością występku. W niego wcieliła się stara, historyczna, mongolska Moskwa, cały gieniusz narodowy ze wszystką swoją brzydotą, błotem i krwią

¹⁾ Dniownik grafa Piotra Aleksandrowicza Wałujewa («Russ. Starina» z r. 1891, zeszyt październikowy, p. 148).

i rozumem, który z małego księstwa oryentalnego stworzył olbrzymie, potworne państwo od Wisły po Kamczatkę, od Oceanu Lodowatego po Indye...

Opór, stawiany przezeń usamowolnieniu włościan, oraz życiorys jego, który w r. 1861 ukazał się zagranicą w piśmie „Buduszechnost“, pióra ks. Dołgorukowa, a w którym to życiorysie z bezwzględną otwartością opisane zostały wszystkie drobne szelmostwa Murawiewa, cała jego przeszłość od więzienia za spisek w twierdzy Petropawłowskiej aż do teki ministeryalnej, odmalowany jego charakter i jego postać Czuwasza czy Eskimosa¹⁾, spowodowały ostatecznie, że mu poradzono wziąć dymisyę ze wszystkich urzędów, i zdawało się, że ten człowiek, zakałę rządu stanowiący, na zawsze od wszelkiej władzy usunięty został²⁾. Tymczasem teraz, w chwili przełomowej dla partii Zapadników, gdy skutek powstania polskiego program ich za-

¹⁾ Dołgoruki o nim powiada, że «nie było w tym czasie w Rosyi człowieka, z wyjątkiem ministra sprawiedliwości Panina, któryby był tak niepopularny, tak niecierpiany i znienawidzony, jak Michajło Murawiew, że «zarząd ministeryum dóbr skarbowych od r. 1857 do 1861 przez Murawiewa, był połączony z takim łupieństwem, że upadek jego władzy ludzie wszelkich przekonań przyjęli z oklaskiem».

²⁾ Jak zawsze tak i w sprawie swej dymisyi, podaje w «Zapiskach» powody kłamliwe. Twierdzi więc, że «w końcu 1861 r. z powodu bardzo złego stanu zdrowia, prosiłem o uwolnienie mnie ze stanowiska ministra dóbr skarbowych i do kroku tego zmusił mnie także ten kierunek, jaki wzięły w tym czasie wszystkie sprawy rządowe, tj. zupełne i całkowite rozluźnienie i osłabienie wszelkiej władzy, rozwój zasad demokratycznych we wszystkich warstwach, widoczny we wszystkich komitetach i radach rządowych, zwłaszcza przy redakcyi postanowień o usamowolnieniu włościan, do których to postanowień wprowadzono wiele takich zasad, które gdyby były przyjęte, wywołałyby w państwie nieporządek i nieład». Wyznanie to, acz kłamliwe, bo Murawiew nie miał dymisyi, ale mu ją dano, jest z tego względu charakterystycznym, że człowiek ten, który nie miał żadnych zasad, który dla osobistej korzyści gotów był je zmieniać co dzień, powiada, że ustąpił z rządu dlatego, że tam przeważać zaczęły pryncypia przeciwnie jego przekonaniom. Nie może być większej ironii jak Murawiew i pryncypia!

grożony był poważnem niebezpieczeństwem, powołanie tego potwora, zagrzebanego już niby na zawsze w przepaściach głębiach nicości, zwiększało to niebezpieczeństwo i zapowiadało wyraźny zwrot ku znienawidzonemu, ponuremu, Dżengishanową żądzą zniszczenia dyszącemu stronnictwu Samobytników. To też wszyscy ludzie lepsi, liberalniejsi, widzący zbawienie Rosyi w zbliżeniu się do kultury i cywilizacyi zachodniej, wszyscy słowem Zapadnicy, mający przystęp do cesarza, wyteżyli swe usiłowania, by jeżeli nie obalić Murawiewa, co już do pewnego stopnia było niemożliwem, to przynajmniej tak ograniczyć jego władzę, by zamierzonego wywrócenia Litwy i Białorusi dnem do góry nie mógł dokonać. Nie przeczyli oni wcale, że stan rzeczy jest zły, że dotychczasowy system, stosowany do Polski i Litwy jest zgubny dla Rosyi, że zmiana jest konieczną i nagłą, ale dla dokonania tej zmiany nie trzeba przecież wypuszczać tygrysa z klatki, który gotów wszystko pożreć i swoje i nie swoje, potrzebne i niepotrzebne, pożyteczne i niebezpieczne, bo jego żądza dzika krwi i zniszczenia, leżąca w naturze tego rodzaju typów tatarsko-moskiewskich, znajdzie w bezwzględnej dyktaturze obszerne pole działania. Czyż nie można, mówili, posłać do Wilna drugiego Berga, szpetnego zapewne karyerowicza, dla tej karyery gotowego do najsurowszych kroków, ale z tem wszystkiem Europejczyka, człowieka ucywilizowanego, który nie będzie niszczył dla niszczenia, nie będzie zacierał śladów starej cywilizacyi, dlatego, że ona nie ubrała się w jar-mak tatarski lub kopułki bizantyńskie? Po co, wołali dalej, wzywać doktora, który zamiast odjęcia delikatnym skalpelem zgangrenowanego palca, schwyci topór i odrąbie całą rękę?¹⁾

Słowa te, opinie, szept i uwagi doszły oczywiście do cesarza i zrobiły na nim silne wrażenie. Osobiście nie lubił on Murawiewa, i jeżeli wbrew swemu naturalnemu wstrętowi do tej plugawej postaci, zdecydował się powołać

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 170.

go do władzy, to uczynił to jedynie w interesie państwowym, dla tego interesu poświęcił heroicznie swe osobiste antypatye. Ale w jego wrażliwej, uczuciowej, miękkiej naturze, owe uwagi i skargi, dobiegające ze wszęch stron do jego uszów, pozostawiły ślad głęboki. To też, kiedy dnia 10 maja Murawiew zgłosił się do cesarza donosząc, że narady w sprawach litewsko-ruskich w komitecie ministrów zostały ukończone — Aleksander wprawdzie zatwierdził wszystkie projekta, ale był chłodniejszy, a nawet okrutny dla przyszłego dyktatora Litwy¹⁾. W parę dni potem, dnia 12 maja, Murawiew, znalazłszy się znowu u cesarza, tak był podrażniony pogardliwym chłodem i niechęcią widoczną ku sobie monarchy, że uważał za stosowne zaryzykować jeszcze raz wszystko i oświadczyć, że możeby było lepiej posłać nie jego, ale kogo innego do Wilna. Cesarz, który mimo wszystko uważał, że Murawiew nie da się nikim innym zastąpić, odrzekł na to z gniewem: „Już raz wypowiedziałem me zdanie i nie mam zamiaru go zmieniać“ — a gdy Murawiew na to zauważył, że ministrowie nie podzielają tego zdania cesarskiego, Aleksander z widocznym uniesieniem zawołał: „To nieprawda!“ Wówczas Murawiew powstał i rzekł: „Szukaj sobie Najjaśniejszy Panie kogo innego zamiast mnie!“ Cesarz na to miał wziąć Murawiewa za rękę i prosić o przebaczenie za niegrzeczne słowa, które mu się mimowolnie wymknęły, ale Murawiew nieprzejednany tem wcale, prawil: „Kłamstw nie mówię, i jeszcze raz powtarzam, szukaj sobie Naj. Panie kogo innego, któryby Ci prawdę mówił“. „Wtedy cesarz, opowiada sam Murawiew, uściskał mnie, prosił jeszcze raz o przebaczenie i zapomnienie tego raz na zawsze, że on ma taki „niemądry charakter, iż często mówi wbrew swej woli niepotrzebne wyrazy“. Pogodziliśmy się i cesarz spytał: „A więc mogę wydać rozkaz o nominacji pańskiej?“ Odrzekłem, że „kiedy i jak się podoba Waszej Ces. Mości.

¹⁾ Dnownik grafa Wałujewa: „Gosudar był żestok z Murawiewym“.

Zgadzam się i zrobię wszystko, co będę mógł dla wypełnienia włożonego na mnie obowiązku. Służę Rosyi i gotów jestem ofiarować się dla niej i dla Waszej Ces. Mości. Proszę tylko nie opuszczać mej żony i córki“. Uściskaliśmy się z cesarzem i rozstaliśmy się po przyjacielsku, ale zdaje się, że zostało mu coś na wątróbce¹⁾. Cesarz nalegał przytem, żeby ze względu na stan rozpaczliwy Litwy, Murawiew jechał tam jak najprędzej, ale ten prosił o tydzień choć czasu, żeby się przygotować, zebrać ludzi odpowiednich, żeby uorganizować tu, w Petersburgu cały zarząd Białorusi, bo później, uważał, że się to może okazać niemożliwem przy przerwach w komunikacyi, wywołanych przez powstańców.

Jakoż zaraz zajął się on gorliwie owem zbieraniem ludzi, z którymi miał jechać do Wilna, i którzy mieli mu dopomódz do „zruszczenia odwiecznie rosyjskiego kraju“, jak się wyrażał ze swoją, isticie tatarską logiką. Zaroilo się więc w jego mieszkaniu na ulicy Litejnej, w domu departamentu apanażów, od wszelkiego rodzaju awanturników, indywiduów wykolejonych, łotrów, pijaków i kosterów, którzy nie mogąc znaleźć posad w rodzinnej swej Rosyi, szli ich szukać do Polski (w Polszu), jak nazywali Litwę, do owego „odwiecznie rosyjskiego kraju“, według Murawiewa. Zanosilo się na formalną emigracyę najgorszych żywiołów rosyjskich, dusz zepsutych i sponiewieranych ży-

¹⁾ Przytoczyliśmy ten ustęp, według własnej relacyi Murawiewa w jego „Zapiskach“, wszelako mamy wątpliwość co do jego autentyczności, zwłaszcza co do odpowiedzi Murawiewa i całego jego zachowania się. Surowa odpowiedź cesarza jest bardzo prawdopodobną z uwagi na owe poboczne wpływy, nieprzyjazne Wieszatelowi, o których w tekście mówimy, ale wydaje nam się kłamliwem zuchwalstwo Murawiewa w słowach: „szukaj sobie kogo innego N. Panie“. Trzeba nie znać stosunku Rosyan do swego monarchy, by wierzyć czemuś podobnemu; nie znać charakteru Murawiewa, charakteru niewolnika tatarskiego, by można przyjąć z dobrą wiarą jego podanie. Wszak według ustaw rosyjskich, cesarz nie potrzebował go się prosić, mógł mu jednym słowem rozkazać, a on musiałby słuchać. Dlatego zachowanie się i opowiesć Murawiewa, wydaje nam się stanowczo wątpliwą.

ciem bez jutra i celu, rycerzy przemysłu, karyerowiczów, istotny najazd tatarski na nieszczęśliwą Litwę, w której ci łajdacy, okrutnicy, złodzieje i rabusie, mieli niebawem odgrywać rolę patryotów rosyjskich, misjonarzy niosących mniemaną cywilizację rosyjską, źródła „żywej wody“ do kraju „zgangrenowanego przez polonizm i latynizm“. Murawiew w tej nagłej potrzebie, w konieczności jak najprędszego wyjazdu, o co cesarz naglił, nie mógł dobierać ludzi i prawdopodobnie wcale mu o to nie szło; im większe ciosy zada Litwie i Białorusi ta zgraja wygłodzonych szakali, tem będzie lepiej. Brał więc co się nadarzyło, byle zebrać jak najwięcej. Utworzyła się zaraz koło niego tam, na ulicy Litejnej, t. z. „Kancelarya pochodna“, na której ozele stanął niejaki Raczyński, szambelan, który nie bez wpływu z czasem miał pozostać na wypadki w Wilnie. W liczbie urzędników tej kancelarii, mieścił się także Mosołow, późniejszy dygnitarz i autor nie bez talentu — acz nieprzyjazny nam — „Szkiców wileńskich“ (Wilenskie ocerki), w których dość powierzchownie i stronnie opisał rządy Murawiewa na Litwie. W kancelarii tej rozpoczęto przygotowywać rozkazy o ogłoszeniu całego wielkorządztwa litewsko-białoruskiego w stanie wojennym, pisano instrukcję dla t. z. straży wiejskich, kreślono przepisy dla mających powstać komisji śledczych. Pracowano po całych dniach, a nieraz i nocach, i zawsze w jak największym sekrecie, żeby nic z tych instrukcji, z tych przygotowanych dla nieszczęsnego kraju ciosów, na zewnątrz się nie wydostało. Murawiew rządy swoje już w Petersburgu rozpoczął od zmiany osób; wszystkie stanowiska osadzał swemi kreaturami. Już teraz mianował generała Engelharda gubernatorem kowieńskim, pułkownika hr. Bobrińskiego (późniejszego ministra komunikacji) gubernatorem grodzieńskim. W jego sali przyjęć tłoczyli się ministrowie, dygnitarze, tłumy z prośbami. Zjawił się tam także marszałek gubernialny szlachty wileńskiej, tak osławiony później Domeyko z prośbą o paszport zagranicę; ale Murawiew przyjął go surowo, kazał mu wracać natychmiast do

Wilna, mówiąc, że w czasach tak burzliwych, wszyscy powinni być na swoich miejscach. Wracał więc Domeyko wioząc wieść posępną, przeczucia jak najgorsze, zapowiedź złowróżbną.

Miano bowiem zaraz liczne wskazówki czego Litwa mogła oczekiwać po nowym swym gubernatorze jeneralnym. Zdarzyło się, że w tym czasie, t. j. d. 13 maja, przyszedł na ręce ministra wojny Dymitra Milutyna raport z Wilna generała Nazimowa, w którym ten ostatni opisując chaos, panujący na Litwie, mówił o konieczności ostrożnego i baczego postępowania z duchowieństwem katolickiem z tej uwagi, że ma ono wpływ ogromny na włościan. Radził więc, ażeby nowy gubernator jeneralny nie rozdrażniał przeciw rządowi duchowieństwa, gdyż może to mieć jak najgorsze następstwa. Milutyn raport ten wskutek rozkazu cesarskiego przesłał przez specjalnego urzędnika Murawiewowi. Ten przeczytał go bacznie, zamyślił się i wkońcu oświadczył, że sprawa jest ważną i wartą namysłu, że w każdej rzeczy początek jest najtrudniejszy, że raport ten objaśnia go najdokładniej co ma robić; że pierwszą rzeczą po przybyciu do Wilna, jakiej dokona, będzie rozstrzelanie księdza ¹⁾. I jak zobaczymy, pogróżkę tę spełnił.

Ukaz mianujący go jeneralnym gubernatorem wileńskim, kowieńskim, grodzieńskim, mińskim, mohilewskim i witebskim, opublikowano d. 13 maja. Nadawano mu nim obszerne pełnomocnictwa, nieomal dyktaturę, prawo życia i śmierci, oraz dowództwo na prawach komendanta osobnego korpusu nad wojskiem, konsystującym w tych guberniach ²⁾. Z tem wszystkiem nie spieszył on się bardzo

¹⁾ Russ. Starina z r. 1883. Notatka pana F.

²⁾ Dziennik francuski «Patrie» ogłosił był wkrótce po nominacji Murawiewa sekretne instrukcje, dane jakoby nowemu gubernatorowi jeneralnemu Litwy i Białorusi. Instrukcje te, zapewniając mu nieograniczoną swobodę działania, zalecały «wszelkimi sposobami przekonywać włościan o ojcowskich zamiarach cesarza względem nich i przedstawiać właścicieli ziemskich jako ich wrogów i ciemieżycieli».

na swe nowe stanowisko. Rodzina jego, żona, dzieci, pa-trzyły z pewnem przerażeniem w przyszłość, a mnóstwo nieprzyjaciół uśmiechało się skrycie i zacierało ręce w tem przekonaniu, że wszystko pożerająca rewolucya polska pożre i tego potwora i ludożercę, jak wielu jego poprzedników pożarła. On sam niekiedy tchórzył i snadź dlatego. pod pozorem ukończenia sztabu nowych urzędników, zwłóczył z wyjazdem. Kilkakrotnie udawał się do cesarza do Carskiego Sioła z raportami, wreszcie czyniąc zadość jego naleganiom, oznaczył swój wyjazd na d. 24 maja. Przed puszczeniem się w drogę, przedstawił się, jak sam opowiada, cesarzowej, która miała być bardzo zmartwiona wypadkami w Królestwie i na Litwie; miała mu dziękować za poświęcenie się, mówiła o trudności położenia, o groźbach państw zachodnich i wyrazić się miała: „żebyśmy mogli choć Litwę utrzymać“¹⁾. Takie miało być przerażenie w Petersburgu, że już nie szło o Królestwo, ale o Litwę samą.

Nakoniec d. 24 maja, o godz. 10 wieczorem, puścił się koleją żelazną na nowe swoje stanowisko. Przed wyjazdem wstąpił do soboru kazańskiego i tam się modlił z wielką ostencją i ucałował obraz „cudownej“ Matki Bo-

Urzędowy organ rosyjski „Journal de St. Petersbourg“ ogłosił jednak zaraz potem, że instrukcje te są podrobione umyślnie dla zohydzenia Rosyi. Nie rozstrzygając po czyjej stronie jest prawda, zaznaczymy tylko, że rząd na całej przestrzeni, na której toczyła się wojna powstańcza, pośrednio i bezpośrednio podburzał włościan przeciw szlachcie. (Czytaj *Limanowskiego*, Historia ruchu narodowego II, 145).

¹⁾ Tak twierdzi Murawiew w swych „Zapiskach“, ale już współczesni podawali w wątpliwość to wyrażenie się cesarzowej. Wałujew w swych uwagach nad pamiętnikiem Murawiewa, uwagach wydrukowanych w „Russ. Starinie“ z r. 1890, tom 45, powiada na str. 861: „Pozwalam sobie wątpić o dokładności słów, przypisywanych cesarzowej Maryi Aleksandrownie“. Znając Murawiewa, wiedząc, że „Zapiski“ jego dlatego były skreślane, by wykazać swe olbrzymie jakoby zasługi dla państwa, możemy z czystym sumieniem zgodzić się na opinię Wałujewa. Murawiewowi szło o to, by pokazać światu i Rosyi, że on ją ocalił, że on utrzymał przy niej Litwę, którą bez niego byłoby z pewnością lichy wzięło.

skiej Kazańskiej, odprowadzony na pociąg przez żonę, dzieci, brata Mikołaja, Karskim zwanego, ministra Zieleńoja i wielu innych. Jechał pełen obawy, gdyż przy wszystkich swych wadach był to tchórz bardzo dbały o swe drogocenne życie. Sam powiada, że „krzepił się jak mógł“, że „miał nadzieję tylko w Bogu, gdyż widział, że w Petersburgu nie znajdzie żadnej podpory“. Istotnie w Petersburgu, jakieśmy rzekli, cieszone się, że pozbyto się tego potwora i stronnictwo liberalne zdecydowane było przeszkadzać mu wszelkiemi siłami, a poniósłszy pierwszą porażkę przez jego nominację na dyktatora Litwy, z tem większą gorliwością i uporem postanowiło walczyć uparcie o swoje i Rosyi losy. W rządzie stanowiło ono większość. Po jego stronie stał tylokrotnie już przez nas wspomniany minister spraw wewnętrznych Wałujew, człowiek światły, z kulturą i umysłem urobionym na wzorach europejskich; książę Wasili Dołgorukow, szef żandarmów, takichże wyobrażeń i pozostający pod wpływem Wałujewa; ks. Górczakow, wicekanclerz państwa; minister poczty Tołstoj, osobisty przyjaciel cesarza, bardzo często przypuszczany przezeń do rozmów poufnych; ks. Gagaryn, prezes komitetu ministrów; hr. Panin, żonaty z baronówną inflanką, naczelnik t. z. drugiego oddziału kancelaryi cesarskiej; wreszcie ks. Suworow, gubernator jeneralny petersburski, wnuk zdobywcy Pragi. szczerze nam sprzyjający, jak gdyby krew polska, wylana obficie przez jego dziada, ciążyła mu na duszy i sercu... Stronnictwo więc Zapadników było dość silne i nie myślało poddać się i uleść bez walki, tem bardziej teraz zaostrojonej, że pierwsza porażka ostrzegła je o grożącym niebezpieczeństwie. Pod tym więc względem Murawiew miał słusność, mówiąc, że poparcia należącego w Petersburgu nie znajdzie, ale to rozdrażniało go jeszcze bardziej, a to rozdrażnienie niestety! krwawo się miało odbić na nieszczęśliwej Litwie.

Program podróży Murawiewa do Wilna był taki, że miał się zatrzymać najprzód w Dynaburgu, w okolicach którego przed miesiącem rozegrała się tragiczna katastrofa

krzesławska, która tyle obaw obudziła w Petersburgu i stała się jedną z najgłówniejszych przyczyn usunięcia Nazimowa i nominacji nowego gubernatora. Dynaburg przytem należał do obrotu wielkorządnictwa Murawiewowskiego. Przybył tu rano, nadzwyczajnie zmęczony nocną podróżą, trawiony wewnętrznym niepokojem, wszakże gotowy do działalności, gdyż nie można zaprzeczyć, że pomimo późnego wieku, był on pełen energii, żelaznej wytrzymałości i pracowitości niepospolitej. Zaraz zobaczył się z generałem Dłotowskim, jak wiemy, wysłanym z Petersburga na śledztwo w sprawie wypadków krzesławskich. Ten, kreatura Samobytników, nie omieszczał mu w jak najczarniejszych kolorach przedstawić położenia rzeczy, twierdził kłamliwie, że powstanie wzrasta w siły, że „Polacy byli przekonani o swem powodzeniu, że przekonanie to wpoili w całą ludność, tak, że nawet Rosyanie, mieszkający od dawna w tym kraju, uważali sprawę za straconą i pewni byli, że rząd będzie zmuszony porobić ustępstwa Polakom i zgodzi się na przyłączenie gubernii zachodnich do Polski niepodległej¹⁾”; że nikt temu nie wierzy, aby rząd zdecydował się na krok przeciwny domaganiom się państw zachodnich, że ulegnie konieczności, t. j. że uzna pretensje Polaków itp. Wiemy, że to wszystko było kłamstwem. Że Polacy w tej porze, wobec not mocarstw zachodnich, żywili najśłodsze nadzieje i pewni byli, że wojna wybuchnie, temu przeczyć nie można, zwłaszcza, że i w Petersburgu byli tego samego przekonania, ale żeby powstanie miało wzrastać w siłę, to już było wierutnem kłamstwem. Wszak od dwu tygodni blisko, największy oddział Sierakowskiego, na którego nieszczęśliwa Litwa tyle pokładała nadziei, był doszczętnie rozbity, a sam hetman wzięty do niewoli. Nigdzie nie było już większego oddziału, a te, które jeszcze istniały, kryły się po lasach i bagnach.

Ale w interesie Murawiewa, w jego powziętym z góry planie, leżało, by tego rodzaju twierdzeniom uwierzyć i biada temu, jak to zaraz zobaczymy, kto inaczej ośmielał się

¹⁾ Murawiew, Zapiski.

mówić. Wysłuchawszy więc podejrzaney relacji Dłotowskiego, w prawdziwość której, zaudał, był przebiegły i rozumny, by mógł wierzyć, udał jednak że wierzy, i oświadczył, że przedewszystkiem należy rozwiać marzenia polskie, a w Rosyanach wzbudzić wiarę w stałość i energię rządową. Nie przeczył, że „zadanie jest trudne, ale zdecydowawszy się raz na ofiary moralne i materyalne, z ufnością w Bogu, weźmie się do dzieła“. Tę swoją ofiarnością ciągle teraz będzie wysuwał na plan pierwszy, by uchodzić w oczach Rosyi za człowieka poświęcenia, za patryotę ofiarującego siebie na ołtarzu ojczyzny.

Grając dalej komedję, jakoby powstanie litewskie było tak silne, że zagraża samo przez się całości Rosyi, wydał przedewszystkiem głośno i ostentacyjnie rozporządzenie, mające zabezpieczyć Dynaburg, jedną, pomimo zaniedbania z najsilniejszych twierdz rosyjskich, od nagłych zamachów powstańców, którzy już w tej porze myśleć musieli nie o zdobywaniu fortec, ale przedłużeniu własnego, pełnego niebezpieczeństw i prywacy istnienia. Następnie przez policję rozkazał, ażeby znajdujący się w mieście marszałkowie szlachty inflanckiej i kurlandzkiej, oraz sama szlachta stawiała się przed nim. Szlachty tej była dość znaczna liczba w Dynaburgu, dokąd tłumnie chroniła się przed szalejącymi niedawno po wsiach Burłakami. Do zebranych wraz z urzędnikami cywilnymi i wojskowymi, wyszedł stąpając drobnym krokiem, opuchły, z zaczerwienionemi przez noc nieprzespaną tygrysiemi oczkami, wspierając na zakrzywionej lasce swe ciężkie, nalane cielsko i głosem słodkiutkim, charakteryzującym tę chytrą, lisią naturę, wypowiedział mowę surową, pełną groźb i zapowiedzi wytępienia wszystkiego co polskie. Ponieważ rodzina Zyberk-Platerów, jak wiemy, w wypadkach krzesławskich odegrała główną rolę, więc jednego z nich, marszałka szlachty miejscowej, a przyrodniego brata Leona Platera, który dokonał napadu na transport z bronią, rozkazał oddać pod dozór policji, jakoby za to, że „wyraźnie okazywał przekonanie, że sprawa polska będzie tryumfowała“. Samego zaś nieszczęśliwego

młodzieńca, Leona Platera, więzionego dotąd w Dynaburgu i skazanego na śmierć przez sąd wojenny, kazał rozstrzelać. Wyrok ten wykonano w Dynaburgu d. 27 maja o godz. 11 rano i była to pierwsza ofiara krwawych rządów Murawiewowskich, ofiara heroiczna, bo są ślady, że Leon Plater dla zakrycia innych przyjął całą winę na siebie, oświadczył, że on był dowódcą w napadzie krzesławskim, że on ten napad uorganizował, zwoławszy zjazd pod pozorem polowania, że słowem, on jeden, nikt więcej nie jest winien. Wiemy, że tak nie było; że powstanie inflanckie wywołał Zygmunt Bujnicki, który potrafił ocalić swą głowę, o czem Plater nie wiedział i ofiarnie krwią własną, Bujnickiego i innych osłonił¹⁾. Młody ten człowiek umierał jak bohater lub święty.

Do Wilna Murawiew przybył po południu d. 26 maja i otoczony strażą oczekujących nań żandarmów, z wielkim trzaskiem, rozlegających się donośnie po ciasnych, średniewiecznych ulicach starożytnej stolicy litewskiej, udał się wprost do pałacu, niegdyś Massalskich, a obecnie zamieszkiwanego przez gubernatorów jeneralnych rosyjskich. Tu, przyjął go bardzo uprzejmie Nazimow, zaprosił z całym sztabem towarzyszących mu, przyszłych „obrusiteli“ Litwy, na obiad, i okazywał widoczne zadowolenie z tego, że ciężar rządów zwali ze siebie na nowego gubernatora. Murawiew skarży się w swym pamiętniku, że Nazimow nie umiał mu nic powiedzieć o powstaniu, że mu pokazywał aparaty kościelne, przygotowane przezeń dla jakiejś cerkwi; opowiadał, iż wszystkie krzaki około pałacu, zasadzone są przez niego. Wiemy dobrze, że Nazimow był człowiekiem starym, nieudolnym, o umyśle tępym, ale dla tego nie miał nic do powiedzenia o powstaniu, że nie było co mówić, bo faktycznie ono już w tej porze nie istniało i nie było o czem rozprawiać. Ale wiemy także, że taki pogląd na rzeczy nie zgadzał się z projektami Murawiewa,

¹⁾ Relacye rękopiśmienne o wypadkach inflanckich w zbiorach autora.

który chciał uchodzić za nowego zdobywcę Litwy dla Rosyi i dlatego sztychował z Nazimowa, że ten jedyne szpiega, szukającego organizacyi powstańczej na Litwie, miał w osobie żyda Alpatowa.

Nazajutrz w towarzystwie Nazimowa, otoczony strażą kozacką, udał się Murawiew do cerkwi, by „pokłonić się męczennikom wileńskim“, oraz odwiedził osławionego zdrajcę i sprzedawczyka unii białoruskiej, Siemaszkę, zrobionego metropolitą schyzmatyckim litewskim. W cerkwi zastał wystawione ciało, zabitego w walce z powstańcami, żołnierza gwardyi, otoczone towarzyszymi, którzy czekali na pogrzeb. Widok tych zwłok, wywarł na Murawiewie, jak sam powiada, bardzo przykre wrażenie. Tegoż dnia doniósł telegrafem cesarzowi, że objął zarząd Litwy i Białorusi.

Na dzień 27 maja wyznaczone było przyjęcie urzędników wojskowych i cywilnych, duchowieństwa, marszałków szlachty i wogóle reprezentantów wszystkich sfer wileńskich. Powitawszy najprzód wojskowych, zwłaszcza należących do gwardyi i zakomunikowawszy im podziękowanie cesarza za „ich waleczne czyny“, zwrócił się do urzędników cywilnych, przeważnie Polaków, nieszczęsnych ofiar, skazanych z góry przez niego na stanowcze usunięcie z urzędów. Oświadczył im tonem surowym, że zapozna się z nimi bliżej przy interesach i sprawach; przypomniał im ich obowiązki i dodał, że każdego, który wiernie służy cesarzowi i Rosyi wynagrodzi jak należy, a kto tego nie potrafi, kto nie zgadza się z tem, że tu w Wilnie jest Rosya, niech lepiej poda się do dymisyi. „Tu niema środka, mówił, albo jesteście wierni poddani, albo wrogowie Rosyi“. Zwracając się następnie do marszałków szlachty, między którymi znajdował się Domeyko, wileński i hr. Starzyński grodzieński, ubrany w błyszczący mundur marszałkowski, we wstęgę i gwiazdę orderową, Murawiew przedstawił w skażonych oczywiście i mocno przesadzonych barwach położenie kraju; mówił, że wobec tego rząd koniecznie musi się oprzeć na ludziach szczerze mu oddanych; że szlachta powinna stanowić taką podporę i dlatego zwywa

marszałków, aby mu wskazali tego rodzaju ludzi. Wśród zebranych zapanowało milczenie, a gdy Murawiew jeszcze raz swe żądanie powtórzył, hr. Starzyński odrzekł z niewątpliwą odwagą cywilną, że „w obecnej chwili i w obecnym stanie umysłów, rząd za nikogo ze szlachty polskiej liczyć nie może“. W złych oczach Murawiewa zajaśniał blask strasznego gniewu, blada jego twarz, jeszcze bledszą się stała, a wargi mu się trzęsły jak w febrze. Jednakże z siłą woli, którą się zawsze odznaczał, opanował się i rzekł głosem spokojnym do Starzyńskiego: „Pan, jaśnie wielmożny panie (wasze sijałstwo), wynajdywałeś dotąd zawsze jakieś szczególne powody, dla których nie wykonywałeś dokładnie i z dobrą wolą rozkazów, które panu dawał były gubernator jenerałny. Radzę panu wykonywać moje rozporządzenia jak najskrupulatniej, bez żadnych restrykcji, bo w przeciwnym razie, uprzedzam *wasze sijałstwo*, że ani to (tu wskazał na wstęgę), ani to (dotknął się orderu) nie uchroni pana od szubienicy“¹⁾. Brutalne te słowa, godne jakiegoś carzyka tatarskiego, a nie reprezentanta wielkiego, niby europejskiego mocarstwa — dały poznać szlachcie i wszystkim zebranym, z kim mają do czynienia i jakie teraz w Wilnie rozpoczną się rządy. Ale Murawiew nie poprzestał na tem; koło duchowieństwa katolickiego przeszedł w pogardliwym milczeniu, uprzejmie zato powitał rudą, brzydką postać ministranta luterskiego Ewerta, Niemca zacieklego; niemniej słodkim się okazał dla rabina i kahału żydowskiego, który okazywał zbyt wielką i zbyt manifestacyjną radość, żeby mogła być szczerą i żeby Mura-

¹⁾ *Gervais* (Żerwe) *Wspomnienia* («Istoriczes. Wiestnik» zeszyt październikowy 1898 r.). Autor powiada, że Murawiew tę groźbę wypowiedział do hr. Tyszkiewicza, marszałka gubernialnego wileńskiego. Jest to błąd; marszałkiem takim był Ignacy Domeyko. Relacje ustne, jakie posiadamy z Litwy, twierdzą, że Murawiew odezwał się tak do Starzyńskiego, co ze względu na znaczenie i wpływy tego ostatniego na Litwie jest bardzo prawdopodobnem i dlatego poszliśmy za tą relacją. (*Gervais*, jeżeli się nie mylimy, był ku końcowi powstania gubernatorem suwalskim).

wiew mógł w nią uwierzyć¹⁾. Zato popów schizmatycznych, którymi od czasu zaprzańca Siemaszki, Josifem teraz zwanego, przepełnione było Wilno, przyjął na osobnej audyencji, mówił im o ich misji na Litwie i Białorusi, obiecał pomoc i poparcie i domagał się, by rozwinęli czynną i energiczną działalność; słowem, chciał z nich mieć agentów politycznych, a sam okazując nabożność i fanatyzm religijny, zapominał, że panowanie religii chrześcijańskiej nie jest z tego świata.

Nazajutrz przyjmował duchowieństwo katolickie, na czele którego stał biskup Stanisław Krasiński, postać odznaczająca się wielu cnotami, cicha, skromna, rozmiłowana w literaturze i studiach naukowych, nieco może miękka i nie nadająca się na te ciężkie czasy i w tym kraju, gdzie kościół katolicki stał w obliczu olbrzymiej przewagi schizmy i winien nosić charakter kościoła wojującego. Murawiew wyszedł jak zwykle z laską w rękę, na której opierał swe galaretowate cielsko i stąpając drobnymi i cichymi krokami, przedstawił zebranym zamierzony przez siebie program rządów na Litwie; mówił, że będzie tępił bezlitośnie, bez względu na osoby, spiski i „bunt“; że ma nadzieję, iż w duchowieństwie katolickim znajdzie gorliwych pomocników i współpracowników; że jeżeli między zebranymi znajdują się tacy, którzy nie podzielają tego poglądu, to lepiej niech się zaraz stąd usuną, bo później za samą obojętność i nieczynność pociągnie ich do surowej odpowiedzialności. Wszyscy milczeli posępnie, tylko biskup Krasiński z sarkastycznym nieco uśmiechem na twarzy, który może nie był umyślnym, ale raczej przyrodzonym jego fizyognomii ruchliwej i nerwowej, zrobił uwagę, że właściwie na Litwie niema wcale powstania, że to, co takie miano nosi, jest nieczem innem, jak tylko pościęciem woj-

¹⁾ Powiada też w swych «Zapiskach»: «Żydzi zaś grali rolę dwulicową i objawiali niby to radość, ale było to udane, gdyż potajemnie wszędzie sprzyjali powstaniu i nawet nieśli mu pomoc pieniężną».

ska za kilku nieszczęśliwymi powstańcami, których tropią po lasach jak zajęcy. Te słowa, ten uśmiech, wzbudziły gniew w Murawiewie. Wszak jednym z zasadniczych punktów jego programu, było głoszenie, że powstanie istnieje i to powstanie silne, niebezpieczne dla całości państwa; że on tłumiąc je, ocalił to państwo, stał się jego zbawcą, bohaterem, dokonał wielkiego, niezapomnianego nigdy dzieła. Tymczasem na samym początku, znalazł się ktoś, biskup wileński, którego słowa miały znaczenie, głośno mówiący, że powstania wcale niema, niema niebezpieczeństwa, niema więc i zasług. To też Murawiew z tem chłodnem, tem przeto groźniejszym uniesieniem natury dzikiej i okrutnej, odrzekł biskupowi, że się wyraża niewłaściwie i nieprawdziwie, że duchowieństwo katolickie, które ma w tym kraju wpływ tak ogromny, winno dać przykład wierności prawowitemu rządowi, że on, biskup Krasieński, jako stojący na czele tegoż duchowieństwa, winien uciec się do wszelkich możliwych środków, ażeby powstrzymać swe owieczki i swych podwładnych od buntu. Na to biskup ciągle z tym swoim nerwowym uśmiechem, który widocznie drażnił satrapę, odrzekł, że nie w jego mocy jest usunięcie niezadowolenia, panującego w kraju, ale zapewnić może, iż podległe mu duchowieństwo jest zupełnie lojalne (błagonadziejno). Murawiew w odpowiedzi na to zapewnienie przytoczył kilka przykładów udziału księży w powstaniu, między innymi wymienił ks. Mackiewicza, i dodał, że więzienia polityczne pełne są księży. Biskup słuszną zrobił uwagę, że nie może ręczyć za niczyje przekonania, na co Murawiew odrzekł, że musi odpowiadać za swych podwładnych, że on wie, iż wśród duchowieństwa znajdują się księża, którzy żadnego nie biorą udziału w rokoszu, jak np. znany mu od lat trzydziestu prałat Bowkiewicz, ale takich można na palcach policzyć.

Na temże przyjęciu rozegrała się jeszcze jedna scena, która dodana do poprzednich miała w całości zarysować, wycieniować nawet we wszystkich szczegółach obraz przysłych rządów Murawiewowskich. Hildebrand, generał żan-

darmeryi okręgowej, znany nam już ze swego raportu do Petersburga o wypadkach inflanckich, w rozmowie z Murawiewem głośno i publicznie oskarżył generała Dłotowskiego o pobłażliwość względem starowierców, rabujących dwory szlachty inflanckiej; twierdził, jak wiemy, zgodnie z prawdą, że tam właściwie powstania nie było, że ze strony Burlaków był prosty rozbój i rabunek. Murawiew, w najwyższem uniesieniu, z tą szorstkością i brutalnością wschodniego satrapy, jakiej już dał próbkę w rozmowie z hr. Starzyńskim, kazał żandarmowi milczeć, a gdy się wszyscy rozeszli, wezwał go do siebie i powiedział mu, że takich urzędników jak on, w swem wielkorządztwie nie może cierpieć, że żandarmerya powinna mu pomagać a nie sprzeciwiać się, uniewinniać Polaków a Rosyan obwiniać za to, że spełnili obowiązek wiernych poddanych; że wobec tego, on, Murawiew, służyć z Hildebrandem nie może i nie będzie; że rozkazuje mu udać się do Petersburga do szefa żandarmów, do którego napisze z prośbą, by mu przysłał kogo innego. Biedny Hildebrand, o którym poza Murawiewem, inni pisarze rosyjscy tej doby, jak najlepsze dają świadectwa, musiał ustąpić i niebawem Wilno opuścił.

To postępowanie, te słowa, przyjęcia, mowy i groźby Murawiewa, rozchodziły się, rzecz można, piorunem po Wilnie, a stąd po całej Litwie, i wszędzie jak najgorsze, jak najbardziej przygnębiające wywierały wrażenie. Od dawna już, od chwili, gdy wieść o jego zamierzonej nominacji na wielkorządztwo litewskie, doszła do Wilna, żywiono jak najsmutniejsze przeczucia, ale rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania. Znano go przecież od dawna z jego pobytu w Grodnie, a żyło jeszcze wielu takich, którzy go doskonale pamiętali i wiedzieli co ten człowiek wart i czego po nim spodziewać się należy. Zrazu utrzymywano, że to nie ten Murawiew, „który wiesz“ i który przydomkiem „Wieszatela“ jest uczeczony, ale inny, Karski, czy Amurski, ludzie zgoła odmiennego pokroju, charakteru i sumienia, ale nadeszłe wkrótce wiadomości z Petersburga przekonały, że niema się co ludzić, że to nie inny, tylko

„Wieszatel“ przysłany będzie na dyktatora i kata Litwy. W sferach powstańczych, w Wydziale litewskim niemniej się przerażono i radzono co czynić wobec tej nowej groźby, zawisłej nad nieszczęśliwą Litwą¹⁾. Ale ostatecznie ci, którzy podjęli się kierownictwa powstaniem litewskim, cóż mogli zrobić? jakie zapory postawić temu, który przybywał z władzą dyktatorską, wsparty na nielicznym, co prawda, ale doskonale uzbrojonem i uorganizowanem wojsku, na całej armii urzędników, widzących w Litwie łup łatwy i obfity, pole do rabunku i zdobyczy, mogącej napęlić ich puste kieszenie i zgłodniałe żołądki? Organizacja powstańcza na Litwie i Białorusi zawsze była słaba i właściwie teraz dopiero poczęła się tworzyć, oddziały zbrojne nieliczne i po klęsce Sierakowskiego niezdolne już do żadnej, na większą skalę obmyślanej operacji, lud albo

¹⁾ Pisarze rosyjscy utrzymują, że Rząd narodowy w odpowiedzi na nominację Murawiewa, wyznaczył 25.000 rubli nagrody za jego zabicie, że Murawiew dowiedziawszy się o tem jeszcze w Petersburgu, miał rzec: «niebawem dadzą więcej». (*N. Berg, Zapiski III, 183*). — Z tem, by Rząd narodowy, czy co prawdopodobniejsze, Wydział litewski miał wyznaczyć powyższą cenę na głowę Murawiewa, w polskich źródłach i dokumentach z tej epoki, nigdzie nie zdarzyło się spotkać. Uważać więc to należy za plotkę, którą zapewne sam Murawiew rozpuścił, by okazać jakie niebezpieczeństwa mu na Litwie groziły i jakie przeszkody zwalczać musiał. W plugawym paszkwilu jednego z katów Murawiewowskich *N. Gogola* p. t. «Josafat Ogryzko» na str. 164 czytamy znowu podanie, zaczerpnięte jakoby z zeznań Ohryzki przed komisją śledczą w Wilnie, że gdy Murawiew został już mianowany gubernatorem jeneralnym wileńskim, to «rząd warszawski» postanowił go zabić. Szukano więc «fanatyka», któryby się podjął wykonania tego zamiaru, wskutek czego i komitet petersburski zajął się takimiż poszukiwaniami. Nakoniec miano znaleźć przy pomocy stowarzyszenia «Zemla i wola», Rosyanina, rzemieślnika, który podjął się dokonania tego za sumę 5 tysięcy rubli, ale Ohryzko odrzucił tę propozycję pod tym pozorem, że nie należy ryzykować życia tak dzielnego człowieka, jak ów Rosyanin, że nie zna on Wilna, że tam zresztą są żandarmi narodowi, którzy to powinni zrobić, i tym sposobem projekt ten upadł. Ponieważ panu Gogolowi wierzyć nie można, bo za przykładem swego zwierzchnika Murawiewa, kłamie na każdym kroku, więc i to podanie uważamy za wątpliwe.

obojętny, albo wrogo usposobiony. W takim położeniu, jakąż siłę, jaki opór, nieszczęsny Wydział litewski mógł stawić destrukcyjnym zamierzeniom Murawiewa? W tem rozpaczliwem położeniu Wydział uciekł się do jedynego środka, jaki był w jego mocy, wydał pod d. 25 maja, to jest w tej samej chwili, w której nowy wielkorządca przybywał do stolicy litewskiej, odezwę, wzywającą do walki, do męczeństwa, do ofiarności! „Tylko męczeństwem i krwią, tylko ofiarami, jakich w dziejach przykładu niema (brzmi odezwa), tylko niezłomnem męstwem, cierpieniem i wytrwałością w walce, Polska zdobędzie swą niepodległość i będzie znowu wielkim i wolnym narodem“. Te słowa pełne rezygnacji, nie uderzające już w pobudkę pewnego tryumfu, wołające: „ludu ewangeliczny, idź na walkę z rezygnacją męczenników, a zdobędziesz palmę zwycięstwa“, brak wiary we własne siły („jesteśmy pewni, że ludy z wolą Opatrzności muszą nam dopomóc w ostatecznym razie“), świadczą, jak przygnębiające wrażenie wywarła na wszystkich nominacja Murawiewa. Donosząc o jego przybyciu, odezwa powiada: „dotychczas rządili krajem ludzie, którzy „byli częścią jego serca“ (?!), lecz od dziś dosyć tej łaskawości, car przysłał nam „swój bicz“. Murawiew przyjeżdża na Litwę z rozkazem ostatecznej zagłady polskiego imienia. Moskwa czując ostatnią godzinę, sama na wskróś materyalna, zna zasadę Europy „biada zwyciężonym“, a więc po sobie chce pozostawić powietrze, ziemię i wodę. Z obszernej instrukcji tego wielkorządcy, dosyć będzie dwa przytoczyć rozkazy: „aby wszystkie kobiety moskiewskie opuszczały miasta litewskie i rozkaz palenia lasów“. Oczywiście te dwa mniemane rozkazy Murawiewa, który dopiero co przybył i nie miał jeszcze po prostu czasu na wydawanie tego rodzaju rozporządzeń, są jakąś plotką, może umyślnie puszczoną, by rozdrażnić i rozbudzić przeciw niemu nienawiść. Nigdy on nie nakazywał, aby kobiety rosyjskie opuszczały miasta litewskie, bo nie było ani powodu, ani zasady najmniejszej do tego rodzaju rozkazów;

lasów palić nie kazał, a wycinanie ich wzdłuż dróg i gościńców, znacznie później nastąpiło.

Odezwa więc powyższa już przez to traciła swą doniosłość, że rozpuszczała wieści kłamliwe, jakby potrzeba było kłamać, wobec mającej niebawem nastąpić strasznej rzeczywistości, wandalizmem przesiąkłych rządów Murawiewa; a jej ton rezygnacyjny, rozpaczliwy, mówiący o męczeństwie i ofiarności, nie mógł nikogo natchnąć ani odwagą, ani męstwem i wytrwałością¹⁾. To też redaktorzy, a ściślej mówiąc, Wydział litewski, czując niejako potrzebę obudzenia ducha i zaznaczenia swej męskiej tęgości, tegoż dnia 25 maja wydał dekret, którym wobec tego, „że najazd wszystkie siły swe wyteżył do pokonania powstania“, że „w tym celu używa najnikczemniejszej broni, szerząc propagandę, dążącą do przewrotu społecznego“, że „rozsyła fałszywe wieści, któremi usiłuje zatruwać umysły i zachwiać opinią publiczną“, że „urzęda swe obsadza ludźmi bez czci i wiary“ — ustanowił „Nieustającą radę bezpieczeństwa“, czuwać mającą nad postępками tak urzędników i agentów rosyjskich, jak również wszystkich ludzi podejrzanych i nieposłusznych władzy narodowej. Rada miała takich ludzi sądzić według całej surowości praw wojennych i wyroki swe drukiem ogłaszać. Było to z jednej strony naśladownictwo francuskiego Komitetu ocalenia publicznego z czasów pierwszej rewolucyi, bez jego siły, energii i wszystko obalającego zapału i jak każde naśladownictwo nieudolne i słabe — z drugiej głośnem przyznaniem, że pojawienie się Murawiewa na Litwie budzi trwogę i zmusza władze powstańcze do chwytania się środka rozpaczliwego, co zarazem świadczyło o ich bezsilności.

Trwoga ta niestety! nie była płonną. Nowy wielkorządca do dzieła zniszczenia zabrał się z energią, bezwzględnością i pracowitością, zdumiewającą w tym przeszło sześćdziesięcioletnim starcu, w tem cielsku opuchłym

¹⁾ Odezwę tę i dekret następny czytać można w całości w No 17 „Ruchu“ z r. 1863.

i niezdrowem pozornie. W kancelaryi jego, w całym pałacu gubernatorskim, zawrzała wielka i ruchliwa czynność. Murawiew z niecierpliwością oczekiwał odjazdu Nazimowa, którego obecność krępowała go niejako i niedozwalała mu okazywać tej rozhukanej samowowoli prokonsula i satrapy, jaką niebawem miał objawić. Ale nakoniec Nazimow wyjechał d. 28 maja, obdarzony zaraz potem orderem Aleksandra Newskiego z brylantami, i Murawiew został sam, z drzącą u stóp swych Litwą. Teraz więc przedewszystkiem polecił generałowi Sobolewskiemu, aby nakreślił instrukcyę dla utworzenia wszędzie straży wiejskich, już od kilku tygodni wprowadzonych staraniem Zielenoja w Witebszczyźnie, oraz uorganizowania zbrojnej straży z Burlaków inflanckich, głównie w powiecie Rzeżyckim, czem się zajął znany nam już generał Dłotowski. Straże te obowiązane były w razie pojawienia się powstańców, uderzać na nich z kosami, pałkami i t. p.; w razie zaś, gdyby powstańcy posiadali większe siły, straże z kilku wsi winny się koncentrować i starać się pobić i schwytać „buntowników“. Instrukcyja¹⁾ nakazuje, aby „dla ustrzeżenia mieszkańców od niepotrzebnych alarmów i dla otrzymania prawdziwych wiadomości o tem, co się dzieje w sąsiedztwie“, ustanowione były podjazdy konne, które mają codzień jeździć od wsi do wsi i dawać zaraz znać o ukazaniu się powstańców, tak starostom (starszyna) wiejskim, jak i naczelnikowi wojska, kwaterującego w pobliżu. Prócz tego obowiązkiem straży było aresztować i oddawać w ręce policyi wszystkich podejrzanych, przejeżdżających pytać o paszporty i nie posiadających takich świadectw aresztować i odsyłać do naczelnika wojennego. Straże te, jakkolwiek ówczesni „diejatiela“ rosyjscy z Murawiewem na czele, ogromnie byli dumni z tego, co prawda bardzo oryginalnego pomysłu, i wielkie na nich nadzieje pokładali, ani w dziesiątej części nadziei tych nie ziściły. Chłopi przedewszystkiem niechętnie przyjęli to nie-

¹⁾ Czytać ją można w dziele N. Cyłowa: Sbornik razporażeń grafa Michaila Nikolajewicza Murawiewa po usmireni polskago miateża w Siemiero-Zapadnych guberniach 1863 i 1864 g. (Wilno 1866), na str. 346.

zwykle odwołanie się do ich pomocy. Pora wiosenna, rozpoczynające się roboty w polu, wymagające wszystkich rąk wiejskich, rozpędzanie tu i owdzie oraz surowe ich karanie przez oddziały powstańcze, spowodowały, że chłopci nie tylko nie uzbrajali się na widok „buntowników“, nie tylko ich nie rozbijali i nie chwyтали, ale nawet w większości wypadków nie dawali znać o tem komu należy. Wreszcie, z czasem, strażę te stały się prawdziwą parodią. Zwykle pełniła te funkcje jaka stara baba wiejska, lub wyrostek dziewczyna, pasąca jednocześnie gdzieś w pobliżu gęsi, której zadanie polegało na tem, że otwierała przejeżdżającym kołowrot wiejski, o paszport nie pytała, ale za to patrzyła, czy jej za tę uprzejmość kilka groszy nie spadnie. Nie na wiele się też przydała zachęta płacenia za każdego schwytanego powstańca, chłopom po 3 ruble, a za uzbrojonego po 5 rubli ¹⁾; chłopci ostatecznie nie wielu schwytali powstańców i wogóle względem ruchu zachowywali się bardzo ostrożnie i oględnie.

Ale najważniejszym dziełem Murawiewa w tych pierwszych dniach jego władzy, było utworzenie t. zw. zarządu wojenno-policyjnego, mocą którego oddał kraj cały na pastwę i samowolę drobnym kacykom, którzy pokazali do czego są zdolni rosyjscy urzędnicy i wojskowi, gdy im się władzę odda w ręce. Murawiew wielką wagę przywiązywał do tej nowej organizacyi, nazwał ją „kamieniem węgielnym wszystkich późniejszych swoich kroków i rozporządzeń“. Odpowiednią instrukcyę wydano dnia 5 czerwca. Nakazywała ona natychmiastowe zaprowadzenie w całym gubernatorstwie jeneralnem stanu wojennego i wykonywanie jego przepisów z całą ścisłością pod surową, osobistą odpowiedzialnością naczelników wojennych. W każdej gubernii, powiecie i okręgu (uczastok) był ustanowiony naczelnik wojenny z obszernymi bardzo pełnomocnictwami; nakazano im ścigać powstańców, rozbroić cały kraj, „oczy-

¹⁾ Instrukcyja z d. 7/19 lipca. (N. Cyłow, Sbornik, 216). Wyznaczono na ten cel na każdą gubernię po 3.000 rubli z funduszuiesięcioprocentowej kontrybucyi, nałożonej na dobra szlachty polskiej.

ścić powiaty od nielojalnych obywateli, szlachty, duchownych i innych osób, które mniej lub więcej dopomagają powstaniu“. Za najmniejsze pod tym względem niedbalstwo lub łagodność, naczelnik surową zagrożony był odpowiedzialnością. Instrukcyja polecała, ażeby zapowiedziano wszystkim ziemianom, rządcom i administratorom majątków, że osobiście odpowiadać będą, jeżeli w obrębie ich własności utworzy się oddział powstańczy, oraz jeżeli zaopatrzyć będą powstańców w pieniądze, żywność lub odzież. Księżom po wsiach i miastach nakazano oznajmić, że za najmniejszy udział w powstaniu czy to słowem, czy czynem, za odczytywanie proklamacyi lub inne manifestacye w kościołach, będą oddawani pod sąd polowy. „Tłomaczenie, często przez księży używane (brzmi instrukcyja), jakoby byli zmuszeni do dania pomocy powstaniu — nie będzie uwzględniane, bo służy ołtarza mniej niż ktokolwiek inny powinni ulegać groźbom. Powinnością ich jest nieść z siebie ofiarę dla uspokojenia kraju i starać się, by każdy wykonywał święty obowiązek wiernopoddanej przysięgi swemu monarsze“. Takie muż losowi mają ulegać przełożeni klasztorów. Sądy polowe mają trwać krótko, a wyrok ich winien być natychmiast wykonany. Majątki ruchome i nieruchome tych, którzy w jakikolwiek sposób dopomagali powstaniu, mają uleść sekwestrowi niezwłocznemu. Zboże, znajdujące się w takich majątkach ma być użyte na wyżywienie wojska i straży wiejskiej, inne zaś produkty i ruchomości mają być sprzedawane, a pieniądze stąd otrzymane, jak i dochód z majątków użyty na pokrycie wydatków skarbu na stłumienie powstania. W miastach i powiatach wszystkie władze podlegać mają naczelnikom wojennym. Urzędnicy wszelkiego rodzaju za najmniejszym podejrzeniem mają być usuwani z posad i aresztowani. Na majątkach ziemskich, jeżeli ich właściciele podejrzani są o udział w powstaniu, ciężać winny wszystkie wydatki utrzymania wojska; zboże, owies i wszelkie zapasy, mają być użyte na tegoż potrzeby, jak również konie, wozy i bryczki.

Drakońska ta instrukcja, kilkakrotnie jeszcze uzupełniana nowymi przepisami, oddawała cały kraj na łaskę i niełaskę rozmaitym drobnym, tem przeto dokuczliwszym satrapom. Zagrożeni surową odpowiedzialnością za najmniejszą nawet łagodność w postępowaniu, za ludzkość lub litość przy wykonywaniu tych przepisów, dających obszerne pole do wszelkiego rodzaju nadużyć, prześcigali się w łupieztwach, rabunkach, okrucieństwach. Można by całe tomy spisać z dziejów tej martyrologii litewskiej, tego wandalckiego niszczenia kraju, zacierania z dziwną, trudną do pojęcia zaciekłością wszelkich śladów starej cywilizacji zachodniej, lub znamion polskości¹⁾. To też pojawienie się

¹⁾ Przytoczymy tu parę takich faktów, zaczerpniętych wyłącznie z autorów rosyjskich, którzy z pewnością, jeżeli nie ukryli gwałtów i nadużyć swych rodaków, to nie kłamali wcale. *N. Berg* w swych «Zapiskach» III, 172 i następ. opowiada o jednym takim, jak ich Szczedryn nazywa, «urzędniku do szczególnych przestępstw», oficerze Dmitriewie (według autora «Czarnej księgi» p. 197, miał on być dowódcą 7 rot pulku nowoingermanlańskiego i był naczelnikiem wojennym w Tykocinie, gdy ówczesna gubernia augustowska podlegała Murawiewowi), który jeździł po gubernii z kozakami i doktorem, przywracając «porządek», według danych sobie instrukcji. Doktor był mu potrzebny dla dokonywania oględzin «pacjentów»; w razie gdy ten lub ów pod batami kozackimi nagle umilkł, doktor brał za puls i decydował: «żywy lub nieżywy, można jeszcze bić lub przestać». Pewnego razu «pacjent» umilkł. Doktor oświadczył: «zdaje się, że umarł». «Jakto umarł?! nie może być — zawołał Dmitriew — wszak dostał niedużo». Zaczęto więc zmarłego czy omdłego cucić rozmaitymi sposobami, a gdy to nie pomogło, Dmitriew chwycił ze stołu korkociąg i wkręcił go pacjentowi w rękę. («Czarna księga» inaczej trochę ten fakt opowiada i przytacza nazwisko nieszczęśliwego męczennika, był nim Świętorzecki, mieszczanin z Tykocina). O fakcie tym doniesiono Murawiewowi. «Ależ to potwór nie człowiek», zawołał, i kazał Dmitriewa aresztować, ale zdaje się, że nie mu za to wszystko nie było. (Według «Czarnej księgi» miał zapłacić 100 rb. kary i niebawem został mianowany majorem).

J. N. Butkowski w swych «Wspomnieniach» («Istoriczeskij Wiestnik» z r. 1883), opowiada, że w powiecie kowieńskim był sprawnikiem niejaki Warrawa, którego koledzy nazywali «rozbójnikiem», i w tej nazwie była prawda, mówi autor, «gdyż działalność jego

tych przepisów, zapowiadających jaki charakter przyjmą rządy Murawiewa, w wielu ludziach uczeiowych, Rosyanach, którzy albo dotąd zajmowali na Litwie i Białorusi urzędy,

względem ziemian była tak dalece oburzająca, że nawet miękki Mikołaj Murawiew (gubernator kowieński, syn Wieszatela), nie mógł go dłużej trzymać u siebie w gubernii i uwolnił za nadużycia tak względem osób jak i ich majątków». «Sprawnik, opowiada dalej Butkowski, od czasu do czasu, zwłaszcza gdy w karty przegrał, napadał z kozakami na dwory szlacheckie; żona jego w Kownie strojami swymi budziła zazdrość w damach, nie mających tak niewyczerpanych źródeł dochodu. Opowiadano także o szczęściu (tak!) pewnego urzędnika, mianowanego stanowym wojennym (naczelnikiem) w powiecie poniewieżkim. Pierwszą jego czynnością był napad na majątek pewnego wybitnego ziemianina. Napad ten zakończył jego służbę, gdyż zaraz potem wziął dymisy i wyjechał pośpiesznie z gubernii. Okazało się, że zabrał ziemianinowi z biurka 60 tysięcy rubli, i uważał, że mając taką sumę w rękach, lepiej będzie zatrzymać ją sobie i rzec się urzędu. Obywatel, któremu zabrano te pieniądze, nie mógł się dowiedzieć, dokąd przelana została ta suma, czy do skarbu, czy do kieszeni prywatnej, zresztą dowieść tego nie było tak łatwo. Po większej części konfiskata zaczynała się od rabunku, a pozostałe rzeczy opisywano szczegółowo i oddawano pod zarząd izby skarbowej. W czasach wojennych, w kraju zdobytym, własność prywatna bywa szanowaną, ale tu robiono co chciało. Nie mówię już o tem, że sami właściciele dawali znaczne łapówki władzom policyjnym, żeby otrzymać jakąś ulgę przy zaborze majątku. Wojsko, towarzyszące wykonawcom sekwestru, było przekonane, że kraj należy zniszczyć i pozwalało sobie nadużyć ze szkodą karności wojskowej. Zle to były czasy».

Tenże Butkowski zostawszy prezesem izby skarbowej w Kownie przyjął ośmiu urzędników, przybyłych z Rosji — ale już po trzech miesiącach musiał prócz jednego wszystkich wypędzić. Jeden z nich wysłany do objęcia skonfiskowanego majątku w okolicy Kiejdan, miał zaraz przysłać o tem raport, tymczasem tego raportu nie było widać, Butkowski, obawiając się jakiego wypadku, wysłał umyślnego na miejsce. Okazało się, pisze, że mój podpułkownik zaczął obejmowanie majątku od piwnic, a ponieważ tam wina i wódki była znaczna ilość, więc żeby zapas ten opisać szczegółowo, kazał przynieść do piwnicy nie tylko krzesła i stół, ale i łóżko. Odtąd wcale z piwnicy nie wychodził, przepędziwszy w niej dwa tygodnie». Te przykłady działalności Murawiewowskich urzędników misyonarzy i «obrusiteli» wystarczą.

albo też przybyli z Murawiewem, obudziło zgrozę. Znali oni przecież swych rodaków, widzieli te gromady łotrów i wywłok, zbiegających się na Litwę, niby sępy na padlinę, by nie mieli przewidywać, do czego gospodarka tych panów doprowadzi, jakie wyda owoce i jaką hańbą będzie dla Rosyi. Brać udział w takim rządzie, było już samo przez się nikczemnością. Więc też usuwali się jak najprędzej. Przykład głośny i znamieny dał hr. Bobriński, który przybył z Murawiewem z Petersburga, dla objęcia stanowiska gubernatora grodzieńskiego. Zaraz po ogłoszeniu powyżej przytoczonej instrukcyi o zaprowadzeniu w kraju zarządu wojskowo-policyjnego, Bobriński nie czując w sobie zdolności na kata, rozbójnika i rabusia, bez uwiadomienia Murawiewa, bez podania się do dymisyi, uciekł po prostu w nocy i potajemnie z Grodna. Również później usunął się z Kowna Engelhardt, a z Wilna Haller. Miejsca przez nich opuszczone, poosadzał Murawiew swemi kreaturami; do Kowna przysłał własnego syna Mikołaja, karciarza, kobieciarza i utracyusza z ograniczoną nader głową.

Jak dalece w tym napływie szumowin rosyjskich zatracone było wszelkie poczucie honoru i jak one źle oddziaływały nawet na armię, świadczy to, że naczelnikiem policyi tajnej, która przecież nigdzie na świecie nie cieszy się poważaniem i zajęcia jej nie są uważane za godziwe, został rotmistrz wyborowego pułku kawalergardów, książę Szachowski, należący z rodu do najwyższej arystokracji rosyjskiej. Jemu oddane były rewizye w mieście, kierowane szpiegami i t. p. wcale nierycerskie zajęcia. Policyą miejską w ogólności zajął się Murawiew bardzo energicznie. Była ona za Nazimowa rozpuszczona i niewiele warta. Codzień prawie oberpolicmajster składał wielkorządcy raport, że z Wilna zbiegło do powstania od 40 do 50 młodych ludzi; że zatamowanie tej emigracyi jest rzeczą prawie niemożliwą ze względu, że miasto było zewsząd otwarte. Murawiew więc polecił, aby właściciele domów, majstrów, traktyerników i t. p. karać nawiązką 10 do 25 rubli, za każdego człowieka, który od nich pójdzie do powstania

i karę tę natychmiast, bez żadnych względów egzekwować, sprzedając nawet ostatnie ruchomości. Taką samą karą, acz o wiele większą, bo dochodzącą do 100 rubli, zagrożono klasztorom i duchowieństwu parafialnemu za każdego czy to zakonnika, czy księdza, czy ludzi z pomiędzy posługi kościelnej, zbiegłego do powstania i w razie powtórzenia się czegoś podobnego, karę tę polecano podwoić.

Niebawem ukazało się rozporządzenie obkładające karą pieniężną kobiety, noszące żałobę. Instrukcyja w tym celu, wydana przez Murawiewa do wszystkich gubernatorów¹⁾, polecała, ażeby urzędników, których żony, córki lub siostry będą nosiły suknie żałobne, natychmiast uwalniać od służby; kobiety zaś także bez różnicy stanu, majątku i narodowości, karać poraz pierwszy nawiązką 25 rubli, po raz drugi 50 rubli, a za trzecim razem aresztować i oddawać pod sąd. W razie, jeżeliby ukarana nie zapłaciła w oznaczonym czasie tej kary, nakazano zająć i sprzedać przez licytację publiczną jej ruchomości. Pieniądze stąd powstałe miały być obracane na wsparcie włościan, którzy ponieśli od powstańców jakie szkody. Rozpoczęło się tedy ściganie, zwłaszcza po Wilnie, kobiet ubranych czarno, a znając ówczesny kierunek nadany przez Murawiewa zgrai podległych mu „czynowników“, łatwo sobie wyobrazić jakich dopuszczano się nadużyć i bezceństw względem kobiet, które wpadły w oko policyi. Policyja ta schwytała na ulicy kobietę, choćby niekoniecznie czarno ubraną (nawet ciemne kapelusze lub szare suknie uważane były za żałobne), ciągnęła publicznie do swojego biura, szydząc z niej lub wymyślając jej głośno. Los taki między innemi spotkał znane w mieście panie: Mostowską, Strawińską i Niezabitowską, należące do wybitniejszych rodzin szlacheckich na Litwie. Niekiedy policyja, oprócz zapisywania nazwisk schwytanych kobiet, dla pociągnięcia ich do nawiązki pieniężnej, zdzierała z nich suknie i tak wypuszczała

¹⁾ N. Cyłow, Sbornik 109 (Dopełnienie do instrukcyi wydanej 24 maja/6 czerwca).

na ulicę. Zamykano je niekiedy z nierządnicami, a nawet niektórym kazano zamiatać ulice. Rozbrzmiały też szeroko po całej Europie skargi znieważonych, a skargi te Rząd narodowy w odezwach swych potwierdził¹⁾.

Rozpatrywanie spraw i wyroków na różne osoby, uwięzione za Nazimowa i czekające swego losu, Murawiew oddał audytorowi Nejełowi. Więzienia były przepełnione nieszczęśliwymi ofiarami, a wielu z nich sprawy nie były pokończone, a wyroki jeżeli już zostały wydane, nie były zatwierdzone, gdyż — jak powiada kłamliwie Murawiew — „lękano się surowością rozdrażniać buntowników“. Nejełow wszystkie tego rodzaju sprawy przedstawił zaraz Murawiewowi, a on w myśl powziętego jeszcze w Petersburgu zamiaru, że po przybyciu do Wilna przedewszystkiem rozstrzela paru księży, wybrał z pomiędzy uwięzionych dwie ofiary, które w Wilnie miały rozpocząć szereg krwawych egzekucyj, istne martyrologium litewskie. Pierwszym z nich był ksiądz Stanisław Iszora, młody 25-letni człowiek, wikaryusz parafii w Załudziu, w powiecie Lidzkim. Aresztowany jeszcze za Nazimowa za to, że ogłosił z ambony manifest Rządu tymczasowego z d. 22 stycznia o powstaniu i uwłaszczeniu włościan, skazany został wyrokiem sądu wojennego na 10 lat robót ciężkich w kopalniach na Syberyi²⁾. Gdy wyrok ten niezatwierdzony jeszcze przez gubernatora jeneralnego, został przez Nejełowa przedsta-

¹⁾ «Zadnej wątpliwości nie podlega, że kobiety maltretowane są w Wilnie, Mohilewie, Żytomierzu, w całej Litwie i Rusi za żalobę». (Depesza Rządu nar. do ks. Wł. Czartoryskiego z dnia 19 czerwca 1863 r. «Wydawnictwo materyałów do historii powstania» V, 207. Czytaj też «Ephemerides polonaises» II, 53).

²⁾ Z. Kolumna, Pamiątka dla rodzin polskich I, 68, powiada, że ks. Iszora poszedł do powstania i był w nim kapłanem, że Rosyanie nie mogąc go dostać, aresztowali za owe ogłoszenie manifestu Rządu narod. [proboszcza Załudzkiego (parafię tę zowie «Pamiątka» Żałudkowska), ks. Janczewskiego; że Iszora dowiedziawszy się o tem sam [się oddał w ręce rosyjskie, oraz że mimo to ks. Janczewski także później miał być ukarany. Wiadomość ta jednak nie znajduje potwierdzenia w innych z tej epoki świadectwach.

wiony Murawiewowi, ten z krzyżem nadużyciem, bo przywilejem zaszczytnym władz najwyższych jest wyroki łagodzić a nie zaostrzać, zmienił karę ciężkich robót na śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok miał być wykonany d. 3 czerwca. Wiadomość ta, ogłoszona w miejscowym „Kuryerze wileńskim“, rozbiegła się błyskawicą po mieście i wywarła niesłychane wrażenie. Wielu nie wierzyło w możliwość czegoś podobnego i powszechnie przypuszczano, że kara śmierci nie nastąpi, że przyprowadzą księdza na miejsce kaźni i tam mu ułaskawienia udzielą. Jakże nieznano Murawiewa, tego nowożytnego prokonsula, podszycę tego mongolską krwiożerczością! Nikt nie wstawiał się za nieszczęśliwym młodzieńcem, bo najprzód przystęp do Wieszatela był nadzwyczajnie utrudniony, a potem na coby się zdały z tym Kaligulą rosyjskim wszelkie wstawiennictwa!¹⁾

Gdy w przeddzień wykonania wyroku, oberpolicmajster wileński zgłosił się do Murawiewa i doniósł mu o wrążeniu w mieście, oraz o tem, że zamierza jak najwcześniejszym rankiem, dla uniknienia zbyt wielkiego zbiegowiska ludzi, wykonać wyrok, Wieszatel uśmiechnął się zjadliwie i rozkazał, że rzecz ma się przeciwnie odbyć, że oberpolic-

¹⁾ N. Berg, Zapiski III, 177 opowiada, jakoby na podstawie relacji naczelnika sztabu Murawiewa, że za ks. Iszorą wstawił się metropolita schizmatycki, Siemaszko. Na prośbę jego Murawiew miał odrzec szorstko: «Żadnych pobażeń (posłańców) dla popów, zwłaszcza dla popów! Już ze względu na swe powołanie winni oni dawać przykład pokoju chrześcijańskiemu, a tymczasem się buntują. Żadnej litości, żadnej łaski!» — zawołał podnosząc głos. «Nie krzycz pan, Michajle Mikolajewiczu — zawołał Siemaszko — ja się nikogo nie boję prócz Boga, tam żyjącego». Murawiew przycichł nieco i po chwili już innym tonem rzekł: «Żyję przeszło 60 lat, ale nigdy nie widziałem tam żyjącego. Czy ty go widziałeś?» «Skoro rozmowa przybiera taki charakter, muszę milczeć» — rzekł Siemaszko, wziął czapkę i odjechał. Jakkolwiek podanie to zgodne jest z charakterem Murawiewa, przecież musimy je uważać za wątpliwę, choćby z tego względu, że taka rozmowa nie mogła mieć świadków, jakimże więc sposobem doszła do wiadomości owego szefa sztabu?

majster ma ściągnąć batalion piechoty z bębni i trąbkami, że sam ma konno ruszyć na czele orszaku i punktualnie o godz. 12 w południe na miejsce kaźni; że skazaniec ma być otoczony żandarmami, a na piersiach ma mu wisieć „hańbiąca tablica“¹⁾. Zgodnie z tym rozkazem wszystko się odbyło. Dnia 3 czerwca, koło południa rozległ się po mieście głuchy turkot bębnow i jękliwa muzyka trąb wojskowych, przy odgłosie których poprowadzono pieszo nieszczęśliwego księdza Iszorę na śmierć. Na czele, z oberpolicmajstrem na przodzie, jechała żandarmerya i kozacy; za nimi postępował krokiem pewnym sam nieszczęsny skazaniec, otoczony liczną strażą. Wysokiego wzrostu, pięknej postawy, z okiem błękitnym, w którym błyszczało natchnienie, posuwał się naprzód, nie patrząc na nikogo, tylko w niebo, i półgłęboko się modlił, powtarzając psalm Dawidowy: *Misere mei Domine...* Prowadzono Iszorę przez ulicę Dominikańską (dziś Błagowieszczeńską) na Łukiszki, wśród ogromnego, blisko dwudziestotysięcznego tłumu ciekawych i przerażonych. Kobiety głośno płakały. Ksiądz umarł po bohatersku, ciągle się modląc, jedna z tych ofiar heroicznych zaiste! gorącej acz nieopatrnej miłości swej polskiej ojczyzny²⁾.

¹⁾ *Gervais* (Żerwe) Wospominania (Istor. Wiestnik z r. 1898). — Sam Murawiew w swych «Zapiskach» powiada: «Kazałem wykonywać wyroki w Wilnie na rynku, w samo południe, ogłaszając je w całym mieście, przy odgłosie bębna».

²⁾ Cytowany *Gervais* opowiada, że nazajutrz po straceniu ks. Iszory, policmajster doniósł Murawiewowi, że na miejscu, gdzie pochowano zwłoki nieszczęśliwego młodzieńca, zbierają się tłumy, przeważnie kobiet i gorąco się modlą. Murawiew miał na to odrzec: «Rozkaż pan, kiedy zmrok zapadnie, wywieść z kloak ze czterdzieści wozów ekskrementów i niech obleją niemi całe miejsce, gdzie księdza pochowano. Zobaczysz, wszyscy uciekną». Policmajster wykonał ten rozkaz i już nikt modlić się nie przychodził.

Jakkolwiek podanie to jest wątpliwem, wszelako jest już przez to charakterystycznem, że pisarze rosyjscy uważają Murawiewa zdolnym do powzięcia tak plugawej myśli.

Pierwsza ta kaźń w Wilnie, pokryła miasto żałobą; zapanowało w niem mroczne, posępne usposobienie. „Płacz i narzekań było wiele“, opowiada Murawiew; wiele osób wyjeżdżało z miasta, nie chcąc się patrzeć na rozpoczynające się krwawe rządy kata Litwy, rządy zaznaczone teraz nieomal codziennie nowymi egzekucjami. W parę dni potem (d. 5 czerwca) rozstrzelano na tychże Łukiszkach księdza Rajmunda Ziemackiego, przeszło siedmdziesięcioletniego starca, proboszcza kościoła Wiewiórskiego z powiatu Lidzkiego, także za ogłoszenie manifestu Rządu tymczasowego, oraz Wojciecha Laskowskiego czy Laskowicza¹⁾, młodego ziemianina z okolic Lidy, za to, że zwywał lud do powstania. Oba prowadzono pieszo, w dzień biały, z muzyką i żandarmami na plac stracenia. Ksiądz Ziemacki, staruszek pochylony i siwy, osłabł zupełnie i musiano go prowadzić, o przywiązany do słupa, stracił całkiem przytomność. Laskowski umierał mężnie.

Stracenie dwóch księży w ciągu kilku dni, przedewszystkiem silnie oddziaływało na nerwową naturę biskupa wileńskiego, ks. Krasińskiego. Rozchorował on się i położyć się musiał do łóżka, a przeczuwając niejako, że wcześniej czy później, Murawiew pod pierwszym lepszym pozorem, będzie go chciał skompromitować, postanowił także usunąć się z Wilna, czego pochwalić mu nie można, bo jeżeli kto, to biskup polski powinien wytrwać na stanowisku do ostatka. Nie ulega wątpliwości, że Murawiew od samego początku, zwłaszcza od owej audyencyi, na której biskup powiedział mu publicznie, że powstanie na Litwie nie istnieje, zdecydowany był jakimkolwiek sposobem pozbyć się niewygodnego i niebezpiecznego świadka. Twierdził więc kłamliwie wtedy i później, że „biskup Krasiński był jednym z najgorliwszych czynników powstania“ — co jest fałszem najwierutniejszym, bo ksiądz ten nigdy nie zajmował się polityką, a samo powstanie uważał za błąd

¹⁾ Źródła rosyjskie zwią go Laskowskim, polskie (Pamiętka dla rodzin I, 92) Laskowiczem, a nawet Leskowiczem i Łaskiewiczem.

i nieszczęście. Niemłody już, pięćdziesiąt parę lat liczący, niegdyś Pijar, przepędziwszy większą część życia w Petersburgu, przypatrywał się z bliska potędze rosyjskiej i miał ten krzepki, acz chłodny patryotyzm Polaków, mieszkających nad Newą, który z natury rzeczy przeciwny jest wszelkim niewczesnym i bezsilnym wybuchom. Rozmawiany w literaturze, tłumacz znakomity „Pieśni o pułku Igora“, miał usposobienie ciche, spokojne, lubiące zajęcia gabinetowe, trzymał się zdala od wszelkiej polityki i od udziału w ruchu powstańczym. Ale już przez to samo, że stał na czele kościoła katolickiego na Litwie, że zaprzeczał istnieniu powstania, był nie na rękę Murawiewowi. Z prawdziwie tatarską perfidią, Wieszatel w parę dni po rozstrzelaniu ks. Iszory i Ziemackiego, wystąpił w dniu 7 czerwca z odezwą urzędową do ks. Krasieńskiego, w której wykładał powody skazania na śmierć dwu wymienionych księży. Przypominając, że biskup na audyencji powiedział, że duchowieństwo zachowuje się lojalnie, a tymczasem z akt komisji śledczej i z doniesień dowódców wojskowych, z zeznań jeńców, okazuje się, że duchowieństwo bierze żywy udział w powstaniu, odczytuje z ambon manifesty rewolucyjne, odbiera przysięgi od powstańców, wstępuje do ich szeregów, a nawet obejmuje dowództwo, powiada: „wszystkie te wypadki postawiły mnie w smutnej konieczności, jak to już wiadomo Waszej przewielebności (waszemu preoswiaszczenstwu), kazać stosownie do wyroków sądu wojennego, spełnić karę śmierci nad dwoma księżmi, winnymi naruszenia przysięgi wiernopoddańczej i współudziału w powstaniu“; donosił, że wielu księży oddano już pod sąd polowy, i że „ukarani będą według całej surowości prawa“. Otóż Murawiew „chcąc na przyszłość uniknąć środków tak surowych, zwłaszcza względem osób stanu duchownego“, odwołuje się do biskupa „z jak najusilniejszą prośbą“, ażeby starał się wpoić w podwładne sobie duchowieństwo to przekonanie, aby ono „pomnąc na swe powołanie, włożone na nie przez stan duchowny i świętość przysięgi wiernopoddańczej, zaniechało swych działań

występnych i żeby słudzy ołtarza, którzy powinni bez względu na groźby a nawet śmierć pozostać wiernymi swemu powołaniu, starali się tak słowami, jak i przykładem, zamiast pobudzania mieszkańców do występnych czynów, naprowadzić na dobrą drogę tych, którzy zapomniawszy obowiązków honoru (tak!), sumienia i przysięgi, przyjęli udział w buncie, lub stali się jego przewodnikami“. Z tych wszystkich powodów domagał się, ażeby biskup „jako chrześcijanin“, który odpowiada za usposobienie duchowieństwa i jego zachowanie się, przyłożył rękę do zwrócenia tegoż duchowieństwa „na drogę jego istotnego powołania, uważając, że w jego ręku znajduje się główne narzędzie do powstrzymania rozlewu krwi i do usunięcia nieszczęśliwych wypadków, tak długo wzburzających kraj“. To przyłożenie ręki biskupa polegać miało na tem, ażeby wydał odpowiednie odezwy i rozkazy do duchowieństwa i żeby w jak najkrótszym czasie przysłał mu odpis tych rozporządzeń, jakie w tym przedmiocie wyda. Do tej odezwy Murawiew dołączył znaną nam już instrukcję o zaprowadzeniu na Litwie i Białorusi urządzeń wojskopolicyjnych i zwrócił z naciskiem uwagę biskupa na art. 12 tejże instrukcji¹⁾, dodając, że „prawo karząc zdradę i naruszenie przysięgi wiernopoddańczej, niemniej srogie jest i dla tych, którzy będąc postawieni w możności zapobie-

¹⁾ Artykuł ten brzmi: „Wszystkim księżom, zwłaszcza proboszczom po miastach i wsiach oznajmić, że za wszelki współudział w buncie, słowem lub czynem, oraz podburzanie do niego odczytywaniem proklamacyi lub manifestacy w kościołach i zewnątrz tyłchże, winni będą natychmiast aresztowani i karani według całej surowości praw. Wymówki często przez nich przytaczane, jakoby przyjmowali udział w buncie przymuszeni, nie będą przyjęte, gdyż słudzy ołtarza mniej od innych powinni ulegać tym groźbom. Obowiązkiem ich jest poświęcać się dla uspokojenia kraju i nawrócenia każdego do spełnienia święcie obowiązku wiernopoddańczej przysięgi swemu monarsze. Osoby duchowne nie spełniające tego, są winne i mają być jak najsurowiej dla przykładu innych karane. Przełożeni klasztorów katolickich, za dopuszczanie w nich jakichkolwiek przygotowań buntowniczych, także ulegają surowej odpowiedzialności i sądowi polowym“.

żenia występku, stają się przez milczenie swoje jego współnikami¹⁾.

Odezwę tę zdradziecką, podstępną, pełną gróźb i zjadliwości, mówiącą o nieznanem dotąd przez prawo współnictwie przez nieczynność, Wieszatel kazał zaraz opublikować w miejscowym organie „Kuryerze wileńskim“; dlaczego to zrobił, trudno odgadnąć. Ks. biskup Krasiński zanadto był światłym i oczytanym człowiekiem, by nie rozumiał całej perfidy bizantyńsko-mongolskiej, kryjącej się między wierszami tej iście Murawiewowskiej odezwy, oraz tego czem ona grozi, i utwierdził się w swem mało-dusznem postanowieniu ucieczki z Wilna. Do pewnego stopnia znajdował usprawiedliwienie w tem, że wszystkie te sprawy, wypadki, kaźnie oddziaływały bardzo źle na jego zdrowie, i że tylko usunięcie się z miejsca tej nieustannej irytacji, mogło jego podrażnione nerwy uspokoić. Z tem wszystkim, trzeba było zadość uczynić woli satrapy i w konsystorzu przygotowano rodzaj cyrkularza do duchowieństwa dyecezyalnego, wzywając je do wstrzymania się od wszelkiego udziału w powstaniu. Oczywiście cyrkularz ten, napisany bardzo oględnie i chłodno, a innym być nie mógł i nie powinien być, bo nie było rzeczą biskupa w ówczesnym stanie umysłów rozdrażniać je jeszcze bardziej, nie podobał się Murawiewowi, ale zaszła okoliczność, która na chwilę kazała mu umilknąć, by zdradzieckim i podstępnym ciosem uderzyć w biskupa. Ks. Krasiński bowiem, nie chcąc narażać się na przykrość osobistej rozmowy z Wieszatelem, cyrkularz ten przesłał mu przez prałata Bowkiewicza wraz z oświadczeniem, że jest chorym i że ma zamiar udać się do wód mineralnych w Kemmern w Inflantach. Murawiew postanowił skorzystać z tej okoliczności i plan zdradziecki na niej osnuł wywiezienia biskupa w głąb Rosyi. Paszport natychmiast przez gubernatora Hallera udzielić kazał tak ks. Krasiń-

¹⁾ Odezwę tę znaleźć można w ówczesnych dziennikach polskich i u Cyłowa, Sbornik str. 31.

skiemu, jak i osobom towarzyszyć mu mającym, przyczem Haller oświadczył, że biskupowi towarzyszyć będzie oficer, z czego on nie złego nie wywnioskował¹⁾. Biskup, mając już paszport, nie przyjął w przeddzień swego wyjazdu pod pozorem choroby gubernatora, który domagał się wiadomości, komu w czasie nieobecności biskupa oddany będzie zarząd dyecezyi, ale postąpił bardzo nieogłędnie, że zaraz potem wyjechał na miasto, by poskładać wybitniejszym osobom wizyty pożegnalne, co oczywiście podało w wątpliwość jego stan zdrowia i jeszcze bardziej rozdrażniło Murawiewa i utwierdziło w jego podstępnych zamiarach.

Skoro więc biskup Krasiński wybrał się w podróż, której nie uważał za zbyt długą, tak dalece, że zabrał ze sobą niewiele rzeczy, a towarzyszył mu tylko jego kapelan ks. Frąckiewicz, lekarz Adamowicz i dwóch służących, jednocześnie z nim do pociągu siadł oficer żandarmski pułkownik Chitrowo, zaopatrzony w instrukcję piśmienną i rozkaz otwarty do gubernatorów, przez których gubernie miano przejeżdżać i znaczne środki pieniężne. Nikt na to uwagi nie zwrócił, nikt się niczego nie spodziewał, a odjeżdżającego biskupa tłumy ludu odprowadzały i głośno żegnały. Do Dynaburga jechano spokojnie i w jak najlepszej myśli, że na koniec na czas jakiś przynajmniej, oswobodzono się z pod ciężającej na każdym, jak zmora, władzy Wieszateła. Dziwiono się tylko, że na każdej stacyi, na platformie stał oddział żołnierzy, ale nie zwracano na to szczególnej uwagi. Murawiew, który lękał się podobno, żeby ks. Krasińskiego powstańcy nie odbili, kazał pilnować stacyi kolejowych wojsku.

W Dynaburgu przy przesiadaniu się do pociągu, idącego do Rygi, zbliżył się oczekujący już na stacyi miejscowy naczelnik wojenny, uwiadomiony o wszystkim tele-

¹⁾ Tak opowiada ks. Krasiński w pamiętnikach swoich, których część wydrukował „Czas“ krakowski w r. 1900. Źródła rosyjskie utrzymują, że biskup prosił Murawiewa o paszport.

grafem, i w towarzystwie wzmiankowanego powyżej oficera żandarmskiego, uwiadomił biskupa, że z rozporządzenia gubernatora jeneralnego, nie może jechać do Inflant, ale że jest skazany na wygnanie w głąb Rosyi, dokąd natychmiast ma się udać. Ks. Krasiński przyjął to dość spokojnie i bez zdziwienia, spytał się tylko ze zwykłym swoim uśmiechem ironicznym, dokąd go wywiozą? Otrzymał odpowiedź, że do Pskowa, co przyjął z zupełną rezygnacją i niezakłóconym chłodem. Zrazu chciał zapytać się czy jest rozkaz aresztowania na piśmie, ale pomiarkował, że naczelnik nie śmiałby tego uczynić sam z siebie, „więc w milczeniu (opowiada w swym pamiętniku), pozostałem w wagonie, do którego wprowadził (oficer żandarmski) zaraz dwóch żandarmów z bagnetami i naprzeciw mnie postawił, a ja tylko wydobyłem wszystkie moje ordery i włożywszy na siebie, nie zdejmowałem ich przez całą podróż; w Rosyi bowiem do orderów wielką przywiązują wagę, kto zaś ma order św. Włodzimierza, temu w każdej jurydycey krzeselko podadzą, a właśnie taki order obok innych miałem na szyi. Patrząc tedy na żandarmów, stojących przedemną z bagnetami w wagonie, przybyłem nazajutrz do Pskowa“. — Z otaczających biskupa, tak jego kapelan jak i dwaj służący dość obojętnie dowiedzieli się o swoim losie, do którego prawdopodobnie byli przygotowani, jeden tylko lekarz okazywał widoczną rozpacz, płakał jak dziecko. Ale oświadczono mu, że jest rozkaz, by towarzyszącym Krasińskiemu zostawić zupełną swobodę, albo powrotu do Wilna, albo udanie się z nim na wygnanie, oczywiście na swój koszt. Zrozpaczony lekarz skorzystał z tego pozwolenia i najbliższym pociągiem odjechał do Wilna, kapelan zaś i słudzy oznajmili, że nie opuszczą swego przełożonego i pana i udadzą się tam, dokąd on się uda. W Pskowie, według rozkazu Murawiewa, przesadzono wygnańców do karety przysłanej przez gubernatora i szosą udano się do Nowogrodu, dla ominięcia Petersburga; taktyka, której stałe trzymał się Murawiew co do ważniejszych wygnańców. Lękał się bowiem, by ks. Krasiński, który znaczną część swego

życia spędził w Petersburgu i dzięki swemu arystokratycznemu pochodzeniu i inteligencji, miał tam liczne koło znajomych i przyjaciół między dygnitarzami i światem wyższym rosyjskim, nie został pod pierwszym lepszym pozorem zatrzymany i by przez stosunki swoje nie wyrobił sobie zmiany arbitralnego wyroku wielkorządcy litewskiego. W Nowogrodzie, opowiada ks. Krasiński, „mnóstwo ludu wiejskiego zebrało się przed pocztą; przeżegnałem go i pobłogosławiłem, a przed samym odjazdem, zbliża się do mnie już człowiek niemłody z dziecięciem na rękę i prosząc o błogosławieństwo, łzawym głosem mówi po cichu: „Wasza ekscelencyo! Nowogrodzianie to dobry lud!“ Rozrzuwniony pobłogosławiłem go i dałem dziecku medalik, który on przyjął, kłaniając się do nóg ze łzami w oczach. Lud zebrany, który do powozu siadając, żegnałem, kłaniał się, żegnał i widocznie chociaż nieme okazywał współczucie, nie rozchodząc się pomimo gróźb oficera“. Przez drogę biskup żył tylko herbata, lub tem co kupił i przygotował jego kucharz, gdyż z rąk towarzyszącego mu oficera żandarmów nie chciał do ust wziąć, snadź lękając się otrucia. „Nie ufałem mu“, powiada w swym pamiętniku. Z Nowogrodu udano się do Moskwy, gdzie się, zawsze z rozkazu Murawiewa, nie zatrzymano wcale, ale okrążono miasto i dojechano do dworca kolei prowadzącej do Kazania. Wszyscy gubernatorowie na tej drodze, uwiadomieni telegraficznie, starali się jak najprędzej pozbyć niebezpiecznego, jak się zdawało, więźnia i ułatwiali jego podróż. W Kazaniu dopiero ks. Krasiński dowiedział się, że miejscem wyznaczonego dlań pobytu jest Wiatka, gdzie przebył całe lat dwadzieścia i dopiero w r. 1883 pozwolono mu wyjechać za granicę, do Krakowa.

Rozstrzelanie dwóch księży, wywiezienie zdradzieckie biskupa wileńskiego, podrażniło mocno Wydział litewski Rządu narodowego. Ale cóż on mógł zrobić wobec Niemocy swojej zupełnej z jednej strony, a olbrzymiej przewagi satrapy wileńskiego z drugiej strony? Poprzestał więc na bezsilnych protestacyach piśmiennych, na obrzu-

caniu zasłużonemi zresztą obelgami gubernatora jeneralnego, na które on dość czuły i z natury mściwy, odpowiadał nowymi, coraz dotkliwsiymi ciosami. Zaraz po rozstrzelaniu ks. Iszory ukazała się drukowana, wprawdzie bardzo niedbale i widocznie szczotką odbita, odezwa Wydziału Litwy, w mocnych słowach protestująca przeciw tej zbrodni i piętnująca Murawiewa mianem „krwiożerczego kata”. Druk ten, niewątpliwie wykonany w Wilnie, naprowadził Murawiewa na myśl zbadania szczegółowego wszystkich drukarni i litografii, lejni czcionek i fotografii w Wilnie i w całym swoim wielkorządztwie. W tym celu wydał rozporządzenie dnia 24 czerwca, ażeby w każdym mieście dokonano szczegółowych rewizyj wszystkich tego rodzaju zakładów i aby zbadano, na mocy jakiego przepisu, czy specjalnego pozwolenia one istnieją. W Wilnie, gdzie kwitła odwieczna cywilizacja, gdzie drukarnie zakładano od XVI wieku, wiele z nich nie mogło innymi wylegitymować się dokumentami, jak tylko długowiecznością swego istnienia. Na 31 zakładów takich, zaledwie ośm mogło przedstawić jakieś świadectwa urzędowe, a i z tych niektóre miały dowody z roku 1803 lub 1812. Wiele z nich odziedziczonych było drogą spadku, zapisów lub kupna, a istniejąc od dawna, zdawało się, nie potrzebowały żadnych specjalnych pozwoleń ze strony rządu rosyjskiego, który nastał wtedy tutaj, kiedy one już od dawna egzystowały. Wszystko to nie powstrzymało Murawiewa od kozackiego rozstrzygnięcia tej kwestyi. W rozporządzeniu swoim nakazał, że wszystkie drukarnie, litografie i zakłady fotograficzne, które nie posiadają dowodów prawnych swego istnienia, lub które wzbudzają podejrzenia co do swej lojalności (błagonadzieźności), mają być natychmiast zamknięte i opieczętowane. Wszystkie inne takie zakłady mogą istnieć, ale pod warunkiem, że w ciągu pięciu dni przedstawiają porękę trzech, znanych w mieście ze swej „błagonadzieźności” osób, a prócz tego złożą kaucyę dla drukarni i litografii od 300 do 1.500 rubli, a fotografie od 200 do 600 rubli. Rozkazał przytem zobowiązać właścicieli

piśmienną deklaracją, że ręczą za swych robotników, oraz że osobiście odpowiadać będą, jeżeli z ich zakładów wyjdą jakie odezwy, hymny, ogłoszenia lub portrety osób zamieszanych do spisku.

Taki miała skutek nieobmyślana dobrze protestacya Wydziału litewskiego przeciw rozstrzelaniu ks. Iszory. Była też ona ostatnią, ostatnim głośnym, łabędzim jękiem tego Wydziału. Gdyby teraz chciał protestować, musiałby co dzień nieomal to czynić, bo nie było prawie dnia, żeby kogoś na Łukiszkach nie stracono. Ale jeżeli miasto powoli się do tego przyzwyczajało i nerwami jego nie wstrząsały już te straszne sceny, to jednak od czasu do czasu zdarzały się kaźnie, które zwracały na siebie powszechną uwagę już nie tylko Wilna, ale całej Litwy i Polski, a nawet Europy całej. Do rzędu takich straceń, należało powieszenie Sierakowskiego, nieszczęśliwego hetmana żmudzkiego.

Tragiczną i z wielu względów wstrząsającą śmierć jego, poprzedziło powieszenie w dniu 22 czerwca, Juliana Leśniewskiego, ziemianina z okolic Lidy, za to, że chłopcem swoim odczytał manifest Rządu tymczasowego o uwłaszczeniu, zapowiedział, że na pańszczyznę chodzić nie mają i czynszów płacić nie będą; oraz śmierć dzielnego wodza żmudzkiego Bolesława Kołyszki, wziętego razem z Sierakowskim do niewoli. Murawiew, jak sam powiada, kazał jego i Sierakowskiego sprawę przyspieszyć i wyrok jak najprędzej wykonać. Kołyszkę powieszono na Łukiszkach d. 9 czerwca. Umierał mężnie, choć postronek pod ciężką, dobrze rozwiniętą postacią młodzieńczą się zerwał. Sam ławkę wysunął sobie z pod nóg, do końca spokojny, dumny, heroiczny.

Sprawa Sierakowskiego wlokła się nieco dłużej. Jakżeśmy powiedzieli, był on ciężko raniony i po przywiezieniu do Wilna, został pomieszczony w szpitalu św. Jakóba, gdzie za staraniem Ganeckiego, oddano nieszczęsnego jeńca pod nadzór i opiekę wyłącznie lekarzy i felcerów rosyjskich, w obawie, by polski personal szpitalny nie do-

pomógł wojewodzie litewskiemu do ucieczki¹⁾. Sąd, mający rozpatrywać sprawę Sierakowskiego, odłożony został z powodu jego choroby do d. 22 czerwca. Gdy w dniu tym do jego celi się zgłoszono i oznajmiono mu, że oddany został pod sąd polowy, który ma decydować o jego losie, to nie chciał składać żadnych zeznań, twierdził, że jest słaby i że kilka nocy nie spał, że nie może odpowiadać na pytania, że stan jego umysłu jest taki, iż wątpi czy prawdę powie, gdyż to co przed chwilą uważa za taką, w parę godzin przedstawia mu się w zgoła odmiennem świetle. Lekarz Rosyanin, Statman nazwiskiem, który miał w kuracyi jeńca, twierdził przeciwnie; utrzymywał, że jest on w stanie zupełnej świadomości i uznania składać może. Wobec tego Sierakowski zażądał, ażeby zwołano konsylium lekarskie, i jeżeli ono uzna, że może odpowiadać, to

¹⁾ J. Kornilow, «Iz razskazow generala I. S. Ganeckago», opowiada, że Ganecki zaraz po dostawieniu Sierakowskiego do szpitala, udał się tamże. «Oficer pulku Pawlowskiego gwardyi (pisze Kornilow), stojący na straży, oświadczył Ganeckiemu, iż bez specjalnego pozwolenia piśmiennego gubernatora jeneralnego, nie może widzieć Sierakowskiego, ale zaproponował, ażeby jeneral popatrzał na niego z korytarza, przez niewielkie okienko we drzwiach jego pokoju. Ganecki zbliżył się do okienka i spojrział. Pokój znajdował się na parterze, miał duże okno, wychodzące na ulicę. Sierakowski siedział pod oknem, oparty oburącz na małym stole i patrzył bacznie na ulicę, nie podejrzewając, że jest śledzony. Pokój był nieomal na równi z brukiem i Sierakowski mógł łatwo uciec. Ganecki wprost ze szpitala pojechał do W. I. Nazimowa, który się zdziwił jego wizytą. — «Wracam od Sierakowskiego — rzekł Ganecki — on z pewnością ucieknie». «Jakto ucieknie? widziałem go przed dwoma godzinami, nie wstaje z łóżka, ledwie żyje, nie dziś, to jutro umrze». «Ucieknie. Widziałem go przed chwilą, siedział na krześle jak zdrowy i najspokojniej patrzył przez okno». «Więc cóż pan chce?» «W szpitalu tym cała służba, intendent, doktor i felcerzy są Polacy, ufać im nie można. Rozkaż pan, żeby Sierakowskiego leczył mój doktor pulkowy i moi felcerzy». Nazimow zgodził się na to i odtąd przy Sierakowskim doktor, felcerzy i cała służba była rosyjską. Lekarz rosyjski twierdził, że rana Sierakowskiego zgoła nie była niebezpieczną».

Jakże szlachetne funkcyje dozorca więziennego i policyanta pełnił ten pan Ganecki, jeneral gwardyi rosyjskiej!!

on ulegnie tej decyzji, i odpowiedzialność leżeć już będzie na sumieniu lekarzy, nie sędziów. Gdy ktoś na to zauważył, że z dotychczasowej jego mowy nie widać wcale, ażeby umysł jego był zaciemniony, miał odrzec: że niekiedy przedmioty przedstawiają mu się zupełnie inaczej, niż są w rzeczywistości; kolory, które przedtem zauważył, przybierają w jego oczach inną barwę; że jest jakby senny, że usiłuje odzyskać świadomość, lęka się, by nie dostać pomieszania zmysłów; że nie śpi już dziesięć nocy i jeżeli uda mu się przespać spokojnie ze trzy noce, sądzi, że odzyska panowanie nad sobą i będzie mógł odpowiadać na pytania sądu; że sam pragnie wyjaśnić wszystkie znane okoliczności, ale obawia się, żeby nie złożył zeznań fałszywych; że przedewszystkiem drży na myśl zakończenia życia w szpitalu; że pragnie wszystko wyznać i umrzeć z honorem.

Nie ulegało wątpliwości, że Sierakowski był w stanie mocnego podrażnienia nerwowego, czemu zresztą dziwić się nie należy. Wiedział, że na wielkorządztwie litewkiem zasiadł Murawiew, a zapewne znał go z opinii przynajmniej i wiedział czego po nim spodziewać się trzeba. A przytem nie stracił nadziei, że zdoła życie uratować. Ze wszystkiego sądząc, musiał mieć jakieś stosunki ze światem zewnętrznym i wiadomości o tem co się tam dzieje i co robi, by go ocalić. Usilne zabiegi w tym względzie czyniła nieszczęśliwa młoda jego żona i siostra, pani Fałęcka. Trafiono do ks. Suworowa, gubernatora jeneralnego petersburskiego, trafiono i do innych osób. Dzienniki w tym czasie, na parę dni przed śmiercią Sierakowskiego, ogłosiły list Garibaldiego, pisany do wojewody litewskiego z Caprery, w którym głośny bohater włoski nazywał nieszczęśliwego jeńca swoim „zaczynym przyjacielem“, i zapewniał go, że „demokracja europejska nie pozwoli na zamordowanie jego ojczyzny“¹⁾. Pismo to banalne w treści,

¹⁾ List ten, podług przekładu, pomieszczonego w No 3 «Niepodległości» brzmi jak następuje: «Zaczynny przyjacielu! W przeciągu

pełne obietnic, których Garibaldi nigdy dotrzymać nie myślał, zapewne w tym celu było skreślone i opublikowane, żeby przez nie oddziaływać na Murawiewa, żeby go powstrzymać od zagłady człowieka, który z najznakomitszymi ludźmi współczesnymi był w przyjaznych stosunkach. Ale jakże się mylono, jakże mało znano tę dziką, pospolitą, barbarzyńską i „mużycką” naturę prokonsula wileńskiego! Dla takich dusz niema wielkości, niema gwiazd, niema idealów. Owszem, list podobny mógł tylko zaszkodzić Sierakowskiemu w umyśle Murawiewa, który pyszniąc się swą wszechmocą, właśnie chciał pokazać całej Europie jak jest potężny. Nie zważał na list Garibaldiego, jak nie zważał na pisma i telegramy nadsyłane z Petersburga od różnych dygnitarzy, od ks. Suworowa, od Milutyna, ministra wojny i innych, domagające się ułaskawienia nieszczęsnego hetmana litewskiego. Opowiadano nawet, że nadszedł list z ministerium angielskiego, skreślony w imieniu królowej angielskiej, list wstawiający się za Sierakowskim ¹⁾.

trzech tygodni potrafiłeś wzbudzić podziw całej Europy, przewodząc z szczególnem męstwem i odwagą powstaniu województwa kowieńskiego. Dzisiaj wojenny jeniec u Rosyan i śmiertelnie raniony, odzywasz się do mnie, swój kraj szlachetny mnie polecając. Czynnem ramieniem radbym wam dowieść, jak niezmiernem współczuciem napelnia mnie tak święta walka wasza. Lecz przeznaczenie skazuje mię na nieczynność! Mieście tylko wiarę. Demokracja europejska nie pozwoli na okrutne zamordowanie ojczyzny waszej. Duszą i sercem biegnę w ślad za postępami waszego zmartwychwstania. Tak! tysiąc-kroć waleczni! wasza dzielność, wasz zapał i wasze męstwo, uczą nas jak się walczy z despotyzmem!

Przyjmij serdeczne uściśnienie ręki i wierz w przyjaźń

Twojego na zawsze
G. Garibaldi.

Caprera 25 czerwca.

Tekst tego pisma wydrukowany w *B. Limanowskiego*, *Historji ruchu II*, 251, jakkolwiek ma być skopiowany z „Niepodległości”, różni się z jej tłumaczeniem znacznie.

¹⁾ *J. N. Imeretynskij*, *Wspominania o grafie M. N. Murawiewie* (Istor. Wiestnik, Tom 50, p. 611). Autor tych wspomnień zaręcza za prawdziwość tego faktu. Potwierdza to podanie *Korniłow* loc. cit. i dodaje, że Ganecki otrzymał wiadomość z Petersburga, że „lord Napier i jego żona starają się u cesarzowej o ułaskawienie Sierakow-

Później podobno sama cesarzowa rosyjska domagała się ułaskawienia ¹⁾.

Wszystko na nie się nie zdało, owszem, Murawiew wobec tych nalegań, kazał przyspieszyć wyrok, by tym sposobem, zwyczajem swoim, już dawniej praktykowanym przed wstawiającymi się mieć osłonę w fakcie niepowrotnie spełnionym. Ale jeżeli Murawiewowi o to szło, żeby rzecz całą jak najprędzej skończyć, to Sierakowski, który zapewne wiedział o tych staraniach i zabiegach, dążył do tego, by sprawę przedłużyć i wygrać na czasie. Oczywiście walka była nierówna i słabszy musiał być w niej pokonanym. Dnia 24 czerwca, w środę, komisya śledcza po raz ostatni zjechała do szpitala do Sierakowskiego, domagając się, by szczerze opowiedział wszystkie okoliczności, towarzyszące jego udziałowi w powstaniu. Rzecz była jasną, wina Sierakowskiego widoczną, boć przecie wzięto go niejako z bronią w rękę, ale Murawiewowi szło o to, by jeniec wymienił jakie nazwiska, tajemnice władzy powstańczej, by mieć nowe dane do prześladowań. Ale tu napotkano w wojewodzie litewskim nieprzełamany opór; nie powiedział, ani jednego nazwiska nie przytoczył. Pod tym względem

skiego i że prawdopodobnie usiłowania ich uwiecznione będą skutkiem pomyślnym. Z tą wiadomością Ganecki pobiegł do Murawiewa i powiedział: «Czyż oficer, który złamał przysięgę i był głównym naczelnikiem buntu, który kilka tysięcy ludzi pociągnął do zbrodni i zgubił, otrzymać może przebaczenie? Jakże więc będziemy karali tych, których on pociągnął do buntu i są mniej winni?» «Wiem o tem wszystkim, bądź pan spokojny» — odrzekł Murawiew.

¹⁾ *Pułkownik Struś*, *Ludzie i wypadki I*, 145. Cesarzowa miała prosić, by Sierakowskiego nie rozstrzeliwano. «Ja go nie rozstrzelałam, ale powieszę» — miał odrzec Murawiew. *W. Koszycz*, *Z. Sierakowski*, naczelnny wódz Żmudzi (Lwów 1891) twierdzi, że słowa te były odpowiedzią daną przez Murawiewa na wstawiennictwo księcia Suworowa. Ten ostatni miał pisać do wielkorządcy litewskiego, że «Sierakowski był człowiekiem bardzo zasłużonym dla Rosyi, i jeżeliby zamierzał go rozstrzelać, niech pamięta, że Sierakowski może jeszcze wielkie oddać usługi państwu».

Z tych wersji okazuje się, że czy w odpowiedzi cesarzowej, czy ks. Suworowi, dość, że Murawiew taki krwawy żart wygłosił.

zawód Murawiewa był zupełny. Sierakowski unikał odpowiedzi na stawiane mu pytania, a natomiast szeroko się rozwodzić począł o swej wysyłce do Paryża, o tem jak zwrócił na siebie uwagę Napoleona III, o przyjaźni, jaką mu okazywał Garibaldi, o stosunkach, jakie pozawierał z najwybitniejszymi osobistościami w Europie itp. Członkom komisji miał powiedzieć, że ich za sędziów swoich nie uznaje i tłumaczyć się nie będzie. O samem powstaniu i o swym udziale w nim, tyle tylko miał zeznać, że objął dowództwo w tem przekonaniu, że powstanie weźmie wielkie rozmiary, że wszystko co żyje za broń uchwyci. Pytano go o jego plany wojenne, na co odrzekł z właściwem sobie marzycielskiem uniesieniem: „We dwa tygodnie miałem dwa tysiące, we dwa miesiące miałbym dziesięć tysięcy wojska litewskiego“. Rozmowa taka, mająca cechy raczej pogawędki towarzyskiej jak śledztwa urzędowego, trwała dwie przeszło godziny i obie strony widząc jej bezcelowość, rozeszły się znużone i zmęczone. Na odchodnem Sierakowski domagał się od komisji energicznie, by sąd nad nim był publiczny. Niestety! sąd zwyczajem rosyjskim był tajny i skazał Sierakowskiego na śmierć na szubienicy. Wyrok Murawiew natychmiast podpisał i kazał go niezwłocznie d. 27 czerwca wykonać.

O wyroku tym jednak skazańca nie uwiadomiono wcale. W przeddzień pozwolono żonie widzieć się z nim, przyrzekając jej jednocześnie z szczególnego rodzaju barbarzyńską ironią, że odtąd będzie mogła często męża odwiedzać. Sierakowski był spokojny i nie wątpił, że będzie ocalony. W sam dzień kaźni wczesnym rankiem wpuszczono doń księdza Juliana Syrukowicza, dla przygotowania skazanego na wieczną pielgrzymkę, z której nikt nie wraca, i dla udzielenia mu ostatnich pociech religijnych. Ale wódz litewski dość niechętnie przyjął te odwiedziny i domagał się, żeby spowiedź odłożyć na inny dzień, gdyż nie jest do niej przygotowany. Wreszcie na nalegania księdza ustąpił, wstał, umył się i ubrał. Zmówiwszy pacierz, odbył spowiedź i komunikował, poczem zażądał herbaty i wypił

jej pół szklanki. Teraz ks. Syrukowicz, który widocznie dotąd nie miał odwagi powiedzieć skazańcowi, że godziny jego są policzone, widząc, że ten nie myśli o tem, wyznał mu prawdę i prosił, by ostatnie chwile życia poświęcił modlitwie i skrusze, poczem go opuścił. Teraz zjawił się u więźnia generał Szamszin, dowódca pułku kozaków gwardyi, który z rozkazu Murawiewa, miał objąć komendę nad wojskiem, towarzyszącem straceniu i oznajmił Sierakowskiemu, żeby się zbierał. Ten czy w rzeczy samej nie przypuszczał, by go miano wieść na śmierć, czy też tylko udawał, zawołał z gniewem, by mu „dano pokój, że jest chory, że nie może się ruszyć, że go zawsze badano w szpitalu“. Wtedy Szamszin uwiadomił go o wyroku i dodał, że ten ma być natychmiast wykonany. Sierakowski usłyszawszy to, zmieszał się nieco, zamyślił, ale wkrótce nabrał otuchy i rzekł z przymuszonym uśmiechem: A! rozumiem. Czas już odegrać komedję wyroku i ułaskawienia. Ha! cóż?... jedźmy“¹⁾. Wsiadł do dorożki razem z księdzem i komendantem placu i otoczony strażą ruszył na miejsce kaźni. Na ulicy były tłumy motłochu, zwłaszcza kobiet, spieszących za tym ponurym orszakiem, by przypatrzeć się tak pospolitemu teraz w Wilnie widowisku. Plac Łukiszek i sąsiednie wzgórza były przepełnione ciżbą ciekawych, żydów, kobiet i ostatniej gawiedzi miejskiej, która zachowywała się obojętnie, krzykliwie i jak każdy motłoch nie-

¹⁾ Tak opowiada ks. *Imeretyński* loc. cit. p. 612. *Szamszin Iwan* Razkazy lejbo-kozaka (Russ. Starina r. 1878, tom XXI, inaczej te ostatnie chwile wodza litewskiego maluje. Twierdzi on, że gdy Sierakowskiemu oznajmił o wyroku, ten zupełnie się zmieszał i prosił o 5 minut czasu, przyczem rzekł z dzikim wejrzeniem, że chce napisać wiersz, na co się jednak nie zgodzono. Czy tak było, nie wiemy; coś jednak w tem musi być prawdy, bo *Struś* loc. cit. I, 145, przytacza czterowiersz, skomponowany jakoby przez Sierakowskiego w ostatnich chwilach życia i znany w Wilnie. Wiersz ten brzmi:

«Jedynym żalem będąc przejętym
Gdy z życiem przyjdzie rozstanie,
Że żyć nie będę w dniu wielkim, świętym,
Gdy matka Polska powstanie!»

przywócie. Sierakowski przez całą drogę na Łukiszki stał na wózku oparty jedną ręką na ramieniu księdza, drugą na woźnicy. Spojrzenie miał dzikie, mętne, a na twarzy malowała się trwoga. Gdy wjechało na plac i gdy ujrzał szubienicę, dokoła otoczoną przez wojsko, zbladł śmiertelnie i tak osłabł, że musiano go zsadzić z wózka.

Na placu tymczasem zaległa martwa cisza; dobosze dotąd bijący w bębny, na dany znak umilkli. Do Sierakowskiego zbliżył się ksiądz i podał mu krzyż do pocałowania. Skazaniec był teraz spokojniejszy i rzekł: „Z przyjemnością ojeze, tylko, jak się zdaje, sprawa nie jest tak ważną. Mam ja w Petersburgu silne plecy, i pewny jestem, że mię ulaskawią“. Tę wiarę zachował do ostatniej prawie chwili. Wśród posępnego milczenia, które w wielogłowym tłumie nagle zapanało, rozległa się komenda i wojsko sprezentowało broń i audytor głosem donośnym wyrok czytać począł. Sierakowski stał oparty na księdzu z wyrazem trwogi śmiertelnej na twarzy, z włosom rozwianym przez wiatr, z nogami dygoczącymi pod nim widocznie. Nie było w jego postawie i zachowaniu się nic owej męskiej powagi i spokojności, owego natchnionego heroizmu, z jakim umierał ks. Iszora lub Kołyszko. Wyroku słuchał nieuważnie; wzrok błdził po przestrzeni, patrzył pytająco na najbliższych, lub spoglądał w dal, jakby szukał tam, w słonecznej przestrzeni letniego poranku czerwcowego, gońca z wieścią o ulaskawieniu. Gdy audytor swe odczytanie zakończył słowami: „skazany na śmierć przez powieszenie“, twarz nieszczęśliwego wodza powstańczego ożywiła się i zawołał głosem donośnym, że „protestuje przed Rosją i Europą przeciw temu wyrokowi“. Ale turkot bębnow zagłuszył ten protest, niestety! bezskuteczny, a kat ze śmiertelną, długą koszulą w ręku, zbliżył się do skazańca, by ją nadziać. Wziął się do tego tak nieostrożnie, że uraził w ledwie zabliźnioną ranę. Sierakowski krzyknął straszliwie i odepchnął kata, wołając: „Jak śmiesz mię durniu dotykać!“ Rozdrażniony tem kat zaczął gwałtowniej brać się do delikwenta, który szarpał się, krzyczał, szamotał

i walczył rozpaczliwie o życie. Gdy go nakoniec związane i powleczono pod szubienicę, tutaj jeszcze się bronił, opierał nogami o stopnie. Widok był okropny; tłum patrzący na to, skamieniał; wiele kobiet z krzykiem padało zemdlnych. Nakoniec zarzucono mu strycek na szyję, wyrwano stołek z pod nóg i... wszystko się skończyło. Była godzina jedenasta rano...

Nieszczęśliwą żonę Sierakowskiego, nie przeczuwającą nawet katastrofy, sam oberpolicmajster uwiadomił o wszystkim, a Murawiew łącząc do okrucieństwa niepojętą nikczemność, kazał tę biedną, tylu ciosami dotkniętą kobietę, wywieść na wygnanie do Nowogrodu. Była ona brzemienną i pomimo przedstawień lekarzy, że w tym stanie nie wytrzyma podróży, rozkaz swój spełnić polecił. W drodze powiła w Pskowie córkę, a zaledwie powstała z choroby powleczono ją dalej. Ten sam los spotkał jej matkę i siostry, a niebawem brat Tytus Dalewski, podejrzany o to, że pełnił obowiązki sekretarza przy Wydziale litewskim, został rozstrzelany w styczniu 1864 r. w Wilnie. Cała ta nieszczęsna rodzina ciężko odpokutowała za swój udział w powstaniu ¹⁾.

Główny sprawca tej wszystkiej niedoli, tych scen wstrząsających do głębi, nie patrzył na nie, bo siedział ukryty w swym pałacu, podobny do owych królów wschodnich lub bizantyńskich imperatorów, którzy niby półbogi śmiertelnym nigdy ukazywać się nie chcieli. Ale czynili to oni dlatego, by lud miał ich za coś nieskończenie od siebie wyższego, Murawiew zaś dlatego, że się po prostu bał. Jak wszyscy tyrani i okrutnicy, był on tehorzem i oba-

¹⁾ «Ephémérides polonaises» II, 79 opowiadają, że Murawiew ofiarował wdowie pensję, taką samą, jaką pobierał niegdyś jej mąż, jako pułkownik sztabu — pod warunkiem, że poda o to prośbę piśmienną, ale pani Sierakowska odmówiła. Gdy jej pytano, z czego będzie żyła na wygnaniu, odparła: Z pracy rąk własnych i nie będę żądała nic od rządu rosyjskiego. Miano jej powiedzieć, że nie wróci nigdy do kraju, jeżeli nie zmieni swego nazwiska. Dalsze losy tej prawdziwie nieszczęśliwej kobiety nie są nam znane.

wiał się zamachu na swe życie ze strony rewolucjonistów litewskich. Pałacu pilnowały gęste warty; wszystkie schody, sienie, przedpokoje przepelnione były żandarmami i kozakami. Ogród, znajdujący się z tyłu pałacu, jakkolwiek otoczony był wysokim murem, jednakże strzeżony był dokoła łańcuchem pieszych straży. Nikt się tam dostać nie mógł¹⁾. Sam Murawiew rzadko wydalał się z pałacu, nigdzie nie bywał, tylko w soborze prawosławnym i u zaprzańca Siemaszki. Jeździł małą, dwuosobową kareta, szczególnie zamkniętą, z dwoma kozakami po obu stronach okien wehikułu, który pędził przez ulice jak strzała. To też jakkolwiek niewątpliwie w kołach powstańczych wileńskich, rodziła się myśl zamachu na tego kata i dręczyciela Litwy, myśl ta wobec nadzwyczajnych, jakimi się otaczał, ostrożności, okazała się niemożliwą do wykonania. Wspomnieliśmy już o plotce, rozpuszczonej zapewne przez samego Murawiewa, że rząd powstańczy nałożył na jego głowę cenę 25 tysięcy rubli, że w Petersburgu, jakiś rzemieślnik rosyjski, wyszukany przez spiskowców „Zemli i woli“ — zobowiązał się za opłatą 5.000 rubli zabić Wieszatela. Wszystko to są podania, nie poparte niczem i jeżeli czego dowodzą, to tylko tego, że myśl zgładzenia Murawiewa powstawała w wielu głowach tej epoki, tak mało ceniącej życie ludzkie; myśl zupełnie naturalna wobec człowieka złego i naprawdę niebezpiecznego, zwłaszcza, że w owych

¹⁾ Cytowany przez nas kilkakrotnie *ks. Imeretyński* w swych „Wspominaniach“ loc. cit. p. 625, opowiada, że raz w pałacu zrobił się popłoch, który miał zakończenie humorystyczne, ale który był dowodem, jak dalece zamachów obawiał się ten „zbawca Litwy“. „Pewnego dnia — opowiada autor — Murawiew siedząc w swym gabinecie, ujrzał w oknie głowę brodatą, wielkie czarne oczy i rękę uzbrojoną w coś długiego i ostrego. Na nerwowy głos dzwonka przybiegł adjutant i okazało się, że żyd malarz, odnawiający pałac, spuścił się na swej drabinie do okna i zajrzał ciekawie do wnętrza. Murawiew kazał żyda przyprowadzić do siebie i śmiejąc się zapytał: „No cóż? widziałeś mię? piękny jestem?“ Odpowiedzi nie było, bo żyd o mało nie zemdlął ze strachu. Uwolniono go bez kary“, kończy Imeretyński, jak gdyby było za co karać biednego żydka.

strasznych czasach mordowano bez litości ludzi o wiele mniej szkodliwych. Zresztą Murawiew, otoczywszy się mnóstwem straży, nie wyjeżdżając z domu prawie nigdzie, nie lękał się zapewne otwartego napadu, ale za to jego obawy przed trucizną były bardzo wielkie. Ale i pod tym względem zaprowadził koło siebie nadzwyczajne ostrożności. Całą służbę domową przywiózł ze sobą z Rosyi; kucharz codziennie w innym sklepie i w różnych dzielnicach miasta zakupował potrzebną prowizję; lekarz nadworny musiał skosztować wprzód każdej potrawy, nim Murawiew ją jeść począł. Mimo to, wśród otoczenia wielkorządcy kilka razy obiegały pogłoski, że usiłowano go otruć. Raz żydzi wileńscy mieli dać znać, że poczyniono przygotowania, by go za pomocą trucizny zgładzić ze świata, a kahał tłumaczyć się niejako z powodu tej denuncyacji, miał oświadczyć, że dba wiele o życie gubernatora, gdyż powrócił porządek, bez którego handel źle idzie.

Ale jeżeli oburzenie i wstręt, jaki budził Murawiew swymi krwawymi gwałtami, we wszystkich ludziach uczciwszych i w całej Europie nieomal, wskutek przyjętych przezeń nadzwyczajnych ostrożności, nie mogły znaleźć ujścia w bezpośrednim zamachu na jego życie, to za to zasypywano go rozmaitymi listami bezimiennymi, pełnymi groźb i wymysłów. Broń to była nieszlachetna, choć wobec działalności tego carzyka mongolskiego, wytłumaczona rozdrażnieniem piszących. W pamiętnikach swoich opowiada on, że prawie codziennie listy takie otrzymywał, że „wszystkich krajów Europy i we wszystkich językach“, co zapewne jest jednym z tych kłamstw, któremi przyozdobił swe pismo. W listach tych grożono mu śmiercią, sztyletem, trucizną; przepowiadano mu, że jego działalność zbrodnicza nie osiągnie żadnego skutku, bo cała Europa zajmuje się Polską, a Rosya nie jest w stanie oprzeć się żądaniom mocarstw zachodnich; zaklinano go w imię Boga i religii, by nie pastwił się nad Polakami; inni jeszcze w formie przyjacielskiej prosili go o to, powoływali się na sąd przyszłości i historii. W ostatnich dniach czerwca otrzymał

z Paryża dwa listy, po francusku skreślone, podpisane imionami Dumasowskich bohaterów romansu: Athosa i Porthosa. Pierwszy z nich wyzywał Murawiewa na pojedynek i obiecywał, że czekać nań będzie d. 15 lipca w okolicach Wilna; drugi donosił, że jedzie do stolicy litewskiej czterech ludzi, którzy go zabiją¹⁾. Takich listów, opatrzonych w karykatury, widoki szubienicy, szafotów itp. miał otrzymać przeszło sto sztuk, a co najgorsza, wywarły one na ten karyerowiczowski umysł, zgoła inny, jak się spodziewano, skutek. „Listy te — pisze on swym nieudolnym, nie-literackim stylem — były jednym ze sposobów wzbudzenia we mnie obawy, bo reakcyoniści (!?) widzieli, że wskutek przedsięwziętych przezemnie środków, bunt poczyna upadać i te groźby głównie przeciągnęły się do września i października 1863 r., t. j. do chwili, gdy oni (t. j. reakcyo-

¹⁾ Listy te wydrukował w swoim czasie «Journal de St. Pétersbourg». Athos między innemi pisał: «Biada ci, biada i przekleństwo, niegodny Murawiewie! Miecz Damoklesa wisi na nitce nad twoją głową i ty tego nie widzisz? Świętokradco, okropna maro wyszła z otchłani piekielnych, śmiesz podnieść rękę na dzieci Boże! Biada ci! Gdybyś jeszcze miał świadomość swych czynów, ale nie, chronisz się poza mury! Bądź-że człowiekiem otwartym i szczerym i przybądź, jeżeli się odważysz, d. 15 lipca o 12 mil na południe od Wilna; czekać cię tam będę z moim oddziałem, a tam ci pokażę męstwo i zręczność francuską. Ale nie odważysz się na to; taki człowiek jak ty, nie posiada odwagi. Od 15 do 17 będę czekał na ciebie, a jeżeli masz choć trochę śmiałości, daj mi znać o swej obecności przez wywieszenie chorągiewki żółtej, a wtedy poznasz mię zaraz, mnie mści-ciele!»

Porthos zaś pisał: «Jenerale Murawiewie! *Mane, tekel, fures*. Wybiła twoja godzina i d. 1 sierpnia rządzić już nie będziesz. Dni twoje są policzone, bo trzech ludzi oddanych Komitetowi centralnemu i sprawie polskiej, śledzą cię krok za krokiem i nie tracą z oczów. Czworthy, który ma dać znak, kto cię ma uderzyć pierwszy, wyjeżdża z Paryża d. 10 lipca, a wtedy miej się na baczności, bo często rozmawiasz z jednym z trzech, którzy czekają mego znaku i mego rozkazu. Twoe zbrodnie, twoe okrucieństwa przeszły już wszelką granicę i nadeszła godzina zemsty. Mur żelazny, który cię strzeże, ściany, które cię chronią, nie pomogą przeciw ręce, dzierżącej miecz groźby, wiszący nad twoją głową. Pozdrowienie i do widzenia!»

niści jacyś) ujrzeni, że środki przez nich użyte, są bezskuteczne i że bunt ostatecznie upadał w kraju północno-zachodnim. Zbiór tych wymysłów i gróźb zachowałem jako dokument historyczny nacisku moralnego Europy, który wywierał na mnie wpływ całkowicie odwrotny, budził we mnie jeszcze większą energię i wobec codziennie objawiającego się współczucia naszej Rosyi prawosławnej, przy pomocy Bożej, mogłem w krótkim czasie stłumić rokosz i dać możność naszemu rządowi, że działać począł z większą samoistością. Owe więc listy posłużyły tej chytrej, bizantyńsko-tatarskiej naturze do tego, że uważał się za człowieka, który odrzucił nacisk Europy i ocalił Rosyę. Boże! można zawołać z poetą, gdzież to już bohaterstwo się nie mieści!

Owe „współczucie Rosyi prawosławnej“, o którym wspomina Murawiew, w rzeczy samej istniało i jest jednym z tych smutnych objawów, które każą wątpić o szlachetności natury ludzkiej. Wszak w najgorszych czasach rewolucyi francuskiej, za krwawych rządów konwencyi i jej komisarzy, nie było wypadku, aby w Paryżu pito zdrowie Carrier'a lub Fouquier-Tainville'a, a w Rosyi, Rosyi ucywilizowanej teraz wszędzie, gdzie się tylko zdarzy — wznoszą toasty na zdrowie i powodzenie Murawiewa Wieszatela, publicznie i głośno poczynają go uwielbiać. Pierwszym takim aktem owych entuzjastycznych uwielbień działalności krwawej Murawiewa, uwielbień, które odtąd jak z rogu obfitości sypać się poczęły ze wszystkich stron Rosyi, dając świadectwo ponurej i niszczyielskiej instytutów tego narodu, był list metropolity moskiewskiego, Filareta. List ten wraz z ikoną Archaniola (Archistratiga) Michała, przysłany został zaraz w pierwszych dniach pobytu Murawiewa w Wilnie. Ów Filaret, zwierzchnik cerkwi chrześcijańskiej, nakazującej swym wyznawcom pokój i miłość, w piśmie tem powiada, że o nominacyi Wieszatela na wielkorządtwo litewskie „wierni synowie cesarza i ojczyzny dowiedzieli się z radością i nadzieją“, że nominacya Murawiewa „jest już klęską dla wrogów ojczyzny, że jego

inon jest zwycięstwem". „Oby Bóg dał panu siłę dla dokonania dzieła prawdy i dzieła pokoju" — woła dalej ów wielbiciel kata Litwy; „oby posłał ci patrona twego niebieskiego, Archaniola; oby on szedł przed tobą z mieczem ognistym i okrywał cię tarczą niebieską". Murawiew z radością list ten przyjął, bo jak powiada, „poparł go moralnie na trudnem stanowisku", ale była to rzecz mniejsza, ważniejszem było to, że odezwa Filareta przekonywała, iż partya Samobytników coraz śmieiej podnosi głowę i że tym sposobem ma on coraz wolniejsze ręce i swobodę zadośćuczynienia swym dzikim instynktom. To też z uczuciem niezaprzeczonego tryumfu odpowiadał Filaretowi, że przez niezbadane wyroki Opatrzności, wydobyty z życia spokojnego „na scenę walk, by tłumić spiski i bunty"; że jest to ciężki obowiązek uśmierzać i „karać krzywoprzysięzców", ale on jest spokojny na duszy i ciele i śmiało idzie wytkniętą drogą i nie wątpi o powodzeniu „przy współudziale swych walecznych żołnierzy".

Przykład dany przez Filareta znalazł zaraz licznych naśladowców. W tem społeczeństwie, na pół barbarzyńskim, pod pokostem zewnętrznej cywilizacyi, tkwiły w całej mocy instykta Iwana Groźnego, i przy pierwszej lepszej sposobności wybuchały z żywiołową nieomal siłą. Tym łacniej one teraz znajdowały ujście, że to, co Murawiew czynem spełniał w Wilnie — stronnictwo Samobytników z Katkowem na czele, głosiło słowami, propagowało za pomocą dzienników sobie oddanych, budziło starą, uśpioną, ale nie wytepioną żądzę krwi i zniszczenia Tamerlanowego. Oprócz Filareta, hasło do tych uwielbień kata Litwy, dał w lipcu wykwintny pozornie klub szlachecki w Moskwie, noszący miano klubu angielskiego. Na jakimś uroczystym obiedzie d. 20 lipca, wznoszono tam toasty za zdrowie Murawiewa i postanowiono mu posłać depezę, wyrażającą „współczucie dla jego sławnej działalności“. Gazety przyjazne Samobytnikom i Murawiewowi nie omieszczały podnieść tego faktu i podać go do publicznej wiadomości, zachęcając niejako do pójsia za tym przykładem. Zaraz

też posypały się do Wilna ze wszystkich stron Rosyi, od wszystkich nieomal klubów, stowarzyszeń, warstw społecznych i osób pojedynczych, przy pierwszej lepszej sposobności, telegramy, adresy, listy, co oczywiście wbijało nowocześnie Kaligulę rosyjskiego w dumę, dodawało mu bodźca do dalszej niszczycielskiej działalności, czyniło zeń bożka t. z. opinii publicznej, a co zatem idzie, i siłę, z którą nieprzyjaciele jego, sam nawet rząd liczyć się musiał. Już teraz nie będzie on uważał na żadne względy, przed niczem się nie cofnie, na wszystko się odważy.

przed niczem się nie cennie, na wszystko z dumiewającą pracowitością i energią, niezwykłą w tym sześćdziesięcioletnim przeszło człowieku, ciężkim, opasłym, zadyszczanym zawsze. Już przed ósmą godziną rano zasiadał do pracy, czytał raporta, redagował swe destrukcyjne rozporządzenia, przyjmował z ustnymi lub piśmiennymi relacjami podwładnych sobie urzędników i agentów. Codziennie tłumy rozmaitych osób z prośbami, lub wprost z przedstawieniem się wielkorządcy, zjawiało się w wielkiej sali czerwonej pałacu gubernatorskiego, a on zawsze wychodził do nich w mundurze jeneralskim, wiszącym na jego opasłem cielsku jak worek, z rękawami przydługimi, zakrywającymi do połowy jego czarne, duże, obrośnięte, z palcami pałkowatymi ręce, stąpał drobnym, tygrysim krokiem, wsparty na nieodstępnej, od ciągłego użycia matowej lasce, słuchał bardzo uważnie co do niego mówiono, odpowiadał rzadko, ale zawsze wyraźnie, głosem stłumionym, cichym, miękkim, jak gdyby w tem szpetnem ciebie kryła się najłagodniejsza, najśłodsza dusza. Było coś kociego w jego ruchach, mowie, chodzie i tylko błyszczące złośliwie, zaczerwienione oczka, okrągłe jak u tygrysa, zdradzały tę ponurą, dziką, krwiożerczą naturę. Gniewał się rzadko, nigdy prawie nie podnosił głosu, nie wybuchał wulkaniczną lawą uniesienia dusz prostych i szczerých, ale niemniej był straszny w tym gniewie cichym, pozornie spokojnym. Jego szara, ziemista cera, stawała się wtedy siną, oczka nabiegały krwią, wargi bieleły i trzęsły się i biada temu, kto

był przyczyną tego gniewu. Nie było dlań łaski, ani przebaczenia. Nie było zresztą dnia prawie, żeby nie podpisał jakiego wyroku śmierci. Słowa: powiesić, rozstrzelać kreslił zawsze wyraźnie, jak gdyby się lękał, żeby jaka nie zaszła omyłka¹⁾.

Tak pracował, czytał, pisał, przyjmował do godz. 5 po południu i przez całe te dziewięć godzin wyteżonej, rzec można, pracy, poświęconej najróżnorodniejszym przedmiotom, okazywał umysł zawsze świeży, zawsze niezmechony i niewyczerpany. Po obiedzie obfitym i tłustym, spoczywał chwilę, by znowu koło godz. 8 zabrać się do takiej samej pracy, z głową rzeźką, niezmordowaną. Była to pod tym względem natura niezwykła, swą wytrzymałością przypominająca chłopca rosyjskiego. Praca taka trwała nieraz do późnej nocy. Codzień zjawiał się pocztalter gubernialny Rossilion i czytał Murawiewowi niektóre artykuły z gazet zagranicznych, przedstawiał spis listów, jakie przybyły na pocztę i jeżeli który z nich wydawał się podejrzany, otwierano go i czytano. W czasach, w których niczego nie szanowano, jakżeby mogła być szanowaną tajemnica listów prywatnych! Niekiedy, ale bardzo rzadko, przyjeżdżał z wizytą zaprzaniec Siemaszko, naprzeciw którego Wieszatel zawsze wychodził i odprowadzał z powrotem aż do drzwi. Często gościem bywał drugi sprzedawczyk, Antoni Pszczółka, niegdyś paroch unicki, a teraz pop schizmatyki, gorliwie zajmujący się budową cerkwi prawosławnych na Litwie; oraz druga licha osobistość, ks. prałat Niemeksza, administrujący po wywiezieniu biskupa

¹⁾ Tak powiada *Berg*, *Zapiski III*, 178. Znalazł się jednak jakiś były urzędnik Murawiewowski, który temu zaprzecza. Twierdzi on, że «Murawiew był człowiekiem dobrym i oplakiwał każdą ofiarę, którą z konieczności przynosił dla dobra ojczyzny. Opowiadają, że w ten dzień, w którym zatwierdzał wyroki śmierci, cierpiał ból głowy, i ci, którzy go dobrze znali, uważali, że jest bardzo roztrągniony. Niemniej przeto ręka jego nie przestawała uderzać, gdy tego wymagały okoliczności. On to wyrzekł te słowa: «śpieszę karać śmiercią jednostki, żebym nie musiał karać dziesiątek i setek».

Krasińskiego, dyecezyą wileńską. Wieczorem odczytywano wszelkiego rodzaju korespondencye, przychodzące od dowódców wojskowych, od podwładnych i sąsiednich gubernatorów. Zjawiał się znany nam już książę Szachowskoj, który oprócz kierownictwa tajną policją, miał powierzoną sobie cenzurę „Kuryera wileńskiego“, a około północy odczytywano artykuły wstępne, przysłane przez Katkowa do przejrzenia, które miały potem ukazać się na łamach „Moskiewskich Wiedomosti“. Murawiew wielką wagę przywiązywał do tego organu wstecznictwa rosyjskiego, gdyż urabiał on opinią, dotąd w ogromnej większości przeciwną potwornej postaci wielkorządcy litewskiego, to też popierał gorąco pieniędzmi i słowem redaktora tego pisma¹⁾. Niewątpliwie do większości artykułów Katkowskich, zwłaszcza o Litwie i Murawiewie, dawały się wskazówki i materiały z Wilna. Tak to, ci dwaj źli ludzie z nieszczęść polskich budowali piedestał dla swej sławy, majątku i kariery.

¹⁾ Bezimienny autor dzieła, wydanego w r. 1898 w Krakowie p. t. «Konstanty Ireneusz Pomian hr. Łubicński, biskup sejneński», na str. 243 opowiada, że hr. Rajnold Tyzenhauz, jeden z najbogatszych panów na Litwie, zgłosił się raz do Murawiewa i przedstawił mu, że «dowiedział się, iż właściciele dóbr w kraju, pod jego zarząd oddanym, będą skazywani na grzywny w przypadku dopuszczania się ich oficyalistów jakich przewinień, a nawet tylko opieszałości politycznych; i że takie grzywny w razie nieuiszczenia ich natychmiastowego, będą doraźnie egzekwowane przez sprzedaż inwentarzy i ruchomości na gruncie się znajdujących; że on mając dobra w różnych guberniach, nie może naturalnie we wszystkich jednocześnie mieszkając, a nawet z powodu słabości zdrowia objeżdżać je nie jest w stanie, w obawie jest przeto, ażeby obłożonym nie został także takimi grzywnami i ażeby w razie niedostateczności funduszy gotowych w kasach tych majątków, w których w ówczesnym stanie kraju znaczniejsze sumy pozostawiać, byłoby nawet nieroztropnem, inwentarz i ruchomości jego nie uległy sprzedaży, a przez to gospodarstwa nie uległy zupełnej dezorganizacji, zanim do niego mogła dojść wiadomość o nałożonych na niego grzywnach. Prosił tedy Murawiewa, ażeby raczył pozwolić złożyć na jego ręce pewien fundusz na rachunek tych grzywn, za jakie mógłby zostać skazany. O ile mówiono, doręczył mu wtenczas 100.000 rb., co w stosunku do jego

W owych wieczornych zajęciach Murawiewa, dość znaczną rolę odgrywali szpiedzy najrozmaitszego kalibru. Wsuwali się oni chyłkiem do pałacu, przemykali się po pod ścianami, z fizyognomiami tajemniczymi, ale jak to zwykle bywa kosztowali dużo pieniędzy, a pożytku mało przynosili. Pomimo nalegań, zabiegów i starań, by wykryć Komitet litewski, wykryć go nie mogli, i dopiero znacznie później, dzięki prostej zdradzie, władze rosyjskie mogły się dowiedzieć o jego składzie. Te rozliczne sprawy dzienne Murawiew kończył dopiero o godzinie 2 w nocy, wtedy wchodził do gabinetu jego lekarz domowy i oświadczał, że już czas położyć się do łóżka; ale wielkorządca nie kładł się jeszcze. Kilka osób bliższych mu, wsuwało się wtedy do niego bocznymi drzwiami, on palił fajkę, puszczał się na ciężkie, zawsze krwią cuchnące dowcipy, rozpytywał o plotki i na tem swój dzień, bezwątpienia mierzotny, krwawy i pracowity kończył.

Samo Wilno i Litwa cała zaroїła się wtedy od zjeżdżającego się ze wszystkich krańców Rosyi wszelakiego rodzaju łajdactwa, które niby kruki na padlinę, ciągnęło tłumnie na Litwę, „w Polszu“, jak mawiali, by tam porobić karyery i odegrać rolę patryotów rosyjskich. W Wilnie pełno było rozmaitych ichmościów, którzy kręcili się bez ściśle określonego zajęcia po salach pałacu gubernatorskiego, po rozmaitych biurach i nosili humorystyczną nazwę „przy“ i „po“, czyli, że wisieli niby przy takim lub innym zarządzie, przy gubernatorze jeneralnym, lub, mówiąc po rosyjsku „zaliczeni byli po kancelaryi“. Owi „przy“

kolosalnej fortuny nie byłoby wcale zbyt wysoką cyfrą. Murawiew z tej sumy miał dać Katkowowi 50.000 rubli, oczywiście pod warunkiem, że będzie go popierał, wychwalał, podnosił pod niebiosa i opinię na jego stronę urabiał, co też dziennikarz moskiewski sumiennie i z niewątpliwym talentem publicystycznym wykonał. Tym więc sposobem pieniądze polskie przygotowały ten bicz na nas; z drugiej strony fakt ten, jeżeli jest prawdziwym, a nie mamy powodu wątpić o jego autentyczności, dowodzi, jak lichą i sprzedajną osobistością był ów osławiony Katkow, ideal dziennikarstwa rosyjskiego.

i „po“ pełnili rozmaite funkcyje, w większości byli Szczedrynowskimi urzędnikami „do szczególnych zbrodni“. Była to ostatnia hałastra, zbieranina łotrów i szubieniczników i „szerokich natur rosyjskich“, które co chwila napelniały skandalami ciche ulice Wilna. Pełno ich było po wszystkich szynkach, restauracyach, handlach i zamtuzech publicznych, gdzie w jednym z takich zakładów, utrzymywanych przez żydówkę Lebensohnową, bardzo często przychodziło do awantur i bijatyk, w których panowie „przy“ i „po“ główną rolę odgrywali. Doszło powoli do tego, że nawet sam Murawiew się spostrzegł, że ten nowożytny najazd rosyjski na Litwę przekracza wszelkie granice i całymi wagonami odsyłał to łajdactwo z powrotem do Rosyi. Ale za to ci, którzy pozostali, choć w ogromnej większości nie więcej byli wari (bo przecież żaden człowiek uczciwy nie mógł służyć pod Murawiewem i spełniać obowiązków kata), ukrywając swe występki, po cichu dopuszczali się wszelkiego rodzaju gwałtów, nadużyć, rozbojów i złodziejstw, pokrywając to wszystko patryotyzmem, uchodząc za „dielateli“, mających zrusyfikować „odwiecznie rosyjską ziemię“. Obraz to tak wstrętny, tak ohydny, tak haniebnny, ten wylew szumowin rosyjskich tak jest plugawy, że stanowi on jedną z najbrudniejszych kart historii rosyjskiej.

Murawiew swojemi rozporządzeniami dawał obfity żer tym wygłodzonym, bez czci i wiary szakalom. Z rozumem, którego mu nikt odmówić nie może, widział on dobrze, iż żywioł polski na Litwie stanowi głównie duchowieństwo katolickie i szlachta. Uderzywszy już w pierwsze przez rozstrzelanie dwóch księży, przez aresztowanie mnóstwa innych, przez wywiezienie biskupa, przez obsadzenie wreszcie kapituły wileńskiej takimi księżmi wywłokami, jak Niemeksza, Tupalski, Żyliński, zadawszy jednym słowem potężne ciosy duchowieństwu katolickiemu na Litwie i Rusi, z niemniejszą gorliwością i bezwzględnością wziął się do szlachty. Cała ta zgraja nowokreowanych urzędników, naczelników wojennych i komendantów garnizonowych — z jego rozporządzenia podburzała nieustannie ciemny, za-

hukany lud litewsko-ruski przeciw szlachcie, głosiła, że ona dlatego się „buntuje“, by przywrócić pańszczyznę i niewolę chłopu dawną. Działo się to jeszcze za Nazimowa, który uważał, że jednym z najpierwszych obowiązków władzy rosyjskiej na Litwie i Rusi, jest sianie nieprzyjaźni między chałupą a dworem. Gdy powstanie wybuchło w Królestwie, a na Litwie z każdą chwilą spodziewać go się należało, to podburzanie chłopów przeciw szlachcie przybierało poczęło coraz większe rozmiary i barwy coraz jaskrawsze. Przyszło do tego, że szlachta z Mohilewsczyzny zebrawszy się w marcu na wybory, zapisała do protokołu skargę przeciw prześladowaniu, aresztowaniu, wyganianiu bez sądów i wyroków swoich współrodaków, oraz przeciw szczepieniu niezgody między obywatelami a włościanami. Skarga ta przebrzmiała bez echa i była tylko bezsilnym jękiem zbolalej duszy i niejako odwołaniem się do historii ¹⁾.

Z objęciem rządów przez Murawiewa, to podniecanie chłopów weszło na stały, usystematyzowany, że tak po-

¹⁾ Protokół ten brzmi jak następuje: «Szlachta mohilewskiej gubernii, przystąpiwszy na zasadzie prawa do narad nad potrzebami kraju, wzięła pod uwagę następujące okoliczności. Obywatele tutejsi ulegają politycznemu prześladowaniu, aresztowania są ciągle, a wygnanie bez wyroku i sądu w odległe miejsca Rosyi, za rozkazami administracyjnej władzy, jest na porządku dziennym. Nie mają oni żadnej obrony i zasłony przed samowolą lub też przed błędami — a często z osobistych uprzedzeń płynącymi postanowieniami tej władzy. Prześladowania zwrócone są głównie przeciwko sposobowi myślenia i uczuciom mieszkańców tej prowincyi, która przez wiele wieków silnie włączona była z Polską i jej losy podzielała. Te polityczne prześladowania spowodowały, że miejscowe władze usiłują rozedrzeć społeczeństwo, siejąc niezgodę między obywatelami i włościanami. W takim będąc położeniu, nie moglibyśmy o niczem innem radzić, jak tylko o rozpaczliwych warunkach, w jakich nasza prowincja się znajduje. Ponieważ jednak narady nad ich usunięciem w guberniach przez jednoplemienną z nami ludność zamieszkających, okazały się bezskutecznymi i wywołały nieszcześćia i klęski rządowej represyi, więc wzgląd na nie, jak i brak osobistego bezpieczeństwa, skłonił obywateli mohilewskiej gubernii, zamknąć obecne narady, wzmianką o położeniu kraju, wyżej wyrażoną». Dn. 30 marca 1863 r.

wiem, porządek dzienny. Z kancelaryi gubernatorskiej posypały się rozkazy, odezwy, obietnice dla chłopów. Już samo ustanowienie straży wiejskich, którym oddano władzę nad każdym przejeżdżającym surdutowcem, którym kazano czuwać nad dworami i w razie podejrzenia aresztować ¹⁾; którym polecono, by we dworach nie przechowywano żadnej broni i obiecano za każdą dostawioną strzelbę od 50 kop. do 3 rubli nagrody ²⁾, świadczy, jak dalece rząd Murawiewowski umizgał się do chłopów i poddawał pod ich władzę szlachtę. Ale najwidoczniej i najjaskrawiej zarysował wielkorządcą litewski te swoje burzycielskie tendencje w odezwie z dnia 14 czerwca do „obywateli wiejskich (t. j. chłopów) gubernii wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej i mińskiej“. Przedstawia on w odezwie tej w formie fałszywej cele powstania, nazywa powstańców „ludźmi rozpróżnionymi i źle myślącymi“; że „przy pomocy księży, z których wielu złamało przysięgę wiernopoddania, czą monarsze i swemu powołaniu“, że jednak „omylili się w swoich nadziejach; bandy buntowników ścigane i tępione przez nasze wojsko, ukryły się po lasach i wychodzą stamtąd do waszych wsi dla rabunku, gwałtów i zaopatrzenia się w żywność, dopuszczając się nieludzkich kar

¹⁾ Instrukcja z d. 22 czerwca (Cytow, Sbornik 112): «Oddać staniom gmin wiejskich (włościańskich), żeby nie dozwalały spiskującej szlachcie dopuszczać się przestępstw wiarołomnych i żeby powstrzymywały tak szlachtę jak i jednodworców (nazwa urzędowa szlachty chodackowej, okolicznej), oraz innych i czeladź dworską, mieszkającą pośród nich, jak również oficyalistów i służbę obywatelską od udziału i wspomagania buntu. Wszystkich tych, którzy okażą się winnymi lub będą podejrzeni o stosunki z buntownikami, aresztować bez różnicy nazwy i stanu i dostawiać do najbliższych komend wojskowych».

²⁾ Loc. cit. 137. Instrukcja z d. 15 października. «Polecić włościanom, ażeby pilnie strzegli, by odtąd we dworach nie znajdowała się żadna broń i naboje, jak również u służby dworskiej i w okolicach szlacheckich. Wszystkich włościan uwiadomić, a zwłaszcza starostów (starszyn), którzy odpowiadają za porządek, żeby, jeżeli dowiedzą się, że u kogokolwiek jest broń, natychmiast ją odbierali i dostawiali władzy najbliższej».

nad tymi z pomiędzy was, którzy wierni swym obowiązkom, nie wykonywują ich rozkazów i nie dopomagają ich działalności występnej“. Ale, powiada dalej, wyczerpała się już cierpliwość. Wielu ponosi zasłużoną karę, „setki waszych dawnych panów i księży, którzy brali udział w buncie“, jest uwięzionych, wielu z nich ukarano śmiercią, na majątki ich nałożono sekwestr, a dochody z nich wpływają do skarbu. „Włóścianie wierni obowiązkowi i przysiędze! — woła — podarowana wam wolność, jest dowodem pieczołowitości o was Naj. Pana. Wspaniałomyślny monarcha położył koniec wszelkim waszym powinnościom względem dawnych panów i oddał na wyłączną własność waszą grunta, na których oddawna mieszkacie i daje wam sposobność przy pomocy wsparcia ze skarbu, stania się zupełnymi właścicielami całej, przynależnej wam, według prawa ziemi“. Parokrotnie powtarza z naciskiem, że w niczem nie są zależni od dawnych swych panów, i „jeżeli jeszcze teraz, niektórzy panowie pochodzenia polskiego, korzystając z obecnego zamieszania w kraju, zmuszają was do odbywania pańszczyzny lub nakładają na was daniny, to jest to nadużycie — co do którego wydano surowe polecenie wszystkim naczelnikom wojennym, ażeby mu koniec położyli“.

Ostatnie to twierdzenie było kłamstwem, głoszonym jedynie w celu podburzenia chłopów przeciw szlachcie polskiej. Nie przeczymy, że między tą szlachtą na Litwie i Rusi było wielu takich, którzy żałowali dawnych stosunków pańszczyźnianych, którzy radziby byli ich powrotu, którzy należeli do napiętnowanych od dawna przez Birkowskiego mianem „odrzychłopskich“, wszelako teraz nie mogło być o tem mowy, by po ukazie cesarskim i po dekreście Rządu tymczasowego powstańczego, ktokolwiek z tych zaśniedziałych wsteczników uśmielił się żądać od chłopów pańszczyzny. Murawiew doskonale o tem wiedział, a sam przeciwnik usamowolnienia włóścian, odzywał się w ten sposób jedynie dlatego, by chłopów ostatecznie zniechęcić do szlachcica „pochodzenia polskiego“, jak się urzę-

downie wyrażają po rosyjsku. Tym chłopom przeciw szlachcie nadawał on teraz wielką władzę, polecał im, ażeby pod żadnym pozorem nie pozwalali na „jakikolwiek zjazd buntowniczy“, na werbowanie, zbrojenie i wogóle na wszelkie przygotowania do powstania na folwarkach, dworach, karczmach, lasach i innych miejscach. Rozkazywał, ażeby gminy wiejskie, t. j. chłopów, donosili władzom, kogo z pomiędzy ich dawnych panów, jak również z pomiędzy dzierżawców, ekonomów i wogóle służby dworskiej uważają za niełojalnych (niebłagonadziejnych). Naczelnicy wojenni winni byli sprawdzić, o ile te relacje są słuszne i w razie ich prawdziwości, podejrzanych natychmiast aresztować¹⁾. Jakież pole do nadużycia, do zemsty osobistej! I jeżeli rozporządzenie powyższe nie wydało owoców, oczekiwanych przez Murawiewa, to zawdzięczać jedynie należy słowom i odezwom z d. 14 czerwca i rozkazy następne były bardziej rewolucyjne od wszystkich proklamacji powstańczych, bo podburzały jedną warstwę społeczną przeciw drugiej, odświeżały stare tradycje hajdamaczyzny, która w Pińszczyźnie, na Polesiu wołyńskim, żyła jeszcze w podaniach, były niejako groźbą rzezi wszystkiego co polskie, gdyby lud litewsko-ruski miał w sobie więcej energii i więcej namiętności.

Ale obok rzucania tych ziarn wichrów i burz, oprócz wkładania nieomal do ręki chłopskiej noża hajdamackiego, oprócz tego wszystkiego przejmującego szlachtę polską na Litwie dreszczem trwogi śmiertelnej, Murawiew tę straszliwą sytuację starał się uczynić jeszcze straszliwszą i dokuczliwszą. Wobec obawy, jaką budziło usposobienie chłopskie wobec oddziałów powstańczych, których przybycie do dworu narażało szlachcica na surową odpowiedzialność — jak gdyby on mógł jaki opór stawiać ludziom uzbrojo-

¹⁾ Rozporządzenie z d. 3 lipca (Cytow, Sbornik 114).

nym¹⁾, wielu z nich zabierało rodzinę i wynosiło się do miast gubernialnych lub powiatowych, w tej nadziei, że tym tylko sposobem mogą ocalić swój spokój, a nawet i życie. Otóż Murawiew, spostrzegłszy, że tym sposobem pewna część szlachty polskiej może się wyślizgnąć z podniszczyielskich jego zamysłów, wydał d. 20 lipca rozporządzenie, ażeby, jak sam powiada z budującą otwartością „więcej obywateli pociągnąć do odpowiedzialności za udział w buncie“, aby pod żadnym pozorem nie wydalali się ze swych majątków. Majątki zaś tych, którzy wyjechali bez paszportów, wydawanych przez naczelników wojennych (a takich paszportów ci oczywiście wydawać nie chcieli), natychmiast konfiskować. Oddawał więc nieszczęśliwego ziemianina na łaskę i niełaskę wypadków, którym ten ostatni zapobiedz nie był w stanie i pierwsze lepsze pojawienie się powstańca, narażało go na konfiskatę, więzienie i wygnanie. Ale wystawiwszy życie ziemian polskich na wszelkie niebezpieczeństwa i niepokoje, nie mogąc nawet tego rodzaju drakońskimi przepisami ich wytępić i zniszczyć, z prawdziwym talentem wynajdywał sposoby, ażeby podkopać ich byt materyalny i doprowadzić do ruiny. Jeżeli się gdziekolwiek zdarzyło, a niestety! zdarzało się to bardzo często, że dowódcy powstańczy dla wyżywienia swych ludzi i koni zabierali zboże i owies z t. z. magazynów

¹⁾ Artykuł 10 instrukcyi z d. 5 czerwca, ustanawiającej zarząd policyjno-wojskowy brzmi: «Oznajmić wszystkim właścicielom ziemskim, ich rządcom i administratorom, zawiadującym majątkami, że osobiście ciężko odpowiadać będą, jeżeli w granicach ich posiadłości utworzy się banda buntownicza lub spisek przeciw rządowi, jak również, jeżeli popierać będą bunt pieniędźni i zapasami wszelkiego rodzaju». To rozporządzenie Murawiew niebawem pod d. 28 czerwca uzupełnił nowym dodatkowym, ostrzejszym jeszcze przepisem, nakazującym, aby tych ziemian, którzy zaopatrzą w żywność powstańców i nie uwiadomią najbliższej komendy wojskowej o tem, że w ich posiadłości znajduje się oddział powstańczy, natychmiast aresztować i oddawać pod sąd, a ich majątki obkładać sekwestrem, zboże zabierać dla wojska, jak również wozy i konie. (Cytów, loc. cit. 113).

wiejskich, w których, jeżeli się nie mylimy, jeszcze z rozkazu cesarza Mikołaja zsypywano zboże na wypadek głodu, więc Murawiew rozkazał, że „ponieważ bunt obecny powstał z wiedzą i za współudziałem ziemian pochodzenia polskiego“, aby wszelkie braki w magazynach wiejskich wypełnione były kosztem rzeczonych ziemian tego powiatu, w którym wypadek zabrania magazynu się przydarzył. W razie zaś, gdyby który z obywateli nie dostawił przypadającej nań części zapasów, to mają być sprzedane przez publiczną licytację jego ruchomości i za pieniądze, stąd otrzymane, potrzebne zapasy zakupione. Oprócz tego kazał oznajmić ziemianom, że „ponieważ ci zawsze wcześniej powiadomieni są o przybyciu do ich posiadłości band buntowniczych, i mogliby, gdyby spełniali swe obowiązki i wierni byli przysiędze, uprzedzić o tem miejscowe władze wojskowe, więc odtąd za zabranie magazynów, odpowiadać będą oni bezpośrednio“¹⁾. Niemniej odpowiedzialni oni byli za to, jeżeli powstańcy zabrali gdzie pieniądze gromadzkie lub podatki. W ciągu dziesięciu dni strata ta miała być ściągniętą z ziemian polskich danego powiatu. Nie poprzestał jednak na tem. Ponieważ dowódca kozacki w gub. wileńskiej skarżył się, że kozacy w potyczce z powstańcami i wskutek forsownych marszów w pościgu za tymi ostatnimi, utracili wiele koni, więc Murawiew rozkazał, ażeby każda gubernia dostarczyła 150 koni i żeby przede wszystkim konie te ściągnięte były z t. z. okolic szlacheckich i właścicieli ziemskich, Polaków, a w razie gdyby koni odpowiednich nie było, żeby płacili w stosunku 100 rubli za podjezdka i to w przeciągu jednego tygodnia.

Cały ten system legalnego rozboju, dokonywanego w dzień biały na szlachcie litewsko-ruskiej, dlatego tylko, że była ona „pochodzenia polskiego“, ukoronował Murawiew nałożeniem na ich majątki kontrybucyi bardzo wysokiej, bo wynoszącej 10% od dochodu brutto. Od chwili swego przyjazdu do Wilna, nosił on się z tą myślą i zaraz

¹⁾ Loc cit. 115. Rozkaz z d. 2 lipca.

po przybyciu wystąpił do Petersburga z odpowiednim projektem, który nie bez opozycji przyjaznego nam stronnictwa został ostatecznie zatwierdzony d. 20 czerwca, i Murawiew już d. 25 t. m. rozesłał cyrkularz do wszystkich władz, uwiadamiając je o tem i dając instrukcję, jak mają rzecz tę przyprowadzić do skutku. Kontrybucya ta obciążyła wszystkie nieruchome majątki szlacheckie, i miała być wniesiona do kas w ciągu jednego tygodnia od daty wydania cyrkularza. Gdyby zaś w oznaczonym terminie opłata rzeczona nie była uiszczoną, to naczelnicy powiatów mieli natychmiast przystąpić do sprzedaży ruchomości, inwentarza, koni i zboża kontrybuenta. Jeżeli zaś w jakiej rodzinie, podpadającej kontrybucyi, okazał się brak którego z jej członków, pod czem Murawiew rozumiał, że ów nieobecny musiał pójść do powstania, to majątek takiej rodziny miał być obłożony jeszcze wyższą ponad 10% kontrybucją. Gubernatorzy mogli przedstawiać do ulg w opłacie haraczu, a nawet do jego zmniejszenia, ale tylko takich właścicieli ziemskich, „którzy nie słowami, ale czynem dowiedli swej wierności prawowitemu rządowi“. W pierwotnej instrukcji nie było powiedzianem, że kontrybucyi podlegają tylko właściciele ziemscy „pochodzenia polskiego“, ale w ogólności wszystkie majątki ziemskie, znajdujące się w wielkorządztwie Murawiewowskiem; to też, dość stosunkowo liczni ziemianie Rosyanie, oraz baronowie kurlandcy i inflancy wystąpili ze skargą na ten środek kary za winy, których oni nie popełnili. Murawiew jednak skargi te tylko do połowy uwzględnił. Kazał sobie przedstawić spis takich właścicieli nie Polaków i zmniejszył im kontrybucję do 5%, zaznaczając jednakże, że „w kraju tutejszym są ziemianie nie polskiego pochodzenia, którzy jednak z powodu słabości swego charakteru, pożeniwszy się z Polkami i wszedłszy przez to w stosunki pokrewieństwa z Polakami, ulegają żądaniom stronnictwa rewolucyjnego i jawnie lub skrycie niosą mu pomoc“. Tacy mają płacić 10% kontrybucyi. Co zaś do właścicieli ziemskich Rosyan, któ-

rych uważał za wiernych tronowi, w ten sposób tłumaczył się przed nimi, że kontrybucya powyższa ma głównie na celu pokrycie olbrzymich wydatków, jakie rząd poniósł w celu stłumienia powstania i obrony spokojnych mieszkańców od „gwałtów i nadużyć buntowników“, że zatem właściciele Rosyanie, będąc otoczeni dokoła żywiołem sobie wrogim, niewątpliwie narażeni by byli na niebezpieczeństwo, gdyby rząd opiekuńczy nie osłonił ich osób i mienia od rzeczonych gwałtów. „Stąd wynika — pisze Murawiew w swym cyrkularzu — że nałożony na majątki obywateli Rosyan podatek od dochodu, w żadnym razie nie może być nazwany kontrybucją i uważany za jedno z tym podatkiem, który płaci szlachta pochodzenia polskiego, a której większość swymi czynami występnymi służyła za podporę buntu przeciw prawemu rządowi. Ziemianie rosyjscy pociągani są do opłaty od dochodu nie w formie kary, ale w formie dopomożenia rządowi, który ich broni od nadużyć. Przekonany jestem — dodawał — że szlachta pochodzenia rosyjskiego i nadbałtyckiego (ostzejskiego), dowiedziawszy się o istotnem znaczeniu zamierzonego środka, wskutek swej wierności monarsze i ojczyźnie, nie omieszkają i tym razem dać przykładu, wypełniając ściśle wymagania rządu, wytyczając swe siły ku jak najprędzemu przywróceniu spokojności w kraju, z którym ściśle związane są ich interesy materyalne“.

Te odwoływania się jednak do patryotyzmu Rosyan, którzy go wcale i nigdy nie mieli i których interesy i sprawy rządowe nie obchodziły, nie wzruszyły ich wcale i gorzko użalali się na kontrybucję, głosząc wszędzie, że oni są przecież Rosyanami, buntów nie robili, za cóż więc płacić mają? Płacić jednak musieli, jakkolwiek później niżono kontrybucję baronom niemieckim do 3%, a Rosyanom do półtora procentu, jednakże podatek ten w r. 1863 przyniósł około półczwarta miliona rubli. Sama gubernia grodzieńska zapłaciła około 650.000 rubli, a w tem z majątków hr. Pusłowskiego ściągnięto 23.826 rubli. Gubernia wileńska zapłaciła 516.748 rubli; kowieńska, oprócz mają-

tków Rosyanina hr. Zubowa, musiała zapłacić 1,300.000 rb. tak, że wypadło po 57 kop. z t. z. dziesięciny (diesiatyna). W gubernii mińskiej znajdowały się znaczne dobra (8.000 dusz), należące do W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza, z których ściągnięto około 3.000 rubli kontrybucyi, co wobec 23.000 Pusłowskiego, było nic nie znaczącym wydatkiem.

Oczywista rzecz, że rezultaty tego ucisku ekonomicznego i rozboju, w krótkim przeciągu czasu odbiły się na szlachcie polskiej w sposób jak najopłakańszy. Nigdy ona nie liczyła się z groszem, żyła przeważnie nad stan, majątków z czystą hipoteką było bardzo niewiele, ale wobec daremnej robocizny, wysokich cen na zboże, egzystowało się jako tako i koniec z końcem nawet przy braku oszczędności i rachunkowości się wiązało. Teraz, gdy nagle pańszczyzna została zniesiona, gdy na wszystkie strony trzeba było płacić, gdy powstańcy szarpali z jednej, a Rosyanie z drugiej, gdy wszelkie kary, podatki, kontrybucye egzekwowano z bezlitością surowością i widoczną dążnością zniszczenia, większa część ziemian znalazła się w obliczu zupełnej ruiny. Dla zapłacenia kontrybucyi ogromna większość szlachty musiała sprzedawać inwentarz, zboże na pniu, ruchomości gospodarskie i to wszystko za bezcen, zaciągać długi na lichwiarskie procenta, nieraz na 25% na miesiąc, oddawać folwarki żydom w dzierżawę po niesłychanie niskich cenach, byle tylko otrzymać pieniądze; sprzedawano lasy, łąki, sumy nawet likwidacyjne za grunta oddane chłopom, wszystko co się tylko dało spieniężyć, byle kontrybucyę wnieść do kasy w oznaczonym terminie. Daje to miarę zniszczenia i ruiny, do jakiej dochodziła szlachta polska na Litwie pod rządami Murawiewa¹⁾.

¹⁾ M. N. Katkow, 1863 god. II, 833. Korespondent «Moskiewskich Wiedomosti» opowiada, że w pewnym majątku w Mochilew-szczyźnie, gdzie dotąd płacono po 50 rb. za dziesiętną łąkę mokrej, po 75 rb. za taką przestrzeń lasu budulcowego, po 30 rb. za las na opał — sprzedano 150 dziesiętn lasu budulcowego, 150 dzies. lasu opałowego, 150 dzies. ziemi ornej, 50 dzies. łąki i 100 dzies. nieuży-

Ale nie tylko majątki ziemskie, należące do szlachty polskiej, obłożone zostały kontrybucyą dziesięcioprocentową — temuż losowi uległy nieruchomości po miastach i miasteczkach litewskich, będące jej własnością. Kontrybucya wynosiła tu jeden procent od dochodu i powodem jej, jak w swem rozporządzeniu Murawiew objaśniał, było to, że „dla utrzymania spokojności i bezpieczeństwa mieszkańców miejskich i ich majątków, rząd musi utrzymywać w miastach znaczną ilość wojska i ponosić wielkie wydatki“, jak gdyby to samo wojsko, gdziekolwiekby się ono znajdowało, nie skarbu nie kosztowało gdzieindziej. Kontrybucyę tę miejską kazano zapłacić w ciągu tygodnia pod rygorem egzekucyi wojskowej i sprzedaży ruchomości przez licytację publiczną. Ale z rozporządzenia tego najcharakterystyczniejszem jest to, że Murawiew zakazał właścicielom domów podnosić opłatę komornego, pod karą podwójnej sumy kontrybucyjnej, oraz obniżenia ceny komornego wedle szacunku specjalnie w tym celu wyznaczonej komisji. Podobnie jak właściciele ziemscy, tak i miejscy, nie wszyscy mogli w oznaczonym terminie wnieść haracz i wtedy odbywała się sprzedaż publiczna ruchomości, do której stawali wyłącznie żydzi i związani solidarną umową nabywali wszystko za bezcen. Jeżeli jaki majątek podlegał sekwestracyi, to wysłany oddział wojska nie czekał, aż przybędą nabywcy żydowscy dla kupna ruchomości, ale oficerowie i żołnierze dopuszczali się wprzód najordynarniejszego rabunku, zwłaszcza powozów, koni, mebli. Zwykle sami oficerowie ustanawiali pomiędzy sobą cenę; za konia rasowego z całym rynsztunkiem płacili po 12 rb. umeblowanie mieszkania ze zwierciadłami i obrazami kupowali po 8 rubli. Sprzedawano wszystko, nawet klucze i klamki, a żołnierze rabowali co się dało, resztę dopiero spisywano jako własność skarbową. I tutaj do kupna sta-

tków, oraz 7.700 rubli spodziewanych sum likwidacyjnych za grunta oddane chłopom, ryczałtem za 15.000 rubli dla zapłacenia kontrybucyi, czyli że stracono przeszło połowę wartości tego wszystkiego.

wali tylko żydzi i roskolnicy, tłumnie przybywający na takie licytacje z pod Dynaburga, oraz kacapi z Rosyi. Zdarzały się takie wypadki, że chłopci, acz nie bardzo panu przyjaźni, widząc jednak taki bezczelny rabunek i zniszczenie, ukrywali u siebie bydło dworskie, konie i meble, by coś przecie ocalić przed tą hordą nowoczesnych Wandali. Były to złote czasy dla wszelkiego rodzaju szelmstwa.

W tej żądzy zniszczenia wielkorządca litewski wpadł na pomysł, niegdyś używany przez konwencyonistów francuskich w czasie rokосу i wojny wandejskiej. D. 15 czerwca mianowicie wydał rozporządzenie, ażeby dla ochrony linii drogi żelaznej od nagłych napadów powstańców, wyrąbać wszędzie lasy po obu stronach tejże drogi na przestrzeni 150, a około stacyi na 300 sążni. Spędzono więc chłopów i rozpoczęła się prawdziwie dzika gospodarka. Najpiękniejsze drzewa padały ofiarą, które podarowywano chłopom, a właściciele dlatego, że byli szlachtą polską, żadnego nie otrzymywali wynagrodzenia. W umyśle tego carzyka tatarskiego nie mieściło się pojęcie własności, jak wogóle z trudnością się ono mieści w głowach rosyjskich.

Murawiew niszcząc szlachtę materyalnie, setkami ją jednocześnie za najmniejszym podejrzeniem więził, oddawał pod sąd polowy i wysyłał na wygnanie. Między innemi głośną się w tej porze stała sprawa znanego nam marszałka szlachty grodzieńskiej, hr. Starzyńskiego, oraz marszałków mińskiego: Łappy i mohilewskiego: hr. Stefana Lubomirskiego. Wspomnieliśmy już, że pierwszy z nich, w dobie manifestacyjnej odgrywał dość ważną, acz dotąd niezupełnie wyjaśnioną rolę, że zawiązał liczne stosunki ze sferami rządowymi w Petersburgu, że pisywał memoryały o uorganizowaniu Litwy¹⁾, że znany był nawet ce-

¹⁾ Memoryału tego nie mieliśmy w ręku. Znamy go tylko ze streszczenia, jakie daje *Wasili Ratcz* w swej wstrętnej książce: «Swiedenia o polskom miateże 1863 g. w Siewiero-Zapadnoj Rossii» I, 141. Cytowany przez nas parokrotnie autor życiorysu Nazimowa («Russ. Starina» z r. 1885), zapewnia, że memoryał ten podany został jeszcze w grudniu 1862 r. samemu cesarzowi. Oto co o tem mówi: «W końcu

sarzowi, jednym słowem należał do rzędu tych, zresztą nielicznych marzycieli polskich, którzy myśleli, że na drodze przedstawień i akcyi legalnej, potrafią dla swego narodu wyjednać od rządu rosyjskiego jakieś obszerne koncesye. Gdy jednak powstanie wybuchło i nie tylko o ustępstwach nie było już mowy, ale rozpoczęła się era rządów wojskowych, Starzyński zawiedziony w swych nadziejach, podrażniony mocno podał się do dymisyi z urzędu marszałka gubernialnego szlachty i rozesłał okólnik do marszałków powiatowych, uwiadamiając ich i wyjaśniając powody swego postąpienia. W okólniku tym, noszącym datę 28 marca, powiada między innemi, że „przy obecnym kierunku, jaki władze rządowe przyjmują w wypadkach teraźniejszych, wobec obelg, jakimi obrzucany jest na Litwie cały żywioł polski, wobec rozrzucanych między włościanami odezw podburzających, wobec dążeń władz do wy-

grudnia 1862 r. Nazimow dowiedział się, że pewien wyższy dygnitarz petersburski, ulegający silnemu wpływowi Starzyńskiego, udał się z nim w jednym wagonie do Moskwy, gdzie właśnie cesarz bawił i tyle zrobił, że zaproszono Starzyńskiego do dworu i pozwolono mu wręczyć cesarzowi jakąś zapiskę o sposobach rozstrzygnięcia kwestyi polskiej w guberniach litewskich. Memoryał ów cesarz przeczytał i w głównych zarysach zaakceptował. Oprócz tego Starzyński był przedstawiony cesarzowej i otrzymał polecenie pojechania do Warszawy z kopią owego memoryału dla wręczenia jej namiestnikowi Królestwa. Starzyński natychmiast pojechał nie zatrzymując się ani w Wilnie, ani w Grodnie. Nazimowa to wszystko rozgniewało i napisał do ministra z prośbą, żeby go objaśnił, co znaczy ta «mystyfikacja», a w razie gdyby wieść o podaniu cesarzowi przez Starzyńskiego memoryału okazała się prawdziwą, domagał się, żeby mógł dokument ten przeczytać. Wkrótce, bo d. 17 stycznia 1863 r. Nazimow otrzymał długi, własnoręczny list ministra, z którego to listu dowiedział się o wszystkich krokach Starzyńskiego i przekonał się, że wiadomość o memoryale jest prawdziwą, z wyjątkiem pogłoski, jakoby Starzyński miał jeździć do namiestnika Królestwa. Sam memoryał Nazimow niebawem otrzymał z bardzo rozzumnymi uwagami cesarza».

Cała ta relacya, nie wiemy o ile w szczegółach i co do czasu prawdziwa, znajduje pewnego rodzaju potwierdzenie w pamiętniku Murawiewa. Opowiada on także o stosunkach przyjaznych Starzyń-

wołania przewrotu socyalnego, grożącego nam wszystkim, przyszedłem do przekonania, że dalsze moje urzędowanie na stanowisku marszałka szlachty, nie zgadza się wcale z osobistą godnością Polaka, oraz że praca organiczna, dobro i rozwój ekonomiczny kraju na celu mająca, obecnie jest niemożliwą. Dlatego też po bolesnem doświadczeniu, że wszystkie moje dwuletnie zabiegi są bezpłodne, znalazłem się w konieczności w dniu dzisiejszym zrobić podanie o dymisyę¹⁾. Odezwę tę, ktoś z serdecznych przyjaciół ogłosił w dziennikach zagranicznych, czem niedźwiedzią wyrządził Starzyńskiemu przysługę. Za jego przykładem poszedł zaraz marszałek miński Łappa, poszła większa część marszałków powiatowych. Niewątpliwie miało tu wpływ rozporządzenie Rządu tymczasowego warszawskiego, nakazujące wszystkim urzędującym Polakom, usuwanie się ze stanowisk, oraz podanie się do dymisji członków Rady

skiego z ministrem Walujewem i szefem żandarmów kniazem Dolgorukim, o tem, że Starzyński był przedstawiony cesarzowi, że mieszkiał nawet w Carskim Siole, że w zimie 1862 r. jeździł z cesarzem do Moskwy i tak kończy: «tak wielkie było zaślepienie w sferach rządowych, że Starzyńskiemu wierzono jak wyroczni i dozwolono mu pod sekretem złożyć na ręce ministra spraw wewnętrznych memoryal co do przyszłego uspokojenia kraju. Starzyński w 1862 roku powróciwszy do Grodna, nie chciał już nawet znać gubernatora jeneralnego i okazywał mu zupełną pogardę, rozповідаjąc wszystkim o swem świetnem przyjęciu u cesarza i władz petersburskich». — «W lutym 1863 r. (czytamy dalej w pamiętniku), kiedy wybuchło powstanie, Starzyński postanowił już śmielej działać. Napisał zuchwały list do cesarza i ministra spraw wewnętrznych, w których to listach oskarżał rząd o rozpowszechnianie jakoby zasad demagogicznych i o podburzanie włościan przeciw obywatelom».

Jest tu więc mowa o okólniku, o którym w tekście wspominaemy, z tym atoli dodatkiem, że Starzyński przesłał go cesarzowi. Na podstawie tych danych, jakie posiadamy, nie umiemy rozstrzygnąć, o ile wszystkie te wersje są prawdziwe.

¹⁾ Oryginału polskiego tego okólnika nie znamy. Ustęp w tekście podajemy według przekładu rosyjskiego, znajdującego się w paskwiliu *S. Rajkowskiego*, *Polskaja molodież* i t. d. («Russ. Wiestnik» Tom 83).

stanu w Królestwie. Pod tym samym zapewne wpływem poczęli wkrótce potem, podawać się do uwolnienia ze służby liczni na Litwie i Rusi komisarze włościańscy (mirowyje posredniki) przeważnie Polacy.

Ta tłumna emigracya z urzędów przestraszyła Nazimowa i nie chcąc już żadnego ważniejszego kroku czynić na swem stanowisku, które wiedział, że wkrótce opuści, całą tę sprawę trzymał w zawieszeniu, na podania o dymisyę nie odpowiadał i rzecz zostawił do rozstrzygnięcia swemu następcy Murawiewowi. Była to woda na młyn tego ostatniego; natychmiast wszystkim tym, którzy zrobili podanie o uwolnienie kazał dać dymisyę, wielu z pomiędzy nich aresztować i oddać pod sąd, a przedewszystkiem los ten spotkał hr. Starzyńskiego i Łappę. Obu tych panów kazał sprowadzić do Wilna i sądzić sądem polowym, rezultatem czego było, że Łappa skazany został na wygnanie do gubernii permskiej, a Starzyński na dożywotnie ciężkie roboty w kopalniach syberyjskich. Dzięki jednak stosunkom, jakie posiadał w Petersburgu, rzecz cała skończyła się na kilkoletniem więzieniu w kazamatach twierdzy bobrujskiej. Co zaś do komisarzy włościańskich, Murawiew wszystkich uwolnił. W rozporządzeniu swem z d. 4 lipca nazwał ich „głównymi agentami działań buntowniczych“, wielu kazał aresztować i sądzić, wielu wysłał na wygnanie. Sprawy zaś włościańskie oddał pod zarząd naczelników wojennych i policyi.

Sprawa marszałka mohilewskiego, księcia Lubomirskiego rozegrała się nieco później, z powodu akcji, rozpoczętej przez Murawiewa w kwestyi t. z. „wiernopodańczych“ adresów od szlachty polskiej na Litwie i Białorusi. Myśl ta mogła się zrodzić tylko w takiej despotycznej głowie, nie szanującej niczyich uczuć, jaką miał wielkorządcę; w chwili gdy powstanie w Królestwie było najsilniejsze, gdy interwencya zagraniczna zdawała się zapowiadać rychłą zmianę karty Europy, gdy mimo wszystkich ciosów, jakie ciężka ręka Wieszatela zadawała Litwie, umysły były wzburzone, nieomal pewne blizkiego tryumfu,

wymagać, by ta szlachta całowała rękę, która ją nielitościwie smagała, było czemś potwornem, czemś dzikiem, czemś przechodzącem wszelką granicę tyranii. Mógł Neron wymagać, by otaczający go dworacy, skazywani przezeń na śmierć, w chwili konania bili pokłony boskiemu Cezarowi, ale na myśl mu nigdy nie przyszło, by cały lud rzymski widział w nim nie kata, ale boga. To, na co się nie pokusił rudobrody imperator rzymski, tego dokonał ponury, wstrętny, plugawy do szpiku kości Murawiew. W tym jego kroku jest coś ohydneho, coś wstrząsającego duszę; ten widok poniżenia godności ludzkiej, zdeptania jej zupełnego, zawsze musi oburzać, rokoszem napęłniać przeciw tyranii, jaką jeden człowiek wywiera na wielu.

Murawiew z tą myślą nosił się już od początku swego przybycia na Litwę i teraz w połowie lipca, gdy zdawało mu się, że ubezwładnił, zniszczył szlachtę, chwila jest stosowną, by wymóżyć na niej ostatni akt upokorzenia. Prócz tego, z właściwą mu bizantyńską przebiegłością, wyrozumował sobie, że jeżeli ten, który podpisze adres, później się czemkolwiek skompromituje, a jak wiemy o to było bardzo łatwo, to wina jego będzie podwójną i kara musi być cięższą¹⁾, bo w gruncie rzeczy jemu szło o to głównie, by jak najwięcej szlachty skompromitować i jak najwięcej z kraju wypędzić na wygnanie. Mimo jednak ucisku, przechodzącego wszelkie granice, sprawa adresu szła z początku bardzo tępo. Zacząć oczywiście należało od gubernii wileńskiej, jako miejsca pobytu gubernatora jeneralnego i w tym celu rozpoczęły się pertraktacje przez trzecie osoby, głównie przez pułkownika Pawłowa, naczelnika wydziału politycznego kancelaryi gubernatorskiej, którego Murawiew przywiózł ze sobą z Petersburga, a który poprzednio długi czas bawił na Litwie, miał tu między szlachtą mnóstwo znajomości, konneksyi, a nawet z wieloma był przez kobiety skuzynowany. Marszałkiem gubernialnym wileńskim był wtedy Aleksander Domeyko, znany nam już

¹⁾ *Mosółow*, Wilenskie oczerki, 41.

z tego, że na wieść o nominacyi Murawiewa, jak gdyby w przeczuciu oczekujących go pod nowymi rządami kłopotów i niebezpieczeństw, pragnął usunąć się i uciec za granicę, na co jednak wielkorządca się nie zgodził i kazał mu wracać do Wilna. Przeczucia Domeyki spełniły się teraz i do niego to, jako do marszałka szlachty, Pawłow w sprawie adresu najprzód się udał. Domeyko był nietyle może lichą, ile słabą i teńzliwą osobistością, z przekonani przeciwną powstaniu, figurą do pewnego stopnia rządową (był szambelanem dworu, radcą stanu), zaciekłym wstecznikiem, zwolennikiem pańszczyznianego ucisku, ale bądź co bądź znał on dobrze usposobienie umysłów swoich współziemian. Otwarcie wyznał on Pawłowowi, że udanie się tej sprawy jest bardzo wątpliwem, radził, żeby jeszcze czekać i przez chybione usiłowanie nie narażać jej na niepowodzenie. Wogóle wahał się, lękał wszystkiego i odradzał. Ale wola Murawiewa była wyraźną, a przytem Pawłow potrafił znaleźć, może nie tyle zwolenników adresu wśród innych ziemian wileńskich, ile wytłomaczyć im potrzebę takiego kroku. Nie szczędził obietnic, że z chwilą podania adresu ucisk i prześladowanie szlachty i żywiołu polskiego ustać musi i ustanie, boć przecie wiernych poddanych, rokosz potępiających, nie będzie powodu prześladować; że rządy Murawiewa złagodnieją i nastaną dla Litwy czasy arkadyjskiej szczęśliwości. W przeciwnym zaś razie, jeżeli adres nie przyjdzie do skutku, ucisk musi się zwiększyć, prześladowanie się wzmoże i straszne nieszczęścia, siedm plag egipskich spadnie na Litwę. Słowa te, niepozabawione pewnego logicznego prawdopodobieństwa, wpłynęły na wielu znudzonych nieszczęściami, zmęczonych trwogą, zachwianych przez szereg ciosów, jakie nagle z hojnej ręki Murawiewa na nich spadły. Kręcił się tam przytem gorliwie między ziemianami niejaki Śnitko, Litwin acz prawosławny przez matkę Rosyankę, posiadający majątek w wileńskim. Wskutek jego i Pawłowa zabiegów, do myśli podania adresu przychyliła się cała rodzina Platerów (Stefan, Adam i Alina), których brata niedawno rozstrzelano w Dynaburgu,

książę Cezary Giedroyc, Chomiński, dwu hrabiów Mostowskich, Ożarowski, potomek hetmana, powieszonego niegdyś na Starem Mieście w Warszawie, zdaje się, także prawosławny, Chomski, Świątecki kilku innych podrzędniejszych aktorów tej komedii adresowej. Pod ich wpływem, pod wpływem różnych agentów murawiewowskich, jeżdżących po dworach, grożących Sybirem, konfiskatą majątku, a nawet szubienicą, zbiera się wreszcie siedmdziesiąt kilka podpisów nie na adres, bo tego jeszcze nie było i nikt go nie znał, ale jako votum zaufania dla Domeyki, jako upewnienie go do odpowiedniego działania. Cyfra ta niebawem wzrosła do 235 podpisów, ale między tymi, właściwej szlachty, pod czem rozumiemy posiadaczy ziemskich, było nie wielu, za to znaczną większość stanowiły podpisy mieszczaństwa i żydów wileńskich, za czem biegali lekarze miejscowi: Bartoszewicz i Trachtenberg, albo urzędników różnych dykasteryi, zagrożonych przez ich zwierzchników w razie odmówienia podpisu. Gdy ci ostatni obok nazwisk poumieszczali swoje urzędowe tytuły, Murawiew, który bacznie śledził cały przebieg tej sprawy i polecił nieomal codziennie zdawać sobie o niej raporta, kazał tę listę urzędniczą zniszczyć i sporządzić nową, już tylko z samemi nazwiskami. Tym sposobem urosła owa cyfra 235 nazwisk, którą z czasem miał z tryumfem podać do wiadomości urzędowy organ „Kurier wileński“.

Sam adres, wspólnemi siłami redagowany, kilkakrotnie zmieniany i poprawiany przez Murawiewa, nosi z jednej strony wyraźny stempel takich licznych ociosowań i wygładzeń, z drugiej cechę, pospolitą we wszystkich tego rodzaju aktach „wiernopoddanych“. Zaznaczywszy w początku, że „rozruchy rewolucyi wciągnęły wielu szlachty gub. wileńskiej do naruszenia przysięgi na wierność“ cesarzowi, podpisani „odrzucają (sic) działania stronnictwa rewolucyjnego, z powodu którego ziemia nasza broczy się krwią, po większej części niewinnych ofiar“, i proszą, aby ich uważano za wiernych poddanych i oświadczają, „że stanowią jedną i nierozzerwalną całość z Rosyą i „powie-

rzają los szlachty nieograniczonemu miłosierdziu“ monarchy. Ten nikły, blade, banalny w wyrażeniach, nieudolny w formie adres, podpisał z pełnomocnictwa szlachty, marszałek Aleksander „syn Tadeusza“ (Fadiejewicz) Domeyko. Jakkolwiek wielu, z obawy, ze znużenia, pod wpływem wszelakiego rodzaju grózb, przystąpiło do tego aktu, znalazł się jednak człowiek dość odważny, a w tych strasznych czasach nawet heroiczny, który zaprotestował nie przeciw samemu adresowi, ale przeciw jego formie. Był nim, znany nam już członek Wydziału litewskiego, marszałek jednego z powiatów, Antoni Jeleński, który oświadczył piśmiennie, że Domeyko podał adres bez naradzenia się z innymi ziemianami, że pełnomocnictwa mu dane, dotyczyły tylko samego faktu adresu, ale nie jego treści, i na tej podstawie odmówił swego podpisu. Co większa, Jeleński przysłał Murawiewowi adres przez siebie skomponowany, w którym, jako warunek wierności Litwy, stawiał sześć punktów, przez mocarstwa zachodnie, w tym czasie przesłanych, gabinetowi petersburskiemu. W odpowiedzi na to, Jeleński został aresztowany i oddany pod sąd polowy.

Adres Domeyki zamierzono podać dnia 3 sierpnia, w dzień imienin cesarzowej. Była to pierwsza uroczystość dworska od czasu przybycia do Wilna Murawiewa, którą on postanowił obchodzić z możliwą wspaniałością, jakoby na dowód, że powstanie zostało stłumione i nie ma ono już żadnej władzy w mieście i kraju. Dotąd bowiem, od dwóch lat, t. j. od chwili ruchów demonstracyjnych i powstańczych, uroczystości tych w Wilnie wcale nie obchodzono. Urzędnicy tylko chodzili na nabożeństwa do kościołów i cerkwi, a wieczorem jedynie gmachy skarbowe bywały iluminowane, reszta zaś miasta w umyślnie spotęgowanych pograżoną była ciemnościach. Murawiew postanowił raz temu położyć koniec. Nakazano, ażeby wszyscy urzędnicy i reprezentanci wszelkich sfer ludności, zebrali się o godz. 10 rano w salach pałacu gubernatorskiego — a Domeyko z osobliwszą gorliwością biegał kolejno po obywatelach, wzywając każdego imiennie, ażeby się w dniu

tym stawiał u prokonsula. Gdy się wreszcie zgromadzano, wielkorządca wyszedł i najprzód udał się do sali czerwonej, gdzie była zebrana jeneralicja wojskowa i oficerowie gwardyi, z którymi długo rozmawiał. Zwróciwszy się następnie do szlachty, oświadczył jej tonem groźnym i podniesionym, że wie o jej zamiarze podania adresu, ale on nie może się jeszcze na to zgodzić, bo nie widzi w niej szczerego żalu za popełnione winy; że taki żal powinien wyrazić się czynami, a nie słowami, i w rezultacie odłożył sprawę na później. Odegrawszy z prawdziwie aktorskim talentem tę komedję, zaprosił wszystkich obecnych na nabożeństwo do soboru prawosławnego. Nabożeństwo to odbyło się z wielką pompą; do Wilna na tę uroczystość zjechali episkopowie schizmatycey z Kowna i Brześcia litewskiego, oraz zaprzaniec Siemaszko. W soborze obok błyskotliwych mundurów wojskowych znalazło się kilku szlachty litewskiej, jakby na dowód, że ucisk Murawiewa zrobił swoje. Przed cerkwią stało wojsko gwardyi, złożone z kompanii pieszych i szwadronów jazdy, a tłumy zawsze żądnego widowisk żydowstwa napępiały plac. Po nabożeństwie zagrzmiały działa, a wychodzącego Murawiewa powitał motłoch żydowski okrzykiem: hura! Wieczorem w mieście zajaśniała iluminacya, jakkolwiek jeszcze niezupełna, gdyż wiele okien było ciemnych. W teatrze było dane przedstawienie, pierwsze po paru latach, a przed rozpoczęciem widowiska, orkiestra zagrała hymn, dawno już tutaj nie słyszany: „Boże cesarza chroń!“, który zebrani licznie wojskowi, urzędnicy, liczni „przy“ i „po“, powitali rozgłośnem: hura! Miało to wszystko charakter urzędowy; prawdziwe Wilno cicho i smutno chowało się po domach...

W sprawie adresu zapadła ostatecznie decyzja, ażeby go podać w pięć dni później, dnia 8 sierpnia, w rocznicę urodzin cesarzowej! Przez te pięć dni podwojono usiłowania, ażeby zwiększyć liczbę podpisów. Domeyko dnia 4 sierpnia zaprosił do siebie wiele osób, przedstawił im przygotowany adres i zachęcał do podpisu, groził, że Murawiew odmawiających tego podpisu wyśle na Sybir, a ma-

jątki ich skonfiskuje. Wielu milcząc podpisywało, wielu czyniło gorzkie wyrzuty Domeyce, ale ostatecznie teraz dopiero cyfra podpisów dosięgła 235 nazwisk.

Murawiew postanowił urodziny cesarzowej obchodzić jeszcze uroczyściej, a że zauważono, że d. 3 sierpnia nie wszystkie okna i nie wszystkie domy były oświetlone, nakazano pod karą od 50 do 200 rb., ażeby wszystkie bramy domów były ozdobione transparentami z cyfrą cesarską lub herbem państwa, ustrojone w girlandy i lampki; żeby w każdym oknie pod karą od 5 do 50 rubli, paliły się dwie świece. Ponieważ na ostatniem galowem przedstawieniu w teatrze, oprócz mundurów wojskowych i urzędniczych, było bardzo niewiele publiczności cywilnej, więc policja roznosiła po domach zamożniejszych i wybitniejszych obywateli bilety, zmuszając ich do kupna i zapowiadając konieczność znajdowania się na widowisku. Jak bezwzględnie sobie przy tem postępowano, świadczy to, że bankier wileński, żyd Hirschfeld, za to, że wzięwszy bilet nie poszedł do teatru, zapłacić musiał 100 rb. kary; a kupiec Apak za to, że nie oświetlił swego nowobudującego się domu, w którym drzwi jeszcze nie wstawiono, a okien nie oszklono, skazany został na 200 rb. grzywnien.

Tłumne zebranie się motłochu żydowskiego w dniu 3 sierpnia przed cerkwią, jego okrzyki na widok Murawiewa, cechy uroczystości, jakie przybrało w ten dzień Wilno, zapowiadały, że coś podobnego, na większą jeszcze skalę dzieć się będzie w d. 8, zwłaszcza, że w tym dniu miał być podany adres. Wszystko to oburzyło istniejący jeszcze, ale jak to później zobaczymy, mocno osłabiony Wydział litewski, i postanowił w miarę sił temu zapobiedz. Małachowski, naczelnik powstańczy miasta, wydał w dniu 6 sierpnia odezwę, w której potępiał „głupi motłoch, cieszący się z każdego widowiska, tłoczący się po ulicach jasno oświetlonych, niepamiętający o tem, że biorąc udział w widowisku, przez najazd urządzonem, zdradza przez to sprawę narodową“ — i zalecał, ażeby podczas nakazanej w d. 8 sierpnia iluminacyi, nikt nie ważył się włączyć po

ulicach, ażeby każdy, mający jakiś nie cierpiący zwłoki interes, starał się go ukończyć przed zapadnięciem nocy. Niestety! motłoch jest zawsze motłochem i tam tylko słucha rozkazów, gdzie wie, że one mogą być poparte siłą; zresztą ogromna większość ciemnego żydostwa wileńskiego prawdopodobnie nie czytała i nie wiedziała wcale o odezwie Małachowskiego. Tłumy też były na świetnie iluminowanych ulicach, tłumy w teatrze, a rano na przyjęciu u gubernatora jenerałnego, deputacya szlachecka, złożona z 15 osób z Domeyką na czele, wręczyła adres Murawiewowi. Tym razem Wieszatel zgodził się na przesłanie tego wymęczonego dokumentu do Petersburga, ale nie omieszkiał zwrócić uwagi podających na doniosłość, jaką ma ich oświadczenie „uczucie wiernopoddanych“; że teraz powinni dowieść, iż w rzeczy samej „odrzucają działania stronnictwa rewolucyjnego“, i że na każdym kroku zamierzają dopomagać rządowi do uspokojenia kraju. Zaraz potem wysłano depeszę telegraficzną do cesarza do Carskiego Sioła z doniesieniem o tym akcie i treści adresu. Sam zaś dokument ten, przy obszernym raporcie, tegoż wieczoru powiódł do cesarza, znany nam już naczelnik tajnej policyi, rotmistrz kawalergardów, książ Szachowskoj-Chlebow, kuzyn Murawiewa, za co mianowany został figiel-adjutantem cesarskim. Cesarz tegoż dnia jeszcze odpowiedział telegrafem, dziękując za adres. Wieczorem oficerowie pułku preobrażeńskiego gwardyi urządzili na górze Zamkowej przepyszną fajerwerk, a na placach miasta i w ogrodzie Botanicznym grały orkiestry wojskowe i Wilno krwią zlane, uciśnięte, przepelnione zgrzytem szubienic, dla kogoś nie wiedzącego co za tragedia kryje się pod tym przelewającym się blaskiem ognisk i fajerwerków, pod tymi dźwiękami skocznej muzyki, przedstawiało obraz pełen wesela i radości.

W trzy dni potem, d. 11 sierpnia, rozbiegła się po mieście wiadomość, że „marszałka zabili“. Wieść ta zrobiła ogromną senszację tak w sferach polskich jak i rosyjskich, acz nie była dokładną, gdyż Domeykę nie zabito,

ale tylko raniono. Zamachu na swoje życie powinien się on był już od dawna spodziewać i w rzeczy samej się spodziewał, ale czy nie dowierzał groźbom, czy też czuł się bezpiecznym pod opieką Murawiewa, dość, że żadnych poważniejszych nie przedsiębrał ostrożności. Jeszcze w d. 25 lipca, gdy tylko poczęto mówić, że Domeyko krząta się koło zjednania zwolenników dla adresu, otrzymał on od Trybunału rewolucyjnego w Wilnie dekret, mocą którego za „usiłowanie podania w imieniu szlachty wiernopoddanego adresu do cara, uznany jest za zdrajcę sprawy narodowej“ i jako taki „wyjęty z pod prawa“. Domeyko, jak się zdaje, dekret ten ukrył przed wiadomością Murawiewa, gdyż w przeciwnym razie ten ostatni byłby kazał zagrożonego marszałka bacznie pilnować. Tymczasem tego nie było i koło mieszkania Domeyki na ulicy Niemieckiej, zaludnionej przeważnie przez żydów, nie było żadnej straży i w takich warunkach zamach z łatwością mógł być dokonany. Jednakże, naczelnik miasta Małachowski, do którego z natury jego stanowiska to należało¹⁾, nie mógł znaleźć w podwładnej sobie żandarmerji rewolucyjnej, ani jednego takiego śmiałka, któryby się podjął tego krwawego czynu. Udał się więc z żądaniem do Warszawy, ażeby mu z pomiędzy tamtejszych sztyletników przysłano kogo, któryby wyrok na Domeyce wykonał. Jakoż niebawem żądaniu temu uczyniono zadość i do Wilna pojechał niejaki Jan Bienkowski, felczer, Warszawiak, młody, dwudziestokilkuletni człowiek. Działo się to jeszcze przed podaniem adresu i Bienkowski

¹⁾ Wyrok na Domeykę ogłoszony został znacznie później w dzienniku «Niepodległość» No 5 z dn. 31 sierpnia. Brzmi on jak następuje: «Rząd narodowy. Pewna liczba zbłąkanych i źle myślących obywateli na Litwie, poważyła się podpisać adres, z wyrażeniem wierności i poddaństwa dla cara moskiewskiego. Czyn taki, będący jawnem odstępstwem od sprawy narodowej i zdradą Ojczyzny, nie może ująć zasłużonej kary. Główny motor zbrodni, Aleksander Domeyko, skazany już został wyrokiem trybunału rewolucyjnego na śmierć; przeciw winnym udziału w zbrodni rozwinięto najściślejsze śledztwo i kara na nich podług całej surowości prawa wymierzona zostanie».

w uroczystość urodzin cesarzowej zaszedł do cerkwi z ukrytym w zanadrzu sztyletem, z zamiarem zabicia albo Murawiewa albo Domeyki, który na tem nabożeństwie się znajdował, ale wtedy nie udało mu się zamachu dokonać dla przyczyn nam niewiadomych. Należał on w Warszawie do sztyletników i Wydział litewski, jeżeli można wierzyć doniesieniom urzędowym rosyjskim, obiecał mu za zabicie Domeyki 1000 rubli nagrody. Razem z nim, jak się zdaje, bo podania o tem są dość mętne, przyjechał z Warszawy drugi sztyletnik Jan Marczewski, także felczer, i obaj z Bieńkowskim mieli polecone „zgładzić“, jak to wtedy mówiono, Domeykę. Wszakże czy Marczewski nie posiadał dostatecznej potemu odwagi, czy z innych powodów, dość że sam Bieńkowski krwawe to polecenie spełnił.

Przyszedł on do mieszkania Domeyki dość wcześnie, bo koło godz. 8 rano i żądał widzenia się z marszałkiem pod pozorem podania prośby „panu generałowi“, jak się wyraził. Służący, Waszkiewicz nazwiskiem, poprosił młodego, dość przyzwoicie odzianego człowieka, aby poczekał, a on tymczasem panu zamelduje. Domeyko dopiero co wstał i w szlafroku wyszedł do sali, dokąd kazał wprowadzić przybyłego. Sługa zrobiwszy to, wrócił do przedpokoju, gdzie zajął się otwieraniem okien, bo dzień był piękny i ciepły. Tutaj usłyszał on nagły krzyk swego pana i pobiegł ku sali, ale we drzwiach spotkał się z przybyłym, który w rękę trzymał skrwawiony pugińał. Tym pugińałem Bieńkowski zastępującego mu drogę służącego pchnął w piersi i bok i gdy ten padł na pół omdlały na ziemię, wybiegł z mieszkania, zamknąwszy je na klucz, a następnie z domu, przez nikogo zresztą nieścigany. Nie zabił jednak Domeyki. Gdy się bowiem znalazł z nim sam na sam, podał mu lewą ręką kopertę, a jednocześnie wydobywszy z pod surduta pugińał, usiłował nim zadać ofierze cios w samo serce. Ale Domeyko lewą ręką, zgiętą w łokciu, zdołał się zasłonić od ciosów raz po raz i zapewne niezbyt, w gorączce napadu, trafnie zadawanych. Przytem rękaw szlafroka, zrobionego z grubej flaneli, ochronił go tak do-

brze, że choć ręka aż siedm razy była zranioną, jednakże żadna z tych ran nie była niebezpieczną. Ocaliło Domeykę ostatecznie pojawienie się służącego, który dość ciężkie poniósł rany.

Wieść o zamachu na życie marszałka szlachty, pionunem rozbiegła się po Wilnie i ze strony niesłychanie tem oburzonego Murawiewa, wywołała szereg nadzwyczajnych rozporządzeń. W jednej chwili całą ulicę Niemiecką zajęła policya, kozacy i wojsko; na gwałt sprowadzono kilku doktorów do rannego Domeyki; dom jego otoczono strażą z pułku preobrażeńskiego gwardyi, bruk pokryto słomą, żeby turkot przejeżdżających nie drażnił chorego. Kopertę, którą mu wręczył Bieńkowski, całą obryzganą krwią, natychmiast zaniesiono do pałacu gubernatora jenerałnego. Znajdowały się w niej dwie kartki, zadrukowane po polsku, które zaraz przetłómaczono na język rosyjski w kancelaryi Murawiewa. Jedna z nich zawierała wyrok Trybunału rewolucyjnego, skazujący Domeykę na śmierć, z pieczęcią błękitną o herbach Litwy i Polski i napisem w otoku: „Pieczęć Rządu Narodowego“. Druga kartka, także drukowana z podpisem, który niektórzy odczytywali „Bak“, a który właściwie brzmiał „Dąb“ i był pseudonimem Małachowskiego, naczelnika m. Wilna, zawierała treść następującą: „Rząd Narodowy. No 88, d. 7 sierpnia. Zważywszy, że Aleksander Domeyko, wyjęty już z pod prawa, pomimo to każdej chwili swego życia używa na zdradę ojczyzny, więc. wyż wymieniony A. Domeyko skazany jest na karę śmierci. Naczelnik miasta Wilna“.

Tymczasem na skutek wydanych najsurowszych rozkazów Murawiewa, który trząsł się od gniewu i oczkami bazyliuszka pożerał policmajstra Saranczowa i zapowiadał mu, że jeżeli przestępca nie będzie w 24 godzin znaleziony, to naczelnik policyi osobiście odpowie za nieczujność i nieświadomość o tem, że zamach się knuje, otoczono wojskiem ulicę Niemiecką i każdy dom od piwnie do strychu, najtajniejsze jego skrytki przetrząśnięto szczegółowo. Domeyko dał dość niedokładny rysopis zabójcy:

innymi należy do tajnej policyi powstańczej, mającej obowiązek wykonywania wyroków rewolucyjnych; że naczelnikiem ich jest Dąb, a pomocnikiem niejaki Mirosznikow, prawosławny, urodzony w gubernii charkowskiej, syn Rosyanina i matki Polki. Ten ostatni pobierał 60 rubli miesięcznie, inni po 40, i uzbrojeni byli w pugiwały i rewolwery; że niedawno dwaj bracia Rewkowscy i Strubejko, należący do sztyletników, z rozkazu swej władzy zabili szewca Rogalewa za to, że groził zdradą; że jeszcze w lipcu otrzymali oni rozkaz od swego naczelnika, aby zabić Domeykę; że pierwotnie zamierzano go zabić w domu Wiśniewskiego, gdzie często bywał u mieszkającego tam byłego gubernatora Chomińskiego; że mieli tego dokonać w ciemnym korytarzu Mirosznikow, Sipowicz i Wojciechowski, ale ten ostatni podmówił swych kolegów, ażeby póty zabójstwa nie spełnili, dopóki nie będą mieli pewności, że obiecane wynagrodzenie w wysokości 1000 rubli w rzeczy samej otrzymają; że on, Wojciechowski, chciał uprzedzić o tem wszystkim Domeykę, ale ten go przyjąć nie chciał. Nazwisko Bieńkowskiego jednak dotąd nie wyszło na wierzch.

Wskutek tego zeznania aresztowano zaraz dwóch braci Rewkowskich, Sipowicza i Jabłońskiego; wszystko ludzie młodzi, przeważnie rzemieślnicy. Sąd polowy na wyraźny rozkaz Murawiewa, zdecydował o ich losie w 48 godzin i wszystkich czterech powieszono na Łukiszkach¹⁾.

¹⁾ Bracia Rewkowskich Aleksandra i Józefa (jeden stolarz, drugi rzeźbiarz), powieszono d. 27 sierpnia; Jabłońskiego Józefa i Sipowicza Karola d. 18 sierpnia. Współczesne źródła polskie zapewniają, że nie brali oni udziału w zamachu na Domeykę, co w rzeczy samej jest prawdą, ale należeli do sztyletników i za to skazani zostali na śmierć. Rewkowskich podobno miano strasznie katować przy śledztwie, co ze względu na okrutny charakter Murawiewa i na jego rozdrażnienie z powodu zamachu na Domeykę, jest możliwem. Starszy z nich Aleksander, zostawił żonę i dwoje dzieci. W książce «Ephémérides polonaises» II, 156, tak opisana jest ich śmierć. «Obaj młodzieńcy szli na śmierć spokojnie i z rezygnacją, kłaniając się na prawo i lewo swym towarzyszom, którzy zaraz znikali w tłumie, bo byłoby nle-

Na tem sprawa znów utknęła i dotąd prawdziwego sprawcy zamachu na Domeykę nie miano w ręku. I tym razem jednak wypadek dopomógł policyi do wykrycia i schwytania istotnego winowajcy, wspomnianego już Bieńkowskiego. W czasie owych szalonych rewizyi i gwałtownego pościgu policyi za wszystkimi blondynami i rudymi, ukrywał on się u różnych osób i w różnych miejscach, nawet jedną noc przepędził na cmentarzu lutelskim, gdzie oczywiście nikomu do głowy nie przyszło go szukać. Zamierzał on uciec z Wilna; czekał tylko, aż gorączkowe poszukiwania policyi wileńskiej z czasem nieco osłabną, by dokonać swego zamiaru. Jakoż, gdy mu się wydawało, że czas ten nadszedł, wybrał się w tydzień po zamachu, późnym wieczorem z d. 17 na 18 sierpnia na dworzec kolei, ale wybrał się nieco zawczasie, bo na godzinę przeszło przed odejściem pociągu. Przybył na dworzec z hotelu, będącego w pobliżu kolei, a do hotelu tego przyprowadził go, przebranego za strojną damę, brunetkę, okrytą gęstym woalem, sam naczelnik powstańczy miasta, Dąb (Małachowski). Tu, w hotelu, Bieńkowski przebrał się po męsku i wraz z niejakim Edwardem Czaplińskim, który wtedy, gdy Bieńkowski dokonywał zamachu na Domeykę, czekał z trzecim jeszcze, Janem Marczewskim, przed domem, a teraz zamierzał także wynieść się z Wilna, przybyli, jak powiadamy, zawczasie na dworzec. Tutaj zwrócili oni na siebie uwagę oficera dyżurnego żandarmskiego Sobina, już przez to zbyt wczesne przybycie, kiedy dworzec był jeszcze pusty, oraz nerwowem swem zachowaniem się, kilkakrotnem podchodzeniem do kasy, która była jeszcze zamkniętą. Przepisy ówczesne nakazywały, żeby każdy wyjeżdżający przedsta-

rozsądkiem okazywać swój żal lub współczucie dla ofiar. Przyaresztowano kilka kobiet na placu targowym za to, że głośno płakały, a dwóch chłopów, świeżo przybyłych do miasta, wrzucono do więzienia, gdyż zbyt otwarcie wypowiedzieli swe oburzenie. Obie egzekucye odbyto jednocześnie i dość szybko; zarzucono skazańcom stryczki na szyję i powieszono obu od razu, zapewne żeby nie przedłużać wrażeń, jakie ten widok sprawiał na publiczności.

wiał swój paszport żandarmowi, który go sprawdzał; musieli więc to zrobić Bieńkowski z Czaplińskim. Paszport Bieńkowskiego wydany był w Petersburgu dla kandydata tamtejszego uniwersytetu, Michała Łepkowskiego, na wyjazd za granicę. Wszystko było w porządku i Sobin obejrzawszy i podpisawszy paszport, wręczył Bieńkowskiemu markę, potrzebną do kupna biletu, a bez której kasyerowi nie wolno go było sprzedawać. Jednakże żandarm, podejrzewając ciągle obu młodych ludzi, okazujących w każdym ruchu i na każdym kroku jakiś nerwowy niepokój, miał ich na oku. Nie przypominali oni w niczem rysopisu zabójcy Domeyki. Bieńkowski był brunetem, gdyż umalował sobie włosy, wysokim i bezwąsym, miał paszport w porządku, nie było więc żadnej racji go aresztować. Wszakże, gdy zażądał on biletu do Warszawy, Sobin zbliżył się do niego i zapytał, dlaczego nie jedzie wprost za granicę na Wierzbolów, tylko skręca do Warszawy? Obaj młodzieńcy na to pytanie zmieszali się bardzo, a Bieńkowski odrzekł, że niema pieniędzy i dlatego jedzie do Warszawy, że tam ma ich dostać. Sobin nie wahając się już teraz, kazał ich aresztować i dokonać przy nich rewizyi; i na nieszczęście, tłumaczenie Bieńkowskiego okazało się kłamliwem, gdyż znaleziono przy nim 655 rubli gotówki. Czapliński zapytany, jaki go łączy stosunek z Łepkowskim, zdenerwowany mocno, przerażony do głębi, zemdlał.

Obu aresztowanych niebawem przedstawiono Domeyce i jego kamerdynerowi. Bieńkowski przy tej konfrontacyi okazywał nadzwyczajny niepokój, i doktor, obecny temu, zauważył, że cała twarz mu drżała, a puls ledwie odczuwać się dawał. Domeyko zeznał, że Bieńkowski z figury, ruchów, przypomina młodzieńca, który go zranił, ale czarne włosy, twarz starannie wygolona, inne wreszcie ubranie, nie potwierdzają tego przypuszczenia. W kilka dni potem w więzieniu zauważono, że odrastające włosy Bieńkowskiego z czarnych zmieniają się w fioletowe i że tam, gdzie odrastają, przybierają kolor czerwony; to wzbudziło podejrzenie, że je sobie ufarbował. Zmyto mu więc głowę

i przekonano się, że barwa naturalna włosów jest rudą. Poraz drugi zaprowadzono go do Domeyki, który zaraz ze swym kamerdynerem Waszkiewiczem, poznał w Bieńkowskim człowieka, który nań dokonał zamachu.

Zrazu Bieńkowski zapierał się wszystkiego, ale zapewne zmuszony barbarzyńskiem postępowaniem, którego w owym czasie w Wilnie więźniom nie szczędzono, przyznał się do wszystkiego. Zeznał on, że za dokonanie zabójstwa Domeyki, miał obiecane 1000 rubli, ale że policzono w tem kosztą jego utrzymania w Wilnie, paszportu, przyjazdu z Warszawy, tak, że ostatecznie zapłacono mu tylko 655 rubli. Niewątpliwie wstrętne były te rachunki; nie wiele warta osobistość, która nie z pobudek czystego acz fałszywie pojmowanego patryotyzmu, ale za pieniądze dopuszczała się morderstwa, acz z charakterem politycznym. To też skorzystał z tego Murawiew i w ogłoszeniu po gazetach, napiętnował tę rzecz surowo, ostro, nawet plugawie, ale bądź co bądź nie bez pewnej słuszności. Opisawszy rachunki rzeczzone, dodaje: „Ni mniej, ni więcej, Komitet rewolucyjny oszukał swego kamrata, którego posyłał na śmierć. Kradnąc seciny tysięcy rubli z banków i kas, on już tak się wdrożył w te bohaterskie czyny, że zaczyna teraz kraść ruble u swoich agentów w ostatnich ich możej chwilach życia“.

Bieńkowski, według relacyi rosyjskich, robił swem zachowaniem się i swoją fizyognomią wogóle wrażenie przykre. Wysoki, rudy, bezwąsý, miał uparty, zły wyraz twarzy. Na pytania odpowiadał monosylabami: tak lub nie i przeważnie milczał. Śledztwo prowadził jeden z tych inkwizytorów, których umiał sobie dobrać Murawiew, generał Sobolewski, a prowadził tak, że Bieńkowski doprowadzony do ostateczności, wyłamał z łóżka kawałek pręta żelaznego i zamierzał nim zabić swego dręczyciela, tak, że odtąd przyprowadzano go do komisyi okutego w kajdany i w kajdanach powieszono go na stracenie. Powieszono go dnia 9 września wraz z Marczewskim i Czaplińskim. Ten ostatni, Litwin z rodu, był uczniem aptekarskim w Moskwie

i przybywszy do Wilna w marcu, wstąpił do sztyletników. Wieziono ich przez ulice miasta dla większej ohydy w gnojnicach, a tłumy gawiedzi ulicznej i motłochu żydowskiego towarzyszyły temu ponuremu orszakowi. Bieńkowski umierał spokojnie, Czapliński był na pół omdlały i nieprzytomny¹⁾.

Taki krwawy, tragiczny koniec miała sprawa adresu wileńskiego. Za nim poszły inne tego rodzaju akta, a Rząd narodowy warszawski uznał za stosowne do tej „komedyi adresowej“ rosyjskiej, dołączyć swoją, takąż samą komedję. Przykład Murawiewa źle oddziałal i zaraza adresowa dotknęła i rząd powstańczy, który niestety! nie lubił trzymać się prawdy, która podobnie jak w życiu prywatnem, tak i publicznem winna być jedyną kierowniczką spraw ludzkich. Istotna siła nigdy nie kłamie; tylko słabi uciekają się do tego, zawsze zawodnego środka. Nikt dziś nie zaprzeczy, bo na to jest mnóstwo dowodów, że adresa rosyjskie były czynem wymuszonym, miały charakter oficjalnej „wiernopoddachości“ i nie mogły służyć za istotny wyraz usposobienia tych, którzy je podawali. Jeżeli

¹⁾ «Ephémérides polonaises» II, 215, opowiadają, że w kilka tygodni po straceniu Bieńkowskiego, Domeyko prosił Murawiewa o ulaskawienie kogoś, skazanego na wygnanie do Syberyi, a gdy mu prokonsul odmówił, uważał za stosowne przypomnieć, że krwią własną dał dowód poświęcenia dla rządu, że zatem ma prawo wymagać za to pewnych łask. «Zapłaciłem panu za tę krew — miał odrzec Murawiew — dalem ci za to krew czterech ludzi niewinnych». Tymi niewinnymi mieli być bracia Rewkowscy, Jabłoński i Sipowicz.

Opowieść ta jest wątpliwą, gdyż czterej wymienieni, jako należący do sztyletników, już tem samem byli winni, acz nie tyle, by ich karać śmiercią. W niektórych podaniach z tej epoki, znajduje się wiadomość, że Bieńkowski zabił także Miniszewskiego w Warszawie, o czem wspomnieliśmy w tomie II, 469, niniejszej pracy. Wiadomość ta jednak nie wydaje się być autentyczną. W Wilnie, w komisji śledczej, Bieńkowski przyznał się tylko do zabójstwa jakiegoś Ratajskiego w Warszawie. W każdym razie, był to jeden z tych wstrętnych morderców, dokonywujących zabójstw politycznych nie przez patriotyzm, ale za pieniądze, jakich w tej epoce pełno jest w Warszawie; owoc wielkomięjskiego zepsucia i demoralizacyi.

można zrozumieć pobudki rządu rosyjskiego w wywoływaniu adresów u siebie, w Rosyi, dla zaimponowania Europie, nieznającej skrytych sprężyn, któremi administracya rosyjska adresy owe przygotowywała, to trudno pojąć, co zamierzano osiągnąć przez adresy litewskie, ale trudniej jeszcze wytłómaczyć, czego spodziewał się po czemś podobnem Rząd narodowy powstańczy. Wkrótce po ogłoszeniu adresu wileńskiego, ukazał się dekret „Wydziału wykonawczego Litwy“ do wojewódzkich: wileńskiego, grodzieńskiego, brzeskiego, kowieńskiego, mińskiego, mohilewskiego, witebskiego i inflanckiego, datowany d. 2 września, w którym z uwagi, że żaden adres i żadne odstępstwo pewnych stronniotw i osób, w niczem nie może obowiązywać Rządu narodowego, że adres „wymuszony przez władzę moskiewską, nie jest aktem prawnym i dobrowolnym“, gdyż towarzyszyła mu konfiskata majątków, wygnanie i przesładowanie okrutne — podpisy zaś wymuszone były nie na ogólnych zebraniach, ale pojedynczo od osób, zagrożonych więzieniem, wygnaniem i szubienicą — stanowił: że adres nie może być uważany za akt obowiązujący nawet dla osób pojedynczych, że jest jedną z komedyi, odegranych przed Europą; że chociaż Rząd narodowy uważa adres za wymuszony, a stąd za nieistniejący i niemogący mieć żadnego znaczenia politycznego, jednakże nie może tej hańby przyjąć na sumienie narodu, że pierwsi inicjatorowie adresu, za narażenie ojczyzny na nowe cierpienia i nowe przesładowania, zostaną ukarani według całej surowości praw i „obrażonego majestatu narodowego“; że ci, którzy byli zmuszeni do podpisu gwałtem, będą zwolnieni od odpowiedzialności; że długi i uparty opór osób pojedynczych całej „wściekłości najazdu“, Rząd narodowy uważa za dowód siły narodu, ponoszącego wszelkie ofiary dla wolności i t. d. Dekret ten polecono ogłosić wszystkim obywatelom bez różnicy wyznań i „byłych stanów“.

Rząd narodowy nie poprzestając jednak na tym dekrecie, począł głosić po dziennikach i w swoich tajnych organach, że niektóre województwa białoruskie i litewskie

nadesłały do Wydziału Litwy uroczyste protestacye przeciw wymuszonym przez Murawiewa adresom, „odpychając z całą energią uczuć patryotycznych wszelki sojusz z najezdniczą Moskwą, a ponawiając uznanie Rządu narodowego za jedyną prawą na Litwie władzę, rozporządzaniu jego mienie swe i życie oddają, celem wyjarzmiienia ojczyzny“¹⁾, że liczba podpisów doszła do 249.646, „a chociaż (czytamy dalej) jeszcze z każdym dniem się powiększa, zważywszy wszakże, że i teraz już liczba obywateli, biorących udział w tym uroczystym akcie narodowym jest niewymownie znaczącą, Wydział wykonawczy dalej zatrzymywać go w ukryciu nie chce i kopie protestów, za których autentyczność ręczy, Rządowi przesyła“. Pierwszym z tych adresów, był adres województwa witebskiego, zaopatrzony w 17.610 podpisów i datowany d. 10 września; drugim od województwa wileńskiego z d. 25 września z 89.315 podpisami; trzecim od woj. kowieńskiego z d. 30 września z 96.430 podpisami; czwartym od woj. grodzieńskiego z d. 13 października z 46.289 podpisami; piątym od woj. inflanckiego z d. 29 października z 29.372 podpisami. Ogólna cyfra tych podpisów wynosi 279.016 — jest zatem przeszło o 29 tysięcy większą od cyfry przytoczonej w raporcie Wydziału Litwy. Cyfry podpisów, uderzające swoją ogromną ilością, już tem samem zdradzały swoją nieautentyczność w oczach człowieka nieuprzedzonego i znającego stosunki na Litwie i Rusi. Któż bowiem przedstawiał tam polskość i cywilizację i obyczaj polski? Tylko duchowieństwo, szlachta i bardzo nieznaczna ilość mieszczanstwa, zamieszkującego większe miasta. Stąd, jakże można temu uwierzyć, ażeby w Witebszczyźnie, na krańcach dawnej Rzeczypospolitej, gdzie nigdy żywioł polski nie był liczny, znalazło się aż 17 tysięcy szlachty i księży, znających historię i uważających się za Polaków? żeby

¹⁾ Raport ten Wydziału Litwy, wraz z adresami pięciu województw, ogłoszony został w dodatku nadzwyczajnym do No 10 „Niepodległości“ z d. 7 listopada 1863 r.

w trzech powiatach t. zw. Inflant polskich, było ich aż 29 tysięcy? Dodajmy do tego, że w r. 1863 w gubernii wileńskiej poza chłopami, którzy przecież adresów nie podpisywali, t. z. stanów wolnych, było ogółem wraz z żydami 54 tysiące mężczyzn niespełna; skądże więc znalazło się aż 89 tysięcy podpisów? Fałsz, kłamstwo, było zanadto widoczne, uderzało ono zresztą w redakcyi tych adresów. Kiedy Witebszczyzna i Inflanty powołują się na historię, przytaczają lata, w których weszły w skład Rzeczypospolitej, wskazują niejako gdzie są granice Polski, to inne protestują tylko przeciw adresom, wymuszonym przez Murawiewa. W adresie wileńskim protest ten podpisują nie tylko ci, „co srogą Moskwę przemocą do podpisania nienawistnego aktu zmuszeni byli, jak i ci co jeszcze na tę straszną próbę narażeni nie byli“.

Oczywista rzecz, że adresy te, w których autentyczność nikt w Polsce, a tym bardziej na Litwie nie wierzył, miały służyć tylko dlatego, by Europie oczy, jak to mówią, zamydlić i wrażenie, uczynione na niej przez adres Domeyki, osłabić. Ajenci Rządu narodowego starali się wszelkimi siłami adresy te rozpowszechnić, ogłaszali je po dziennikach zagranicznych, a choć niektóre, jak np. „Times“ angielski uważał je za prawdziwe, za „jeden z najbardziej znaczących aktów w walce Polaków z Rosyanami“, w ogólności nie zrobiły one tego wrażenia, na jakie Rząd narodowy liczył, i małą wzbudzały wiarę. Mówiono o nich tu i owdzie, ale półgębkiem i bardzo prędko o nich zapomniano, co zresztą uważać należy za szczęście, bo najlepiej jest, gdy kłamstwo jak najszybciej milknie.

Taką była historia adresów litewskich, takimi krwawymi dziejami Litwy, przez pierwsze cztery miesiące rządów Murawiewa Wieszatela. Rządy te zaznaczyły się takim uciskiem, taką krwawą represją, wandalskiem wytępieniem żywiołu polskiego, ruiną ekonomiczną kraju, że coś podobnego znaleźć można tylko w historycznych podaniach najazdów tatarskich lub huńskich. Acz obraz ten odmało-

waliśmy jedynie w głównych zarysach, jednakże szarpać on będzie nerwami współczesnych. Czas wreszcie wielki, byśmy porzucili drgającą w kajdanach straszliwej niewoli Litwę i Ruś Białą, by przenieść się w ziemie południowe, na wołyńskie niwy, na żyzną glebę podolską, na Ruś ukraińską, gdzie spotkamy obrazy niemniej okropne, nie mniej krwawe i boleścią przejmujące serce polskie.

ROZDZIAŁ XI.

Sołowijówka. Radziwiłłów. Kostangalia.

Komitet prowincjonalny Rusi. Edmund Różycki. Zjazd grudniowy w Warszawie. Stosunek Komitetu Rusi do Komitetu Centralnego. Zygmunt Milkowski. Jego projekt. Odezwa Rządu Tymczasowego do «braci Rusinów». Komitety powstańcze lwowskie. Ks. Adam Sapieha. Generał Wysocki. Wyprawa Czarneckiego. Zjazd w Sidorowie. Plan powstania na Rusi. Raporta rosyjskie. Uspokojenie ludu na Wołyniu i Ukrainie. Gubernator jeneralny Annenkov. Sily rosyjskie na Rusi południowej. Duch tego wojska. Oddział Różyckiego i jego marsz ku Lubarowi i Polonuemu. Złota hramota. Wyprawa Kaznakowa. Potyczka pod Miropolem. Porażka Chranieckiego. Marsz Różyckiego na Podole. Klęska Ciechońskiego pod Minkowcami. Zwycięstwo pod Salichą. Różycki wkracza do Galicyi. Oddział Owrucki i starcie pod Moskalewką. Uwagi nad powstaniem wołyńskim. Romuald Olszański. Partya kijowska. Starcie pod Romanówką i Borodianką. Przyjęcie jeńców w Kijowie. «Żyrendyści» i Antoni Juryewicz. Wyjazd ich z Kijowa. Pobyt w Motowidlówce. Iwan Szadura. Fastów i Sołowijówka. Rzeź powstańców. Naczelnicy wojenni. Klęski powstania ukraińskiego. Oddział Krzyżanowskiego. Starcie pod Bulhajami. Upadek powstania. Wyprawa Wysockiego na Radziwiłłów. Atak Horodyńskiego. Atak Wysockiego. Miniewski rozpuszcza oddział. Uwagi nad tą wyprawą. Milkowski w Turcyi. Obozowisko polskie w Tulczy. Wymarsz i przeprawa przez Dunaj. Odezwa i zamiary Milkowskiego. Marsz przez Budziak. Starcie pod Kostangalią. Pościg Kalineski. Przeprawa przez Prut. Poddanie się Rumunom. Uwagi nad tą wyprawą. Stan Rusi. Zakończenie.

Deszcz i mgła, która w strasznej nocy z d. 22 na 23 stycznia, niby oponą pokryła całe Królestwo, ogarnęła także Ruś wołyńską, podolską i ukraińską, ale nie rozbrzmiała ani jednym echem tych posępnych wypadków, jakich sceną była Kongresówka. Podobnie jak na Litwie i Białorusi, tak samo na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, noc ta przeszła cicho, spokojnie, sennie i nikt nie pomyślał o porwaniu się do broni i napadzie na szczupłe i nieliczne załogi rosyjskie, rozrzucone po miasteczkach tych ziem kresowych dawnej Rzeczypospolitej. Ruś, a raczej szlachta polska w niej zamieszkała, ze zdziwieniem i przerażeniem dowiadywała się o wypadkach, zaszłych w Królestwie; w głębi duszy odczuwała potrzebę podania jakiejś pomocy braciom, walczącym za Bugiem, ale nie wiedziała jak się wziąć do tego, co robić, gdzie się obrócić. Organizacyi bowiem powstańczej, tak samo jak na Litwie, w ziemiach południowo-ruskich zgoła albo prawie nie było. W stolicach tych ziem, w Żytomierzu, Kamieńcu i Kijowie, były jakieś zaczątki organizacyi, jakieś koła powstańcze, zwłaszcza wśród młodzieży uniwersyteckiej kijowskiej, ale były one bardzo nieliczne, bardzo szczupłe i bez wpływu na zewnątrz. W r. 1861, za staraniem Władysława Padlewskiego (ojca wojewody płockiego, Zygmunta), zamieszkałego w majątku własnym Mała Czerniawka w powiecie berdyczowskim, i Leona Czekońskiego, także ziemianina, tworzyć się poczęły komitety szlacheckie, zwane marszałkowskimi. Ale jakkolwiek inicjator tych komitetów, Padlewski, miał na myśli w ich utworzeniu ruch zbrojny, to jednakże instytucye te, złożone ze szlachty, która wyłącznie reprezentowała tu żywioł polski, były przeciwne powstaniu i jeżeli brały jakie hasła z Warszawy, to wyłącznie od Dyrekcyi Białej, i działalności Czerwieńców stawiały wszędzie liczne przeszkody, a zresztą działalność ta, oprócz trzech wymienionych miast, nigdzie odpowiedniego dla

siebie pola, ani podatnych żywiołów znaleźć nie mogła. Komitety marszałkowskie całą swą czynność zamykały w tem, że drogą składek zbierały znaczne stosunkowo fundusze. Komitet Centralny w Warszawie usiłował dość wcześniej wciągnąć Ruś w obręb swych działań, ale wycieczki w tym celu młodych Czerwieńców warszawskich, jak Leona Frankowskiego, Strojnowskiego i innych, przedsiębrane w różnych czasach nie doprowadziły do niczego, rozбивały się o opór szlachty, bez której nie tu zrobić nie można było, i o to, że wysłańcy wogóle mało mieli stosunki i nieznane nazwiska w prowincjach, przejętych na wskrós duchem wyłączości szlacheckiej.

We wrześniu 1862 r. Komitet Centralny wysłał na Ruś, Stefana Bobrowskiego¹⁾, a raczej on sam zaproponował tę wycieczkę dla urządzenia organizacyi powstańczej. Był on najodpowiedniejszy do tego. Obdarzony ogromnym zapalem, inteligentny, wykształcony, gorący entuzysta, miał liczne stosunki na Rusi już przez to samo, że stamtąd pochodził rodem, był szlachcicem, spokrewnionym z wielu domami wołyńskimi, miał tam rodzinę i brata bardzo wpływowego i zamożnego. Misja ta z wielu względów była konieczną. Na Rusi bowiem, podobnie jak na Litwie, było bardzo silne stronnictwo t. z. „Ukrainofilów“, którzy żywiąc do Polski niechęć za jej historyczny ucisk Rusi, postawili sobie za zadanie, wywalczenie niepodległości swej ojczyzny, oddzielnie od Polski, a przynajmniej zupełnej autonomii tejże Rusi. Bobrowski przez swój takt, jak opowiada pewien dokument²⁾, przez swą „nieudaną miłość i szczerą dla Rusi, w duchu jedności z Polską,

¹⁾ A. Güller, *Historja* I, 159, powiada, że w lipcu, w czym się myli, gdyż jeszcze w grudniu, a nawet w początkach stycznia 1863 r. bawił Bobrowski za granicą, dokąd z Rusi pojechał dla przejrzenia zasobów, jakie powstanie przysze znaleźć mogło za granicami kraju. Niepodobna więc, by całe pół roku czasu tam siedział. M. Dubiecki, *Ed. Różycki*, p. 31 powiada, że Bobrowski wyjechał we wrześniu. Czytaj Z. Miłkowskiego, *W Galicyi i na Wschodzie*, p. 9.

²⁾ Życiorys Bobrowskiego pomieszczony w No 16 „Ruchu“.

pracę, spowodował, że partya powyższa nabierając pewności, iż tylko z Polską razem Ruś dźwignąć się może z jarzma moskiewskiego, że Polska tylko może Rusi dać gwarancję dla jej narodowości, mniej nieprzyjaźnie przeciw Polsce występowała“.

Jakoż w rzeczy samej, wpłynął on na to, że istniejące związki studenckie w uniwersytecie kijowskim, do pewnego stopnia weszły w stosunki z Komitetem Centralnym, wszakże od warszawskich spiskowców zależeć nie myślały. Na ich czele stał człowiek starszy, nie będący już w uniwersytecie, głośny późniejszy badacz dziejów Rusi, którego nazwiska nie jesteśmy upoważnieni wymienić, i on to, nie bez słuszności mówił, że w rzeczach dotyczących całego kraju, chętnie pójdzie za wskazówkami z Warszawy, ale w zakresie stosunków wyłącznie ruskich, związki te rządzić i kierować się będą samodzielnie. Za staraniem tego to człowieka utworzył się nakoniec w Kijowie komitet prowincjonalny Rusi i poddał się pod władzę Komitetu Centralnego, przyrzekając podnieść sztandar walki jednocześnie z Kijowem. Do komitetu tego oprócz niego, weszli Edmund Różycki i Izydor Kopernicki.

Pierwszy z nich, syn generała Karola, który w r. 1831 tak heroicznie bronił Sandomierskiego przed najazdem Rüdigerów, po wyjściu ojca na emigrację, musiał być ukrywany, gdyż dzieci wychodźców polskich cesarz Mikołaj I kazał zabierać i wywozić do Petersburga, by tam wychowywać ich w szkole rosyjskiej na wiernych synów państwa. Pomimo jednak starań osób, które młode dziecko ukrywały u siebie, władza dowiedziała się o istnieniu młodego Różyckiego i w 12 roku życia zabrano go do Petersburga i wychowywano w szkole kadetów — poczem w r. 1848 wysłano go na Kaukaz, gdzie przebył cztery lata przy sztabie głównym; w r. 1851 udaje się do Petersburga do akademii wojskowej, skąd w randze kapitana sztabu jeneralnego, znów wraca na Kaukaz. W r. 1861 przenosi się do sztabu wojsk, konsystujących na Wołyniu, gdzie trafia właśnie na epokę ruchów manifestacyjnych.

Różycki, pomimo wychowania petersburskiego, pomimo długoletniego pobytu w szeregach rosyjskich, zachował, jak wielu innych Polaków tej doby, znajdujących się w tem samem położeniu (Sierakowski, Dąbrowski i w. i.), głębokie uczucie patryotyczne, a w dodatku, czego tamci nie mieli, był człowiekiem religijnym, z pewną domieszką mistycyzmu i rezygnacji fatalistycznej, wierzącej w to mocno, że wszystko, co się dzieje na świecie, dzieje się z wolą Opatrzności. W takim usposobieniu duszy i serca, widok stron rodzinnych, których od tylu lat nie oglądał, i widok rozbudzonych uczuć patryotycznych, manifestujących się mocno za pomocą nabożeństw, śpiewów, żałoby i modlitwy, oddziaływać musiał silnie na wrażliwy umysł Różyckiego. Wziął więc dymisyę z wojska i osiadł na stałe w Żytomierzu. Ci, którzy go znali, wszystkie, acz nieliczne, ale bądź co bądź istniejące na Wołyniu żywioły powstańcze, dążące za przykładem Czerwieńców warszawskich do powstania zbrojnego, widziały w Różyckim, uczonym oficerze sztabowym, podobnie jak na Litwie w Sierakowskim, przyszłego wodza, tym pożądanego, że był synem owego Karola, co w r. 1831 „siadł na koń i błysnął kordem junackim“, i tratował czworoboki rosyjskie na Tyszyckich polach.

Izydor Kopernicki, lekarz z zawodu, najstarszy z trzech członków Komitetu Rusi, długi czas przepędził na Kaukazie, jako lekarz wojskowy, odsługując się za stypendyum rządowe, a teraz objął jedną z katedr na uniwersytecie kijowskim. Umysł jasny, patryota wielki ale chłodny i trzeźwy, dość niechętnie wszedł do spisku, ale wszedłszy, poświęcił się pracy gorąco. Różycki miał niby osiąść w Żytomierzu, ale właściwie przebywał na wsi na Ukrainie, jednakże gorączkowo prowadził swą agitacyjną działalność. Oprócz głównego centralnego Zarządu powstańczego prowincjami Rusi, rezydującego w Kijowie, tworzyły się tu i owdzie zarządy wojewódzkie i powiatowe. Nie wszędzie jednak one się uorganizowały. Na czele Komitetu wołyńskiego stanął Różycki; w Berdyczowie, Leon Czekoński,

ale wszystko to szło bardzo wolno, szlachta niechętnie się do tego brała, przytem nie sądzono, by powstanie było tak blizkie i dlatego nie spieszono się wcale, tak, że wybuch powstania w Królestwie zastał ziemie ruskie w $\frac{3}{4}$ zgoła nieuorganizowane. I nie była to wcale wina tych, którzy stali na czele Wydziału Rusi. Na zjazd bowiem grudniowy w Warszawie reprezentantów wszystkich prowincyi dawnej Polski, pojechał także Różycki, i dowiedział się, że powstanie tak prędko nie wybuchnie, więc niema powodu naglić i lepiej robić wolno a dokładnie, jak wiązać luźną organizacją z ludzi niepewnych, która w stanowczej chwili może się rozpaść i więcej szkody jak pożytku sprawie przynieść. Jednakże to, na co patrzył w Warszawie Różycki, budziło w nim poważne wątpliwości, czy w rzeczy samej wybuch da się powstrzymać i na taki wypadek, oświadczył członkom Komitetu Centralnego, że Ruś do powstania wcale nie jest gotową, że lud podniecony czekającym go usamowolnieniem, obrabiany przez różne organa rządowe, przybiera nieprzyjazną Polsce postawę, że jednym słowem na niego liczyć wcale nie można, że zatem w tych warunkach, powstanie z samego początku musiałoby być płodem poronionym, słabym i bez przyszłości. Odpowiedziano mu na to, że Komitetowi Rusi zostawia się zupełną swobodę działania; że w razie gdyby powstanie w Królestwie powstrzymać się nie dało i mimo wszystko, wcześniej, niż jest zamierzonym, wybuchło, Ruś, gdyby widziała, że ruch u niej może zawieść, a chłopci mogą się zwrócić przeciw powstańcom, może zachować się spokojnie i wcale za broń nie chwytac i czekać na rozwój wypadków. Jednakże na to Różycki i drugi, bliżej nam nieznany towarzysz, słuszną zrobili uwagę, że gdy powstanie wybuchnie w Królestwie, to żywiły gorętsze na Rusi nie dadzą się powstrzymać od tego, by także nie porwały się do broni; że zresztą będzie to koniecznem choćby ze względu na przypomnienie światu jedności i nierozdzielności Rusi z Polską, wreszcie dla tego, by trupami bojo-

wników ruskich zagrozić nieprzyjacielowi drogę do Warszawy.

Wysłańcy ruscy dowiedzieli się także w Warszawie, że naczelnikiem powstania przyszłego na Rusi zamianował Komitet Centralny, Zygmunta Miłkowskiego, znanego szczerzytnie w literaturze ojczystej pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża, powieściopisarza. Bawił on, umyślnie wezwany przez Komitet, w listopadzie w Warszawie, i dość niechętnie przyjmował to stanowisko, z wielu względów dla niego bardzo trudne, a nawet niemożliwe. Rodem z Podola, od lat kilkunastu emigrant, był mało, albo zgoła tam nieznany, bo aczkolwiek należał do rzędu bardzo utalentowanych pisarzy, ale najprzód był dopiero w początkach swej karyery literackiej, a potem ukrył się pod pseudonimem. Zresztą można być znakomitym autorem, a nie umieć dowodzić nawet sekcją żołnierzy, a cóż dopiero obejmować naczelnictwo trudnej, ciężkiej, krwawej walki na tak znacznej przestrzeni jak ziemie Rusi południowej. Wprawdzie ci, co bliżej znali Jeża, a więc i członkowie Komitetu Centralnego, mający pod tym względem dobre informacye, doskonale wiedzieli, komu oddają tak ważne stanowisko. Znaną im bowiem była przeszłość Miłkowskiego, który bądź co bądź należał do rzędu niezwykłych w tej dobie osobistości i był człowiekiem, który „parał się“ rzemiosłem wojskowem. Odbył on całą kampanię węgierską w legionach polskich, w czasie wojny krymskiej należał do najczynniejszych członków formującego się w Turcyi korpusu polskiego, wreszcie miał w sobie starą szlachecką naturę, która czyni z każdego Polaka wrodzonego żołnierza. Oczytany, wykształcony, rozmiłowany w nauce wojskowej, stanowiął może jeden z najlepszych materyałów na wodza powstańczego, gdyby nie szkodziła mu pewna miękkość charakteru, pewne marzycielstwo, właściwe ludziom tej epoki i w wysokim stopniu właściwe umysłowości Miłkowskiego. Ale przy tem wszystkim był skromny i nie ufał sobie. Oświadczył więc członkom Komitetu, ofiarującym mu naczelnictwo Rusi, że lepiejby zrobili, gdyby to ważne sta-

nowisko powierzyli staremu generałowi Józefowi Wysockiemu, albo Edmundowi Różyckiemu. Co do tego ostatniego odpowiedziano, że chętnieby mu powierzono rzeczzone naczelnictwo, które mu się należy ze względu na znajomość sztuki wojkowej i na tradycję imienia, ale pobyt w kraju nominację jego czyni niemożliwą. Miłkowski wreszcie zgodził się na przyjęcie naczelnictwa, ale w charakterze tymczasowego zastępstwa, dopóki Wysocki nie przybędzie, lub Różycki będzie mógł bez niebezpieczeństwa dla siebie władzę tę objąć.

Tymczasem ułożono się co do zakresu działań nowomianowanego naczelnika ziem południowo-ruskich. Przedewszystkiem więc Miłkowski miał się zająć organizacją tych prowincyi, oraz Galicyi wschodniej, która miała być w rozumieniu członków Komitetu, głównem źródłem wszelkich zasobów wojennych dla rzeczonych prowincyi. Następnie Miłkowski powinien był usztyftować oddziały powstańcze w Rumunii i Turcyi, oraz sprowadzać broń na Ruś drogą wodną przez Bosfor. Zakres więc działania był bardzo obszerny i w warunkach, w jakich się znaleźć miało przyszłe powstanie, nieomal niewykonalny dla jednego, choćby najczynniejszego człowieka. Przedewszystkiem przeprowadzenie organizacji wewnętrznej Wołynia, Podola i Ukrainy przedstawiało nieprzełamane trudności dla Miłkowskiego. Chcąc tego dokonać należało być na miejscu, a to bez oczywistego narażenia się, było dla przyszłego wodza Rusi wprost niemożliwem. Wprawdzie, jakśmy rzekli, Komitet przez swych agentów: Strojnowskiego, Narcyza Jankowskiego, Frankowskiego i Bobrowskiego, sprawą tą się zajął, a Miłkowski miał niejako tylko nici tej organizacji koncentrować w swym ręku, ale, wspomnieliśmy już, że z chwilą wybuchu powstania, organizacja ta prawie nie istniała, była w zaczątkach bardzo zresztą słabych i nikłych. Sam Miłkowski nie wiele mógł na to poradzić, a przytem myślą, która go głównie i wyłącznie pochłaniała, było przygotowanie zbrojnych oddziałów w Turcyi i Rumunii. Kraje te i ich rządy znał on dobrze. Najpiękniejsze lata swego wieku

męskiego tam przepędził, miał obszerne stosunki i znajomości, i w jego, romantycznej nieco wyobraźni, Wschód wydawał się jedynem źródłem, skąd doraźną i znaczną pomoc przynieść można było powstaniu ruskiemu. Przytem Komitet Centralny obiecywał mu, że z liczby karabinów, które mieli zakupić w Paryżu i Londynie Ćwierczakiewicz i inni, 8.000 sztuk przesła mu na Wschód, a mając tak znaczną ilość broni, Miłkowski spodziewał się uorganizować tam dzielny i bitny oddział kilku tysięcy ludzi, z którym będzie mógł Ruś całą podnieść na nogi. Liczył prócz tego, że czasu będzie miał dosyć, nim powstanie wybuchnie, na porobienie należytych przygotowań.

Tymczasem wszystkie te nadzieje zawiedzione zostały. Powstanie w Królestwie niespodzianie wybuchło w styczniu, agentów paryskich rząd francuski przyaresztował i o ośmiu tysiącach karabinów marzyć nawet nie można było; organizacja ziem ruskich, w chwili kiedy trzeba było na koń siadać, nie istniała jeszcze wcale. Wszystkie nadzieje pękły jak bańki mydlane, wszystko się w rękach rwało, a w Królestwie grzmiały już krwawe odgłosy bojowe Wąchocka, Staszowa, Grochowisk, Węgrowa i Siemiatycz, a Ruś dyszała ciężko ale spokojnie i o powstaniu z braku wszelkiej organizacji myśleć nawet nie mogła. W jej nielicznem stronnictwie powstańczo usposobionem, obudziła się przytem pewna niechęć do Komitetu warszawskiego, że pomimo wyraźnych obietnic, wypowiedzianych na zebraniu grudniowem w Warszawie, dozwolił na wybuch przedwczesnego powstania. Nie poczyniwszy żadnych przygotowań, szczerze mówiąc, nie myśleli oni o porwaniu się do broni i w dręczącym niepokoju nadsluchiwali wieści z Korony; przekonani przytem byli, że w Komitecie warszawskim dość jest ludzi rozumnych i umiejących się liczyć z okolicznościami, którzy nie będą chcieli narażać Rusi na niechybną klęskę, straszniejszą może tutaj ze względu na lud wrogi „Lachom“, niż gdziekolwiek indziej w dawnej Polsce. Jakże się jednak mylili! Jakże bolesny, podobnie jak Litwinów, miał ich spotkać pod tym względem

zawód! W dniu 5 lutego bowiem, a więc w dwa niespełna tygodnie po wybuchu powstania w Królestwie, nagle ukazała się odezwa Rządu Tymczasowego warszawskiego „do braci Rusinów“, wzywająca ich do powstania. „Bracia Rusini! — woła odezwa — ziemia wasza od tylu wieków dzieląca z resztą Rzeczypospolitej wspólne szczęście i niedole, i dzisiaj rozbrzmieć powinna okrzykiem wolności! Na ziemi waszej, na waszych niwach krew rozlana, przyniesie zwycięstwo powstaniu! Pod kurhanami waszych stepów, carskie wojska znajdują dla siebie mogiłę, a kosy wasze i litewskie, złączone z kosami polskimi, wywalczą niepodległość i wolność Polsce, Litwie i Rusi. W jedności, w wytrwałości i w walce zaciętej, nieustraszonej i stanowczej, znajdziemy rękojmię zwycięstwa. Do tej walki, Rusini, wzywamy was! wasza opieszałość, ociąganie się, może odroczyć chwilę ogólnego szczęścia. Nie stawajcie się winnymi wstrzymania odrodzenia się wspólnej Ojczyzny!“¹⁾

Odezwa ta, zapowiadająca Rusinom, że od nich zależy wolność Polski i „chwila ogólnego szczęścia“, jeżeli w żywiołach gorętszych wielki entuzjazm wzbudziła, to wśród ludzi spokojniejszych, znających położenie swej prowincyi, po prostu rozpacz wywołała. „Ręce nam opadły — opowiada jeden ze współczesnych — zmora nieuniknionego kataklizmu dusić nas poczęła“.

Wśród tego wszystkiego, Miłkowski, naczelny wódz Rusi, założył swoją rezydencję w Michalenach na Multanach i chcąc poznać bliżej roboty powstańcze w Galicyi i siły, jakie stamtąd można było wyciągnąć, by je na Ruś rzucić, przemknął się potajemnie przez granicę i udał do Lwowa. Tutaj, obok mnóstwa efemerycznych organizacyi, nie mających żadnego znaczenia historycznego, utworzyły się były dwa ciała powstańcze, złożone z wręcz przeciwnych sobie żywiołów i dość nieprzyjaźnie na siebie pa-

¹⁾ Odezwę tę czytać można w No 13 „Ruchu“, oraz u Gillera, *Historya I*, 155 i w „Wydawnictwie materiałów do historyi powstania“ I, 40.

trzące. Jedno z nich demokratyczne, powiedzielibyśmy mieszczańskie, gdyż wyłącznie prawie składało się z mieszkańców Lwowa, nosiło nazwę „Komitetu bratniej pomocy“, w którym główną rolę odgrywał głośny Jan Dobrzański, redaktor „Gazety Narodowej“. Komitet ten był gorąco, powiedzielibyśmy, czerwono usposobiony, wydawał odezwy, wzywał do walki, ale ostatecznie wpływu i znaczenia nie wiele posiadał, bo najprzód szlachta, stanowiąca jeszcze wtedy u nas wszędzie, a zwłaszcza w Galicyi warstwę dominującą inteligencją i zasobami materyalnymi, trzymała się zdala od „szewczyków i krawczyków“, a potem, że Komitet bratniej pomocy nie miał ani pieniędzy, ani stosunków z prowincją, stąd działalność jego musiała być bardzo ograniczoną.

Szlachta wobec powstania zajęła od razu postawę dość oględną, nieomal niechętną. Związała się ona w osobny „Komitet biały“, o ile się zdaje, jeszcze w r. 1862 utworzony pod wpływem Dyrekeyi szlacheckiej warszawskiej, i już przez samą swoją nazwę znamionujący, jakie w nim przeważały dążności. W chwili tej, gdy Miłkowski przybywał do Lwowa, t. j. w lutym 1863 r., do Komitetu białego należał ks. Adam Sapieha, Floryan Ziemiałkowski, Aleksander Dzieduszycki i Franciszek Smolka. Wszystko to byli ludzie, którzy w dziejach Galicyi odegrali bardzo poważną i wybitną rolę, mieli stosunki, wpływy, znaczenie i wielkie zasoby materyalne. Książę Adam Sapieha, obdarzony od natury niepospolitą inteligencją, umysłem bystrym i ruchliwym, dużą ambicją, odegrał w tem cieleszacheckiem i wogóle w akcji galicyjskiej powstańczej, rolę pierwszorzędną i bardzo znamionną. Wysoki, szczupły, jakby z samych nerwów złożony, o oczach chłodnych i bładych, wymowie płynnej i logicznej, miał wiele danych na trybuna ludowego, a umysł ambitny porywał go i popychał do działań, którym patryotyzm gorący nadawał piętno polskiej dążności zrzucenia jarzma obcego. Było to marzenie duszy wielkiej i górnej i któremuż sercu polskiemu onoby się nie uśmiechało, kto z Polaków nie wyteżyłby

wszystkich sił, by je w rzeczywistość zamienić? Ale w tej gorączkowej chęci czynu dla dobra ojczyzny, u Sapiehy było wiele szlacheckich starych narowów, owego wygórowanego indywidualizmu polskiego, który chce sam wszystko zrobić, działać na własną rękę, nikomu nie podlegać i nikogo nie słuchać. Daleki od uznawania teorii politycznych stronnictwa Białych, nazywając z dosadnym nie przebieganiem w słowach, tego i owego z pomiędzy koryfeuszów szlachetczyzny „durniem“, przechylał się przez skłonność serca, wyobrażeń, usposobień ku partyi ruchu i słusznie też otrzymał miano „księcia czerwonego“. Przechylając się jednak, nie chciał słuchać ani też podlegać nikomu, a względem Rządu narodowego stawiał się nie jako jego urzędnik, ale jako sprzymierzeniec¹⁾. Miał w tem może pewną słuszość i rację. Spiskowcy warszawscy nie znali Galicyi, ani jej stosunków, a komisarze przez nich wysyłani, krzyczące nieraz z powodu tej nieznajomości popełniali błędy. Sapieha zaś urodzony w Galicyi, posiadający tam ogromne stosunki i wpływy, lepiej był obznajmiony z położeniem rzeczy i pragnąc nieść pomoc powstaniu, jednocześnie domagał się zupełnej autonomii Galicyi. Ale to są rzeczy późniejsze; w tej chwili Komitet Biały z Sa-

¹⁾ A. Giller, *Historia II*, 6, tak określa stanowisko Sapiehy do Rządu Tymczasowego: „...dopomagał powstaniu, ale nie jako obowiązany słuchać Rządu, ale jako jego sprzymierzeniec. Jednocześnie spierał się z władzami narodowymi o autonomię, a mieszał się w ich wszystkie czynności z myślą zrobienia ich od siebie zależnymi, psując przez to nie jedną robotę i nie jeden plan Rządu narodowego. Być może, że plany księcia były lepsze, o czem wątpić należy. Nie trzeba przecież zapominać, iż nawet mniej dokładny program działania, wykonany w zupełności, dobre skutki przynosi, gdy dwa jednocześnie i w jednej myśli przeprowadzone plany, udać się nigdy nie mogą i przez to znaczną szkodę sprawie wyrządzają».

Twierdzenie takie i taka ocena Sapiehy, byłaby słuszną, gdyby nie to, że on lepiej znał Galicyę i jej położenie od członków Rządu narodowego. To, co oni uważali za dobre, on wielokrotnie za takie, na podstawie tej znajomości, uznać nie mógł i niestety! w większości wypadków miał rację.

piehą na czele, zdawało się, że był gotów dopomagać powstaniu i dlatego Miłkowski spostrzegłszy, że Komitet bratniej pomocy nie wiele zdziałać może, udał się do Komitetu szlacheckiego. Ale tu w niektórych członkach znalazł zupełną i stanowczą niechęć popierania powstania, które według Dzieduszyckiego, było „nieszczęściem przez szewczyków i krawczyków na Polskę sprowadzonym“. Z tem przekonaniem jednak nie zgadzał się Sapieha i Ziemiałkowski, lecz o wyprawach, o poruszeniu Rusi nie bardzo chcieli słuchać. Jednem słowem Miłkowski nie widząc możliwości urzeczywistnienia swych zamiarów za pomocą Komitetu Białego, chcąc nie chcąc musiał się zwrócić do Komitetu bratniej pomocy i z nim traktować o uzbrojenie i usztyftowanie oddziałów, któreby mogły wkroczyć na Wołyń i Podole.

Tymczasem w sferach kierowniczych warszawskich zaszły zmiany. Stary generał Józef Wysocki, mianowany pierwotnie przez Rząd Tymczasowy naczelnikiem sił zbrojnych na lewym brzegu Wisły, teraz, gdy Langiewicz zgłośne zajął tam stanowisko, by niebawem sięgnąć po dyktaturę, został właściwie bez żadnej sfery czynności i zgadzał się na propozycję Miłkowskiego, który postanowił zrzec się swego urzędu, przyjęcia naczelnego kierownictwa wojny na Rusi. Nie nadawał on się w żadnym razie do tego trudnego, wymagającego wielkiej energii, czynności i umiejętności rządzenia ludźmi, stanowiska. Starzec blisko sześćdziesięcioletni, niegdyś żołnierz Konstantynowski, wódz legionu polskiego na Węgrzech w 1848 r., zużyty wygnaniem, nigdy nie odznaczający się wyższymi zdolnościami, niewątpliwie dobry żołnierz, ale jako wódz, naczelnny kierownik akcji wojskowej zgoła nieudolny, mimo to cieszący się pewną sławą, na którą właściwie nie zasłużył żadnym wybitnym czynem, nie mógł, nie był w stanie sprostać tak trudnemu zadaniu, jakim było w ówczesnych warunkach naczelnictwo powstania na Rusi. Trzeba było bowiem wszystko tu stwarzać, jak Bóg biblijny świat powstańczy z niczego, z technienia jednego wywodzić, bicz z piasku

kręcić, wywoływać powstanie w kraju, który nie chciał powstawać, który nie miał żywiołów potemu, ani ludzi, ani broni, ani ochoty i zapалу. Najtęższa wola, najczynniejsza energia przy takim położeniu mogła się złamać, a coś dopiero miękkie, łagodne, niewieście prawie usposobienie Wysockiego. Siwy, z twarzą i zarostem francuskiego episiera, okiem łagodnym, fizygnomią pozbawioną żołnierskiej tężyzny, stary, chory na astmę, drobnego wzrostu, pocziwy i zacny, dobry Polak, gorący patriota, ale żaden naczelnik, żaden wódz, więcej zapewne szkody jak pożytku przyniósł powstaniu na Rusi.

Wskutek zrzeczenia się Miłkowskiego, Wysocki pojechał do Lwowa i tutaj żwawiej poczęto się krzątać koło wyprawy na Ruś, zwłaszcza Komitet Biały, z którego wystąpił Smolka i Dzieduszycki, a na ich miejsce wszedł Antoni Golejewski i Artur Gołuchowski, oficer z 1831 r. Do tej zmiany osób i usposobień w Komitecie przyczyniły się bardzo wiele wieści o tem, że sprawa polska poczyną interesować Europę, że konwencya lutowa pruska wywołała powszechny niepokój, że zanoszą się na ogólną wojnę europejską. Stanisław Koźmian, autor późniejszej książki o 1863 roku, przyjechał do Lwowa z wiadomościami, co prawda drogą fartuszkową zdobytemi, ale bądź co bądź pocieszającymi. Wobec tego Komitet postanowił wziąć udział w powstaniu. Zrazu jednak nie chciał ani myśleć o Rusi, mówił, że powstanie winno ograniczyć się na Królestwie. „Ruś — odpowiadano nie bez słuszności — jeżeli chce powstać, to powstanie i bez naszej pomocy; jeżeli zaś nie chce, to wyrzadzimy jej krzywdę, bo wywołamy prześladowanie, a może nawet rzeź, a w każdym razie świat powie, że nie Ruś chwyciła za broń, ale Galicya w niej wywołała powstanie“. Mniemanie to znajdowało potwierdzenie w słowach wielu szlachty, przybywającej z za kordonu. Zapewniali oni, że Ruś nie ma żadnej organizacji, że niema kto powstawać, że niema ani ludzi, ani pieniędzy, ani broni, że chłopcy są nieprzyjaźnie usposobieni — i jak wiemy, wszystko to było prawdą. Mimo to

jednak Komitet, w którym teraz zupełną przewagę zyskał ks. Adam Sapieha, postanowił przygotować wyprawę na Ruś, nie wskutek nalegań Wysockiego i Miłkowskiego, ale wskutek owych fatalnych słów ministrów francuskich, że tam będą granice przyszłej Polski, gdzie je krew powstańcza oznaczy — słów, które tylu nieszczęść stały się powodem, które Litwę zlały krwią i oddały na pastwę Murawiewa. Dla tych słów, z francuską lekkomyślnością wyrzeczonych, postanowiono nie szczędzić drogiej krwi polskiej i wyprawę na Ruś skutecznie i powstanie koniecznie wywołać aż po sam Dniepr¹⁾. Wyprawie miał przewodniczyć Gołuchowski, a ludzi dostarczyć obwody: brzeżański, tarnopolski, czortkowski, stanisławowski, kołomyjski i Bukowina.

Pośród tych narad, pertraktacji i postanowień, Komitet bratniej pomocy istniał po dawnemu i nie oglądając się na nic, nie pytając nikogo, przygotował wyprawę na Wołyń, złożoną przeważnie z młodzieży szkolnej. Pomyślał sam tej ekspedycji był z niesłychaną, nawet w tych czasach niezwykłą lekkomyślnością powzięty. Wyruszone w stu kilkudziesięciu ludzi, przekroczone granicę koło wsi Chodowaniec, zdobyte w miasteczku Jaryczowie, skąd posterunek straży pogranicznej rosyjskiej heroicznie drapnął, nieco broni i efektów. Tu przybył do tej garści młodzieży dowódca Czarnecki, należący do skrajnej partii Czerwieńców lwowskich i poprowadził oddziałek ku granicy Królestwa, a stąd po kilkudniowym bezcelowym waleśaniu się, przeszedł z powrotem granicę galicyjską. Nieszczęsna ta, lekkomyślna i źle prowadzona wyprawa, wywołała wielkie rozgoryczenie wśród młodzieży, pewne poczucie wstydu, że wyruszywszy na walkę za ojczyznę, po kilku dniach, nie widząc nawet nieprzyjaciela, wrócono do domu. Zaczęto narzekać na Komitet bratniej pomocy, że nie dostarczył broni, że dał na dowódcę człowieka bez żadnej wartości i odtąd, rzec można, Komitet ten, tracąc

¹⁾ Relacya ustna ks. A. Sapiehy.

na powadze i znaczeniu, przestał działać w Galicyi — a wszystkie nici ruchu skupiły się w Komitecie Białym.

Wśród tego wszystkiego, Wysocki otrzymał w dniu 3 kwietnia od Rządu narodowego nominację na naczelnika sił zbrojnych województwa lubelskiego i ziem ruskich. Koniecznem było porozumienie się nowego wodza z reprezentantami przyszłej Rusi powstańczej, a zwłaszcza z Różyckim, który był głównym organizatorem powstania w tych prowincjach. Zjazd z nim i Miłkowskim, odbył się d. 8 kwietnia we wsi Sidorowie, leżącej nad samą granicą Wołynia i będącą własnością Adama Pajgerta, znanego tłumacza poetów angielskich. Brat jego, czy syn, pan Stanisław Pajgert, umiał wybornie przekradać się przez granicę, znał tam wszystkie ścieżki i ścieżynki i on to potajemnie przewiózł przez kordon Różyckiego. Na zjeździe tym trzech przyszłych wodzów powstania ruskiego, powzięto ostateczne plany, na wielką skalę zakrojone i zbyt skomplikowane, by udać się w zupełności mogły. Fantazya, stanowiąca do pewnego stopnia naszą wadę narodową, grała tu wielką, rzekłbym, dominującą rolę. Przedewszystkiem termin wybuchu powstania oznaczono na d. 8 maja, w tej zwodniczej nadziei, że do tego czasu Ruś zdoła się uorganizować i przygotować należycie do ruchu. Miano nadzieję, że Wołyń, Podole i Ukraina dostarczą ogółem około 6.000 powstańców (Wołyń 2.700, Podole 900, Ukraina 2.400)¹⁾. Cyfry te, śmiesznie małe, wobec blisko 30.000 wojska rosyjskiego, konsystującego w ziemiach ruskich, wydawały się jednak wodzom, radzącym w Sidorowie dostatecznymi, zwłaszcza w połączeniu z zamierzonymi wyprawami z zewnątrz, jeżeli nie do pokonania nieprzyjaciela, to przynajmniej do prowadzenia długiej i upartej walki, doczekania się chwili zbrojnej interwencji obcej, a nade wszystko do oznaczenia krwią powstańczą przyszłych granic Polski odrodzonej. Zobaczymy we właściwym miejscu, jak dalece cyfry te były fantastyczne, zaczerpnięte, rzec

¹⁾ A. Giller, *Historia* II, 101.

można, z powietrza i jak ogromnie różniły się od istotnej liczby tych, którzy za broń chwycili. Ale w tej chwili, w Sidorowie, uważano je do pewnego stopnia za autentyczne i na nich opierano swe plany. Ułożono się więc, że z chwilą wybuchu w d. 8 maja powstania na Rusi, z zewnątrz, trzem jej ziemiom podana będzie pomoc, przez wkroczenie w ich granice czterech zbrojnych oddziałów. Wysocki więc na czele sił, uorganizowanych w Galicyi wschodniej, miał wkroczyć na Wołyń i podawszy tu rękę Różyckiemu, działać odpowiednio do okoliczności. Miłkowski, którego zamianowano naczelnikiem siły zbrojnej południowej części Podola (powiaty: kamieniecki, uszycki, mohylowski, braclawski, hajsyński, olhopolski, bałcki i jam-polski), miał utworzyć w Turcji lub Rumunii, z lieźnie w tych krajach rozrzuconej emigracyi polskiej, zbrojny oddział i wkroczyć z nim na Podole, poprzeć miejscowe powstanie i podać rękę Gołuchowskiemu, który z oddziałem jazdy miał z Pokucia wtargnąć tamże¹⁾. Wreszcie dla podania pomocy Ukrainie, miał wylądować w Odessie na czele legionu włoskiego, syn Garibaldiiego, Menotti, i przyjęty dobrze przez licznie zamieszkałych w tem mieście Włochów, wyruszyć przez stepy dawnych „Dzikich pól“ ku Ukrainie.

Nie wdając się w ocenę tego planu, który nie wykonany ściśle, a nawet w wielu swoich częściach wcale nie urzeczywistniony, nie może podlegać krytyce, gdyż nie po-

¹⁾ Projekt utworzenia oddziału w Turcji lub Rumunii, o ile sądzić można z ogłoszonych dotąd materyałów, powstał w głowie Miłkowskiego. Opowiada on w swym pamiętniku («W Galicyi i na Wschodzie», p. 50). że jeszcze w Krakowie przedstawiał Wysockiemu, że «włożywszy w to przedsięwzięcie parę milionów franków, można było ze Wschodu wyciągnąć parę tysięcy ludzi, niekoniecznie Polaków samych, lecz na pół pomieszanych z Polakami, Dalmatyńców, Bośniaków, Czarnogórców, Arnautów i innych: można było doskonale ich odziać, uzbroić i umontować i mieć z nich, w kombinacyi z zamierzoną wyprawą z Galicyi, ciężar wyborny do dorzucenia na szalę losów wojennych. Rzecz cała rozbiła się o brak funduszu potrzebnego».

dobna powiedzieć, jakby wyglądał, gdyby się obłókł w ciało i do jakichby doprowadził rezultatów — jednakże zaznaczyć należy, że główna jego wartość polegała na jednocześnie wykonania. Nie ulega wątpliwości, że gdyby zaraz po wybuchu powstania na Rusi, w jednym dniu, a przynajmniej w niewielkich odstępach czasu, Wysocki wkroczył na czele silnego oddziału na Wołyń, Gołuchowski i Miłkowski na Podole, a Menotti na Ukrainę, akcja taka mogłaby w tych prowincjach nadać wojnie pewną tęgość i pewne znaczenie, a choćby zwycięstwa zapewnić nie była w stanie, bo to nie było możliwem, narobiłaby jednak ogromnej wrzawy w świecie i możeby nie pozostała bez wpływu na losy kraju. Wszakże z góry można było przewidzieć, że działanie odbywające się na tak znacznych przestrzeniach, wychodzące z czterech oddalonych punktów, nie odbędzie się jednocześnie i o różne, nieprzewidziane przeszkody, których tyle bywa w życiu i na wojnie, rozbić się może. A przytem wyprawa Menottiego, mogąca całej tej akcji nadać najwięcej rozgłosu i wywołać liczne zawikłania natury politycznej, zgoła nie zależała od naczelnego dowództwa Rusi; była dopiero w tej porze w zamierzeniu, mogła przyjść lub wcale nie przyjść do skutku. Tak się też stało, jak to zaraz zobaczymy.

Ale nie zastanawiano się nad tem w Sidorowie. Plan zdawał się być dobrze osnutym, mieć warunki powodzenia i zebrani, pełni nadziei, rozjechali się do miejsc swych przeznaczeń: Różycki z powrotem na Wołyń, Wysocki do Lwowa, a Miłkowski na Multany. Jakiśmy powiedzieli, zjazd w Sidorowie odbył się d. 8 kwietnia, a powstanie na Rusi wyznaczone było na dzień 8 maja, pozostawał zaledwie miesiąc czasu do skutecznego przygotowań ostatecznych. Przy niedawnej egzystencji organizacji powstańczej na Rusi, z natury rzeczy bardzo słabej, czyż można było liczyć na to, żeby ruch zbrojny przybrał szersze rozmiary, żeby przy rozbudzonej czujności władz rosyjskich i niechęci chłopów, nie stał się efemerycznym, bez jutra i przyszłości zjawiskiem? Rzeczony władze rosyjskie

miały zwrócone baczne oko na Galicyę; w Brodach konsul rosyjski Eberhard donosił o wszystkim, o czem tylko mógł się dowiedzieć, najbliższymi komendantom wojskowym, lub wprost gubernatorowi jeneralnemu Annenkowowi. Jeszcze w połowie lutego przesłał on doniesienie, które oczywiście było fałszywem, że w d. 16 lutego przeszło granicę galicyjską w Czortkowie 600 powstańców i udali się na Kowel, Łuck, Owruć (? prawdopodobnie Ostróg) i Równo¹⁾; niebawem uwiadamił, że d. 22 lutego wyszedł z Galicyi większy oddział i skierował się ku gubernii wileńskiej i pińskiej (?), że inny oddział w tymże czasie miał wyruszyć na Wołyń i przejść granicę w okolicach Począjowa. Pan konsul Eberhard nie był widać mocny w geografii państwa, któremu służył, mówiąc o marszu kolumny powstańczej na Owruć, leżący w północno-wschodnim kącie Wołynia, i o nieistniejącej gubernii pińskiej, ale doniesienia jego świadczą jak baczna i z wielu względów usprawiedliwioną uwagę władze rosyjskie zwracały na Galicyę, długą granicą przytykającą do Rusi wołyńskiej i podolskiej, skąd spodziewano się wtargnięcia zbrojnych partyi powstańczych. W tej opinii utwierdzał je poseł austriacki w Petersburgu, hr. Thun, który zapewne zgodnie z wolą swego rządu szpetnie dwulicową uprawiał politykę. Nastawiając uszów na podszepty Francyi, patrząc przez palce na to, co się działo w Galicyi, wręczając gabinetowi petersburskiemu noty, upominające się za Polską, jednocześnie hr. Thun donosił ministrom rosyjskim, że „Polacy mają uczynić Galicyę wschodnią punktem wyjścia dla zbrojnych oddziałów, kierowanych na Podole, Ukrainę i Ruś południową, ażeby w ten sposób wywołać dywersyę“; że „Rząd narodowy w celu wykonania tego planu usilnie stara się o poznanie rozkładu wojsk i nastroju umysłowego ludności prowincyi ruskich“; że „Tarnopol ma być punktem dośrodkowym organizacji i skupienia sił zbrojnych dla

¹⁾ *Fr. Rawita-Gawroński*, Rok 1863 na Rusi I, 148.

formujących się oddziałów¹⁾. W ostatnich dniach marca, organ urzędowy „Russkij Inwalid“ donosił, że kolumny ruchome wojska, przebiegające Wołyń, „znajdują kraj spokojnym“; że „choć sąsiednie miejscowości Galicyi wybrane zostały za przytułek dla awanturników całej Europy, jednakże ci, niemający nic do stracenia włóczędzy nie ośmielają się jeszcze wkraczać w granice cesarstwa“; że zresztą „wszędzie przygotowano odpowiednie przyjęcie dla tych, którzyby ośmielili się na taki krok nierozsądny“. Owe, tak głośno zapowiadane przyjęcie, zasadzało się na utworzeniu kilku kolumn ruchomych wojska, które przebiegały Wołyń zachodni w różnych kierunkach. Jedną z takich kolumn w końcu marca prowadził, głośny ze swych sporów z margrabią Wielopolskim w r. 1862, generał Rudanowski, teraz konsystujący na Wołyniu.

Oprócz wiadomości z zewnątrz, rząd rosyjski miał liczne wskazówki wewnętrzne, mówiące o gotującym się na Rusi powstaniu. Nieszczęsna nasza gadatliwość, nieumiejętność utrzymania sekretu, sprawiła, że od chwili wybuchu w Królestwie, głośno szeptano w Kijowie i innych miastach, że „Polacy trzech gubernii zachodnich, zamierzają wziąć udział w powstaniu“²⁾; odkryte tu i owdzie drobne składy broni, prochu i zapasów wojennych, pogłoskom tym nadawały cechę prawdy, a już w marcu, jednocześnie z doniesieniami Eberharda i Thuna, miały dokładne wiadomości o tem, że powstanie niechybnie wybuchnie. Zapowiedzi te i wiadomości niewątpliwie wzbudzały w rządach rosyjskich pewne obawy, zwłaszcza wobec słabości sił wojskowych, znajdujących się na Rusi południowej; czynownictwo, ta plaga rządzących i rządzonych, rozrzucone po drobnych miasteczkach, otwartych i bezbronnych; drżało o swoją skórę i nie bez upoważnień i wskazówek

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Wozstanie Polakow w jugo-zapadnoj Rosii w 1863 g. (Kiew 1863), p. 10. Jest to laniebny pamflet, dzieło profesorów uniwersytetu kijowskiego. Broszurka ta, bezcenny plód służalstwa i ducha policyjnego, wyszła także w języku francuskim w Kijowie.

z góry, uciekło się do wypróbowanego tylokrotnie na Rusi środka, podburzenia ludu przeciw „panom i Lachom“. Lud ten, zgoła odmiennego od Białorusinów charakteru, wychowany w tradycjach koliszczyny i kozactwa, żywił gorącą nienawiść do szlachty polskiej, która, cokolwiekbyśmy na jej obronę przytoczyć mogli, z wielu powodów na tę nienawiść zasłużyła. Już w ostatniej, przedpowstańczej dobie, „batożnicy wołyńscy“ smutną sobie w pismach emigracyjnych zjednali sławę ze swego nieludzkiego nieraz obejścia z poddanymi i niegodnego ich wyzysku. Mimo jednak takiego stanu rzeczy, chłop wołyński, czy to wskutek swego bezpośredniego stykania się z Polską, czy też charakteru mniej energicznego, nie okazał tej namiętnej, krwawej, mściwej, przed niczem nie cofającej się nienawiści do szlachty polskiej, jaką widzimy na Ukrainie; nigdzie prawie nie wystąpił sam z siebie zbrojnie przeciw powstaniu. Patrzył wprawdzie na nie bardzo niechętnie, okazywał nadzwyczajną usługę dla przechodzących przez wsie kolumn rosyjskich, dostarczał im chętnie podwód, żywności, przewodników, ale nie rzucił się na powstańców i na dwory, nie wiązał panów i krwawych napadów nie dokonywał.

Najrozpaczliwsze położenie pod względem usposobienia ludu, było na Ukrainie. Żył tam stare tradycje hajdamaczyzny i nienawiści przeciw „bisowym Lachom“, niedawno jeszcze, bo zaledwie przed ośmiu niespełna laty w całej grozie wybuchła w okolicy Korsunia, Kaniowa, Białocerkwi i innych, i krwawo przez rząd uśmierzone. Już wtedy chłopci mówili, że cesarz podarował im wolność, a tylko panowie i popy wiadomość o tem ukrywają. Nigdy zresztą stosunki nie były tam dobre między panem polskim a chłopem, a teraz przybrały jeszcze gorsze, drażliwsze, jaskrawsze, że tak powiemy, formy. Atmosfera Ukrainy była jakby naelektryzowana, horyzont chmurny i brzemienno gromami. Wieści o wybuchem w Królestwie Polskiem powstaniu, dochodziły do ludu w głuchej, oczywiście mocno skażonej formie; wszędzie z pilną uwagą chłopci przysłuchiwali się tym wieściom i coraz bardziej

z podełba spoglądali na panów, swych niedawnych, w ogromnej większości wyzyskiwaczy i ciemieżycieli. Tak zwani „stanowi prystawi“, rodzaj naczelników okręgowych cywilnych, niewątpliwie z rozkazów tajemnych swych zwierzchników, nakazywali wszędzie setnikom (sotski), a nawet starostom gminnym (wołostnyj starszyna), pilnować panów i o każdym podejrzanym fackie sobie donosić. Tu i owdzie owi prystawowie uprzedzali chłopów, że panowie będą chcieli namawiać ich do buntu, żeby się więc mieli na baczności; wielu z nich nawet rozpuszczało pogłoskę, znaną już na Litwie i w Królestwie, że panowie dlatego się buntują, że cesarz uwolnił chłopów od pańszczyzny. Taka pogłoska była wystarczająca, by lud zawsze nieufny i podejrzliwy, rozdrażnić do najwyższego stopnia i wpoić w niego to przekonanie, że powinien stanąć w obronie swej zagrożonej swobody osobistej. Wydawano chłopom tajne rozkazy, ażeby każdego podejrzanego Polaka i katolika chwytały i związanego dostawiali do miejsca urzędowania prystawa. Popy po cerkwiach zapowiadali niesłychany w przyszłości szereg łask cesarskich, że jeżeli dotąd lud ich nie otrzymał, to dlatego, że Polacy się temu sprzeciwiają, że się buntują, że zatem chłopci powinni dopomóc rządowi do stłumienia buntu. Wspomniani stanowi prystawi biegali po wsiach, padali na kolana, składali na krzyż palce, całowali ziemię i przysięgali, że Lachy tu i tam, zawsze oczywiście gdzieś daleko, gdzie sprawdzenie było trudnem na razie, spalili wieś, wyrznęli kobiety i dzieci, że chcą, by pańszczyzna wróciła i t. p.¹⁾ Agitacya taka, dotykająca najserdeczniejszych uczuć i interesów ludu, tradycyjnie niechętnego panom, musiała zrobić swój skutek. Wszędzie też chłopci gromadzili się po karczmach, rozprawiali, odgrażali się i bacznie poglądali na dwór i na każdego przejeżdżającego surdutowca. Cały kraj był w stanie nerwo-

¹⁾ J. T. (retiak?) Sołowijówka, ustęp z powstania na Ukrainie. (Kalendarz polski na r. 1866. Bendlikon 1866 r.).

wego nastroju, wszyscy oczekiwali burzy, acz wśród ludu i władz wyższych nie wiadano kiedy i jak ona wybuchnie.

Gubernatorem jeneralnym kijowskim, wołyńskim i podolskim, był po zmarłym w grudniu 1862 r. kniaziu Wasilczykowie, jenerał-adjutant, jenerał piechoty Mikołaj Mikołajewicz Annenkov II. Należąc do stronnictwa Zapadników, z natury dobry, acz słabej głowy, z wielu względów był podobny do Nazimowa wileńskiego i bądź co bądź nie bardzo się nadawał na naczelnika kraju, tak silnie wzburzonego i wśród okoliczności tak wyjątkowych. Przejęty jak najlepszymi intencjami, widzący w Polakach starą, ucywilizowaną rasę, stąd czujący dla nich pewien szacunek i współczucie, mówiący głośno, że „nie chce rozdrażniać Europy“, że „nie życzy sobie, aby Europa o nim źle mówiła“¹⁾, jednakże przez słabość charakteru, przez brak stałego, zdecydowanego programu, ulegał różnym „stupajkom“ rosyjskim, różnym jenerałom i czynownikom, którzy patrząc na to, co się dzieje w sąsiedniej Litwie, radzi byli zaprowadzić na Rusi południowej takie same rządy, by mogli kraść, rozbijać, pławić się we krwi i swe puste kieszenie groszem polskim napełniać. Opierał się on temu jak mógł, przy każdej sposobności potępiał system działania Murawiewa i wołał: „Nie chcę być takim katem jak Murawiew, a to, co piszą „Moskiewskie Wiedomości“, lub świstek „Dień“, to mię wcale nie obchodzi i trzymać się będę swego systemu, zwłaszcza, że mi sam cesarz zostawił swobodę postępowania tak, jak będę uważał za stosowne“²⁾. Żył on przekonanie, kto wie, może niepozabawione słuszności, że tylko wspaniałomyślnością, dobrocią i łagodnością można zwyciężyć i uspić zupełnie żywioł polski na

¹⁾ W. D. Krenke, Usmirenje polskago miateża w Kijewskoj gub. w 1863 g. (Istoriczeskij Wiestnik z 1883 r., T. XIV, p. 110).

²⁾ Hercen w swym «Kolokole» oskarża Annenkowa o skłonność do grabieży. Miał on skorzystać z wygnania na Sybir własnego synowca i zabrać mu majątek, którego nie zwrócił, gdy synowiec ów został ulaskawiony. Podanie to pomieszczamy tutaj na odpowiedzialność Hercena.

Rusi i zrobić z Polaków wiernych poddanych rosyjskich. Trzymając się tego systemu, rad przyjmował u siebie towarzystwo polskie, rozmawiał z Polakami, nawet na przyjęciach urzędowych, tylko po francusku, nie wydawał drańskich rozporządzeń przeciw żałobie, nie ogłosił stanu wojennego, słowem, starał się rządom swoim nadać możliwie łagodne i ludzkie formy. Jednakże nie zawsze mu się to udawało i nie zawsze udać mogło, nawet przy tęższym i silniejszym charakterze od tego, jaki posiadał Annenkov. Jak powiadamy, otoczenie jego, zwłaszcza komendant brygady saperów, generał Krenke, z tęsknotą spoglądał na to, co się dzieje w sąsiedztwie u Murawiewa i rad był zaprowadzić takie same rządy na Rusi południowej; stąd, mimo oporu Annenkowa, dopuszczano się nieraz krzyczących nadużyć i okrucieństw, acz w znacznie mniejszym stopniu jak na Litwie.

Siły wojskowe, jakimi rozporządzał, w chwili wybuchu powstania, rząd na Rusi, nie były bardzo znaczne, jak wszędzie w tej epoce rozstroju armii rosyjskiej. Ruś południowa, czyli gubernatorstwo jeneralne kijowskie, tworzyło osobny okręg wojenny, którego komendantem naczelnym był z urzędu każdy gubernator jeneralny, a więc w tej porze Annenkov, człowiek zgoła niemający pojęcia o wojskowości. Niegdyś służył on w kawalerii, ale miał czas tego, czego się tam nauczył, zupełnie zapomnieć, a na służbie piechoty nigdy się nie znał i dlatego unikał pokazywania się wojsku, nie chcąc, by odgadło jego nieuctwo. Naczelnikiem sztabu został przy nim generał-major Aleksander Han, doskonały oficer piechoty; na sprawy zaś wojskowe wogóle wywierał wielki wpływ, wspomniany już przez nas generał Krenke, stary na modłę Mikołajską urobiony burzymucha i okrutnik. Ogólna ilość wojska w marcu 1863 r., a więc nieomal w przeddzień powstania Rusi południowej, mogła wynosić około 30.000 ludzi i koni wraz z kilku bateriami artylerii. Siły te jednak rozrzucone były na całej przestrzeni Wołynia, Podola i Ukrainy, bardzo często zajmując miasta i miasteczka zaledwie jedną kom-

panią piechoty. Jazda stała po miastach ważniejszych jak Międzybórz, Winnica, Hajsyn, Sawrań na Podolu, Włodzimierz, Lubomla, Dubno na Wołyniu, Kijów, Taraszcza, Lipowiec i Humań na Ukrainie. Kozacy wszędzie setkami lub nawet w mniejszej ilości byli rozstawieni. Artyleria bateriami skupiała się w Kamieńcu Podolskim, Braclawiu, Tulczynie, Żytomierzu, Włodzimierzu, Zwiahlu, Kijowie, Zwinogrodzie i Taraszczy. Saperzy i parki inżynierskie stały w Kijowie, oraz częściami w Wasylkowie i Kaniowie. Siły te jednak niebawem, z chwilą wybuchu, wzrosć miały znacznie. Z Besarabii ściągnięto nieco wojska; w maju przybył na Wołyń generał Kozłaninow, mając pod sobą 24 kompanie piechoty, cztery pułki jazdy, cztery baterie dział i pułk kozaków. Ile w ogólności w maju było wojska na Rusi południowej, z tych danych, jakie posiadamy, trudno powiedzieć; niektórzy obliczają je mniej więcej na 50 tysięcy, co jednak wydaje nam się cyfrą zbyt wysoką.

Bądź co bądź, przyjmując nawet trzydzieści tysięcy tylko, była to armia aż nadto wystarczająca dla stłumienia słabego powstania ruskiego. Ale jak wszędzie w tej epoce, tak i tutaj, armia ta nurtowana była nieufnością do swych zwierzchników, i przez to, w ustroju swoim wewnętrznym, a stąd wartości bojowej, mocno zachwiana. Wspomniany generał Kozłaninow powiada o podwładnem sobie wojsku te znaczące i charakterystyczne słowa¹⁾: „Tyle zrobiono dla wojska za obecnego panowania, że niechby cesarz wyrzekł słówko, a nie tylko Polaków, ale i nas ono wyrznie. Polacy oficerowie wiedzą o tem i zachowują się bardzo ostrożnie. Biada, jeżeli żołnierze zauważą, że oficer jest podejrzany; pierwsza kula w boju jemu jest przeznaczona. Najsłabszą stroną naszej armii, są jej naczelnicy. Większość majorów to głupcy, nierozwinięci i nie na nich polegać nie można. Pułkownicy nie są lepsi, a o generałach niema co mówić“. Taka armia mogła być wystarczającą i była nią

¹⁾ W liście do Menkova, umieszczonym w „Zapiskach“ tego ostatniego (Petersburg 1898), Tom II, 347.

w rzeczy samej dla pokonania słabego, poronionego powstania, ale w gruncie rzeczy nie miała żadnej wartości wobec poważniejszego nieprzyjaciela.

Takie było położenie w ziemiach południowo-ruskich, gdy Różycki wróciwszy z narady w Sidorowie, zajął się ostatecznymi przygotowaniem do wybuchu. Mianowany głównym organizatorem sił zbrojnych na Rusi, jeszcze przez Langiewicza, który przysłał mu nominację na tę godność w marcu przez niejakiego Mielezkę-Maliszkiewicza, miał sobie oddane naczelne kierownictwo całego powstania w prowincjach ruskich, panowaniu rosyjskiemu podległych. Teraz potwierdzono tę władzę, do czasu pojawienia się na polu walki Wysockiego. Różycki w mistycznym nastroju swego ducha, wierzył w powodzenie walki, którą wypowiadał najpotężniejszej w świecie monarchii. Żegnając się na kilka dni przed wybuchem z Maryanem Dubieckim, który jako reprezentant ziem ruskich, jechał do Warszawy, by tam wejść do składu Rządu narodowego i strzedz interesów Rusi, twierdził, że „Bóg często siły użycza i tym, co słabi z pozoru“¹⁾. Jakiśmy wspomnieli, wybuch powstania naznaczony był na d. 8 maja. Powstanie to w niczem nie mogło być podobne do powstania w Królestwie; o napadach nocnych na rozrzucone załogi rosyjskie po miastach i miasteczkach nie mogło być mowy. Drobne mieszczaństwo tych miasteczek składało się przeważnie z Rusinów i żydów; o utworzeniu wśród nich organizacyi powstańczej nie kuszono się nawet, bo wiadano, że to do niczego nie doprowadzi, owszem sprawę może narazić na niechybną zdradę. Organizacya więc istniała tylko, jakieśmy to zaznaczyli, wśród polskiego mieszczaństwa większych miast, jak Żytomierz, Kamieniec Podolski, Kijów, Białocerkiew i inni, wśród szlachty wiejskiej i służby dworskiej i z niej więc jedynie mogły się tworzyć oddziały powstańcze i to poza granicami miast. Tak też było

¹⁾ *M. Dubiecki*, Edmund Różycki, szkic biograficzny (Kraków 1895), p. 37.

i z oddziałem Różyckiego. Założył on obozowisko na uroczysku Pustocha, w okolicy wsi Karpowiec, w kącie wschodnio-południowym Wołynia, graniczącym z Ukrainą. Głównie sztyftowała się tu jazda, a tradycya sławnego pułku jazdy wołyńskiej, który niegdyś, przed trzydziestu paru laty, na tyłu polach bitew spisami swymi, pod wodzą generała Karola Różyckiego, a ojca Edmunda, wywalczył sobie sławę nieśmiertelną, ścigała wielu na leśne uroczysko Pustochy. Tradycya ta, przywiązana do nazwiska Różyckich, sprawiała, że pod takim wodzem spodziewano się cudów dokonać i powtórzyć górną epopeję dawnych Wołyńców. Wodza tego na samym początku spotkał zawód dotkliwy. Liczył on, że w obozie znajdzie 1.200 ludzi — a tymczasem zastał tam zaledwie dwustu, ale za to był to dobór młodzieży, siedzącej na dzielnych koniach i uzbrojonej różnolicie, ale bądź co bądź wcale dobrze. Powoli jednak, w ciągu kilku dni, oddział ten rosł stale, dosięgnął cyfry 850 ludzi, podzielonych na pięć szwadronów (700 koni) i 150 pieszych. Jazdę składała szlachta, pełna animuszu rycerskiego, a wśród niej znajdował się, głośny w cztery lata potem ze swego zamachu w Paryżu na cesarza Aleksandra II, Berezowski. Obok szlachty rdzeń oddziału stanowili kozacy i czeladź dworska. W obozie przeważnie mówiono po rusku i wodza, starym kozackim obyczajem, zwano „bat’ką“. Plan operacyi wojennych Różyckiego polegał na tem, by szybkimi marszami zbliżyć się do granicy galicyjskiej, podać rękę, mającemu wkroczyć stamtąd Wysockiemu i działać już wspólnie. Tak się umówiono w Sidorowie, i Różycki, stosując się ściśle do tego planu, z uroczyska Pustochy, zaraz, po jakim takim uorganizowaniu swego oddziału, wyruszył ku Lubarowi, przeszedł tu Słucz, miasteczko zajął i drobną załogę miejscową wziął do niewoli, z której jednak zaraz ją uwolnił, by swego lotnego oddziału nie obarczać jeńcami. Stąd wyruszył ku Połonnemu, niegdyś za Rzeczypospolitej dość silnej twierdzy, dziś nędznemu miasteczku. Wszędzie po drodze, po wsiach, zwoływano gromady i uroczyscie odczyty-

wano im słynną „Złotą hramotę“, rodzaj manifestu Rządu Tymczasowego do ludów Rusi południowej.

W manifestcie tym, wydrukowanym kirylicą w języku ruskim na wielkich arkuszach papieru złotymi literami (stąd zapewne nazwa „złotej hramoty“), z wyobrażeniem u góry Chrystusa, błogosławiącego rzeszę ludu, zaopatrzoną w pieczęć Rządu Tymczasowego z orłem, pogonią i Archaniołem Michałem, oraz w podpis „Tymczasowa narodnia starszyna“, donoszono ludowi wiejskiemu (silskomu narodu) o powstaniu Polski i Litwy, „aby zyskać wieczną wolność i szczęsną dolę dla całej naszej ojczyzny“, i zapewniano, że „innego szczęścia nie pragniemy i nie szukamy go w niczem innem, jak tylko w wolności, swobodzie, równości i szczęściu wszystkich mieszkańców, jakiegokolwiek są wiary i stanu“¹⁾. Hramota zapewniała ludowi ruskemu zupełne usamowolnienie i obdarowanie ziemią. To postanowienie zawarte było w dwunastu artykułach. Warowały one ludowi wolność, swobodę i równość „co do praw, innym obywatelom ojczyzny służących“; swobodę przenoszenia się z miejsca na miejsce, uczenia się we wszystkich szkołach, wybierania z pomiędzy siebie deputowanych do sądów, rad i wszelkich urzędów publicznych, choćby najwyższych; zapewniały mu własność ziemi ornej, sianozęci, sadyb, na których dotąd przemieszkiwali, bez żadnej za nie zapłaty; obiecywały na przyszłym sejmie państwa, obdarowanie ziemią włościan bezrolnych (budników, bobyłłów, chałupników i ludzi dworskich); zaręczały, że t. z. jednodworcy i szlachta czynszowa otrzyma także kiedyś działki gruntu na własność; wiejskim popom prawosławnym, oprócz ziemi cerkiewnej, naznaczały płacę pieniężną, „aby nie potrzebowali od ludu zapłaty za duchowne posługi“; udzielały „każdemu, kto chwyci za oręż przeciw panowaniu moskiewskiemu“, sześć

¹⁾ Ustępy powyższe cytujemy według przekładu polskiego, pomieszczonego u *Güllera*, *Historja* I, 314 i powtórzonego w „Wyda-wnictwie materyałów do historyi powstania“ I, 37. Sama „hramota“ jest dość pospolitą w zbiorach z tej epoki.

morgów gruntu i sadybę „w ziemiach koronnych, albo dożywnią płacę ze skarbu narodowego“; poręczały swobodę praw, wiary i języka własnego w szkołach, sądach i innych ziemskich urzędach. „Co wszystko — powiada wkońcu „Złota hramota“ — wyżej wypisane, ogłaszając ludowi Po-dola, Wołynia i Ukrainy, zachowanie i obronę praw, tą hramotą nadanych, zaprzysięgamy wobec narodu, całego świata i Boga Wszechmogącego. Bożej opiece poruczając dolę ludu, któremu wiecznego życzymy dobra, dajemy tę oto hramotę do wołosnego urzędu na każdą włość“.

Hramotę powyższą odbito w tajnej drukarni w Ławrze Piecherskiej w Kijowie, w ogromnej ilości egzemplarzy i po-stanowiono przy wyruszeniu w pole, wszędzie ludowi od-czytywać i w każdej wsi po kilka egzemplarzy zostawiać. W tej, tak pospolitej, w tej dobie nieznajomości chłopu, o którym większość ludzi, należących do ruchu, jak naj-dziwaczniejsze miała wyobrażenia, liczone, że odezwa ta zdoła chłopu ruskiego, hajdamaczyzną przesiąkniętego, wy-chowanego w tradycyi nienawiści do Łachów, uzyskać dla powstania. Wprawdzie na Wołyniu słuchano dość chętnie obietnic, zawartych w uroczyscie odezytywanem piśmie, przyjmowano egzemplarze „hramoty“, a nawet, jak zape-wniają niektórzy, były przykłady, że odwoływano się do powagi wodza powstańczego, Różyckiego, gdy po prze-jściu oddziału stosunki pańszczyzniane nie zostały natych-miast usunięte¹⁾.

Różycki w Połonnem, skąd na wieść o jego zbliżaniu się, załoga pośpiesznie umknęła, zostawiając nieco efektów wojennych, przebył dni parę i tu otrzymał wiadomość z Galicyi, że obiecana wyprawa Wysockiego nie prędko nastąpi, że trzeba zatem czekać, wytrwać i na razie tylko na siły miejscowe liczyć. W tym celu, postanowił on ru-

¹⁾ *M. Dubiecki*, loc. cit. 45, opowiada, że „po opuszczeniu Gi-zowszczyzny, widziały tylne straż oddziału Różyckiego pędzących dwóch chłopów na spienionych koniach. Wstrzymano dopędzających. «Czego chcecie?» — pytano. «My do pana jenerała, aby mu się po-skarżyć, iż po dawnemu u nas, pan nie nie zmienia».

zyć ku Miropolowi, by połączyć się z oddziałem pieszym żytomierskim, pod wodzą Jana Chranieckiego pozostającym, a liczącym podobno około 400 ludzi. Ale już wieść o partyach powstańczych doszła do Żytomierza i gubernator miejscowy, książę Drucki-Sokoliński postanowił wałną na nie zrobić wyprawę. Sformował więc kolumnę, złożoną z dwu kompanii strzeleckich ¹⁾ i trzech setek kozaków, pod komendą fligiel-adjutanta, kapitana sztabu Kaznakowa. Oddział ten wyruszył d. 14 maja ku Miropolowi i w drodze dowiedział się, że ku temu miasteczkowi dąży także podpułkownik Isajew, który maszerując na czele 300 kozaków dońskich do Uściługa, na wieść o pojawieniu się Różyckiego w Miropolu, postanowił nań uderzyć. Tym sposobem na wodza polskiego spaść miała silna kolumna nieprzyjacielska, sześćset koni i blisko 400 ludzi piechoty, w wyborną broń celną zaopatrzonej, licząca.

Różycki nie spodziewał się tak silnego ataku. Rachował on na to, że w Miropolu spotka się z Chranieckim i razem działać będą stosownie do okoliczności. Tymczasem stanawszy dnia 16 maja po południu pod Miropolem, Chranieckiego tam jeszcze nie zastał, natomiast przyszło jego przedniej straży natknąć się na lekki podjazd kozacki, który wyrzucony z miasteczka, pośpiesznie się cofnął, niosąc wieść o ukazaniu się partyi Różyckiego w Miropolu. Miasteczko to, własność podówczas hr. Czapskich, ubogie, drewniane, miało tylko cztery dominujące murywane budowle, t. j. trzy cerkwie schizmatyckie i jeden kościół. W samym miasteczku rozłożyła się na cmentarzu kościelnym piechota powstańcza, jazda zaś stanęła obozem z lewego brzegu Słuczy, we wsi Kamionce. Nazajutrz d. 17

¹⁾ *Dubiecki* loc. cit. 47 twierdzi, że było cztery kompanie strzelców finlandzkich. Raport urzędowy Kaznakowa, pomieszczony w «Kijewskim Telegrafie» z d. 22 maja (v. s.) 1863 r. mówi tylko o dwu kompaniach ósmego batalionu strzeleckiego. Być może, iż ten batalion nosił nazwę finlandzkiego; co do ilości kompanii poszliśmy za raportem urzędowym, gdyż nie można przypuszczać, by pod tym względem był kłamliwym.

maja przypadła niedziela i w kościele miropolskim odbyło się uroczyste nabożeństwo i odczytanie zgromadzonemu ludowi „Złotej hramoty“. Ale około godz. 1 po południu począł nadciągać nieprzyjaciół, maszerujący po drodze od Czudnowa, otoczony gromadą konną i pieszą chłopów, spędzony ze wsi Romanówki i innych, uzbrojonych w kosy i widły. Piechota polska usadowiwszy się na cmentarzu kościelnym, broniła jakiś czas przystępu do miasteczka, ale celny ogień nieprzyjacielski wyparł ją niebawem stamtąd i strzelcy rosyjscy poczęli za cofającymi się przechodzić na lewy brzeg Słuczy, gdzie już Różycki rozwinął swe szwadrony w szereg bojowy. Gdy z gorejącego miasteczka coraz więcej przez most przechodziło nieprzyjaciół, wódz powstańczy spieszył część swej jazdy i usiłował śmiałym atakiem wrzucić piechotę rosyjską do Słuczy. Atak ten jednak nie powiódł się; wzajemny gęsty ogień trwał jeszcze przez półtorej godziny i Różycki nie widząc celu tej walki, narażającej go na poważne straty, zwątpiwszy wreszcie o przybycie Chranieckiego, postanowił się cofnąć. Zwinawszy więc swe szwadrony, rozpoczął odwrót. Kaznakow sądząc, że rejterada ta zmieni się wkrótce w popłoch, wysłał w pościgu za powstańcami setkę kozaków pod wodzą esaula Dulińskiego ¹⁾, którzy z wyciem i piskiem puścili się za jazdą polską. Różycki widząc to, zamierzył dać nieprzyjacielowi krwawą naukę i pomścić się za straty, jakie poniósł od ognia piechoty. Szybko sformował w linię bojową cztery szwadrony i tą przeważną masą rzucił się na kozaków. Wołyńcy dzielnie się spisali; w jednej chwili rozbili na drzazgi kozactwo, stratowali je, zrąbali i zasypali wejście do gorejącego miasteczka trupami Dońców. Nauka ta poskutkowała. Rosyjanie nie śmieli już niepokoić odwrotu Różyckiego, który spokojnie i w groźnej postawie wyruszył wylotem na południe, ku powiatowi starokonstantynowskiemu.

¹⁾ Według *Dubieckiego* loc. cit. 48, pod wodzą podpułkownika Golubowa.

Ledwie atoli spisy szwadronów Różyckiego znikły z oczów mocno okaleczonego Kaznakowa, gdy pod Miropolem, ze strony przeciwnej ukazały się szeregi spieszącego forsownym marszem Chranieckiego. Spóźnił on się, a raczej Różycki zawczasie się cofnął, co dowodzi, że dokładnego porozumienia się między obu dowódcami nie było, wskutek czego Chraniecki krwawą padł ofiarą. Ilu ten ostatni liczył ludzi, nie umiemy powiedzieć, nie omylimy się jednak zbyt, gdy ocenimy jego siły na 400 lub 500 głów, uzbrojonych w części w broń myśliwską, bardzo niekiedy wytworną, i w kosy. Bądź co bądź, był znacznie słabszy od Kaznakowa i mógł go zwycięsko zaćpieć tylko w połączeniu z Różyckim. Atakując atoli pojedynczo, narażał się na niechybną klęskę wobec przewagi liczebnej Rosyan i nieporównanie lepszego ich uzbrojenia. Jakoż tak się stało. Kaznakow na widok nowego nieprzyjaciela, co żywo ściągnął wszystkie swe siły z poza rzeki, zostawiwszy tam niewielki posterunek dla obserwacji Różyckiego, który mógł i powinien był powrócić, bo nie był na tyle oddalony, by odgłos strzałów nie dochodził do niego, stawiał czoło Chranieckiemu. Zaraz też dalekonośna broń strzelców rosyjskich sprawiła w szeregach tego ostatniego zamieszanie, a jednoczesny atak na bagnety obu kompanii rosyjskich, zmusił go do szybkiego i bezładnego odwrotu. Pościg gwałtowny kozaków rozprószył prawie zupełnie cały oddział. Straty były bardzo poważne i krwawe. Zwycięski nieprzyjaciel swoim zwyczajem, dobijał rannych na poboju, niemilosierdzie mordował składających broń, gorejące miasteczko rabował. Jeżeli wierzyć można relacyom rosyjskim, Polaków poledz miało 127, do niewoli wzięto 55, a rozpuszczone chłopstwo przez kilka dni z rzędu ścigało i łapało po lasach pojedynczych powstańców. Pamiątką tej rzezi pozostały kule w ścianach kościoła Miropolskiego i dwie posępne mogiły pod miasteczkiem, w których pochowano poległych. Kaznakow zamierzawszy o porażce, poniesionej od spis i szabel Wołyńców Różyckiego, rozgłosnemi depeşami i raportami rozślawił swoje zwy-

cięstwo nad Chranieckim, szczycąc się z łatwego tryumfu nad bezbronną prawie garścią młodzieży polskiej.

Tymczasem Różycki maszerował szybko ku powiatowi starokonstantynowskiemu, w tej myśli, że najprzód obszerne równiny tej części Wołynia ułatwią obroty jego jazdy, a potem żeby posuwając się w kierunku południowo-wschodnim zbliżyć się ku granicy galicyjskiej, skąd miała wkroczyć tęskliwie oczekiwana zbrojna poręka Wysockiego, i jednocześnie ku Podolowi, by tam ożywić powstanie i wyciągnąć z tej bogatej i drzemiącej snem spokojnym krainy, wszelkie możliwe posiłki w ludziach, koniach, pieniądzech i sprzęcie wojennym. A przytem marsz taki ułatwiał możliwość trwania i przedłużania walki nierównej, aż do chwili przybycia Wysockiego, oswabadzał, przynajmniej na czas jakiś, Różyckiego od ścieśniającej się koło niego coraz bardziej obręczy kolumn rosyjskich. Pomysł więc był dobry, a co najważniejsza dzielnie i rześko wykonany. Stoczywszy po drodze parę drobnych utarczek zwycięskich (w Worobijówce i Kustowcach), wymykając się zręcznie przed pościgiem, znalazł się w okolicach Ułanowa, już na ziemi podolskiej. Ale bodaj czy nie najważniejsza część programu, dla którego ten marsz został przedsięwzięty, to jest podanie ręki powstaniu podolskiemu i wzmocnienie się jego siłami, nie mogła być wykonaną, dla tej prostej niestety! przyczyny, że powstanie podolskie wcale nie istniało. Trudno dziś orzec, dlaczego prowincya ta, długą ścianą przytykająca do Galicyi, od ziem mołdawskich i morza niezbyt oddalona, pozostała spokojną, gdy cała dawna Polska szamotała się w konwulsjach nierównej walki. W części, przyczyną tego był brak organizacji powstańczej, która tu bardzo późno poczęła się tworzyć, a w części i najgłówniej te powody, które i w r. 1831 kazały Podolowi zachować się cicho i spokojnie. Nie ocaliło go to zgoda od ucisku i gwałtów czynownictwa i drobnych satrapów rosyjskich ze szkoły Murawiewa i Katkowa, ani od praw wyjątkowych, jakie na Litwę i Ruś spaść miały. Dość, że w chwili, gdy pod Ułanowem zatrzymał się Ró-

życki znużony i wyczerpany długim i forsownym marszem, oprócz 60 koni, które mu przyprowadził Szaszkiewicz, bodaj czy nie ten sam, który stworzył na Podolu bałagulstwo i miano „króla bałagulów“ otrzymał — nikt się więcej nie zjawił. Podole w słonecznym blasku wiosnianych dni, drzymało snem pełnym marzeń i widziadeł, ale głębokim i nieprzespanym.

Oczywista, że w takim stanie rzeczy nie było tu co robić, choć może o wiele było lepiej zanurzyć się w głąb Podola i samem ukazaniem się zbrojnych zastępów wołyńskich, pobudzić ludność polską tamtejszą do walki. Ale nieszczęsna, nierychło i niestety! zapóźno ziścić się mająca nadzieja orężnej pomocy Wysockiego, kazała Różyckiemu wracać na Wołyn. Posunął on się jeszcze kilka mil naprzód ku Chmielnikowi, skąd nagle zawrócił i ruszył z powrotem ku Lubarowi. W marszu tym, we wsi Bratałowie doszła go wieść o porażce Chłanieckiego pod Miropolem, a niebawem inna, o wiele boleśniejsza, o zupełnej i niezemnie wynagrodzonej klęsce, jaka spotkała jeszcze jeden, najważniejszy oddział wołyński, pod Minkowcami, i o śmierci dowódcy tegoż oddziału, pułkownika Władysława Ciechońskiego.

Oddział ten sformowany w powiecie zasławskim, przeważnie złożony z piechoty, opierał się o wielkie lasy tak zwanego „Cwetu“, jedynej wielkiej puszczy na Wołyniu, sięgającej aż do bagnisk Polesia. W skład tej partyi weszła wszystka prawie drobna szlachta, tak liczna w tych okolicach Wołynia, oficjaliści, kozacy dworsey itp. Liczył on blisko tysiąc ludzi, z których było około 700 piechoty wcale nieźle uzbrojonej w dubeltówki i broń myśliwską, niekiedy bardzo kosztowną, i kosy, oraz dwa szwadrony jazdy. Zapału w tej partyi było wiele, ale karności, a nade wszystko znajomości rzemiosła wojkowego, mało. Niewątpliwie dowódca Władysław Ciechoński, niegdyś major ułanów rosyjskich, potem ziemianin, byłby z tej entuzjastycznej młodzieży stworzył dzielnych żołnierzy, gdyby był miał choć trochę spokoju i choć trochę czasu. Ale

tego czasu nieprzyjaciel mu dać nie chciał i dać nie mógł. Ten sam kapitan Kaznakow, który bił się z Różyckim i Chłanieckim pod Miropolem, napadł w lasach minkowieckich, niedaleko Sławuty, na Ciechońskiego dnia 22 maja, podobno w siedm kompanii piechoty i setki kozaków, oraz tłumów chłopstwa i rozbił na głowę. Według relacji rosyjskich, pobojowisko zaległo 78 zabitych powstańców, a między nimi ich wódz Ciechoński i trzech księży. Do niewoli miano wziąć 56. Oddział ten tak doszczętnie został rozбит, że więcej zebrać się już nie mógł, do Różyckiego przedarło się tylko 48 koni jazdy pod wodzą Kłukowskiego.

Tragiczne te wieści, niebawem uzupełnione doniesieniami o krwawem i zupełnem pokonaniu powstania ukraińskiego, wzbudziły w Różyckim to przeświadczenie, że na całym obszarze ziem ruskich on jeden tylko pozostał z bronią w ręku, niezwykły jeszcze, ale odosobniony całkowicie i że wcześniej czy później temu samemu losowi uległ będzie musiał. Nadzieja poręki ze strony Wysockiego stała się coraz bardziej zwodniczą; i czy wreszcie garść tej dzielnej jazdy zdoła wobec dążących ze wszech stron sił rosyjskich ostać się i doczekać tej pomocy upragnionej? To też już w tej chwili niewątpliwie w głowie Różyckiego powstała myśl schronienia się za kordon austriacki; myśl rozpaczliwa, niemniej przeto trudna do wykonania ze względu, że ze wszystkich stron nieprzyjaciel osaczać go będzie i drogę mu zabiegać. Ale tu Różycki dał właśnie dowód talentów partyzanckich, szybkości ruchów, liczenia się z czasem, zręczności w manewrach; szkoda tylko, że ten wysiłek dobrej bez zaprzeczenia głowy wojkowej do tak marnego wiódł celu, jakim było wyprowadzenie orężnej rzeszy poza granice bojowisk ojczystych.

Wódz wołyński przesunawszy się szybko przez Lubar, stale kieruje się teraz ku zachodowi, wylotem ku granicy austriackiej, wymijając zręcznie, usiłujące mu zabiedz drogę kolumny rosyjskie. W okolicy Medwedówki wytrzymuje krótki ogień tyralierski, przerwany zapadającym rychło

zmrokiem, jednej z takich kolumn, złożonej z dwóch kompanii pieszych i kilkudziesięciu kozaków, pod wodzą kapitana Michno. Odtąd kapitan ten, wsadziwszy swą piechotę na spędzone podwody, z zaciętym uporem na swe nieszczęście ściga Różyckiego i depcze mu nieomal po piętach, tak, że chcąc pozbyć się tego natrętnego prześladowcy, krępującego swobodę ruchów, należało koniecznie dać mu pole. Zdaje się jednak, że Różycki o tem nie myślał i dopiero nazajutrz po spotkaniu pod Medwedówką, t. j. dnia 26 maja o świcie, naścignięty przez zacietrzewionego Michnę we wsi Salicha Mała, zdecydował się na stoczenie z nim boju, choćby dla sprawienia sobie ulgi chwilowej. Wieś Salicha leży w dolinie, dokoła otoczonej wzgórzami, przeciętej stawem i rzeczką. Zabudowania wiejskie ciągną się po obu stronach rzeczki i połączone mostem. Nieprzyjaciel wśród chmury kurzu pędził na podwodach gościńcem, biegnącym poza wsią, po lewej stronie kolumny polskiej i równoległe do niej, i widocznem było, że chce zagrozić jej drogę do wydobycia się z matni wiejskich opłotków, stawu i rzeczki i tym sposobem ruchy jazdy ubezwładnić i przy powodzeniu utopić w stawie i trzęsawiskach rzecznych. Ale Różycki odgadł ten zamiar i doskonale to pojmował, że chcąc stratować wroga, trzeba tego dokonać na otwartem polu, na wzgórzach za rzeką i wsią, w tej chwili pokrytych falującym zbożem. Szybko więc, wyciągniętym kłusem przebiegł wieś, wydostał się poza jej wody i zabudowania, i ruchem tym energicznie i rześko wykonanym, wyprzedził nieprzyjaciela. Ten zsadził swą piechotę z podwód i sądząc, że Różycki się cofa i nie myśli o oporze, natarczywie biegł za nim. Wódz polski przygotował się tymczasem do stawienia czoła. Umieściwszy na gościńcu trzy szwadrony, osłonił je linią flankierów, którzy ostrzegając się wolno ustępowały; dwa zaś pozostałe szwadrony ukrył po obu stronach gościńca we wklęsłościach gruntu z poleceniem czekania na rozkazy.

Michno widząc odwrót jazdy wołyńskiej, wypadł z całą piechotą ze wsi i rozpoczynawszy gęstą palbą do flankierów

i kolumny ustępującej gościńcem, coraz natarczywiej posuwał się naprzód szczerem i otwartem polem, nie wiedząc, że na jego skrzydłach wiszą dwa szwadrony Wołyńców i lada chwila mogą go ująć w serdeczne objęcia swych ostrych spis i ostrzejszych jeszcze szabel. Gdy nakoniec piechota nieprzyjacielska odsunęła się od wsi na 800 kroków, to jest na taką odległość, że w zabudowaniach szybkiego schronienia znaleźć nie mogła, Różycki dał rozkaz ukrytym szwadronom dokonania rażnej, dosiebnej szarży, którą poparł rdzennym od czoła atakiem swej, ustępującej dotąd kolumny. Ten trzechstronny, piorunowy napad, zupełnym skutkiem się wieńczy. Napróżno piechota rosyjska zaskoczona huraganowym wichrem podniesionych szabel i spis, ze sprawnością wyćwiczonego żołnierza formuje czworoboki, by lasem bagnetów się najeżyć; napróżno gorączkową, rozproszoną palbą usiłuje powstrzymać pędzące z kopyta szeregi polskie; wrzynają się one w jej linie, rąbią je szablami i rozbijają na wióry. Z przełamaniem czworoboku rozpoczęła się rzeź formalna; stu kilkunastu Rosyan legło zabitych, lub ciężko poranionych na pobojowisku, a dowódcą ich kapitan Michno przez cały czas boju krył się heroicznie pod mostem, za co oddany był później pod sąd polowy¹⁾. Zwycięstwo było zupełne i nie

¹⁾ Raporta urzędowe rosyjskie potyczkę tę mieszczą pod wsią Lisianką, mienia ją oczywiście zwycięstwem swoim. Twierdzą, że Różycki stracił 100 ludzi, 12 jeńców i 50 koni, oni zaś jednego oficera (Łomonosowa), 8 zabitych i 117 ranionych. *Dubiecki* loc. cit. 60, ocenia przesadnie stratę rosyjską na 350 poległych i ranionych, co stanowczo jest za wiele. Naszych ubyło z szeregu, według niego, czterdziestu kilku. Opowiada on parę bohaterskich czynów dzielnej młodzieży polskiej, które za nim przytaczamy: «Uniesiony bojowym zapalem młody podoficer Anzelm Zaruski, przedziera się przez czworobok nieprzyjacielski, leci szarżą szaloną, wróg mu obcina lejce, lecz on swym lotnym atakiem przecina całą głębię kolumny nieprzyjacielskiej, zapędza się do rezerwy wroga, ranny i krwią najedźcy oblany, cudem wraca do swoich. Tuż obok inny młodzian, przed 19 zaledwie laty urodzony na niwach Wołynia, Stanisław Żółkiewski, również wichrem boju uniesiony, wpada aż na tylne straże przeciwnika, tam walczy z gromadą liczną wroga, który go osacza, zadaje

już teraz nie stało na drodze Różyckiemu do wykonania swego rozpaczliwego planu, przejścia do Galicji. Odpocząwszy sobie kilka godzin na krwawym pobojowisku Salichy, wódz zwycięski rozpoczął wytężony i forsowny marsz ku kordonowi austriackiemu. Szedł resztę tego dnia, cały następny i nakoniec d. 28 maja, koło godz. 6 wieczorem, pod wsią Paleczyńcami przeszedł do Galicji. Gwałtowny ten dwudniowy pochód po zwycięstwie pod Salichą, nie da się niczem innem wytłómaczyć, chyba niepohamowaną chęcią spoczynku i zakończenia nierównej i beznadziejnej walki, bo nieprzyjaciół wcale oddziału polskiego nie ścigał, tylko obserwował z daleka. Wkraczali Wołyniacy do Galicji w znacznie uszczuplonej liczbie; z owego 700 koni liczącego pułku, zaledwie 350 złożyło broń przed władzami austriackimi. Połowa więc poległa, rozbiegła się lub została na drodze. Do tego tak znacznego zmniejszenia się liczebności tej doskonałej i zwycięskiej jazdy przyczyniły się bardzo wiele niesłychanie forsowne marsze Różyckiego i to zniechęcenie, jakie niewiara we zwycięstwo budzi zawsze w szeregach¹⁾. Przyszedszy do Galicji w rezultacie

mu kilka śmiertelnych ran niżej piersi; już na pół martwy, lecz jeszcze nie runął z konia; ognisty rumak wyprowadza go z ciżby najeźdźczej, z wiru walki i do polskich szeregów przynosi. Wraca młodzian do hufcu swego i tam dopiero pada na dłoń współbojowników».

¹⁾ «Różycki — opowiada jego biograf *Dubiecki* loc. cit. 63 — przekraczając ze swą jazdą kordon w Szczesnowce, wysłał do władz organizacyi narodowej w Galicji, uwiadamiając o swem przejściu kordonu i żądając przewodnika; pragnął bowiem przejść jedynie przez terytoryum austriackie, które w owym miejscu tworzy węgiel, i udać się znowu na Wołyń. Zwrotu tego rodzaju dokonano, przechodząc w Zbaraskiem około wsi Toków, pod Koszlaki, mając zapewne zamiar powtórnego ukazania się na Wołyniu, w okolicy Wyszgródka. Przewodnik dany przez organizację galicyjską, żyd, wprowadzał na terytoryum rosyjskie właśnie w tym punkcie, gdzie rosyjskie wojska były zgrupowane, co omal nie pociągnęło za sobą katastrofy. Czujność wodza ocaliła od niebezpieczeństw... Wątpimy jednak, czy Różycki w rzeczy samej myślał o powtórnem wkroczeniu na Wołyń; całe późniejsze jego postępowanie świadczy, że miał dosyć tej wojny.

rozwiązał swój pułk i więcej już nie ukazał się na widowni bojowej powstania.

Po rozbięciu oddziałów Chranieckiego i Ciechońskiego, po schronieniu się Różyckiego do Galicji, powstanie na Wołyniu istnieć przestało. Nie było ono nigdy silne. Oprócz powyższych trzech partyi i paru drobniejszych, na wschodnich kresach Wołynia, w powiecie owruckim, uorganizował się oddział koło 13 maja, pod wodzą Leonarda Wiszniewskiego, w okolicach wsi Chrystynówki. Składał on się przeważnie z samej szlachty, która wystąpiła do boju strojnje, bogato, z brykami i zapasami. Pierwotnie oddział ten dość słaby, bo liczący zaledwie 70 ludzi, skorzystał z wyjścia wojska rosyjskiego z Owruca i zajął to miasto. Przyjęci bardzo uroczyście przez mieszkańców, przyczem żydzi okazywali nadzwyczajną radość, zbyt sztuczną, by miała być szczerą, obsypywani kwiatami przez kobiety, błogosławieni przez popa prawosławnego, który zapewniał solennie, że w głębi duszy jest unitą, zwiększyli znacznie swe siły przez napływ drobnej, zagonowej szlachty, tak, że urosli do 200 zbrojnych. Po krótkim pobycie w Owruca, wyruszyli w kierunku powiatu mozyrskiego, już w Mińszczyźnie i napadnięci zostali d. 16 maja w lesie, pod wsią Moskałówką, przez kolumnę rosyjską, pod wodzą majora Przewalińskiego, złożoną z kompanii piechoty, plutonu strzelców i 40 kozaków, a więc o wiele silniejszą od powstańców, zwłaszcza, że towarzyszyły jej gromady spędzonego chłopstwa. Po żwawym obustronnym ogniu, powstańcy ustępować poczęli i wreszcie ulegli zupełnej rozsypce, straciwszy podobno w zabitych, ranionych i jeńcach około 60 ludzi. Po starciu ten oddział owrucki więcej się nie zebrał, a z przejściem Różyckiego do Galicji, powstanie na Wołyniu istnieć przestało.

W ogólności więc trwało ono jakieś trzy tygodnie (20 dni), i wprowadzie przez ten krótki czas zaznaczyło krwią swoją, obficie niestety! przelaną, przynależność historyczną Wołynia do Polski, określiło, według żądań francuskich, granice tej ostatniej, ale nie zdziaławszy nic dla

sprawy, sprowadziło tysiące nieszczęść na tę prowincję. Było ono wysiłkiem sztucznym, stosunkowo dość słabym i w ogromnej większości nieudolnie prowadzonym. Oprócz jednego Różyckiego, który przez całe trzy tygodnie utrzymać się potrafił i odniósł nawet świetne, acz bezskuteczne zwycięstwo, i który zakończył swą kampanię przejściem do Galicji, inne oddziały egzystencję swoją liczyły na dni zaledwie. Niewątpliwie energiczne wystąpienie władz rosyjskich przyczyniło się do tego bardzo wiele, ale nie ulega kwestyi, że powodem także tej egzystencji efemerycznej powstania wołyńskiego, był nie już brak poparcia ze strony ludu miejscowego, ale wprost jego niechęć i nieudolność dowódców. Różycki miał największy liczebnie i najdzielniejszy oddział, na nim też największa ciężka odpowiedzialność, jako na naczelnym kierowniku powstania ruskiego, za całe to niepowodzenie, zadziwiające swym brakiem wytrwania, którem odznaczyły się w tej nieszczęsnej wojnie inne prowincje, a mianowicie Królestwo i Litwa. Nie chcemy sądzić Różyckiego, ale okazał on zaraz z początku brak wszelkiej wiary w sprawę, do rozpoczęcia której tak czynną przykładał rękę. Ze swoimi bitnymi szwadronami, które utrzymały sławę dawnej waleczności polskiej, mógł on przy talentach wojskowych, jakie posiadał i jakich dał dowody, przeciągnąć tę wojnę i zdjąć z niej cechę lekkomyślnego i nieobmyślanego porywu. Ale zawiedziony w nadziejach przyobiecaney i rychłej poręki Wysockiego, przekonawszy się w swej wycieczce na Podole, że prowincja ta nie myśli o powstaniu, od razu stracił wszelką nadzieję i dążył już do tego, by jak najprędzej swe zbrojne zastępy wyprowadzić w bezpieczne schronisko galicyjskie i więcej w tej beznadziejnej walce udziału nie brać. Świadczy o tem późniejsze jego postępowanie w Galicji, półroczne przygotowanie się do wyruszenia na plac boju i wreszcie małoduszne porzucenie wszystkiego i wyniesienie się na emigrację. I tę zrobić należy uwagę, że w powstaniu wołyńskim nie widać żadnego planu, żadnego ruchu celowego, żadnej myśli wojskowej. Jedyne ruch skombinowany,

atak na Kaznakowa w Miropolu, nie udaje się z winy Różyckiego i kończy klęską oddziału Chranieckiego. Być może, gdyby plan w Sidorowie powzięty, został ściśle wykonany, gdyby jednocześnie z wybuchem powstania na Rusi, Wysocki wkroczył na Wołyn, Miłkowski na Podole, a Menotti na Ukrainę, powstanie w tych prowincjach zapewne inną przybrałoby postać; ale Różycki widząc zawiedzione swoje, pod tym względem nadzieje, słabość tworzących się oddziałów, klęskę jedną za drugą, szybki upadek powstania na Ukrainie, zdecydował się wobec tego na ocalenie od szubienicy i wygnania swych dzielnych towarzyszy i wyprowadził ich do Galicji.

O upadku powstania ukraińskiego, o tragicznych scenach, które tam zaszły, dowiedział się Różycki po powrocie z krótkiej swej wyprawy na Podole. Wieści przezeń otrzymane, brzmiały okropnie, miały wszystkie znamiona biblijnej, Hiobowej niedoli. Powstanie wybuchło tam, zgodnie z uchwałą sidorowską, d. 8 maja i podobnie jak na Wołyniu ograniczyło się na utworzeniu kilku oddziałów po wsiach i stepach. W samym Kijowie, acz młodzież polska uniwersytecka, była powstańczo usposobiona, jednakże wobec licznej załogi, cytadeli i tego, że $\frac{3}{4}$ mieszkańców było Rosyan, wybuch był wprost niemożliwy. Nie myślano też o nim wcale, lecz postanowiono wyciągnąć z Kijowa, jakie się da, siły i udać się do powiatu radomyńskiego, gdzie, jak wieść niesła, jak zwykle fałszywa, a przynajmniej przesadzona, miały się zebrać znaczne oddziały powstańcze. Kontyngens kijowski składał się prawie wyłącznie z młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej, z garści młodzieży rzemieślniczej i kupieckiej. Naczelnictwo nad temi partjami objęło dwóch ludzi, Romuald Olszański i Antoni Juryewicz. Pierwszy z nich, ojciec licznej rodziny, szlachcic, rodem z Wołynia, według niektórych stary ułan polski z 1831 r., potem pełniący jakiś urząd, który opuścił z tytułem sekretarza kolegijskiego, utrzymywał w Kijowie szkołę jazdy konnej i w obszernych zabudowaniach tej szkoły na ulicy Włodzimierskiej, oprócz 60 koni, ukrywał

składy broni i drukarnię, w której, według pewnych relacji, miano odbić słynną „Złotą hramotę“.

Jak wszędzie, tak i na Ukrainie liczone na to, że lud uda się zyskać na stronę powstania obietnicami, zawartymi w rzeczonyj „hramocie“. Wprawdzie, wśród przygotowujących się do wymarszu w pole powstańców kijowskich, miano niejaki, acz bardzo niedokładne wiadomości o niepokoju, objawiającym się wśród ludu, o jego niechęci ku Polakom, o podburzaniu go przez niższe słoje administracji rosyjskiej, jednakże nie sądzono, by obietnice w „Złotej hramocie“ pomieszczone, nie wywarły swego wpływu dodatniego i jeżeli ludu nie zyskają dla powstania, to przynajmniej uczynią go dlań nieszkodliwym.

Olszański w Kijowie obliczał, że wyprowadzi z miasta około 300 zbrojnych młodych ludzi, a pomiędzy nimi miało być stu jeźdźców, na czele których, według planu, miał wyruszyć ze swego tatarsalu przy ulicy Włodzimierskiej, na stary gościniec żytomierski, za bramą tryumfalną i tam połączyć się z pieszymi, którzy powinni byli już tam oczekiwać. Każdy dziesiętnik miał wyprowadzić swoją dziesiątkę na punkt zborny, na wzmiankowany wyżej gościniec. Policya, jakkolwiek miała jak najdokładniejsze wiadomości o całym tym planie, nie przeszkadzała wcale wyjściu powstańców z miasta, jakoby dlatego, żeby nie wzbudzić wśród ludności popłochu, a zarazem, uniknąć starcia w samym mieście. Jakoż schwytano tylko jednego z przyszłych powstańców, niejaki Grudziński, komisanta handlowego, którego wydał doróżkarz, zauważywszy, że jego pasażer wiezie ze sobą broń i amunicję. Grudzińskiego zaprowadzono do biura policyjnego i tam tak okrutnie sobie z nim postąpiono, że zmarł na miejscu¹⁾. Może przyczyną

¹⁾ Potajemny «Dziennik narodowy» w No 7 (z dnia 21 lipca 1863 r.) opowiada, że Grudziński został odstawiony do gubernatora jeneralnego Annenkowa, że ten rozpoczął indagację, a gdy schwytany nie chciał nic wyznać, «kazał mu kleszczami ścisnąć najdelikatniejsze członki». O okrutnem obejściu się z Grudzińskim mówią także relacje rosyjskie, rzecz więc nie ulega wątpliwości, tylko że

tego obejścia było i to, że Grudziński miał przy sobie wszystkie, stosunkowo dość znaczne fundusze oddziału, które oczywiście przepadły, tonąc zapewne w kieszeniach policyantów. Prócz Grudzińskiego miano schwycić w mieście jeszcze około 60 powstańców, co obok tego, że nie wszyscy na zbornym punkcie się stawili, sprawiło, że Olszański znalazł się zaledwie na czele 30 jeźdźców i 100 do 150 pieszych. Wielu w rzeczy samej wyszło z miasta, ale nie znając dobrze jego okolic, wśród nocy ciemnej pobłądziło i o świtanu cichutko powróciło do swych domów. Zresztą Olszański czuł potrzebę pośpiechu i oddalenia się od miasta, skąd lada chwila należało oczekiwać pogoni, i dlatego na spóźniających się czekać nie chciał, i jak powiadamy, ruszył w drogę w znacznie mniejszej liczbie.

W owe czasy, na północ i północny zachód od Kijowa, tuż prawie pod samem miastem rozciągały się dość znaczne lasy. Olszański ku tym lasom postanowił dążyć i w nich, w miejscowości pełnej jarów i strumieni błotnistych zatrzymać się, uorganizować i w razie napadu opór stawiać. Ale marsz z młodzieżą przywykłą do życia miejskiego, niezdatną do pochodu, obutą w cienkie buciki, wśród nocy ciemnej i chłodnej, okazał się trudniejszym, niż przypuszczano. Wielu uszedłszy kilkanaście wiorst ustawało i padało na drodze, tak, że oddział tajał, jak śnieg na wiosnę. W ten sposób dociągnięto do wsi Romanówki, oddalonej mniej więcej o trzy zaledwie mile od Kijowa.

Tam tymczasem, skoro przekonano się, że powstańcy wyszli z miasta, postanowiono natychmiast puścić się za nimi w pogon. Przedewszystkiem wysłano dla wysledzenia kierunku pochodu powstańców, kozaków dońskich, którzy pod Romanówką dopadli drobny i znużony oddziałek heroicznej młodzieży. Tutaj Olszańskiego już nie było; pu-

tak sobie postąpiono w urzędzie policyjnym, a nie z rozkazu Annenkowa. Ten ostatni był zanadto ludzkim i ucywilizowanym człowiekiem, by mógł dopuścić się tak ohydnej zbrodni.

ścił on się z jazdą swoją naprzód, zostawiając piechotę, nad którą dowództwo objął kapitan Rudnicki (Sawa), niegdyś służący w wojsku rosyjskiem, człowiek zręczny, wymowny, ale pozbawiony charakteru, a nawet odwagi wojkowej. Miejscowość była bardzo obronna. Rzeczka Irpeń, płynąca wśród błot i bagien, przerznięta była dwoma mostami, które powstańcy dla powstrzymania pościgu kozaków, zerwali. Zbliżających się Dońców powitano gęstym ogniem, jednego z nich zabito, a reszta umknęła, dając znać do Kijowa o „znacznej bandzie buntowników“, która ukrywa się w lesie za Romanówką. Wobec takich wiadomości Annenkov natychmiast wysłał dwa szwadrony dragonów pułku Głuchowskiego i setkę kozaków pod dowództwem pułkownika bar. Tyzenhauzena. Ale szedł on dość wolno, zerwane mosty na Irpeniu pod Romanówką musiał okrążyć; kozacy tworzący awangardę, napotykali po drodze wlokących się pojedynczych powstańców i za każdym razem zatrzymywali całą kolumnę. Przytem Tyzenhauzen maszerował z zachowaniem nadzwyczajnych ostrożności, lękając się w tych lesistych okolicach zasadzek, mając wreszcie nabita głowę doniesieniami kozackimi o znacznych siłach oddziału polskiego.

Ten, po odpędzeniu kozaków pod Romanówką, ruszył natychmiast w głąb lasów, idąc śladem jazdy Olszańskiego i nad wieczorem, zrobiwszy około 60 wiorst drogi, nadzwyczajnie znużony całonocnym i całodziennym marszem, pozostawwszy za sobą mnóstwo łązégów, dobił się do Borodianki, majątku hr. Poniatowskiego. Oddział mógł liczyć jeszcze 80 do 90 ludzi samej piechoty, bo jak wiemy, jazda z Olszańskim puściła się przodem i tegoż dnia dotarła do wsi Chabno w kierunku radomyskiego powiatu i w boju, jaki niebawem zaszedł na folwarku borodiańskim, udziału wcale nie brała.

Powstańcy zająwszy bowiem ten folwark, postanowili stoczyć upartą walkę, żeby albo zwyciężyć i tym sposobem pozbyć się pościgu i uzyskać choć kilka godzin spoczynku, albo zginąć. Wkrótce też, z zapadającym mrokiem

cichej nocy majowej, szemrzącej tysiącami odgłosów budzącej się natury stepowej, ukazywać się począł nieprzyjacieli. Dowódca rosyjski z widoczną obawą posuwał się naprzód i wahał się z rozpoczęciem boju, ale groźne szemranie wśród wojska, które w Tyzenhauzenie widziało, oczywiście mylnie, Polaka, zmusiło go do rozpoczęcia walki, zwłaszcza, że wysuwającą się z lasu jazdę nieprzyjacielską powstańcy powitali gęstą palbą¹⁾. Nastąpił zażarty bój; kozacy zapalili dwa domy, w których pastwą ognia padło około dwudziestu nieszczęśliwych młodzieńców; poledz miało kilkunastu, resztę w liczbie sześćdziesięciu wzięto tak w Borodiance, jak i w lasach okolicznych, przy pomocy chłopstwa, do niewoli. Sam Sawa-Rudnicki szczęśliwie umknął, przedostał się do Galicyi, skąd mimo obietnic, więcej na polu walki się nie ukazał.

Tyzenhauzen, biednych, ofiarnych tych jeńców, w tryumfalnym pochodzie wprowadził do Kijowa. Wiódł ich przez ulice miasta do cytadeli kijowskiej, powiązanych po dwóch łokeciami, a za każdą parą postępował chłop ukraiński z ogromną pałką w rękę, z miną zwycięzcy i wyrazem twarzy człowieka, który spełnił swą powinność. Wkońcu wlokły się podwody chłopskie, na których siedziało kilkunastu powiązanych powstańców, strzeżonych także przez chłopów z pałkami. Orszak ten, zajmujący całą szerokość ulicy, otoczony był wojskiem, na czele którego postępo-

¹⁾ Niejaki *Borys Poznanskij*, który wydrukował w «Kijowskiej Starinie» z r. 1885 swe «Wspomnienia o polskom wozstaniu w Ukrainie 1863 goda», utrzymuje, że zgola inny był powód wahaniasię Tyzenhauzena. Pisze on o tem, co następuje: «Opowiadają, że dowodzący oddziałem baron Tyzenhauzen, przekonawszy się w czasie całodniowego pościgu o bezsilności powstańców i przez filantropię, pragnąc oszczędzić ich i swoich żołnierzy życie, nie odrazu przypuścił atak do folwarku i chciał dać czas powstańcom do cofnięcia się znowu do lasu, licząc na to, że banda sama się rozbiegnie wskutek znużenia i zostanie wylapaną bez użycia broni, ale podobno żołnierze zaczęli szemrać i rzucać się na powstańców. Szemranie to jeszcze bardziej się wzmoгло, gdy ci ostatni poczęli strzelać z zabudowań folwarcznych».

wało konno dwóch oficerów. Powstańcy, sama młodzież, w większości chłopcy wyrostki, posuwali się wolno z widocznym znużeniem i wyczerpaniem sił. Tłum, złożony z ostatniego motłochu miejskiego, z doróźkarzy, stróżów, rzemieślników, napęlniał zbitą masą chodniki po obu stronach ulicy i witał nieszczęsną młodzież krzykami, wymysłami, przekleństwem, rzucał kamieniami i błotem. Sceny takie nieraz się miały jeszcze powtórzyć i winą to władz miejscowych było, że nie starały się oszczędzić i tak już nieszczęśliwym powstańcom tego upokorzenia i wystawiały ich z nieludzkim brakiem litości na urągawisko zdzieczalego tłumu.

Zaraz też potem nadeszła wiadomość, że kawaleria Olszańskiego, która w pogromie borodiańskim nie wzięła udziału, dotarwszy do lasów radomyskich, rozbitą została przez kompanię pułku kremieńczyńskiego piechoty pod wsią Wiercholaski, a sam Olszański dostał się do niewoli i został rozstrzelany w kilka miesięcy później (d. 29 stycznia 1864 r.) w Kijowie. Wszystko to, zamieszkałe w stolicy Rusi rodziny polskie, z których nie było ani jednej, którejby nie miała syna, brata lub męża w szeregach powstańców, nabawiało niewypowiedzianą trwogą o los ich ukochanych. Nieustannie dochodziły wieści o wzburzeniu ludu, o gwałtownem ściganiu i łapaniu powstańców przez chłopów; wiadano, bo rząd tego nie ukrywał i w gazetach ogłaszał, że chłopci, którzy dostawali powstańców do Kijowa, mówili do dziękującego im Annenkowa: „Rzeknijcie tylko słowo, a Lacha na Ukrainie nie będzie można znaleźć i za 1000 rubli“¹⁾. To też całe miasto było w nerwowym nastroju, a Polacy drżeli z obawy i żalu.

Te obawy i ten żal przybrał wreszcie ogromne i usprawiedliwione rozmiary na wieść o strasznych wypadkach we wsi Sołowijówce, wypadkach, które krwawą plamą, jedną z najkrwawszych, pokryło dzieje powstania ukraińskiego. Teraz już cały polski Kijów, cała Ukraina polska

¹⁾ «Russkij Inwalid» z d. 9 maja 1863 r.

miała się pokryć łzami i żałobą. Najlepsza bowiem, najszlachetniejsza część jej młodzieży, stała się tragiczną ofiarą swej miłości ludu ruskiego i ojczyzny polskiej. Wyszli oni z Kijowa jednocześnie z partią Olszańskiego, w nocy z dnia 8 na 9 maja, pod wodzą Antoniego Juryewicza, studenta uniwersytetu kijowskiego i przeważnie z samych składała się studentów, należących do partii t. z. „Żyrodystów“, może dlatego, że jak owi francuzcy konwencyoniści, żywili najgórniejsze i najidealniejsze zasady i zamiary. Najwybitniejszą i najbardziej wpływową osobistością wśród nich, był przyszedłszy ich wódz Antoni Juryewicz, o charakterze spokojnym, poważnym, pozornie chłodnym, niewątpliwie człowiek rozumny i gorącą, idealną przejęty miłością ku swej rusko-polskiej ojczyźnie. Był on w bezpośrednich stosunkach z Wydziałem Rusi i jednym z najczynniejszych agitatorów wśród młodzieży polskiej na uniwersytecie kijowskim. Przy tem wszystkim jednak, poświęcając się z zapalem i gorliwością robotom przygotowawczym do powstania, nie wierzył w jego powodzenie, był na to zanadto rozumny i zanadto dobrze zdawał sobie sprawę z położenia. Będąc w stosunkach z partią Rusinów na uniwersytecie, tocząc z nimi spory, zgadzał się na wiele ich wywodów. Gdy mu mówiono, że Ukraina jest krajem ruskim, że lud nie wierzy, a co gorsza nienawidzi Polaków i w razie wybuchu przeciw nim się zwróci, że garść powstańców nie zdoła tu pokonać Rosyan, popartych przez chłopstwo, nie przeczył temu wcale. „Wszystko to prawda — mówił — i my o tem wiemy bardzo dobrze; ale rzeczy zaszły zbyt daleko, erekcja (sic) wśród nas tak jest silna, że niepodobna powstrzymać nas od ruchu i nie nie pozostaje, jak tylko możliwie najlepiej pokierować sprawą“. „Być może — dodawał — że zginiemy, że wszystko zakończy się zupełnem fiasko; lecz cokolwiek bądź, powstanie to będzie zawsze jasną kartą w naszej historii i tradycyi i podtrzyma ducha oporu w przyszłych pokoleniach“. Rzucał się więc w wir ruchu ze świadomością nieochybnej klęski, a jednak nie cofał się, nie wahał; jedna z tych podniosłych, nieomal idealnych

postaci bezwzględnej poświęcenia dla ojczyzny, których takie mnóstwo wytworzyły nasze dzieje porozbiorowe. Inni „Żyrodyscy“ mniej silnym obdarzeni charakterem i rozumem, jak: Przedpełski, Wasilewski, „Wickiem“ nazywany, jak wszyscy zresztą, którzy mieli hekatombę z ciał swoich położyć na polach Sołowijówki, mieli niemniej znaczne dusze i ofiarne serca, byli krwią i solą najlepszej młodzieży polskiej tej doby.

Wyjechali oni z Kijowa wśród nocy ciemnej i dżdżystej, z dnia 8 na 9 maja, w liczbie 21 młodzieńców¹⁾, na trzech brykach, zaprzężonych każda w czwórkę koni, z domu Zimenki na ul. Kuźnicznej, mając pomiędzy sobą trzech jeźdźców, i skierowali się na trakt Wasilkowski, według jednych w zamiarze przedostania się do oddziałów powstańczych, które, jak wieść niesła, potworzyć się już tam miały; według innych, co jest prawdopodobniejsze ze względu na drogę, którą obrali, chcieli oni przedrzeć się do Białocerkiewszczyzny, gdzie także mówiono o istniejących tam, licznych jakoby, oddziałach polskich. Uzbrojeni byli dostatecznie, po większej części w kosztowną broń, a prócz tego na bryczkach mieli znaczne jej zapasy dla zaopatrzenia w nią tych, którzyby się z nimi złączyli. Nie

¹⁾ Jest pewna trudność w oznaczeniu nazwisk wszystkiej tej heroicznej młodzieży. Konfrontując rozmaite relacje, udało nam się spis ich ułożyć, acz co do niektórych są pewne wątpliwości. Oto lista rzeczona: Biesiadowski (Józef), Bobowski (Franciszek), Dorożyński (Józef), Izbiński (Konrad), Juryewicz (Antoni), Kostko, Kościuszko, Krypski, Kurzeński (Wacław), Peretyatkiwicz (Adolf), Przedpełski (Godfryd), dwóch braci Przedrzymirskich (jeden z nich Walery), Pyszyński (Wacław), Strzemeczny, Strelczenko, Szamarowicz (Władysław), dwaj bracia Wasilewscy (Aleksy i Wincenty), Wołoncewicz (według innych Wołoszczewicz Lucyan), Wyhowski (Stefan). Są wątpliwości co do Strzemecznego i Strelczenki (był to podobno Rosjanin, z Odessy rodem), których podają źródła rosyjskie, a w polskich ich nie znajdujemy. J. T. w cytowanym kalendarzu Bendlikańskim, wspomina o jakichś dwu podoficerach, którzy razem z Juryewiczem mieli partyi przewodniczyć. Czy czasem onymi podoficerami nie byli Strzemeczny i Strelczenko?

dojeżdżając do Wasilkowa, skręcili z drogi, żeby ominąć to miasto i zatrzymali się, by popaść konie, pod wsią Motowidlówką, na polu „Perepetowem“. Tutaj to ostatecznie postanowili nie dążyć i nie szukać oddziałów zbrojnych, o których rozbiciu otrzymali już zapewne wieści, ale od wsi do wsi rozwozić „Złotą hramotę“, odczytywać ją ludowi i wzywać do powstania. Zdawali oni sobie dobrze sprawę, że wobec usposobienia ludu, który już we wsiach, przez które przejeżdżali, z podełba na nich spoglądał, było to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne, ale oni w swej heroicznej ofiarności gotowi byli życie położyć, by ten lud, jak mówili, na drogę prawdy i drogę zbawienia poprowadzić. W młodzieńczym entuzjazmie wołali, że krwią swoją jak Chrystus okupią przyszłość tego ludu i w tem ewangelicznym całopaleniu z melancholijnym humorem nazwali się „utrapięciami“. Na tej ciernistej i krwawej, o czem nie wątplili ani na chwilę, drodze, przewodniczyć im miał Juryewicz. Zatrzymawszy się więc na polu „Perepetowem“ pod Motowidlówką, rozwinęli sztandar czerwony z orłem białym, w tej zapewne nadziei, że lud się zbierze i będą mogli odczytać mu „Złotą hramotę“; ale zamiast tego ujrżeli bandy chłopstwa, po większej części konno, uzbrojone w kosy „na prawiec“, tj. na sztorc ustawione, w pałki, cepy i widły, mające na czele starostę (starszyne) Iwana Szadurę, chłopca „bardzo rozumnego, silnego i roztropnego“, jak go oceniał źródła rosyjskie¹⁾, który konno i przy pałaszu dowodził całą tą czarniawą, na pół pijaną i dziką. „Żyrodyscy“ brali Szadurę, z powodu tego uzbrojenia, za żołnierza. Tłum ten jednak zachował się dość spokojnie i chłodno; wysłuchał czytania „hramoty“, a nawet przyjął jeden jej egzemplarz, choć Szadura nie chciał wchodzić w żadne pertraktacje i wołał: „poddajcie się, bo was powiążemy, jak już wielu takich powiązaliśmy“. Scena ta dała poznać młodzieży, że ich wyprawa nie ma szans żadnych powodzenia, a gdy tłum pod wpływem ochrypłych

¹⁾ Wzstanie Polaków w jugo-zapadnoj Rossii w 1853 g.

krzyków Szadury, poczał przybierać groźniejszą postawę, siedli nasi „utrapienicy“ na bryczki i skierowali się na zachód ku Fastówce. Szadura jeszcze jakiś czas jechał za nimi i nieustannie krzyczał, by się poddali, a ponieważ, jakśmy rzekli, sądzono, że to jest żołnierz, niektórzy chcąc go poczęstować kulą, brali go na cel, ale inni unikając rozlewu krwi, wstrzymali ich od tego.

W Fastówce, tłum chłopów okazał się przystępniejszym. Wysłuchano w milczeniu odczytania „hramoty“, przyjęto jej egzemplarz, ale powoli i tutaj z pośród zbiegowiska rozlegały się groźby. Już teraz ofiarna ta młodzież najoczywiściej się przekonała, że idealna jej wyprawa stanowczo jest chybioną, że lud wszędzie jest im przeciwny i groźny, że zatem nie pozostaje, jak połączyć się z jakim oddziałem powstańczym. W Fastówce sądzili, że natkną się na powstanie białocerkiewskie, ale zdaje się, że tu otrzymali wiadomość o zupełnem jego rozbiciu. Zdecydowano więc przerznąć się na Wołyn do partyi Różyckiego, o której cuda opowiadano. Peszyński pochodzący z tych okolic i znający dobrze miejscowość, podjął się przewodnictwa. Ruszono więc ku Fastowowi. Drogi popsute roztopami wiosennymi, były ciężkie, błotniste, a policya chcąc powstrzymać pochód powstańców psuła wszędzie groble, zrywała mosty, rozkopywała gościńce. W Fastowie sprawnik zgromadził całą powiatową policję, której co prawda nie wiele było, ale zawsze stanowiła ona większą siłę od garstki tych straceńców, z których najstarszy nie liczył lat trzydziestu, a najmłodszy zaledwie piętnaście (Przedrzymirski). Z policją tą sprawnik w popłochu i strachu zabarykadował się w domach i otoczył się tłumem chłopstwa, i wtedy dopiero, gdy „utrapienicy“ nasi przejechali miasteczko, puścił się za nimi niby w pogoń, z zamiarem niedoścignięcia ich nigdy.

W Didowszczyźnie przyczepił się do nich jakiś żołnierz urlopowany, który pędził konno przed nimi i wszędzie po wsiach uprzedzał chłopów, że „miateżniki“ idą, i żeby gospodarze chwytały za broń. Jak zły duch prze-

śladował on nieszczęśliwych młodzieńców, tak, że wkońcu nie wytrzymali i zręcznie wymierzonym strzałem zabili pod nim konia, ale nie na wiele się to przydało. Wystarzał się on gdzieś o innego konia i ciągle przed nimi pędził, podburzając chłopów i wzywając ich do oporu. Wszędzie też po wsiach, do których zbliżali się, lub przez które przejeżdżali, zrywała się straszliwa wrzawa i zamieszanie, uderzano w dzwony, po polach okolicznych pędzili konno chłopci, tłoczyły się gromady pieszych, uzbrojonych w kosy; trzymały się jednak zdala, tak, że nie można było z nimi mówić i położenie stawało się naprawdę rozpaczliwem. Wjechawszy w las za Didowszczyzną ku Turbówce i nie mając map, pomimo że Peszyński podjął się przewodnictwa, ale czy to wskutek znużenia, czy też niedokładnej znajomości tych okolic, dość, że nie wiedział, gdzie się znajdowano i jechano naprzód na chybił trafił. Na dobitkę napotkano na drodze ogromną fosę, przekopaną przez chłopów w poprzek drogi; trzeba było zejść z wozów i zająć się zasypaniem rowu. Miało się już pod wieczór; noc chłodna szybko zapadała i te młode, wrażliwe umysły ogarniała powoli rozpacz i wątpienie. Drogi czas trzeba było tracić na wyrównanie gościńca, gdy każda chwila stanowiła o życiu. Dokonano jednak zasypiania rowu, ale gdy przezeń przejeżdżano, świeża ziemia nie wytrzymała ciężaru i największa bryka złamała się i tak uwięzła, że jej wydobyć nie można było i przejechać z dwoma pozostałymi okazało się niemożliwem. Zdecydowano się więc umościć rów drugą bryką, i tak z trzecim, najmniejszym wózkiem przedostano się na drugą stronę tego fatalnego rowu, ale już teraz musiano iść pieszo. Noc tymczasem zapadła. „To położenie — opowiadał Peszyński znajomym po powrocie z Syberyi — w jakim znaleźliśmy się później w Sołowijówce, otoczeni ciżbą chłopstwa, wreszcie sama chwila napaści na nas, nie da się wcale porównać z tem, czegośmy doświadczyli owej nocy. We wszystkich wsiach okolicznych, słychać było straszliwą wrzawę, bicie w dzwony, wszędzie płonęły ogniska, a na ich tle roily się czarne

cienie, dobiegały odgłosy płaczu kobiet i groźnych krzyków męskich, i wśród tego piekielnego hałasu, my biedni, słabi, garstka tłocząca się koło ocalałej bryczki, przerażeni, zbolali, jakby skamieniali w tej nocy ciemnej, w niepewności co czynić, gdzie się obrócić“.

W takim stanie ducha, niesłuchanie znużeni drogą, wrażeniami, grozą widocznego niebezpieczeństwa, nieprzespanymi nocami, zbliżyli się do wsi Sołowijówki. Wieś ta miała w całej okolicy jak najgorszą sławę. Była ona własnością pana Erazma Michałowskiego, marszałka powiatu skwirskiego, człowieka podobno bardzo zacnego, dobrego dla poddanych, mimo to znienawidzonego przez nich. Wieś była wielka, licząca około 2000 głów ludności, której umysły od lat pięciu były nadzwyczaj silnie wzburzone z powodu nieustannych pożarów, niewątpliwie z podpalania powstających. Te to pożary były powodem nienawiści chłopów ku dziedzicowi Michałowskiemu. Twierdzili oni bowiem, że nie kto inny, tylko on ich pali, że chowa w piwnicy przywiezionego z zagranicy Niemca, który ma od niego tajemne polecenie palenia chat i niszczenia dobytku. Utrzymywali zaś tak dlatego, że pożary rozpoczęły się w jesieni 1858 r., akuratnie po powrocie Michałowskiego z zagranicy. Zwykle zapalały się chlewy, puste budynki i co najdziwniejsza, że po żniwach, gdy zboża po stodołach było pełno, ogień nigdy nie wybuchał. Wogóle pożary nie wiele strat przynosiły, wieś bowiem była duża, rozrzucona, chałupy otoczone sadami, więc ogień rozszerzyć się nie mógł, ale ciągła obawa i przerwy w robotach w polu wytworzyły w ludności jakiś stan nerwowego podrażnienia. Zjeżdżała umyślnie w sprawie tych pożarów komisya urzędowa, złożona z oficerów żandarmskich i urzędnika gubernatora jeneralnego, prowadziła śledztwo przez miesiąc, ale niczego dobrać się nie mogła. Nawet w czasie jej pobytu kilkakrotnie ukazywał się ogień; gdy go w jednym miejscu ugaszono, wybuchał w drugim. Chłopi głośno mówili przed komisją: „Pan dał podpisę za granicą, żeby palić, a jemu zapłacą za to legiony, które tu przyjdą. Kto nie

jeździł za granicę, u tego się nie pali. Pan płaci dworskim za to, żeby podpalali“¹⁾.

Do takiej to wsi, wzburzonej od dawna do głębi, teraz podnieconej ogólnym popłochem i głuchemi wieściami o „buncie Lachów“, zbliżyła się późnym, ciemnym wieczorem garść naszych, śmiertelnie znużonych „utrapieńców“. Właśnie w cerkwi odbywało się nabożeństwo „wieczernia“, i na niem znajdował się starosta, którego stąd wywołano okrzykiem, że „Polacy idą!“ Wybiegł on i dowiedział się, że owi Polacy posuwają się gościńcem od wsi Turbówki. Uderzono w dzwony na alarm, cała wieś uzbrojona w kosy, widły, cepy, zbiegła się naprzeciw wlokących się nieszczęsnych młodzieńców, którzy wszedłszy do wsi, na widok tłumu zatrzymali się i uszykowali pod płotem²⁾. Byli tak zmęczeni, że wielu stojąc zasypiało. Wytrzymalsi poczęli zebranych chłopom tłumaczyć powód swego przybycia, że za swoją i ludu wolność wystąpili przeciw rządowi, usiłowali czytać „hramotę“, ale słowa te, ani treść „hramoty“ w niczem nie wpłynęła na zmianę groźnej postawy rosnącego coraz bardziej tłumu. Tu i owdzie rozlegały się głosy: „Przedtem nas palili, a teraz przyszli rznąć“. Widocznem było, że ta czarniawa chłopska ma jak najgorsze zamiary, ale dobre uzbrojenie w strzelby i karabiny, wstrzymuje ją od otwartego napadu. Juryewicz domagał się, by starosta wystąpił, ale ten ukrył się w tłumie, bał się zadość uczynić temu żądaniu. Wreszcie wysunęło się kilku starszych latami chłopów i oświadczyło, że oni nie chcą powstańcom nic złego zrobić, ale wypuścić ich ze wsi nie mogą, bo Moskale wymordowaliby za to

¹⁾ List Michałowskiego w „Głosie“ z d. 28 stycznia 1864 r., oraz ustne podania.

²⁾ Niektórzy pisarze polscy twierdzą, że powstańcy mieli się skądś dowiedzieć, jakoby we wsi byli Moskale i że postanowili z niemi stoczyć walkę śmiertelną, że dowódca (Juryewicz) chciał w bezpieczne miejsce wysłać przez konnego pozostałe pieniądze, sztandar i nierozdane jeszcze hramoty, ale było już zapóźno. Szczegóły te nie znajdują potwierdzenia w innych, znanych nam źródłach.

wieś całą, żądali więc, by „utrapienicy“ broń złożyli w zarządzie gminnym (wołostnoje prawlenie), i tam oczekiwali na przybycie wojska. Nie było się co ludzić; wido-
cznie chciano ich wydać w ręce nieprzyjaciela, albo wy-
mordować. W takim położeniu, któryś z nieszczęśliwych
młodzieńców poradził użyć broni, dać ognia do tłumu,
przerznąć się, lub poledz z bronią w ręku. Ale projekt ten
większość odrzuciła: był on przeciwny zasadzie nie wystę-
powania przeciw ludowi, zyskania go sobie miłością i ofiar-
nością. „Nie! — wołał Juryewicz — zginiemy, ale tradycya
po nas pozostanie!“ Świadczy to najlepiej o tych ideal-
nych przekonaniach, jakie żywiła ta garść najszlachetniej-
szej młodzieży, o tej poezji serca, wyśnionej w długiej
nocy niewoli i o gotowości poświęcenia dla tych ideałów,
młodej krwi swojej i młodego życia. A przytem większość
ta sądziła, że w propozycyi chłopskiej niema zdrady, że od-
dział zapewne skończy swą tragiczną odyseję w rękach
nieprzyjaciół, ale bez rozlewu krwi, a przedewszystkiem,
jeżeli polegną, to nie z ręki ludu bratniego, ludu tak uko-
chanego przez nich, który stał teraz przed nimi w zbitej
ciżbie, szemrząc jak fale wód wezbranych, dziki, rozogniony,
straszny. Zgodzili się więc na żądanie chłopskie i ruszyli
pieszo, otoczeni gromadą chłopstwa do domu, w którym
się mieścił ów zarząd gminny. Przybywszy tam, złożyli
broń, zachowując jedynie rewolwery i weszli do chaty,
gdzie mieli czekać na przybycie wojska. Na bryeczce sie-
dział chory Bobowski, trzymając między kolanami strzelbę
lufą do góry, co widząc starosta, zawołał na niego, by
także broń złożył. Chłopi przytem tłumnie tłoczyli się koło
bryeczki, zaglądali do niej, dawały się słyszeć krzyki i gro-
źby, i nagle wśród tej wrzawy rozległy się dwa strzały.
Kto strzelił, trudno dziś odgadnąć; prawdopodobnie dubel-
tówka Bobowskiego silnie i niezręcznie z jego rąk wry-
wana, zaczęła się o coś i dała ognia; to pewna, że od
strzałów tych nikt nie poniósł najłżejszego nawet szwanku¹⁾.

¹⁾ Różne są podania co do tego, kto wystrzelił. Cytowany przez
nas «Kalendarz Bendlikański» twierdzi, że jeden z chłopów, namó-

Mimo to wywarły one na tłum straszne wrażenie; wszyscy
od bryeczki odskoczyli; powstańcy, wchodzący do kancela-
ryi gminnej zatrzymali się, a z pośrodku zbiegowiska roz-
legł się nagle donośny, dygoczący uniesieniem głos: „bij
ich na śmierć!“ (byj ich smiertelnym bojem), i na to hasło
cała czarniawa chłopska rzuciła się na bezbronnych z ko-
sami, widłami, cepami, kijami i siekierami, obaliła ich, stra-
towała i mordować poczęła bezlitośnie. Peszyński opowia-
dał później: „Zaledwie usłyszałem ten krzyk, gdy nagle
dobiegło moich uszów śmiertelne charczenie idącego obok
mnie Przedpełskiego. który padł uderzony czymś i zabity
na miejscu. Nie zdołałem jeszcze zwrócić się ku niemu,
gdy zaraz straciłem przytomność, uderzony czymś ciężkiem
w głowę“. W ciągu kilku minut, wszystka ta heroiczna
młodzież leżała poraniona, krwią zlaną, straszliwie okale-
czona na ziemi. W mordzie tym odznaczały się szczegól-
nie stare kobiety; one obdzierały z zabitych suknie, pier-
ścionki, krzyżyki, zegarki. Jedną z nich leżącemu i dyszą-
cemu jeszcze powstańcowi, wrzeczono wepchnęła gwałtem
w ucho i domęczyła kręcąc niem bezlitośnie¹⁾. Na miejscu

wiony przez policję, porwał strzelbę, leżącą na wozie i dal ognia.
Nie wydaje nam się to prawdopodobnem. Nikt nie mógł z góry prze-
widzieć, jaki przebieg będą miały wypadki i namawiać chłopą, by
za pomocą strzału, zachęcił swoich do rzezi. *Poznański* w swych «Wo-
spominaniach» przytacza pogłoskę, obiegającą wtedy po Solowijówce
i okolicy, że lokaj dziedzica Michałowskiego biegł ku zebranemu
przed zarządem gminnym tłumowi ze strzelbą i upadłszy w pośpie-
chu, spowodował wystrzał. — Drugi strzał miał dać Bobowski, ale
czy umyślnie, czy też wypadkiem, *Poznański* nie wie. Jest on zda-
nia, że zapewne któryś z chłopów, wydobywając broń z wozu za-
czepił nią i wystrzelił. Komisarz włościański Mogilnicki, który zaraz
po rzezi znalazł się w Solowijówce, w raporcie swoim urzędowym
(przytoczonym w paszkwile profesorów uniwersytetu kijowskiego p.
t. «Wozstanie Polaków w jugo-zapadnoj Rossii»), pisze, że «umyślnie
czy wypadkiem przy podnoszeniu strzelby (Bobowskiego) wystrze-
liła ona». Bądź co bądź nie ulega wątpliwości, że fatalny ten strzał
był przypadkowym.

¹⁾ Do śmierci podobno nie mogła się pozbyć widma tego nie-
szczęsnego męczennika. Chodziła do znachora do wsi Wołodyje po

padło dwunastu; dziesięciu było ciężko poranionych, z których Józef Dorożyński zmarł potem w szpitalu kijowskim ¹⁾. Stało się to w nocy z 9 na 10 maja.

W pół godziny po tej straszliwej tragedii, przybył do Sołowijówki oddział kozaków pod wodzą pułkownika

rade, «bo ten Lach nie daje jej pokoju, w dzień chodzi za nią, w nocy ze snu budzi». (Relacya p. Mieszki-Maliszkiewicza w zbiorach autora). O okrucieństwach, których dopuszczali się chłopci, jest kilka opowieści w «Ephémérides polonaises» II, 132, ale podania te są wątpliwe. Mówią one, że Juryewiczowi chłopci zdarli skórę z głowy i zakrywając mu nią oczy, szydzili z niego, że ciemniejszy jest teraz od nich; że Biesiadowskiemu przeszli pierś widłami na wskrós. Co do ostatniego rzecz jest możliwa, ale co do Juryewicza stanowczo fałszywa. J. I. Kraszewski pisząc w «Rachunkach» z r. 1869 o jego śmierci zaszłej w Paryżu w r. 1868, byłby o tem wspomniał. Okrucieństwa w rzeczy samej były, jak np. owe wiercenie w uchu wrzecionem. Peszyński opowiadał wspomnianemu przez nas *Poznańskiemu*, że odzyskał przytomność wskutek strasznego bólu, jaki mu sprawiło usiłowanie któregoś z chłopów zerwania z szyi krzyżyka, zawieszonego na złotym łańcuszku, który pęknąć nie chciał i szarpany mocno, wrzynał się w ciało ofiary.

¹⁾ Co do cyfry zabitych i ranionych, podania polskie i rosyjskie nie zgadzają się ze sobą. Według «Kalendarza Bendlikańskiego», zginęli: Biesiadowski, Izbiński, Peretvatkowicz, Krypski, Kostka, Bobowski, Przedpelski, Wasilewski Aleksy, Wolonciewicz (piszą go także Woloszczewicz) i dwóch Przedzymirskich; ogółem 11. Za tem podaniem poszli wszyscy i inni pisarze o Solowijówce. Źródła rosyjskie, a mianowicie wspomniany przez nas raport urzędowy komisarza Mogilnickiego twierdzi, że zabitych było 12, 7 rannych, a 2, według opowiadania starosty, zdołało zbiedz. W paszkwile profesorów uniwersytetu kijowskiego, str. 13, jest powiedziane, że zabito 12, a 9 raniono. W sprawozdaniu półurzędowym, pomieszczonem w gazecie «Russkij Inwalid» z r. 1863, jest mowa o 11 poległych, a 9 ranionych. *Poznański* w swych «Wspominaniach» mówi o 12 zabitych, a 9 ranionych. Zdaje się więc, że w rzeczy samej 12 poległo, ale kto był tym dwunastym, o którym źródła polskie nie wiedzą, trudno dziś odgadnąć, zwłaszcza, że te źródła nie umieją się wylegitymować z losu wszystkich młodzińców, którzy wzięli udział w tej fatalnej wyprawie. Wymieniwszy bowiem 11 zabitych, mówią o 8 rannych, których los jest znany, a mianowicie: o zmarłym w szpitalu Dorożyńskim, o wysłanym na Syberję: Wasilewskim («Wicek»), Peszyńskim, Wyhowskim, Kuneńskim, Kościuszce, o zbiegłych z więzień

Isajewa, a widowisko, jakie przedstawiło się przybyłym, wstrząsnęło nerwami nawet tego dzikiego żołdactwa. Na ziemi, w kałużach krwi, walało się dwanaście trupów, okropnie pokaleczonych; większość miała głowy porąbane kilku uderzeniami toporów czy kos; wszystkie ciała były obdarte do naga. Isajew zabrał ranionych, kazał pokłaść ich na wozy i zaraz zawieść do Brusilowa, a następnie do Żytomierza i Kijowa. Śpieszył się z tem, bo wzburzenie wśród chłopów w Solowijówce było wielkie, a przytem zewsząd, ze wsi okolicznych zbiegały się tłumy i życie ranionych było w niebezpieczeństwie. Poległych, którym nawet trumien nie mógł kazać zrobić Michałowski, właściciel Sołowijówki, pochowano dopiero w dwa dni potem, d. 12 maja, dzięki staraniom komisarza włościańskiego Mogilnickiego, który przybył osobiście do Solowijówki, kazał pogrzebać zabitych w jednym wspólnym dole i usypać nad nimi mogilę ¹⁾.

Szaraniewicz i Juryewicz. Gdzież się więc dwóch jeszcze podziało, a mianowicie: Strelcenko i Strzemeczny? Czy więc jeden z nich nie był tym dwunastym zabitym, według podań rosyjskich? A może też w rzeczy samej było tylko 7 lub 8 rannych, a dwóch, jak zapewniał starosta w Solowijówce zbiegło i tymi zbiegłymi byli Strzemeczny i Strelcenko?

¹⁾ Opowiada on o tem w cytowanym parokrotnie raporcie co następuje: «Udałem się do Solowijówki bez towarzystwa policyi, dnia dzisiejszego (t. j. d. 12 maja) o godz. 9 rano i znalazłem ludność nadzwyczajnie wzburzoną, ale przytem posłuszną i wykonywującą moje rozkazy bez najmniejszych oznak nieuszanowania dla mego stanowiska komisarza włościańskiego (mirowy posrednik); w mojej obecności, oraz starosty i przykomenderowanego komisarza policyjnego, pogrzebano w ziemi ciała zabitych; temu obrządkowi chrześcijańskiemu i skromnemu nikt nie przeszkadzał i wydałem rozkaz, ażeby przez kilka dni straż pilnowała mogily. Będąc jeszcze w gminie, wobec zebranej gromady, poleciłem staroście, aby strzegł porządku, chłopom, ażeby słuchali rozkazów starosty, nie robili plotek i nie zbierali się bez potrzeby na ulicach. Przy całym pozornym posłuszeństwie chłopów, zauważyłem w ich oczach i twarzach okrutną gotowość do wszelkiego rodzaju gwałtów, a powstrzymać ich od tego może tylko siła wojskowa». Tego raportu i tej mogily, usypanej nad ciałami poległych, darować nie mogli Mogilnickiemu profesorowie

Katastrofa sołowijowska, acz drobna rozmiarami, boć były w powstaniu rzezie, w których po parę set ciał polskich zalegało pola potyczek, jednakże wskutek wyjątkowego swego charakteru wywarła, rzecz można, olbrzymie wrażenie na Ukrainę, Polskę i Europę całą, i nabyła niezwyczajnego rozgłosu. Była ona bowiem zbyt krwawym i wymownym dowodem, że na Rusi powstanie niema podścieliska żadnego, że lud jest mu przeciwny, że zatem ruch polski jest wytworem sztucznym i bez przyszłości. Że w tej nienawiści chłopu ukraińskiego do „pohanawo Lacha“, dużą rolę odgrywały stare rachunki ludowe ze szlachtą polską, za które teraz wnuczeta tej szlachty ciężko pokutować musiały, to nie ulega wątpliwości, ale niemniej, że do krwawego wybuchu tej nienawiści przyczyniła się bardzo wiele, bodaj czy nie najwięcej, niegodna miejscowa administracja rosyjska, to dla każdego wtedy i dziś jest rzeczą oczywistą. Gdyby nie jej podszepty, namowy, podburzania, chłop ukraiński byłby zapewne krzywo patrzył na powstanie, nie brałby w niem nigdzie udziału, ale z pewnością nie byłby się porwał do topora i kłonicy, by nie-
onie mordować tych, którzy wykarmieni ideałami demokratycznej literatury emigracyjnej, szli doń ze słowami miłości i wolności. Za to historia nie przedstawia nam drugiego podobnego przykładu ofiarnej ekspijacji za grzechy ojców, jakiej dowody dała garść młodzieży ukraińskiej, która złożyła hekatombę z ciał swoich za ideę niewątpliwie podniosłą, choć marzycielską. Wypadki w Sołowijówce oblewają ruch polski na Ukrainie tak pięknem, tak jasnem światłem, że pod jego blaskiem giną wszystkie cienie, wszystkie błędy i marność powstania styczniowego

godzą najbardziej pesymistycznie usposobiony umysł z ludzkością. Tak idealną ofiarność spotkać można chyba

uniwersytetu kijowskiego w swym bezecnym paszkwile p. t. „Wzrostanie Polaków w jugo-zapadnoj Rossii“. Wyrzucają mu jego polskość i ducha buntowniczego. Takiego haniebnego służalstwa chyba nigdzie na świecie wśród ludzi, oddanych niby nauce, spotkać nie można.

tylko w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, w epoce Dyoklecjanów i innych, gdy wyznawcy Chrystusa szli konać w cyrkach rzymskich cesarów, by dać świadectwo idei, którą uznawali i którą głosili. Wypadki te nie pozostały bez wpływu i na lud ukraiński. Od owej nocy majowej, tak krwawo zaznaczonej w Sołowijówce, mieszkańców jej zwano powszechnie „rezuniami“, unikano z nimi stosunków, brzydzono się krwią niewinną, którą się splamili. Sami oni w zabobonnej wizji zdawali się widzieć dusze zabitych, błakające się po nocach i wołające „Chryste pomyluj“, a ta prośba mar fantastycznych, raczej była błaganiem Boga o miłosierdzie nad mordercami, jak nad pomordowanymi.

Ale nie na tem miały się skończyć krwawe i bolesne dzieje powstania ukraińskiego. Oprócz bowiem dwóch partyi, wyszłych z Kijowa, których tragiczną historię opowiedzieliśmy, było jeszcze kilka, które wystąpiły w pole w powiatach środkowej Ukrainy, a mianowicie: wasylkowskim, kaniowskim, taraszczańskim, skwirskim i berdyczowskim. Ukraina południowa, Humańszczyzna i Smilańszczyzna wcale nie powstała. W tych oddziałach, których dzieje nie są dotąd dobrze znane, podobne sceny jak w Sołowijówce nieraz się jeszcze odegrać miały. Najsilniejszym stosunkowo było powstanie w powiecie wasylkowskim, w którym leżą obszerne dobra białocerkiewskie hr. Branickich, w których mnóstwo Polaków służyło. Z chwilą wybuchu powstania w tych stronach, Annenkov mianował naczelnikiem wojennym pięciu powiatów, t. j. kaniowskiego, taraszczańskiego, skwirskiego, wasylkowskiego i kijowskiego (oprócz samego Kijowa), znanego nam już ze swych Murawiewowskich pożądań, generała Krenke. Posiadał on w swem rozporządzeniu oprócz brygady saperów dwa szwadrony ułanów smoleńskich, cztery setki kozaków dońskich i batalion pułku białostockiego. Gdy mu wkrótce potem odebrano kozaków, otrzymał na ich miejsce trzy kompanie strzeleckie pułku połtawskiego piechoty. Były to więc znaczne siły, wynoszące kilka tysięcy ludzi i koni, aż nadto

wystarczające do stłumienia słabego powstania, bez uciekania się do pomocy chłopów, bez budzenia żywiołowych i zawsze niebezpiecznych namiętności w ludzie. Ale Krenke należał właśnie do tych specyficznie rosyjskich demagogów, którzy podobnie jak Murawiew, u siebie, w Rosyi, oburzali się na usamowolnienie ludu i radzi byli trzymać go nadal w ciężkiej niewoli, ale na Litwie i Rusi podszczuwali go przeciw właścicielom polskim, i najszczodroblewszą okazywali ofiarnosć z cudzej kieszeni.

Naczelnikiem wojennym w powiatach: zwenigrodzkim, czerkaskim, czechryńskim, humańskim i lipowieckim, został generał Baggowut, a berdyczowski podlegał gubernatorowi wołyńskiemu, kniaziowi Druckiemu-Sokolińskiemu. Krenke otrzymał nominację d. 11 maja, t. j. w chwili, gdy powstanie ukraińskie już prawie nie istniało, utopione w krwi, wylanej przez chłopów, i Krenke miał już tylko umierający ruch dobić doszczętnie. Żegnając się z Annenkowem, zażądał od niego instrukcyi, a gdy ten rozkładając ręce, zawołał: „Cóż ja tutaj mogę panu powiedzieć? wszystko zależeć będzie od pana“ — Krenke począł rozwijać swą teorię — widocznie od Murawiewa i partyi Samobytników zapożyczoną, że należy skorzystać z obecnego powstania, że rozwiązuje ono Rosyi ręce, że trzeba teraz wyrwać z Rusi żywioł polski z korzeniem“. Ale Annenkow sprzeciwił się temu, nie chciał drażnić Europy, był zresztą człowiekiem ucywilizowanym i w gruncie rzeczy nieusposobionym względem nas wrogo¹⁾.

Jakieśmy rzekli, z chwilą wyruszenia Krenkego do miejsca swego urzędowania, powstanie prawie już nie istniało. W powiecie wasylkowskim sformowały się cztery małe, drobne, nigdzie nieprzenoszące cyfry stu kilkudziesięciu ludzi oddziały, do których dostarczyła ochotników przeważnie Białocerkiewszczyzna hr. Branickich. Pierwszy z nich sformował się w zachodniej części powiatu, koło wsi Szaramajówki i ściągany przez oddział saperów pod

wodzą kapitana Czystiakowa, dopadnięty został pod wsią Mirówką, gdzie spędzone tłumnie chłopstwo, ostatecznie go rozbiło. Inny oddział wytępiony został pod wsią Kisłówką przez chłopów, którymi kierował niejaki Masłow, komisarz włościański (mirowy pośrednik), który ze szczególnego rodzaju gorliwością zajmował się działaniem przeciw powstańcom, i potworzył wszędzie strażę wiejskie. W powiecie taraszczańskim stanął na czele oddziału miejscowego niejaki Adam Zieliński, oficer rosyjski (podporucznik saperów) pod pseudonimem Lucyana Woli. Była to jedna z liczniejszych partyi ukraińskich, liczyła podobno od 400 do 500 ludzi i utworzyła się w powiecie kaniowskim, pod wsią Bohusławiem, majątności należącej do dóbr hr. Konstantego Branickiego. Składała się ona prawie wyłącznie z licznych oficyalistów tego magnata. Po odprawieniu nabożeństwa w miejscowym kościele i po pobłogosławieniu przez proboszcza, wezwano popa prawosławnego, ażeby odczytał zebranemu ludowi „Złotą hramotę“, ale gdy pop, unikając tego zaszczytu, gdzieś się schował, jeden z powstańców tego dokonał i kilka egzemplarzy „hramoty“ rozdano chłopom. Po kilku marszach w kierunku powiatu taraszczańskiego, oddział napadnięty przez cztery kompanie piechoty rosyjskiej, pod dowództwem pułkownika Domnaszewa, między Koszowatą i Łuką i bandę chłopów, uległ rozbiciu. Sam Zieliński schwytany, został rozstrzelany d. 30 maja w Kijowie. Wszystkie te oddziały i parę drobniejszych, o których nie wspominamy tutaj, okazywały wogóle mało bitności, dawały się mordować chłopom i stawiały bardzo słaby i niedołężny opór napadającym.

Sławę waleczności polskiej na Ukrainie ocalił oddział berdyczowski. Oddział ten utworzył się w nocy z d. 8 na 9 maja, wśród ulewnego deszczu, pod wsią Błazejówką, gdzie objął nad nim dowództwo Platon Krzyżanowski, syn gubernatora penzeńskiego, wyznania prawosławnego, niegdyś oficer rosyjski, potem w 1831 r. major polski, stary już, siedmdziesiąt lat blisko liczący, z nogami opuchłymi i tak niedołężny, że go musiano na konia wsadzać. Z po-

¹⁾ W. D. Krenke loc. cit.

czątku zebrało się zaledwie siedmdziesiąt parę koni, które podzielono na dwa plutony i oddano pod dowództwo Władysława Padlewskiego, ojca wojewody płockiego Zygmunta, dziedzica wsi Mała Czerniawka w powiecie berdyczowskim, niegdyś biorącego udział w powstaniu 1831 r., następnie głośnego na Rusi ze swego hulaszczego życia i należenia do Bałagulów, których wicekrólem był zwany. Przez kilka dni z rzędu maszerowano w kierunku południowym, ogłaszając wszędzie „Złote hramoty“, z zamiarem przedostania się do powiatu skwirskiego i lipowieckiego i połączenia się z tamtejszem powstaniem. Przez ten czas oddział wzrósł w siły, tak, że ostatecznie liczył około 200 konnych i kilkudziesięciu ludzi piechoty¹⁾. Przybywszy d. 11 maja do wsi Wiktorówki, dowiedziano się, że ściga powstańców kompania pułku kremieńczuskiego piechoty rosyjskiej, pędząca za nimi na podwodach, oraz nieco dragonów. Prócz tego doniesiono, że we wsi Białej, pięciu dragonów strzeże stacyi pocztowej. Napadnięto na nich, wzięto do niewoli, a poczthaltera, Taksa nazwiskiem, słynnego łotra, szpiega i donosiciela, schwytano i powieszono. Niemniej zaatakowana dzielnie kompania piechoty została odrzuconą, i zabrano jej 29 jeńców, których karabiny dostały się słabo uzbrojonej dotąd piechocie polskiej.

Wśród tego wszystkiego, we wsi Turbowie, zjawiał się jeden z obywateli powiatu taraszczańskiego i doniósł, że powiat ten powstał, że sformował się oddział z 600 ludzi złożony, że w jakiejś potyczce odniósł zwycięstwo i że wzywa berdyczowskich powstańców, aby się z nim połą-

¹⁾ A. Giller, *Historja II*, 381, na podstawie artykułu p. t. «Kilka mogił ukraińskich», wydrukowanego w czasopiśmie «Ojczyzna» z roku 1865, ocenia siły oddziału Krzyżanowskiego na 150 jazdy i czterdziestu kilku piechoty. Nasza relacya oparta jest na dwóch źródłach rękopiśmiennych, będących w naszym posiadaniu. Jednem z nich jest krótkie, ale treściwe i jasne opowiadanie p. hrabiego Romana Bnińskiego, skreślone dla autora niniejszego w r. 1874 w Krakowie; drugim pamiętnik Władysława Padlewskiego, pisany w więzieniu kijowskim w r. 1863 i łaskawie nam przez rodzinę użyczony.

czyli; że ledwie się tam ukązą, zaraz co najmniej o 150 ludzi zbrojnych się wzmocnią, donoszono również, że powstał powiat lipowiecki, że usztyftował partyę z 200 ludzi pod wodzą niejakiego Sroki, i że także dąży do złączenia się; że w razie gdy to ostatnie powiedzie się, naczelne dowództwo nad tak zebranymi siłami Ukrainy, obejmie niejaki Sawa, pod którym to pseudonimem ukrywał się oficer wojska rosyjskiego, Rudnicki. Wiadomości te, którym chętnie wierzono, bo zawsze się wierzy dobrym wieściom, zdecydowały naczelników do wyruszenia w kierunku powiatu lipowieckiego. Niektórzy wprawdzie sprzeciwiali się temu, twierdząc, że obowiązkiem oddziału jest podtrzymanie powstania we własnem powiecie, ale nie słuchano ich i słusznie, bo powstanie mogło istnieć tylko przy wyjątkowej ruchliwości, przy przerzucaniu się szybkim z miejsca na miejsce, łączeniu się w razie potrzeby w większe kolumny, by znowu potem się rozdzielić. Ograniczanie się na jednym powiecie, sprzeciwia się stanowczo duchowi małej wojny, jaką z konieczności niewyćwiczone, nieliczne i źle uzbrojone powstanie prowadzić musiało, i w ostateczności wcześniej czy później do nieuniknionej porażki wiedzie. Dlatego też dobrze zrobił Krzyżanowski, że zdecydował się na marsz, wyprowadzający go z ciasnego obrębu Berdyczowszczyzny; źle tylko postąpił w tem, że nie przekonał się, czy powyższe wiadomości są prawdziwe. Według niektórych relacyi, Krzyżanowski, acz niby wódz oddziału, w tem postanowieniu odgrywał zupełnie bierną rolę, a wszystko robił naczelnik cywilny powiatu, Czekoński; to też czy z tego powodu, czy że widok na pół niedołężnego starca, ochryplego, z obrzękniętymi nogami, z trudnością dosiadającego konia, budził doń nieufność, dość, że w oddziale poczęto myśleć o powierzeniu kierownictwa komu innemu; ale teraz wypadki tak szybko się rozwijały, że czas nie pozwolił na dokonanie tej zmiany. Dnia 14 maja bowiem zbliżono się do wsi Bułhaje, gdzie miano zatrzymać się na noc i tutaj otrzymano wcale niepocieszające wiadomości. Spotkano się z reprezentacją lipo-

wiecką, która oświadczyła, że w powiecie tym powstania wcale niema, że dla jego uorganizowania trzeba najmniej dziesięciu dni czasu, co zresztą nie było zbyt pewnem; następnie nadeszły wiadomości, że powstanie skwirskie upadło, że taraszczańskie zostało wyłapane, że nieudało się w powiecie radomyskim, że kijowskie skonało w potokach krwi pod Sołowijówką. Okazało się zatem, że w tej chwili na całej przestrzeni Ukrainy, stał zbrojny jeden tylko oddział berdyczowski, i że marsz ku powiatowi lipowieckiemu był zupełnie bezcelowym i narażał partyę na niechybną klęskę. Zwołana w nocy narada wojenna wobec tego zdecydowała, ażeby wyruszyć ku powiatowi winnickiemu na Podole, dla połączenia się z Różyckim, o którym miano wiadomości, że pomaszerował właśnie w tamte strony; oraz żeby niedołącznego Krzyżanowskiego usunąć, a dowództwo oddać Padlewskiemu. Z powodu jednak spóźnionej pory, wykonanie tych uchwał odłożono do dnia następnego.

Tymczasem w nocy nadbiegła wiadomość, że ku obozowisku polskiemu nadciąga pospiesznie nieprzyjaciel. Kolumna jego składała się z dwóch kompanii piechoty pułku kremieńczyńskiego i zabalkańskiego, pod wodzą, jeżeli się nie mylimy, majora Kaszniewa. Siła ta nie wydawała się zbyt groźną. Oddział polski bowiem był doskonale uzbrojony, siedzący na dzielnych koniach, podzielony na dwa szwadrony, liczący około 260 ludzi razem z piechotą; dlatego wielu było za tem, ażeby dać pole Rosyanom, którzy już o wczesnym świcie, bo o godz. 3 rano, ukazywać się poczęli. Pozycja jednak dla jazdy, stanowiącej główną siłę oddziału, nie była odpowiednią. Wieś Bułhaje, jak większość wsi ukraińskich, leży w opłotkach i sadach, które nie pozwalały jeździe rozwinać się odpowiednio; dlatego Krzyżanowski słusznie postąpił, nakazując natychmiastowy odwrót, zwłaszcza, że obok wysiadającej pospiesznie z podwód piechoty, ukazały się pędzące kłusem dwa szwadrony dragonów i tłumy krzyczących głośno chłopów, uzbrojonych w kosy i cepy. Z taką siłą, wynoszącą ogółem około 600 ludzi, trudno było mierzyć się garstce dwustu kilku-

dziesięciu wojowników. Odwrót rozpoczął się w porządku. Piechota osadzona we wsi na grobli i za murem ogrodu dworskiego, osłaniała zrazu gęstym ogniem rejteradę, poczem gdy jazda i tabor wydobył się ze wsi, ściągniętą została szybko. Ruszono w kierunku powiatu skwirskiego, ku miastu Pohrebyszczom, gdyż w powiecie tym nieprzyjaciela prawie nie było, gdyż ten po pokonaniu powstań tamtejszych, wszystkie swe siły rozporządzałne skierował ku powiatowi berdyczowskiemu dla ostatecznego zgniecenia jedyne go, jeszcze istniejącego oddziału Krzyżanowskiego. Miano więc nadzieję, że drogą, nieco przydłuższą i okolną, ale bezpieczną, partya zdoła się przedostać na Podole do Różyckiego. Posuwano się gościńcem, mającym po lewej laski, a po prawej jary i wzgórza; pochód był powolny, tak, że niebawem dragoni i piechota rosyjska na podwodach dopędziła oddział. Zrazu Krzyżanowski miał widocznie zamiar dalej ustępować, ale jeden z oficerów, hr. Roman Bniński, znający dobrze tę miejscowość, zwrócił uwagę dowódcy, że jest to jedyna pozycja, na której korzystnie spotkać się można z piechotą, że dalsze cofanie się bez nadziei obejścia otaczających wojsk, może tylko zdemoralizować oddział, który jeszcze w dobrym ogniu nie był ani razu. Uwagi te poskutkowały. Krzyżanowski wpadł nagle w animusz wojenny i począł wołać: „A cóż to? czy na tośmy wyszli, żeby uciekać? bić się będziemy i basta!“ Wtedy Padlewski przeciw przyjęciu walki zaproponował; twierdził, że pozycja nie potemu, że laskiem, znajdującym się po lewej stronie, może zająć piechota i wziąć oddział z boku; że lepiej cofnąć się za Pohrebyszczę, oddzielić przez to dragonów od piechoty i na równinie stoczyć z samą jazdą potyczkę. Ale Krzyżanowski nie chciał już słuchać; zatrzymano kolumnę i poczęto się formować w szyk bojowy. Przeciw rozsypującej się w tyraliery piechocie wysłano dwa plutony (Bnińskiego i Tanajewskiego), pod wodzą Szostaka, dymisyonowanego oficera wojsk rosyjskich, które z początku dzielnie wytrzymały dalekośny ogień; powoli jednak wkradać się za-

częło zamieszanie, z głównej kolumny nawet parę plutonów heroicznie drapnęło z pola bitwy. Reszta jednak, złączywszy się w jedną gromadę i uszykowawszy się jako tako, po odsunięciu się od piechoty nieprzyjacielskiej, śmiało uderzyła na dragonów. Szarżowano na nich dwukrotnie. „Pierwsza szarża, opowiada uczestnik tego boju¹⁾, była dobra; i konie i kawalerzyści szli rażno i ochoczo; przełamaliśmy dragonów. Na nieszczęście, lance nasze były źle obsadzone, albo chłopaki nasi niezręcznie tą bronią robili; po pierwszej szarży wiele lanc było złamanych — a przy naszym, dość dobrem, ale niezupełnem uzbrojeniu, był to wypadek fatalny, bo rozbrojenie większej części oddziału. Druga więc szarża, po nowem sformowaniu się dragonów i naszego oddziału, poszła mniej dobrze, skończyła się rozbiciem naszym. W tem drugim starciu było już nas niespełna 80. Ogólny rezultat potyczki z dragonami był następujący: z naszej strony 27 zabitych, 43 rannych; ze strony dragonów 49 zabitych; dowodzący nimi major silnie poraniony, umarł, nim go donieśli do pobliskiej chaty; zastępca jego, młody oficer, padł na placu od cięcia, zadanego przez plutonowego oficera Tyszkiewicza. Rannych mieli dragoni 75²⁾. „Po tej scenie, opowiada inny świadek²⁾, rzecz niepojęta, gdzie tyle było dowodów odwagi i energii, wracając z szarży, jeźdźcy nasi, rażeni strzałami piechoty z lasku, poszli w rozsypkę, nie gonieni przez nikogo. Tu dopiero przedstawił się okropny widok; cały oddział w pędzie koni biegnący, wozy porozbijane, bagaże porozrzucane, piechota, która była na wozach, jedni bez czapek pieszo, drudzy chwyтали dragonie konie, które bez jeźdźców wraz z oddziałem naszym pędziły; z taką paradą rozsypańi wbiegli do miasta Pohrebyszcz. Dragoni sformowani w zmniejszonym po boju szeregu, pędzili klusem lekkim, nie zbliżając się do nas zbyt, i o pół wiorsty

¹⁾ Hr. Roman Bniński.

²⁾ Władysław Padlewski.

od Pohrebyszcz, pod krzyżem za mostkiem stanęli, skąd później, postawszy trochę, wrócili⁴⁾.

Na pobojuwisku tymczasem odbywały się, zwykłe w tej wojnie, sceny dobijania i pastwienia się nad rannymi zdziechałego żołdactwa rosyjskiego, w czem skutecznie dopomagały mu bandy uzbrojonego chłopstwa. Chowających się powstańców po domach i zabudowaniach dworskich w Pohrebyszczach, chłopci odszukiwali, z krzykiem ich wiązali, bili i kaleczyli. Władysława Padlewskiego, który nie chcąc użyć broni przeciw otaczającemu go chłopstwu, poddał się dobrowolnie, okropnie skatowano, oberwano mu wasy, wybito zęby i cały krwią zlany, został rzucony na wóz wraz z 38 towarzyszami niedoli i później odesłany do Kijowa, gdzie go rozstrzelano w listopadzie 1863 r. Hr. Roman Bniński, ciężko ranny, schronił się do apteki i byłby może ocalał, gdyby nie siostra aptekarza, która o pobycie rannego doniosła. Wywleczony z łóżka, wśród naigrzań się odesłany został do Kijowa, a stamtąd na Sybir. Sceny takich gwałtów chłopskich, na które władze i wojsko patrzyło obojętnie, trwały w Pohrebyszczach i okolicy trzy dni całe, które dla nieszczęśliwych jeńców wiekiem się wydawały, nim nakoniec wywieziono ich do stolicy Ukrainy. Po tej ciężkiej klęsce, zebrało się koło 80 ludzi w szeregowieckim lasku, w pobliżu Niemierzynie, gdzie Krzyżanowski oddział opuścił i oddał się w ręce rosyjskie; przewieziony do Kijowa, został tam stracony we wrześniu¹⁾. Naczelnik powstańcy powiatu, Leon Czekoń-

¹⁾ Wyrok na niego, ogłoszony w gazetach, brzmiał jak następuje: „Po przeprowadzeniu w sądzie polowym śledztwa w sprawie dymisjonowanego rotmistrza Platona Krzyżanowskiego, okazał się on winnym, że dowodził bandą uzbrojonych buntowników i kazał powiesić poczmistrza Taksa, stacy pocztowej rotmistrzowskiej. Za zbrodnię tę, dowodzący wojskami okręgu wojennego kijowskiego, generał-adjutant Annenkov, z mocy nadanej mu władzy, na zasadzie najwyżej zatwierdzonych dnia 23 maja r. b. przepisów o procedurze i sądzie nad schwytanymi buntownikami polskimi, oraz art. 174, 175, 177 i 178 księgi praw wojennych karnych, postanowił: Krzyżanowskiego, po pozbawieniu stopnia szlachectwa i wszystkich praw stanu,

ski, garstkę tę poprowadził do błazejowickiego lasu i tam ostatecznie rozpuścił.

Taki miało przebieg i koniec powstanie ukraińskie. Trwało ono znacznie krócej od wołyńskiego, bo zaledwie jakieś kilka dni, ale przez ten krótki przeciąg czasu zaznaczyło swą egzystencję tak obfitym przelewem krwi, taką burzą nienawiści ludowej, że ci, którym szło o krwawe oznaczenie granic przyszłej Polski, mogli być zupełnie zadowoleni. Ta krótkotrwała wojna prowadzona była bez żadnego planu, bez żadnej myśli wojskowej; jedynym ideałem i jedynym celem powstańców ukraińskich było ogłaszanie „Złotych hramot“, i o nie im nie szło, jak tylko o to, by te „hramoty“ dostały się do rąk ludu, który ich czytać nie chciał i oddawał władzom rosyjskim. Te to hramoty zgubiły głównie oddział berdyczowski, który, gdyby był się niemi nie zajmował, miał czas przedostania się do Różyckiego i uniknięcia krwawego pogromu w Pohrebyszczach. Oprócz tej, jakby zasadniczej idei powstania ukraińskiego — nie widzimy ani w jego czynach, ani ruchach, żadnego celu, żadnego planu trzeźwego i jasnego. Wszystkie oddziały zebrawszy się nie wiedzą naprawdę dokąd iść i co robić, poza odczytywaniem nieszczęsnych „Złotych hramot“. Uderzającym przytem jest to, że powstańcy przejęci marzycielską ideą uzyskania sobie ludu, nigdzie nie stawiają oporu napaściom tego ludu, choć mieli czas przekonać się, że idea ich urzeczywistnić się nie da, że dzikie, hajdamaczyzną przesiąknięte tłumy, miłością i ofiarnością krwi przejednać się nie dadzą, że owszem, należy się bronić i siłą i krwawym przykładem zmusić te masy do posłuszeństwa i pokory. Zbiera się np. partya na wschód do Białocerkwi, koło wsi Hrebianki, i daje się rozbić, powiązać i mordować chłopom pod wodzą Iwana Szadury, sta-

ukarać śmiercią przez rozstrzelanie». Wyrok ten wykonany został dnia 25 września, o godz. 6 rano w rowie cytadeli kijowsko-peczerskiej, wobec garnizonu kijowskiego. O tem, z rozkazu generał-adju-tanta Annenkowa, podaje się do powszechnej wiadomości.

rosty saliwońskiego. Kona heroicznie w Sołowijówce garść najdzielniejszej młodzieży, choć obronić się mogła. Oddział, który wyszedł z Bohusławia, pada pod ciosami chłopstwa, któremu przewodzi komisarz włościański Masłow. Padlewski, obskoczony przez chłopów w Pohrebyszczach, nie broni się wcale, bo jak sam powiada: „czując, że świętość sprawy na sympatyi ludu spoczywa“, poddaje się, by uleść straszmemu obejściu. Wszystkie te fakta powinny były przekonać powstańców ukraińskich, że na lud liczyć nie mogą, że sentymentalne ideały, obietnice „Złotej hramoty“ tych dzikich, podnieconych przez niegodną administracyę rosyjską tłumów, nie zyskają dla powstania, że jedynie siła może je uśmierzyć. Nie uczyniono tego nigdzie i ruch skończył się nie tyle pod ciosami bagnietów rosyjskich, ile pod ciosami kos i cepów chłopskich. Powstanie to zresztą wtedy tylko mogło się utrzymać i trwać dłużej, gdyby obiecana z zewnątrz zbrojna poręka, była przyszła do skutku. Ale niestety! jak wszystko w tej wojnie, tak i ona zawiodła zupełnie.

Jakież były przyczyny tego zgubnego i oplakanego zawodu?

Jak wiemy, Wysocki mianowany naczelnym wodzem Rusi, ułożył się w Sidorowie z Różyckim i Miłkowskim, że na czele zbrojnego i liczego oddziału, uorganizowanego w Galicyi wschodniej, wkroczy na Wołyń i poprze tamtejsze powstanie. Tymczasem organizacya tego oddziału wlokła się tak powoli i tak niedołącznie, że powstanie wołyńskie stłumione zostało, Różycki przeszedł do Galicyi i naprawdę nie było już komu i czemu ręki podawać. Różne były przyczyny tej fatalnej dla powstania ruskiego zwłoki. Przedewszystkiem główny kierownik Komitetu Galicyi wschodniej, w którego zakres właśnie wchodziło popieranie powstania na Rusi, ks. Adam Sapieha, był stanowczo przeciwny tak samemu powstaniu tych prowincyi, jak i popieraniu jego. Jeżeli co do pierwszego ks. Sapieha miał wiele za sobą słuszności i twierdząc, że powstanie to niema żadnych podstaw i tylko szereg nieszczęść sprowa-

dzi na te prowincye, co się w zupełności sprawdziło, okazał dużo patryotycznej przenikliwości, to co do drugiego, gdy to powstanie tamże stało się faktem spełnionym, zdaniem naszym, ks. Sapieha nie miał racyi. Gdy krew się lała, gdy od Styru po Dniepr grzmiały odgłosy walki i wrzawy chłopskiej, nie czas było rozprawiać, ale należało nieść pomoc nieszczęśliwym powstańcom, konającym na polach Miropola, Sołowijówki, Pohrebyszcz i wielu innych pobojowisk. Ale Sapieha opierał się do ostatka zamierzonemu przez Rząd Tymczasowy warszawski poparciu powstania ruskiego. Jeszcze przed wybuchem tegoż, wczesną wiosną Komitet dla Galicyi wschodniej, oczywiście pod wpływem ks. Sapiehy, wysłał do Warszawy niejakiego Ksawerego d'Abancourt z poleceniem dotarcia koniecznie do członków Rządu Tymczasowego i starania się bądź co bądź, aby to postanowienie cofnięto. Gdyby wszakże wysłaniec widział, że starania jego są daremne, miał żądać przynajmniej zwłoki i przybycia jednego z członków Rządu Tymczasowego dla zetknięcia się i porozumienia z delegatem Komitetu galicyjskiego. Ale pan d'Abancourt wrócił, nie nie uzyskawszy, prócz tego, że ma zjechać do Krakowa członek Rządu Narodowego, Agaton Giller, który wobec grożącego Rządowi zamachu majowego ze strony ultraczerwonych, rad był dość wcześnie się usunąć i skorzystał z tej sposobności, by wymknąć się za granicę. Zjechał się z nim w Krakowie, jako delegat Komitetu galicyjskiego, ks. Sapieha, i przez dwa dni toczono z Gillerem i członkami Komitetu krakowskiego narady w hotelu Saskim. Sapieha twierdził, że wyprawa na Wołyń jest z punktu politycznego widzenia na razie zupełnie niepotrzebną, że tylko nadaremnie zmarnuje wiele pieniędzy i wiele krwi. Ta opozycja Sapiehy oburzyła innych członków narady. Pan Stanisław Koźmian cytował telegram z Paryża, jakoby „cesarz Napoleon powiedział, że krew przelana oznaczy granice przyszłej Polski“ (Empereur a dit, sang qui coulera, marquera frontiéres de la future Pologne), a pan Paweł Popiel wołał w uniesieniu: „Znalazł się niestety! jeszcze magnat, który

chce powtórzyć Targowicę!“ Wobec tego Sapieha uległ, na wyprawę się zgodził i popierać ją obiecał, usiłował tylko przekonać Gillera, że wybór Wysockiego na jej wodza jest stanowczo złym, że jest to starzec chory i niedołężny; ale i te przedstawienia na nic się nie zdały¹⁾.

¹⁾ Relacya rękopiśmienna ks. A. Sapiehy w zbiorach autora. Pan Koźmian w swem dziele «Rzecz o r. 1863» I, 107 inaczej przebieg tej sprawy przedstawia. Twierdzi on, że po powrocie swym z Paryża, udał się na drugi dzień do Lwowa, że narada tam się odbyła w mieszkaniu ks. Sapiehy, że był na niej obecny Franciszek Smolka i Floryan Ziemiałkowski. Zdaje się, że p. Koźmianowi pamięć nie dopisała. Smolka już wtedy nie był członkiem Komitetu dla Galicyi wschodniej, a ks. Sapieha nie przypomina sobie tej narady u niego. Dalej p. Koźmian utrzymuje, że wcale nie mówił o krwii oznaczonych granicach, że był przeciwnym wyprawie wołyńskiej. — Oto jego słowa: «...Oświadczyłem, że osobiście jestem przeciwny wysłaniu oddziału na Wołyń, uzasadniając moje zdanie tem, że zupełnie to jest niepotrzebne dla akcji zewnętrznej, na którą jedynie rozsądni ludzie liczyć muszą, zapewniając, iż nigdy cesarz Napoleon, a dodałem i Walewski, nie powiedzieli, że krew powstania nakreśli granice przyszłej Polski, a zwracając uwagę na niebezpieczeństwo społeczne, wynikające z partyzantki w «Zabranych prowincjach», która mogłaby wywołać katastrofę, odsłaniającą nasze słabe strony, a tem samem najgorsze, najniekorzystniejsze dla sprawy wrażenie i skutki, właśnie za granicą i ze względu na toczące się tam układy. Silnie mnie poparł Smolka i w sposób, który mi na zawsze pozostał pamiętnym, a wpoił we mnie przekonanie o niepospolitych zdolnościach politycznych i sędzie tego męża. Argumentował mniej więcej tak, jak ja, tylko lepiej i wytrawniej, i zakończył: wyprawa na Wołyń żadnej nie przyniesie sprawie korzyści, a narazimy nią obywatelstwo tamtejsze na wyrznięcie przez chłopów. Ks. Adam Sapieha był przeciwnego zdania i ostro się stał ze Smolką; Ziemiałkowski milczał».

Czy p. Koźmian był przeciwny wyprawie na Ruś, rzecz ta jest drugorzędного znaczenia, acz zachowanie się jego na naradzie w Krakowie w hotelu Saskim, zgola do innych wniosków upoważnia; co zaś do owych słów cesarza Napoleona, czy ministrów francuskich, to sam p. Koźmian na str. 90 swego dzieła, nie śmie temu zaprzeczyć, że słowa takie były wypowiedziane przez ministra Walewskiego. Słyszał je ks. Władysław Czartoryski i ojciec p. Koźmiana, i dlatego jest bardzo prawdopodobnem, że autor «Rzeczy o r. 1863» mówił o nich we Lwowie, czy, jak ks. Sapieha utrzymuje, w Krakowie.

Wyprawa ta, jakeśmy rzekli, przygotowywała się długo i z wielu względów niedoleżnie. Już same te przygotowania, prowadzone wolno i przy zwykłej gadatliwości polskiej, nie mogły być utrzymane w sekrecie i władze rosyjskie doskonale o nich wiedziały. Wspomniany już przez nas konsul rosyjski w Brodach, Eberhard, w ostatnich dniach maja donosił gubernatorowi jeneralnemu Annenkowowi, że oddział powstańców ma przejść granicę w powiecie dubieńskim i pomaszeruje lasami ku powiatowi żytomierskiemu, że w Brodach znajduje się bardzo wielu powstańców, gotowych do pochodu, że w niektórych domach rozkwaterowano ich po pięciu, wcale dobrze uzbrojonych, że broń przechowywaną jest po wsiach okolicznych i t. p.¹⁾ Informacye te, pod wielu względami, były prawdziwe.

W rzeczy samej, na granicy zaboru rosyjskiego, od Sokała aż do Wołoczysk formowały się owe oddziały, których przeznaczeniem było pod naczelnictwem Wysockiego wkroczyć na Wołyń. Formacya ta pochłaniała znaczne sumy, dostarczane w przeważnej części przez Ruś samą i Rząd narodowy, i według wiarogodnych relacji pieniędzy wcale nie szcędzono. Wysocki, stary żołnierz polski i wy-

Pod tym względem relacya ks. Sapiehy zdaje się być prawdziwą, i dlatego poszliśmy za jego podaniem. Prócz tego, ks. Sapieha w swej rękopiśmiennej relacji, dodaje uwagę następną: «Pan Stanisław Koźmian zawsze nam przedstawiał zdanie: «Empereur a dit» itd., jako pochodzące z hotelu Lambert. Sprawdziłem to też w 1864 r. w gabinecie cesarza Napoleona w St. Cloud, gdzie przywołany Władysław Czartoryski przyznał się, że dopiero później się dowiedział o wysłanym przez Andrzeja Koźmiana (ojca autora «Rzeczy») telegramie o krwi mającej oznaczyć granice przyszłej Polski».

Dotąd Sapieha. Z relacji jego, jeżeli ona jest prawdziwą, ten tylko wniosek wyciągnąć się da, że historia owych fatalnych i tyle nieszczęść na Polskę mających sprowadzić słów, jest dotąd bardzo niejasną, i że w sprawie tej obaj Koźmianowie, ojciec i syn główną odegrali rolę. Jaką była ta rola? trudno przy znanych nam dokumentach wydać sąd stanowczy.

¹⁾ *Fr. Rawita Gawroński*, Rok 1863 na Rusi I, 149.

robiony w szkole W. Ks. Konstantego, nie rozumiał wojska bez mundurów, na które też wydano poważne fundusze. Kupiono we Francyi nawet drukarnię polową, która miała być przewożona na trzech koniach, ale Francuzi obliczyli jej ciężar na swe wielkie perszerony, tu zaś takich nie miano. Drukarnia więc nie poszła na wyprawę i Sapieha kazał ją zakopać w ziemię, gdzie zapewne dotąd leży, ale tym sposobem pieniądze na nią wydane były marnie wyrzucone. Komitet Galicyi wschodniej, a głównie ks. Sapieha protestował i opierał się jak mógł tym wszystkiemu niepotrzebnemu wydatkom, ale w części mu się to tylko udało¹⁾. Broni dostarczył agent rządowy w Belgii, znany ze swych działań powstańczych obywatel z Księstwa Poznańskiego, Aleksander Guttry. Zakupił on na tę wyprawę 600 starych karabinów w Liège, w ogólności nie wiele wartych, skałkowych, bez kurków, a nawet niekiedy bez luf; wiele sztuków miało kominki na kapsle wcale nieprzeziurawione. Ogółem ekspedycya ta miała kosztować według jednych przeszło milion złotych reńskich, a według innych niespełna 300 tysięcy złotych polskich (rb. 44.909 kop. 23), co stanowi zbyt wielką różnicę, by obie cyfry mogły być prawdziwe²⁾.

¹⁾ Komitet ciągle protestował przeciwko tym wszystkim wymaganiom przyborów kosztownych, które nie mogły z tej malej garstki zrobić kadrów wojska regularnego, a zmieniały niejako naturę i charakter tych gromad partyzanckich, które są istotnym wyrazem dzisiejszego ruchu, jego właściwą i wybitną cechą — czytamy w «Sprawozdaniu Komitetu Galicyi wschodniej» z dnia 15 sierpnia 1863 r., wydrukowanem w tomie II, p. 38 i nast. «Wydawnictwa materyałów do historyi powstania», z oryginału, znajdującego się w bibliotece Dzieduszyckich we Lwowie.

²⁾ Cyfrę 300 tysięcy zł. p. podaje rachunek, znaleziony w papierach Wysockiego, a wydrukowany przez *Strusia* w «Wydawnictwie materyałów do historyi powstania» II, 25. Rachunek ten twierdzi, że od początku powstania do dnia 27 maja 1863 r. otrzymano wogóle na kosztą zbrojnych wypraw na Ruś, rubli 83.734 kop. 44. Na tę sumę składały się pieniądze, przysłane przez Komitety ruskie (wołyński, podolski i kijowski) w ogólnej sumie rubli 62.322 kop. 64. Ksawery Branicki z Paryża miał dać rb. 11.250; Rząd Narodowy

Cała wyprawa rozpadła się na trzy oddziały, tworzące środek i dwa skrzydła. Lewym skrzydłem dowodził pułkownik Miniewski, według niektórych podań hulaka, postaci zawiedłej i suchej, wybierający się na tę wojnę

rb. 6.661 kop. 80, a Galicya rb. 3.500. Z tej sumy wydano na turecką wyprawę Miłkowskiego rb. 18.020 kop. 60; na wyprawę Wysockiego, jak wyżej, rb. 44.909 kop. 23; na drobne wydatki rb. 2.972 kop. 72, ogółem rb. 65.902 kop. 55. Z tym rachunkiem Wysockiego nie zgadza się podanie, zapisane przez komisarza Rządu Narodowego na Galicyę wschodnią, p. Stanisława Jarmunda, autora «Wspomnień z pobytu w Galicyi w r. 1863». W liście, pisanym z Buczacz (z dnia 22 lipca 1893 r.) do ks. Adama Sapiehy, a przez tegoż łaskawie udzielonym autorowi niniejszego, i znajdującym się w jego zbiorach materiałów do historii ostatniego powstania, spotykamy się z takim ustępem: «Na ową haniebnej pamięci wyprawę ruską, przysłało Podole i Wołyń 300.000 rb., co podług ówczesnego kursu przeszło 600.000 złot. reńskich znaczyło. Ja przywiozłem jadąc do Lwowa 60.000 złr. przesłanych przez Rząd Narodowy; druga przesyłka Rządu Narodowego wynosiła 100.000 złr. Ze zdobytych przez Kruka pod Żyżynem pieniędzy, dano 100.000 złr. Dolożywszy do tego podatki, jakie w tym czasie wpłynęły w Galicyi wschodniej, będziemy mieli sumę, znacznie więcej niż milion złot. reń. wynoszącą, za którą ani jeden żołnierz, ani jeden karabin na plac boju nie został dostawiony». Jakkolwiek powyższe słowa p. Jarmunda z wielu względów są nieścisłe i prawdopodobnie dotyczą nie samej tylko wyprawy Radziwiłłowskiej, ale wszystkich wypraw na Ruś, oraz przewlekłej organizacji oddziału Różyckiego; jakkolwiek z sumy 100.000 złr., wydanej z pieniędzy zdobytych pod Żyżynem, Wysocki na swą wyprawę nie mógł skorzystać, gdyż bitwa Radziwiłłowska odbyła się w początkach lipca, a żyżyńska w miesiąc później; jakkolwiek wreszcie wyprawa Miłkowskiego znacznie więcej, bo przeszło 65.000 franków kosztowała (patrz: «W Galicyi i na Wschodzie», p. 187), to jednak ogólna suma, wykazana przez Strusia na podstawie papierów przez Wysockiego, a wynosząca przeszło 83.000 rb., zbyt się różni od wykazu Jarmunda, i zbyt jest małą, by mogła być prawdziwą. Że wyprawa ta pochłonięła znacznie większe fundusze, świadczy ustęp (dość zresztą ogólnie zredagowany) ze wspomnianego wyżej «Sprawozdania Komitetu Galicyi wschodniej z d. 15 sierpnia 1863 r. Czytamy tam: «Fundusze kraju głównie zostały wyczerpane wyprawą do ziem ruskich jen. Wysockiego, chociaż fundusze krajowe pokryły w części tylko koszt tej wyprawy, na którą obrócone były znaczne fundusze Rządu Narodowego i ajeneyi ziem ruskich».

z dwiema metresami; środkiem sam generał Wysocki; prawem skrzydłem pułkownik Horodyński Franciszek. Oddziały sztyftowały się w różnych miejscach, na dość znacznej przestrzeni od Łuczyc i Sieńkowa, gdzie była kwatera Miniewskiego, poza Brody, w lasach berlińskich, gdzie na ostrowie leśnym organizował się Wysocki, aż do Olejowa, gdzie rezydował Horodyński. Organizowano się dość jawnie, ćwiczone w obrotach wojennych i władze austriackie, które oczywiście o tem nie wiedzieć nie mogły, patrzyły na wszystko przez palce, udawały, że nie widzą, wyraźnie nie przeszkadzały niczemu, choć z drugiej strony, dzięki zdradzieckiej polityce donosiły to i owo, acz nie wszystko i nie zawsze dokładnie, urzędowi rosyjskim. Żyd, Liban nazwiskiem, służący Wysockiemu za szpiega i faktora zdołał wyrobić u władz austriackich, że te przyrzekły nie przeszkadzać zebraniu się oddziałów, jeżeli dokonają tego szybko i jeszcze szybciej przejdą granicę. Jaką była liczebność tych oddziałów, ściśle nie możemy powiedzieć. Prawdopodobnie wynosiły one około 2.000 ludzi, z których największa ilość skupiona była w środku, pod wodzą Wysockiego, gdzie miało być 800 piechoty i 200 koni jazdy¹⁾.

¹⁾ *Fr. Rawita Gawroński*, Rok 1863 na Rusi I, 150. oblicza, nie wiemy na jakiej podstawie, korpusik ten, który nazywa przesadnie «armią» na 2.500 ludzi. Wysocki miał pod sobą, według *Strusia* (Wydaw. materiałów do hist. pow. II, 8), 800 piechoty i 200 koni, razem 1.000 ludzi; Horodyński, według relacji, przytoczonych przez samego Gawrońskiego, miał mieć 360 ludzi; gdyby więc istotnie cały korpusik liczył 2.500, to Miniewski posiadałby pod swoją komendą 1.140 ludzi, t. j. więcej od głównego oddziału Wysockiego, co oczywiście byłoby przeciwnem elementarnym zasadom wojskowości, by skrzydło miało być mocniejszem od środka. W raporcie Miniewskiego (Wydaw. materiałów do hist. pow. II, 22), znajdujemy wiadomość, że karabinów dwustego kalibru posiadał on 256 sztuk, tylu więc miał strzelców; wątpliwą więc jest rzeczą, by koszyńka i jazda liczyła blisko 900 ludzi. Gdy w okolicach Bezedni obskoczony został przez dwie kompanie piechoty austriackiej, to sam powiada (str. 24), że tejsze «piechoty, huzarów i żandarmów więcej było, niż u niego», co najwyraźniej świadczy, że cyfra przez nas przyjęta 800 ludzi w oddziale Miniewskiego, jest raczej za wielką, jak za małą.

dzisiaj; w takich warunkach, przy skomplikowanych ruchach trzech kolumn, wychodzących z trzech różnych i znacznie od siebie oddalonych punktów, cała wyprawa z góry była skazana na niepowodzenie. W ogólności, przeciw planowi temu, a zwłaszcza atakowi Radziwiłłowa, podnoszono liczne zarzuty. Znaczący sztuki wojskowej, oficerowie, służący niegdyś w wojsku rosyjskim, stąd znający żołnierza rosyjskiego, robili słuszną uwagę, że „gdyby atak się nie udał, wyprawa będzie zmarnowana, a demoralizacja zgubi cały oddział“; że prawdopodobnem jest, iż atak się nie uda, bo wojsko rosyjskie uparte jest w obronie; że w Radziwiłłowie jest około 500 starych żołnierzy; że z tem rachować się należy, zwłaszcza mając ludzi tak mało wyćwiczonych i obznajmionych z wojną. Cóż wreszcie za korzyść osiągnie powstanie ze zdobycia Radziwiłłowa? Kilka może starych płaszczy żołnierskich, nieco zapasów wojennych i karabinów. Utrzymać miasta na długo nie zdoła, bo w kilka dni lub nawet godzin, poczną nadciągać ze wszystkich stron kolumny nieprzyjacielskie, z Łucka, Dubna, Ostroga, Krzemieńca i wielu innych miast, kolumny silne, zaopatrzone w artylerję, Radziwiłłów odbiorą i powstańców wyrzucą za granicę.

Plan więc atakowania Radziwiłłowa i w razie zdobycia go, kręcenia się nad granicą galicyjską i uderzania kolejnego na odosobnione kolumny rosyjskie, wysnuty w słabej głowie Wysockiego, nie wytrzymał po prostu krytyki i groził zmarnowaniem jednego z największych i najkosztowniejszych wysiłków powstania. Natomiast podawano inne plany. Przyłączony do sztabu Wysockiego pułkownik Struś (Sawicki), niegdyś oficer sztabowy rosyjski, radził, ażeby paru forsownymi marszami rzucić się na północ Wołynia, w bagniste i lesiste okolice Polesia wołyńskiego, żeby zostawić za sobą granicę jak można najdalej, i „wtedy (mówił Struś), młody żołnierz, widząc niebezpieczeństwo, otaczające go ze wszystkich stron, będzie się trzymał gromady, pozna bliżej dowódców swoich, włoży się do marsza, do istoty partyzantki, oswoi się

z bronią, nabierze ducha i wydobędzie z siebie tę energję, którą obudza niebezpieczeństwo nieustanne, tak, że potem po największych nawet stratach i klęskach, nie będzie zdemoralizowany“¹⁾. Rady te jednak były spóźnione, gdyż rozkazy do Miniewskiego i Horodyńskiego już były wysłane, a przytem Wysocki z uporem starca nie chciał zmieniać, ciągle trapiiony tchórzliwą myślą, ażeby powierzonej mu „dzielnej młodzieży“ nie zgubić i poprowadzić ją na Wołyń, jeszcze prędzej stamtąd wyprowadzić. Sam atak na Radziwiłłów miał nastąpić, jakieśmy to rzekli, dnia 2 lipca, o godz. 4 rano. W tym celu dwie kolumny powstańcze t. j. Wysockiego i Miniewskiego, miały przejść granicę w wilią tego dnia, mniej więcej koło godziny 10 wieczorem i maszerować z takim rozkładem czasu, żeby o świcie stanąć pod Radziwiłłowem; Horodyński zaś, który z lasów olejowskich miał do przebieżenia najdłuższą drogę, powinien był wyruszyć już d. 30 czerwca, iść cały dzień i przejść granicę jednocześnie z dwoma, poprzednio wymienionymi oddziałami i tym sposobem znaleźć się o namienionej godzinie pod Radziwiłłowem. Każdy z tych oddziałów, stosownie do kierunku, z którego przychodził, miał wymierzyć atak na miasto, a więc Miniewski od północy, Wysocki od zachodu, a Horodyński od południa. — W takich warunkach, przy jednoczesności trzechstronnego szturm, przy przewadze liczebnej powstańców, wobec tego że nieprzyjaciół niespodziewanie zostanie napadnięty, Wysocki był przekonany, że atak „udać się musi“.

Tymczasem, wszystkie te nadzieje miały być srodze zawiedzione. Nieprzyjaciół nie był ani tak słaby, ani też tak nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa, jak sądził Wysocki, opierając się na kłamliwych, lub niedokładnych informacjach swoich szpiegów. Przedewszystkiem Radziwiłłów zajęty był nie przez dwie, ale przez cztery kompanie piechoty (dwie liniowe, jedna rekrutów i jedna inwalidów), nie przez garść „objeszczyków“, ale przez

¹⁾ Wydawnictwo materiałów do historii powstania II, 9.

szwadron dragonów kargopolskich i kilkadziesiąt koni straży pogranicznej; ogółem więc liczył przeszło tysiąc ludzi. Wprawdzie owe kompanie rekrutów i inwalidów, nie mogły być groźnemi, niemniej przeto nie były niższemi co do swej wartości bojowej od powstańców, a już co do tego przewyższały o wiele tych ostatnich kompanie liniowe i jazda. Przytem Rosyanie mieli walczyć poza murami i domami miasteczka, dobrze przez nie osłonięni, i razić zbliżających się nagiem polem Polaków ze swej broni daleko-nośnej. W takich warunkach powodzenie ataku już samo przez się było wątpliwem, i udać się tylko wtedy mogło, gdyby nieprzyjaciół był napadnięty zniemacka. Tymczasem i pod tym względem Wysocki ludził się zupełnie. Zbyt długo i głośno organizowano się tuż prawie nad samą granicą, zbyt wiele gadano, by wieści o tem nie miały dojść do władz rosyjskich. Wspomniany już przez nas parokrotnie konsul rosyjski w Brodach, Eberhard, jak wiemy, nie przestawał o wszystkim na co patrzył, donosić gdzie należy. Umieszczony w samym środku formacji kolumn powstańczych, miał sposobność przy pomocy żydów i nie-żydów brodzkich, zasięgać jak najlepszych informacji i dzielił się niemi z gubernatorem jenerałnym Annenkowem. Zrazu przypuszczano, że oddziały polskie wkroczą głównie na Podole, dla wywołania tam powstania, o którym ludność miejscowa wcale nie myślała. Dla skutecznego więc oporu usiłowaniu polskiemu, „dla lepszego i szybszego utrzymania porządku na wypadek ukazania się band buntowniczych“, jak brzmi odnośny reskrypt gubernatorski z dnia 14 maja 1863 r., ogłoszony w gazetach kijowskich, wysłano tam jenerał-majora Lichaczewa, którego władzy poddano całą północną część gubernii podolskiej. Pod jego komendą znajdowały się dwa bataliony piechoty (9 batalion strzelecki w Tulczynie, Niemirowie i Braclawiu i batalion pułku liniowego Jeleckiego w Braclawiu), dwie baterie artylerji (piąta bateria w Tulczynie i szósta gwintowana w Niemirowie), oraz dywizyon ułanów w Winnicy. Ale już na kilka dni przed wkroczeniem Wysockiego, otrzymano od konsula

Eberharda wiadomość, że powstańcy zamierzają wejść na Wołyń i uderzyć na Radziwiłłów. Dowódca więc garnizonu radziwiłłowskiego, jenerał Krejter był uprzedzony, a prócz tego wydano rozkazy, by mu Lichaczew i inni, możliwie szybko podali pomoc. Jeszcze w dniu 27 czerwca, a więc na cztery do pięciu dni przed wyruszeniem wyprawy polskiej, urzędowa gazeta petersburska „Russkij Inwalid“, donosiła między innemi, że „wysłano także kilka oddziałów przeciw buntownikom, którzy wkroczyć mają na Wołyń z Galicyi, w pobliżu granic Królestwa Polskiego, a których to buntowników liczba, według wieści, ma być dość znaczną“. Wszystkie więc te okoliczności zapowiadały, że operacja Wysockiego chybić musi. A przytem plan ataku, wychodzącego z trzech, zbyt oddalonych od siebie punktów, był zbyt skomplikowany i tylko przy niezwykle sprzyjających wypadkach mógł się udać. Z góry można było powiedzieć, że jakieś nieprzewidziane zdarzenia, których tyle bywa na wojnie, opóźni marsz jednej lub dwóch kolumn i cały plan narazi na niepowodzenie. Tak się też i stało.

Ofiarą złe, tchórzliwie i lekkomyślnie osnutej akcyi, miał paść pierwszy Horodyński. Wyruszył on z Olejowa, niedaleko Podkamienia, dnia 30 czerwca na całą noc, uorganizowawszy swój oddział, wynoszący 360 ludzi, w cztery kompanie strzeleckie, jedną kosynierów i garść konnicy, ale od samego początku panował w tej kolumnie nieład i niekarność. Maszerowano cały dzień następny, z krótkimi odpoczynkami: w Podkamieniu, gdzie broń rozdano, i w Newakszy, gdzie odbyła się uroczystość pobłogosławienia powstańców przez miejscowego parocha unickiego. Cały dzień skwar był udręczający, tak, że wielu żołnierzy padało ze zmęczenia, a nad wieczorem zerwała się silna burza, z ulewnym deszczem, wichrem i piorunami, która, jak to zobaczymy, bardzo źle w ogólności oddziaływała na wyprawę, nużąc powstańców i wpływając ujemnie na ich usposobienie duchowe. Przed świtem, d. 2 lipca, Horodyński ze swą kolumną, nadzwyczajnie wyczerpaną marszem,

trwającym dwie noce prawie i dzień cały, wśród skwaru i deszczu, zbliżył się pod Radziwiłłów. Szary, chłodny i wietrzny poranek ukazał mu domy miasteczka i patrol objeszczyków, który zaalarmował zaraz załogę, ale ani Wysockiego, ani Miniewskiego widać nie było. Rozesłane podjazdy w celu odszukania Wysockiego, nie przyniosły o nim, jak również i o Miniewskim, żadnej wiadomości. Okazało się więc, że sam Horodyński znalazł się o naznaczonym czasie pod Radziwiłłowem, wobec czego, oraz z powodu, że broń przez ulewę nocną była zamokła, że żołnierz był zmęczony i zniechęcony, że zorane i rozmiękłe od deszczu pola pod miasteczkiem utrudniały manewry, prosty rozum nakazywał wstrzymać się z atakiem i czekać na przybycie dwóch pozostałych kolumn. Oczywiście miało to swoje niedogodności; nieprzyjaciel był ostrzeżony i mógł się przygotować do obrony. Ten wzgląd, oraz że uciekający z miasteczka żydzi i kłaniający się aż do kolan chłopci okoliczni, zapewniali, że wśród załogi radziwiłłowskiej panuje popłoch i że gotuje się ona do opuszczenia swego stanowiska, na koniec zwykła między wojskowymi chęć zyskania sobie sławy, nadzieja łatwego zwycięstwa, spowodowała Horodyńskiego, nie bez uzasadnionych podejrzeń, że do takiej decyzji przyczynił się komisarz ks. Sapieha, że wbrew otrzymanym rozkazom, postanowił uderzyć i zająć miasto. Wkroczone więc w długą, drewnianymi domami zabudowaną ulicę, na której porzucane tu i owdzie rynsztunki wojenne, świadczyły o popłochu i szybkiej ucieczce nieprzyjaciela. Z coraz większą ufnością posuwano się naprzód, ale niestety! straszny zawód czekał powstańców. Zbliżywszy się do rynku, powitani zostali ulewą pocisków z okien, domów, dachów, z poza płotów i murów. Powstało szalone zamieszanie, któremu Horodyński napróżno usiłował zapobiedz; prześzyty trzema kulami, padł ofiarą swej fałszywej ambicji i niekarności wojskowej. Oddział zdeorganizowany zupełnie, przetrzebiony pociskami, przerażony utratą wodza, rzucił się do ucieczki, a za nim puściła się w pogoń jazda

rosyjska i gromady uzbrojonego w cepy, kosy i pałki chłopstwa okolicznego. Obdzierano poległych, dobijano rannych, a żywych pozbawionych butów, na które z szczególnym łakomstwem polowali chłopci, oddawano w ręce wojska. Prawie cały oddział Horodyńskiego albo poległ, albo dostał się do niewoli, by zaludnić sobą niebawem tundry sybirskie.

W trzy godziny po tych okropnych scenach, koło godziny 7 rano, ukazał się pod Radziwiłłowem, na czele swej kolumny, Wysocki. Jakież więc były powody tego opóźnienia?

Wyruszył on z lasu pod wsią Berlinem dnia 1 lipca, dopiero po południu, straciwszy cały poprzedni dzień i pół następnego na uorganizowanie jakieś takiego swego oddziału, na rozdanie broni i nabojów, na poświęcenie chorągwi i nabożeństwo obozowe. Szefem sztabu w tej partyi był pułkownik Domagalski, dowódcą piechoty major Mroczkowski, jazdy major Kwaśnicki. Żołnierze byli niedostatecznie uzbrojeni, niewyrobieni; wielu było takich, co nigdy karabina nie mieli w ręku, nawet nabić go nie umieli. Późne przybycie broni na punkt zborny, nie dozwoliło na odbycie najelementarniejszych nawet ćwiczeń wojskowych z młodymi wojownikami. Ponieważ atak na Radziwiłłów wyznaczony był na godzinę 4 rano, d. 2 lipca, więc Wysocki, mając do przebieżenia niewielką stosunkowo przestrzeń, sądził, że ma dość czasu przed sobą, że owszem należy pochód opóźnić, żeby nie przybyć wcześniej przed Horodyńskim i Miniewskim. Ten obrachunek okazał się fałszywym, wszystko zgubił, stał się pośrednim powodem porażki Horodyńskiego i samego Wysockiego. Okrążono więc wśród dokuczliwego upału wieś Berlin, i gdy wieczorem zerwała się owa burza potężna, która tak zmęczyła i rozstroiła kolumnę Horodyńskiego, zatrzymano się w lesie, a ponieważ jeść ugotować nie można było z powodu ulewnej deszczu, więc rozdano znużonym, głodnym, przemokłym, trochę wódki i chleba, którego jednak nie wszyscy dostali, bo ukazujący się patrol huzarów austriackich,

zmusił do śpiesznego wyruszenia dalej. Koło północy puszczono się w drogę, wśród nocy tak ciemnej, że na kilka kroków nie można było widzieć. Natrafiono przytem na jakieś bagniste miejsca, tak, że wozy więzły po osie i dla ich wydobywania musiano używać pomocy, i tak już wyczerpanych głodem, znużonych nocnym marszem ludzi. Wszystko to spowodowało, że zamiast o godz. 4, przybyto pod Radziwiłłów dopiero o 7 rano. Wina tego opóźnienia leży wyłącznie na Wysockim. Nie należało bawić się w manewrowanie bezcelowe, pod rzekomym jakoby pozorem, że marsz jest krótki i że przybyć można wcześniej od innych, ale iść naprzód najprostszą drogą. Że źle obliczył, dowodzi jego trzygodzinne opóźnienie, którego niewątpliwie przyczyną była burza nocna i zła droga, ale na tem właśnie polega gieniusz wojskowy, że liczy zawsze na możliwe i nieprzewidziane przeszkody, które najlepiej obmyślane plany mogą wywrócić na nice. Są, którzy twierdzą, że powodem opóźnienia się Wysockiego, było „zwykłe lenistwo starości”; może i w tem jest cząstka prawdy¹⁾; dość, że przybył pod Radziwiłłów nie o godzinie 4 rano, jak własne jego rozkazy polecały, ale o 7; przybył znużony, wyczerpany do cna, głodny i zniechęcony, a co gorsza, miał już wiadomość, że Miniewski nie przybędzie, że zdoła się stawić pod Radziwiłłowem zaledwie nazajutrz, dnia 3 lipca²⁾. W takim stanie rzeczy, przy nieobecności Horodyńskiego, o którego losie jeszcze nie wiedzano, ale

¹⁾ We wspomnianem już przez nas sprawozdaniu Komitetu dla Galicyi wschodniej (Wydawnictwo materiałów do historii powstania II, 40), czytamy, że: „Wysocki powolnością i metodyzmem wyszczerbił swoją sławę żołnierską”. Słowa te potwierdzają opinię o „lenistwie starości”.

²⁾ Mylnie jest zatem twierdzenie *Strusia* (Wydaw. mat. do hist. powstania II, 14), a za nim *Fr. R. Gawrońskiego* (Rok 1863 na Rusi I, 159), że Wysocki stanąwszy pod Radziwiłłowem, nie miał żadnej o Miniewskim wiadomości. Według raportu tego ostatniego, złożonego komisji sądowej, mającej rozpatrzyć jego postępowanie, a wydrukowanego u tegoż *Strusia* (loc. cit. p. 22) okazuje się, że jeszcze dn. 30 czerwca po południu, uwiadomił on Wysockiego, że „nie pre-

niebawem dowiedzieć się miano, mimowolnie powstaje pytanie, dlaczego Wysocki mimo wszystko uderzył na Radziwiłłów? Odpowiedź znaleźć można w tem jedynie, że postanowił on w głębi duszy zaniechać wyprawy, do której nigdy szczerzej nie miał chęci, która rozpoczynała się pod tak złemi auspicjami, i cofnąć się do Galicyi z sentymentalnego żalu nad tą „dzielną młodzieżą”, której przewodniczył, z nieufności do powodzenia sprawy, której się poświęcił, ale honor wojskowy, bądź co bądź istniejący w tym astmatycznym starcu, obawa krzyków słusznych, że pomimo zapowiedzi tragedii krwawej nie było, kazały mu tę ucieczkę do Kapuy galicyjskiej okupić przynajmniej stoczeniem walki rozpaczliwej, bez nadziei zwycięstwa. Dlatego też, nie nikomu nie mówiąc o Miniewskim, stanąwszy wśród chłodnego i dżdżystego poranku pod Radziwiłłowem, choć Horodyńskiego nie było widać, postanowił natychmiast uderzyć na miasto. Nie powstrzymała go nawet od tego wiadomość, jaką w tej chwili otrzymał od schwytanego przez powstańców majora rosyjskiego von Taube, że Radziwiłłów zajmuje nie dwie, ale cztery kompanie piechoty i szwadron jazdy, a choć jeniec rosyjski, dygocząc ze strachu zapewniał, że wojsko to nie jest warte (wsio eto driań)¹⁾, wszakże była to siła dorównywu-

dziej, jak dn. 3 (lipca) na noc będzie mógł wkroczyć na Wołyń. Wysocki więc wiedział, że Miniewski nie przybędzie, chyba że ta wiadomość rąk jego nie doszła; zdaje się jednak, że ją otrzymał, bo uparte zachował co do tej kwestyi milczenie, a sąd wojenny uznał Miniewskiego niewinnym.

¹⁾ O schwytaniu i zachowaniu się tego majora, *Strus* (loc. cit. p. 14). opowiada następujące, niepozbawione interesu szczegóły: „Wysocki kazał natychmiast dwóm kompaniom strzeleckim przetrząść lasy, ciągnący się koło drogi, tuż pod samym Radziwiłłowem i dostać języka. Strzelcy szybko przebiegli lasy i złowili tam moskiewskiego majora von Taube z jednym objeszczykiem. Major przeląkł się okrutnie, nie wiedząc jaki los go czeka. Badany odpowiedział, że w Radziwiłłowie znajdują się dwie rotę regularnej piechoty, rota rekrutów i rota inwalidów, szwadron kargopolskiego dragońskiego pułku i kilkudziesięciu objeszczyków, ale dodał: «wsio eto driań». Potem błdy śmiertelnie i przestraszony, drżącym i płaczącym głosem

jąca co do liczebności kolumnie Wysockiego, a przewyższająca ją bądź co bądź lepszym uzbrojeniem i jakimś ta-kiem wyćwiczeniem, a w dodatku upojona świeżym tryumfem nad oddziałem Horodyńskiego. W dodatku, na komo-rze celnej, przy której się nieco dla odpoczynku zatrzy-mano, znaleziono raport konsula w Brodach, Eberharda, uwiadamiający generała Krejtera w Radziwiłłowie, o za-mierzonym ataku Wysockiego. Wszystkie te wiadomości, tak niepomysłne, zdawałoby się, powinny były wodza pol-skiego powstrzymać od ataku na miasto, ale on, postano-wiwszy cofnąć się do Galicyi, myślał już tylko o tem, by tę ucieczkę pokryć wystrzelaniem wszystkich ładunków i poświęceniem krwi tej „dzielnej młodzieży“, nad której iosem tak się użalał i której nie chciał mieć na sumieniu. Tak to niekiedy, nawet najuczciwsi ludzie, do rzędu któ-rych bezwarunkowo należał Wysocki, wśród nieprzyjaznych okoliczności, z braku tegoż charakteru, wchodzą w kom-promis z sumieniem i dopuszczają się, godnych najsurow-szego potępienia, czynów.

Oddział, odpocząwszy sobie w lasku przy komorze celnej, posiliwszy się nieco chlebem i wódką, wyruszył do ataku na przedmieście Lewiatyńskie, od strony południo-wej miasta. Wysuwającą się z lasu kolumnę, nieprzyja-ciel powitał gęstym ogniem, który wrzucił napowrót po-wstańców do lasu, ze stratą 40 ludzi i raną w nogę, do-wódcy piechoty, majora Mroczkowskiego. Mimo to, sformo-wano się na nowo, ruszono pod wodzą samego Wyso-ckiego na przedmieście i zdobyto je, nie bez pewnych strat obustronnych. W tej chwili dopiero miał się Wysocki dowiedzieć o klęsce, jaką przed kilku godzinami poniósł Horodyński, i nadzieja na jego, choć spóźnioną pomoc, za-

sem, zaczął błagać litości, twierdząc, że on zawsze kochał Polaków i mówił, że im należy dać to, czego żądają, że obchodził się z pod-władnymi dobrze, nareszeie, żeby nas przekonać, że prawdę mówi, zawołał do wziętego z nim objeszczyka: «Ty! powiedz panom Pola-kom, czy cię białem kiedy w mordę?» «Nikak niets!» — odpowiedział żołnierz, który los swój znosił zupełnie obojętnie».

wiodła. Jednakże Wysocki usiłował z uporem walkę dalej prowadzić. Chcąc wesprzeć ucierających się w Lewiatynie strzelców, rozkazał majorowi Ordędze rzucić się ze swą piechotą do tego przedmieścia, ale piechota ta, przerażona kulami, gwiżdżącemi wśród lasku, iść naprzód nie chciała, a poczynający padać deszcz ulewny, oddziałął przygnębia-jąco na wszystkich, a co gorsza, zupełnie zamoczył ładunki, źle zachowane w torbach płóciennych. Wobec tego, wobec bardzo poważnych strat, zwłaszcza w oficerach, wycofano walczących na przedmieściu Lewiatyńskim strzelców i ukryto ich w lasku, do którego wszystko się chroniło. Sam Wy-socki zrozpaczony szukał widocznie śmierci, wysunął się na skraj lasu, gdzie pociski gęsto padały i wołał małodu-sznie: „Czy też ja kuli dla siebie nie znajdę?“ Ponieważ szef sztabu Domagalski, był ranny, więc stanowisko to od-dał Wysocki Strusiowi i polecił mu zarządzenie odwrotu. Wstrzymano ogień i cofnięto się pod komorę. „Straty na-sze po tym pięciogodzinnym boju — opowiada rzeczony Struś¹⁾ — były bardzo znaczne, najlepsi żołnierze polegli, lub byli ranni. Cała przestrzeń między miastem i laskiem, była pokryta zabitymi lub rannymi; krew świeża parowała w powietrzu; bagnety, kosy, karabiny leżały na ziemi. Bardzo wielu młodych żołnierzy rozbiegło się po lesie. Moskale jednak nie wyszli z miasta i nie atakowali nas, jak nakazywała sztuka wojenna; widocznie oczekiwali po-siłków, atak bowiem na Lewiatyn przekonał ich, że jak-kolwiek mieli do czynienia z młodym, ale dzielnym żoł-nierzem“. W całym oddziale, niedawno liczącym 1.000 lu-dzi, pozostało zaledwie 500; brakowało ładunków, tak, że na karabin wypadało ich zaledwie po dziesięć.

Po południu, koło godz. 4, otrzymano wiadomość, że załódze rosyjskiej w Radziwiłłowie przybywają posiłki z Dubna i Krzemieńca, których przednie straże ukazywać się zaczęły. O rozpoczęciu ponownego boju z tak wzmo-żonym nieprzyjacielem nie mogło być mowy, wobec zna-

¹⁾ Loc. cit. II, 17.

cznego osłabienia oddziału, braku amunicji i takiego wyczerpania ludzi, że większość ledwie trzymała się na nogach. Sytuacja przez to jeszcze komplikowała się niepomysłnie, że według doniesienia Miniewskiego, miał on nazajutrz d. 3 lipca wkroczyć i dla ocalenia jego oddziału, należało bądź co bądź czekać na niego, a połączywszy się z nim, może udałoby się przedrzeć w głąb Wołynia. Wysocki więc postanowił dotrzeć do Radziwiłłowskich Gajów, gdzie był oznaczony punkt zborny i miejsce odwrotu, w razie niepowodzenia, dla wszystkich trzech kolumn. Przybyło tam koło godz. 8 wieczorem i rozlokowano się w dogodnej i obronnej pozycji. „Żołnierze — opowiada cytowany przez nas świadek naoczny — byli tak pomęczeni, że niepodobna ich było ruszyć z miejsca; gdzie kto padł, tam i spał; ani prośby, ani groźby nie pomagały. Spał oddział, spały awanposty, spały warty i gdyby wtedy napadł na nas nieprzyjaciół, mógł wyciąć nas do nogi i bez żadnego oporu. Po 25-godzinnym marszu i po pięciogodzinnym nieszczęśliwym boju, potrzeba było przynajmniej 48 godzin odpoczynku. Zostać do rana na obranej pozycji, było to narazić oddział na niechybną zgubę, gdyż siły Moskali w trzy godziny po odwołaniu naszym, urosły do 4 tysięcy i 8 dział. Nic innego nie zostało, jak przekroczyć granicę napowrót, a schowawszy broń i oszczędziwszy ludzi, wystąpić do boju przy lepszych warunkach“. Jakoż Wysocki zdecydował się na taki krok i uwiadomił o tem Miniewskiego, zalecając mu, by „wstrzymał się z wkroczeniem, bo przy takim stanie rzeczy, byłaby to bezużyteczna strata ludzi“. Koło godz. 2 w nocy, oddział znalazł się już na terytorium galicyjskiem i broń w Klekotowie dla przechowania złożył. Stąd Wysocki wysłał powtórny, wyraźny rozkaz do Miniewskiego, ażeby nie wkraczał na Wołyń, bo obecnie „nie przyniosłoby to żadnego pożytku“, żeby oddział rozpuścił i broń dobrze zachował.

Miniewski rozkaz ten otrzymał d. 3 lipca w obozie pod Bezednią, gdzie z utęsknieniem oczekiwał na mającą doń przybyć amunicję, a zwłaszcza na gotowe ładunki,

posiadał ich bowiem tylko 1.800, czyli licząc jego oddział na 800 ludzi, wypadnie na każdego żołnierza po dwa z ułamkiem, i oczywista rzecz, że z takim zapasem niepodobna było myśleć o wyprawie na Wołyń. Rachując jednak na to, że władze cywilne powstańcze dostarczą mu potrzebnej ilości naboju, zrazu wbrew wyraźnemu rozkazowi Wysockiego — nie myślał o rozpuszczeniu oddziału: „Zważywszy — pisze sam w swym raporcie ¹⁾ — że rada, to nie rozkaz, a dowodzę ślicznie zorganizowanym oddziałem, wojskiem pełnem otuchy i zaufania w siły swoje i porozumiewawszy się z p. Ziemiańskim i Wasilewskim, wysłałem rozkaz, aby wszyscy ludzie z rozbitego oddziału generała Wysockiego do mnie się ściągnęli, oraz by 300 sztuk broni i nieco amunicji, po tym oddziale zachowanej, do mego obozu dostawiono, czego się komisarze podjęli“, zamierzał, tak wzmocniony, przejść przez Styr pod Beresteczkiem, most spalić, i omijając Radziwiłłów, tak obficie krwią polską zlać, gdzie zresztą koncentrowały się w tej chwili znaczne siły, nadbiegające z Dubna, Krzemieńca i innych miejsc, rzucić się na północ, w głąb kraju, z wytyczną ku Włodzimierzowi. Wszystkie jednak te plany rozchwiały się wobec tego, że obiecane ładunki nie nadeszły, a natomiast otaczać zaczęły obozowisko polskie dwie kompanie piechoty austriackiej. W tem położeniu Miniewski oddział rozpuścił, a broń zachować w bezpiecznem miejscu kazał.

Taki miała, z wielu względów haniebny, koniec wyprawa Wysockiego na Wołyń, przygotowywana długo, ze znacznym wysiłkiem i kosztem, i na którą tyle liczone. Była ona w samem swem założeniu chybioną już przez to, że ze zbrojnej poręki powstaniu wołyńskiemu, zmieniła się wskutek opóźnienia, w pojedynczą, awanturniczą ekspedycję. Powstanie to bowiem, jak wiemy, już od miesiąca przeszło nie istniało, Różycki ze swą jazdą w gnuśnej nieczynności spoczywał w Galicyi, a Ruś po dotkli-

¹⁾ Loc. cit. II, 23.

wym upuszczenie krwi, wśród wzburzenia ludowego, nie myślała wcale o ponownem orężnem porwaniu się na najazd. Wysocki więc nie mógł liczyć na poparcie miejscowych żywiołów powstańczych, bo ich już nie było, i tym sposobem zasadniczy cel wyprawy był chybiony. Wiedział on o tem dobrze, niechętnie brał się do rzeczy, i szczerze mówiąc, nie myślał o prowadzeniu wojny. Jeżeli mimo to zdecydował się na wyruszenie pod Radziwiłłów, to tylko dlatego, by opinii publicznej zadość uczynić, by zatkać usta różnym krzykaczom rewolucyjnym, zbyt gorące głowy ochłodzić, by wreszcie tyle wysień i zapowiedzi, zakończyć choćby pozornem i cząstkowem wykonaniem zamierzonych planów. To też nie myślał on o przedarciu się w głąb Wołynia, w bagniste i lesiste okolice Pińszczyzny, jak mu to radził Struś, ale sądząc, że Radziwiłłów łatwo, choćby samą przewagą liczebną swych sił, zdobędzie, i tryumfalnym finałem zakończy tak głośno zapowiadane i tak kosztowne przygotowania, zamierzał potem wisieć, dopóki będzie można, nad granicą galicyjską i przy pierwszem lepszem niebezpieczeństwie, poszukać za nią schronienia dla tej „dzielnej młodzieży“, której losów i życia, jak się wyrażał, nie chciał brać na swe sumienie. Ale „zwyczajne lenistwo starości“, według zdania niektórych, a według nas, prosta nieudolność, nie dozwoliła mu i tego połowicznego i tchórzliwego planu, wykonać jak należy. Wydawszy rozkazy, by wszystkie trzy kolumny powstańcze stanęły pod Radziwiłłowem dnia 2 lipca o świcie, bo o godz. 4 rano, sam ze swym oddziałem spóźnił się o trzy przeszło godziny i naraził przez to Horodyńskiego, który sam jeden ściśle wykonał polecenie, na rozbitcie i śmierć bohaterską. Prócz tego, wiedząc dość wcześnie o tem, że Miniewski nie przybędzie, znalazłszy się pod Radziwiłłowem i niewątpliwie mając już wiadomość o klęsce Horodyńskiego¹⁾, jak gracz zrozpaczony, stawiający wszystko

¹⁾ To co *Struś* (Wydaw. mat. II, 16) opowiada, że Wysocki dowiedział się o klęsce Horodyńskiego dopiero w czasie boju, toczącego

na ostatnią kartę, rzuca się na miasteczko, by zupełną ponieść porażkę i z takim wysiłkiem przygotowywaną wyprawę, zmarnować doszczętnie w ciągu kilku godzin. Nie go nie tłumaczy, nie nie usprawiedliwia i całą winę tej klęski jemu tylko przypisać należy. Źle zrobił, podejmując się przewodnictwa wyprawy, w której powodzenie nie wierzył, której chwila stosowna niepowrotnie minęła, i nie chcąc brać na swą odpowiedzialność krwi tej „dzielnej młodzieży“, obciążył jednak wobec historii i potomności tą krwią swe sumienie starcze¹⁾. Po tej lekkomyślnie i nie-

na przedmieściu Lewiatyńskim, nie wydaje nam się prawdopodobnem. Atak Horodyńskiego odbył się zaledwie przed paru godzinami i niepodobna, by śladów tego starcia nie było widać, by na komorze celnej nie o niem nie mówiono, by wzięty do niewoli major Taube o niem nie wspomniał. Mógł Struś o tem nie nie wiedzieć, ale niewątpliwie Wysocki dość wcześnie doniesienie o tem otrzymał i zapewne ukrył je przed swoimi, by ducha w nich nie osłabić. Ale jakkolwiek pod tym względem miał słuszość, to zato źle zrobił, atakując Radziwiłłów sam jeden, z góry mając pewność, że będzie to próżny rozlew krwi tej „dzielnej młodzieży“, której mu tak żal było i nieuchronne zmarnowanie za jednym zamachem tak mozolnie przygotowywanej wyprawy.

¹⁾ Jakże były straty polskie w dwukrotnie ponawianym boju radziwiłłowskim, trudno dziś dociec. Relacye polskie o tem milczą, rosyjskie naturalnie prawią o setkach poległych powstańców, a ze swej strony o utracie jednego klasycznego kozaka, który w dodatku nie poległ, tylko „przepadł bez wieści“. Wszelako możemy mieć przybliżone pojęcie o stratach polskich, sądząc z ilości ludzi, którzy dostali się do niewoli rosyjskiej. W ówczesnej gazecie „Kijowskij Telegraf“, ogłoszone były nazwiska 92 poddanych austriackich, którzy w boju radziwiłłowskim wpadli w ręce nieprzyjaciela. Z pomiędzy nich, 81 wysłano na osiedlenie na Syberyę, jedenastu zaś z uwagi na ich młodość, „słaby rozwój fizyczny i umysłowy“, odstawiono do Galicji dla oddania ich rodzicom i krewnym. Między tymi najmłodszym był Jan Krzyczkowski, liczący lat 15, sześciu miało po lat 16, ale był i taki (Piotr Pieniążek), który miał lat 18, a nawet jak Franciszek Tomaszewski lat 19. Jakimi względami kierowała się co do tego podziału komisya rosyjska niepodobna odgadnąć, gdyż między wysłanymi na Sybir jest wielu takich, którzy liczyli, podobnie jak Pieniążek i Tomaszewski po lat 18 i 19, a nawet jak Artur Bożewski lat 16, a mimo to rodzicom nie zostali zwrócenii. Charakteryzuje to

dołącznie prowadzonej wyprawie, zeszedł on niebawem z widowni powstania i uwięziony przez władze austriackie więcej się na niej nie ukazał, by życie niewątpliwie zacne, ale nacechowane pocziwem safandulstwem — zakończyć wkrótce potem w zupełnem zapomnieniu.

Wyprawa radziwiłłowska była pierwszym ustępem, tragicznie niestety! zakończonym, planu powziętego na kwietniowej naradzie w Sidorowie. Skutki jej były dla powstania bardzo opłakane. Wywarła ona nader przygnębiające wrażenie na Galicyę i osłabiła odtąd stanowczo jej usiłowania niesienia pomocy powstaniu. Wywołała ogólny upadek ducha, spowodowała wielkie straty materyalne, wyrodziła tysiące oskarżeń i rekryminacyi, jak zwykle bywa, gdy się jakieś przedsięwzięcie, długo przygotowywane i na które wiele liczono, nie uda. Sam Wysocki oskarżał wprost „jednego z członków Komitetu, szczególnie mu nieprzychylnego“, jak się zdaje, ks. Adama Sapiehę, że „namówił Horodyńskiego, aby ten nie czekał na niego (Wysockiego) i zaatakował Radziwiłłów, aby na niego spadła sława zająęcia miasta“; że „nieposłuszeństwo Horodyńskiego, który miał zacząć atak dopiero po pierwszych strzałach oddziału generała, zwichnęło całą wyprawę“¹⁾. O ile oskarżenie, dotyczące ks. Sapiehy, jest prawdziwe, nie wiemy, ale pamiętać należy, że Horodyński przyszedł pod Radziwiłłów wznaczonym mu czasie i że Wysocki ze swego opóźnienia niczem usprawiedliwić się nie może. Bądź co bądź,

dowolność sądów rosyjskich w tej epoce. Bądź co bądź, już ta lista imienna, a zatem nie mogąca ulegać wątpliwości, 92 wziętych do niewoli, świadczy wymownie o poważnych stratach polskich. Musiały one bezwarunkowo być bardzo znaczne, znaczniejsze o wiele od rosyjskich, choćby z tego względu, że powstańcy walczyli na otwartem polu, kiedy nieprzyjaciół ukryty po domach i ulicach miasteczka, był dobrze osłonięty.

¹⁾ Wyd. mat. do hist. pow. II, 36. Przypuszczenie, że Wysocki mówiąc o „jednym z członków komitetu, szczególnie mu nieprzychylnym“, miał na myśli ks. Sapiehę, potwierdza i *N. Berg* w swych „Zapiskach“ III, 237.

klęska ta ciężko odbiła się na losach powstania — a nie miała być niestety! ostatnią.

Albowiem zaraz potem, w parę zaledwie tygodni po porażce wołyńskiej, rozegrać się miał mniej krwawo, ale niemniej smutnie, drugi ustęp planu sidorowskiego i rozbrzmieć równie głośno i równie boleśnie w sercach polskich. Chcemy tu mówić o wyprawie Miłkowskiego na Podole, w celu podania ręki tamtejszemu powstaniu, które jednak wcale nie istniało i o którym nikt w tej słonecznej i na żyznych łąkach utuczonej prowincyi, nie myślał tak dalece, że komitet miejscowy na wieść o zamiarach Miłkowskiego, groził ogłoszeniem go zdrajcą kraju. To też naczelnik powstańczy, jeżeli dość wcześnie zapewne dowiedział się, że niema komu podawać ręki na Podolu, sądził jednak, że samo pojawienie się zbrojnego zastępu polskiego, obudzi drżmiące uczucia patryotyczne w Podolakach i zmusi ich do tłumnego porywu przeciw najazdowi.

Od wczesnej młodości oddalony od kraju, sądził go według wrażeń, które wyniósł z doby tej młodości swojej, według własnych marzycielskich i romantycznych widzeń duszy poetyckiej i ognistej. Polak gorący i zapalny, należący do pokolenia, które ojczyznę nie realną, nie rzeczywistością, ale wyśnioną w tęsknocie wygnania, stawiało ponad wszystko na ziemi, które dla tej ojczyzny szło konać na szubienicach, w tajgach i kopalniach sybirskich, trawić się na wygnaniu, w orlandowych przygodach szukać wrogów imienia polskiego, sądził, że byle się ukazał na niwach ojczystych na czele garści bagnatów polskich, wszystko co żyje porwie się do broni, po staremu na koni siądzie i z najazdem za bary się weźmie. Przepędziwszy znaczną część życia swego na Wschodzie, mniemał, że się da stamtąd znaczną siłę wydobyć, by z nią doraźnem przerzuceniem się na Podole, dać powstaniu pomoc skuteczną. Poeta z natury, umysł romantyczny i na romantycznej literaturze urobiony, więcej myśliciel jak człowiek czynu, więcej literat jak żołnierz, śnił, że przez taką wyprawę z granic tureckich wykonaną, uda się może jeszcze bardziej powikłać,

już sam przez się mocno zawikłany węzeł kwestyi wschodniej, wywołać zamęt i do burzy polskiej burzę wschodnią dołączyć.

Co do oddziału, który miał ruszyć na Podole, Miłkowski był zdania, że „można było ze Wschodu wyciągnąć parę tysięcy ludzi, niekoniecznie Polaków samych, lecz na pół pomieszanych z Polakami Dalmatyńców, Bośniaków, Czarnogórców, Ałanów i innych; można było doskonale ich odziać, uzbroić i umontować i mieć z nich... ciężar wyborny do dorzucenia na szalę losów wojennych“¹⁾. Na to jednak potrzeba było „parę milionów franków“, których ubogie powstanie polskie dać nie mogło. Wobec braku tych pieniędzy, liczył jednak, że zdoła zgromadzić około 600 ludzi, uzbroić ich i z nimi pomaszerować na Podole, drogą daleką, trudną i pełną przeszkód, bo z nad Dunaju, z miasteczka tureckiego Tulczy, leżącego w Dobrudży. Plan Miłkowskiego był następujący: zamierzał on uorganizować się potajemnie w Tulczy, przeprawić się przez Dunaj, przejść ukośnie z wytyczną ku Prutowi, tę część Bessarabii, która w dawnej terminologii polskiej, nosiła nazwę Budziaku, a należącej podówczas do Rumunii, przejść Prut i maszerować przez Multany wybrzeżem prawym Prutu, w górę tej rzeki, aż do granic Podola, które przekroczyć miał gdzieś w okolicach Chocimia lub Kamieńca. Droga to była bardzo długa, najeżona przeszkodami i pełna wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw. Lepiej było podobno i w swoim czasie słuszne robiono Miłkowskiemu uwagi, że dla wyprawy swej nie wybrał za punkt wyjścia północnej granicy Multan, okolic Botuszan lub Dorohoi, skąd miałby do przebycia wązki klin Bessarabii, który można było przejść w dwu co najwyżej marszach, by się znaleźć u celu podolskiego. Tłómaczył on się później²⁾, że powód do takiego postąpienia był dwójakiej natury. Najprzód ten, że wskutek liczego pobytu młodzieży polskiej w Multanach, wysłanej

¹⁾ *Z. Miłkowski*, W Galicji i na Wschodzie, p. 50.

²⁾ *Loc. cit.* p. 61.

tutaj przez Mierosławskiego jeszcze ze szkoły wojskowej w Genui, władze wołoskie miały się na ostrożności, Polaków chwytali, więzili i za Dunaj do Turcyi wyrzucały. Oczywiście rzecz, że ochotników, ciągnących przez całe Multany do obozowiska pod Botuszanami, byłby ten sam los spotykał i przez to zamierzona wyprawa mogłaby nie dojść do skutku. W takim tłumaczeniu się Miłkowskiego, zdaniem naszym, jest trochę racyi, ale tylko trochę. Nie wątpliwie byliby Wołosi wielu wyłapali, ale byłoby też wielu, którzyby mimo wszystkie przeszkody, dotarli do Botuszan. Łatwiej pojedynczemu człowiekowi przemknąć się niepostrzeżenie obok argusowych oczów policyi, jak całej zbrojnej gromadzie. Zapewne nie zebrałoby się ich sześciuset, jak liczył Miłkowski, ale i w Tulczy nie zgromadził on tej cyfry i zaledwie z dwustukilkudziesięcioma wyruszył on na swą wyprawę. Mniemać należy, że i w Botuszanach także ilość zebrałoby się zdołała. Uważamy więc formację oddziału w Tulczy za błąd, który całą wyprawę zmarnował, i z góry można było przewidzieć, że taki będzie jej koniec. Niema na świecie rządu, pozostającego w pokojowym stosunku ze swym sąsiadem, ażeby pozwolił zbrojnej gromadzie maszerować przez swe terytorium, by z tymże sąsiadem wojować. A przytem marsz długi i forsowny, przez parę tygodni co najmniej trwać mający — wśród upałów letnich, w kraju obcym, musiał wyczerpać siły oddziału, a nadewszystko narazić go na konieczność zatargu z władzami wołoskimi.

Ale właśnie, w romantycznej wyobraźni Miłkowskiego ten zatarg był przewidziany i wchodził w obrachunek jego planów. Nie tyle bowiem mu szło o dostanie się na Podole i wywołanie tam powstania, co, jako człowiek rozumny i mający dokładne wiadomości o usposobieniu szlachty tamtejszej, uważał do pewnego stopnia za niemożliwe, ile o pośrednie poruszenie kwestyi wschodniej. W Rumunii bowiem, w Bessarabii i Turcyi, jak sam mówi, leży grunt kwestyi rzecznej, „grunt niezmiennie dla Europy drażliwy“. Twierdził on, nie bez słuszności, że powstanie samo Polski

nie wywaleczy, że wywaleczyć ją może tylko pomoc zewnętrzna, że zatem należało użyć wszelkich sposobów, by tę pomoc sprowadzić przez wywołanie burzy europejskiej, a do wywołania takiej burzy niema i nie było lepszego narzędzia, jak rozdmuchanie tlejącego zarzewia wschodniego. Utrzymywał z pewną fantastycznością i nieścisłością umysłu romantycznego, że „sam fakt przemarszu zbrojną ręką przez Multany, połączony z konieczności rzeczy ze wszystkimi przeciwko kodeksowi praw międzynarodowych zbrodniami, wciągał Rumunię, a przez nią Turcyę, a przez tę ostatnią Europę, w sferę czynnego w powstaniu polskim udziału, znaczenie którego określała z góry opinia publiczna. Ta ostatnia w ucywilizowanym świecie całym zupełnie stanowczo, a bardzo wyraźnie za Polską się oświadczyła, i nie miała jeno pod ręką faktu, ani pretekstu, któryby dawał jej sposobność i możność wyproszenia, wydyskutowania i wygrożenia na gabinetach „dla bohaterskiej, a nieszczęśliwej Polski“ pomocy donioślejszej, aniżeli noty dyplomatyczne. Fakt ów i pretekst nastręczyć jej moglibyśmy na Wschodzie“¹⁾. W jaki sposób jednak miało się to zrobić, dlaczego fakt pojawienia się zbrojnego oddziału polskiego na Multanach, miał poruszyć kwestyę wschodnią, Miłkowski nie powiada i my też tej zagadki rozwiązać nie jesteśmy w stanie.

Wszakże skądinąd pewnem jest, że panujący wówczas w Rumunii, ksiązę Kuza, wiedział o formującym się oddziale polskim w Tulczy i nosił się z zamiarem użycia go do swych zamysłów. Bawił wtedy w Bukareszcie wychodźca węgierski, generał Türr, i jak wieść niesła, w porozumieniu z agentem rosyjskim Giersem, późniejszym ministrem spraw zagranicznych, oraz z ks. Kuzą, układał plany wyprawy do Galicyi, wywołania tamże i na Węgrzech powstania przeciw Austrii. W sprawie tej maczał ręce i Mierosławski, acz akcja jego pokryta jest tajemnicą, dość, że już w początkach czerwca, komisarz nadzwyczajny

¹⁾ Loc. cit. p. 53.

Rządu narodowego w Galicyi wschodniej, Jan Majkowski nazwiskiem, donosił o tem Rządowi i uwiadamał, że Türr zamierza wciągnąć do tej wyprawy Polaków, organizujących się w Tulczy, i że Kuza miał oświadczyć, iż w razie, gdyby do tego użyć się nie dali, dążących przez Multany na Podole ogniem powita¹⁾. Z tego wszystkiego to jest pewnem, że dzięki zwykłej gadatliwości polskiej, tak agent Giers, jak i Kuza wiedzieli o planach Miłkowskiego i w interesie pierwszego z nich leżało, ażeby uskutecznieniu tych planów przeszkodzić i dlatego to zapewne i księcia Kuzę i generała Türra podmawiał, ażeby formujący się oddział polski przeciw Austrii był użytym. Kuza jednak zanadto był przebiegły i jedynie własnym interesem się kierujący, by miał bezwzględnie uleść tym podmowom. Ogólna sympatya europejska dla sprawy polskiej, jak się zdawało blizka wojna mocarstw zachodnich z Rosyą o Polskę, kazała mu liczyć się z tym faktem i w czynach swoich być bardzo ostrożnym. Tymi to zapewne względami powodowany, miał się zapytywać potajemnie, jak sobie we Francyi życono, żeby z wyprawą Miłkowskiego postąpił. Odpowiedziano mu, że tak jak dawniej z Serbią, to jest, żeby na przemarsz polski patrzył przez szpary²⁾. Zobaczymy jednak, że pod wpływem Giersa, te zamiary Kuzy uleść miały radykalnej zmianie, a uleść miały tym łacniej, że lękał się i podejrzywał Miłkowskiego, nie bez pewnej słuszności, że jest w stosunkach i porozumieniu z wołoską partią opozycyjną, liberalną i do detronizacyi Kuzy dążącą³⁾.

¹⁾ Odezwa Rządu narodowego do ks. Czartoryskiego z dnia 12 czerwca 1863 r. (Wydawnictwo materyałów do historii powstania V, 191).

²⁾ Depesza ks. Wł. Czartoryskiego do Rządu narodowego z d. 16 i 17 września 1863 r. (loc. cit. V, 312).

³⁾ Że Miłkowski miał z tą partią stosunki, świadczy jego opowiadanie na str. 62 i 63 książki: „W Galicyi i na Wschodzie“, tylko że na dnie tych stosunków nie leżał wcale zamiar mieszanina się do spraw wewnętrznych wołoskich. Wodzowi polskiemu szło raczej o to, by przy pomocy tego stronnictwa wyciągnąć dla sprawy polskiej wszelkie możliwe korzyści, ale oczywiście w ks. Kuzie te stosunki

Obawa więc o własne stanowisko i interes własny, kazały mu dość niechętnie patrzeć na zamiary Miłkowskiego, co przy podszeptach Giersa, miało opłakane dla planów polskich skutki sprowadzić.

Wśród tego wszystkiego, Miłkowski w wykonaniu swych zamysłów, skomunikował się najprzód z władzami powstańczymi na Podolu, z istniejącym tam, bliżej nam nieznanym, Komitetem powstańczym. Pierwotny bowiem komitet szlachecki, który o powstaniu nie myślał, powstania nie chciał i groził Miłkowskiemu, że gdyby ośmielił się wkroczyć na Podole, ogłosi go zdrajcą ojczyzny, ustąpił miejsca innemu, powstańczo usposobionemu, o którego składzie nie posiadamy wiadomości, wiemy tylko, że zasiadał tam jeden z członków Wydziału Rusi, znany później pisarz na polu badań historycznych o przeszłości tejże Rusi. Nie wiele jednak i ten komitet mógł zdziałać, gdyż nie miał, rzecz można, żadnego materiału pod ręką, z któregoby można było ulepić podolskiego bożka wojny powstańczej. Jeżeli wszędzie na Rusi południowej organizacja rewolucyjna była słabą, tworzyła się nieomal w chwili gdy za Bugiem grzmiały już działa, gorzały miasta, stosami ciał kładła się na pobojuwiskach najlepsza młodzież polska, to na Podolu nawet takich początków spisku nie

budzić musiały podejrzenie, zręcznie przez Giersa podniecane. Oto co o tych stosunkach pisze Miłkowski: «Na Moldawianów liczyć nie mogłem i nie liczyłem, pomimo, że wśród nich znajdowali się z jednej strony malkontenci, niezadowoleni z rządów Kuzy, z przeniesienia stolicy z Jass do Bukaresztu i z połączenia księstw, z drugiej szczerzy i gorący sprawy polskiej przyjaciele, jak Adam Chareto, Raklisz i inni. Było też w Bukareszcie samym stronnictwo liberalne, postępowe, do republikanizmu się przyznające, w którym figurowały nazwiska Rosettiego, Golezków, Bratjanich (Dymitra i Jana), Leków i innych. Nie liczyłem na nich dla chwiejności ich przekonań, pochodzącej ze skłonności do dyplomatyizowania na sposób bizantyński... Nie chciałem się im w ręce oddawać, zdradzając przed nimi zamiar opanowania części krainy ich, na rzecz widoków osobistych lub stronnicych, ale sprawy polskiej. Resursa przeto, jakie oni zareczyć mogli, gdyby na szczerłość ich spuszczać się było można, pozostawiałem na boku»...

było; w czasie, gdy Miłkowski gotował się do wkroczenia w tę kresową ziemię dawnej Rzeczypospolitej, właściwie dopiero zaczynała się wiązać bardzo słaba i nikła organizacja powstańcza. Gdy na sidorowskiej naradzie naznaczono wybuch powstania na Rusi na d. 8 maja, Komitet podolski wprost oświadczył, że u niego jest to niemożliwym i wyjednał sobie u Różyckiego odłożenie na później terminu wybuchu, terminu nigdy bliżej nieoznaczonego i który też nigdy nie nastąpił, i ze wszystkich ziem dawnej Polski, należących do zaboru rosyjskiego, jedno tylko Podole właściwie żadnego udziału w powstaniu nie wzięło, bo drobna suma pieniędzy, jaką zdołano wydusić od zatuczonej w dobrobycie szlachty tamtejszej, a właściwie którą dał jeden tylko człowiek, p. Aleksander Sobański z własnej skatki (5.000 rubli), prawie niema żadnego znaczenia, a garść ludzi, którzy pod Szaszkiewiczem połączyli się z jazdą Różyckiego, czasu jego wycieczki w powiat winnicki, nie może być braną w rachubę.

To też Miłkowski szykując się w Tulczy do swej awanturniczej wyprawy i zasięgając wiadomości o stanie Podola, przekonał się, że na nic rachować tam nie może, chyba tylko na to, że pojawienie się bagnetów polskich zbudzi w mieszkańcach tamtejszych uczucia powstańczo-patriotyczne, i że w ostateczności, jeżeli nie dobrocią, to siłą wymoże sobie pomoc. Dowiedział się więc, że ludzi, którychby Komitet mógł mu dostarczyć, było bardzo niewiele, że broni było jeszcze mniej, a z zapasów wojennych prochu zaledwie 530, ołowiu 625 funtów. Mimo to, nie zrażał się tem wcale i przygotowania swoje dalej prowadził, licząc na to, że jednoczesne wkroczenie jego na Podole, Wysockiego na Wołyń, Menottiego na Ukrainę, nie może pozostać bez skutków dodatnich, że wreszcie, jeżeli wszystkie usiłowania te nie doprowadzą do poważnych rezultatów, to zawsze sprawią to, że część sił rosyjskich zostanie unieruchomiona, i Królestwu, gdzie był główny rdzeń wojny, trochę odetchnąć pozwoli. Marzyciel, od dawna oderwany od kraju, sądził się być „człowiekiem jedynym,

posiadającym przymioty, mogące zelektryzować tę część dawnej Polski, że zresztą „obecność jego sama, jako obecność człowieka pod szubienicą działającego“, wywrze na organizację wpływ ogromny, wciągnie w nią wielu ludzi, zmusi do pośpiechu i gorliwości. Były to oczywiście sny fantastyczne wygnańca; na Podolu nie wiadano nic o Miłkowskim, dawno o nim zapomniano, nazwisko to do najważniejszej części tamtejszego żywiołu polskiego nie mówiło, a literackie jego zasługi kryły się pod tajemniczym pseudonimem Jeża, i wreszcie, kto tam wtedy z pośrodku szlachty w Polsce i na Podolu czytał polskie książki! Jeżeli byli tacy, którzy coś o Miłkowskim wiedzieli, to mieli go, jak galicyjscy panowie, za „zakapturzonego Mierosławczyka“, a nazwisko Mierosławskiego dla całej szlachty polskiej było upiorem krwawym, którego bardziej się lękała, niż Moskala i Niemca. Było to więc u Miłkowskiego jedno z tych złudzeń, którymi wielu ówczesnych ludzi się karmiło na nieszczęście Polski i swoje.

Przyszły wódz podolski wybierając się w pierwszych dniach maja na Wschód, otrzymał od Wysockiego zapewnienie, że oddział, który ma ruszyć na Podole, czeka już na niego w liczbie 600 ludzi; że karabinów jest sztuk 800; że karabiny te zobowiązał się dostawić Garibaldi, którego syn Menotti, w razie gdyby nie mógł dostać się do Odessy, przyłączy się ze swymi Włochami do wyprawy podolskiej. Wszystkie jednak te obietnice i nadzieje okazały się fałszywymi i złudniami. Miłkowski niebawem miał się przekonać, że chcąc rzecz doprowadzić do skutku, trzeba wszystko samemu stwarzać; że nie było ani ludzi, ani broni, że jak o jednych, tak i o drugą musi się sam postarać. Wprawdzie o ludzi nie było zbyt trudno. Na wschodzie, w Turcyi, Multanach i Wołoszczyźnie było mnóstwo Polaków, wychodźców z 1831 r. i lat późniejszych, trudniących się rozmaitemi zajęciami dla chleba, ale tęskniących za Polską, żywiących w głębi duszy nienaruszone uczucia patryotyczne i to przekonanie, że ich pobyt na obczyźnie jest chwilowym, że wrócą kiedyś w progi ojczyste, wrócą zbrojno

i zwycięsko. Większość ich, byli to ludzie prości, istni „wieczni tułacze“, ale dusze szczerze, polskie, serdeczne, wsłuchujące się czy nie gra gdzie trąbka bojowa polska, czy wiatr burzy dziejowej nie rozwinął gdzie sztandaru z orłem i pogonią. Tacy ludzie na pierwszy odgłos, że w Polsce „biją się nasi“, że jest wojna o niepodległość, zrywali się upojeni szaleństwem radości, zgarbione barki wyprostowywali i na wszystkie strony szukali tego, ktoby ich poprowadził z ziemi obcej do Polski. Materyał znakomity, jedyny na żołnierzy, gdyby ich skupić wszystkich i uzbroić należycie! Miłkowski liczył więc, że z łatwością sześciuset takich straceńców zbierze i powiedzie na śmiecie ojczyste. Prócz tego sądził, że uda mu się wciągnąć do szeregów polskich zbiegów z wojska rosyjskiego, przebywających w Dobrudży, poddaństwa z Rusi, chroniącego się przed poborem, czyli t. z. „burłaków“. I ta nadzieja była jednym z powodów, dla czego wybrał Tulczę, jako punkt wyjścia, jako miejsce formowania oddziału. Twierdził on, że był to punkt najdogodniejszy, „żaden bowiem inny nie nadawał się lepiej do zamaskowania w oczach Moskali i wogóle celu wyprawy“; że tylko w Tulczy była „możliwość postawienia Moskali w niepewności co do kierunku, w jakim udać się zamierzał, czy morzem do Odessy albo do Akiermanu, czy lądem na Bendery lub Kiszyniew, czy też przez Mołdawię“; że „pięć przed sobą miał do wyboru dróg, z tych ostatnia najmniej przypuszczalna“; że stawał się przez to dla Moskali zagadkowym, co dla wyprawy nie małą rokowało korzyść“; że wreszcie Tulcza, jako miasto handlowe i ruchliwe z łatwością mogło przy patrzaniu przez szpary władz tureckich, ukryć pobyt kilkuset ludzi.

Takimi były powody, które kazały Miłkowskiemu wybrać naddunajską Tulczę za punkt wyjścia dla swej wyprawy. Z wielu względów były one błędnymi i nieuzasadnionymi. Wspomnieliśmy już o tem, że Tulcza była zbyt oddaloną od Podola, że trzeba było odbyć marsz długi, niebezpieczny, nużący, przez kraj obcy i będący w stosunkach pokojowych z Rosją; że o kierunku tego

marszu nieprzyjaciół doskonale wiedział, i pełnomocnik rosyjski w Bukareszcie, Giers, miał co do tego jak najdokładniejsze wiadomości, i że Miłkowski nie był wcale „dla Moskali zagadkowym“ pod tym względem. Przytem w Tulczy samej i jej okolicach od dawna mieszkali wychodźcy rosyjscy, kozacy, t. z. „Nekrasowcy“, którzy nie lubili Polaków i w gruncie rzeczy byli Rosyanami. Mniej więcej w tej porze, gdy organizowała się i wyruszała na Multany wyprawa Miłkowskiego, w Tulczy zjawilo się dwóch Rosyan, Wasil i Iwan bracia Kielsiewowie, Herceniści zapalen, współpracownicy „Kołoła“, którzy poczęli agitować między Nekrasowcami, ażeby przyłączyli się do wyprawy, oraz żeby wysłali emisaryuszów nad Don, Terek i Kubań, do dawnych siedlisk swoich, dla poruszenia kozactwa tamtejszego. Ale Nekrasowcy słuchać o tem nie chcieli, owszem podrażnieni mocno temi propozycjami, podejrzliwie patrzyli na zbieranie się Polaków w Tulczy i o wszystkim co się tam robi, donosili posłowi rosyjskiemu w Konstantynopolu, hr. Ignatiewowi¹⁾. Na skutek tych doniesień, Tulcza zaroila się od szpiegów rosyjskich, a niepowściągliwe gadulstwo polskie, ułatwiało niezmiernie ich zadanie. Władze więc rosyjskie o wszystkim wiedziały i wybór Tulczy na punkt wyjścia nie przedstawiał żadnych stron dodatnich, a natomiast mnóstwo ujemnych. Prócz tego w ściąganiu i wysyłaniu ochotników do Tulczy postępowano sobie dość nieogłędnie i nieostrożnie. Pozostawiony w tym celu w Konstantynopolu niejaki major Sokółski, będący podówczas urzędnikiem telegrafu w stolicy tureckiej, wykonywał tę wysyłkę otwarcie, jakby nikt na niego nie patrzył i nic mu nie groziło. Naznaczono ochotnikom punkt zborny na przedmieściu Galaty, przybyłych ustawiano tam w szeregi na ulicy, zaludnionej przez Żydów, Rosyan i różne agencje żeglarskie, czytano głośno nazwiska powstańców przyszłych, poczem wsadzano na parostatki

¹⁾ Relacya rękopiśmienna jednego z uczestników wyprawy Miłkowskiego, znajdująca się w zbiorach autora.

francuskie lub austriackie i wysyłano morzem Czarnem do Warny, Suliny, a wreszcie Dunajem do Tulczy¹⁾. Rzecz więc jawnie się odbywała i szpiegzy rosyjscy niewielu potrzebowali starań, by mieć o wszystkim jak najdokładniejsze wiadomości.

Co do ludzi, chcących ruszyć do Polski, by walczyć za jej niepodległość, jakieśmy to już powiedzieli, braku nie było, ale Miłkowski ze względu na fundusze, jakimi rozporządzał, musiał się bardzo ograniczać w przyjmowaniu zgłaszających się ochotników. Posiadał on wszystkiego jakieś 8.000 rb. i 10.000 franków, które mu przywiózł z Odessy niejaki Zaremba, wysłaniec komitetów ruskich. Mógł był ściągnąć do siebie dobrze uzbrojonych i wyćwiczonych wojskowo kozaków sułtańskich, będących pod wodzą Michała Czajkowskiego, Sadyka baszy. Jeszcze wtedy był on dobrym Polakiem, później dopiero ta dusza fantastyczna, w rozpaczliwym zwątpieniu rzucić się miała w objęcia Rosyi i prawosławia; teraz jednak, licząc na blizką wojnę z Rosyą, starał się utrzymać w szeregach swych kozaków, by ich „poprowadzić na podolskie błonia“. Miłkowski oceenił to i nie usiłował przeciągnąć do siebie żołnierzy Sadyka baszy; czas pokazał, że się pod tym względem mylił; wojna nie wybuchła, Sadyk nie poszedł z kozakami na „podolskie błonia“, i ta dzielna siła, zmarnowała się zupełnie. Nie mając więc z tej strony żadnej pomocy, nie miał jej także ze strony agentury Czartoryskich w Konstantynopolu, której przedstawicielem był p. Władysław Jordan. Ten, osobiście obrażony na Miłkowskiego, za to, że w książce, wydanej na parę lat przedtem, p. t. „Udział Polaków w wojnie wschodniej“, niezbyt pochlebnie wyraził się o Polakach, w służbie tureckiej będących, nie tylko odmówił wszelkiej pomocy organizującej się wyprawie, w czem nie dał dowodu patriotyzmu, ale owszem przeszkadzał jej jak mógł i gdzie mógł. Zgłaszających się ochotników namawiał, ażeby nie szli do Miłkowskiego, ale żeby wzięli udział

¹⁾ Loc. cit.

w przygotowującej się wyprawie polskiej na Kaukaz, gdzie miało wybuchnąć powstanie przeciw Rosyi. Wyprawa ta, jak zobaczymy, nie przysła nigdy do skutku, ale działaniom Miłkowskiego wiele zaszkodziła.

Najcięższą jednak była sprawa broni. Obiecane przez Garibaldiego 800 sztuk karabinów, w rzeczy samej przyszło do Konstantynopola, ale przysłanem zostało w pakach otwartych, z których wyglądały lufy karabinów i sterczały bagnety. Wobec tego władze tureckie skonfiskować ją musiały; a gdy wspomniany przez nas Sokółski, udał się w tej sprawie do Wielkiego Wezyra, ten nie odmówił otwarcie wydania zabranej broni, ale zrobił słuszną uwagę, że myślał, iż Polacy są zręczniejsi (je vous croyais plus habiles). W rezultacie jednak kwestya tego wydania przewlekła się, a tu czekać nie można było; pobyt w Tulczy 300 blisko ochotników narażał władze tureckie na liczne wyrzuty i nieprzyjemności ze strony poselstwa rosyjskiego; kraj wreszcie gorzał ogniem strasznej, wytopiającej wojny i wszystkie serca polskie krwawiły się i truły w dręczącym oczekiwaniu. Wobec tego zdecydowano się na kupno broni w Atenach i otrzymano sztuk 160, częścią starych skalkowanych, na pistonowe przerobionych sztucerów rosyjskich, częścią karabinów greckich, ale będących w jak najgorszym stanie, których reparacyą musiano się zająć. Organizacya oddziału ukończyła się koło d. 11 lipca, t. j. w dwa blisko miesiące po ostatecznem stłumieniu powstania na Rusi, i w kilka dni po sromotnem rozbieciu wyprawy Wysockiego pod Radziwiłłowem. Nie było więc już komu podawać ręki na Rusi; nie uderzano na nią z trzech stron jednocześnie; wszystko świadczyło o niedołęstwie, nieumiejętności prowadzenia spraw i lekkomyślności karygodnej.

Oddział tulczański nosił nazwę „pierwszego batalionu oddziału wschodniego wojska narodowego polskiego“, i składał się z trzech kompanii pod wodzą kapitanów: Augusta Cieszkowskiego, Władysława Towarnickiego i Karola Brzozowskiego, porucznika. Każdy ochotnik, przybywający do Tulczy, otrzymywał kwaterę i trzy piastry tureckie żołdu,

bez różnicy stopnia. Oddział złożony z najrozmaitszych żywiołów, między którymi było wielu, którzy z niechęcią patrzyli na to, że Miłkowski stał na czele wyprawy, wielu, którzy należeli do stronnictwa Czartoryskich, наконец wielu ludzi wykolejonych i steranych tułactwem, wśród którego nabyli złych nałogów, nie przedstawiał tej jednolitości ducha i pragnień, tak potrzebnych, aby nadać tęgość całosci. Byli tacy, którzy oddawali się pijaństwu, robili awantury w mieście i utrudniali przez to i tak dość trudne położenie baszy tureckiego wobec formującej się partyi polskiej. Ubrani jednakowo, w bluzy i spodnie z szarego płótna, w kaszkiety granatowe o formie wojskowej, włóczyli się po mieście i jawnie świadczyli sobą o gotującej się wyprawie. Reszid basza, gubernator tulczański, patrzący na wszystko przez palce, musiał jednak zachować pewne pozory, stąd najmniejsza niedokładność w paszporcie, lub burda w karczmie, wyjście na ulicę w godzinę po zachodzie słońca, prowadziło Polaka do kozy, skąd go z trudnością i nie bez kosztów, Miłkowski musiał wydobywać.

Gdy nakoniec broń przybyła i oddział ostatecznie sformowany został, pierwszą czynnością była przeprawa przez Dunaj. Po zbadaniu wybrzeży tej rzeki, Miłkowski zdecydował się dokonać przeprawy pod Isakcz. Za pośrednictwem szpiega rosyjskiego, Gręka rodem, który zjawił się u wodza polskiego z propozycyą, że dostarczy statków do przeprawy, rozpuszczono pogłoskę, że oddział liczy tysiąc ludzi i sto koni i że zamierza wylądować w Akermanie. Gubernatorem jeneralnym w Odessie był podówczas generał Kotzebue, znany nam już szef sztabu, niegdyś przy Gorczakowie w Warszawie, Niemiec zły i intrygant, ale zato pozbawiony wyższych zdolności. Otrzymaawszy od szpiega wiadomość powyższą, natychmiast wysłał znaczne siły w okolice Akermanu, by należycie powitać mających przybyć Polaków. Napróżno tam jednak oczekiwał; Polacy nie przybyli i nowoczesny Zeus rosyjski zamiast Junony chmurę uściśnął, a Miłkowski tę miał korzyść, że odwrócił

uwagę rosyjską od Tulczy w chwili najniebezpieczniejszej, bo przeprawy przez Dunaj, po którym krążyły statki rosyjskie i skutecznie mogły przeszkodzić zamiarom wodza powstańczego. Przeprawa ta odbyć się miała na parostanku, należącym do kompanii angielskiej, stojącym w Sulinie, z której to kompanii dyrektorem umówił się wicekonsul włoski w temże mieście, p. Jessy. Dyrektor zgadzał się na przewiezienie oddziału na przeciwny brzeg Dunaju za darmo, żądał tylko, ażeby Miłkowski użył do tego gwałtu, który miał służyć jako osłona przeciw możliwym reklamacyom rosyjskim. Do tajemnicy tego układu nie został przypuszczony ani kapitan, ani załoga statku. Przeprawy miano dokonać między Tulczą a Isacezą. W celu owdzięcia statkiem, Miłkowski wysłał do Suliny majora Franciszka Zimę, starego emigranta, człowieka dzielnego i roztropnego. Ten pojechał do Suliny z dziewięciu ludźmi, którzy wsiedli na ów statek jako zwyczajni podróżni, ale w drodze go opanowali i zmusili do przybicia do brzegu prawego, gdzie już Miłkowski ze swoimi czekał.

Przed wymarszem jednak oddziału z Tulczy, spotkała wodza polskiego katastrofa. Reszid basza dowiedziawszy się o wyznaczonym terminie wyruszenia oddziału, wezwał Miłkowskiego do siebie i oświadczył mu, że dla uniknięcia kompromitacyi swego rządu, musi wszystkich Polaków w dzień wymarszu przyaresztować, z wyjątkiem oficerów, podoficerów i sierżantów, że trzeba, aby Miłkowski z pomiędzy przyaresztowanych wydzielił trzydziestu, których on, basza, odeśle do Konstantynopola z wielkim hałasem i ostentacją, resztę zaś wypuści po zachodzie słońca; że akcja aresztowania trwać będzie od godziny 10 rano do 4 popołudniu, że po tej godzinie aresztowanie ustanie — a nadto strażę wojskowe i policyjne cofnięte zostaną z części miasta zachodniej, do której aż do północy żaden patrol nie zajrzy. Oznajmił Miłkowskiemu przytem, że wszystko to rzetelnie spełni, że sprzyja Polakom, ale „względy polityczne nakazują nieraz traktować po nieprzyjacielsku przyjaciół najserdeczniejszych“. Oczywiście rzecz, że Mił-

kowski zgodzić się musiał na tę propozycję. W d. 11 lipca, t. j. w terminie przeznaczonym na wymarsz, przyaresztowano prawie wszystkich Polaków, co niemały popłoch na nich rzuciło, osadzono w więzieniu, którego strzegły dwa bataliony piechoty, ale wieczorem jeńców wypuszczono. Telegraf rozniósł wiadomość o tem aresztowaniu i uspił uwagę Wołochów i Rosyan, co było bardzo korzystnem dla wyprawy polskiej. Zebrano się więc cichaczem i ruszono na miejsce oznaczone nad Dunajem w liczbie 213 ludzi; z tą garstką chciał Miłkowski przerznąć się przez Budziak, Multany, Bessarabię, wkroczyć na Podole i wojować z Rosyą. Gdyby to wszystko nie było rzetelną prawdą, zaiste, wyglądałoby na fantastyczną bajkę Hoffmana!

Przeprawa przez Dunaj odbyła się o tyle o ile szczęśliwie. Statek angielski, opanowany przez majora Zimę, przybił na miejsce oznaczone, w którym wśród bagien i wikliny nadbrzeżnej, ukrywał się oddział polski, zabrał go, ale nie dowiózł do Reni, gdzie Miłkowski chciał wyładować. Statek był stary, zdezelowany i pod niezwykłym ciężarem przeszło dwustu ludzi, groził zatonięciem, więc wyładowano o parę kilometrów zaledwie od punktu, w którym na parowiec się zaambarkowano. Równocześnie ze swem wkroczeniem na ziemię wołoską, wódz polski rozesłał do władz i dzienników rumuńskich odezwę, skreśloną po francusku, a zredagowaną przez niejakiego pana Deluvier, wicekonsula francuskiego w Tulczy. W odezwie tej Miłkowski donosił, że przez ziemię wołoską prowadzi oddział zbrojny, że przez to gwałci neutralność księstw zjednoczonych, oświadcza jednak „wobec Boga i Europy“, że czyni to zmuszony potrzebą, że niema dla niego i jego towarzyszy innego wyboru, jak tylko „albo nie stanąć na wezwanie ojczyzny, albo przejść przez ziemię waszą“; że wybiera to ostatnie i „niech go świat sędzi“. Zapewniał, że przechodzi jako przyjaciel, że skrupulatnie szanować będzie osoby i mienie; że „gdyby zaś drażliwość wasza narodowa poruszyła się, widząc nas przy ogniskach waszych, pomyślcie, że jesteśmy dziś żołnierzami niepodległości

ojczyzny naszej z pod praw wyjętymi, że jutro będziemy może męczennikami“. Pytał, czyż nieprzyjaciele Polski nie gwałcili ziem obcych? czyż nie wchodzili wielokrotnie do Prus, w celu manewrowania przeciw Polakom? czyż strzelcy rosyjscy nie strzelali do Polaków z gruntu austriackiego? że skoro oni to czynią dla zadawania ciosów, to Polakom nie ma być dozwolone w obronie? Polakom „nieposiadającym środków innych, tylko serce i ramiona; praw innych tylko prawa naturalne; sprzymierzeńców innych, tylko sprawiedliwość boską i ludzi uczciwych sumienie?“ Wzywał wkońcu Wołochów patetycznemi słowy: „Puście nas — idziemy bowiem walczyć przeciwko nieprzyjacielom cywilizacyi i wolności; puście nas, ponieważ przejść musimy bądź co bądź (*quand même*); nie zapominajcie, że dwa narody nasze są bratnie i że krew przelana spadnie na tego, co pierwszy zaczepi. Gdyby zaś oskarżono nas przed wami, wywołując przeciwko nam zimną kwestyę prawa, odpowiedzcie i wraz z wami odpowie każdy człowiek serca: jakież trybunał potępiłby syna za to, że ten przechodzi przez pola sąsiada, spiesząc na ratunek matki, którą smaga morderca?“ Wydając tę odezwę, niewątpliwie piękną w niektórych swoich ustępach, Miłkowski liczył na sympatyę Wołochów dla sprawy polskiej, na ich nienawiść do Rosyi; oczywiście nie można było oczekiwać tego, by rząd wołoski chciał dopomagać garści Polaków, przemyskających się przez ich terytoryum, ale spodziewać się należało, że będzie, podobnie jak Turcyja, patrzył na pochód polski przez palce. Nadzieje te zawiodły, jak wszystko w tej nieszczęśliwej wojnie zawodziło, bo wszystko było oparte nie na rzeczywistości, nie na faktach i interesach, ale na uczuciach i sentymentach, które zawsze są zmienne i zależne od okoliczności zewnętrznych.

Miłkowski wszelako, stanawszy na ziemi rumuńskiej, przypuszczał, że wojska wołoskie będą mu chciały zastąpić drogę i dlatego starał się zebrać szczegółowe wiadomości o ich sile, wodzach i stanowiskach. W Budziaku, t. j. tej części Bessarabii, przez którą oddział polski przejść musiał

by się dostać do Prutu, a stamtąd już Multanami maszerować ku Podolowi, po prawej Miłkowskiego stał w Izmailowie pułkownik Kalinesko z 900 ludźmi; po lewej w Reni i Galaczu, pułkownik Manu z takąż mniej więcej siłą. Ci obaj byli najniebezpieczniejsi, bo mogli w jednym marszu zaskoczyć Polaków z obu flanków i zgnieść w dosiebnym uścisku. W dalszej drodze, już poza Prutem, w Foksach, Jassach i wzdłuż Prutu, były inne siły, złożone z piechoty, jazdy i artyleryi, oraz żandarmów, ogółem wynoszące przeszło 5.000 ludzi, ale że były rozrzucone na znacznej przestrzeni, nie mogły się przy zamierzonej szybkości ruchów polskich, skoncentrować od razu i zastąpić drogę polskim straceńcom. W pierwszej więc chwili najgroźniejszymi byli Kalinesko i Manu, którzy, jakśmy to powiedzieli, wraz z żandarmeryą liczyli około 2.000 ludzi, siłę stanowiącą ogromną przewagę wobec dwustu kilkunastu wojowników polskich. Przypuściwszy jednak, że rząd wołoski udając gorliwość wrzaskliwą, w rzeczy samej nie będzie chciał zbyt znacznie przeszkadzać marszowi polskiemu, jakże się przedstawiały siły rosyjskie, które z chwilą wkroczenia tychże wojowników w granice caratu, niewątpliwie zastąpią im drogę? Otóż na wieść o zamierzonej wyprawie Miłkowskiego, zgromadzono w Bessarabii rosyjskiej znaczne stosunkowo siły. Mówiliśmy już o tem, że gubernator jeneralny odeski, Kotzebue, skoncentrował szesnastotysięczny korpus w okolicach Akermanu, a prócz tego umieścił w Benderach pułk zamoyski piechoty, w Kiszyńowie pułk lubelski, w Bielcach pułk praski, w Chocimiu pułk modliński, oraz dwa pułki kozackie wzdłuż granicy mołdawskiej, pod ogólnem dowództwem jenerała-porucznika Kiszyńskiego. Wprawdzie w chwili wymarszu z Tulczy, doniesiono Miłkowskiemu z Odessy, że pułki zamoyski i lubelski są pozyskane na rzecz powstania polskiego, że napadnięte bronić się nie będą i tłumnie przejdą do szeregów polskich, że zatem należy, aby wyprawa tulczańska wprost z Budziaku ruszyła na Bessarabię rosyjską, na Bendery i Kiszeniew. Miłkowski jednak tej rady nie posłuchał,

i zdaniem naszym, źle zrobił, bo jakkolwiek zapewnienia o usposobieniu tych pułków były gołosłowne, jakkolwiek wiedział, co znaczy karność wojskowa i jak ona zawsze górę bierze nad nastrojem duchowym żołnierza, jednakże cała ta wyprawa była z natury swej tak ryzykowną, że lepiej było ruszyć wprost na Bessarabię rosyjską i poprobować szczęścia, a przynajmniej zginąć heroicznie w walce z wrogiem polskim, niż marnie złożyć broń przed Wołochami. Nie zrobił on tak i uparcie trzymał się pierwotnego swego planu, zwłaszcza, że maszerując wzdłuż prawego brzegu Prutu przez Multany, nie potrzebował się lękać sił rosyjskich, rozrzuconych w Benderach, Kiszyniewie i Bielcach; najgroźniejszym dla niego był pułk modliński, stojący w Chocimiu, z którym starcie było konieczne, jeżeli chciał dostać się na Podole. Ale były to sprawy dalsze i w tej chwili należało tylko myśleć o szczęśliwym przedostaniu się przez Budziak do Prutu w Gotesztach, gdzie na oddział miały czekać podwody, przygotowane uprzednio przez jednego z agentów polskich.

Na maszerujących Polaków strażę pograniczne wołoskie patrzyły z podziwieniem i broń prezentowały. Posuwano się wśród gęstych zarośli i trzein, porastających te bagniste wybrzeża Dunaju; marsz był bardzo uciążliwy pod lipcową spiekotą i po nocy nieprzespanej. Wieczorem zatrzymano się naprzeciwko miasta Isacezi, leżącego na stronie tureckiej Dunaju, obok monastynu prawosławnego, wzniesionego tu przez cesarza Mikołaja I, na pamiątkę przejścia w tym miejscu rzeki w r. 1828.

Czerney rosyjscy przyjęli wojowników polskich uprzejmie i gościnnie; dostarczyli chleba i wina, a nazajutrz, gdy wyruszono dalej, przyjęli jałmużnę, a przełożony pobłogosławił uroczyście oddział. Mimo to na całą noc pełnęli gońców, jednego do Bolgradu, drugiego do Izmailowa, zawiadamiając tak Rosyan jak i Wołochów, o pojawieniu się Polaków. Co do Wołochów uwiadomienie zdradzieckich czernców nie było potrzebne. Kalinesko w Izmailowie wiedział już o tem od straży pogranicznej, i natychmiast

w nocy z 12 na 13 lipca, wyruszył, by zabiedz drogę Polakom. Ale tych ostatnich od bezpośredniego skrzydłowego ataku Kalineski broniło jezioro Jałpuch, które Wołosi musieli okrążyć, by zagrozić marsz dalszy Miłkowskiemu, który szedł po linii prostej i mógł wyścignąć Kalineskę. Ten jednak wsadził swą piechotę na podwody i pędził dwie noce i dzień, by Polaków dogonić. Położenie Miłkowskiego było dość niebezpieczne. Mając Kalineskę na karku, mógł się lada chwila spodziewać, że inne załogi wołoskie zaatakują go od czoła. Przytem rząd rumuński na wieść o wkroczeniu Polaków, rozesłał po całym państwie telegramy, że ziemię jego nawiedziła „banda złoczyńców i rozbójników“, że zatem ludność ma się ich strzedz i nigdzie pomocy im nie okazywać. Oddział polski odbywał forsowne marsze. Przez pierwsze dwa dni robiono po 70 wiorst, na które zużyto pierwszego dnia 15, a drugiego 18 godzin. Wśród palącego słońca lipcowego, marsze takie niesłychanie wyczerpywały ludzi i nie można było liczyć na to, ażeby oddział był w stanie długo takie natężenie sił wytrzymać.

Wśród tego wszystkiego, o świcie d. 14 lipca¹⁾, pod wsią Etiulikiej, gdy Polacy zabierali się do dalszego pochodu, na wzgórzach wieś otaczających, ukazało się wołosko. Miłkowski żwawo wieś przeszedł, za nim Wołosi, rozwinęli się w szyk bojowy i osłonili łańcuchem tyralierów. Niebawem ukazał się parlamentarz wołoski, major Skiletti, który zażądał, ażeby oddział polski się zatrzymał i żeby Miłkowski osobiście zobaczył się z pułkownikiem Kalinesko. Dowódca polski odrzucił pierwsze żądanie, na drugie się zgodził, i podczas gdy szczupła kolumna powstańcza maszerowała dalej, wodzowie zjechali się na połowie przestrzeni między obu wojskami. Kalinesko

¹⁾ Datę powyższą podaje relacya rękopiśmienna, będąca w zbiorach autora. Miłkowski bowiem w obu swych drukowanych relacjach «W Galicyi i na Wschodzie» i «Opowiadanie żołnierza» (Polska w walce I, 249—293) bardzo rzadko daty cytuje.

domagał się złożenia broni i powrotu Polaków do Turcji, grożąc w razie przeciwnym, że uderzy na nich siłą. Miłkowski odrzekł, że broń niesie nie przeciw Wołochom, ale do Polski, że jej nie złoży i do Turcji nie wróci. Wieść o tem jego postanowieniu kolumna polska przyjęła radosnymi okrzykami, a Wołosi szli jeszcze za nią jakiś czas, wreszcie znużeni tak wyczerpującym dwudniowym pościgiem, zatrzymali się i znikli z oczów polskich. Miłkowski dla wprowadzenia ich w błąd, skrzył na prawo ku granicy rosyjskiej, ale nie na wiele się to przydało. Ludność strwożona wieścią o rozbójnikach i złoczyńcach z Turcji przybyłych, niewątpliwie o każdym ruchu polskim donosiła swym władzom, a na dobitkę uciekała ze wsi, unosząc ze sobą żywność, tak, że nigdzie ani chleba, ani mięsa dostać nie można było. We wsi Mussaidzie, wysłany podjazd dostarczył wiadomości o pojawieniu się kolumn Kalineski. Zwrot więc Miłkowskiego na wschód, ku granicy rosyjskiej, nie przyniósł tych skutków, jakich się po nim spodziewał, nie dał mu nawet tego chwilowego spoczynku, którego jego oddział, znużony nadzwyczajnie, wymagał. Na wieść o pochodzie Kalineski zwinięto obóz i idąc wzdłuż granicy rosyjskiej, skierowano się ku Prutowi i w południe dnia 15 lipca, zatrzymano się koło folwarku Kostangalia Bażenari. Miłkowski dla uwolnienia się od upartego pościgu Kalineski, zdecydowany był przyjąć bitwę i pozycya pod Kostangalią wydawała mu się odpowiednią; kazał więc oddziałowi stanąć, uszykować się czołem do tyłu i broń w kozły złożyć.

Pozycya przedstawiała się dość obronnie, acz miała swe słabe strony. Oddział polski stał w dolinie, dokoła otoczonej górami, przez które szła jedna tylko droga, po której przemaszerowali do Kostangalii, Polacy, i którą posuwali się Wołosi. Gdyby oddział polski był na tyle liczny, że mógłby te góry obsadzić, położenie Wołochów mogło się stać bardzo niebezpiecznem. Ponieważ jednak sił na powyższe obsadzenie nie starczyło, więc oparto się plecami o ogród i zabudowania folwarczne, które w razie

porażki mogły służyć za schron i za rodzaj reduty. Lewego skrzydła broniła rzeczka, prawe tylko wisiało w powietrzu, które Kalinesko mógł łatwo obejść i zaatakować powstańców od tyłu. Dla zabezpieczenia się od tego, umieścił Miłkowski w tyle frontu, w kilku chałupach podporucznika Wojnę z 16 ludźmi i oficerów nadliczbowych z rozkazem, ażeby w razie ataku nieprzyjaciela z boku, wstrzymać go póty, póki oddział do ogrodu się nie cofnie.

W takim szyku czekano na Wołochów, których zbliżanie się zdradzały chmury całe kurzu; zatrzymali się oni przy karczmie, oddalonej od czoła polskiego o trzy wiorsty, zsiadli z wozów i poczęli się formować do boju, co trwało blisko godzinę. Kalinesko miał pod swą komendą przeszło 1.200 ludzi piechoty, oddział jazdy 50 do 60 koni, był więc siedmkroć silniejszy od Miłkowskiego. Wprawdzie byli to po większej części rekruci, nieobyci z wojną, uzbrojeni w karabiny tak liche, że po kilku wystrzałach kule w lufy nie wchodziły¹⁾. Wódz rumuński miał od swego ministra wojny, generała Floreski najwyraźniejsze rozkazy, przeszkodzenia marszowi oddziału polskiego przez Multany. „Na wypadek spotkania z Polakami (pisał minister do Kalineski²⁾), parlamentuj... przedstawiając im jasno, że jakkolwiek uczucia ich są prawe, tolerować nie możemy deptania ziemi naszej zbrojną ręką, że zatem niech nie próbują przekraczania Prutu, albo, jeżeli chcą wejść wewnątrz kraju, niech pierwiej broń złożą, gdyż tylko tym sposobem uniknąć będzie można rozlewu krwi, nad którym my pierwsi ubolewać będziemy“. Najsurowiej miał przytem Kalinesko polecone, ażeby nie dozwolił Miłkowskiemu na przeprawę przez Prut, żeby się tam oszańcował nawet, żeby zniweczył energicznie wszelkie pokuszenia przejścia Prutu“. Wódz wołoski, zgodnie też z temi

¹⁾ Tak utrzymuje sam Kalinesko w swym raporcie do ministra o starciu pod Kostangalią (*«W Galicyi i na Wschodzie»*, p. 141), ale i Miłkowski miał nie wszystką broń dobrą, gdyż po tej potyczce po cichu swe gorsze karabiny wymienił na rumuńskie lepsze.

²⁾ *Miłkowski*, *«W Galicyi i na Wschodzie»*, 141.

instrukcjami, dopędziwszy powstańców pod Kostangalią, zażądał przez parlamentarza widzenia się z Miłkowskim. Ten zgodził się na to. Zjechało się na połowie drogi między obu kolumnami, ale pertraktacje te do niczego nie doprowadziły. Kalinesko domagał się złożenia broni, groził, że przewagą swoją zgnie Polaków (*je vous écraserai*); obiecywał, że cały oddział odstawi bezpiecznie do granicy tureckiej. Miłkowski propozycję poddania się odrzucił; starcie więc było nieuniknione.

Czy jednak było ono potrzebnem i ze stanowiska polskiego korzystnem? Czy Miłkowski mógł mieć choćby najslabszą nadzieję, nie już zwycięstwa, ale choćby długotrwałego oporu? Sądząc rzeczy po ludzku, wobec siedmkroć liczniejszego nieprzyjaciela, wprawdzie złożonego z rekrutów i źle uzbrojonego, rzecz ta była wprost niemożliwą. W swym pamiętniku powiada on, że walczył o przeprawę przez Prut, o honor broni polskiej, o tę wreście może marzycielską myśl, że walką tą wywoła zawiązania i rozdmucha zarzewia kwestyi wschodniej. Sam nie wierząc w możność zwycięstwa, bić się postanowił, jak się zdaje, głównie dla tego swego marzenia. Było ono zwodniczem i historya musiałaby surowo osądzić Miłkowskiego za rozlew drogiej krwi polskiej na polach Kostangalii, gdyby nie to, że cześć narodowa, honor broni wyznaczał tego rozlewu. Poddać się bez walki, byłoby czemś haniebnem. W całej historii ostatniego powstania, nigdzie i nigdy bez boju nie poddawano się, nie mógł się więc poddać i Miłkowski i dlatego usprawiedliwić go musimy i powiedzieć, że dobrze zrobił, bijąc się z Kalineską.

Walka rozpoczęła się od ognia tyralierskiego, trwała około trzech godzin; Kalinesko usiłował otoczyć z obu skrzydeł szczupły oddziałek polski. To mu się nie udało i to go zgubiło. W manewrach tych zaskoczony nagle przez trzecią kompanię z boku, poszedł w rozsypkę i zwycięstwo zostało przy Polakach¹⁾; to jest zwycięstwo takie,

¹⁾ Miłkowski w obu swych, cytowanych tu parokrotnie, relacjach o starciu pod Kostangalią, opowiada, jakoby bój ze strony

że Wołosi cofali się w nieładzie, ciskając karabiny, ładownice, kaszkiety, ale zatrzymali się o parę wiorst przy

polskiej był prowadzony z precyzją, ładem i walecznością niezwykłą. Relacja rękopiśmienna, będąca w naszym posiadaniu, a skreślona przez jednego z uczestników tej walki, w odmiennem nieco świetle przedstawia przebieg potyczki. Oto słowa tej relacji: «W bitwie tej Moldawianie, wraz ze swym dowódcą, okazali wielkie niedołęstwo, gdy ani męstwu oddziału polskiego, ani też szczególnej taktyce jego dowódcy, należało przypisać wygraną; jest ona jakąś dziwną kombinacją, gdyż wcale się na tę wygraną nie zanośli. Od początku bowiem bitwy w oddziale polskim było wielkie zamieszanie, a małą ilość zabitych i rannych, należało przypisać małej liczbie wojowników a nawet i nieporządkowi. Bo gdy padło 6 zabitych, a 12 rannych, liczba się zmniejszyła, wkraść się nieporządek, a nawet przestrach; już prawie nikt nikogo nie słuchał i wszystko się to kręciło bez żadnego ładu; ale będąc rozsypani jeden od drugiego daleko, kule nieprzyjacielskie, lubo gęsto idące, natrafiały na miejsca próżne i nikogo nie brały, gdy przeciwnie kule polskie padając w kolumny ściśnione, zadawały nieprzyjacielowi ogromne szkody i dlatego prawie żadna nie chybiła. Sam rezultat bitwy okazał, że Moldawianie mieli 150 zabitych i 200 rannych, gdy Polacy mieli 6 tylko poległych i 12 okaleczonych. (Według Miłkowskiego, loc. cit., p. 150, Polacy mieli 6 zabitych i 14 rannych, a Wołosi czterdziestu kilku poległych i przeszło 100 rannych). Bitwa zaś skończyła się w ten sposób, iż podczas największego zamieszania i nieładu w oddziale polskim, czyli po prostu młynkowania desperacyjnego, kompania 3 od lewego skrzydła, zauważywszy kulę, idącą z boku, w tę stronę z bagnetem pospieszyła. Otóż Moldawianie chcieli zabrać tył i wziąć nas we dwa ognie. Dwie kompanie, po 150 ludzi liczące, były na ten cel od lewego skrzydła wysłane, a z takimiż kompaniami na prawem ugał się kapitan Dębicki. Otóż kompania 3 z 35 ludzi złożona, poskoczywszy w lewo, gdzie pagórkami osłonięci Moldawianie już nam tył zabierali i z boku strzelali, zmusiła ich swą rezygnacją do ohydnej ucieczki. Kolumny zaś nieprzyjacielskie, widząc uciekających tych, na których najczęściej liczyli, dalej w nogi i wtedy cały korpus, z przeszło tysiąca ludzi złożony, zmiatał przed 200. ludźmi. Naturalnie, że wtedy Polacy, nie spodziewając się wygranej, nabrali ducha i gonili uciekających. Zostali więc panami placu boju i broni przez uciekających pozostawionej. Wtedy zapaleni chcieli iść dalej, lecz wstrzymał ich Miłkowski poważną przemową, że nie ma na celu bić Mamalygany, bronił się tylko przeciw ich napaści, a odparłszy, może poczekać i t. d.

wspomnianej już przez nas karczmie. Gdyby tutaj Kalinesko, sformowawszy się na nowo, zaatakował powtórnie Polaków, mógłby ich zmęczonych, osłabionych, palonych żarem słońca lipcowego, łatwo pokonać, zwłaszcza, że Miłkowski pobitych nie ścigał, bo nie posiadał jazdy, że był bardzo zmęczony, że ściganie zwróciłoby go z drogi ku Prutowi, że wreszcie wojny z Wołochami nie toczył i toczyć nie chciał. Bądź co bądź potyczka ta miała ten dodatni skutek dla powstańców, że pozwoliła im odetchnąć nieco i uwolniła na parę dni od upartego pościgu Rumunów. Kalinesko zjechawszy się z Miłkowskim po tem starciu, wyjednał zebranie rannych i trupów z pobojuwiska i przyrzekł pod słowem honoru, że przez 36 godzin powstańców polskich atakować nie będzie. To był prawdziwy tryumf dla tych ostatnich; dawał im bowiem możność bezpiecznego spoczynku przez kilkanaście godzin i sposobność dopadnięcia w forsownym marszu Prutu. Broń, zdobytą na Rumunach, Miłkowski zwrócił Kalinesce, bo najprzód, jak sam twierdzi, nie potrzebował jej, a potem nie miał wozów, na które mógłby ją był zabrać, co zdaniem naszym, nie tłómaczy go wcale. Broń dla powstania była zawsze bardzo cenną i nigdy jej ono w dostatecznej ilości nie posiadało i trzeba było wszystkich środków użyć, by ją zabrać ze sobą, zwłaszcza, że była to zdobycz ciężko krwią polską okupiona.

Ważniejszym jednak i, zdaniem naszym, zupełnie słusznym jest zarzut, jaki współcześni czynili Miłkowskiemu ¹⁾, że przekonawszy się, iż z bronią w ręku stanowczo przez Multany przejść nie będzie mógł, dla czego nie skorzystał ze zwycięstwa pod Kostangalią, by wyjednać w ostateczności albo honorowe warunki poddania się, albo też jaki układ zawrzeć, przy pomocy którego mógłby cel swojej

¹⁾ Między innymi Michał Mrozowski, agent Rządu narodowego w Księstwach Naddunajskich w swym raporcie do Rządu z dnia 17 sierpnia 1863 r. (Wydawnictwo materiałów do historii powstania V, 243 i następne).

wyprawy osiągnąć. Z zarzutu tego broni się słabo. Powiada, że o poddanie się nie traktował, bo mu „pułkownik rumuński złożenia broni nie proponował“ i że „proponocyi by takiej nie przyjął“. Jest tu jakieś nieporozumienie, boć przecie dlatego Kalinesko ścigał i bił się z Polakami, że broni złożyć nie chcieli, zresztą przed bitwą wyraźnie tego żądał ¹⁾. Z drugiej strony atoli, jeżeli złożenie broni przed starciem, bez dania choć jednego wystrzału, byłoby po prostu haniebnem tchórzostwem, to po zwycięstwie, prawie niemożliwem, wyglądającym na bajkę fantastyczną, a jednak rzeczywistem, w chwili, gdy Wołosi musieli nabyć i nabyli przekonania, że ta garść strażników polskich nie łatwą będzie do pokonania, że gotowi się bić do ostatka jak ludzie zrozpaczeni, że wreszcie Rumunia nie ma żadnego interesu w tem, by tracić ludzi i pieniądze na wytępienie oddziału polskiego, że nakoniec złożenie broni przez ten oddziałek ocala pozory i zaciera wrażenie haniebnej rozsypki kostangalskiej, po tem wszystkiem, powtarzamy, Wołosi byliby zapewne zgodzili się na warunki czyniące zadość obu stronom, tak, żeby i wilk był syty i koza cała. Z rozporządzeń ministra Floresku ²⁾, przekonujemy się, że dalszy marsz Miłkowskiego i przeprawa przez Prut, stawała się dlań niemożliwą. Wysyłano na gwałt nowe kolumny z Jass i Fokszan, by zastąpiły drogę Polakom i nie dozwoliły na przejście Prutu. Minister do wodza jednej z takich kolumn, majora Rakowicy, pisał: „Nim ich (Polaków) zaatakujesz, żądaj widzenia się z wodzem ich. Powiedz mu, że jakimby nie było zadanie jego, nasze jest niemniej święte, nakazanie uszanowania nieetykalności i neutralności państwa. Żądaj złożenia broni i na pierwsze sprzeciwienie się, atakuj bezzwłocznie“. Gdy do tej instrukcyi dodamy, że Kalinesko odrzucony, ale niepo-

¹⁾ „Na co nam bić się! (mówił Kalinesko do Miłkowskiego), złóżcie broń, my broń osobno, ludzi osobno do granicy odstawimy“. (W Galicyi i na Wschodzie, p. 145).

²⁾ Pomieszcza je Miłkowski w swem dziełku, loc. cit., p. 162.

konany, ochłonawszy z przestachu kostangalskiego, ruszył znowu śladem polskim, deptał powstańcom po piętach i w razie ataku od czoła, zaczęliby ich od tyłu, okaże się, że innego wyjścia nie było, jak tylko po starciu zwyciężkiem skorzystać z chwilowej przewagi i wyjednać sobie zaszczytne warunki poddania, a może nawet przedostania się cichaczem na Podole. Miłkowski tego nie uczynił pod Kostangalią i zmuszony został w parę dni później do zdania się na łaskę i niełaskę. Czyż więc nie lepiej było to zrobić, gdy dumny tryumfem, dawszy krwawą naukę Wołochom, ze zwycięską bronią w ręku, mógł się targować i wyjednać warunki najdogodniejsze dla siebie i dla celu, dla którego naruszył granice obcego państwa?

Po starciu pod Kostangalią oddziałek polski odpoczywał resztę tego dnia i cały następny, a obozowisko zwycięzców kostangalskich, odwiedzane było licznie przez bojarów z Kahulu, którzy przywozili w obfitości żywność. Kalinesko, jak zapewnia sam Miłkowski, wiernie swego zobowiązania, że nie będzie Polaków ani dziś, t. j. dnia 15 lipca, ani jutro atakował, dotrzymał¹⁾. W nocy z dnia 16 na 17 lipca, między 11 a 12 godziną, obóz zwinięto w największej cichości, okrążono wieś i forsownym marszem dostano się do wsi Konstantynówki, własności Polaka, Szwejkowskiego, a stąd do pobliskiego Prutu, przez

¹⁾ We wspomnianej parokrotnie relacji rękopiśmiennej, znajdujemy inne w tym względzie podanie, a mianowicie, że «w nocy zaobserwowano jakiś ruch niezwykle wojska moldawskiego; byli to pojedynczy oficerowie z kilkoma żołnierzami, którzy zatrzymani i zapytani przez polskie posterunki, dokąd idą, odpowiedzieli z bezczelnym kłamstwem, że idą za kupnem prowizji dla swoich, a tymczasem szli oni dla złączenia się ze swym wojskiem, które obeszło góry i zabierało tyl Polakom, tak, aby ich spotkać na drodze i znowu uderzyć na nich niespodzianie. Miłkowski w dobrej wierze, licząc na słowo Kalineski, przepuszczał tych panów». Że Kalinesko «wiernie» nie dotrzymywał słowa, świadczy jego raport do ministra z dnia 15 lipca, w nocy pisany (loc. cit., p. 142) «za Polakami pójde śladem, o wiorst 5 do 6, i jak skoro okazyć znajde, natychmiast ich zaatakuję».

który przeprawiono się bez przeszkody, ale obiecanych podwód wcale nie zastano. Oddział forsownym siedmiomilowym marszem, wśród spiekoty lipcowej, był niesłychanie znużony, ledwie nogami powłóczył, tak, że z wysiłkiem dowlókl się do wsi Rynszeszy, już za Prutem¹⁾. W dodatku upadł deszcz i rozmoczył tak ziemię, że marsz stawał się nadzwyczaj utrudzającym. Major Zima proponował dla utrudnienia pościgu Kalineski, ażeby mosty na Prucie zerwać, a prom z wodą puścić. Miłkowski sprzeciwił się temu, gdyż wobec braku podwód, które mogłyby go szybko prze rzucić na północ Multan, uważał dalszy marsz i dalszą obronę za niemożliwą i w duszy zdecydowany był na poddanie się i zaniechanie wyprawy. Wielu z tego powodu czynią mu zarzuty, niepozbawione pewnej racji. Skoro raz przedsięwziął tę awanturniczą wyprawę, skoro drogą krwią polską okupił ją pod Kostangalią, należało wszystko czynić, wszystkie środki wyczerpać, by ją doprowadzić do

¹⁾ Miłkowski w swej książce pisze tak, jak gdyby w czasie marszu nad Prut nie miał żadnych przeszkód. Rękopiśmienna relacja zawiera co do tego kilka szczegółów, których autentyczności nie mogąc sprawdzić, przytaczamy je tu dosłownie. Otóż, nieznany autor opowiada, iż po wymarszu z Kostangalii «dowiedziano się, iż w parę godzin Moldawianie zaatakowali miejsce przed chwilą opuszczone przez Polaków, sądząc, iż oni się tam jeszcze znajdują, a ponieważ było ciemno, nie wiedzieli, że strzelali do plotu i dopiero po półgodzinnym ogniu, nie słysząc żadnego odstrzeliwania, błąd swój poznali. Oddział polski wcale o tem nie wiedział, szedł dalej; w nocy było widać o parę wiorst od drogi na lewo ognie palone w obozie moldawskim. Na samej zaś drodze czekały już dwie kompanie Moldawian, mające na celu uderzenie na Polaków. Byli oni tak odważni, że spostrzegłszy przybliżający się oddział polski, pokładli się i pocho wali pomiędzy bodyczki. Oddział to zauważył, ale nic nie mówił i szedł dalej. Ze wschodem słońca ujrano żandarmów za sobą, którzy nas obserwowali; naturalnie że kolumna moldawska była niedaleko za nimi. Przechodząc przez las, czyniono propozycją zrobienia zasadzki i uderzenia niespodziewanie na Moldawian. Propozycję tę odrzucił Miłkowski i zdażał ku Prutowi. Przybywszy nad Prut, potrzeba było zdobywać prom dla przeprawienia się, był on bowiem już zajęty przez żandarmów». O tem wszystkiem Miłkowski słówka jednego nie powiada.

skutku. Zerwanie mostów, utrudnienie przeprawy Rumunom, oswabadzało go na czas jakiś od pościgu Kalineski. Wprawdzie od czoła zachodzi mu drogę major Rakowica w 400 ludzi, który miał, jak wiemy, stanowcze rozkazy co do rozbicia Polaków, ale przecież lepiej było mieć do czynienia z samym tylko Rakowicą, jak z nim i z Kalineską od tyłu, który liczył przeszło 800 ludzi pod bronią. Powstrzymanie tego ostatniego poza Prutem, ułatwić mogło traktowanie o warunki poddania się, skoro Miłkowski był już na to zdecydowany. Tłómaczył on się zaraz i później, że takie zerwanie mostów do niczego by nie doprowadziło, że byłoby zwykłą psotą bez celu i znaczenia, bo opóźniłoby pochód Kalineski o kilka zaledwie godzin; że bądź co bądź ten ostatni byłby przez Prut wcześniej czy później przeszedł, „czemu na żaden żywy sposób przeszkodzić w stanie nie byłem, mając do rozporządzenia 180 ludzi, zbolących i zmokłych“¹⁾. Słabe to tłumaczenie. Obowiązkiem wodza jest wszystko czynić, by cel swój osiągnąć. Mógł Kalinesko przeprowadzić się prędko, ale zdarzyć się mogło, że przeprawa ta potrwałaby dłużej, bo na wojnie bywają nieraz nieprzewidziane przeszkody; a nade wszystko utrudnienie tej przeprawy, powtarzamy, dawało sposobność Miłkowskiemu, skoro bić się już nie chciał

¹⁾ *Miłkowski*, W Galicyi i na Wschodzie, 164. W przypiskach swoich do raportu Mrozowickiego, agenta Rządu Narod. w Rumunii (Wyd. mat. do hist. pow. V, 246), powiada on, że «niepozrywanie mostów posłużyło mi następnie wobec ks. Kuzy, jako argument na dowód, żeśmy do Rumunii zbrojno nie w zamiarach nieprzyjacielskich wkroczyli. Wpłynęło to na rozbudzenie dla nas sympatyj w ludności i rządzie i zastąpiło wszelkie możliwe przy kapitulacji warunki, do dotrzymania których niktby Rumunów zmusić nie mógł, gdyby je złamać chcieli. Nie skądinąd wzięła się ta żywa, gorąca sympatya, jaką Rumuni żołnierzom naszym i sprawie naszej okazali, jeno stąd, żeśmy im w kraju najmniejszej nie wyrządzili szkody». Zabawne tłumaczenie! Wołosi dlatego mieli dla naszej sprawy sympatyę, że Miłkowski mostów na Prucie nie zerwał!!!

i zdecydowany był na zaniechanie ekspedycyi, do zawiazania rokowań i stawianie warunków¹⁾.

Nie uczynił tego jednak i zaledwie przybyto do wsi Rynszeszy i zaczęto zdejmować ze siebie pakunki i suszyć odzienie, gdy się Kalinesko, pędzący na wozach, ukazał. Żandarmi otoczyli wieś i krzyczeli na chłopów, ażeby każdy chwycił co może i „bił tych złodziei i rozbójników“. Wobec tego oddział wystąpił ze wsi i uszykował się jak należy, ale zniechęcony i zmęczony nie mógł myśleć o oporze. Rozpoczęto więc pertraktacye z Kalineską, rezultatem których było złożenie broni i zdanie się na łaskę i niełaskę. Oddział w Rynszeszy stał jeszcze trzy dni, potem przeniesiono go do miasteczka Kahulu, stąd do Reni i ostatecznie internowano we wsi Anadol. Wieś tę otoczono łańcuchem straży i nikogo nie przepuszczano przez nie; żywiono żołnierzy dobrze i ostatecznie rząd rumuński postanowił wysłać ich do Turcyi. Ale Turcyja przyjąć ich nie chciała i basza w Tulczy groził, że kartaczami transport ten powita. W rezultacie Rumuni broń agentowi Rządu narodowego, Mrozowickiemu, zwrócili, a oddział częściami i pojedynczo przedostał się przy pomocy Wołochów, którzy przyjmowali Polaków wszędzie owacyjnie, do Galicyi i Królestwa. Pewna tylko, mała częśćka, otrzymawszy paszporty, powróciła do Turcyi.

Taki miała koniec ta wyprawa, awanturnicza w swem założeniu, na którą tak wiele liczył sam Miłkowski i która miała podać zbrojną porękę Podolowi, wcale o powstaniu

¹⁾ Cytowana relacya rękopiśmienna powiada, że Miłkowski nie zerwał mostów zgola z innego powodu, niż ten, który przytoczył w swej książce. Oto ustęp dotyczący tej kwestyi: «Oddział przebrał się na promie, a gdy oficer prowadzący arygardę, będąc pewnym, że wszyscy już przeszli, wyciągnął palasz w celu przecięcia lin, prom utrzymujących, dla uniemożliwienia pogoni, powstrzymany został przez Miłkowskiego, który oświadczył, że ma słowo Kalineski i wierzy w to, iż Moldawianie za Prut nie przejdą». Nie wiemy o ile to jest prawdą, ale pomieszczamy i tę relacyę, która jeżeli nie jest autentyczną, to w każdym razie jest wyrazem opinii panującej w oddziale.

niemyślącemu. Ekspedycya ta, mimo cały swój charakter awanturniczy, miała wiele szans powodzenia, mogła istotnie rozniecić tlejące zarzewie kwestyi wschodniej, i wyzyskać na korzyść powstania osobliwszą sytuację, panującą w księstwach naddunajskich, księcia Kuzy. Takie bowiem było dziwaczne, rzec można, fantastyczne położenie ówczesnych spraw europejskich i powstania polskiego, że rzeczy pozornie najniemożliwsze stawały się możliwymi. Jeżeli jednak do tego nie przyszło, jeżeli sytuacji tej nie wyzyskano należycie, to wina w ogromnej części spada na Miłkowskiego. Po poddaniu się w Rynszesztu, otrzymał on pozwolenie, a raczej wezwanie, ażeby udał się do Bukaresztu dla przedstawienia się księciu Kuzie. Pojechał więc tam niezwłocznie z majorem Przewłockim, komisarzem Rządu narodowego przy oddziale. Naprzeciw niego wysłano powozy dworskie, a jeden z urzędników książęcych zapewniał Miłkowskiego, że w Bukareszcie tak sfery urzędowe jak i nieurzędowe usposobione są dla Polaków jak najlepiej; że rząd stara się tylko zachować decorum, że jednak ustępuje przed opinią publiczną, Polsce przychylną; że ludność Bukaresztu przygotowuje dla wodza polskiego owację „krzykliwą i olbrzymią“. Miłkowski jednak owe demonstracyjne przyjęcie stanowczo odrzucił, w czem, zdaniem naszym, nowy błąd popełnił. Powstanie polskie z natury i charakteru swego, było wyjęte z pod praw międzynarodowych i właśnie dlatego przed nieczem, a zwłaszcza przed obawą kompromitacji obcych rządów, cofać się nie powinno było. Im więcej rządów byłoby skompromitowanych, tem lepiej było dla nas, tem sprawy bardziej się wikłały, nienawiść i nieufność wzajemna wzmagająca, burza powszechna rosła, a nikt temu nie zaprzeczy, że tylko wielka burza europejska może nas na wierzch z odmetu zaprzepaszczenia wyrzucić. Miłkowski więc unikając krzykliwej demonstracji w Bukareszcie, źle zrobił, bo taka demonstracya zaznaczyłaby wyraźnie sympatyę Rumunów dla sprawy polskiej i zmusiła chwiejącego się, na swym słabym tronie, Kuze, do zajęcia względem tej sprawy zgoła

innego stanowiska. Miłkowski jak zwykle tłómaczył się słabo, że jakoby przewidywał, że taka demonstracya „skończy się na nieczem, na hałasie i może na ulicznym z policyą zatargu, któryby kilka osób na więzienie naraził“. — Ale właśnie trzeba było tego hałasu i tego zatargu z policyą, a cóż znowu Miłkowskiego mogło to obchodzić, że policya kilku krzykaczy do kozy wsadzi i co mu na tem zależało, by ci krzykacze w kozie nie siedzieli?

Ks. Kuza obu oficerów polskich przyjął grzecznie, papierosami częstował — ale rozpoczął od wyrzutów, że zbrojnie naszli Multany, że strzelali do jego wojska, że tego wszystkiego można było uniknąć, gdyby częściami lub pojedynczo oddział maszerował; zapewniał, żeby przeszkód nie stawiał i broń przepuścił. Słowa te były najostrzejszą krytyką działań Miłkowskiego, który tłumnie i zbrojnie postanowił przejść przez Multany, choć wielu mu radziło, żeby tego nie czynił. Późniejsze pozwolenie na głośne, ostentacyjne przejście internowanych w Anadolii świadczy, że rzecz ta była możliwą i łatwą do wykonania. Ale nie ulega też wątpliwości, że Miłkowski nie myślał nigdy na seryo o tem, by przedostać się na Podole; jego zamiarem było tylko, by przez zbrojne ukazanie się w Multanach, w nadziei oświadczenia się za nim ludności, może wojska, wywołać tak poważną sytuację, taki zatarg między Rosją i Rumunią, że od tego zatargu, niby od iskry, mogła nagle wielkim płomieniem zapalić się kwestya wschodnia. Myśl była pozornie bardzo fantastyczną, ale w istocie rzeczy niepozbawioną pewnych podstaw, jak się to potem okazało, czy to w sympatyi wódzów i ludności dla powstania polskiego, czy w sympatyi wreszcie ks. Kuzy, od chwili, gdy przekonał się, że Polacy nie dążą w porozumieniu z opozycją rumuńską do zrzucenia go z tronu. Lecz dla wywołania tych zawikłań, trzeba było całej akcji nadać trwałość dłuższą, bić się nie tylko pod Kostangalią, ale i pod Rynszesztu, opierać się do ostatka, robić jak najwięcej wrzawy; Miłkowski atoli przekonawszy się, że rząd rumuński nie chce go przepuścić przez swój kraj, że mar-

szowi jego stawia przeszkody, stracił ducha, popełniał błędy i poddał się bez żadnej dla sprawy korzyści i właściwie nie nie zrobił, prócz tego, że bezowocnie przelewał krew kilku dzielnych żołnierzy. Późniejsze wypadki przekonały najoczywiściej o tych błędach Miłkowskiego. Kuza wezwał do siebie ajenta Rządu narodowego, Mrozowickiego, telegraficznie do Bukaresztu, pytał dlaczego Rząd narodowy nie dał formalnej kredytywy do jego osoby, dlaczego od razu nie przedstawił mu się w charakterze komisarza; że gdyby wprzód porozumiano się, wyprawa Miłkowskiego inaczejby poszła; że internowanych żołnierzy uwolni, broń odda; że pozwala broń i ludzi przeprowadzić przez Rumunię do Polski i Galicji; że radby nawet, aby uorganizowano gdzieś na granicy Multan jakiś oddział, któryby uderzył na Rosyan, prosił tylko, by go zbyt hałaśliwym występowaniem nie kompromitować wobec Rosyi i by nie wiązano się z partją opozycyjną wołoską¹⁾.

Takie było położenie rzeczy, którego Miłkowski nie umiał należycie wyzyskać, obiecanę poręki zbrojnej Rusi nie dał i korzyści żadnych powstaniu nie przyniósł. Podobnie jak Wysocki w swej wyprawie na Wołyń, tak i Miłkowski zmarnował znaczny wysiłek narodowy i poważny fundusz. Niemniej trzecia zapowiadana wyprawa Menottiego na Ukrainę, wcale nie przyszła do skutku. Sam Garibaldi, pomimo tego, że okazywał Polsce wiele sympatii, że pisywał do Rządu narodowego i do Sierakowskiego listy pełne górnolotnych frazesów o wolności i tyranii, nie wiele w rzeczy samej powstaniu polskiemu dopomógł. Przysłał wprawdzie nieco broni, którą, jakśmy to wspomnieli, władze tureckie w Konstantynopolu skonfiskowały, ale sam na pole walki nie pośpieszył, choć podobno to obiecywał. Nie ulega wątpliwości, że pojawienie się wśród powstańców polskich takiego wodza, który był właśnie w swem apogeum sławy, na którego wszystkie ludy, tęskniące do

¹⁾ Raport Mrozowickiego do Rządu Narodowego z d. 17 sierpnia 1863 r. (Mat. do hist. pow. V, 248).

swobody, patrzyły jak na bożyszcze, byłoby wywarło olbrzymie wrażenie, nadało może wojnie samej inną cechę i jeżeli nie spowodowało zwycięstwa powstania, bo to bez obecnej zbrojnej pomocy, nawet z Garibaldim na czele, było niemożliwem, to w każdym razie narobiłoby rządowi rosyjskiemu dotkliwych kłopotów, choćby z tego względu, że stronnictwo liberalne rosyjskie, jeszcze w tej porze dość silne, widziało w starym wodzu włoskim niejako wcielenie wszystkich ideałów tej epoki burzliwej i uważałoby po prostu za zbrodnię podniesienie ręki na niego. Niestety! Garibaldi nie myślał wcale narażać swej sławy na szwank w lasach polskich i skończyć swą pełną chwałę karyerę w rękach jakiegoś porucznika rosyjskiego, zmienionego w samowładnego w swym obwodzie satrapę. Pod pozorem, że rana, którą otrzymał od kuli nieprzyjacielskiej pod Aspromonte, jeszcze nie została wyleczoną, powstrzymał się od karkołomnej wyprawy do Polski, nie bez śladów, że na to jego postanowienie wpływał sam rząd włoski, ulegając tajemnemu naciskowi rosyjskiemu, ale chcąc się jako tako wywiązać ze swych zobowiązań, oświadczył, że sformuje legion włoski i wyśle go na Ukrainę, dla podania ręki powstaniu tamtejszemu, pod wodzą syna swego, Menottiego. Na sztyftowanie tego legionu zbierane były składki po całych Włoszech, których wysokość nie jest nam znana, a Rząd narodowy na ten cel wypłacił Garibaldiemu 136.000 franków¹⁾. Plan był taki: że miano legion ten przewieźć morzem do Odessy, tam wylądować licząc na pomoc Włochów, zaludniających przeważnie to miasto, zdobyć je i ruszyć lądem ku Ukrainie w zbrojnej poręce tamtejszemu powstaniu. Ruch ten, o cechach wyraźnie awanturniczych, miał być jednocześnie dokonany z wyprawą Wysockiego na Wołyń i Miłkowskiego na Podole. Pominąwszy już to, że jednoczesność działania trzech kolumn, mających za punkt wyjścia tak oddalone miejscowości jak Galicja wschodnia, Tuleza nad Dunajem i Wło-

¹⁾ A. Giller, *Historia* II, 8.

ohy, z góry była bardzo wątpliwą, to samo oznaczenie Odessy, jako podstawy operacyjnej dla przyszłej wyprawy włoskiej, świadczy, jak lekkomyślnie brano się do rzeczy i jak fantastyczne snuto plany. Gubernatorem jeneralnym odeskim, a zarazem komendantem wojsk tam konsystujących, był znany nam już ze swej intryganckiej działalności w Warszawie w czasie wypadków 1861 r. Paweł Ewstafiejewicz (tak się tytułował) Kotzebue, Niemiec zgryźliwy, zły, zawistny, nienawidzący Polaków, typ karyerowicza niemieckiego, utuczonego na chlebie rosyjskim. Jakkolwiek nie odznaczał się nigdy dobrą głową wojskową, jednakże miał duże doświadczenie wojenne, nabyte w długotrwałej i krwawej kompanii krymskiej, jako szef sztabu naczelnego wodza Gorczakowa, i bądź co bądź nie dałby sobie łatwo wydrzeć Odessy. Rozporządzał przytem znacznemi stosunkowo siłami, gdyż rozkazywał dwudziestu kilku tysięcy żołnierzy, zaopatrzonych w artylerję odpowiednią. Czyż więc można było na seryo przypuszczać, ażeby jakiś oddziałek kilkuset, albo choćby nawet kilku tysięcy Włochów, mógł te siły przełamać, pokonać, Odesę zdobyć i z tryumfem maszerować na Ukrainę?

To też wyprawa ta niby się przygotowywała, ale właściwie nigdy do skutku przyjść nie miała. Garibaldi wysłał jednego ze swych agentów do formującego się w Tulczy Miłkowskiego, aby zamiast na Podole ruszył także na Odesę, ale przyszły zwycięzca kostangalski projekt ten odrzucił. Wówczas przez chwilę myślano o tem, żeby przyszły legion włoski, z Menottim na czele, przyłączyć do wyprawy tureckiej Miłkowskiego, ale zaszyły okoliczności, które formacyą owego legionu od razu zachwiały. Rząd włoski skonfiskował broń, znajdującą się na okręcie w Genui i przeznaczoną dla przyszłego oddziału włoskiego; nominacya przez Rząd narodowy ks. Władysława Czartoryskiego na głównego agenta dyplomatycznego, nadzieje opierane przez Rząd narodowy na Austrii, tej śmiertelnej nieprzyjaciółce Włoch, ostudziły zapal Garibaldiiego i ostatecznie do utworzenia legionu nie przyszło i obietnica

zbrojnej pomocy, dawno już zamarłemu pod cepami hajdamaczyzny powstaniu ukraińskiemu, rozwiała się jak mgła, jak marzenie fantastyczne. W parę miesięcy potem Garibaldi odesłał Rządowi narodowemu owe 136.000 franków, które był otrzymał na formacyę legionu włoskiego.

Tak więc, wszystkie usiłowania poparcia powstania na Rusi chybiły; powstanie to utonęło w krwi własnej — a nieszczęśliwa szlachta polska w tych prowincjach stała się kozłem ofiarnym lekkomyślnych słów, wyrzeczonych czy nie wyrzeczonych przez ministrów francuskich, a jeszcze lekkomyślniej przyniesionych do Polski przez niepowołanych wysłańców polskich, którzy z dziwnem zaślepieniem chwyтали chciwie i za świętą prawdę uznawali lada frazes, wyrzeczony przez dygnitarzy paryskich. Gdy tam frazesami nas zbywano, gdy dla tych frazesów Ruś nieprzygotowana, i szczerze mówiąc, nie mająca materyału na dokonanie powstania, mimo to z ofiarnością i poświęceniem, cechującem szlachtę polską, porwała się do broni, by krwią oznaczyć wymagane przez lekkomyślnych Francuzów granice przyszłej Polski, gdy tam w Paryżu wreszcie łatwo zapomniano o tem, co przed chwilą mówiono, tu przyszło nieszczęsnej Rusi ciężko za to pokutować. Po krwawem stłumieniu parutygodniowego zaledwie ruchu, rozpoczęły się rządowe represalia, acz one pod gubernatorem jeneralnym Annenkowem nigdy nie przybrały ani takich rozmiarów, ani takiego wyćpiałającego charakteru, jak na Litwie pod Murawiewem i w Królestwie Polskiem pod Bergiem. Z tem wszystkiem tysiącami nieszczęśliwych ofiar zappełniły się więzienia w Kijowie, Żytomierzu, Kamieńcu podolskim, Zaslawiu, Berdyczowie i Balcie. Jeżeli można wierzyć doniesieniom gazet rosyjskich, to od dnia wybuchu powstania po 1 stycznia 1864 roku aresztowano wogóle 1386 ludzi. Utworzono komisye śledcze i sądy wojenne w Kijowie, Żytomierzu, Zwiahlu, Włodzimierzu, Kamieńcu, Połtawie i Kursku, które tych nieszczęśliwych badały i sądziły. Z tej cyfry skazano na różne kary 767 osób; rozstrzelano jednak tylko pięciu (Padlewski, Rakowski,

Krzyżanowski i Zieliński; piąte nazwisko nie jest nam znane). Między skazanymi były kobiety, starcy przeszło siedmdziesięcioletni, dzieci nawet dwunastoletnie¹⁾.

Ale nie na tem tylko ograniczyły się nieszczęścia Rusi. Wspomniany już przez nas generał Krenke, pragnący koniecznie naśladować Murawiewa, głosił teraz w myśl stronnictwa Samobytników, że „obecny, nierozumny bunt przekonał Polaków, że kraj południowo-zachodni jest Rusią rdzenną“ (korennuju); juźcie, że on był Rusią, o tem nikt w Polsce nie wątpił, ale że nie był Rosją, to także wszyscy wiedzieli, komu na oczy nie padło bielmo chwilowej polityki i służalstwa urzędniczego. Krenke wołał teraz, że „gdyby chłopci nie byli powstrzymywani przez wojsko, to w przeciągu trzech dni nie byłoby na Ukrainie ani jednego Polaka, a nawet ani jednego kościoła“.

I to niewątpliwe rozdrażnienie ludu przeciw szlachcie polskiej na Rusi wołyńskiej i ukraińskiej, było bodaj czy nie największym nieszczęściem, najopłakawszym skutkiem ostatniego powstania. Przepaść, wykopana teraz między chłopem i szlachcicem, długo i nigdy już podobno zagłazić się nie da. Cały kraj, zwłaszcza Ukraina, była w nastroju trwogi śmiertelnej i najgorszych przeczuć. Powstanie zostało stłumione, powierzchowny spokój zapanował w kraju, ale chłopci nie przestali podejrzliwie spoglądać na dwory, pod lada pozorem więzić dziedziców i tysiączne wyrządzać im krzywdy. Życie przybrało takie formy, jakby nie znajdowano się pod opieką praw cywilizowanego państwa, ale w jakimś kraju na pół dzikim, gdzie pięść i przemoc stanowiła wszystko. Długiego czasu trzeba było, nim

¹⁾ Mamy przed sobą (wprawdzie niekompletne) t. z. «Swedenia o licach arestowanych za uczestnictwo w miateżach», wydawane i drukowane przez władze rosyjskie w Kijowie. W siódmym z porządku takim «Swedeniu», sąd w Kijowie osądził 183 osoby, a 89 sądy w Kamieńcu, Żytomierzu i Włodzimierzu. Z tych, dwanaście osób skazano do kopania na całe życie, resztę zaś na taką karę z pewnymi terminami, lub też na osiedlenie w Syberyi. Przeważnie jest to młodzież od 16 do 30 lat; sam kwiat społeczeństwa.

te wzburzone fale martwego morza chłopskiego, ułożyły się znowu do posępnej drzemki codziennej, ale nienawiść historycznie wytworzona, podsycana przez niegodziwą administrację, nigdy podobno nie wygasła. Utworzono wszędzie za przykładem Litwy i Białorusi straż chłopskie, acz niechętnie przez nich wykonywane, bo odrywały ich od robót w polu, nadana im instrukcja niejasna i mętna, jak wszystkie przepisy rosyjskie, w większości wypadków niezrozumiana i źle wykonywana, była tem nieustannym zarzewiem niepokoju. Prócz tego wszystkiego, Krenke, za przykładem Murawiewa, domagał się, aby usunięto Polaków ze wszystkich urzędów, a zwłaszcza ze stanowiska komisarzy włościańskich. Jednakże na chwilę Annenkov oparł się temu, jak oparł się proponowanemu przymusowemu okupowi włościan, dla uwolnienia ich od zależności dworskiej. „Środek taki — pisał — mógłby wywołać narzekania ze strony ziemian i spowodować nieprzychylnie o rządzie rosyjskim mniemanie, nie przynosząc chłopom istotnego pożytku, gdyż korzystny dla nich rezultat reformy, zależy nie od tego, jakim sposobem oni nabędą grunta, t. j. czy za pośrednictwem skupu przymusowego, czy też dobrowolnego, a nawet nie od wysokości opłaty skupowej, ale od ilości, a nadewszystko wartości nadanej im ziemi, z której mogliby wygodnie żyć, spełniać swe obowiązki i spłacać wypożyczone od rządu na skup sumy“. Na to odpowiadał Krenke, że „chłopci tak głęboko nienawidzą Polaków i tak są przeciw nim rozdrażnieni, że niepodobna w obecnej chwili zmusić ich do robót pańszczyznianych. Wielu chłopów, starcy szanowni, prosili mnie, że niechby na nich nałożono jaki chcą podatek, byle go płacili do skarbu i wolni byli od wszelkiej zależności od ziemienina Polaka“.

Wszystkie te żądania zaciętego samobytnika moskiewskiego, pod któremi kryła się rasowa nienawiść Niemca do Słowianina, z czasem wejść miały w wykonanie, gdyż Annenkov już w lipcu odpowiednie przedstawienia do ministerium porobił, a wieść o tem, przenikając do strwo-

żonej szlachty polskiej, położenie jej bardzo niebezpieczne i bardzo przykre, czyniła jeszcze niebezpiecznijszem i przykrzejszem.

Niebawem Krenke miał podnieść sprawę konfiskaty majątków polskich. Jeszcze w końcu marca wyszedł był ukaz cesarski, nakazujący sekwestrację majątku osób, które na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Podolu i Ukrainie wzięły udział w powstaniu. Jak wiemy, Murawiew, zaraz po swem przybyciu do Wilna, rozkaz ten z przesadną surowością i bezwzględnością wprowadził w wykonanie; atoli Annenkow nie szedł za tym przykładem. Wobec tego Krenke domagał się, ażeby „zasekwestrowano majątki tych osób, które przebywają za granicą, a zarządzający tymi majątkami zostali przyaresztowani jako buntownicy“. Szło mu tu głównie o dobra białocerkiewskie hr. Branickich, którzy nie byli obecni wtedy w kraju, a których głównego administratora Zielińskiego, Krenke aresztował. Gdyby więc jego żądanie zostało przyjęte, jakaż niepospolita gratka dla różnego łajdactwa rosyjskiego, ostrzącego sobie zęby na majątki polskie i patrzącego z zazdrością, że ich towarzysze na Litwie i Białorusi obławiają się obficie, a oni nie. Obiegały też pogłoski, że rząd zamierza nie tylko konfiskować majątki skompromitowanych w ostatniem powstaniu Polaków, ale nawet nakazać przymusową sprzedaż wszystkich dóbr, będących w rękach polskich. W Moskwie na wiadomość o tem, tworzyły się całe konsorecya kapitaistów, zapowiadających sobie obfity połów w tej polskiej mętnej wodzie, a tłumy różnych utracyuszów i łotrów zbiegać się poczęły na wzór Wilna do Kijowa, by w zapowiadającym się żniwie maczać także swe brudne ręce.

Ale Annenkow zrazu oparł się żądaniom konfiskaty, a o sprzedaży przymusowej mówić nawet nie chciał, ale ulegając powszechnemu naciskowi żadnych łatwej zdobyczy, w sierpniu, na skutek rozkazu ministeryalnego, wydać musiał rozporządzenie do gubernatorów, nakazujące „konfiskatę wszystkich majątków, których właściciele uznani

zostali przez sąd winnymi buntu, lub udziału w nim, nakładając przytem sekwestr na majątki ich rodziców, tak, żeby część tych majątków, przechodząca drogą spadku na winnych, ulegała konfiskacie“.

Ale obok tych ciosów, wymierzonych na żywioł polski na Rusi południowej, rozmaici przyszli „diejatele“ rosyjscy, zapatrzeni z zazdrością na to wszystko, co się działo w Wilnie, domagali się najrozmaitszych, drakońskich przepisów, któreby doszczętnie wytępiły ten żywioł. Przez usta Krenkego wołali, że „w gubernii kijowskiej może mieszkać tylko narodowość rosyjska; że wprowadzić mogą tu przebywać obok prawosławnych i katolicy i lutrzy, ale narodowość polska istnieć tu nie powinna: a że nadeszła najsposobniejsza chwila do wytępienia w tym kraju narodowości obcej, więc należy zabronić nawet takich drobiazgów, jak uprząż polska, polskie szyldy na sklepach, polskie przedstawienia teatralne itp.“ Annenkow i temu się opierał; prądom niszczyielskiego wywrotu według wzorów Murawiewowskich wytrwale się sprzeciwiał, ale wobec przemożnego nacisku tryumfującego stronnictwa i on z czasem ustąpić musiał i pod jego ciosami upaść, jak wszyscy szlachetniejsi Rosyanie, zostawiając swobodne pole działania najniegodziwyszemu wyrzutowi, rabusiom, pijakom i złodziejom.

Takie to plagi spotkały już, lub spotkać miały nie szczęsną Ruś ukraińską i wołyńską, za to, że wbrew własnej woli, pod naciskiem zewnętrznym, pod wpływem niebacznie wyrzeczonych słów ministrów francuskich, porwała się do nierównej walki.

Z kolei rzeczy wypada nam teraz przenieść się na wielką scenę dyplomacyi europejskiej, by zobaczyć o ile owe fatalne i zgubne dla nas słowa o krwi, mającej oznaczyć granice przyszłej Polski, były uzasadnione i zgodne z rzeczywistym stanem świata politycznego.

ROZDZIAŁ XII.

Sześć punktów.

Obawy rosyjskie. Odpowiedź ks. Gorczakowa na noty mocarstw. Uwagi nad temi odpowiedziami. Depesza p. Drouyn de Lhuys. Meeting w Southwarte. Mowa hr. Russela. Nominacya ks. Władysława Czartoryskiego na ajenta Rządu narodowego. Sześć punktów i uwagi nad nimi. Niezadowolenie z nich Rządu Narodowego. Uzbrojenia Rosyi. Zamiar cesarza Aleksandra wypowiedzenia wojny. Jego list do króla pruskiego. Konsyderacye pruskie i odpowiedź króla Wilhelma. Noty, francuska, angielska i austriacka. Propozycya Napoleona uczyniona gabinetowi londyńskiemu i wiedeńskiemu. Ministrowie Schmerling i Rechberg. Polityka tego ostatniego. Papież i jego list do cesarza Aleksandra. Misya kardynała Reisacha do Wiednia. Adres Rządu Narodowego do Papieża. Postępowanie policyi austriackiej. Zabójstwa w Krakowie. Morderstwo Kuczyńskiego. Katastrofa w Krakowie. Aresztowanie ks. Sapiehy. Stanowisko Rządu Nar. wobec interweneyi. Propozycye węgierskie. Kwestya zawieszenia broni. Odpowiedzi ks. Gorczakowa. Nota do rządu angielskiego i francuskiego. Telegram do hr. Rechberga i jego odpowiedź. Rozmowa z lordem Napierem. Depesza austriacka do ks. Metternicha. Stanowisko Rządu Narodowego względem Austrii. Zjazd w Gasteinie. Depesza ks. Gorczakowa do Knorringa. Działanie Franeyi i nota sierpniowa p. Drouyn de Lhuys. Broszura «Cesarz, Polska i Europa». Artykuł «Timesa». Noty angielska i austriacka. «Sejm książęcy» we Frankfurcie. Zabiegł Gorczakowa i Bismareka. Odpowiedzi wrześniowe rosyjskie. Nota P. Drouyn de Lhuys. Papież nakazuje nabożeństwo za Polskę. Uwagi i zakończenie.

Wielka demonstracya (grande remontrance), jak nazywano upomnienie się dziewięciu mocarstw europejskich o Polskę, wręczenie jednocześnie not w dniu 17 kwietnia wicekanclerzowi rosyjskiemu, ks. Gorczakowowi, musiało z natury rzeczy wywrzeć niepokojące wrażenie na gabinecie petersburski. Jakkolwiek minister rosyjski z treści not przekonać się mógł, że między trzema głównymi mocarstwami niema ścisłego porozumienia, że każde z innego punktu wychodzi w swem wstawiennictwie się za Polską, jakkolwiek same noty z ironicznym przyjmował uśmiechem, wszelako zaniepokojony był silnie. Cokolwiek bowiem powiedziećby można, jednakże nikt temu zaprzeczyć nie był w stanie, że horyzont Europy pokryty był gęstymi chmurami i z chmur tych lada chwila wypaść mogły pioruny. To też rząd rosyjski był prawie przekonany, że mimo wszystko do wojny przyjść może, i z jednej strony gotując się do niej ze ściśnionem sercem i obawą niezaprzeczoną, uzbrajając Kronsztad, wysyłając nowe wojska na Litwę i do Królestwa, polecając części swej floty, by cichaczem popłynęła na wody australijskie, obudzając w masach swego ludu nienawiść do „pogańskiego zachodu“, do „dwudziestu narodów“, chcących napaść na „świętą Rosyę“, wysyłając Murawiewa do Wilna z tem, by choć Litwę ocalił — z drugiej strony starał się wszelkimi siłami o to, by zyskać na czasie i dokompletować swe uzbrojenia. Jak wiemy, armia rosyjska w tej porze, wskutek rozlicznych reform, wskutek idei liberalnych z niezwykłą siłą szalejących po głowach młodzieży rosyjskiej, znajdowała się w stanie zupełnego rozstroju. Uwolniona z pod żelaznej i okrutnej dyscypliny Mikołajskiej, stała się niekarną; obudzona niebacznie przez sam rząd nieufność w szeregach do zwierzechników, pozbawiała armię spoistości i tak już rozluźnioną karność, czyniła jeszcze luźniejszą. Wojna, toczona w Polsce, świadczyła, jak żołnierz rozpuszczony i dziki, pomimo oporu i zakazów oficerów, dokonywał roz-

maitych nadużyć, gwałtów i morderstw, jak rabował, palił, dobijał rannych na pobojowiskach i bardzo często własnym zwierchnikom bagnietem groził. Przytem armia ta, niezasilana przez kilka lat z rzędu rekrutem, była nieliczną i trzeba było aż sześciu miesięcy czasu, by siły nagromadzone w Królestwie tak dla zgniecenia powstania, jak i dla stawienia czoła przewidywanej wojnie z Europą, wzrosły do 300 tysięcy bagnietów, dział i koni.

W takim stanie rzeczy, Rosya w połowie kwietnia, t. j. w chwili „wielkiej demonstracyi“, nie była gotową do wojny i nie mogła jej w żadnym razie przedsięwziąć. Jakkolwiek, powtarzamy, w wystąpieniu mocarstw zachodnich widocznym był brak porozumienia się i uderzała każdego różnorodność celów i interesów, jakkolwiek w Petersburgu posiadano liczne wskazówki, że do wojny nie przyjdzie, jednakże pewna głucha trwoga przed widmem pospolitego ruszenia europejskiego, dawała się postrzegać w rządzie rosyjskim. Ks. Gorczakow na zewnątrz okazywał wypogodzone oblicze starego satyra, z ironicznym uśmiechem przyjmował noty, głośno mówił o „dumnie powiewającym sztandarze rosyjskim“, w głębi duszy jednak dygotał ze strachu. Napróżno go lord Napier, ambasador angielski przy dworze petersburskim, zapewniał zaraz po wręczeniu not d. 17 kwietnia, że wystąpienie mocarstw zachodnich ma wyłącznie charakter humanitarny, że żadnych następstw politycznych nie pociągnie ono za sobą; napróżno podobne zapewnienie otrzymał z Londynu od posła rosyjskiego Brunnowa, że interwencya mocarstw ma charakter pokojowy¹⁾. Nie potrafiły go nawet pocieszyć słowa, które

¹⁾ Depesza hr. Russela do lorda Napiera z dnia 10 kwietnia, o rozmowie z Brunnowem (*La Pologne et la diplomatie*, p. 240). Czytamy tam, że Brunnow zapytał się hr. Russela, czy nota rządu angielskiego będzie miała charakter pokojowy. «Odpowiedziałem (pisze Russel), że nie chcąc wprowadzać go w błąd, winienem dodać coś więcej. Rząd królowej ma zamiary pokojowe i nie myśli o żadnym porozumieniu (entente) z innemi mocarstwami, któreby nie miało pokoju na celu. Ale ten stan rzeczy może się zmienić. Obecne przed-

wzmiankowany lord Napier wygłosił do ministra sekretarza stanu Królestwa, Łęskiego, że tenże, jako Polak winien jest ostrzedz swych rodaków przed zwodniczymi nadziejami, jakie mogą w nich obudzić noty mocarstw zachodnich. O tem wszystkim ks. Gorczakow wiedział, mimo to nie mógł się powstrzymać od obaw, które tym boleśniejsze i przykrzejsze dla niego były, że w wystąpieniu Francyi widział zachwiane mocno te dobre stosunki z rządem Napoleona, które były głównym celem jego polityki, w których widział rękojmię potęgi swej ojczyzny i pokoju europejskiego.

Wszystkie te względy spowodowały, że rząd rosyjski wobec domagań się mocarstw zachodnich, starał się ukryć swój gniew i obawy i szeregiem pozornych ale rozgłośnych aktów zaspokoić z jednej strony opinię publiczną europejską, z drugiej przez wywołanie objawów krzykliwego patriotyzmu rosyjskiego, przez adresy i bombastyczne artykuły dzienników petersburskich i moskiewskich, wzbudzić w tej opinii pewną obawę. Opublikował więc pośpiesznie amnestyę tak dla Królestwa jak i dla Litwy i Rusi, zadość czynił Austrii za przekroczenie jej granic przez kozaków, Anglii za pokaleczenie i zrabowanie w Giebułtowie jej poddanego Finkelsteina, Włochom obiecał uwolnić jakiegoś pułkownika Caroli, aresztowanego w Królestwie¹⁾, lorda Napiera zapewniał, że system rekrutacyi,

stawienie rządu Jej Królewskiej Mości może być odrzucone przez rząd cesarski (rosyjski), jak się to stało z przedstawieniem z dnia 2 Marca. Powstanie w Polsce może trwać dalej i przybrać szersze rozmiary; okrucieństwa obustronne mogą się zaostrzyć i rozszerzyć na większe przestrzenie. Jeżeli w takim stanie rzeczy, cesarz rosyjski nie chwyci się środków uspakajających, mogą zdarzyć się niebezpieczeństwa i komplikacye, trudne w tej chwili do przewidzenia.

¹⁾ Depesza margrabiego Pepoli z d. 16 maja 1863 r.: «Otrzymałszy telegram o aresztowaniu pułkownika Caroli, natychmiast napisałem do ks. Gorczakowa, prosząc o rozmowę z nim, i wczoraj rano zostałem przezeń przyjęty. Zakomunikowałem mu treść otrzymanego telegramu i książkę obiecał napisać do W. ks. Konstantego i zapewnił mnie, że wstawi się do cesarza za Carolim».

któremu w Anglii ze zdumiewającą nieznajomością położenia, przypisywano wybuch powstania, został zaniechany. Co większa, rząd rosyjski, który w marcu stanowczo odrzucał wszelkie odwoływanie się do uchwał kongresu wiedeńskiego, gdyż Polska po powstaniu 1831 r. została orężem zdobytą i władza rosyjska w Królestwie na zgoła innych oparła się podstawach, to teraz uznawał, że uchwały tego kongresu „dają punkt wyjścia do dyskusji“, a poseł rosyjski w Londynie, baron Brunnów, głośno wypowiadał swe zadowolenie, że nota angielska kwietniowa powołuje się na stypulacye tego kongresu¹⁾. W ogólności postawa rządu rosyjskiego wobec Zachodu była bardzo uprzejma, język łagodny, grzeczność uprzedzająca.

Temi też cechami odznaczały się odpowiedzi ks. Gorczakowa na noty kwietniowe Francji, Anglii i Austrii, odpowiedzi wygotowano dość szybko, bo już w niespełna dziewięć dni rozesłane do ambasadorów rosyjskich, a mianowicie Budberga w Paryżu, Brunnowa w Londynie i Bałabina w Wiedniu. W nocy do rządu francuskiego, skreślonej wytrawnym piórem p. Hamburgera, żydka, zajmującego stanowisko głównego sekretarza wicekanclerza rosyjskiego, nocy pełnej słodkich, łagodnych, ujmujących słówek i zwrotów, ks. Gorczakow zapewniał, że jego „dostojny pan“ z noty francuskiej „nabył przekonania, że myśli wypowiedziane w imieniu cesarza Napoleona, są zupełnie zgodne z jego widzeniem rzeczy“; że cesarz Aleksander doznaje z powodu powstania polskiego „głębokiego smutku“ i „pragnie gorąco przyspieszenia jego końca“. Na uwagę, że powstanie to znajduje odgłos w państwach sąsiednich, a w całej Europie budzi obawy, wicekanclerz rosyjski odpowiada, że cesarz Aleksander przyznaje, że państwa sąsiednie i te, które brały udział w ustanowieniu porządku europejskiego, słusznie niepokoi komplikacya, która ten porządek zakłócić może, „ale interes,

¹⁾ Depesza hr. Russela do lorda Napiera z d. 10 kwietnia (La Pologne et la diplomatie, p. 240).

jaki Rosya widzi w wypadkach tak blisko ją dotykających, jest niemniej głęboki, jak również pragnienie przywrócenia pokoju w Królestwie oraz bezpieczeństwa Europy, jest żywe i szczere“; że wreszcie życzenie cesarza Napoleona, ażeby Polska postawiona była w warunkach trwałego pokoju, odpowiada pragnieniom Rosyi, ale „właśnie należałoby się porozumieć co do wyboru środków, któreby mogły doprowadzić do tego rezultatu“, gdyż doświadczenie przekonało, że wszelkie kombinacye, chcące pogodzić Polskę z jej położeniem, dotąd okazały się bezskutecznymi. „Choroba, na którą cierpi obecnie Królestwo, nie jest faktem odosobnionym. Cała Europa jest nią dotknięta. Dążności rewolucyjne, plaga naszej epoki, ześrodkowały się w tym kraju, gdyż znajdują tam dostateczną ilość materiałów palnych, by wywołać pożar, mogący cały ład stały ogarnąć“. Rządy winny zwracać na to baczna uwagę i cesarz rosyjski czyni to od chwili swego wstąpienia na tron i pragnie, by wszystkie części jego monarchii weszły na drogę regularnego postępu. Wkońcu, nie bez pewnej ironii, minister rosyjski powiada, że rząd francuski powinien wiedzieć, że „wobec żywiołów rewolucyjnej powszechniej, rozprószonej po wszystkich prawie krajach i zbiegających się zewsząd, tam gdzie tylko przedstawia się sposobność do nieporządków i zaburzeń, cisza i spokój nie może być dziełem jednego rządu, i że wymagać od nas (Rosyan) ugaszenia ognia, który zewnątrz znajduje niewyczerpane zasilki, jest to zamykać kwestyę w kole bez wyjścia“; że wreszcie „cesarz Napoleon nie odmówi poparcia moralnego, odeń zawisłego, dla ułatwienia monarsze rosyjskiemu spełnienia swych zadań względem Królestwa polskiego, swych obowiązków względem Rosyi i swych stosunków międzynarodowych z sąsiadami i wielkimi mocarstwami Europy“.

W odpowiedzi ks. Gorczakowa, otulonej w słówka pełne uprzedzającej grzeczności, dwa tylko punkta mają znaczenie. Pierwszym jest to, że uznaje on kwestyę polską za europejską dlatego, że jest rewolucyjną, oraz że rząd rosyjski nie jest od tego, by zawiązać pewne rokowania,

dla „postawienia Polski w warunkach trwałego pokoju“. Oczywiście rzeczą było, że gabinetowi petersburskiemu szło jedynie o zyskanie na czasie; że widząc w interweniujących mocarstwach niezgodność poglądów i dążeń, spodziewał się sprawę przedłużyć, a tymczasem przygotować się tak, by w razie ostatecznym stawzić czoło wszelkim ewentualnościom. Ten sam zamiar przegląda z odpowiedzi, wystosowanej do Anglii na ręce barona Brunnowa, odpowiedzi długiej, o wiele chłodniejszej i mniej uprzejmej od tej, jaką dano Francji.

Przedewszystkiem wicekanclerz rosyjski stara się zbić twierdzenie angielskie, jakoby powstania polskie nie łączyły Rosji od jej zobowiązań względem Polski, zaciągniętych na kongresie wiedeńskim i wygłasza to znamienne zdanie, że wprowadzenie rokoszu nie niszczy zobowiązań międzynarodowych, ale unicestwia te nadania (konstytucja 1815 r.), których skutki okazały się tak smutnymi dla Polski i Rosji. Przyznając więc do pewnego stopnia znaczenie stypulacyom kongresu wiedeńskiego, utrzymuje że w sprawie tej obie strony wypowiedziały wszystko, co było do powiedzenia i przedłużanie dyskusji w tym przedmiocie byłoby rzeczą jałową — i przechodzi do kwestyi stałego uspokojenia Polski. Otóż, dyplomata rosyjski sądzi, że na tem polu możnaby dojść do pewnego porozumienia, gdyby nie istniały zasadnicze różnice w poglądach. Anglia bowiem twierdzi, że jedynie przywrócenie konstytucji 1815 roku może uspokoić Polskę, „ale (odpowiada na to wicekanclerz rosyjski) rząd i naród brytański, którego zmysł praktyczny utworzył wielkość Anglii, nie może utrzymywać, ażeby była jedna tylko forma rządu dla wszystkich ludów, posiadających różną przeszłość i różny stopień rozwoju. Nim one dojdą do dojrzałości politycznej, której przykład daje Anglia, muszą przebyć wiele stopni i każdy naród winien postępować po tej drodze, odpowiednio do swych własnych usposobień. Słusznem jest i naturalnem, by monarcha ożywiony jak najlepszymi chęciami, liczył się z doniosłością i rozmiarami instytucji, które mają po-

stawić jego poddanych w warunkach jak najkorzystniejszych“; że cesarz rosyjski wszedł na drogę reform; że przedsięwziął i dokonał w ciągu kilku lat znacznych zmian socyalnych w swem państwie; że także zamiary żywi względem Królestwa Polskiego; że instytucje narodowe jakie to ostatnie posiada, nie zostały dostatecznie zrozumiane przez Europę, czy to wskutek oddalenia, czy też wskutek tego, że „do sądu sprawiedliwego i bezstronnego zakradły się urojone namiętności i działalność interesowna stronnictwa wrogiego“. „System zaprowadzony przez naszego monarchę, zawiera zarodek, który czas i doświadczenie rozwinie. Dąży on do wytworzenia autonomii administracyjnej, opartej na instytucjach prowincjonalnych i municypialnych, które w Anglii były punktem wyjścia i podstawą wielkości i pomyślności kraju. Ale w wykonaniu tych zamiarów cesarz napotkał przeszkody, których źródło leży w roznamiętnieniu, wywołanem przez stronnictwo wywrotu. Stronnictwo to zrozumiało, że gdyby dozwoliło większości w Królestwie, pokojowo usposobionej, wejść na drogę regularnego rozwoju, musiałoby się wyrzec swych zamysłów. Jego działalność nie dozwoliła dotąd na wprowadzenie nowych instytucji. Nie podobna było przekonać się jak one funkcjonują i o ile odpowiadają rzeczywistym potrzebom i stopniowi dojrzałości kraju. Gdy doświadczenie to zostanie zrobione, wtedy dopiero będzie można wydać sąd o tych nadaniach i odpowiednio je uzupełnić. Manifest z d. 12 kwietnia (t. j. amnestya), jest pod tym względem wskazówką zamiarów naszego monarchy. Obok aktu przebaczenia, który może być bardzo szeroko stosowany po rozproszeniu najważniejszych band zbrojnych, cesarz obiecuje utrzymać nadane już instytucje i oświadcza, że zachowuje sobie możność rozwinięcia ich odpowiednio do czasu i potrzeb kraju“.

Po tych zapewnieniach, nieraz jeszcze z wyżyn tronu samego powtarzanych, a które niestety! miały pozostać czcą tylko obietnicą, wicekanclerz rosyjski przechodzi do kwestyi trwałego pokoju w Polsce. Utrzymuje on, że Ro-

syja jest bezpośrednio zainteresowaną w tej sprawie, ale „nie podobna twierdzić, ażeby pod tym względem znalazła wzajemność“, gdyż powstanie znajduje poparcie zewnętrzne a jego istnienie wywiera wpływ na opinię Europy i że te dwie okoliczności oddziałują wzajemnie na siebie, stworzyły położenie obecne. Rząd Wielkiej Brytanii opiera się na stypulacjach 1815 r., ale i rząd rosyjski jest zdania, że na tej podstawie może nastąpić porozumienie i doprowadzić do rezultatów, zgodnych z interesem ogólnym. Jeżeli gabinet londyński twierdzi, że zamieszki polskie wywierają zły wpływ na spokojność Europy, to Rosya utrzymuje, że podburzania europejskie po wszystkie czasy miały własność oddziaływania na Polskę. Jeżeli więc „gabinety przywiązują wagę do tego, by Królestwo Polskie posiadało warunki trwałego pokoju, to rezultat ten wtedy tylko osiągnąć zdołają, gdy ze swej strony postarają się o położenie końca propagowanemu w Europie ideom wywrotu moralnego i materyalnego i zatamowania tym sposobem głównego źródła agitacji, która ich niepokoi. Mamy nadzieję, że ścieśniając tym sposobem łączące je węzły, najlepiej usłużą sprawie pokoju i interesów ogólnych“.

W nocy tej, skreślonej bardzo zwięźle, z pośrodku mnóstwa zwrotów stylowych, wychyla się obawa rządu rosyjskiego i dzięki tej obawie, podobnie jak w odpowiedzi francuskiej, ks. Gorczaków nie odmawia dyskusji w sprawie polskiej. Ale jednakże tak zjadliwe pióro, jakim władał p. Hamburger, tłómacz myśli swego ministra, nie mogło się powstrzymać od ironicznej przymówki, że źródłem niepokojów w Polsce, były i są zawsze wpływy europejskiego stronnictwa rewolucyjnego, i że rządy domagające się uspokojenia Królestwa osiągną ten rezultat wtedy, jeżeli podadzą sobie ręce, by stronnictwo to u siebie wytępić. *Medice, cura te ipsum!* — wołał p. Hamburger, ale bądź co bądź w tej przydługiej nieco odpowiedzi, ton jej jest wyszukanie grzeczny, łagodny, gotowy do ustępstw i pełen najżyczliwszych dla Polski zapewnień.

Odpowiedź dana Austrii, najkrótsza ze wszystkich, niemniej zachowuje ten charakter uprzejmej grzeczności i oględności w wyrażeniach. Uchwyciwszy się zwięźle uwagi gabinetu wiedeńskiego, że rozproszenie najliczniejszych oddziałów powstańczych, pozwala rządowi rosyjskiemu wejść na drogę przebaczenia i łagodności, zaznacza, że właśnie cesarz rosyjski to uczynił, ogłaszając amnestję. Przechodząc następnie do twierdzenia austriackiego, że zaburzenia w Królestwie źle oddziałują na usposobienie Galicyi, i że pragnąć należy, ażeby Polska stalego zażywać mogła pokoju, odpowiada podobnie jak Francyi i Anglii, że to nie zależy od samej Rosyi, że rządy interesujące się pokojem w Polsce, mogą się do tego najlepiej przyczynić, tępiąc u siebie dążności rewolucyjne — i kończy: „Mamy to mocne przekonanie, że gabinet wiedeński ze swej strony, trwając w postawie, którą przyjął od samego początku obecnych zaburzeń, nie zaniedba niczego, o ile to będzie odeń zależało, ażeby przeciw tej działalności niebezpiecznej użyć środków, odpowiednich własnym jego interesom i stosunkom międzynarodowym z Rosyą“.

Takiemi były odpowiedzi gabinetu petersburskiego na „wielką demonstrację“ mocarstw zachodnich. Poza wyraźną obawą, by w niczem nie urazić tychże mocarstw, odpowiedzi te są w treści swej wykrętne, w formie pojędnowe, ale w gruncie rzeczy odmowne. Odmowa ta, nie raz zaprawiona gryzącą ironią, owinięta jest w mnóstwo słodkich, dobrze ułożonych, ale w istocie czczych i mętnych frazesów.

Jedno tylko jest w tych komunikatach jasne, to jest, że rząd rosyjski chciał zyskać na czasie. Tak też na nie zapaływały się dzienniki francuskie i angielskie. — „Opinion nationale“, jeden z wybitniejszych organów prasy francuskiej wyraźnie to zaznaczał i twierdził, że gabinetowi petersburskiemu idzie o to, by negocjacje przeciągnąć do czasu, w którym ostra pora roku uczyni niemożliwym podanie Polakom zbrojnej pomocy. W ogólności mo-

carstwa zachodnie przez swe wystąpienie nie nie otrzymały i kwestya ani na włos naprzód się nie posunęła. Nikt też nie uwierzył twierdzeniu urzędowego „Monitora“, że odpowiedzi rosyjskie torują drogę do pojednania, że „są podstawą do negocyacji, mogących sprowadzić porozumienie między gabinetami, które w tej chwili szukają sposobu, prawowitego interesu Polski zabezpieczyć mogącego“. Tę opinię rządu francuskiego, potwierdził minister spraw zagranicznych p. Drouyn de Lhuys. W depeszy z dnia 4 maja do ambasadora swego w Wiedniu, ks. Gramonta¹⁾, powiada: że „przyjęcie, jakiego doznała nasza myśl u ks. Gorczakowa, pozwala nam wierzyć, że wkrótce ustali się zgoda co do najodpowiedniejszego postępowania, dla osiągnięcia ostatecznego rozwiązania kwestyi“; zaznacza, że rząd rosyjski uznaje, iż od zamieszek w Polsce sam cierpi, że potrzeba wynaleźć jaki sposób, by uregulować położenie tego kraju. „Otóż, co do wyboru tego sposobu, byłoby pożądanem, według niego (ks. Gorczakowa), porozumieć się i sądzi, że wzajemna wymiana myśli trzech dworów, może doprowadzić do pożądanego rezultatu“; że odrzuca tylko stypulacje z 1815 r., bo nie chce powtarzać próby, która stała się źródłem nieszczęść dla Polski i Rosyi; że rząd francuski wychodząc z punktu widzenia obszerniejszego, zgadza się pod tym względem z ks. Gorczakowem i radby „w nowej kombinacji znaleźć lekarstwo“. „Pytam tylko — pisał wkońcu p. Drouyn de Lhuys — jaką formę byłoby najlepiej przyjąć, by zapewnić narodom mocarstw praktyczność i szybkość, której wymaga groza położenia i dla zapobieżenia zwłoce, nieuniknionej przy korespondencji między tylu gabinetami, oddalonymi od siebie znaczną przestrzenią“... „Przywiązujemy przytem jak najżywszy interes do utrzymania w negocyacjach jednności zamiarów i słów z dwoma mocarstwami, z którymi dzielimy inicjatywę“.

¹⁾ „Wydawnictwo materiałów do historii powstania. V, 89.

Tej optymistycznej opinii o odpowiedziach Gorczakowa nie miało ani dziennikarstwo, ani głos publiczny w Anglii. Wołano tam, że noty dyplomatyczne nie nie robią, i jeżeli Zachód chce coś zdziałać dla Polski, to musi wypowiedzieć Rosyi wojnę. Odbywały się liczne meetingi, by rząd angielski zmusić do tego kroku; meetingi, o które starał się usilnie i niezmordowanie generał Władysław Zamoyski, owe „widmo Polski“, zakłócające nieustannie mackbetowy sen angielskich mężów stanu. Na jednym z takich meetingów, odbytym w Southwarte dnia 14 maja, był także obecny ks. Władysław Czartoryski, niebawem mający zostać widomym agentem dyplomatycznym rządu powstańczego, generał Zamoyski i kilku innych, mniej głośnych i mniej znanych Polaków. Za ich to staraniem uchwalono wezwać parlament i rząd angielski, ażeby zbrojnie wystąpił w obronie niepodległości polskiej. Stateczny acz nieudolny przyjaciel Polaków, członek parlamentu Hennesy, wołał: że „należy użyć praktycznych środków dopomożenia Polakom w ich walce olbrzymiej i heroicznej. Dyplomacya tego nie dokona nigdy. Podczas bowiem, gdy dyplomaci gadają i piszą, Polacy walczą i dobijają, gdy dyplomaci gadają i piszą, pierwsza flota na Bałtyku, a druga armii do Warszawy, nic dobrego stać się nie może“. „Sądzę — kończył — że noty rosyjskie służą jedynie do zamydlenia oczów Francyi i Anglii i jestem przekonany, że cesarz Francuzów gotów jest interweniować czynnie w Polsce wraz z Anglią, jeżeli ta zechce, gdy zaś nie, to i bez niej“.

Ale to wojownicze usposobienie opinii angielskiej, będące w gruncie rzeczy jedynym wyjściem z położenia, gdyby rząd W. Brytanii szczerze myślał o podaniu ręki nieszczęśliwej Polsce, ochłodził od razu minister Russel. Wkrótce po meetingu w Southwarte oświadczył on w izbie lordów, że mimo całej sympatyi dla Polski, Anglia nie może domagać się zupełnej niepodległości tego kraju w jego dawnych granicach z r. 1772, gdyż to spowodowałoby zacięty opór Rosyi, Prus i Austrii, a następnie

długą wojnę, której rozsądek unikać nakazuje. Było to więc głośnem potwierdzeniem słów, które skrycie gabinet St. James przesyłał do Petersburga, że Anglia o wojnie nie myśli i że cała jej akcyja na niczem się skończy.

Takie rezultaty miała „wielka demonstracyja“ mocarstw zachodnich, rezultaty ze wszech miar oplakane, gdyż nie przynosząc żadnych pozytywnych korzyści dla walczącej ofiarą krwi i mienia Polski, ludziła ją nadzieją zbrojnej interwencji, która nigdy do skutku dojść nie miała. Wobec tego, imponującego teatralną swą efektywnością wystąpienia Europy, ludzie dotąd najnieufniejsi, najstateczniej niewierzący w zwycięstwo powstania, poczęli chwiać się, a pociągani sercem ku tej swej nieszczęśliwej ojczyźnie, której dzieci tysiącami ginęły w głębi lasów, kazali rozumowi milczeć i sami rzucali się w wir walki i usiłowań, by ojczyznę wydobyć z jarzma niewoli. Któż byłby przypuszczał, że do powstania przystąpi, a nawet agentem rządu tajnego zostanie ks. Władysław Czartoryski, należący do najwyższej arystokracji krajowej, głowa teraz domu swego, syn księcia Adama, który na kilka miesięcy przed śmiercią zaklinał swych rodaków, by walki z pola duchowego nie przenosili na pole orężne? Ale ta Polska od stu lat skowana kajdanami, ma zawsze tyle uroku dla swych dzieci, że ilekroć wstrząśnie więzami swymi, tylekroć wszysej, i wielcy i mali wyteżają siły swoje, by więzy te rozerwać. Cokolwiekby rozum mówił, czyż jest Polak, któryby nie chciał, a przynajmniej w głębi duszy nie sprzyjał walce o niepodległość ojczyzny i najserdeczniejszych życzeń nie słał tym, którzy za oręż chwycili? Księżę Władysław Czartoryski od samego początku powstania przyjął czynną w nim rolę, a czy sam starał się o to, by zostać agentem Rządu narodowego, czy też Rząd go szukał, to rzeczy bynajmniej nie zmienia, a dowodzi, że pomimo wszystko, pomimo całej lekkomyślności tej walki, całej niemożliwości zwycięskiego z niej wyjścia, uczucie miłości dla kraju, chęć oswobodzenia go od obcego najazdu, we wszystkich sercach polskich źródłem po-

teżnem była. Szczegóły nominacyi ks. Czartoryskiego opowiedzieliśmy już poprzednio¹⁾, tu tylko to dodać należy, że jedną z głównych pobudek, dla której rząd warszawski w tej chwili zdecydował się korzystać z usług arystokracji, była interwencyja dyplomatyczna mocarstw zachodnich. Ponieważ osiłą tej interwencji był Paryż i cesarz Napoleon, trzeba było koniecznie mieć tam kogoś, któryby czuwał nad interesami polskimi, prostował błędne mniemania, dawał dobre informacye, uchylał opinie fałszywe; kogoś, któryby bywał na dworze, znał się z cesarzem i uchodził powszechnie za reprezentanta Polski. Takim człowiekiem był właśnie ks. Czartoryski i poza nim nikogo nie było, ktoby mógł tę misję trudną i ważną, godnie spełnić. — A przytem w tej chwili szło także o to, by zadać kłam zdaniu Gorczakowa, że powstanie polskie jest wynikiem nie patryotycznych usiłowań narodu, chcącego wywalczyć swą niepodległość, ale owocem prądów rewolucyjnych międzynarodowych; że w powstaniu tem biorą udział tylko klasy średnie, drobne mieszczaństwo, oficyaliści wiejszy i sfery urzędnicze, a warstwy wyższe narodu trzymają się odeń zdala; trzeba było wyraźnie i głośno zaznaczyć, że do walki przykładą rękę naród cały, począwszy od najznamienitszej arystokracji aż do słoików najniższych. Nominacyja ks. Czartoryskiego na agenta Rządu narodowego, miała być właśnie głośnym dowodem tego twierdzenia. Wszakże nie ulega wątpliwości, że zdecydowano się na nią dość niechętnie, że demokratycznie usposobieni członkowie Rządu narodowego tylko pod naciskiem okoliczności zewnętrznych, z musu niejako krok ten zrobili. Tak dalece panowała w ich umyśle sprzeczność, że raz w swych listach traktują nowego agenta powstańczego „jaśnie oświeconym księciem“, to znów „obywatelem Czartoryskim“²⁾. Zrazu we wstydlivej obawie przed rewolucjonistami euro-

¹⁾ Patrz Tom II, 488.

²⁾ Czytaj listy Rządu narodow. do ks. Czartoryskiego w „Wyd. mat. do hist. pow.“, V, 178 i nast.

pejskimi, pragnęli oni, by nominacya ta zachowaną była w tajemnicy¹⁾. Przed własnem sumieniem, wyrzucającem tym wychowawcom Mierosławskiego i Centralizacyi wersalskiej, że przez nominacyą Czartoryskiego odstępstwo uczynili od zasad rewolucyjno-demokratycznych, tłómaczyli się oni potrzebą zaciągnięcia za granicą pożyczki — która tylko pod tarczą tak wielkiego i znanego w Europie imienia, jakie posiadał Czartoryski do skutku przyjść mogła²⁾; wahanie ich, niepewność i rozterkę wewnętrzną malują też słowa, domagające się, by ks. Czartoryski „raczył zbadać od kogo prędzej spodziewać się należy pomocy, czy od konserwatywnego, obecnie istniejącego porządku w Europie, czy od strony przeciwnej?”³⁾; że powstanie pod względem dążności swoich, ma jeden tylko cel, t. j. wywalczenie niezależności narodowej; że w pierwszej chwili wybuchu liczyło tylko na własne siły, nie spodziewało się pomocy obcej, nie szukało przymierza (co oczywiście było fałszem, bo w gruncie rzeczy, ci, którzy wywołali powstanie, nie byli na tyle zaślepieni i niemądry, by nie wiedzieli, że Polska sama swej niepodległości nie wywalczy i w zbrojnym ruchu liczyli na pomoc Francji); że dopiero konwencya prusko-rosyjska „zmusiła nas szukać sprzymierzeńców przeciwko połączonym siłom Prus i Rosji”. „Zachodzi więc pytanie teraz, z kim przymierze zawierać, z konserwatyzmem czy rewolucją? Bez wahania przyjmujemy jedno lub drugie, odpowiednio do tego, która z tych pomocy będzie prędszą lub pewniejszą. Przedstawiając powyższe pytanie do rozwiązania, Rząd narodowy zwraca uwagę W. Ks. Mości na doniosłość odpowiedzi, raczy więc Książę dokładnie, z całą ścisłością zbadać stosunki, a zbadawszy, natychmiast Rząd narodowy uwiadomić drogą telegraficzną⁴⁾. Groźba ta udania się o pomoc

¹⁾ Loc. cit. V, 179.

²⁾ «Rząd narodowy upoważnia W. Ks. Mość do zbadania, czyby nie było możliwości zaciągnięcia pożyczki narodowej». Loc. cit. V, 180.

³⁾ Loc. cit. V, 181 i nast.

do żywiołów rewolucyjnych europejskich, powtarzana parokrotnie była tylko prózną groźbą, a może manewrem dla przyspieszenia interwencji czynnej, ale zarazem świadczy o rozterce wewnętrznej członków Rządu narodowego. Nominacya ks. Czartoryskiego nastąpiła d. 15 maja, ale ogłoszoną została dopiero d. 25 lipca w Nr. 2. „Niepodległości“, wśród warunków mocno zmienionych. Książę Czartoryski nazwany tu jest „obywatелем“ i dodane jest zapewnienie, że dał „potrzebną rękojmię, iż działalność jego dyplomatyczna prowadzoną będzie w duchu nieprzedawnionych praw narodu, walczącego w imię wolności i równości“. Mimo jednak tak późnego ogłoszenia tej nominacji, w Paryżu i w Warszawie doskonale wiadano o stanowisku i urzędzie ks. Wł. Czartoryskiego i wiemy, że w stolicy polskiej nominacya ta na organizację powstańczą jak najgorsze wywarła wrażenie i przyczyniła się w części do zamachu na Rząd narodowy w Zielone świątki; w Paryżu zaś, co było ważniejszym, przyjęto ją dobrze i odtąd ks. Czartoryski uważany był wszędzie w Europie za reprezentanta urzędowego Polski.

Co prawda, nie wiele on mógł zrobić. Po odpowiedzi ks. Gorczakowa na noty mocarstw, rozpoczęły się kilkutygodniowe, nużące pertraktacje między Anglią, Francją i Austrią, w sprawie żadanego przez gabinet petersburski jasnego określenia, czego właściwie chcą dla Polski dwory zachodnie. Jak wiemy, minister francuski p. Drouyn de Lhuys, już d. 4 maja, a więc w kilka dni zaledwie po odpowiedzi ks. Gorczakowa, przesłał gabinetowi wiedeńskiemu i londyńskiemu notę, pytając, w jakiej formie najlepiej będzie przedstawić swe żądania co do Polski. Gdy ostatecznie w Wiedniu zgodzono się na to, gdy gabinet wiedeński, jak pisał p. Drouyn de Lhuys, „odpowiedział na uwagi przez nas zrobione i jego widoki do pewnego zbliżone są do różnych punktów naszego programu“¹⁾, ministe-

¹⁾ Depesza p. Drouyn de Lhuysa do barona Grosa w Londynie (Wydaw. mat. V, 90).

ryum francuskie na wniosek austriacki, wygotowało program swych żądań, starając się je zastosować do postulatów, jakie Anglia podała w swych poprzednich notach. „O ile się dało, pisał Drouyn de Lhuys, zapożyczyliśmy nawet wyrażenia obu gabinetów (wiedeńskiego i londyńskiego), zwłaszcza co do atrybucyi reprezentacyi narodowej, którą Polska ma być obdarzona, jak również wolności wyznania, która, chcemy, aby była zupełną i całkowitą“. Francya pragnęła prócz tego, żeby noty trzech dworów były równobrzmiące, żeby wzięła w nich udział cała Europa. W każdym razie ministerium francuskie czyniło zastrzeżenie, że jego propozycye „winny być uważane jedynie jako punkt wyjścia w dyskusyi“, która, według pragnień Napoleona, miała się rozpocząć w niedalekiej przyszłości koło sprawy polskiej.

Jakiż był program tych żądań, który miano postawić Rosyi, dla ulżenia Polsce w jej ciężkim i krwawym losie? Zawierał on się w sześciu punktach następujących: 1) amnestya zupełna i powszechna; 2) reprezentacya narodowa z władzą podobną do tej, jaką nadawała ustawa konstytucyjna z dnia 15/27 listopada 1815 r.; 3) mianowanie Polaków na urzędy publiczne, tak ażeby utworzyła się odrębna administracya narodowa, posiadająca zaufanie kraju; 4) wolność sumienia zupełna i całkowita i usunięcie ograniczeń wyznania katolickiego; 5) wyłączne używanie języka polskiego, jako urzędowego, w administracyi, sądach i szkołach; 6) zaprowadzenie prawidłowego i legalnego systemu poboru do wojska.

Powyżej przytoczone sześć punktów, których wprowadzenia w życie domagały się mocarstwa Zachodnie, dowodzą, jak dalece brano się do rzeczy lekkomyślnie i jak nie znano istotnego stanu Polski. Przedewszystkiem dla tych, którzy przygotowali i wywołali powstanie, żądania te były istotnym kamieniem obrazy, ogromnem rozczarowaniem i utratą wiary w interwencyę europejską. Sześć punktów bowiem mówiły tylko o Królestwie kongresowem, dla niego domagały się ulg, zaś o Litwie i Rusi nie wspominały. Czyż Rząd Narodowy, który w swym mani-

feście z d. 23 stycznia obiecywał i przysięgał narodowi, że odbuduje Polskę w jej dawnych, historycznych granicach, mógł przyjąć powyższe sześć punktów, bez zadania kłamu sobie samemu? czyż ogromna większość narodu, uznająca Polskę tylko w rzeczonych granicach, mogła się zgodzić na takie postawienie przez mocarstwa zachodnie kwestyi? czyż wreszcie na to wytaczano ze siebie potoki krwi na Litwie, czyż na to znoszono straszliwy ucisk Murawiewa w Wilnie, kładziono się pokotem pod Radziwiłłowem, umierano heroicznie w Sołowijówce, by samo tylko Królestwo otrzymało nie niepodległość, dla której powstano, ale względną autonomię administracyjną? Rozczarowanie było wielkie, zawód jeszcze większy. A przytem, dla tych, którzy znali stan Królestwa i jego położenie, owe sześć punktów były bijącym w oczy dowodem, jak dalece na Zachodzie nie miano pojęcia o tem, co się działo w Polsce, jakie tam istniały instytucye i ustawy. Przeważna bowiem większość żądań europejskich od lat paru była wprowadzoną do Królestwa i faktycznie już istniała. Amnestya była udzieloną przez ukaz Cesarski z d. 12 kwietnia i względnie była dość szeroka; wyłączała tylko tych, którzy popełnili przestępstwa kryminalne i wojskowych, którzy szeregi rosyjskie opuścili, by przejść do powstania. Żądanie więc amnestyi, było po prostu nonsensem i dowodem krzyżującej nieznajomości rzeczy; a nawet trudno było domagać się, żeby od niej nie byli wykluczeni wojskowi, którzy porzucili szeregi, by przejść do nieprzyjaciela; żaden bowiem rząd, dbający o karność wojskową, na to nie mógł się zgodzić i nigdyby się nie zgodził.

Niemniej wysoką ignorancją istotnego położenia Królestwa było nacechowane żądanie, by wszystkie urzędy publiczne obsadzone były przez Polaków. Od lat dwu, od chwili wstąpienia do rządu margrabiego Wielopolskiego, nastąpiło stanowcze i zupełne usuwanie Rosyan z urzędów publicznych. Jeżeli wierzyć można niektórym podaniom, zaledwie sześciu Rosyan pełniło jeszcze w Królestwie funkcye urzędnicze, a i ci pewni byli, że wcześniej czy później

Naczelnik rządu cywilnego postara się o ich usunięcie. Nawet tak ważne stanowisko jak Dyrektorstwo spraw wewnętrznych, które zawsze od 1831 r. obsadzano Rosyanami, a od roku powierzone było Kellerowi, który był Kurlandczykiem, raczej Niemcem jak Moskałem, w tej porze właśnie dostało się Polakowi, hr. Ostrowskiemu. Można było domagać się, by urząd naczelnika policji warszawskiej (oberpoliemajstra) spoczywał w rękach polskich, by kierownictwo kancelaryą namiestnikowską było oddane Polakowi, by wreszcie parę innych urzędów, przypominających dyktaturę wojskową Paskiewicza, albo zniesiono, albo starano się je powierzać Polakom, ale uroczyste domaganie się całej Europy, by administracja kraju była polską, kiedy ona od dwu lat taką wyłącznie była, jest dowodem lekkomyślnego i powierzchownego traktowania tak poważnej rzeczy, jaką są losy całego narodu.

Co do czwartego punktu: wolności sumienia zupełnej i usunięcia ograniczeń, ścieśniających swobodę wyznania katolickiego, to i ta sprawa wchodziła na drogę pożądaną i przy rozumnem a taktownem ze strony polskiej postępowaniu, mogła być pomyślnie uregulowaną. Od roku prawie toczyły się pertraktacje, by nuncyusz papieski mógł rezydować w Petersburgu, a tym sposobem wiele rzeczy, dotąd uciskających swobodę nie tyle sumień katolickich, ile administracji kościelnej, samo przez się musiałoby ustać. Niewątpliwie, że punkt ten żądań europejskich był ważny i wobec ogromnej przewagi prawosławia i wyraźnej dążności rządowej wytopienia w Polsce katolicyzmu, miał doniosłość niepospolitą, ale nie trzeba zapominać, że nawet mikołajskie prawo, zabraniające dzieci, spłodzone z małżeństw mieszanych ze schizmatykami, wychowywać w innej jak prawosławie religii, zostało już teraz zaatakowane przez to, że ks. Feliński dał w kościele kilka słów małżonkom, z których jedno było prawosławnem i zobowiązywało się dzieci wychowywać w religii katolickiej. Wprawdzie na to potrzeba było specjalnego pozwolenia Cesarskiego, ale bądź co bądź w surowem prawie

został zrobiony wyłom i w przyszłości można je było obalić zupełnie, acz, zdaniem naszym, obalenie to nie leżało i nie leży w interesie polskim. Cokolwiek bowiem powiedzieć można, to nikt nie zaprzeczy, że prawo to tworzy niezgłębioną przepaść między obu narodami i przyczynia się bardzo wiele do utrzymania Polski w religii katolickiej i zachowania jej odrębności narodowej i wyznaniowej. Utrudniając, a nawet do pewnego stopnia uniemożliwiając żenienie się Polaków z Rosyankami i odwrotnie, stanowi ono najsilniejszą przeszkodę w rusyfikacji kraju i szczerze mówiąc, Polska winna być wdzięczną Mikołajowi za wydanie takiego przepisu.

Bądź co bądź na punkcie swobody administracyjnej Kościoła katolickiego w Królestwie, zanosilo się na lepsze. a synod, zwołany w styczniu przez arcybiskupa Felińskiego do Warszawy, po trzydziestu przeszło latach głuchego w tym względzie mileżenia, dowodził, że rząd i na tej drodze był gotów do ustępstw. Mimo to jednak, ten punkt żądań mocarstw zachodnich miał poważne znaczenie i był jako tako uzasadniony, czego o następnym, piątym z rzędu domagającym się wyłącznego używania języka polskiego, jako urzędowego w administracji, sądownictwie i wychowaniu publicznem, powiedzieć nie można. Rząd rosyjski nawet po pokonaniu powstania listopadowego, zachował język polski jako urzędowy; powoli czynił wprawdzie zamachy tu i owdzie, zwłaszcza w szkołach nakazując wykładać niektóre przedmioty po rosyjsku, nadając znajomości tego języka pierwszorzędne znaczenie, ale od dwu lat, od chwili gdy Wielopolski objął dyrektorstwo Komisji oświecenia, a potem urząd Naczelnika rządu cywilnego, wszelkie ślady tych zamachów we wszystkich gałęziach służby publicznej zniknęły zupełnie, i język polski stał się wyłącznym, urzędowym i jedynym organem administracji, sądów i szkół. W tych ostatnich nawet do tego przyszło, że język rosyjski wykładano niejako poza programem szkolnym, parę razy zaledwie na tydzień i po godzinach szkolnych, od 4-ej do 5-ej wieczorem, a przy rozbudzonej nienawiści do

wszystkiego co rosyjskie młodzież nie chciała się go uczyć i nie uczyła się wcale. Co większa, teraz w stosunkach z Cesarzem, który przecież był Rosyaninem, język polski wszedł w używanie; zapadła bowiem na posiedzeniu lutowym Rady Stanu uchwała, aby protokoły jej posiedzeń, dotąd przesyłane Cesarzowi w dwu językach: rosyjskim i polskim, odtąd redagowane były tylko po polsku i Cesarz za wstawiennictwem W. ks. Konstantego, uchwałę tę zatwierdził. W tej chwili więc, w całym Królestwie, we wszystkich gałęziach służby publicznej, język polski wyłącznie panował i mocarstwa zachodnie domagały się rzeczy, która faktycznie od dawna istniała.

Niemniej nie miał żadnego istotnego znaczenia punkt szósty, domagający się ustanowienia prawidłowego i legalnego systemu poboru do wojska. Prawo, dotyczące rekrutacji, skopiowane z wzorów europejskich, zaprowadzono w Rosyi i Królestwie od lat kilku, a branka styczniowa była wyjątkiem, który się już nigdy nie miał powtórzyć, i w rzeczy samej, nawet po zgnieceniu powstania, gdy szalały w najwyższym swem natężeniu destrukcyjne dążności rosyjskie, nie powtórzył się wcale. Zresztą, powiedzmy szczerze, branka ta nie była dziełem rosyjskiem, ale Wielopolskiego, który sądził, że przy jej pomocy stronnictwo powstańcze w Polsce obezwładni i wytępi, i w Petersburgu z niechęcią i nie bez oporu zgodzono się na ten krok, z wielu względów nieszczęśliwie pomyślany, a nadewszystko w wykonaniu swem zupełnie chybiony. Pomieszczenie tego żądania w domaganiach się mocarstw zachodnich, miało źródło w błędnem i zgoła fałszywem mniemaniu, jakoby branka styczniowa była powodem wybuchu powstania. Niewątpliwie przyspieszyła je ona, spowodowała wcześniejsze „pęknięcie wrzodu“, jak się obrazowo wyraził Wielopolski, ale czy gwałtowne styczniowe polowanie na ludzi, jak brankę nazywał lord Russel, byłoby nastąpiło, czy też nie, powstanie byłoby wcześniej lub później wybuchło, bo źródło jego leżało nie w takich czy innych rządach rosyjskich, ale w nieprzepartem pragnieniu narodowem odzy-

skania niepodległości zupełnej. Postawienie więc przez dwory zachodnie żądania, by uregulowano prawo o rekrutacji, świadczy tylko o tej zdumiewającej nieznajomości położenia Polski, jakiej dowody widzieliśmy w poprzednich punktacych domagań się europejskich.

Z pomiędzy tych punktów jeden tylko miał znaczenie istotne i stanowił prawdziwe ustępstwo dla Królestwa, to jest żądanie przywrócenia konstytucyi 1815 r. Ale z góry można było przewidzieć, że rząd rosyjski na to się nie zgodzi, zwłaszcza, że konstytucya ta obejmowała także odrębną armię polską. Ze stanowiska rosyjskiego sądząc, utworzenie odrębnej armii polskiej, było to przygotowanie sobie wcześniej czy później nowego groźnego powstania, które może nie tak łatwo dałoby się pokonać, i nie podobna było wymagać od rządu rosyjskiego, ażeby sam na siebie broń kuł i nieszczęście sprowadzał. Co do samej konstytucyi, to ta leżała w programie Wielopolskiego, oczywiście ze zmianami odpowiedniami okolicznościom i czasowi; i być może, jeżeli wolno w historii robić przypuszczenia, że powoli byłaby Polsce nadaną — ale, powtarzamy, koncesye, choćby najobszerniejsze Królestwu udzielone, nie byłyby ówczesnego społeczeństwa polskiego zadowolniły, bo nie szło mu wcale o taki lub inny ustrój Kongresówki, ale o niepodległość zupełną całej Polski w jej dawnych, historycznych granicach. Tak też na tę sprawę zapatrywał się sam Rząd narodowy i tajna prasa będąca jego organem. W jednej ze swych depeesz do ks. Władysława Czartoryskiego, Rząd powiada: „Zbytecznem byłoby mówić, z jakim bolesnem zdziwieniem i niesmakiem naród przyjął wiadomość o propozycjach... Gdyby propozycye te czynione były na seryo, byłyby one największą usługą dla Moskwy, nową dobrowolną sankcyą podziału, prawdziwym ciosem dla politycznego życia naszego i ostatnią klęską narodowości naszej, a ze strony państw... tylko dowodem zupełnej ich niewiedomości pierwszych elementów kwestyi“. „Z góry bowiem można bez chyby powiedzieć, że odpowiedź moskiewska wyrzeczce, iż

wszystko, czego mocarstwa żądają, jest już zrobione, lub że my sami urzeczywistnieniu błogich carskich zamiarów stoimy na przeszkodzie. Nadto największem dla Moskwy, a niezaprzeczonem nawet przez mocarstwa zwycięstwem, fałszującym jednak kwestyę u samego gruntu, jest ograniczenie żądań do Kongresówki¹⁾. W innem znowu miejscu powiada: „... propozycye... w gruncie rzeczy są dla naszego wroga korzystne, gdyż kwestyę naszą w samej zasadzie, ograniczeniem jej do Kongresówki fałszują, oddając Moskwie w ręce dyplomatyczne zwycięstwo bez boju, gdyż poświęcają Litwę i Ruś, i mniej nawet obejmują niż kongres wiedeński przyznawał“²⁾. Potajemne pismo „Niepodległość“, jak wiemy, założone i prowadzone przez członka Rządu kwietniowego, Siwińskiego, w pierwszym numerze swoim z d. 14 lipca, wyraźnie powiada: że „sam nawet najlżejszy pozór odstąpienia od tej zasady (Polska w granicach 1772 r.), jakiś blady cień ustępstwa, uważa naród cały za zbrodnię, za zdradę“, a w osobnym artykule, zatytułowanym „Polska i sześć propozycji“, stara się udowodnić prawa Polski do Litwy i Rusi i potępia stanowczo pominięcie przez mocarstwa zachodnie w ich żądaniach tej zasadniczej kwestyi³⁾.

Wszyscy więc byli niezadowoleni z ciężko wypracowanych propozycji mocarstw zachodnich, niezłym intere-

¹⁾ Depesza p. Drouyn de Lhuysa do barona Grosa w Londynie (Wydaw. mat. V, 90).

²⁾ Loc. cit. V, 213.

³⁾ „... Dyplomacya ograniczając kwestyę do kongresowego Królestwa, pozbawia go jeszcze najważniejszych praw, na kongresie zapewnionych, a które gwarantowały instytucye i reprezentacyę narodową dla wszystkich bez wyjątku prowincyi polskich, zatem dla Litwy i Rusi, którym dziś dyplomacya swej protekcyi odmawia. Nawet powoływanie się na kongres wiedeński, jest prostą hipokryzyą ze strony dyplomacyi, dopóki dyplomaci spuszczać będą z uwagi te prawa, które nawet kongres dla zabranych prowincyi zapewnił. Mianowicie dzisiaj, przy takim rozbudzeniu opinii, mniej jeszcze uczynić dla zasady narodowości i sprawiedliwości, niżeli za czasów św. przymierza?“

som i pragnieniom zadość one nie czyniły, a rządowi rosyjskiemu dawały łatwy punkt wyjścia do obrony i do wykazania interweniującym państwom, że to, czego one domagają się, w trzech czwartych Królestwo posiada. Tymczasem jednak, znów te propozycye oblekły się w formę not i nim te noty przysły do Petersburga, rząd rosyjski skorzystał z pozostawionego mu wolnego czasu i z wielką energią stawiał swą armię na stopie wojennej i uzupełniał swe uzbrojenia. Dzięki rozbudzonemu przez rząd fanatyzmowi rosyjskiemu, dzięki broszurom, drukowanym w Moskwie i rozrzuconym tysiącami pomiędzy lud ciemny, wystawiającym Polaków jako barbarzyńców i rabusiów, państwa się okrutnie nad nieszczęśliwymi żołnierzami rosyjskimi¹⁾, rekruci biegli z niezwykłym zapalem i w niezwykłej liczbie do szeregów, tak że armia niebawem wynosić miała przeszło milion żołnierzy, z których blisko 300 tysięcy zajmowało Królestwo, Litwę i Ruś, od Dynaburga aż do Odessy, od Mińska do Kalisza. Rekruci dostarczyli 150 tysięcy ludzi, których umieszczono w oddalonych guberniach państwa, a stamtąd słano starych żołnierzy na zachodnie kresy. Prócz tego w wielu miejscach formowano ochotnicze oddziały (narodnoje opoleczenie), a wiemy już, że na Litwie i Rusi dla stłumienia powstania używano t. z. straży chłopskich. Rząd więc czuł się dość silnym do odparcia zbrojnej interwencji i pozbył się powoli męczącej go dotąd obawy przed wojną, a podniecany wzburzonymi namietnościami mas, domagającymi się

¹⁾ Głośną była taka broszura p. t. „O russkoj prawdzie i polskoj krywdzie“, w której między innemi, nieznany autor pisał: „Najwięcej wieszają ich popy, wyznania lacińsko-heretyckiego. Jak który z naszych wpadnie w ich ręce, męczą go najokropniej torturami; zdzierają mu skórę na piersiach i śmiejąc się mówią, że awansował do gwardyi cesarskiej za waleczność, że mu sprawili piękne wyłogi: rozpruwają mu brzuch kosami, przybijają mu pasport na piersiach, wieszają go za nogi, obchodzą się z nim, jednym słowem, jak ludzie dzicy nieznający Boga. Burzą i palą cerkwie prawosławne i zabijają w męczarniach duchownych prawosławnych“. (Cytowane w „Historyi rządu narodowego“ II, 160).

ukarania nie tylko Polaków za ich bunt, ale i „heretyckiego Zachodu“ za jego zuchwalstwo mieszania się do spraw wewnętrznych rosyjskich, począł myśleć o wydaniu Europie wojny. Sam Cesarz Aleksander II-gi pod wpływem tego powszechnego nastroju umysłów, podrażniony silnie napaściami gazet zagranicznych na swoją osobę, odrzuceniem przez Polaków udzielonej im amnestyi, naukami wrzszcie, jakich mu w notach europejskich nie szczędzono, stracił cierpliwość i ufny w gotowość wojenną swego rządu, postanowił przychylić się do głosów, odzywających się z pośrodku społeczeństwa rosyjskiego i wypowiedzieć wojnę Francyi i Anglii. Ale oczywiście wojny tej z tak potężnymi mocarstwami, zwłaszcza z Francją, która posiadała jeszcze cały urok niezwykłości, nie śmiał i nie mógł rozpocząć bez sprzymierzeńca. Takim sprzymierzeńcem mogły być tylko Prusy; z niemi tylko wspólnie toczona wojna mogła być zwycięską, bez nich groziła klęską.

W tym celu, dla nakłonienia Prus do wspólnej akcji zbrojnej, cesarz Aleksander napisał d. 1 czerwca do swego wuja, króla pruskiego Wilhelma, list własnoręczny, który wysłał do Berlina przez pruskiego pełnomocnika wojkowego przy gabinecie petersburskim, pułkownika v. Loen. W piśmie tem, Cesarz rosyjski rozgoryczony wypadkami, mówił tylko o wypowiedzeniu wojny Austrii, a w razie gdyby Napoleon się za tą ostatnią ujął, to i Francyi. Zwracał przytem uwagę na tę okoliczność, że Austrya wcale nie jest przygotowaną do wojny, i że łatwo ją będzie można pokonać wprzód, nim Francya zdoła jej nadbieść z pomocą. Zresztą, pomoc ta, wobec zaangażowanej Francyi w Meksyku, nie mogła być ani szybką, ani zbyt skuteczną.

Propozycja ta miała wiele powabu dla rządu pruskiego. Przygotowując się już do swych zamysłów uzyskania prymatu wśród Rzeszy niemieckiej, gabinet berliński przewidywał, że wcześniej czy później musi przyjść do krwawej i stanowczej rozprawy między Prusami i Austrią. Skoro więc taka wojna jest nieuniknioną, czyż nie lepiej

ją teraz stoczyć, mając potężnego sprzymierzeńca w Rosyi i gdy Austrya jest nieprzygotowaną do walki i rozdartą wewnętrznym sporem z Węgry, sporem przybierającym formy coraz ostrzejsze? Państwo Habsburgów raz pokonane, dawało Prusom swobodę i wolną rękę do działania w Niemczech, przyspieszało zamierzoną ich przewagę polityczną nie tylko wśród Rzeszy, ale i w Europie. Oprócz tych względów zewnętrznych, były i wewnętrzne, które czyniły propozycją rosyjską bardzo pociągającą. Rząd pruski właśnie popchnięty był do upartej i coraz więcej zaogniającej się walki ze swą sejmową reprezentacją, która nie miała wcale ochoty płacić za to, że królowi i jego ministrom marzy się o przewadze w Europie; umysły były wzburzone i najlepszym lekarstwem, stałe przez wszystkich despotów używanem, dla uzdrowienia tych stosunków, była wojna zewnętrzna, wojna w wielkim stylu, jaką bezwarunkowo stać się miała walka z Austrią i Francją. Były to więc niewątpliwie bardzo poważne przyczyny skłaniające Prusy do zgodzenia się na propozycję cesarza Aleksandra, ale były też i inne, niemniej poważne, które nakazywały powstrzymać się od tak ryzykownego i kosztownego środka jak wojna. Naprzód Prusy rozpoczęły dopiero reorganizację swej armii, owego młota ciężkiego, którym miały rozbić niebawem i Austrię i Francję, ale który w tej chwili nie był jeszcze owem późniejszym druzgocącym narzędziem przewagi pruskiej w Europie. Następnie rzeczą było pewną, że w razie napaści na Austrię, Francya wszystko uczyni co będzie w jej mocy, by jak najspieszniej zbrojną podać rękę Austryakom, zaleje prowincje Nadreńskie i cały ciężar wojny zwali się na plecy pruskie, które na dwa fronty czoło stawić będą musiały, a w ostateczności Francya i Rosya zawrą ze sobą pokój taki, jaki będą uważały za najkorzystniejszy dla siebie, nie troszcząc się o Prusy, które na wszystko zgodzić się będą musiały. W takim razie, jak obrazowo wyrażał się Bismarck, Prusy będą siedziały na „dłuższem ramieniu dźwigni“ (am längeren Hebelarme), co niby znaczyło, że większa praca i cięższe

zadanie do spełnienia Prusom przypadnie w udziale ¹⁾. Obok tego nie bez znaczenia były też osobiste uczucia króla Wilhelma, który zawsze żywił pewien szacunek i pewną cześć dla starej dynastii Habsburgów, i z tego względu miał wstręt do porwania się z bronią w rękę na zaprzyjaźnioną i pokrewną Austrią; lękał się przytem, aby spraw wewnętrznych tak pruskich jak i niemieckich nie rozstrzygała obca pomoc. Nie bez wpływu też na ostateczne postanowienie króla pruskiego, były rady Bismarcka, który nie chciał teraz wielkiej, koalicyjnej wojny, mogącej wywołać taki zamęt i taką burzę powszechną, że rozum ludzki nie był w stanie jej skutków przewidzieć; dość, że zamiar cesarza Aleksandra, ten niespodziewany błysk szczęścia dla Polski, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa, jakkolwiek byłaby ta wojna, to zawsze dla nas wynik jej musiałby być korzystny, został przez Prusy, tego złego ducha naszego narodu, zgaszony. Król Wilhelm napisał odpowiedź według konspektu zredagowanego przez Bismarcka, w której powody swej decyzji otwarcie wypowiada. Ma on (pisał) nieograniczone zaufanie w usposobienie cesarza Aleksandra, ale co będzie, gdy po wypowiedzeniu wojny, naraz w Rosyi, pod wpływem innych czynników, inny system weźmie górę? W następnych listach, które obaj monarchowie jeszcze kilkakrotnie do siebie pisali, król pruski zapewniał cesarza rosyjskiego, że Austria w kwestyi polskiej zachowa się zawsze neutralnie, że do wojny z powodu tej kwestyi nigdy nie przyjdzie; że jeżeli gabinet wiedeński bierze udział w akcji dyplomatycznej mocarstw zachodnich, to tylko z obawy o swe posiadłości włoskie i że jak tylko co do Wenecyi otrzyma dostateczne gwarancje, natychmiast od współnictwa z Francją i Anglią się usunie. Cesarz Aleksander, który nigdy wojowniczo nie był usposobiony, który oddany zabawom i kobietom nie lubił zbytecznie zajmować się sprawami państwa i który, jeżeli powziął myśl wojny, to tylko pod

¹⁾ H. Sybel. Die Begründung des deutschen Reiches II, 519.

wpływem chwilowego rozdrażnienia i nacisku rozbudzonych namiętności pseudopatryotycznych swego narodu, który wreszcie doskonale to pojmował, że bez pomocy Prus nie może myśleć o wojnie, dał się przekonać i projekt swój zarzucił, a z nim zgasła znowu dla Polski jedna chwila jaśniejsza. Cała ta akcja prowadzoną była w największej tajemnicy, tak że o niej wiedzieli tylko obaj monarchowie i Bismarek, i dopiero wykrył ją znacznie później historyk niemiecki Sybel ¹⁾.

Tak więc jeszcze raz krótka chwila pomyślniejszej doli dla Polski, minęła bezskutecznie, bo, powtarzamy, jakkolwiek byłby wynik wojny, przyniosłby on dla kraju naszego zawsze polepszenie losu. Bo w wojnie tej niewątpliwie wzięłaby udział nieomal cała Europa i z konieczności rzeczy, walka taka olbrzymia, taki chaotyczny zamęt

¹⁾ Bismarek w mowie swej, mianej na posiedzeniu sejmowem d. 6 lutego 1888 r., wspominał o przebiegu tej sprawy w sposób następujący: »Wytrzymałem to wszystko (t. j. napaści izby deputowanych na politykę pruską w kwestyi polskiej) spokojnie, ale cesarz Aleksander stracił cierpliwość i chciał dobyć miecza przeciw szklanom mocarstw zachodnich. Przypomnijcie sobie panowie, że siły wojenne Francji zaangażowane były w Meksyku, tak że z całą swą potęgą wystąpić nie mogła. Cesarz rosyjski nie chciał dłużej ulegać intrydze polskiej, działającej wśród innych państw i gotów był w związku z nami stawić czoło wypadkom i wojnę wypowiedzieć. Przypomnijcie sobie panowie, że Prusy wówczas wewnątrz znajdowały się w trudnem położeniu, że umysły w Niemczech były wzburzone, a »dni książęce« (Fürstentage) we Frankfurcie (t. j. zjazd cesarza Franciszka Józefa i książąt niemieckich we Frankfurcie) już się przygotowywały. Można więc przypuścić, że pokusa dla mego Najdostojniejszego Pana, trudne wewnętrzne położenie przez wojnę zewnętrzną w wielkim stylu zażęgnąć i uzdrowić, była zbyt powabną, i już wtedy niewątpliwie przyszyłoby do wojny między Rosją w związku z Prusami, a tymi, którzy popierali powstanie polskie, gdyby J. kr. Mość nie cofnął się był przed myślą, żeby trudności tak pruskie jak i niemieckie nawiązywać przy obecnej pomocy i milcząc projekt ten odrzuciliśmy. Ale trzeba było jednego tylko »tak« zamiast »nie«. Jego kr. Mości w Gasteinie, a wielka wojna, wojna koalicyjna wybuchłaby już w r. 1863«.

wszystkich żywiołów, uraz wzajemnych, wzajemnych nienawiści i krzywd, całkiem odmienną postać nadałaby światu, a w tej nowej postaci Polska zapewne takżeby przynależne sobie miejsce zająć musiała. Ale było to zawsze nie-szczęściem naszym, że chwile takie, które nam mogły przynieść pożytek, pod wpływem nieprzyjaznych nam żywiołów, mijały bez śladu; minęła więc i owa, zbawcza dla Polski, zgubna zapewne dla Rosyi, myśl cesarza Aleksandra II-go wypowiedzenia wojny. Że się cofnął, że zamiar ten porzucił, zawdzięczamy to jedynie Prusom, i ten, jeden więcej, zadatek wdzięczności, niechże będzie zapisany w skarbnicy dziejowej, by i on wszedł kiedyś, w przyszłości do ogólnego naszego obrachunku z tem zbrojeckiem obozowiskiem, które nosi miano królestwa pruskiego.

Wśród tego wszystkiego, powoli, trzy mocarstwa wygotowały swe mozolnie wypracowane noty i wysłały je do Petersburga; Anglia i Francya w d. 17 czerwca, Austria zaś dnia następnego. Nota francuska była pełną tej kurtoazji dyplomatycznej, jaką rząd Napoleona usilnie starał się zachować w swym stosunku do Rosyi. Sześć punktów, podanych w nocie, uważał on za podstawę do negocjacyi i że „w niczem one nie sprzeciwiają się stypulacyom traktatu, obowiązującego rząd rosyjski względem Polski“. „Polska, pisał minister francuski, przedstawia w tej chwili przykre widowisko. W miarę tego jak walka się przedłuża, nienawiść wzajemna czyni ją coraz krwawszą. Niewątpliwie jest to pragnieniem dworu rosyjskiego, ażeby walka, niosąca za sobą zniszczenie i żałobę tak w dawnych prowincjach polskich, jak i w Królestwie, ustała. Dalsze trwanie tej klęski podczas negocjacyi, może wprowadzić żywioł rozdrażnienia do rozpraw, które powinny zachować spokój, jeżeli mają przynieść pożytek. Z uwagi na to rząd francuski proponował „tymczasową pacyfikacyą“, czyli po prostu zawieszenie broni, które obie strony winny ścisłe, pod własną odpowiedzialnością zachować. Co zaś do samych negocjacyi, to w nich mają wziąć udział wszystkie

te mocarstwa, w liczbie ośmiu, które podpisały się na uchwałach kongresu wiedeńskiego.

Nota angielska była, jak zawsze, skreślona w tonie ostrzejszym. Lord Russel, przytoczywszy dosłownie te ustępy z uchwał kongresu wiedeńskiego, które dotyczyły Polski, wyraziwszy wątpliwość co do wartości dobrych chęci, jakie niby rząd rosyjski miał mieć względem Polski, wymienia znane nam już sześć punktów, które uważa, podobnie jak nota francuska, za podstawę do przyszłych negocjacyi. „Ale, powiada, trudną jest rzeczą a nawet nie-możliwą, ażeby zaufanie i konieczny spokój wróciły, jeżeli namiętności będą z dnia na dzień rosły i nabierały charakteru śmiertelnej nienawiści, tak że hasło: zwyciężyć lub umrzeć, nabiera niezlomnej stałości“. Minister angielski powołuje się przytem na dzienniki londyńskie, które opowiadają o strasznych okrucieństwach, jakich dopuszczają się w Polsce ajenci rosyjscy; że prawdopodobnie w większości podania te są przesadne, ale niewątpliwie niektóre są autentyczne. „Czyż można więc spodziewać się, ażeby negocjacye między wrogami tak rozdrażnionymi, doprowadziły do dobrego rezultatu?“ „W wojnie zwykłej, pisze dalej, zwycięstwa flot lub armii, walczących mężnie ale bez nienawiści, mają swą wagę w rokowaniach, prowadzonych wśród akcji wojennej. Odstąpienie jednej lub dwu wysp, rozszerzenie takie lub inne granic, jest wynikiem ostatniego zwycięstwa, lub ostatniego podboju. Ale gdy idzie o ustalenie spokoju wewnętrznego, o to, by ludność żyła pod władzą tych, z którymi walczy z rozpaczą i nienawiścią, to położenie zgoła jest odmienne. Pierwszą więc rzeczą, jaką zrobić należy, jest zawieszenie działań wojennych, co może nastąpić na skutek proklamacyi cesarza, ogłoszonej w imię ludzkości, i w niczem nie ujmie jego godności“. Gdy nastąpi takie tymczasowe zawieszenie broni, należy wezwać na naradę Prusy, Hiszpanię, Szwecyę i Portugalję, to jest wszystkie te państwa, które brały udział w kongresie wiedeńskim. Ostatecznie w tej chwili ministeryum angielskie tak formułowało swe żądania:

1) przyjęcie sześciu punktów, jako podstawy do rokowań; 2) zawieszenie tymczasowe broni, ogłoszone przez cesarza rosyjskiego; 3) konferencya ośmiu mocarstw, które podpisały traktat wiedeński.

Nota austriacka, wręczona o jeden dzień później od dwu poprzednich, co zapewne znaczyło, że Austria w sprawie polskiej pragnie zachować swobodę działania i niekoniecznie uległa jest naciskowi francuskiemu, była grzeczną i obfityjącą w te wielosłowne wyrażenia dyplomatyczne, które zaciemniają myśl główną, a częściej jeszcze pozbawione są wszelkiej myśli. Ale nie tylko pod tym względem Austria w tem nowem wystąpieniu mocarstw, zachowała pewną odrębność, lecz i co do samej treści swych żądań. Przedewszystkiem modyfikowała owe sześć punktów, które Anglia i Francya stawiała jako fundament przyszłych rokowań. Modyfikacya ta dotyczyła mianowicie paragrafu drugiego, w którym gabinet londyński i paryski żądał przywrócenia konstytucyi 1815 r., Austria zaś tylko „reprezentacyi narodowej, biorącej udział w prawodawstwie krajowem i posiadającej środki skutecznej kontroli“. Było to więc znaczne odstępstwo od owej jednomyślności mocarstw zachodnich w sprawie polskiej, o której dzienniki francuskie i angielskie współczesne tak wiele mówiły, i świadczyło wyraźnie, że Austria z pewną obawą i niechęcią przystępuje do akcyi dyplomatycznej, zainaugurowanej przez Anglię i Francję. Nota austriacka owych sześciu zmodyfikowanych przez siebie punktów, nie uważała wcale za podstawę mających się zawiązać rokowań, ale tylko „za punkt wyjścia do zamiany myśli, do której dwór rosyjski okazał się skłonnym“. Co do owej „zamiany myśli“, to gabinet wiedeński proponował także, ażeby w niej wzięły udział państwa, które podpisały traktat wiedeński, ale jedynie wtedy „jeżeli Rosya uzna tego potrzebę“. Jednem słowem nota austriacka dobitnie powiadała, że nie ma zamiaru wcale grozić Rosyi, a tem bardziej wypowiadać jej wojny; że jeżeli domaga się uspokojenia Polski, to tylko dlatego, że „walka krwawa tam toczona, daje się

odczuwać na terytoryum austriackiem“. Poza tem gabinet wiedeński los Polski oddaje „wspaniałomyślnym uczuciom cesarza Aleksandra“. O wstrzymaniu kroków wojennych, które stanowiło najważniejszą i jedynie zbawienną część not francuskiej i angielskiej, Austria ani słówka nie wspomniała.

Oceniliśmy już znaczenie sześciu punktów. Powtarzamy, prócz żądania przywrócenia konstytucyi 1815 r., nie miały one żadnej wartości, były domaganiem się tego, co faktycznie w Królestwie od paru lat już istniało, a świadcząc o nieznajomości położenia Polski, dawało łatwą broń gabinetowi petersburskiemu do wykazania światu jak lekomyślnem jest wystąpienie mocarstw zachodnich. W ostatnich atoli notach czerwcowych nie owe sześć punktów było rzeczą najważniejszą dla Polski, zwłaszcza, że same mocarstwa uważały je tylko za punkt wyjścia do mających nastąpić rokowań, ale propozycya zawieszenia broni. Przyjęcie jej przez Rosję nie tylko bowiem kładło koniec straszliwemu rozlewowi krwi i okrutnym rządów satrapów rosyjskich, ale co najważniejsza, samo przez się uznawało powstanie polskie nie za bunt przeciw prawowitej władzy, ale za stronę wojującą, za państwo walczące z państwem. Z góry można było przewidzieć, że Rosya nigdy się na to nie zgodzi, a postawa w tej kwestyi Austrii, która w swej nocy milezieniem pominęła ten najdonioślejszy punkt żądań, uczynić musiała gabinet petersburski tym śmielszym w odrzuceniu takiej propozycji. To też ministerium francuskie co do tego nie miało żadnych złudzeń; cesarz Napoleon był przygotowanym na to, że Rosya nie tylko nie zgodzi się na zawieszenie broni, ale nawet na przyjęcie mniej ważnych sześciu punktów, i dlatego stawiano sobie w Paryżu pytanie, co dalej robić, gdy nadejdzie z Rosyi odpowiedź odmowna? Nie ulega wątpliwości, że cesarz francuski pragnął szczerze i serdecznie przywrócenia Polski całej i niepodległej. Oprócz osobistych uczuć sympatyj dla nas, oprócz zasady narodowości, którą postawił jako przyszły układ europejski, pragnienie to opierało się je-

sze na istotnym interesie Francji. Stworzenie Polski silnej, z natury rzeczy będącej stałym sprzymierzeńcem Francji, zabezpieczało tę ostatnią od wszelkich koalicyjnych zamachów, czyniło ją potężną panią losów Europy. Czyż dla osiągnięcia takiego celu nie należało użyć wszelkich środków, wszystkich sił wyteńczyć? Niestety! w Napoleonie oprócz człowieka uczucia i bystrego rozumu, tkwił marzyciel gabinetowy, tkwiła niemoc, która wszędzie i zawsze wstrzymywała go na połowie drogi czy to w Krymie, czy we Włoszech. Do tego braku energii i rzetelnej wytrwałości w przeprowadzaniu myśli raz powziętej, do tego niedoczynu w działalności, może już w tej chwili przyczyniała się owa tajemna choroba, która go w kilka lat później pozbawić miała reszty woli, popchnąć do wojny z Prusami, zawieść pod Sedan i zmusić do oddania miecza Bonapartych wczorajszym rozbitkom z pod Jeny i Auerstedu. W tej chwili jednak, przewidując, że Rosya odrzuci propozycje mocarstw zachodnich, widział, że ostatecznym wynikiem tego, jeżeli miano zachować konsekwencję w działaniu, była wojna i że do tej wojny zdoła nakłonić tak Austryę jak i Anglię, mimo całą ich miłość pokoju. Na dworze tujleryjskim krzyżowały się różne wpływy; Morny, ożeniony z Rosyanką, za nim Fould byli przeciwni wszelkim przedsięwzięciom wojennym, zwłaszcza przeciw Rosji wymierzonym, ale Napoleon słuchając ich bacznie ulegał więcej wpływom Walewskiego, Drouyn de Lhuysa i wreszcie skłonnościom serca własnego, dlatego nie chciał zaprzestać akcyi i starał się ją prowadzić dalej. W tym celu, już w trzy dni po wysłaniu wyżej przytoczonych not, wystosował do Wiednia i Londynu w d. 20 czerwca pismo, w którym proponował ściślejsze porozumienie się trzech mocarstw. „W miarę tego, mówił, jak zbliża się chwila rozpoczęcia rokowań z dworem rosyjskim, winniśmy większą przywiązywać cenę do utrzymania solidarności, tak potrzebnej dla skuteczności naszych usiłowań i będącej skądinąd warunkiem bezpieczeństwa, dla tego z trzech mocarstw, które wskutek swego położenia geograficznego

jest wystawione bezpośrednio na następstwa wypadków“. Ponieważ niema żadnej pewności, czy Rosya zgodzi się na propozycje mocarstw, może je odrzucić lub przyjąć tylko w części, a nawet zaakceptowawszy je zrazu, może w ciągu rokowań tysiące podnosić trudności i przewlekać sprawę do nieskończoności, że należy zapobiedz tej ewentualności. Należy więc porozumieć się co do postępowania w razie jeżeli Rosya stanowczo odrzuci propozycje mocarstw, lub gdy negocjacje dadzą wynik ujemny. „Cesarz zatem sądzi, brzmi nota, że byłoby rzeczą właściwą i użyteczną, aby ścieśnić jeszcze bardziej węzły, łączące trzy mocarstwa i nadać ich porozumieniu się charakter odpowiedni okolicznościom, w jakich wcześniej czy później znaleźć się mogą“. Gabinet tujleryjski proponował więc, ażeby Anglia, Francya i Austria spisały akt dyplomatyczny w formie konwencji lub protokołu, w którymby wyraziły chęć uregulowania kwestyi polskiej, przez postawienie tego kraju w warunkach stałego pokoju i że w tym celu łączą swe usiłowania; że mają nadzieję, iż rezultat ten osiągnąć się da za pomocą układów przyjacielskich i jedynie drogą dyplomatyczną, zastrzegając sobie jednakże, że gdyby ta droga nie doprowadziła do celu, to trzy mocarstwa zastanowią się wspólnie nad środkiem, którego chwycić się w takim razie należy.

To oświadczenie francuskie niechętnie powitano w Wiedniu. Ważyły się tam rozmaite wpływy, a sam cesarz Franciszek Józef był przeciwny wszelkiemu udziałowi ze strony Austrii w akcyi mocarstw zachodnich; czuł on się z powodu Galicyi nie tyle może obowiązany ile zmuszony do pewnej solidarności z Rosyą i Prusami. Utworzenie się niepodległego państwa polskiego, było przecież jednoznacznem z utratą Galicyi i trudno było wymagać, ażeby Austria popierała działanie, którego ostatecznym rezultatem byłoby dobrowolne pozbycie się prowincyi bogatej i spokojnej, będącej dojną krową dla skarbu rakuzkiego. A przytem przejęty był głęboką nieufnością i niewiarą do Napoleona, którego każdy krok podejrywał i był przekonany, że po-

budką wszystkich jego czynności jest z bogaceniem się nowymi łupami kosztem Niemiec. Już przed paru miesiącami, gdy ks. Metternich przyjeżdżał do Wiednia, wzmianka o prowincjach Nadreńskich, dość nieokreślona, zmroziła uczucia niemieckie cesarza Franciszka Józefa, i ta nieufność ani na chwilę go nie opuszczała w ciągu całej akcji dyplomatycznej o Polskę. Propozycję więc francuską zawarcia konwencji z Francją i Anglią w sprawie polskiej, odrzucono w Wiedniu, pomimo że jeden z miarodajnych ówczesnych ministrów, p. v. Schmerling był stanowczym zwolennikiem czynnego wystąpienia w tej sprawie. Oczywiście nie kierowały nim w tym względzie żadne sentymentalne uczucia słuszności tej sprawy, ale jedynie chęć zyskania sobie większości liberalnej Reichsratu, oraz samego Napoleona, którego jeżeli nie poparcie, to przynajmniej dobrą wolę chciał mieć za sobą w kwestyi zamierzonych planów zdobycia dla Austrii prymatu w Rzeszy niemieckiej. Tymi względami kierowany Schmerling gorąco popierał żądania francuskie, ale znalazł przeciwnika naprzód, powtarzamy, w samym cesarzu, a potem w ministrze spraw zagranicznych, hr. Rechbergu. Ten ostatni opierał się wszelkiej akcji czynnej w sprawie polskiej i wogóle był przeciwnikiem politycznym Schmerlinga, tak że lord Palmerston odzywał się wówczas, nie bez pewnej dozy złośliwości, iż żałuje mocno cesarza Franciszka Józefa, który ciągle musi pośredniczyć między obu swymi ministrami. Hr. Rechberg ściślej mówiąc, nie był zdecydowanym przeciwnikiem popierania sprawy polskiej, ale chwiał się między dwoma prądami i starał się wynaleźć wyjście z tego położenia, przyznać należy dość trudnego, przez wytworzenie sobie w kwestyi polskiej formuły następującej: związek z mocarstwami zachodnimi, dopóki te ograniczać się będą na akcji pokojowej, odłączenie się od nich, gdyby dążyć zaczęły do wojny. Innego wyjścia z tych komplikacji nie widział, a było to wyjście nie tylko w gruncie rzeczy niemoralne, bo zachęcając pośrednio powstanie do przedłużania walki bezcelowej, zwiększał tylko ogrom

nieszczęść i niedoli polskiej, ale także niemądre, bo nie przynosiło żadnej bezpośredniej korzyści dla Austrii i wszędzie ku niej niechęć i nieufność budziło. To też polityka ta wkrótce okrutnie pomścić się miała na jej twórcy i na samej monarchii rakuskiej.

Tej dwulicowej polityki Austrii nie zmieniło w niczem jeszcze jedno szlachetne i bezinteresowne stawiennictwo za nieszczęśliwą Polską, pochodzące od papieża Piusa IX-go. Zwracał on baczną uwagę na wypadki polskie i od czuwał je głęboko, acz tylko ze stanowiska religijnego. Mimo to głos Rzymu miał znaczenie i znajdował echo we wszystkich sercach szczerze katolickich, a nadewszystko w sercu cesarzowej francuskiej Eugenii, która, jak wiemy, dość duży wpływ w tej porze wywierała na swego małżonka. Rząd powstańczy miał w Rzymie swego reprezentanta w osobie Władysława Kulczyckiego, szambelana papieskiego, który posiadał liczne stosunki i znajomości w Watykanie, i jeżeli w rzeczy samej nie wiele mógł korzystnego dla Polski zdziałać, to przecież bacznie czuwał nad tem, by nie dawano wiary oskarżeniom i fałszom, jakie rząd rosyjski przez swych agentów starał się rozsiewać o powstaniu i o zbrodnich jakoby udziale w niem duchowieństwa polskiego. Mieszkało też w Rzymie w tej porze wielu znakomitych Polaków, którzy tam biegli, ażeby albo uniknąć niebezpieczeństw wojny, toczonej w kraju, albo też z potrzeby serca katolickiego, które pragnęło znaleźć spokój i ukojenie w wiecznem mieście. Ci, czy to sami bezpośrednio, czy też przez arystokrację rzymską, z którą kilka rodzin polskich jest spokrewnionych, starali się także wpływać w sensie dodatnim na kurę rzymską, i za ich to pośrednictwem dowiadywała się ona o wszystkich zamachach rosyjskich na katolicyzm i narodowość polską. Rząd powstańczy ze swej strony, starał się wszelkimi siłami, ażeby wszelkie tego rodzaju akta dochodziły do rąk papieża, a swoje zaś komunikaty przysyłał zawsze w dwu egzemplarzach na ręce wspomnianego wyżej agenta Kulczyckiego. Na nieszczęście nie zawsze się to udawało:

obok przyjaciół mieliśmy także wśród kardynałów i otoczenia papieskiego, zawziętych wrogów. Do rzędu tych ostatnich należał kardynał Antonelli, który wszelkie komunikaty Rządu narodowego stale rzucał do kosza. Za to w osobie kardynała ks. Franchi, nieszczęśliwy nasz naród posiadał gorącego i niezmordowanego rzecznika i obrońcę. Otrzymywane korespondencye zawsze wręczał on papieżowi i ważniejsze akta Rządu narodowego kazał potajemnie drukować w osobistej drukarni papieskiej w Kwirynale. On to później postarał się, że przeprowadzona została kanonizacya Józafata Kuncewicza, zamordowanego w Połocku przez schizmatyków, co oczywiście gabinetowi petersburskiemu podobać się nie mogło ¹⁾. Reprezentantem rosyjskim w Rzymie, był baron Meyendorff, który wszelkich usiłowań dokładał, ażeby papież zabronił duchowieństwu polskiemu podburzania ludności do powstania, oraz udziału kleru w tem ostatniem. Pius IX-ty w odpowiedzi na to ogłosił encyklikę, w której pochwalał czyny księży polskich i biskupi wywiezieni do Rosyi uznani zostali za męczenników. To spowodowało zerwanie stosunków między Rzymem i Rosyą i baron Meyendorff został odwołany.

Stało się to jednak znacznie później, w tej chwili wszakże, w miesiącu kwietniu, gdy mocarstwa rozpoczęły swą nieszczęsną akcyę dyplomatyczną, stosunki kuryi rzymskiej z rządem rosyjskim znajdowały się na względnie dobrej stopie, acz w Watykanie powoli tracono nadzieję, by udało się przeprowadzić sprawę stałej nuncjatury w Petersburgu. Sam Pius IX-ty był silnie wzruszony krwawą i wytępiającą walką, jaką toczono w Polsce i postanowił z wyżyn swego tronu papieskiego odwołać się do serca cesarza Aleksandra. W własnoręcznym liście, datowanym d. 12 kwietnia ²⁾, wstawił się gorąco za Polską.

¹⁾ B. Zaleski: Ks. Hieronim Kajsiewicz (Poznań 1878 r.).

²⁾ List ten czytać można w „Czasie” krakowskim No 159 z r. 1863 i w „Wydawnictwie materyałów” I, 48.

„Wzruszeni tylokrotnemi nieszczęściami tego narodu, pisał Pius IX-ty, udajemy się do Waszej C. Mości w celu zwrócenia Jego uwagi na główne powody tych wstrząśnień, równie jak i na środki, które uważamy za najskuteczniejsze i najwłaściwsze do rychłego uspokojenia umysłów, wzburzonych walką tak straszną i tak uporeczywą. Wymaga tego po nas obowiązek apostolskiego naszego urzędu, wymaga miłość, którą żywimy w sercu dla pełnego sławy i szlachetności narodu polskiego, skłania nas wreszcie do tego kroku i sama troskliwość W. C. Mości o szczęście i spokój Jego państwa”. Przytoczywszy następnie wszystkie przyrzeczenia i uroczyste zapewnienia, jakie od chwili rozbioru czynili monarchowie rosyjscy, że religia katolicka swobodnie wyznawaną być może i zachowa wszelkie swe przywileje, oraz że te uroczyste przyrzeczenia nigdy dotrzymywane nie były, a Kościół katolicki i unicki uciskany był i w swej wolności ograniczany, zwraca się do obecnego położenia i powiada: „Najjaśniejszy Panie, dalecy jesteście od pochwalenia duchowieństwa, iż bierze udział w zaburzeniach politycznych i chwytą za broń ku obaleniu władzy rządu. Przeciwnie oplakujemy i potępiamy takowe postępowanie, lecz zarazem chcemy W. C. Mości wskazać powód, z którego ono wynika. Niechaj apostolska Nasza władza odzyska wpływ swój zbawienny nad katolickimi poddanymi W. C. Mości; niech powrócą biskupi do wolnego sprawowania władzy swojej według przepisów kanonów świętych; niech duchowieństwo otrzyma należny sobie udział w wychowaniu ludu; niech zakonnicy zależnymi się staną od swych przełożonych jenerałów; niech wiernym wolno będzie wyznawać wiarę, a wtedy przekona się W. C. Mość, że głównym powodem ciągłych politycznych rozruchów w Polsce jest ucisk religii, gwałty sumieniu zadawane, upadek duchowieństwa, poniżenie pasterzy duchownych, rozszerzenie zasad i nauk przeciwnych”. Przechodząc z kolei do strasznej sytuacji, w jakiej Polska się wtedy znajdowała, podniosłemi słowami przemawia do serca cesarza Aleksandra, wzywa go by „jęki boleści narodu

tego, które się po całej Europie rozległy i poruszyły serca dotąd dla religii obojętne“ doszły do jego tronu i „wtargnęły do wspaniałomyślnego jego serca“ i że jedno słowo cesarskie „może przywrócić szlachetnemu narodowi utracony spokój i bezpieczeństwo, i zatamować nieustanne źródło wzburzeń i niezgód“.

List ten, piękny w sobie samym, podniosły jako dokument uczuć chrześcijańskich, pozostał bez żadnego dodatniego rezultatu. Cesarz Aleksander czy to wskutek wychowania, czy wyrozumowanej polityki, zawsze był za tem, by „bunt polski“ jak mówiono w Rosyi, stłumić szeregiem środków surowych i w chwili gdy wysyłano do Wilna Murawiewa, a w Warszawie myślano o zastąpieniu W. ks. Konstantego przez Berga, nie mogło być mowy o tem, by głos głowy wrogiego prawosławiu Kościoła, by głos bezsilnego starca „wtargnął do wspaniałomyślnego serca“ cesarza Aleksandra. Pius IX-ty jednak nie poprzestał na tem; i właśnie teraz, w chwili gdy noty mocarstw zachodnich z owymi niefortunnymi sześciu punktami poszły do Petersburga, uczynił w połowie lipca jeszcze jeden krok w celu dopomożenia nieszczęśliwej Polsce. Na to postanowienie papieża wpłynął bardzo wiele cesarz Napoleon III, który prosił głowę Kościoła, ażeby wstawił się za Polską do cesarza Franciszka Józefa. Doskonale to bowiem pojmowano tak w Paryżu jak i w Rzymie, że zbrojna interwencya na korzyść powstania naszego, wtedy jedynie może przyjść do skutku, gdy Austria się do niej przychyli, i że węzeł całej tej akcji leży w Wiedniu. Ojciec więc święty, dla poparcia sprawy polskiej, wysłał do Wiednia z własnoręcznym listem do cesarza Franciszka Józefa, kardynała Reisacha, który jako Niemiec był dobrze widziany na dworze Habsburgów i przez to w sam raz nadawał się do takiej misyi. W liście tym papież winał cesarzowi austriackiemu, że wobec powstania zajął tak przychylnie stanowisko dla Polski, jednakże Jego Świątobliwość nie ukrywa przed sobą, że interwencya dyplomatyczna pozostanie bez skutku, bo Rosya ma jeden cel tylko „wytępie-

nia narodu polskiego i Kościoła katolickiego w Polsce“; zaznaczał, że doskonale pojmuje trudności, w jakich się Austria znajduje, że „ludzie zepsuci i chciwi zdobyczy“ skorzystają z pierwszej lepszej sposobności, by uderzyć na Austryę we Włoszech i „urzeczywistnić swe zgubne zamiary względem Stolicy świętej“, mimo to wkońcu swego listu wyraził nadzieję, że syn Habsburgów weźmie pod swą opiekę „bohaterski naród męczenników“ i zagrożony także Kościół katolicki. Pismo to, jak wszystkie dokumenta, wychodzące w tej dobie z kancelaryi papieskiej, pełne podniosłych myśli i wyrażań, miało wywrzeć na cesarza Franciszka Józefa silne wrażenie ¹⁾, i odpowiedział on własnoręcznie, że żywi gorące współczucie dla tego nieszczęśliwego kraju, ale obowiązkiem cesarza austriackiego jest przedewszystkiem mieć na względzie interes Austrii, że wszelako nie zaniedba w stosownej chwili działać na korzyść Polski; że pragnie, aby sprawa polska została załatwioną na drodze pokojowej, takiej, któraby zapewniła Polakom swobodę rozwoju narodowego i religijnego.

Nie bez wpływu zapewne na taki szlachetny krok papieża, był adres Rządu narodowego, wystosowany do głowy Kościoła katolickiego w końcu czerwca (26 czerwca). Nie możemy objaśnić z czyjej inicjatywy powstała w Rządzie, tak radykalnie i rewolucyjnie usposobionym, jakim był Rząd czerwcowy, myśl tej odezwę do papieża; zdaje się, że książę Władysław Czartoryski, wiedząc, że cesarz Napoleon wystąpił do Piusa IX-go z prośbą o wstawienie za Polską, napomknął warszawskim naczelnikom powstania, że byłoby rzeczą dobrą i przez samą przyzwoitość nakazaną, aby i oni odezwali się do głowy Kościoła i zaznaczyli swe katolickie stanowisko. Bądź co bądź, czy taki, czy inny był początek adresu Rządu narodowego do papieża, dość, że został on zredagowany w języku łacińskim, w formie krótkiej, ale przyznać należy nieco banalnej. Wspomniawszy o tem, że naród polski „pozbawiony

¹⁾ J. Kluczek, Etudes, 188.

wolności i najdroższego sercu ludzkiemu przywiązania do wiary przodków i miłości ojczyzny“, porwał znowu za broń i wśród krwi, zgłiszczy, jęku rannych, „dobijanych barbarzyńsko na polu bitew“, zaprzysiął sobie zwyciężyć lub zginąć. „Ojcowie nasi, kończy się ta odezwa, przez długie lata własnymi piersiami zasłaniali Europę od azjatyckiej dziczy, a namiestnicy Chrystusa, poprzednicy Twoi, Najświętszy Ojcie, błogosławieństwem swoim umacniali ich w męstwie, w wytrwałości i w wierze. My dzisiaj, potomkowie tych chrześcijańskich rycerzy, idący również na ten śmiertelny bój z tą samą w gruncie dziecą, obłudnie tylko w formy cywilizacji ubraną, w obronie tychże samych świętości naszych, wiary i swobody, mający waleczyć i zginąć, kornie zginamy przed Tobą kolana, wołając: Ojcie Najświętszy błogosław Narodowi Polskiemu“¹⁾.

Odezwę tę przesłano do Krakowa z poleceniem, aby dla wręczenia jej Ojcu św. wyruszył do Rzymu albo Adam hr. Potocki, albo książę Leon Sapieha. Potrzebne dokumenta i kredytywy zostały dla jednego z tych panów dołączone. Ale obaj oni, z powodów bliżej nam nieznanych, zaszczytnej tej misji nie przyjęli, i skończyło się ostatecznie na tem, że adres powyższy wręczył Ojcu św. na osobnem posłuchaniu książę Władysław Czartoryski.

Jednocześnie kiedy cesarz Franciszek Józef zapewniał głowę Kościoła katolickiego o swej szczerzej życzliwości dla „nieszczęśliwego narodu polskiego“, administracja austriacka, a zwłaszcza policja była w stosunkach najtkliwszej serdeczności z władzami rosyjskimi. Pan Merkl, prezydent administracji cywilnej w Krakowie (tak się tytułował), a właściwie naczelnik policji tajnej, prowadził nieustanną korespondencję z margrabią Pauluccim, znanym nam już szefem takiejże policji w Warszawie, a hr. Mensdorf-Pouilly we Lwowie nie omieszkiał zawsze uwiadamiać władz rosyjskich o mającym wkroczyć w ich

¹⁾ Adres ten czytać można w całości u *Gillera*, *Historia II* 408 i w „Wydawnictwie materiałów do historii powstania“ T. 61.

granice, oddziale powstańczym. Jeżeli wierzyć można niektórym podaniom¹⁾, to o wyprawie generała Wysockiego pod Radziwiłłów, komendanci rosyjscy wcześniej byli uwiadomieni przez hr. Mensdorffa, który w tym względzie okazywał dziwną co najmniej skwapliwość i to w chwili, gdy minister austriacki, p. Rechberg posyłał noty do Petersburga, domagające się ustępstw dla „nieszczęśliwej Polski“. Urzędnicy austriaccy bardzo często udawali się z Galicji do Królestwa z wiadomościami do władz rosyjskich, a jednocześnie przyjmowali i osłaniali swoją opieką szpiegów, przybyłych z Warszawy. Kawaler Tęgoborski, który z zarządzającego kancelaryą dyplomatyczną W. ks. Konstantego w Warszawie, przeszedł w lipcu na stanowisko naczelnika tajnej policji po usuniętym Pauluccim, posłał z gorącą rekomendacją do p. Merkla, niejakiego doktora Hermanni, który podjął się wysledzić członków tajnego Rządu narodowego. „Okazałem wszelką gotowość, by mu dopomódz jak najskuteczniej“, pisał p. Merkl w odpowiedzi na tę rekomendację²⁾. O tych stosunkach p. Merkla z policją rosyjską wiadano powszechnie, zwłaszcza, że niektóre jego listy do Paulucciego dostały się do rąk polskich i skorzystano z tego, by je ogłosić w dziennikach zagranicznych. Gdy na tę okoliczność zwrócił uwagę ministra Schmerlinga jeden z deputowanych polskich, minister oburzony przyrzekł położyć koniec temu skandalowi, jak się wyraził; jakoż we wrześniu wysłano rozkaz do Krakowa, ażeby policja tamtejsza, wstrzymała się od „poufnych stosunków“ z policją warszawską, a władze pograniczne ażeby odtąd nie donosiły Rosyanom o ruchach powstańczych, ale żeby uwiadamiały tylko o tem zwierzchność we Lwowie i Krakowie. Ta ostatnia jednak w niczem nie zmieniła swego postępowania. Pan Merkl podawnemu był w najczulszych stosunkach z naczelnikiem policji warszawskiej, któremu usiłował jak najszczerzej dopomagać. Wy-

¹⁾ De la politique de l'Autriche dans la question polonaise, p. 13.

²⁾ Loc. cit. 30.

sylali oni sobie nawzajem agentów i szpiegów, komunikowali raporta, przygotowywali zasadzki, żeby przejmować korespondencye Rządu narodowego i starali się gorliwie o wykrycie jego członków. Z Warszawy przychodziły bardzo często wskazówki, że ten i ów ma blizkie stosunki z rządem tajnym i obaj panowie, tak Merkl jak i hr. Mensdorff-Pouilly śpieszyli z gorliwością, godną zaiste lepszej sprawy, wykonywać polecenia policji rosyjskiej.

W sferach powstańczych wiadano o tem wszystkim doskonale i skarżono się nieraz na to w Wiedniu, co jednak do niczego nie doprowadzało, zwłaszcza, że władze powstańcze i ludność w Galicyi nieraz zbyt nieostrożnie sobie postępowała. W Krakowie utworzyła się nawet tajna organizacya narodowa, która dopuszczała się zabójstw politycznych¹⁾. W czerwcu na ulicy św. Jana zamordowano sztyletem niejakiego Siatkowskiego, agenta policyjnego; d. 20 lipca znaleziono w ogrodzie botanicznym ciało znanego szpiega policyjnego, Powroźnickiego, przebite dzięsięciu pchnięciami sztyletu; w sierpniu poza tymże ogrodem natrafiono na nadpsute już ciało jakiegoś mężczyzny, ugodzonego nożem w krzyż i brzuch. We Lwowie w czerwcu zamordowano jakiegoś nieznanego i wrzucono do stawu Pełczyńskiego. Rozsyłano listy z pogrózkami, jednym słowem krwawy terrorizm i tu w Galicyi się rozszerzał.

Najważniejszym jednak było zabójstwo Leopolda Kuczyńskiego, radcy sądu krajowego karnego we Lwowie, dokonane d. 28 października. Narobiło ono ogromnej wrzawy nie tylko w Galicyi, ale w całej Europie i wywo-

¹⁾ S. Koźmian, Rzecz o r. 1863, I, 197, opowiada, że dwu majstrów stało na jej czele. »Na Szewskiej ulicy, w piwnicy, była kaplica tego spisku, czarno wybita, w której naczelnicy odbierali przy sięgę. Alfred Szczepański, mianowany w łecie przez komisarza Rządu narodowego, Habichta, naczelnikiem miasta Krakowa po Aleksandrowiczu, zwiedził tę kaplicę i rozwiązał ową organizacyę osobnym dekretem; nie usłuchala, dalej istniała; ona w części urządziła w Krakowie mordy domniemanych szpiegów i zdrajców«.

łało powszechne oburzenie. Kuczyński prowadził najważniejsze procesy polityczne, z więźniami obchodził się brutalnie, wielu maltretował, bił i wymyślał. Aresztowanemu ks. Adamowi Sapiesze kijem pod nosem wygrażał¹⁾. Czuł on dobrze znaczenie swego postępowania, bo nieraz żartem znajomych swoich, o których wiedział, że należą do powstania, zapytywał czy nie mają dla niego stryczka w pogotowiu? Na kilka dni przed śmiercią jego, w tajnym piśmie „Prawda“²⁾, ukazał się przeciw Kuczyńskiemu namiętny artykuł, w którym nieznany autor mówił, że taki człowiek w innem, energiczniejszym społeczeństwie dawnoby już nie żył. Czy to był rodzaj zwiastuna śmierci, czekającej Kuczyńskiego, czy nie — powiedzieć nie umiemy, dość, że d. 28 października, wieczorem, w chwili gdy Kuczyński opuściwszy biuro, przechodził przez plac „Castrum“ zwany, jakiś człowiek zadał mu z tyłu sztyletem cios tak

¹⁾ Kuczyński był typem, na szczęście już wygasłym, urzędnika austriackiego z doby dawniejszej. Służył on poprzednio w wojsku jako kapitan i audytor pułku arcyksięcia Ludwika, najprzód we Włoszech a potem w Vorarlbergu i nakoniec od r. 1851 do 1854 w Wiedniu przy sądzie wojennym. W r. 1854 porzucił służbę wojskową i jako radca sądu ziemskiego przybył do Presburga, a od r. 1861 przeniesiony został do Lwowa, gdzie go śmierć spotkała. Był on Polakiem rodem ze Lwowa: (Czytaj list jego żony, Eugenii Kuczyńskiej, w »Lemberger Zeitung« z d. 6 listopada 1863 r.)

²⁾ S. Koźmian loc. cit. I, 199, utrzymuje że »piśmko to prawdopodobnie drukowane było we Lwowie«. Nie wiemy na czem p. K. opiera swe przypuszczenie, ale zaznaczyć musimy, że w Warszawie pod redakcyą Władysława Sadowskiego wychodziło także piśmko pod tym tytułem, odbijane w tajnej drukarni na Wilejkiej ulicy. Za artykuł skreślony przez pisarza, znanego później pod pseudonimem Alkara, p. t. »Powstanie i dyplomacya«, dziennik ten otrzymał od Rządu narodowego ostrzeżenie, którego rezultatem było, że »Prawda« przestała wychodzić. Artykuł rzeczony ostrzegał przed interwencyą dyplomatyczną, twierdził, że ona skończy się na niczem i że należy tylko liczyć na swe siły. Czy w »Prawdzie« warszawskiej był pomieszczony artykuł przeciw Kuczyńskiemu, czy też we Lwowie wychodziło piśmko takie pod tym tytułem, rozstrzygnąć nie jesteśmy w stanie.

silny, że sędzia austriacki postąpiwszy parę kroków, padł na ziemię rażony śmiertelnie. Sprawcy morderstwa nie wykryto nigdy, podejrzewano jakiegoś Zalewicza czy Gallowicza, który miał być naczelnikiem rewolucyjnej żandarmerii we Lwowie, ale go nie znaleziono wcale. Władze austriackie twierdziły, że morderstwo to miało charakter polityczny, ale zwierzchność powstańcza uroczyście się tego wypierała ¹⁾, i według wszelkiego prawdopodobieństwa, Kuczyński padł ofiarą zemsty prywatnej ²⁾.

Policya austriacka dość obojętnie na wszystkie te morderstwa patrzyła i tej dziwnej zaiste, obojętności, uderzającym dowodem było zachowanie się po katastrofie, jaka się przydarzyła w Krakowie d. 7 sierpnia. W dniu

¹⁾ »Czas« krakowski z d. 30 października pisze: »Niektóre gazety wiedeńskie doniosły, że zamordowany we Lwowie radca sądu krajowego Leopold Kuczyński, miał poprzednio od rządu rewolucyjnego otrzymać wyrok śmierci, w wykonaniu którego rozkaz tegoż Rządu przez dokonanie morderstwa, wyegzekwowany został. Tymczasem otrzymujemy przez pocztę zawiadomienie w imieniu tegoż Rządu z d. 30 października 1863 r. zaprzeczające temu i dowodzące, że morderstwo to nie było spełnionem skutku wyroku, wydanego przez trybunał rewolucyjny, lecz że miało być wynikiem jakiejś zemsty prywatnej. Zawiadomienie owe, które nawet otrzymać miał minister policyi w Wiedniu, w kopercie ze stemplem pocztowym »Lemberg«, brzmi jak następuje: »Rząd narodowy. Komisarz pełnomocny w Galicyi wschodniej. Występując przeciw nieuzasadnionej pogłosce, jakoby mord dokonany we Lwowie na dniu 28 b. m. na osobie cesarsko-królewskiego radcy Kuczyńskiego, spełniony został na zasadzie wyroku, wydanego przez trybunał rewolucyjny, podaje niniejszem do wiadomości powszechnej: że w Galicyi trybunał rewolucyjny Rządu narodowego nigdy nie istniał i nie istnieje; że radca Kuczyński nie był przez trybunał rewolucyjny w Warszawie ani sądzonym, ani skazanym; że popełnione na jego osobie morderstwo prywatne, wykonane zostało bez wiedzy Rządu narodowego i ustanowionych przezń władz d. 30 października 1863 r.«

²⁾ Książę A. Sapieha w relacyi ustnie nam udzielonej twierdzi, że zabójstwa dokonali jacyś dwaj rzeźnicy warszawscy, za to, że aresztowani i oddani do śledztwa Kuczyńskiemu, byli przezeń strasznie maltretowani. Rzeźnicy owi mieli potem uciec do Paryża i tam widział ich książę Sapieha i rozmawiał z nimi o tem morderstwie.

tym, w godzinach popołudniowych, nagle rozległ się w mieście straszliwy huk i kłęby dymu wzbily się w górę. Okazało się, że wyleciał w powietrze dom Kronosówny na ulicy Teatralnej. W domu tym na pierwszym piętrze, w mieszkaniu panien Janowskich, mieściła się fabryka ładunków dla powstańców. Przez nieostrożność proch się zapalił, dom zmienił w gruzy, zabił na miejscu jedną z panien Janowskich, drugą ciężko poparzył i poranił, tak że w kilka dni zmarła. Prócz nich padły ofiarą tej katastrofy jeszcze trzy osoby; córka jubilera panna Wiatrowiczówna i dwu mężczyzn.

Katastrofa ta silnie zrobiła w mieście wrażenie i zdawałoby się, że jeżeli kiedy, to teraz władze austriackie miały sposobność okazania całej swej surowości, zupełnie zresztą usprawiedliwionej. Tymczasem nie tylko nie okazano jej wcale, śledztwo, jeżeli je przeprowadzono, zachowano w wielkiej tajemnicy, ale nazajutrz policya ogłosiła, przez plakaty, na rogach ulic poprzyklepane, że »smutny ten wypadek dowodzi, z jaką karygodną lekkomyślnością niektóre osoby obchodzą się z prochem strzelniczym, i mienie a nawet życie swoich współobywateli na szwank narażają«. Ponieważ, czytano dalej w odezwie, władza bezpieczeństwa nie jest w stanie zapobiedz takim wypadkom, »przeto Dyrekcya policyi wzywa obywateli i właścicieli domów we własnym ich interesie, ażeby na swoich współmieszkańców wpływali, iżby ci domów ich nie nadużywali (sic) na składy zapasów prochu, z którym nieprzezorne i lekkomyślne obchodzenie się, wielkie nieszczęście może spowodować na miasto, zaledwie powstałe z gruzów, jakimi je zasłał pożar w 1850 r.« Z ogłoszenia tego każdy wyciągnąć musiał i w rzeczy samej wyciągano taki wniosek, że władze nie zabraniają wcale robienia ładunków, ale tylko zalecają, aby przy tej robocie zachowywano konieczne ostrożności.

Z tem wszystkiem od czasu do czasu aresztowano różne osobistości, zwykle jednak takie, które jeżeli brały udział w powstaniu, to nie naczelny, nie kierowniczy. Wię-

ziono np. przez jakiś czas generała Kruszewskiego, pp. Chrzanowskiego, Władysława Bentkowskiego, znanego nam szefa sztabu Langiewicza, hr. Stefana Zamoyskiego, Dra Ziemialkowskiego, hr. Stanisława Tarnowskiego, Rogawskiego, historyka Szujskiego i w. i. Najważniejsze jednak i najgłośniejsze było uwięzienie ks. Adama Sapiehy. Wiemy już jak czynną i dominującą rolę odgrywał ten ostatni w sprawach powstania w Galicyi wschodniej, jak nie tam bez niego i poza nim zrobić się nie mogło; wiemy, że formował oddziały, że parokrotnie sam z karabinem w ręku uwijał się na polu bitwy z nieprzyjacielem. Władze austriackie od dawna wiedziały o tem i bacznie zwracały uwagę na działalność ambitnego i niezwykle energią obdarzonego ks. Adama. Jeszcze w kwietniu, Mecsery, minister policyi austriackiej pisał do gubernatora hr. Mensdorffa-Pouilly, że dowiedział się od ambasadora rosyjskiego, jakoby ks. Sapieha sztyftował oddział powstańczy pod wodzą Jordana, i pytał: „czy nie możnaby znaleźć jakiego pretekstu do aresztowania ks. Sapiehy?”¹⁾ Na to Mensdorff-Pouilly z perfidy, przypominającą ubiegłe czasy administracyi austriackiej, odpowiadał, że „pretekst łatwo znaleźć, ale w każdym razie lepiej będzie, ażeby rzecz dojrzała. Jeżeli wyprawa przejdzie do skutku, to znajdzie Rosyan przygotowanych, a wówczas odpowiedzialność ks. Sapiehy będzie o wiele cięższą“. Czekano więc z tem parę miesięcy i skoro owa „rzecz dojrzała“, w d. 9 lipca, po kilkogodzinnej rewizyi w pałacu, aresztowano go i wtrącono do więzienia, gdzie, jakśmy wspomnieli, Kuczyński surowo i brutalnie z tak dostojnym więźniem się obchodził. Aresztowanie to wywarło ogromne wrażenie tak we Lwowie, jak i w całym kraju i zagranicą. Przez cały czas trwania rewizyi w pałacu, od godz. 3-ej do 7-ej po południu, tłumy zapełniały ulicę, oczekując na rezultat. Dzięki pieniądзом i poświęceniu swej matki, ks. Sapieha nieba-

¹⁾ De la politique de l'Autriche i t. d. Anneksy p. 29.

wem uciekł z więzienia¹⁾, i przez Rumunią pojechał do Paryża, gdzie przy ostatnich drganiach powstania, odegrał jeszcze dość wybitną rolę.

Taką dwulicową politykę prowadził względem powstania rząd austriacki, pełną wahań i odcieni, będących następstwem braku decyzji stanowczej. Niemniej przeto, tak w oczach wybitniejszych osobistości w Galicyi, jak i całego kraju, liczone bardzo wiele na Wiedeń i miano nadzieję, że ostatecznie poda on pomocną rękę Polsce. W samym Rządzie narodowym, wobec interwencji dyplomatycznej, toczyły walkę wpływy i widoki najróżnorodniejsze. Rząd ten, bądź co bądź wyszły z żywiołów rewolucyjnych i demokratycznych, nie bardzo wierzył w zbrojną pomoc państw monarchicznych, i wahał się jaką wobec interwencji przyjąć postawę. Uczucia, przekonania, pociągały go raczej ku żywiołom ludowym, rewolucyjnym, u których sądził, że prędzej znajdzie pomoc dla Polski, jak wśród monarchów. Zaszły przytem wypadki, które go w tym kierunku popchnęły. W maju jeszcze otrzymał on wiadomość, że patryoci węgiersey, a raczej stronnictwo rewolucyjne na Węgrzech, pragnie za granicami tychże utworzyć legion węgierski, który miał nieść pomoc powstaniu polskiemu. Początkowo legion miał się składać z 5.000 ludzi, z czasem jednak, odpowiednio do okoliczności obiecywano znacznie go powiększyć. Utrzymanie legionu Węgrzy brali na siebie, nie żądając dla niego ani nazwy, ani chorągwi węgierskiej²⁾. Ta ofiarność i bezinteresowność Madziarów stąd pochodziła, że pragnęli oni

¹⁾ Ks. Sapieha uciekł z więzienia głównie dla tego, że otrzymał wiadomość (bo codziennie otrzymywał raporta o tem, co się w kraju dzieje), że skradziono 600 sztuk broni i ukryto ją w górach Karpackich, dla zamierzonego powstania w Galicyi przeciw Austrii, na wspólną z Węgrami. Uciekł więc, żeby zapobiedz temu i w rzeczy samej zapobiegł, za co kraj i historia głęboko wdzięczną mu być powinna.

²⁾ List Rządu nar. do ks. Czartoryskiego z d. 4 maja (Wydaństwo materyałów V, 181).

wywołania u siebie rewolucyi, którą przy pomocy powstania w Królestwie chcieli rozwinąć i do Galicyi przenieść. W sprawie tej, jak się zdaje, bo takie rzeczy w tajemnicy się robią, maczał także palce rząd rosyjski, by przez zaburzenia na Węgrzech i w Galicyi zneutralizować niebezpieczeństwo wojny ze strony Austrii, i państwo to zmusić do stanowczego działania przeciw powstaniu polskiemu, a zarazem światu wskazać, że powstanie to jest owocem dążeń rewolucyjnych, a nie walką o niepodległość kraju. Wspomnieliśmy już, że w czasie, gdy się w Tuleczy organizowała wyprawa Miłkowskiego, w księstwach Naddunajskich przebywał głośny generał węgierski Türr, i przy pomocy konsula rosyjskiego w Bukareszcie, pana Giersa, przygotowywał wyprawę do Węgier. Türr, jak doniósł w d. 5 czerwca komisarz Rządu narodowego, Jan Majkowski, starał się „o wciągnięcie Polaków, znajdujących się w Tuleczy, i używał do tego imienia Mierosławskiego“, oraz, że „Rosya obiecuje dać wszelką pomoc i armaty“ ¹⁾.

Jakkolwiek Rząd narodowy odrzucił ową, pozornie bezinteresowną, pomoc węgierską i stanowczo oparł się wszelkiemu ruchowi w Galicyi, jednak że wobec wlokącej się akcji dyplomatycznej, wobec śmiesznych sześciu punktów, stawiał pytanie: „od kogo prędzej spodziewać się należy pomocy, czy od konserwatywnego, obecnie istniejącego porządku w Europie, czy od strony przeciwej?“ ²⁾ — i oświadczał, że „bez wahania przyjmie jedno lub drugie, odpowiednio do tego, która z tych pomocy będzie prędszą lub pewniejszą“. Zawiadamiał, że przyjmując dotąd z wdzięcznością, czynione mu przez szlachetnych cudzoziemców propozycje pomocy w formie legionów włoskich czy węgierskich, zastrzegał sobie zawsze, aby podobne oddziały wszedłszy do kraju, nie wywieszały innej, jak polska chorągwi. „Tak postępując, Rząd narodowy przekonać pragnie

¹⁾ Depesza R. N. do ks. Czartoryskiego z d. 12 czerwca (Loc. cit. V, 191).

²⁾ List do Czartoryskiego z d. 4 maja (Loc. cit. V, 181).

dwory europejskie, że ufny w ich współdziałanie, unika kroków, któreby rokowania ich dyplomatyczne lub zbrojną pomoc dla odbudowania niepodległej Polski, utrudnić mogły“. Wszakże, dodawał, „rządy same sobie winę przypisać będą musiały, jeżeli Polska wśród rozpaczliwego boju, który rozpoczęła, zmuszona nieznośnym uciskiem wroga, w którym giną z niesłychanym poświęceniem życia, majątki najdroższych dzieci Polski, a ważą się losy najukochańszej ojczyzny, jeżeli Rząd narodowy zawiedziony w nadziejach spiesznej i skutecznej pomocy ze strony rządów, sięgnie ręką po sojusz z żywiołami, które nie tak skąpo i leniwo ofiarują krajowi czynne współczucia swoje“ ¹⁾. W innym miejscu, w czerwcu, domagał się stanowczego wyjaśnienia postawy mocarstw wobec powstania, gdyż „niebezpieczeństwa z każdym dniem są większe i większe coraz bardziej parcie żywiołów rewolucyjnych, które nam nie dwuznaczną ofiarują pomoc, a którą odkładamy w nadziei na poparcie mocarstw; nie byłoby zaś ani dla nas, ani dla Europy pożądanem, gdyby konieczność zagnęła nas do użycia tej pomocy“ ²⁾.

Wśród tych prądów i tego nacisku żywiołów rewolucyjnych, do których Rząd narodowy, zwłaszcza taki, jaki po zamachu w Zielone świątki przyszedł do władzy, chętniej się przechylał, rozeszła się w początkach czerwca wiadomość, że trzy interweniujące mocarstwa zamierzają domagać się od Rosyi zawieszenia broni, by następnie w zupełnym spokoju rozważyć i załagodzić krwawy zatarg polsko-rosyjski. I rzecz dziwna! środek ten, któryby od razu przerzucił powstanie na stanowisko nie rokoszu przeciw legalnej władzy, ale strony wojującej, nie znalazł uznania w ciasnych i doktrynerskich głowach pp. Dobrowolskich, Kobyłańskich, Malinowskich i innych zamachowiczów, którzy obaliwszy Rząd kwietniowy zajęli jego miejsce i sami nie wiedzieli czego chcą i co robić mają.

¹⁾ Depesza do ks. Czartoryskiego z d. 15 maja (Loc. cit. V, 185).

²⁾ Depesza do ks. Czartoryskiego z d. 7 czerwca (Loc. cit. V, 188).

Uważali oni, że zawieszenie broni w Królestwie kongresowym (bo o niem była tylko mowa), z pozostawieniem Rosyan w fortecach i większych miastach, staćby się mogło dla powstania i sprawy narodowej nader niebezpiecznem. bo „Moskwa skorzystałaby tylko na zwłoce w negocyacyach, dla skoncentrowania i wypoczynku wojska, dla skompletowania swoich przygotowań wojennych“; że „na tak obszernej arenie, na jakiej się walka prowadzi, niepodobna byłoby zapobiedz starciom pojedynczych oddziałów, do czego zawsze nastroczy się sposobność, z której tylko Moskwa by skorzystała i z tym większą siłą rzuciłaby się do przytłumienia ognisk, z których ruch się alimentuje i odbiera kierunek“; że „kierownicy ruchu byliby zmuszeni do jawnego wystąpienia, coby ich wydało na pastwę frakeyi, jakie musiałyby się utworzyć lub rozwinąć w braku regularnej siły rządowej, której funkcyonowanie byłoby jeszcze bardziej utrudnione w pośród zamętu, jakiby powstał z powodu mniemanego tryumfu“; że nakoniec „Moskwa znurtowałaby kraj cały swoimi agentami, podburzałaby scysye, żeby w chwili dogodnej ruch cały z większą pewnością pognębić“¹⁾. Domagali się więc, z krzyżącym niepojmowaniem położenia, zupełnego wyjścia nieprzyjaciela z kraju, gdyż tylko wtedy byłaby możność nie wzmocnienia powstania przez organizację wojenną jego sił, ale „zorganizowania sprężystego rządu jawnego“, w którymby ci panowie oczywiście pierwszą rolę odgrywali. Twierdzili, że „w razie konieczności pozostania Moskali w kraju, rozciągnięcie zawieszenia broni do prowincyi zabranych, mogłoby niejako kompensować niewątpliwe niekorzyści, jakie dla nas przedstawia zawieszenie broni“. Tak mówiąc zapominali samozwańczy naczelnicy, że „w prowincyach zabranych“ powstania już w tej porze nie było, że na Litwie i Białorusi skończyło ono pod ciężką ręką Murawiewa Wieszatela, że na Rusi wołyńskiej i ukraińskiej, już od tygodnia ani jednego powstańca zbrojnego nie było; zapomi-

¹⁾ Loc. cit.

nali, że celem rozumnego rządu powinno być dążenie do oswobodzenia od obcego najazdu choć cząstki kraju, któraby z czasem mogła się stać nowym Piemontem nowego Królestwa polskiego całego i niepodległego. Ale doktrynerstwo zaślepiało tych ludzi i szczęściem było, jeżeli to szczęściem nazwać się godzi, że ono zaszkodzić już nie mogło straconej niestety! sprawie.

Ostatecznie warunki przyjęcia zawieszenia broni, Rząd narodowy tak sformułował: 1) Rosyanie zatrzymają w swym ręku miejscowości poprzednio wyznaczone, a to dla uniknięcia wszelkich zatargów z ludnością; 2) wszystkie osoby uwięzione zostaną natychmiast wypuszczone na wolność i wszelkie prześladowanie za sprawy polityczne również ustanie, a wygnańcy powróceni zostaną do ojczyzny; 3) stała komisya międzynarodowa utworzoną zostanie w kraju, czuwać mająca nad ścisłym wykonywaniem warunków zawieszenia broni¹⁾. Były to wszystko pobożne życzenia, boć żądań rządu powstańczego, żadne z państw interweniujących nie brało pod konsyderacyę i akcya władzy powstańczej podobną jest do owej żaby z bajki, która widząc, że konia kują, nadstawiała także swą nogę.

Ale nie przestano na tem. W połowie lipca, gdy już noty ks. Gorczakowa były gotowe, Rząd narodowy do swych wymagań, powyżej przytoczonych, dodał jeszcze konieczność zwołania sejmu polskiego, któryby w czasie zamierzonego zawieszenia broni, o którym nikt na seryo nie myślał, zdecydował ostatecznie o losach ojczyzny. Żądanie to swoje członkowie Rządu tajemnego motywowali w ten sposób: 1) że wskazuje zaufanie Rządu w usposobienie narodu; 2) że sejm tylko nieznanemu Rządowi cechę legalności wobec obcych zapewnia, inaczej bowiem Rząd ten nie mógłby być uznanym przez mocarstwa jako przemawiający w imieniu narodu i wyrażający jego wolę; 3) że Rząd z natury swej będąc tymczasowym, winien się

¹⁾ Depesza Rządu nar. do ks. Czartoryskiego z d. 10 lipca (Loc. cit. V, 207).

oprzeć na powadze, która znaleźć musi powszechne uznanie; 4) nakoniec, że tylko przez odwołanie się do sejmu, Rząd teraźniejszy może uniknąć zastawionej przez Moskwę matni, przyjęcia sześciu propozycji¹⁾. Książę Władysław Czartoryski, który jako agent Rządu powstańczego, miał te żądania przedstawić cesarzowi Napoleonowi, zwrócił uwagę na niemożliwość ich wykonania, zwłaszcza co do sejmu, o którym nikt nie mówił, którego żadne z mocarstw interweniujących nie domagało się, którego zwołanie zresztą w kraju, tak do głębi wzbudzonym, jakim była wówczas Polska, przedstawiało tysiące nieprzełamanych trudności i tysiące niebezpieczeństw. Uwagi te przyjęto w Warszawie dobrze, uznano ich słusność i wywinęto się z dzwaczego pomysłu frazesem, że „kwestya sejmu jest raczej rzeczą efektu jak praktycznego znaczenia, i nie byłoby ze szkodą sprawy zarezerwować ją sobie na teraz jako ustępstwo do uczynienia; rzeczywiście bowiem sejm tylko przy regularnej administracji narodowej, a nie przy obecności Moskali w kraju, z pożytkiem zwołany być może²⁾. Więcej też mowy o sejmie nie było, ale już samo to żądanie świadczy jak fałszywie pojmowano sytuację ówczesną i jak dalece kierownicy powstania bez dojrzałego namysłu działali.

Takie było położenie i takie stanowisko zajmował Rząd narodowy wobec interwencji dyplomatycznej, gdy nakoniec ukazała się niecierpliwie oczekiwana odpowiedź gabinetu petersburskiego na noty trzech mocarstw. Tym razem ks. Gorczakow nie zwlekał z tą odpowiedzią, i ostre, zjadliwe, pełne finezyi pióro p. Hamburgera, wygotowało ją w ciągu niecałego miesiąca. Pora roku już znacznie była posunięta i rząd rosyjski nie potrzebował obawiać się wojny przed zimą; stąd ten pośpiech niezwykle w kancelarii rosyjskiej. Z trzech not, wysłanych jednocześnie pod d. 13

¹⁾ Depesza do ks. W. Czartoryskiego z d. 12 lipca (Loc. cit. V, 210).

²⁾ Loc. cit.

lipca, najdłuższą i najbardziej umotywowaną była nota, wystosowana do gabinetu angielskiego, na ręce posła rosyjskiego barona Brunnowa. Ks. Gorczakow w nocy tej, wogółności w tonie ostrym i gniewnym skreślonej, nie zaprzeczał wcale ośmiu mocarstwom, podpisanym na uchwałach kongresu wiedeńskiego, prawa tłumaczenia z własnego punktu widzenia tychże uchwał, ale zarazem zwracał uwagę na to, że prawo to w zasadzie, jak doświadczenie przekonało, nie prowadzi do żadnego rezultatu; że jeżeli rząd rosyjski zgodził się na dyskusję w sprawie polskiej w granicach traktatu 1815 r., to tylko dlatego, że pragnie pokoju i że „w zamiarach, którymi J. C. Mość, cesarz Aleksander przejęty jest względem swych poddanych polskich, niema żadnych powodów, któreby kazały unikać ich wyświeatlenia“. Twierdzi następnie z zupełną słusnością, że żądane przez Anglię ustępstwa dla Polski (sześć punktów), są albo już wprowadzone, albo uchwalone z inicjatywy rządu rosyjskiego. Ze zgryźliwą ironią, właściwą pióru p. Hamburgera, nota rosyjska powiada, że minister angielski przekonany jest, iż przyjęcie przez Rosyę owych sześciu punktów, doprowadzi do zupełnego i stałego uspokojenia Polski. „Nie możemy, powiada, podzielać tej opinii bez pewnych zastrzeżeń. Według nas, każdą reorganizację Królestwa winno poprzedzić przywrócenie porządku w kraju. To jednak zależnem jest od pewnego warunku, na który zwróciliśmy już uwagę rządu Jej K. Mości Brytańskiej, a który nie tylko nie został wykonany, ale nawet nie jest dotknięty w depeszy lorda Russela; chcemy tu mówić o poparciu materyalnem i zachęcie moralnej, jaką powstanie znajduje za granicą“. Utrzymywał więc, że gdyby tego poparcia nie było, powstanie samo przez się dawnoby uciło; kładł nacisk na to, że rząd angielski czerpie swe wiadomości o powstaniu ze źródeł mętnych i fałszywych, że wiadomości o okrucieństwach „walecznych żołnierzy rosyjskich, którzy w Polsce pełnią ciężki obowiązek z poświęceniem i zaparciem“, są kłamliwe; że „oszczerstwa i zniewagi“, rzucane na tych „walecznych żołnierzy“, cała

Rosya odczuła z głębokiem oburzeniem. „Gdyby lord Russel (pisał pan Hamburger) był dokładnie poinformowany o tem, co się dzieje w Królestwie Polskiem, wiedziałby, tak jak my wiemy, że gdzie tylko rokosz usiłował postawić na swem czele naczelnika jawnego, wszędzie został zgnieciony. Masy są mu obce; ludność wiejska nieprzyjawną mu jest nawet, bo zaburzenia rujnują klasę pracującą. Powstanie trzyma się dzięki tylko terroryzmowi bezprzekładnemu w historii. Bandy rekrutują się głównie z żywiołów obcych krajowi; gromadzą się one w lasach, rozbiegają się przy pierwszym starciu, żeby znowu zebrać się gdzieindziej. Gdy są mocniej naciśnięte, przechodzą granicę, by wkroczyć do kraju w innym miejscu. Politycznie rzeczy biorąc, jest to występ teatralny w celu oddziaływania na Europę“. W takim położeniu, sam lord Russel zapewne uzna, że środki przezeń zalecane, z trudnością mogą być urzeczywistnione. „Większość ich jest już postanowioną; stan kraju nie pozwalał dotąd na ich wprowadzenie i dopóki przyczyna ta istnieć będzie, dopóty taki jej skutek być musi“; wreszcie gdyby nawet były wprowadzone, nie osiągnęłyby celu właściwego, t. j. uspokojenia kraju. „Gdyby lord Russel bacznie śledził opinie prasy, oddanej interesom rokoszu polskiego, przekonałby się, że powstańcy nie żądają ani amnestyi, ani autonomii, ani też reprezentacyi mniej lub więcej zupełnej. Nawet niepodległość całkowita Królestwa, jest dla nich tylko stopniem do osiągnięcia ostatecznego celu ich pragnień. Celem tym jest panowanie nad prowincjami, w których ogromna większość ludności jest rosyjską z pochodzenia i wiary; jednym słowem Polska oparta o dwa morza, co pociągnęłoby z konieczności za sobą odzyskanie prowincyi polskich, należących do państw sąsiednich“. Nie wdając się w ocenę tych dążeń, ks. Gorczakow twierdzi, że ich rezultatem będzie „ogólna wojna, której żywioły rewolucyjne, rozrzucone we wszystkich krajach i szukające tylko sposobności przyjaznej, by wzburzyć Europę, nadadzą charakter nader ostry“, i że ma on, ks. Gorczakow, „za wiele

ufności w prawość zasad ministra angielskiego, by mógł przypuścić, że tenże pochwała cel tak niezgodny z pokojem i równowagą europejską“. Wyjaśnwszy następnie, oczywiście z punktu widzenia rosyjskiego, ten ustęp uchwały kongresu wiedeńskiego, który mówi o autonomii i reprezentacyi Królestwa polskiego, przechodzi do kwestyi zawieszenia broni. „Gdyby chciało określić, pisze p. Hamburger, z kim mają być prowadzone co do tego rokowania, jaki charakter ma mieć *statu quo*, kto ma czuwać nad jego wykonaniem, to spostrzeżono by zaraz, że prawo publiczne nie może być stosowane do położenia, które jest jego najwyraźniejszym pogwałceniem. J. C. Mość winien ze względu na swą wierną armię, która walczy o utrzymanie porządku, ze względu na pokojowo usposobioną większość Polaków, cierpiących z powodu tych opłakanych zaburzeń, ze względu na Rosyę, która zmuszoną jest ponosić dotkliwie ofiary, chwycić się energicznych środków dla stłumienia tych zaburzeń. Jakkolwiek pożądanem jest położenie końca rozlewowi krwi, to jednakże cel ten wtedy tylko może być osiągnięty, gdy powstańcy broń złożą, powierzając się łaskawości monarchy. Wszelka inna kombinacya nie da się pogodzić z godnością naszego najdostojniejszego pana i uczuciami narodu rosyjskiego“. Co się zaś tyczy konferencyi ośmiu mocarstw, podpisanych na kongresie wiedeńskim, na której to konferencyi wzięto by pod deliberację sześć punktów, jako podstawę dalszych narad, to pomysł ten wydał się wicekanclerzowi rosyjskiemu zbyt trudnym do wykonania, a nadewszystko zgola nieużytecznym. „Jeżeli bowiem, pisał, środek ten (sześć punktów) jest w stanie uspokoić kraj, to konferencya nie będzie miała o czem rozprawiać. Gdyby zaś środek ten miał być podstawą do przyszłych narad, to byłoby to prostem mieszaniem się obcych mocarstw do najwewnętrzniejszych szczegółów administracyjnych, mieszaniem się, na które żadne wielkie mocarstwo zezwolić nie może“. Wicekanclerz rosyjski był więc zdania, że należy pod tym względem trzymać się tej drogi, jaką postępowano w r. 1815. Wtedy bowiem uregu-

lowanie szczegółów administracji wewnętrznej w ziemiach polskich, zostawiono porozumieniu się trzech państw rozbiorowych, co też uskuteczniło przez specjalną umowę trzech dworów d. 3 maja 1815 r., a następnie szczegóły te uzupełniono przez konwencye specjalne, ilekroć wymagały tego okoliczności. Wobec tego Rosya gotowa jest natychmiast wejść w porozumienie w tej kwestyi z gabinetem berlińskim i wiedeńskim.

Taką była odpowiedź rosyjska na notę angielską. Rosya oskarżała w niej Europę, że tylko dzięki jej poparciu powstanie polskie istnieje; zaprzeczała okrucieństwu żołnierzy rosyjskich i groziła oburzeniem narodu rosyjskiego; odrzucała stanowczo propozycję zawieszenia broni, twierdziła nie bez słuszności, że zawarte w głośnych sześciu punktach żądania, są albo wprowadzone już w wykonanie, albo postanowione i że ich wprowadzeniu przeszkadza tylko rokosz polski; uznawała kwestję polską za sprawę wewnętrzną Rosyi i zgadzała się na konferencję w tej sprawie, ale tylko z Prusami i Austryą. Ton odpowiedzi, zaznaczamy to jeszcze raz, był wyniosły, szyderczy i zjadliwy. Niedawna pokora i łagodność, w kwietniu, gdy Rosya nie była jeszcze gotową do wojny, gdy nie wzbudziła jeszcze sztucznego, urzędowego patryotyzmu w masach rosyjskich, gdy pora roku była wczesną, teraz, gdy miała pół miliona żołnierzy pod bronią, gdy lato dobiegało już końca, zmieniła się w postawę dumną, wyzywającą i szyderczą. Taka zmiana tonu nie była zapewne ani szlachetną, ani godną wielkiego mocarstwa i wielkiego narodu, za jaki Rosyanie lubią się uważać, ale była wybitnym wyrazem tej polityki bizantyńskiej, której tajemnicę po upadku Konstantynopola odziedziczyli w pełni dyplomaci rosyjscy i której stale hołdują z niezaprzeczoną zręcznością, wyrobioną w twardej i poniżającej szkole jarzma mongolskiego. Entuzjazm, jaki odpowiedź ta wzbudziła w masach inteligencji i nieinteligencji rosyjskiej, świadczy, jak dalece pod względem uczuć moralnych te masy są zdeprawowane i jak poziome posiadają instynkta.

Nota wystosowana pod tą samą datą 13 lipca do rządu francuskiego, na ręce posła rosyjskiego w Paryżu, barona Budberga, była krótszą, łagodniejszą w tonie i mniej zjadliwą, bo wicekanclerz rosyjski był zwolennikiem przymierza z Francją i bądź co bądź nie chciał rozdrażniać tej ostatniej, w tej zwodniczej nadziei, że wzeźniej czy później, przymierze to, da się doprowadzić do skutku. W zasadniczej swej treści jednakże, nota francuska w niczem nie różniła się od angielskiej. Podobnie jak w tej ostatniej, ks. Gorczakow zapewniał jak najuroczyściej, że tak samo jak mocarstwa interweniujące, pragnie uspokojenia Polski, ale niestety! nie jest to od niego zależnem, gdyż w kraju tym ześrodkowały się wszystkie żywioły rewolucyjne europejskie i przez to kwestyi polskiej nadają charakter kwestyi europejskiej. „Tem więcej, pisał, powinniśmy na ten przedmiot zwrócić uwagę rządu cesarza Napoleona, że jedno z głównych ognisk agitacji znajduje się w Paryżu. Emigracya polska, korzystając ze swych stosunków towarzyskich, utworzyła tam rozległy spisek, mający na celu z jednej strony wprowadzenie w błąd opinii publicznej we Francyi przy pomocy oszczerstw bezprzykładnych, z drugiej przez podsycanie nieporządków w Królestwie, czy to niosąc pomoc materyalną, czy to przez terroryzm tajnego komitetu, a nadewszystko rozpowszechniając pogłoskę o interwencji czynnej zewnętrznej na korzyść najnierozumniejszych dążeń powstania“. Te to wpływy są dzisiaj głównymi źródłami ruchu, który bez nich dawnoby upadł wobec obojętności większej części narodu. „Tam to szukać należy pobudek moralnych, dążących do przedłużenia smutnego stanu rzeczy, którego ukończenia, tak samo jak my, pragnie rząd francuski w imię pokoju i ludzkości“. Wykazawszy następnie, że większość, zawartych w sześciu punktach, koncesyi, w rzeczy samej została udzieloną Polsce, wicekanclerz rosyjski powiada: „Dopóki trwać będą obecne nieporządki, dopóki istnieć będzie nadzieja interwencji zewnętrznej, która jest najgłówniejszą dźwignią powstania, położenie to będzie miało

ten nieunikniony skutek, że z jednej strony powstrzyma wprowadzenie reform, zamierzonych przez rząd cesarski, z drugiej spowoduje odrzucenie ich przez powstańców polskich nawet wtedy, gdy rozszerzone one będą do rozmiarów, wskazanych przez francuskiego p. ministra spraw zagranicznych⁴. Z pewnością sześć punktów nie zmusi powstańców do złożenia broni. „Raczej widzieć oni w nich będą krok naprzód ku stałemu celowi ich nadziei i ich usiłowań, t. j. do zamienienia okazywanego im współczucia na interwencję czynną na korzyść ich najwybujałszych pragnień; widzieć oni będą zatem zachętę do wytrwania w swej obecnej postawie, a wnioski, jakie stąd wyprowadzą, będą wprost przeciwne rezultatowi zamierzonym⁴. Co zaś do zawieszenia broni i konferencji ośmiu mocarstw, podpisanych na kongresie wiedeńskim, to wicekanclerz odrzucając obie te propozycje, robił, niepozbawione złośliwej ironii, uwagi następujące: „Jakkolwiek gorąco pragniemy powstrzymania rozlewu krwi, jednakże z trudnością możemy zrozumieć praktyczną wartość tej kombinacji (t. j. zawieszenie broni). Sądzimy, że i rząd francuski nie małą znalazłby trudność w określeniu charakteru, doniosłości i sposobu prowadzenia rokowań dla oznaczenia *statu quo* wojennego, które przecież nie może istnieć między rządem prawnie ustanowionym, opartym na armii regularnej, a komitetem tajnym, mającym za podstawę terroryzm i zbrodnię, i którego siłę stanowią bandy rokoszan, ukrywające się po lasach. Między tego rodzaju żywiołami, jedna tylko może zająć transakcyę, zgodną z koniecznością porządku, godnością cesarza i uczuciami narodu i armii rosyjskiej, a jest nią: poddanie się powstańców. Gdy to nastąpi, nasz najdostojniejszy monarcha posłucha natchnień swej łaskowości w granicach ścisłej powinności panującego⁴. Odrzucając więc propozycję zawieszenia broni i konferencji ośmiu mocarstw z zasad takich samych, jak w depeszy angielskiej, stawiał natomiast wniosek kongresu trzech państw rozbiorowych i kończył nadzieją, że wyjaśnienia przyjacielskie doprowadzą do porozumienia się z Francją. „Dro-

zne różnice, które dziś nas dzielą, nie są tak znaczne, byśmy mieli stracić nadzieję tego porozumienia się wzajemnego⁴.

Odpowiedź ta była grzeczną, pełną wykwinnej kurtoazji i pod tym względem wybitnie się różniła od angielskiej, ale stanowczo odmowna. Najciekawszą jednak była odpowiedź dana Austrii, zwłaszcza, że poprzedził ją fakt, rzucający jaskrawe światło na perfidy dyplomacy rosyjskiej. Malowała się ona wyraźnie już w samym pomysle konferencji trzech mocarstw rozbiorowych; w pomysle tym bowiem nie szło wcale o samą konferencję, ale o odłączenie Austrii od Francji i Anglii. Niektórzy przypuszczają, że pomysł ten zrodził się w bujnej głowie ks. Bismarcka i że wicekanclerz rosyjski był tylko wykonawcą cudzej myśli¹⁾. Cokolwiekbądź, na kilka dni przed wysłaniem swych odpowiedzi, wicekanclerz rosyjski zakomunikował poufnie treść ich ministrowi austriackiemu hr. Rechbergowi, który ze swej strony, już d. 14 lipca telegrafem uwiadomił ks. Gorczakowa, że propozycję konferencji trzech mocarstw rozbiorowych stanowczo odrzuca, jako przeciwną godności Austrii, będącej w związkach przyjaźni z mocarstwami zachodnimi. Mimo tak kategorycznej odmowy, ks. Gorczakow wysłał swą odpowiedź, skreśloną w tonie pogardliwym, przemawiającą w trzeciej osobie do ministra austriackiego, dającą mu nauki i wskazówki, potępiającą zachowanie się Austrii względem powstania polskiego. Wicekanclerz rosyjski był osobistym Austrii wrogiem, od czasu kampanii krymskiej żywił do niej nieprzejednaną nienawiść i rad był zawsze, gdy mógł jej czem dokuczyć. Stąd ten ton mentorski i pogardliwy i ten chytry, prawdziwie mongolski pomysł, rażący wykwinniejszą umysł oryentalnem prostactwem koncepcji, oderwania Austrii od związku z Francją i Anglią, oparty zresztą na współnictwie rządu rakuskiego w akcie rozbioru, a zatem mającego jakoby jednakże z Rosją interesa wobec kwestyi

¹⁾ J. Kłaczko, Etudes, 186.

polskiej. „Od początku zaburzeń w Królestwie polskiem, pisał ks. Gorczakow, zrozumieliśmy istotne zainteresowanie się, jakie rząd Jego ck. apostolskiej mości okazać musiał wobec wydarzeń, rozgrywających się w jego bezpośrednim sąsiedztwie i mogących oddziaływać na spokój jego prowincyi polskich. Jakkolwiek dotąd powstanie ześrodkowało wszystkie swe usiłowania w Królestwie i jakkolwiek tylko żywiły wywrotowe, przebywające w prowincyach pogranicznych, należących do innych mocarstw, odpływały ku temu ognisku pożaru i przynosiły mu nowy zasilek, to jednak najprostsza przezorność wskazuje, że te opłakane wypadki, jakkolwiek będą miały koniec, muszą w równym stopniu interesować mocarstwa sąsiednie. To też pośpieszyliśmy z zaproszeniem, ażeby gabinet wiedeński porozumiał się z nami. Widzimy z zadowoleniem, że uznał on naszą chęć porozumienia się przyjacielskiego, opartą na interesach wspólnych wobec ewentualności, przewidzianej przez sprawców powstania, którzy, mimo przejrzystej zasłony, jaką pokrywają swe postępowanie, dążą do rezultatów, mogących ostatecznie przynieść nawet uszczerbek całości państwa Jego ck. apostolskiej mości“. Zaznaczywszy następnie, że koncesye zawarte w sześciu punktach, są w trzech czwartych wprowadzone do Królestwa, odrzuciwszy wszelką interwencję zagraniczną oraz konferencję ośmiu mocarstw, uczestniczących w uchwałach kongresu wiedeńskiego, ks. Gorczakow oświadcza, że gotów jest w kwestyi polskiej zawiązać rokowania, ale tylko z Austryą i Prusami, i tak kończy: „... Nasz dostojny monarcha ma zbyt wiele ufności w uczuciach i dążnościach pokojowych Jego C. M. cesarza austriackiego, by nie miał być przekonany, że porozumienie oparte na tej podstawie, doprowadzi do wyników zadość czyniących interesom trzech dworów, pomyślności ich poddanych polskich i względem ogólnym, od których zależy spokój i równowaga Europy“.

Trzy powyższe odpowiedzi, różnorodne w swej formie, ale jednakowe co do treści, wysłane zostały, jakeśmy rzekli d. 19 lipca na ręce ambasadorów rosyjskich przy

trzech dworach zachodnich, z rozkazem odczytania ich właściwym ministrom i zostawienia kopii. Poprzednio jednak, na parę dni przedtem, wicekanclerz rosyjski wezwał do siebie do Carskiego Sioła, d. 17 lipca ambasadora francuskiego ks. Montebello, by mu odczytać swą odpowiedź. Wywarła ona na wysłannika Napoleońskiego jak najgorsze wrażenie; oświadczył więc, że rząd francuski odpowiedź tę uważać będzie nietylko za zgola niewystarczającą, ale nawet za obraźliwą i dążącą do stanowczego i natychmiastowego zerwania¹⁾. Nazajutrz, d. 18 lipca, wicekanclerz rosyjski dał do odczytania swą odpowiedź posłowi angielskiemu, lordowi Napierowi. Ten oświadczył, że „lęka się, że odpowiedź ta uważana będzie w Anglii za chęć zyskania na czasie i oderwania Austrii od związku z mocarstwami zachodnimi; że propozycja wyłączająca w obecnych okolicznościach dwa wielkie państwa od rozpraw w kwestyi, która budzi w nich najżywszy interes, musi być uważana nie tylko za drażniącą, ale nawet za obrażającą; że projekt aby losy Polski zostały złożone wyłącznie w ręce mocarstw, które Polskę rozebrały i dawniej uciśkały, nie budzi zaufania; że w ogólności propozycja ta niema w sobie nic przyjaznego i pokojowego“. Wkońcu lord Napier zadał ks. Gorczakowowi dwa pytania: 1) w jakiej formie i na jakiej podstawie zamierza on prowadzić rokowania zaproponowane Austrii i Prusom? 2) czy zamysła zupełnie wyłączyć Francję i Anglię nawet od udziału w ratyfikacji zobowiązań, powziętych przez trzy mocarstwa, lub czy zamierza przypuścić je w tym samym stopniu, w jakim były przypuszczane do uchwał kongresu wiedeńskiego? Na to ks. Gorczakow odrzekł, że pełnomocnicy Austrii i Prus przybędą do Petersburga, i że uchwały tej konferencji mogą być, podobnie jak na kongresie wiedeńskim zredagowane w formie protokołu lub traktatu, lub w jakim bądź innym kształcie; że podstawą do roko-

¹⁾ Depesza lorda Napiera z d. 18 lipca (La Pologne et la diplomatie, 332).

wań hędą owe sześć punktów, proponowane przez mocarstwa, o ile nie zawierają nic przeciwnego widokom cesarza, jak również inne wnioski, które uzna za stosowne postawić. Co do drugiego pytania, to ks. Gorczakow oświadczył, że decyzje powzięte na konferencji trzech mocarstw rozbiorowych, najhardziej zainteresowanych w sprawie polskiej, zostaną urzędownie zakomunikowane gabinetowi francuskiemu i angielskiemu. Wkońcu wicekanclerz rosyjski oznajmił kilkakrotnie, że nie widzi nic takiego, coby dawało prawo mocarstwom zachodnim mieszania się do spraw wewnętrznych cesarstwa rosyjskiego, którego część stanowi Królestwo polskie. Lord Napier ze swej strony, żywo popierany przez ks. Montehello, przytomnego tej rozmowie, stanowczo twierdził, że mocarstwa te mają prawo interweniować w granicach uchwał kongresu wiedeńskiego, i dał poznać, że ani odpowiedź urzędowa, ani wyjaśnienia, dane przez ks. Gorczakowa, nie mogą być przez rząd angielski uważane za zadawalniające ¹⁾).

Przedewszystkiem jednak szło o to w tej chwili, jak się zachowa Austria wobec propozycji rosyjskiej rozstrzygnięcia kwestyi polskiej przez trzy państwa rozbiorowe. Na rozwiązanie tego pytania nie trzeba było długo czekać. Z niezwykle w rocznikach dyplomacyi austriackiej pośpiechem, bo w parę dni zaledwie po otrzymaniu odpowiedzi rosyjskiej, hr. Rechberg wystosował na ręce ks. Metternicha w Paryżu, w d. 19 lipca, gniewne i bezwzględne odrzucenie propozycji rosyjskiej i odparcie jej insynuacyi, twierdząc, że „rząd cesarski winien kategorycznie co do nich wypowiedzieć swe zdanie wprzód nim porozumie się z Anglią i Francją w kwestyi postawy, jaką przyjąć należy trzem mocarstwom wskutek odpowiedzi rosyjskiej“. „Nie wiem, pisał dalej, jaki zamiar tajemny kierował ks. Gorczakowem w chwili, gdy kreślił swą odpowiedź; ograniczam się na zaznaczeniu, że rzuca ona fałszywe światło na intencye Austrii i stawia ją w położeniu, którego ona

¹⁾ Loc. cit.

przyjąć nie może“. Hr. Rechbergowi szło głównie o to, że ks. Gorczakow przypuszcza jakoby nota austriacka z d. 18 czerwca przewidywała i z góry uznawała odmowę Rosyi co do proponowanej konferencji ośmiu mocarstw, które brały udział w traktacie wiedeńskim 1815 r. i że wicekanclerz rosyjski ustanawia pewien rodzaj współnictwa między prowincjami polskimi cesarstwa austriackiego a krajami „oznaczanymi powszechnie mianem Królestwa Polskiego“, i nakoniec, że rząd rosyjski proponuje porozumienie się w kwestyi polskiej tylko z Austrią i Prusami. „Co do konferencji, pisał hr. Rechberg, depesza nasza z d. 18 czerwca do hr. Thuna zaznacza po prostu fakt oczywisty, że dojście do skutku tej konferencji, zależy od udziału w niej Rosyi. Jasnem jest przecie, że niemożliwem jest rokowanie z Rosyą, jeżeli mocarstwo rzeczzone na to się nie zgodzi; ale stąd wcale nie wynika, hyśmy taką odmowę uważali za dobrą. Przeciwnie, propozycja konferencji, według nas, powinna być przyjętą przez rząd rosyjski. Zresztą poleciliśmy już hr. Thunowi drogą telegraficzną wypowiedzieć się w tym sensie i sprostować błędne tłómaczenie naszej depeszy“. Co do współnictwa interesów Galicyi i Królestwa polskiego, „winniśmy, powiada hr. Rechberg, jak najkategoryczniej odeprzeć wszelką tego rodzaju insynuacyę“; nakoniec co do proponowanego porozumienia się trzech państw rozbiorowych w sprawie polskiej, „oświadczyliśmy w Petersburgu, że zgodność między trzema gabinetami: wiedeńskim, londyńskim i paryskim, stanowi między nimi węzeł, z którego Austria nie może się dziś uwolnić dla oddzielnego układania się z Rosyą“. Takiejże treści depeszę wysłał hr. Rechberg do Londynu.

To szorstkie odrzucenie propozycji rosyjskich, ten pośpiech, powtarzamy, niezwykle w ociężałym i zawsze długo namysławiającym się gabinecie wiedeńskim, miał swe źródło w dwu pobudkach, pierwszorzędnego znaczenia dla Austrii. Właśnie w tej porze zdecydowano się tam po długiem wahanii, na próbę odzyskania dawnego prymatu w Rzeszy niemieckiej, i oczywista rzecz, wobec akoyi tak

poważnej i zamiarów tak daleko sięgających, nie chciano zrażać sobie cesarza Napoleona, ani też pobudzać jego gniewu. W przeddzień podróży cesarza Franciszka Józefa do Frankfurtu, gdzie po staremu chciano by koło głowy Habsburgów skupili się wszyscy królowie i książęta niemieccy, byłoby grubym błędem, gdyby oburzono na siebie sąsiada potężnego i posiadającego jeszcze wówczas w całej pełni urok niezwykłości i przebiegłości dyplomatycznej. Stąd ów ton szorstki i pogardliwy, z jakim odpowiada hr. Rechberg wicekanclerzowi rosyjskiemu, stąd owe wypieranie się wszelkiego współnictwa interesów z Rosją co do posiadłości polskich, współnictwa naturalnego i niewątpliwie istniejącego, stąd ów pośpiech w uwiadomieniu o całej sprawie ministrów francuskich i angielskich. Szło o usposobienie ich dla siebie jak najlepiej, by patrzyli przez palce na huczne i błyskotliwe odwiedziny Frankfurtu i nie przeszkadzali im w niczem. Ale poza tem, odpowiedź hr. Rechberga w niczem nie polepszała losu kwestyi polskiej, i minister austriacki odrzucając pogardliwie propozycję rosyjską, wypierając się z nią wszelkiego współnictwa, nie myślał wcale o doli walczących Polaków i owszem pragnął za jednym zamachem przeszkodzić wszelkim zamiarom dopomożenia nieszczęśliwej Polsce. Wiedział on doskonale, że odpowiedzi ks. Gorczakowa jak najgorsze wywarły w Londynie, a zwłaszcza w Paryżu wrażenie, że tam na seryo poczęto się zastanawiać nad możliwością wojny i mówiono głośno o wysłaniu 60.000 Francuzów do Tryestu, by w połączeniu z takąż siłą austriacką ponieść zbrojną porękę powstaniu polskiemu. Osiągnął też co zamierzał. W Paryżu odpowiedź hr. Rechberga na zuchwałą notę ks. Gorczakowa uważano za dobrą przepowiednię, ale w Wiedniu opowiadano sobie, że minister austriacki zapytany przez kogoś o powód tak niezwykłego pośpiechu, miał odrzec: „Śpieszyłem się bardzo, aby innych opóźnić“.
(*j'ai été très pressé de retarder les autres*).

Ostra odpowiedź hr. Rechberga na insynuacje ks. Gorczakowa, znalazła także gorącą aprobatę w Warszawie,

w sferach kierujących powstaniem. Uznano tam za stosowne skorzystać z przyjaznej okoliczności i nie tylko wyrazić swoje uznanie dla tej odpowiedzi, ale zarazem wyjaśnić stosunek powstania do Austrii. W tym celu, w d. 10 sierpnia wygotowano notę na ręce ajenta dyplomatycznego w Wiedniu, hr. Leona Skorupki, z poleceniem, aby o treści jej uwiadomił „kogo należy“. Rząd narodowy pisał więc, że depesza hr. Rechberga „wywołała tu powszechne zadowolenie“; że „w depeszy tej radzibyśmy widzieć początek nowej polityki, w której Austria znalazłaby swe bezpieczeństwo, a Polska swą niepodległość“. Wszakże depesza ta w jednym punkcie „zawiera myśl nie dosyć przejrzystą“, a mianowicie kiedy odrzuca porównanie między Kongresówką a Galicyą, co tłumaczyć można jako usunięcie Galicyi z pod rękoi traktatu wiedeńskiego, co pociągnęłoby za sobą usunięcie także z pod tegoż traktatu Litwy i Rusi, „co jak w punkcie prawa jest fałszem, tak w punkcie czynu, największą dla nas krzywdą“. To pojmowanie słów hr. Rechberga, zdaniem naszym, było błędnem; nie usuwał on wcale Galicyi z pod rękoi traktatu wiedeńskiego, ale odrzucał wszelkie współnictwo interesów austriackich i rosyjskich w kwestyi polskiej. „Mimo to wszystko, czytamy dalej, Rząd narodowy nie zapoznaje (tak!) bynajmniej istotnej łączności pomiędzy dobrze rozumianymi interesami Polski a interesami Austrii“. „Jeżeli dziś byłoby przedwczesnem wchodzić w stanowcze deklaracje, dopóki zasada niepodległości naszej nie jest przez Austryę uznana, a władze galicyjskie niejednokrotnie tak nieprzyjazną względem powstania przybierają postawę, Rząd narodowy uznaje przecież w zasadzie, że w przyszłości dobre porozumienie między Polską a Austryą powinno być podstawą polityki stron obu“. Wkońcu nota poleca hr. Skorupce, ażeby dał komu należy następujące zapewnienie, że „Rząd narodowy zamykając obecną walkę w granicach zaboru moskiewskiego, zostaje przy tym programie. W plany Rządu narodowego nie wchodzi bynajmniej wywołanie poruszenia w Galicyi, nie ma też Rząd

narodowy na celu wywołania zmiany stosunku pomiędzy rządem austriackim a mieszkańcami Galicji“ — że „wszelkie działania przedsiębrane w Galicji, ograniczają się tylko do niesienia pomocy powstaniu w Zaborze moskiewskim prowadzonemu; a tem samem nie są bynajmniej skierowane przeciw rządowi austriackiemu“; że „egzekucye wymierzone w Galicji uważać należy za wpływ osobistego rozdrażnienia, jakie w mieszkańcach wywołuje nieprzyjemne dla powstania postępowanie władz galicyjskich i szczególnie obecność licznych agentów moskiewskich, którzy niewątpliwie dla Austrii niemniej będą szkodliwymi, jak dla Polski, niema bowiem wątpliwości, że Rosya pożądlwie pogląda na Galicję, jak na swą zdobycz, i gdyby Polsce nie powiodło się w dzisiejszej walce, Austriya opłacałaby to utratą panowania w Galicji“; że „im powstanie będzie silniejsze w Kongresówce, tem mniej trudności Austriya mieć będzie w Galicji“; że „zmiana w postępowaniu władz galicyjskich na korzyść powstania zrobiona, niezawodnie nader pomyślnie oddziaływałaby na stosunki galicyjskie“. Rząd polecał hr. Skorupce zapewnić „kogo wypadła, że im bardziej Polska niepodległa dawałaby gwarancji dla jej prawdziwych interesów, a kwestye jakie mielibyśmy z Austrią do załatwienia, nie inaczej jak w sposób pojednawczy załatwione byćby mogły i powinny“¹⁾.

Niebawem jednak zaszedł nowy wypadek, który ponownie przekonać miał tak rząd Napoleona, jak i Polskę, jak dalece zwodniczymi są wszelkie nadzieje, oparte na Austrii. W d. 3 sierpnia t. j. w chwili, gdy toczyły się rokowania między trzema interweniującymi mocarstwami, odbył się głośny i powszechną podówczas zwracający na siebie uwagę, zjazd cesarza Franciszka Józefa z królem pruskim w Gasteinie. Temu ostatniemu towarzyszył Bismarck, co świadczy, że ze strony pruskiej przywiązywano wielką wagę do tego spotkania się dwu monarchów, i że

¹⁾ Depesza Rządu narodowego z d. 10 sierpnia (Wydaw. mat. V, 241).

będą tam rozbierane najważniejsze kwestye chwili. Jakoż w rzeczy samej mówiono tam bardzo wiele o sprawach niemieckich i polskich, a Bismarck użył wszystkich zasobów swego bystrego i wynalazczego umysłu, by przekonać cesarza Franciszka Józefa o solidarności trzech państw rozbiorowych w kwestyi polskiej. Popierał go w tym względzie bardzo gorąco sam król pruski. Oświadczył on cesarzowi Franciszkowi Józefowi, że wprzód nim będzie zrobiony jakikolwiek krok w kwestyi niemieckiej, należy dojść do ścisłego porozumienia się Prus i Austrii w innych sprawach, a mianowicie w sprawie polskiej. Usiłował więc w jak najgroźniejszych barwach przedstawić niebezpieczeństwo, jakie wskutek postawy Austrii w kwestyi polskiej, zagraża tak samej monarchii Habsburgów, jak i pokojowi europejskiemu. Oznajmił, że upoważniony jest przez cesarza Aleksandra do oświadczenia, że Rosya pragnie, ażeby przywrócone zostały dawne serdeczne stosunki między obu mocarstwami. Ponure widmo „świętego przymierza“, tak ciężko pamiętne ludom Europy, zdawało się ukazywać swą szatańską twarz z poza malowniczych gór tyrolskich, ale widok ten nie pociągnął ku sobie prostej i uczciwej duszy cesarza Franciszka Józefa. Odrzekł, że interesa Austrii nie pozwalają mu na zmianę dotychczasowej polityki; że w ręku Rosyi spoczywa pokojowe załatwienie sprawy polskiej przez szereg dobrze obmyślanych ustępstw. Dodał wreszcie, że przyłączył się do akcji dyplomatycznej mocarstw zachodnich jedynie w celu utrzymania pokoju; że z chwilą jednak gdyby interwencya dyplomatyczna zmieniła się w zbrojną, natychmiast się cofnie i w wojnie tej udziału nie weźmie. „Obawiam się tylko, miał rzec król pruski, że ci ciężko będzie odsunąć się od mocarstw zachodnich“. „Wcale nie, odparł cesarz Franciszek Józef — mocarstwa zachodnie wiedzą od dawna o mem postanowieniu, że nie chcę ani wojny prowadzić, ani też zezwolę na zmianę granic posiadłości europejskich i cieszę się, że Anglia także zdecydowaną jest stanowczo tylko na interwencye dyplomatyczną i o wojnie wcale nie myśli“. W kwe-

sty reformy związku niemieckiego nie przyszło jednak na tym zjeździe dwu monarchów do porozumienia. Cesarz Franciszek Józef oznajmił królowi pruskiemu, że ma zamiar zwołać książąt niemieckich do Frankfurtu na narady w sprawie rzeczony reformy, ale król Wilhelm utrzymywał, że rzecz jest nie na czasie i stawiał liczne obiekty przeciw temu projektowi. Niemniej przeto wieczorem d. 3 sierpnia, w chwili odjazdu cesarza Franciszka Józefa, jego adjutant wręczył królowi piśmienne zaproszenie na zjazd wzmiankowany.

Cała ta akcja oczywiście nie uszła uwagi cesarza Napoleona i z wielu względów mu się nie podobała. Zjazd gastański wydawał się podejrzanym i nim jego szczegóły doszły do wiadomości dyplomacyi francuskiej, słuszne przez swe pozorne serdeczności budzić mógł obawy, że knują się po cichu jakieś zamiary i zamachy, przeciw którym należało się mieć na baczności. A przytem zapowiadany zjazd wszystkich książąt niemieckich do Frankfurtu, zwracając na siebie uwagę powszechną, tem samem odciągał oczy świata od krwawego widowiska w Polsce, sprawę tej ostatniej spychał na plan drugi. Mimo to jednak szybka i szorstka odpowiedź hr. Rechberga na podstępne insynuacje ks. Gorczakowa, bądź co bądź zdawała się świadczyć, że Austria jest mocno przeciw Rosyi podrażniona i że umiejętnie i zręcznie skorzystawszy z tego podrażnienia, można będzie doprowadzić sprawę do pożądanego rezultatu, t. j. do wojny. Przypuszczenie to, tem prawdopodobniejsze się stawało, że w d. 27 lipca, a więc w tydzień po odpowiedzi hr. Rechberga, ni stąd ni zowąd i zgola, zdaniem naszym niepotrzebnie, bo trudno było zlej sprawę obronić, ks. Gorczakow wysłał do p. Knorringa „sprawującego interesa rosyjskie w Wiedniu“, depezę, w której, jak sam powiada, „stara się rzucić światło na zamiary, które spowodowały jego propozycję“. Przedewszystkiem więc zastrzegł się, że nie miał żadnej „skrytej myśli“, stawiając owe propozycje, i powiada: „Hr. Rechberg w naszej propozycji porozumienia się trzech mocarstw w celu

doprowadzenia stanu ich posiadłości polskich, do których stosują się warunki traktatu z 1815 r., do zgodności z obecnymi okolicznościami i potrzebami czasu, — upatrywał myśl ustanowienia pomiędzy Królestwem polskim a Galicyą podobieństwa, które hr. Rechberg odrzuca. Nie myśleliśmy ustanawiać zupełnie żadnego podobieństwa. Że istnieje konieczna solidarność pomiędzy trzema sąsiednimi mocarstwami i ich odnośnemi posiadłościami polskimi, o tem świadczą tradycje i przeszłość historyczna, która utworzyła obecnie istniejący porządek rzeczy. Fakta nieraz dowiodły, jak stan każdy z tych prowincyi oddziaływa na byt innych. Obecne wypadki i czynny udział, jaki rewolucyjne żywioły w Galicyi biorą w powstaniu Królestwa i ostatecznym jego celu, nowym są tego dowodem. Gabinety: angielski, austriacki i francuski potwierdziły to, uzasadniając działania dyplomatyczne wpływem, jaki rozruchy Królestwa wywierają na posiadłości państw sąsiednich, a skutkiem tego i na spokojność Europy. Byliśmy przejęci przekonaniem o tej solidarności, proponując porozumienie, mające na celu zaprowadzenie koniecznej zgodności pomiędzy instytucjami, które miałyby być wprowadzone do Królestwa polskiego po zupełnem uspokojeniu kraju a instytucjami w posiadłościach polskich państw sąsiednich. Była to myśl przyjacielska, zgodna ze stosunkami wzajemnymi obu dworów cesarskich i wspólnymi ich interesami. Musimy odrzucić wszelkie inne tłumaczenie. Co do samej istoty naszych propozycji, sądzymy, że ocenione w duchu pojednawczym, jakiego były następstwem i z prawością zastosowane, mogły doprowadzić do rozsądnego i praktycznego załatwienia, odpowiedniego zarazem prawom i interesom mocarstw sąsiednich i warunkom traktatu z 1815 r. na których spoczywa równowaga powszechna, rozsądnym żądaniom Polaków i życzeniom, które okazuje Europa na korzyść spokojności w tych krajach. Możemy zatem tylko ubolewać nad zupełnie innem wrażeniem, dającym się przewidywać z instrukcyi przesłanych przez hr. Rechberga do ambasadorów austriackich w Londynie i Paryżu“.

Ton pogardliwy, niekiedy wyniosły tej depeszy, utwierdził gabinet paryski w przekonaniu, że położenie przybrało taką formę, iż najdrobniejszy wypadek może Austryę popchnąć do zerwania stosunków z Rosyą. Kiedy dwa państwa w ten sposób do siebie przemawiają, to nie ulega wątpliwości, że krzywo na siebie patrzą i wzajemnie się nienawidzą. To też ministerium francuskie pragnęło skorzystać z tego położenia i już w d. 29 lipca zaproponowało Anglii i Austryi, ażeby odpowiedzieć na ostatnie komunikaty rosyjskie jednobrzmiącą depeszą. Taka nota, w jednakowych wyrazach zredagowana, dowodziłaby najwidoczniej jednozgodności poglądów i uczuć trzech mocarstw. „Propozycję tę, pisał p. Drouyn de Lhuys, zrodziła w nas chęć nadania wagi naszym krokom, dając gabinetowi rosyjskiemu dowód jedności poglądów, o której on zdaje się wątpić, oraz zrozumienie szczególnego położenia Austryi, dla której uznajemy za właściwe dać gwarancję, że co do następstw wspólnej polityki solidarnie z nią postępować zamierzamy“. Było to dość wyraźne, a stało się jeszcze wyraźniejszym, gdy w początkach sierpnia, ambasador francuski ks. de Grammont oświadczył w Wiedniu, że Napoleon gotów jest porozumieć się z Austryą we wszystkich kwestiach, dotyczących interesów austriackich. Wykazywał on przytem obowiązki Bonapartych względem Polski, konieczność popierania z ich strony sprawy tego nieszczęśliwego narodu, oraz korzyści, jakie Austryi może przynieść wojna o Polskę. Z drugiej strony napomynał ks. de Grammont, że w razie gdyby Austrya nie chciała popierać w tej kwestyi Napoleona, będzie on musiał szukać sprzymierzeńców w obozie wrogim państwu Habsburgów. To też Austrya zgodziła się na notę identyczną w sprawie polskiej, acz zajęta była teraz jedynie swą wyprawą frankfurcką, po której tylu błogich skutków dla siebie oczekiwała. Minister francuski p. Drouyn de Lhuys zredagował odpowiednią notę i zakomunikował ją gabinetowi londyńskiemu i wiedeńskiemu. Ale najniespodziewaniej pierwszy z nich stanowczo odrzucił ten projekt

i ostatecznie stanęło na tem, że każde z państw wysłało swą odpowiedź osobno i nie w wyrazach jednobrzmiących skreśloną.

Pierwszą taką odpowiedź wysłała Francya z datą 3 sierpnia, na ręce ambasadora swego w Petersburgu ks. de Montehello. Jest ona w gruncie rzeczy nie czem innym jak polemiką z doktrynami i teoryami, wygłaszanymi przez ks. Gorczakowa. Punkt po punkcie stara się je zhijać, wyraża żal i zdziwienie, że „gabinet petersburski zmieniając swą postawę pierwotną, formalnie odrzuca nasze domagania się, a natomiast stawia propozycje niemożliwe do przyjęcia“. Zaznaczywszy w początku, że ks. Gorczakow fałszywie pojmuje stypulacye traktatu wiedeńskiego, odpięra argument rosyjski, że powstanie polskie jest wyłącznie dziełem demagogii kosmopolitycznej. „Nasze czasy, pisze p. Drouyn de Lhuys, widziały społeczeństwa szarpane przez różne ruchy, by pod tą samą nazwą mieścić rozpaczliwe usiłowanie ludu, broniącego swej narodowości, z wywrotowemi aspiracyami umysłów chorych, rzucających się na podstawy porządku społecznego. Powstania polskie mają swe źródła w przyczynach, które nie są przypadkowe; są one wynikiem położenia istniejącego blisko od stu lat, a które przyczyniło się w znacznej części do zrodzenia i utrwalenia rewolucyi w Europie. Powstanie, na które dziś patrzymy, zapowiadane przez wyrażne symptomata, zostało wywołane przez fakt, który w tym stanie umysłów, musiał mieć jak najgorsze następstwa. Polska odpowiedziała nań odwołując się nie do namiętności rewolucyjnych, ale do najwznioślejszych uczuć ludzkich, do idei sprawiedliwości, ojczyzny i religii. Czyż nie jest to faktem niezaprzeczonym, że cały naród polski i każda jego warstwa w miarę swych środków, czynnie lub biernie, odpowiednio do miejsca i okoliczności, przystąpiła ciałem i duszą do powstania? Cóż znaczy wobec podobnych objawów, działalność jakichś tam komitetów rewolucyjnych?“

W tym tonie podniosłym i wymownym, przypomina

w dalszym ciągu ujęcie się za Polską wszystkich państw europejskich od Rzymu aż do Konstantynopola, od Sztokholmu aż do Lizbony i powiada, że zgodzenie się gabinetu petersburskiego na rokowania na podstawie sześciu punktów. pod warunkiem uśmierzenia wprzód powstania polskiego, jest w gruncie rzeczy niczem innem, jak wymówką. Najlepszym bowiem środkiem uspokojenia umysłów, byłoby wprowadzenie w życie w szerokich rozmiarach ustępstw, zdolnych zadość uczynić uczuciom narodowym. Odrzucenie przez Rosyę propozycji zawieszenia broni w imię jej godności i honoru państwowego, uważa nie bez słuszności że przecież „godność wielkiego mocarstwa nie polega na przedłużaniu walki nierównej“. Zaznacza, że amnestya, będąca prostą obietnicą łaski, jest niedostateczną, wspomina o podstępym wybiegu załatwienia kwestyi polskiej tylko przy współudziale państw rozbiorowych i tak kończy: „przekonani jesteśmy, że dwór rosyjski postępując dalej tą drogą, na którą wszedł, oddala się od zdrowej polityki i od stypulacyi traktatów. Ale nie mogąc weń wpoić przekonania, nas ożywiających, musimy dziś stwierdzić niepowodzenie naszych usiłowań. Nie jest to zależnem od mocarstw, ażeby rozstrzygnięcie kwestyi polskiej, tak ściśle związane z pokojem europejskim, nie było poddane pod dyskusyę dojrzałą. Wolni od wszelkich widoków osobistej ambicyi, bez namietności i z góry powziętych mniemań, kierowała nami jedynie chęć przyczynienia się do uspokojenia obecnych zaburzeń i skłonienia Rosyi, aby zbadawszy sumienie stan Polski, starała się usunąć przyczyny ciągle rosnących zawikłań“. „Rząd cesarski zwraca najbaczniejszą uwagę Jego Ekscelencyi ks. Gorczakowa na doniosłość położenia i odpowiedzialność, jaką ściągą na Rosyę. Francya, Austria i Wielka Brytania zaznaczyły konieczność położenia końca oplakanemu i niebezpiecznemu dla Europy, stanowi rzeczy. Prócz tego wskazały one środki, które, zdawały im się winne być do tego celu użyte i ofiarowały swą pomoc w tym względzie. Jeżeli Rosya nie zrobi tego wszystkiego, co od niej zależy, by urzeczy-

wistnieć umiarkowane i przyjacielskie żądania trzech mocarstw, jeżeli nie pójdzie za wskazówkami jej danemi, to na nią spada ciężka odpowiedzialność za następstwa, które spowodzić może dalsze trwanie zaburzeń w Polsce“. Do depeszy tej dołączony był długi memoriał, w którym p. Drouyn de Lhuys wyjaśnia stanowisko Francyi względem uchwał kongresu wiedeńskiego, tłumaczy właściwe znaczenie tych uchwał i uznaje na ich podstawie prawo mieszanja się mocarstw do spraw polskich.

Nota powyższa nacechowana chłodem i groźbami, znacznie różniła się od dotychczasowych korespondencyi Francyi z Rosyą, a co ważniejsza wyraźnie zapowiadała, że jeżeli ta ostatnia nie spełni swych zobowiązań względem Polski, nie uczyni zadość żądaniom mocarstw zachodnich, może się spodziewać jak najgorszych następstw dla siebie. Jakież mogły być te następstwa? oczywiście wojna. Groźba ta nabierała tem większej wagi, tem silniejszego akcentu, że tak powiemy, że właśnie w tej porze ukazała się w Paryżu broszura p. t. „Cesarz, Polska i Europa“, która niezawodnie, jeżeli nie wyszła z pod pióra samego Napoleona III, to skreśloną została pod jego natchnieniem i uważaną była powszechnie za manifest pół urzędowy, za wyraz opinii oficjalnej francuskiej ¹⁾. Broszura ta wywołała niezwykle sensacyę w Europie przez śmiałe i stanowcze postawienie kwestyi. „Francya wypowiedziała swe współczucie dla losów Polski — czytamy w przedmowie — rząd cesarski nie zwykł napróżno objawiać swej sympatyi dla wielkiej sprawy. Gdyby kwestya polska mogła być załatwioną na drodze pokojowej, byłoby lepiej, lecz czyż można będzie uniknąć wojny?“. Autor broszury przypomina Rosyi, że cesarz Napoleon zawsze zachowywał się w stosunku do niej z wielką względnością, że w czasie

¹⁾ Zaraz po ukazaniu się tej broszury, został dokonany jej przekład polski, ale bardzo liche, pośpieszny i niedbały. Odbito go, jak się zdaje, w Warszawie, w drukarni ówczesnej „Gazety Polskiej“ i sprzedawano egzemplarz po gr. 15.

wojny krymskiej mógł być skorzystać z zamiarów polskich wywołania powstania, a jednak się na to nie zgodził; że na kongresie paryskim zawsze stawał po stronie Rosyi, że w r. 1861, urzędowy organ „Monitor“ ostrzegał Polaków, ażeby na cesarza Napoleona nie liczyli; że w r. 1862 rząd francuski nakłonił gabinet turyński do rozwiązania szkoły wojskowej polskiej w Cuneo, że w początkach 1863 r. na skutek żądania rosyjskiego kazał aresztować spiskowych polskich; że już po wybuchu powstania zwracał uwagę Polaków, ażeby starali się ograniczyć swe żądania: że politykę cesarską minister Billault dwukrotnie w izbach francuskich jak najwyraźniej określił, że słowem polityka ta nie była ani awanturnicza, ani rewolucyjna, ani też wrogą Rosyi. Nie może zatem ta ostatnia czynić żadnych zarzutów gabinetowi tujleryjskiemu, który może do pewnego stopnia sądzić, że „im więcej okazał dobrych chęci w rozmaitych okolicznościach względem Rosyi, tem więcej nabył prawa do czynienia jej przedstawień i do znalezienia chętnego posłuchu“.

Po tem oznaczeniu swego stanowiska względem Rosyi, broszura zwraca się do Polaków i zaznacza, że zawsze liczyli oni na Francję, choć rząd napoleoński „żadnego słowa“ nie wyrzekł, któreby ich mogły w tej nadziei utwierdzić. „Waszej sprawy, pisał autor do Polaków, ja nie zbudziłem; nie doradziłem wam waszego powstania. Nie troszczyliście się o to, czy ono pokrzyżuje moje zamysły, czy też nie. Wiem ja do czego obowiązuję powinność międzynarodowa, ale obok tego trzebaby być w stanie przeprowadzenia swych pragnień. Wasza sprawa nie jest prostą sprawą narodową, jest ona sprawą europejską, jedną z najbardziej zawikłanych i najtrudniejszych. Jest może okrucieństwem mówić wam: bądźcie cierpliwymi. Ale oóż chcecie, abym praktycznie dla was uczynił?“ Jednak, że Francja nie mogąc zupełnie opuścić Polaków, przedewszystkiem uciekła się do akcyi dyplomatycznej, wyczerpała wszelkie środki, przedstawienia, przestrogi i rady. „Widzimy Polaków w Paryżu, czytamy w broszurze, któ-

rzy niezręcznie pokrywają swe niezadowolenie z tego, iż rząd cesarski pozostał do dziś dnia tak bezwarunkowo powściągliwym. Jednakowoż powinnyby rozważyć, że wielkie familie polskie nie wzięły od samego początku udziału w powstaniu swego kraju, i że wielu innych trzyma się jeszcze na uboczu. Jeżeli sądzili, że powinni zachowywać taką oględność, jakże mogą dziwić się oględności cesarza?“ Broszura oskarża Rosyę o okrucieństwo w tej wojnie i woła: „Czyliż potrzeba jeszcze dodać, że Francja, która zapędza się aż za morza indo-chińskie, aby tam wziąć pod opiekę swoją katolicyzm, nie może patrzeć z zimną krwią na wywożenie biskupów i tracenie księży katolickich w Polsce. Gdy się pomyśli o haniebnych gwałtach, którym kobiety podlegają, o głowach powstańców, na które ceny naznaczono, o rabunkach, zastanowić się trzeba nad tem, że noty trzech wielkich mocarstw sprzymierzonych były tak spokojne. Ale jakże się nie zadziwić nad tonem odpowiedzi, nad owem niepojętem zapomnieniem położenia rzeczy, tak że nawet winę całą zwalono na Zachód!“ Dziwi się więc doradcom cesarza Aleksandra II-go, że chcą go rzucić w odmet walki, „w której się złamał jego ojciec car Mikołaj“; wreszcie broszura wspomina o notach, wygłasza kilka pochlebnych słów dla Anglii, która „uprzedziła szlachetnie Francję w swoich żądaniach, przedstawionych Rosyi“, chwali Austryę, „którą usiłowano odciągnąć od związku zachodniego dla rozwiązania we troje kwestyi polskiej“, i pyta: „Cóż może uzyskać Austria na wznowieniu przymierza świętego, które przez Rosyę poczęte, tylko dla niej przyniosło korzyści“; że „Anglia i Francja powinny uważać za obelgę projekt rosyjski, który pragnie odsunąć te dwa mocarstwa od rozpraw nad sprawami Polski“. Nakoniec broszura zwraca się ku Prusom, „które, gdyby choć w ostatniej chwili, przyłączyły swój głos do żądań mocarstw zachodnich, skutek pomyślny byłby zapewniony“, ale Prusy „od początku powstania polskiego pomagały Rosyi, łamały prawa narodów, choć mogło to wywołać wojnę powszechną“. Wobec tego ko-

niecznem jest, aby Prusy wyszły z dwuznacznego położenia; że mocarstwa zachodnie muszą raz dowiedzieć się, czy Prusy trzymają z niemi, czy też z Rosyą. „Czyżby król Wilhelm, woła autor broszury, niepomny na nauki historii, chciał nas zmusić do powtórzenia wypadków z pod Jeny i osiągnąć skutki drugiego Friedlandu?“ Ale lud niemiecki nie pozwoli zapewne na to; że zresztą w razie wojny wymaganem będzie tylko wolne przejście przez Prusy. Francya nie żywi żadnej niechęci do Niemiec, nie chce im szkodzić, życzy im przyszłości świetnej. „Prusy trzymają może w obecnej chwili, wojnę lub pokój w swoim ręku. Przybierając nową postawę, oby zawiodły przepowiednie tych, którzy im wróżą katastrofę. Szlachetne natchnienie mogłoby wzmocnić to państwo, które od lat pięćdziesięciu, zostawało, na nieszczęście dla niego, bezczynnem i poza biegiem wypadków“.

Broszura kończy wyraźną groźbą wojny, bo jeżeli „gabinet petersburski uporczywie trzymać się będzie swej polityki zgubnej, mocarstwa... będą zmuszone, chociaż ze smutkiem, zerwać stosunki, nie mające w obecnej chwili żadnego celu. Flota angielsko-francusko-szwedzka mogłaby działać na Bałtyku, a jednocześnie flota angielsko-francusko-włoska zjawiłaby się na morzu Czarnem“; że „Car Aleksander powinien mieć to na względzie, że warunki będą mniej łagodne po wojnie, niż przed jej rozpoczęciem. Mógłby się nie doczekać spotkania na Niemnie. Francya, skoro raz miecz wydobędzie, będzie uważała za punkt honoru wyzwolić Litwę, jak wyzwoliła Lombardję“, i że niech Rosya nie rachuje na spóźnioną porę, bo Francya d. 20 września zwyciężyła pod Almą, a 14 października pod Jeną. Wszakże nie trzeba tracić nadziei, że pokój nie będzie naruszony, że Rosya porobi ustępstwa; gdyby jednak „dla niepojętych powodów, car Rosyi znowu odmowną dał odpowiedź na umiarkowane żądania mocarstw — wówczas będziemy zmuszeni jeszcze raz rozstrzygnąć mieczem to, co dziś jeszcze dałoby się rozwiązać przy odrobinie rozumu i poczucia słuszności“.

Taką była treść broszury, która, jak powiadamy, silne

wywarła wrażenie w całej Europie i uważano ją powszechnie za zwiastuna niedalekiej wojny o Polskę. Znano bowiem zwyczaj Napoleona, że przed każdym ważniejszym i donioślejszym krokiem, starał się za pośrednictwem takich pism przygodnych wybadać opinię publiczną i nie wątpiono ani na chwilę o stałym jego postanowieniu zmuszenia orężem Rosyi do ustąpienia z Polski. W tej ostatniej czytano też broszurę chciwie, rojono sobie najpiękniejsze nadzieje, ale niebawem ukazał się w angielskiej gazecie „Timesie“ artykuł, jak się zdaje, inspirowany przez ministerium, który ochłodził rozgorączkowane głowy polskie i nadzieję wojny odsuwał w mglistą nieskończoność dalekiej i nigdy może nieziszczonej przyszłości. Autor artykułu streściwszy w tonie dość ironicznym broszurę, twierdzi zgodnie z prawdą, że zapowiada ona wojnę, ale pyta, czy ta wojna, może potrzebna dla Francyi, a nadewszystko dla Napoleona, który przez nią utrwalić pragnie swą dynastję, będzie korzystną dla Anglii? „Szczerze pragniemy, brzmi artykuł, aby z Polakami dobrze się obchodzono i od dawna żywymy życzenie, aby zbrodnia rozbioru Polski została naprawioną“, — „mamy także prawo, chociaż ks. Gorczakow temu zaprzecza, wynikające z traktatów, wypowiedzenia zdania swego w sprawie polskiej“, — że „powinniśmy używać tego prawa i że w Petersburgu winni nas wysłuchać, to wszystko jest prawdą, lecz czy koniecznie jesteśmy obowiązani zarzynać naszego bardzo użytecznego przyjaciela dlatego, że nie chce słuchać naszej rady? Zdaje nam się, iż znamy cokolwiek uczucia naszych współrodaków i bez wahania odpowiadamy na pytanie, zadane w tym pamflecie, iż lud angielski nie chce być wciągnięty wcale w wojnę z Rosyą, chyba w razie wyzwania, którego prawdopodobnie Rosya nie uczyni. Wszyscy koniecznie pragniemy, aby wszystko, co tylko może zrobić dyplomacya dla Polaków, było zrobione. Każdy jednak minister, któregooby nawet podejrzewano tylko o zamiar wciągnięcia kraju w wojnę w celu podziału Rosyi i Prus w interesie Francyi, nie długo byłby ministrem. Jeżeli pamflet ma być

francuskim pytaniem, niech to będzie naszą angielską odpowiedzią“.

Intenccye więc i zamiary angielskie były bardzo jasno i bardzo wyraźnie wypowiedziane. Dlatego też ministrowie wielkobrańscy pewni, że do wojny nie przyjdzie, że w ostatecznej chwili nikt inny, tylko oni się cofną, pozwalali sobie w swych notach tonu ostrego i pogardliwego, wiedząc, że to niczem nie grozi, a satysfakcyę osobistą im sprawia, że mogą znienawidzonej Rosji dotkliwie nalać. To też w swej odpowiedzi na lipcową notę ks. Gorczakowa, odpowiedzi datowanej znacznie później od francuskiej, bo dopiero d. 11 sierpnia wysłanej, lord Russel w tonie pełnym złośliwej ironii, zbija punkt po punkcie twierdzenia ks. Gorczakowa, utrzymuje, że konstytucya nadana Królestwu 1815 r. jest jedynem prawem jakie Rosya ma do Polski; że projekt wicekanclerza rosyjskiego oddzielnej konferencyi trzech państw rozbiorowych jest „sugestyą“, która nie ma żadnych podstaw prawnych, gdyż traktat wiedeński co do tego nie nadaje trzem rzeczonym państwom żadnych przywilei politycznych, że taka konferencya stawia Austryę w fałszywym położeniu względem Francyi i Anglii i dlatego też cesarz austriacki, „w słusznem poczuciu swej godności osobistej“, projekt ten stanowczo odrzucił. Depesza kończy się, tak samo jak francuska, ostrzeżeniem, że Rosya trwając w swym uporze, może sprowadzić dla siebie bardzo poważne skutki.

Wszakże ks. Gorczakow czytając tę ostrą, surową, bezwzględna i groźną depeszę, wiedział czego się ma trzymać i zgola nie potrzebował się obawiać owych „poważnych skutków“, którymi mu grożono. Odbywały się bowiem w tym czasie posiedzenia parlamentu angielskiego i z natury rzeczy, sprawa polska, dzięki interpelacyom jej przyjaciół, wyszła na stół. Lord Russel kilkakrotnie i dobitnie zapewniał parlament, że wstawiennictwo angielskie za Polską, ma czysto pokojowy charakter i wyrzekał się wojny, jak nowy chrześcijanin złego ducha i jego pokus. Zaraz też potem jeszcze jeden dość głośny krok uczyniła

Anglia, by owego pokoju europejskiego, który tak dobrze czynił jej interesom, nie naruszyć wcale.

Właśnie w tej porze cesarz austriacki Franciszek Józef zwoływał książąt Rzeszy niemieckiej, aby stawili się w starym Frankfurcie i pod egidą Habsburgów nowe życie tchnąć się starali w anemiczne członki tejże Rzeszy. Wybierali się tam wszyscy prócz króla saskiego, duńskiego, a co najważniejsza, co największe miało znaczenie i nowe zapowiadało wypadki, prócz króla pruskiego. Czy więc całej Europy zwrócone były na to niezwykle widowisko i nim cesarz Franciszek Józef wśród odgłosu rozbijanych dzwonów, wjechał do Frankfurtu, na cztery dni przedtem gabinet jego wysłał odpowiedź na lipcową notę ks. Gorczakowa w sprawie polskiej. Odpowiedź ta zawierała mniej więcej tę samą treść, co i dwie poprzednie, francuska i angielska; oświadczała, że Rosya źle i niewłaściwie sobie tłumaczy stypulacye kongresu wiedeńskiego; że powstanie polskie nie jest objawem rewolucyi międzynarodowej; że twierdzenie Gorczakowa jakoby ono istniało tylko dzięki poparciu moralnemu i materyalnemu z zewnątrz, nie jest prawdziwem. Hr. Rechberg nie zaprzecza, że „poparcie materyalne, które powstańcy czerpią, mimo najbaczniejszej czujności, z krajów pogranicznych“, istnieje, ale nie jest ono wcale przeszkodą do przywrócenia spokojności w Polsce; przyczem nota austriacka korzysta ze sposobności by dać nauczkę dyplomacie rosyjskiemu: „Jeżeli powstanie (czytamy tam), jak powiada ks. Gorczakow, wszystkie swe siły skoncentrowało w Królestwie Polskiem, to dlatego, że znalazło tam grunt odpowiedni i łatwo mu było wywołać oskarżenia uzasadnione tam, gdzie istnieją przyczyny niezadowolienia, które radziliśmy właśnie usunąć. Gdyby dwór rosyjski więcej się liczył ze zobowiązaniami, które zaciągnął w r. 1772 i 1815 w sprawie zachowania swobody religijnej i instytucyi narodowych, podburzenia zewnętrzne nie wywoływałyby tak łatwo tych zamieszek, których częste powtarzanie się, niepokoi nie bez przyczyny kraje sąsiednie całej Europy“. Wypowiedziaw-

szy tę niewątpliwie dotkliwą naukę dla dumy rosyjskiej, hr. Rechberg jeszcze raz powraca do propozycji ks. Gorczakowa, załatwienia sprawy polskiej przez trzy państwa rozbiorowe. Powtarza więc, że zgodność poglądów między Wiedniem, Londynem i Paryżem, w celu pokojowego rozwiązania sprawy polskiej, „tworzy między tymi trzema gabinetami związek, z którego Austria nie może się zwolnić dla tego, by osobno rokować z Rosją i Prusami“. „Niemniej musimy odeprzeć wszelką wspólność, jaką ta propozycja zdaje się ustanawiać między prowincjami po prostu wcielonymi do cesarstwa austriackiego, a częścią dawnej Polski, utworzoną w r. 1815 jako państwo złączone z cesarstwem rosyjskiem, ale korzystające z administracji odrębnej. Cesarz, nasz najdostojniejszy pan, nie wahał się obdarzyć niedawno swych posiadłości polskich instytucjami odpowiedniami konieczności i postępowi czasu. Rząd więc cesarski nie ma żadnego powodu do umawiania się w tym względzie z rządami pogranicznymi, a środki, jakie zalecał Rosji, w niczem nie są sprzeczne z przykładem, który „dał u siebie“. Wkońcu tej najzjadliwszej ze wszystkich noty, znajduje się zwykła groźba, że Rosya nie chcąc ustąpić, naraża się na poważne następstwa.

Była to, jak wiemy, próżna groźba, której całą płonność miał okazać odbywający się właśnie w tej chwili we Frankfurcie „sejm książęcy“ (Fürstentag). Było zawsze nieszczęściem Polski, że sprawy jej używano jako dźwigni do przeprowadzania obcych jej interesów. Słusznem i do pewnego stopnia usprawiedliwionem jest podejrzenie, które już wtedy, w 1863 roku wygłaszano, że Austria swego zachowania się wobec powstania polskiego użyła jako środka dla zyskania sobie opinii liberalnej w Niemczech i dla zohydzenia junkierskich rządów pruskich, dla tego, by gorąco pożądanym prymat w Rzeszy niemieckiej odzyskać. Bądź co bądź zjazd frankfurcki odwrócił uwagę od Polski, a postępowanie wobec niego Anglii, wzbudzić musiało pewne obawy w rządzie francuskim. Ni stąd, ni zowąd, w chwili gdy ten zjazd się odbywał, królowa an-

gielska wybrała się w podróż do Niemiec pod pozorem zwiedzenia miejsc rodzinnych jej niedawno zmarłego i ubóstwianego egzaltowanego małżonka. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby nie to, że towarzyszył jej minister lord Granville, a co ważniejsza lord Clarendon, który tylko w bardzo ważnych wypadkach pojawiał się na kontynencie. Ten ostatni znalazł się niebawem we Frankfurcie i na osobnej audyencji winszował cesarzowi Franciszkowi Józefowi zwołania książąt niemieckich, bo krok ten „czyniąc Niemcy silniejszymi, da światu najpewniejszą gwarancję przeciw ambicji francuskiej“. Oświadczył przytem w imieniu swego rządu, że „Austria nie powinna się angażować nad Wisłą i mieć się winna na ostrożności przeciw mglistym zamiarom Napoleona III-go“. Słowa te, które oczywiście doszły do Paryża, musiały z konieczności obudzić pewne obawy we Francji. Co to znaczy? pytano się; do czego dążą Austria i Anglia? To też z tej dziwacznej zaiste, sytuacji skorzystał natychmiast tak książę Gorczakow jak i hr. Bismarck, by „serdeczne porozumienie się“ trzech mocarstw zachodnich za jednym zamachem rozbić i sprawę polską na zawsze pogrzebać. Pierwszy z nich nie omieszkał zaraz uwiadomić posła austriackiego w Petersburgu, hr. Thuna, że Rosya wcale nie myśli przeszkadzać akcyi austriackiej w Niemczech, że użyje całego swego wpływu na dwór pruski, by doprowadzić do ugody, a dzienniki rosyjskie poczęły szumnie wygłaszać dytyramby na cześć jedności niemieckiej ¹⁾.

Ze swej strony Prusy nie pozostały bezczynnemi, by przeszkodzić Austrii w dokonaniu zamierzonego dzieła, a przytem podniecić i tak już mocno zaniepokojoną Francję przeciw Wiedniowi i Londynowi i doprowadzić do tego samego rezultatu, do którego dążył ks. Gorczakow, t. j. do rozbitcia związku zachodniego w sprawie polskiej. Wydawszy cyrkularz, w którym Prusy tłómaczyły się, dlaczego nie stawily się we Frankfurcie, uważając reformę

¹⁾ J. Klaczko, Etudes, 196.

Rzeszy za rzecz z wielu względów przedwczesną, Bismarck starał się w Paryżu przedstawić postępowanie Austrii jako niebezpieczne dla pokoju europejskiego i groźne dla Francji. Poseł pruski w Paryżu, Goltz, zapewniał ministrów napoleońskich, że Francja wobec tych nowych koniunktur, nie ma wcale potrzeby poświęcać swych tradycyjnych sympatyj dla Polski, gdyż „cesarz rosyjski zdecydowany jest stanowczo nadać Polakom wszystko to, czego dla nich żądano“. Dzienniki francuskie poczęły niechętnie wyrażać się o Austrii i zalecać powrót do dawnej polityki, do „serdecznego porozumienia“ z Rosją i Prusami. Były nawet takie pomiędzy gazetami, które donosiły z Berlina, że źródła jakoby najlepiej poinformowanych, że cesarz rosyjski ogłosi wkrótce konstytucję dla całego swego państwa i oczywiście Polska także w tem nowem dobrodziejstwie szeroki weźmie udział. Pocóż więc kłócić się, spierać i grozić, kiedy wszystko będzie jak najlepiej na tym najlepszym ze światów?

Ks. Gorczakow na spółkę ze swym przyjacielem Bismarckiem, zasiawszy tym sposobem ziarna nieufności i podejrzeń między trzema mocarstwami, dotąd dość jednomyślnie działającymi w sprawie polskiej, z uwagi wreszcie, że spóźniona pora wykluczała wszelką myśl wojny, postanowił szorstką odpowiedzią położyć koniec interwencji dyplomatycznej. W tym celu pod datą 7 września wygotował i przesłał do trzech dworów, trzy krótkie, urywane depesze, pełne wyniosłości i dumy. „Sądzimy, pisał do barona Budberga w Paryżu, że uprzedzamy życzenia p. ministra spraw zagranicznych we Francji, wstrzymując się od przedłużania dyskusji, która nie prowadzi do celu“. Nie wdawał się więc w żaden spór co do tłumaczenia uchwał kongresu wiedeńskiego, „żałując żywo, że nie może się pod tym względem zgodzić z gabinetem tujleryjskim“; podnosił tylko jeden punkt, „bo idzie nam o to, pisał, by z góry usunąć wszelki nowy powód do nieporozumień“. Szło tu o Litwę i Ruś, które Francja uważała jako objęte

do pewnego stopnia stypulacjami kongresu wiedeńskiego. „Gabinet cesarski, odpowiadał na to ks. Gorczakow, nie może przyjąć żadną miarą tego punktu widzenia“; że „Jego C. Mość zawsze jest gotów wypełniać skrupulatnie swe zobowiązania względem wszystkich mocarstw, musi jednak wyłączyć raz na zawsze, nawet wszelką zamianę myśli polubownych, wszelkie napomknienia o tych częściach jego państwa, do których nie stosują się żadne stypulacje międzynarodowe“. W dalszym ciągu swej depeszy, ks. Gorczakow zapewniał, że równie jak Francja pragnie uspokojenia Polski, że rząd rosyjski wszystko co do niego zależy, zrobi, by ten cel osiągnąć, że cesarz ożywiony jest najlepszymi chęciami dla Polski, że go obchodzi szczęście wszystkich poddanych, że przyjmuje wreszcie na siebie całą odpowiedzialność za skutki swych działań.

Na tem depesza się kończyła. Była ona zła i pełna ironii w swych zapewnieniach, że rząd zrobi wszystko co może, by uspokoić Polskę i że ożywiony jest jak najlepszymi dla niej chęciami. Pisano to, gdy Murawiew szalał na Litwie, a Berg, ohydny karyerowicz, przed niczem się nie cofający, wstępował na tron namiestnikowski w Warszawie. Czyż może być większe szyderstwo, większe nai-grawanie się z nieszczęść całego narodu, większa bezczelność, w chwili gdy przygotowywano już ciosy, które stare społeczeństwo miały wywrócić do góry nogami, gdy miano na żywym cielem dokonywać eksperymentów specyficznie moskiewskiego socjalizmu?

Nota wystosowana do rządu angielskiego, różniła się tylko tem od francuskiej, że nie było w niej wzmianki o Litwie i Rusi, ale miała ten sam ton wyniosły i pogardliwy, równie była krótka i urywana i równie zaznaczała, że dalsza dyskusja w sprawie polskiej do niczego nie doprowadzi. Nota, przesłana do Wiednia, wyrażała żal, że Austria nie zgadzała się na propozycję rosyjską porozumienia się trzech państw rozbiorowych w kwestyi polskiej i czyniła uwagę, że skoro Austria propozycję tę odrzu-

ciła, to dalsza dyskusja może tylko doprowadzić do rozbieżności opinii, lepiej więc ją przerwać. Do tych not dołączone było obszerne memorandum, w którym ks. Gorczakow jeszcze raz wyluszczał prawa Rosyi do Królestwa polskiego i objaśniał po swojemu punkta traktatu wiedeńskiego, dotyczące Polski i jeszcze raz powtarzał, że rząd rosyjski nie może żadnych ustępstw zrobić dopóki nie stłumi powstania. Były to rzeczy kilka razy już przezeń powiedziane i kilka razy zbite przez odpowiedzi mocarstw zachodnich.

Jakkolwiek ministrowie państw interweniujących spodziewali się odpowiedzi odmownej ze strony Rosyi na ostatnie noty, jednakże nie przypuszczali nigdy aby ta odpowiedź była tak zuchwała, wyniosła i pogardliwa. Zapanowało też w sferach dyplomatycznych przez jakiś czas milczenie, a raczej oszołomienie, podobne do tego, jakiego doznaje człowiek nagle uderzony obuchem w głowę. Na razie nie umiano sobie zdać sprawy, nie wiedziano co robić, choć z pewnością tak lord Russel, jak hr. Rechberg i p. Drouyn de Lhuys czuli się głęboko obrażonymi tonem, jakim do nich przemawiał niedawno jeszcze pokorny i ugrzeczniiony ks. Gorczakow. To uczucie obrazy spotęgować się musiało przez to, że wicekanclerz rosyjski nie krył swych odpowiedzi pod korcem, ale postarał się o to, że znalazły się one niebawem w dziennikach i nabyły przez to szerokiego rozgłosu. Oszołamiające milczenie przerwał pierwszy minister francuski p. Drouyn de Lhuys, który w dwa tygodnie po odpowiedzi rosyjskiej, wystosował pełną skarg i wyrzutów notę do gabinetu londyńskiego i wiedeńskiego „Doznajemy głębokiego żalu, pisał, widząc niknącą wszelką nadzieję doprowadzenia Rosyi do porozumienia się jakiegokolwiek z mocarstwami, które sama zapraszała, ażeby wyszukały sposób uspokojenia Polski“. Zaznaczał, że Francya przewidywała taki koniec akcji dyplomatycznej, że proponowała obu gabinetom obmyślenie czegoś w razie odmowy ze strony Rosyi, ale gabinety te

nie uznawały potrzeby uprzedniej umowy. „Wobec rezultatów, nie przestajemy żałować, że pod tym względem nie nastąpiło między nami uprzednie porozumienie, a teraz oczekujemy co nam mogą powiedzieć nasi sprzymierzeńcy. Co do nas, wolni od wszelkich względów i interesów, nie zmieniliśmy zdania o charakterze europejskim kwestyi polskiej i o prawach, które nam nadaje interes ogólny i traktaty. Żałujemy, że trzy takie mocarstwa jak Anglia, Austria i Francya nie potrafiły nadać swemu wstawiennictwu koniecznej skuteczności“.

Był to ostatni głos dyplomatyczny w sprawie polskiej, łąbędzy śpiew interwencji mocarstw zachodnich, bo to, co jeszcze tu i owdzie powiedzianem będzie o Polsce, Rosya pokrywała pogardliwem milczeniem. Wielokrotnie wykazaliśmy, że interwencja ta nie przyniosła Polsce żadnej korzyści, a za to szkody nieobliczone. Budząc nadzieje, które nigdy niestety! ziścić się nie miały, przedłużała walkę nierówną, wzmogła rozlew krwi, a dając lekkomyślną obietnicę, że granice przyszłej Polski takie będą, jakie krew wylana oznaczy, nadała walce rozmiary szerokie, wzbudziła dzikie namiętności mas rosyjskich, stworzyła Murawiewa i Berga i nieobliczony szereg plag i nieszczęść rzuciła na Polskę. Uczyniwszy to wszystko, trzy pierwszorzędne mocarstwa europejskie przyjęły spokojnie dumne wyzwanie rosyjskie, pogardliwe słowa tego wyzwania i pełną żalu notą francuską zakończyły swą niefortunną i lekkomyślnie podjętą akcyę. Będą czynione jeszcze takie lub inne próby i usiłowania, zwłaszcza ze strony francuskiej, do nawiązania zerwanej brutalnie przez Gorczakowa nici interwencji, ale usiłowania te słabe, nie poparte niczem, nie będą miały żadnego skutku. Rosya pewna siebie, wypuści niebawem, niby sforę psów zgłodniałych, całe falangi nihilistów swoich na Polskę, którzy tam szaleć poczną z tatarskim zapalem zniszczenia. A Europa, jak Piłat ewangeliczny umyje ręce i powie, że nie jest winna śmierci tego narodu....

W tem posępem milczeniu, które teraz nad Polską, nużającą się w potokach krwi, zapanować miało, gdy świat ucywilizowany patrzył ze spokojem na straszną walkę, toczoną nad Wisłą, na jęki wieszanych na szubienicach, na niszczące, mongolskie rządy setek drobnych satrapów, różnych Bergów, Wittgensteinów, Bremsenów, Schwarców, Ganeckich i całej tej zgrai okrutników, tyranów i rabusiów, jeden tylko papież nie zapomniał o Polsce i dał to, co jej dać mógł, to jest, modlitwę. W d. 31 sierpnia, wikaryusz jeneralny papieski, kardynał Konstanty Patrizi, nakazał publiczną procesję i przeniesienie obrazu Zbawiciela z przybytku „Sancta Sanctorum“ w kościele św. Jana Laterańskiego do kościoła N. Panny Większej, przy czem polecił modlić się za Polskę. „Jest wołać Ojców, pisze kardynał, aby przy tej sposobności szczególnie odprawiono modlitwy za nieszczęśliwą Polskę, którą z boleścią widzi wydaną w tej chwili na łup tylu mordów i krwi przelewu. Naród polski, który był zawsze katolickim narodem i przedmurzem przeciw zaborom błędów, zaiste zasługuje na to, aby się zań modlono, iżby doznał oswobodzenia od tylu niedoli go trapiących, iżby zawsze wierny swemu charakterowi, wytrwał niezachwianie przy posłannictwie, które odebrał od Boga, iżby nie tylko strzegł, ale nadto bez szwanku i bez skazy utrzymał za jednogłośną zgodą wszystkich tych, którzy do tego narodu należą, chorągiew wiary katolickiej i religię swych przodków“.

Tym aktem uroczystym, tem wezwaniem Głowy Kościoła katolickiego, by się modlono za Polskę, „wydaną na łup tyln mordów i krwi przelewu“, zakończymy drugi peryod nieszczęsnej i zgubnej interwencji dyplomatycznej. Z kolei rzeczy bowiem, należy nam bliżej przypatrzeć się tym mordom, tym saturnaliom dzikim i okrutnym, których teatrem, za przykładem danym przez Murawiewa Wieszacza, różni drobni kacykowie rosyjscy, pozbawieni wszelkiego poczucia ludzkości, uczynili Polskę. W pełni XIX wieku, szczycącego się swą cywilizacją, w środku Europy

i przed jej oczami, miały się jeszcze raz powtórzyć czasy Tamerlana, budującego z czaszek ludzkich piramidy. Obraz okropny, krwawy, straszny, zda się wyśniony w ponurej i melancholijnej fantazyi mnicha średniowiecznego, ale niestety! prawdziwy.

KONIEC TOMU III.

Wyglądówek w 492 rocznicę tryumfu Grünwaldzkiego.



4276 MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Radom

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU III.

Rozdział IX. Birże. Komitet litewski. Zwierzdowski. Kalinowski i jego teorye polityczne. Du-Laurant. Stronnictwo Białych. Zjazd w Kownie. Gubernator jeneralny Nazimow i jego odezwy. Stan armii rosyjskiej na Litwie. Zjazd w Wilnie. Wybór i skład komitetu wileńskiego. Misya Jeleńskiego do Warszawy. Broszura »Głos Litwina«. Odezwa Rządu Tymczasowego. Ksiądz Mackiewicz i jego oddział. Ludwik Narbut. »Wydział zarządzający prowincjami Litwy«. Rozwiązanie Komitetu Litewskiego. Memoryal hr. Starzyńskiego. Józafat Ohryzko i Wydział zagraniczny petersburski. Jego skład i czynności. Organizacya na Litwie. Termin powstania. Odezwa Wydziału Litwy. Zygmunt Sierakowski. Plan powstania. Hr. Leon Plater i napad pod Krzesławką. Rabunki »Burlaków«. Wysłanie Szwalowa i Dłotowskiego. Wrażenie, jakie te wypadki wywarły. Napad na Hory-Horki. Niechęć chłopów i ich szańce na Białorusi. Topór rozpuszcza oddział. Wyprawa morska na Żmudź. Lapiński i jego charakter. Szpieg Poles. Zdrada kapitana Weatherleyd. Pobyt w Malmö. Rozkazy Rządu Narodowego. Zakupno »Emilii«. Konfiskata broni. Nowy plan wyprawy. Katastrofa. Sierakowski koncentruje w Łanczanowie oddziały żmudzkie. Marsz jego i potyczka pod Ginetynami. Starcie pod Korsakiszkami. Pobyt w Terezborze. Organizacya oddziału. Marsz Ganeckiego i jego sily. Sierakowski dzieli swój oddział. Tryumfalny jego pochód ku Birżom. Starcie pod Madcjkami. Gwałtowny marsz Ganeckiego. Starcie w lesie pod Gudziszkami. Sierakowski raniony. Zachowanie się ks. Mackiewicza. Porażka pod Sznurkiszkami. Wzięcie do niewoli Sierakowskiego. Powrót Ganeckiego do Wilna. Uwagi nad kampanią Sierakowskiego i jej rezultatami Str. 1—105.

Rozdział X. Murawiew »Wieszczel«. Wrażenie w Petersburgu, wywołane przez wypadki na Litwie i Białorusi. Popłoch w Wielkich Łukach. Spisek kazański. Hieronim Kiniewicz i jego projekt. »Złota hramota«. Program powstania. Wykrycie spisku i jego epilog. Murawiew »Wieszczel« i jego intryga. Rozmowa z cesarzem w cerkwi. Audyencya d. 7 maja. Program Murawiewa. Jego zachowanie się i przeszłość. Wrażenie tej nominacyi. Rozmowa z cesarzem d. 12 maja. Pierwsze czynności Murawiewa. Rozmowa z cesarzową i wyjazd. Pobyt w Dynaburgu. Rozstrzelanie Leona Platera. Przybycie do Wilna i przyjęcie szlachty i duchowieństwa. Rozmowa z biskupem Krasieńskim. Uwolnienie Hildebranda. Odezwa Wydziału litewskiego. Utworzenie Nieustającej Rady bezpieczeństwa. Straże wiejskie. Ustanowienie zarządu wojenno-policyjnego. Usuwanie się z urzędów ludzi uczciwych. Policya. Kary. Żaloba. Rozstrzelanie księży Iżory i Ziemackiego. Odezwa Murawiewa do biskupa Krasieńskiego i jego wywiezienie. Rozporządzenie co do drukarni. Powieszenie Kolyzki i Sierakowskiego. Życie domowe Murawiewa. Anonimy. List Filareta. Pracowitość. »Przy« i »Po«. Prześladowanie szlachty. Odezwa do chłopów. Rozporządzenia przeciw szlachcie. Kontrybucya 10-cio procentowa. Ruina szlachty. Rąbanie lasów. Sprawa hr. Starzyńskiego. Adres szlachty wileńskiej. Protest Jeleńskiego. Obchód dnia dworskiego 3 sierpnia. Odezwa naczelnika miasta. Dzień 8 sierpnia. Podanie adresu. Zamach na Domeykę. Nocna rewizya w mieście. Pościg blondynów w Warszawie. Wykrycie bandy sztyletników w Wilnie. Aresztowanie Biełkowskiego i jego śmierć. Dekret Wydziału Litwy z d. 2 września. Adresy województw litewsko-ruskich do Rządu narodowego. Zakończenie Str. 106—222.

Rozdział XI. Solowijówka. Radziwillów. Kostangalia. Komitet prowincjonalny Rusi. Edmund Różycki. Zjazd grudniowy w Warszawie. Stosunek Komitetu Rusi do Komitetu Centralnego. Zygmunt Milkowski. Jego projekt. Odezwa Rządu Tymczasowego do »braci Rusinów«. Komitety powstańcze lwowskie. Ks. Adam Sapieha. Jeneral Wysocki. Wyprawa Czarneckiego. Zjazd w Sidorowie. Plan powstania na Rusi. Raporta rosyjskie. Uspokojenie ludu na Wołyniu i Ukrainie. Gubernator jeneralny Annenkov. Siły rosyjskie na Rusi południowej. Duch tego wojska. Oddział Różyckiego i jego marsz ku Lubarowi i Polonnemu. Złota hramota. Wyprawa Kaznakowa. Potyczka pod Miropolem. Porażka Chranieckiego. Marsz Różyckiego na Po-dole. Klęska Ciechońskiego pod Minkowcami. Zwycięstwo pod

Salichą. Różycki wkracza do Galicyi. Oddział Owrucki i starcie pod Moskalewką. Uwagi nad powstaniem wolińskim. Romanald Olszański. Partya kijowska. Starcie pod Romanówką i Borodianką. Przyjęcie jeńców w Kijowie. »Żyrodnyści« i Antoni Juryewicz. Wyjazd ich z Kijowa. Pobyt w Motowidlówce. Iwan Szadura. Fastów i Solowijówka. Rzeź powstańców. Naczelnicy wojenni. Klęski powstania ukraińskiego. Oddział Krzyżanowskiego. Starcie pod Bulhajami. Upadek powstania. Wyprawa Wysockiego na Radziwillów. Atak Horodyńskiego. Atak Wysockiego. Miniewski rozpuszcza oddział. Uwagi nad tą wyprawą. Milkowski w Turcyi. Obozowisko polskie w Tulczy. Wymarsz i przeprawa przez Dunaj. Odezwa i zamiary Milkowskiego. Marsz przez Budziak. Starcie pod Kostangalią. Pościg Kalineski. Przeprawa przez Prut. Poddanie się Rumunom. Uwagi nad tą wyprawą. Stan Rusi. Zakończenie Str. 223—353.

Rozdział XII. Sześć punktów. Obawy rosyjskie. Odpowiedź ks. Gorczakowa na noty mocarstw. Uwagi nad temi odpowiedziami. Depesza p. Drouyn de Lhuys. Meting w Southwarte. Mowa hr. Russela. Nominacya ks. Władysława Czartoryskiego na ajenta Rządu narodowego. Sześć punktów i uwagi nad nimi. Niezadowolenie z nich Rządu Narodowego. Uzbrojenia Rosyi. Zamiar cesarza Aleksandra wypowiedzenia wojny. Jego list do króla pruskiego. Konsyderacye pruskie i odpowiedź króla Wilhelma. Noty, francuska, angielska i austriacka. Propozycya Napoleona uczyniona gabinetowi londyńskiemu i wiedeńskiemu. Ministrowie Schmerling i Rechberg. Polityka tego ostatniego. Papież i jego listy do cesarza Aleksandra. Misya kardynała Reissacha do Wiednia. Adres Rządu Narodowego do Papieża. Postępowanie policyi austriackiej. Zabójstwa w Krakowie. Morderstwo Kuczyńskiego. Katastrofa w Krakowie. Aresztowanie ks. Sapiehy. Stanowisko Rządu Nar. wobec interwencyi. Propozycye węgierskie. Kwestya zawieszenia broni. Odpowiedzi ks. Gorczakowa. Nota do rządu angielskiego i francuskiego. Telegram do hr. Rechberga i jego odpowiedź. Rozmowa z lordem Napierem. Depesza austriacka do ks. Metternicha. Stanowisko Rządu Narodowego względem Austrii. Zjazd w Gasteinie. Depesza ks. Gorczakowa do Knorringa. Działanie Francyi i nota sierpniowa p. Drouyn de Lhuys. Broszura »Cesarz, Polska i Europa«. Artykuł »Timesa«. Noty angielska i austriacka. »Sejm książęcy« we Frankfurcie. Zabiegi Gorczakowa i Bismarcka. Odpowiedzi wrześniowe rosyjskie. Nota P. Drouyn de Lhuys. Papież nakazuje nabożeństwo za Polskę. Uwagi i zakończenie Str. 354—441.

8615^{III}

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
u n d o m i a

